

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



GIOVANNI CIACOMO CASANOVA

PAMIĘTNIKI

Źumaczył, wyboru dokonał i wstępem opatrzył
T a d e u s z E v e r t

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Od Tłumacza

Giovanni Giacomo Casanova, z własnej łaski i wyboru kawaler de Seingalt, nie mówiąc już o innych licznie przybranych, a raczej dobieranych sobie nazwiskach, urodził się w roku 1725, zmarł zaś w roku 1798 na łaskawym, choć dobrze omaszczonym chlebie hrabiego Józefa Karola Emmanuela Waldstein-Wartenberga, na jego zamku w Czechach, w miejscowości Dux, obecnie Duchkov, w pobliżu znanego uzdrowiska Teplice Šanow.

Wzrostu słusznego, bo mierzył bez mała 1,86 m, odznaczał się Casanova atletyczną budową i mocno śniadą cerą. Na twarzy pozostało mu parę dziobów – pamiątka z samarytańskiej działalności jeszcze w latach dziecińczych, kiedy to pielęgnował swoją młodą przyjaciółkę Bettinę, chorą na ospę. Czoło miał wysokie, oczy nieco wyłupiaste, spojrzenie żywe i bystre, z lekka nieufne i niespokojne, co nadawało mu trochę dziki wyraz. Zresztą i charakter miał nieco dziki: łatwo wpadał w gniew i łatwo się śmiał. Ale najbardziej charakterystyczny był jego nos: cienki, delikatny w rysunku i wydłużony świadczył o wybrednym guście i różnorodnych zamiłowaniach.

Trudno powiedzieć, czy Casanova był przystojny, czy nie, natomiast jego postawa i pewność siebie niewątpliwie imponowały ludziom już od pierwszego rzutu oka. Był też niezwykle wytrzymały fizycznie i niesamowicie żywotny. A w parze z tymi cechami fizycznymi szły rzadkie cechy intelektualne, a więc: ogromna skala zainteresowań, umysł jasny i logiczny, fenomenalna pamięć i wielkie zdolności narracyjne przy kolosalnej erudycji. Ten ksiądz, filozof, matematyk, alchemik, poeta, tłumacz, pisarz, przemysłowiec nawet i przedsiębiorca, co organizował loterię państwową (jak byśmy to dziś nazwali) i układał plany przekopania kanału od Narbonne do Bayonny dla ominięcia Gibraltaru, ba, nawet historyk zajmujący się sprawami Polski – a można by jeszcze mnożyć jego zainteresowania i poczynania – nade wszystko kochał rozkosze życia. Łączyło się to jednak z awanturnictwem, toteż jako niepospolity awanturnik i libertyn w epoce, w której roilo się od awanturników i libertynów, przeszedł Casanova – chyba najślawniejszy z nich – do historii.

Podłej kondycji – był przyjmowany przez koronowane głowy, a najlepsze to, że nie zapomniał przy nich języka w gębie. Zapytany przez Józefa II, czy jest przyjacielem pana Zaguri, odpowiada:

- Tego weneckiego szlachezca? Tak, to mój przyjaciel.
- Nie podoba mi się jego szlachectwo. Nie budzą we mnie szacunku ci, którzy je kupują.
- A ci, co je sprzedają, najjaśniejszy panie? – pyta Casanova.

Nie traci też kontenansu przed Stanisławem Augustem (którego sekretarzem chciałby zostać) i wyłudza od niego pieniądze z wprawą zręcznego dworaka.

W Rzymie rozmawia z papieżem, w Szwajcarii z Wolterem, w Berlinie z Fryderykiem Wielkim, w Rosji z Katarzyną II. A to wcale nie wszyscy wielcy i możni ludzie, którzy przewijają się na stronach jego „Pamiętników”.

Nie brak mu i fantazji, dorabia sobie genealogię, wywodzi swój ród z początków XV wieku, ale chętnie podaje się za dziecię z nieprawego łoża, ze związku matki z dyrektorem teatru, w którym występowała. Dziwna niekonsekwencja w tym człowieku, gdy się zważy, że jego młodszy brat, Franciszek, był podobno synem tejże Zanetty (dość zresztą dostępnej) i księcia Walii, który nieco później został Jerzym II. Nie ulega wątpliwości, że w czasach, kiedy w

pochodzeniu z nieprawego łoża nie widziano nic hańbiącego, i przy takiej mamie, mógł sobie Casanova pozwolić na coś więcej niż na dyrektora teatru!

Ale u Casanovy, który o swoich wadach pisze tak, jak by były zaletami, a o zaletach – jak o rzeczy najnaturalniejszej, nie jest to jedyna niekonsekwencja.

Wiek XVIII obfitował w niepospolitych awanturników. Żyło się wtedy łatwo, a radość życia i jego uroki stawiało nade wszystko. W czasach kiedy koń był najszybszym środkiem lokomocji, jeździło się z kraju do kraju łatwiej niż dziś z Warszawy do Milanówka. Pieniądże czerpało się bez skrupułów z hazardu, oszustwa i kieszeni hojnych mecenasów obojga płci.

Casanova należał do obieżyświatów, po trosze z gorączkowej wewnętrznej potrzeby, a po trosze z musu, bo często ziemia paliła mu się pod nogami. Ale czy tylko dlatego? Podobno nie. W roku 1760 rozpoczynają się jego długie podróże. Ma lat trzydzieści pięć, jest w pełni sił, zna świat i ludzi, a więc jest człowiekiem wyrobionym, w dodatku niepospolicie zdolnym, nadaje się więc do różnych misji. Zaciekawienie zaś budzi fakt, że od tego czasu dziwnie nabiera wody w usta, gdy chodzi o relacje z masonerią. Stąd pytanie: Casanova nie był jej agentem? Oczywiście jest to tylko hipoteza i to niejedna związana z tą tajemniczą postacią. Niektórzy casanoviści utrzymują, że mógł być na usługach zakonu jezuitów. Tak czy owak świat dla tego człowieka zawsze stał otworem. Jeździł więc po Włoszech i Francji, był w Anglii, w Turcji, w Niemczech, Rosji, Austrii, w Polsce etc. Nosiło go po świecie, aż zazdrość bierze!

Z tego bogatego życia pozostawił „Pamiętniki”, które chciał to spalić, to legował swojej młodej przyjaciółce, a w gruncie rzeczy gdzieś tajemniczo posiał.

Pisał zaś je w Duchkowie, gdzie był bibliotekarzem – jak już wspomniałem – u hrabiego Waldsteina. Ciężki to był okres dla Casanovy i dość długi, bo trwał czternaście ostatnich lat jego żywota. Zżerała go nostalgia: z południową krwią w żyłach nie mógł dobrze czuć się w obcym sobie klimacie, w obcych warunkach i otoczeniu. Był już stary i swarliwy, uważał, że wszyscy chcą mu dokuczyć. Przemyślał o samobójstwie, kłócił się ze służbą, uciekał nawet i zawsze w końcu wracał na zamek hrabiego Waldsteina. A ten płacił mu dość szczerze, regulował długi, znosił kaprysy i łagodził spory.

W obszernej, zacisznej bibliotece, wśród czterdziestu tysięcy tomów, przeważnie samotny, bo zamek ożywiało się tylko w okresie sezonu, kiedy to z pobliskiego kurortu przyjeżdżało mnóstwo gości i znajomych, mógł Casanova tylko rozpamiętywać przeszłość i pisać. Typowa tragedia starego człowieka, który już nie znajduje dla siebie miejsca w świecie.

Pisał więc pamiętniki i rozsyłał je przyjaciółom. Wspomnienia odtwarzał z pamięci, bo jakże w tak pełnym przygód, burzliwym życiu mógłby zachować wszystkie notatki i dokumenty. Coś niecoś pewnie mu pozostało, skoro ich tyle przytacza, ale dziś już wiemy, że fabrykował miłosne listy do samego siebie i nawet je później odpowiednio zmieniał.

W dwadzieścia dwa lata po śmierci Casanovy niejaki Fryderyk Gentzel zaproponował firmie wydawniczej Brockhaus w Lipsku nabycie rękopisu francuskiego zatytułowanego „Historia mojego życia do roku 1797”. Gentzel twierdził, że są to pamiętniki słynnego Casanovy. Miały one należeć do Karola Angiolini, spokrewnionego z Casanową. Jakimi drogami wspomniane „Pamiętniki” trafiły do rąk Karola Angiolini, ustalić nie można.

W owym czasie postać Casanovy, którego pamiętniki współcześni wyrwali mu z rąk na gorąco, już odeszła nieco w cień. Brockhaus mimo to zainteresował się rękopisem i nabył go po uprzednim dokładnym przeanalizowaniu. Okazało się jednak, że rękopis urywa się na roku 1774, to znaczy w czasie, kiedy Casanova spodziewał się uzyskać prawo powrotu do umiłowanej Wenecji.

Z listu Cecylii von Roggendorff z dnia 1 sierpnia 1797 roku do Casanovy, tej Cecylii, której on nigdy nie widział, lecz z którą zaprzyjaźnił się listownie w ostatnich latach życia, wiemy, że były jeszcze dalsze tomy „Pamiętników”. Píše ona tak:

„Donosi mi pan o zamiarze legowania mi swoich Pamiętników obejmujących piętnaście tomów...”, a więc te „Pamiętniki” częściowo gdzieś zagięły, lecz czemu tylko końcowe tomy? Podobno zresztą było ich wszystkich aż siedemnaście.

Wróćmy jednak do Brockhausa.

Zbadawszy dokładnie rękopis „Pamiętników”, szef tej szacownej firmy polecił Wilhelmo-
wi von Schütz przetłumaczenie ich na niemiecki i przygotowanie do druku.

Pierwszy tom „Pamiętników” w tym opracowaniu ukazał się w roku 1822, a ostatni, dwu-
nasty, w roku 1828. Uchylmy kapelusza przed sprawnością panów Schütza i Brockhausa!

To wielotomowe dzieło nosiło tytuł: „Pamiętniki Wenecjanina Jakuba Casanovy de Seingalt (cóż za silna indywidualność autora, że nawet po śmierci pozostał tym »de Seingalt«!) lub jego życie, tak jak je opisał w Dux w Czechach, przetłumaczone z oryginalnego manuskryptu pod kierownictwem Wilhelma von Schütza”.

Pamiętniki przetłumaczone z czasem na wiele języków stały się „bestsellerem”, a nikt nie wątpił wtedy o ich autentyczności.

W roku 1825 pewien zawistny o powodzenie „Pamiętników” wydawca francuski zabrał się do ich przekładu na rodowity język. Cóż za ironia losu: „Pamiętniki”, pisane po francusku, zostają z powrotem przełożone na francuski z niemieckiego! Od razu nasuwa się na myśl jeszcze jedna złośliwość tegoż losu: człowieka, który nosi tyle nazwisk przybranych, obdarowują po śmierci jeszcze jednym. W rejestrze osób zmarłych znajdujemy pod dniem 4 czerwca 1798 roku taką notatkę: „Herr Jakob Cassaneus, Venezianer, im 84 Jahre”.

Ale cóż z Brockhausem? Otóż Brockhaus czuje się dotknięty na honorze. Jak to, ktoś inny, nie on, wydał „Pamiętniki” w oryginalnym ich języku? Angażuje więc profesora literatury francuskiej w Dreźnie, Laforgue’a, i ten przez trzy lata „redaguje” w pocie czoła „Pamiętniki” w języku francuskim.

Mimo to „Pamiętniki” uznano za lekturę tak szokującą, że cenzura od razu się do nich zabrała z całym zapalem i entuzjazmem. Dlatego też różne tomy drukowano w różnych krajach albo udawano, że się je tam drukuje.

Na scenę wkracza teraz jeszcze jeden wydawca. Jego edycja „Pamiętników” zwie się Paulin-Busoni albo „Rozez”. Jest ona częściowo odbiciem wydania redagowanego przez Laforgue’a, jednak w końcowych tomach ni stąd, ni zowąd zaczyna się od niej różnić. Paulin bowiem naglony przez niecierpliwych czytelników zaangażował Busoniego i kazał mu szybciej uporać się z zadaniem bo nie mógł doczekać się następnych tomów Laforgue’a. Przypuszcza się że Busoni po prostu zmyślał i dodawał, ale dokładniejsze badania dowiodły, że opierał się on na jakichś tekstach prawdziwych – lecz skąd je wziął? Ta zagadka pozostała nie rozwiązana. Warto może w tym miejscu wspomnieć, że w jakichś materiałach (niestety nie zanotowałem, gdzie) spotkałem się z twierdzeniem, że jeden tom rękopisu „Pamiętników” znajduje się (oczywiście mowa o okresie międzywojennym albo i wcześniejszym) w czyichś prywatnych, polskich księgozbiorach.

W roku ubiegłym firma Brockhaus wspólnie z paryską firmą Plon przystąpiła do wydawania w języku francuskim (a więc w języku oryginału) „Pamiętników” Casanovy bez przeróbek i modyfikacji, według szczęśliwie ocalałego rękopisu. I cóż się okazuje? Ano nic nowego: to, że przodkowie dzisiejszych Brockhausów całą swoją robotę wykonali nie wiadomo po co! Francuszczyzna Casanovy nie wymaga żadnych poprawek, rękopis jest przejrzysty i czytelny, a sceny miłosne – o ironio! – podane są mniej drastycznie niż u Laforgue’a! I jeszcze jedna ciekawostka: Schutz okazał się skrupulatniejszym redaktorem, gdy Laforgue’a ponosi galijski temperament. Sporo czasu jednak upłynie, nim można będzie wydać ostateczny sąd o całej sprawie. A na razie w serii Pléiade wychodzą także „Pamiętniki” w starej wersji. Czy nie jest to miarą poczytności tego dzieła? Ciągłe jednak pozostanie nie wyjaśnione pytanie, czy był tylko jeden rękopis, a jeżeli nie jeden, to czy były one identyczne. Można przypuścić, że Casanova, który przez większą część roku śmiertelnie nudził się w Czechach, chcąc dalej

brylować w świecie bodaj pośrednio i przynaglany przez przyjaciół błagających o dalszy ciąg „Pamiętników”, nie poprzestał na jednym rękopisie i że przy okazji zmienił to i owo.

Te rękopisy w ogóle jakoś dziwnie się rozmnożyły, albowiem Schütz dostał jeden, Laforge – drugi, a Brockhaus ma trzeci, bo tamte dwa nie wróciły. Może Busoni korzystał z jednego z nich? I może tajemnica handlowa okrywa prawdę?

W rezultacie tych wątpliwości i na tle tajemnicy osnuwającej „Pamiętniki” zrodziło się przypuszczenie, że są one apokryfem, o autorstwo zaś posądzono nie byle kogo, bo między innymi i Stendhala. Nawet Busoni doznaje tego zaszczytu, przed którym broni się z oburzeniem, ale nie z szacunku i lojalności wobec Casanovy, lecz przez pruderię.

Mimo wielu nieścisłości, zwłaszcza w datach, szczegółowe badania „Pamiętników” wykazały ich prawdziwość, której nikt już dziś nie kwestionuje. Wspomniane zaś nieścisłości można przypisać także zawodnej pamięci starego, zgorzkniałego człowieka albo nawet zamiarowi wykazania się w innym świetle dokuczania wrogom, lub nawet swoistej dyskrecji.

Przytoczę tu za innymi trzy wypadki świadczące o prawdziwości faktów podanych w „Pamiętnikach”.

W roku 1767 w Spa spotyka Casanova, oczywiście przy kartach, innego niebieskiego ptaka, tym razem występującego pod nazwiskiem markiza de Santa Croce. Towarzyszy mu uwiedziona dziewczyna z dobrej rodziny. Santa Croce zgrywa się niebawem do ostatniego grosza (fortuna kołem się toczy) i musi uciekać. Przedtem jednak prosi Casanowę o opiekę nad swoją przyjaciółką, która jest w ciąży.

Casanova wywozi dziewczynę do Paryża. Rodzi ona tam syna, któremu nadaje imię Jakuba-Karola (Jakuba? Czyżby przez wdzięczność dla Casanovy?). Jako ojca podaje Antoniego Della Croce, jako matkę Karolinę de L. (Jakub-Karol: Jakub i Karolina, nosy badaczy poruszają się niespokojnie przy tym złączeniu imion!) Casanova chce adoptować dziecko – co za wspaniała wielkoduszność w tym cyniku, który sam o sobie mówi, że „rumieni się na myśl o tym, że się nigdy nie rumieni”.

Karolina umiera po paru dniach; noworodek jest w domu podrzutek, Casanova kończy tę opowieść tym, że ktokolwiek chciałby się dowiedzieć nazwiska Karoliny, może je ustalić w rejestrze domu podrzutek. Casanovistom tylko w to graj. Łapczywie rzucają się na dany ślad. Doktor Guède przejrzał rejestry i nie znalazł w nich ani nazwiska Delia Croce, ani Santa Croce, ani Croce, Delacroix, Lacroix lub podobnego. Aż nagle ujrzał inne: Lacrosse, a obok szczegóły zgodne z podanymi w „Pamiętnikach”. Karolina zaś nazywa się de Lamotte. Dziecko zmarło w parę dni po przyjęciu do domu podrzutek.

Drugi fakt jest taki: opis romansu z burmistrzową w Kolonii wywołał całą burzę wśród historyków niemieckich. Wzięli sobie oni za punkt honoru wykazanie, że Casanova zełgał przez chęć zemsty na Kettlerze, który go posądził o szpiegostwo (zresztą mógł mieć rację, bo Casanova nie gardził zawodem szpiega i później był nim na żołdzie Wenecji, gdy chciał wyjednać sobie prawo powrotu do tego miasta, za którym tak tęsknił). W wyniku tych badań przyłapano Casanowę na paru nieścisłościach. A więc przede wszystkim: o jaką to damę chodzi? Niełatwo było sprawdzić, o której burmistrzowej pisze. Kolonią rządziło aż sześciu burmistrzów. Trzech było kawalerami, z pozostałych trzech tylko jeden mieszkał w pobliżu kościoła tak położonego, że mógł spełniać rolę prywatnej kaplicy. Ów burmistrz zwał się Groote, a jego żona odpowiada opisowi podanemu przez Casanowę, lecz w kronikach towarzyskich, na tym niezwykle czułym sejsmografie wszystkich wielkoświatowych skandalików, nie odnotowano najmniejszej ploteczki, która łączyłaby panią de Groote z Kettlerem lub Casanową.

Dalsze badania wykazały jednak, że Casanova nie miał powodu mścić się na Kettlerze, albowiem ze wszystkich zarzutów (a było ich parę) wyszedł obronną ręką, jego opisy zaś dotyczące miejsca są zupełnie wierne i zgodne ze starymi planami kościoła. Należy jednak sądzić, że jego kochanką nie była pani Groote, i wciąż pozostaje tajemnicą, o kim pisze.

I wreszcie historia trzecia. Dotyczy ona C. C. i M. M. Casanova niesłuchanie wiernie ma-
luje klasztor w Murano. Z archiwów klasztornych wynika też, że w owym czasie była tam
mniszka Maria Magdalena między szesnastu innymi mniszkami. Natomiast pan de Bernis
wyjechał z Wenecji o rok później, niż podaje Casanova, i nigdy w ogóle nie był w Wiedniu.

Trudno też przy tej okazji nie poruszyć słynnej ucieczki Casanovy spod Ołowianego Da-
chu. Niektórzy casanoviści twierdzą, że wydostał się on z tego więzienia w sposób całkiem
prozaiczny, bo przy pomocy złota swoich przyjaciół. Z drugiej strony jednak znaleziono w
archiwach rachunki rzemieślników za naprawę podłogi i dachu. Mamy też wyrok skazujący
strażnika Wawrzyńca Basadonna za dopuszczenie do ucieczki więźnia. Można to uznać za
wystarczające dowody prawdomówności albo i nie...

Czemu przypisać, że „Pamiętniki” zyskały tak wielki, światowy rozgłos? Czy tylko za-
wartym w nich erotykom? Z pewnością nie. „Pamiętniki” są przede wszystkim fenomenal-
nym obrazem epoki: zwyczajów ludzi, ich wad, zalet i namiętności. Przewija się przed nami
galeria typów od wielkich dam do subretek, od wielkich panów do lokai. Jesteśmy świadkami
niepohamowanych pasji, szalonych miłości i zacieklej nienawiści. I choć Casanova bronił
się przed tym – są też romansem, nie zwykłym dziariuszem, lecz żywym i barwnym romansem
z brzękiem szabel, hukiem pistoletowych wystrzałów, tętentem kopyt, napadami bandytów,
stukiem sztonów na karcianych stolikach i dumasowską galanterią. Na ich stronach obcujemy
z najszlachetniejszymi ludźmi epoki i z najgorszymi szumowinami. Casanova przedstawia nam
to wszystko z wielkim literackim talentem, z kolosalną spostrzegawczością – żywo i malow-
niczo. Erotyka zaś, w naszym pojęciu cyniczna, zawsze lub prawie zawsze występuje na tle
sentymentu, powiedziałbym: na tle wazonu róż, choć i tu Casanova, jakże prawdziwie, zmie-
nia się na starość. I chyba ta erotyka sprawia, że wyobrażamy go sobie (bo i tak go nam
zresztą podawano) jedynie jako klasyczny typ uwodziciela. Ale proszę, gdy chodzi o ilość
odniesionych na tym polu zwycięstw, to znamy przecież niegorszych od niego rekordzistów,
chociażby marszałka Richelieu lub „męża stu żon”, naszego Stanisława Augusta.

Właśnie ta wielka pojemność serca, to hojnie trwonione bogactwo uczucia przysłania nam
innego Casanovę. Bo i kim właściwie był ten człowiek? Wokół niego urosła potężna literatu-
ra, a tajemniczość jego postaci wciąż interesuje badaczy-casanovistów. I zabawne, że mimo
całego cynizmu Casanovy, mimo lekkoduchostwa, wad i przywar, budzi on sympatię i chęć
bliższego poznania.

„Pamiętniki” nie były chyba nigdy w pełni tłumaczone na język polski. Ze względów mer-
kantylnych wybierano z nich fragmenty najbardziej działające na fantazję czytelnika, przy-
odzwierając je do tego w krzykliwe, efektowne tytuły, jak np. „Od kobiety do kobiety” lub
„Mrożąca krew w żyłach ucieczka z więzienia ołowianego”. Oczywiście takie ujęcie przed-
stawiało nam Casanovę w jednostronnym świetle, w pewnego rodzaju wypukłym zwierciadle.

Toteż przystępując do wyboru (zadanie bynajmniej niełatwe) fragmentów z „Pamiętni-
ków”, chciałem po trochu naprawić ten błąd. Niestety, cały Casanova uparcie nie daje się we-
pchnąć w szczupłe ramy nie tyle dla swoich cech fizycznych, co dla swojej dynamiki. Trzeba
jednak zrozumieć, że ogłaszanie pełnych „Pamiętników” nie byłoby właściwe choćby z tego
powodu, że wielotomowa edycja stałaby się „elitarną”, dostępną węższemu gronu czytelni-
ków, a do tego przedsięwzięciem długoterminowym. Skoro jednak już tyle różnych pamiętni-
ków i dziaruszów ostatnio wyszło w języku polskim, nie można zapomnieć o Casanovie i nie
wypełnić tej luki w literaturze pamiętnikarskiej. Trzeba więc ukazać Casanovę w najważniej-
szym, najbardziej charakterystycznym skrócie, a kiedyś – zapewne – będziemy mogli prze-
czytać pełne wydanie jego pamiętników, by powtórzyć za Heinem: „Każdy wiersz tej książki
czyta się z prawdziwą przyjemnością”. I myślę, że nawet rozmiłujemy się w Casanovie, bo i
rzeczywiście, mimo przykrych wad, które nawet doprowadziły go do kazirodztwa, mimo cy-
nizmu, lekkomyślności, braku tego, co byśmy dziś nazwali hamulcami moralnymi, ma on w
sobie coś szlachetnego, jakąś rycerskość i ludzkość i należy do tych nieodtworzalnych postaci

w literaturze i historii, które każdy z nas inaczej sobie wyobraża. Jego przywiązanie do Wenecji, ostatnie, tym razem platoniczne uczucie rozczarowanego starca do młodej dziewczyny, Cecylii – to jeszcze jeden powód do sympatii, może nawet i współczucia, tym chyba szerszej, że nieco wstydlivej.

Przyszło mi wybierać z olbrzymiego, ponad dwa tysiące czterysta stron liczącego materiału. W tej selekcji więc, zatrzymawszy się na najbardziej interesujących dla ogółu czytelników, charakterystycznych fragmentach, opuściłem też i te, które choć ciekawe i zawsze ukazujące nam coś z Casanovy, nasuwają najwięcej zastrzeżeń, jak np. historia pobytu w Turcji czy też opis przygód w Hiszpanii, albo nudną już dziś rozmowę z Wolterem. Cała awantura turecka była pisana po raz drugi, bo pierwszą wersję rzekomo spaliła służąca przy sprzątnięciu pokoju. Budzi to pewne wątpliwości w prawdziwość opowiadania. Przygody w Hiszpanii są podobno mocno podbłagowane i podejrzenie sensacyjne. I tu trzeba dodać, że u Casanovy w ogóle prawda jest pomieszana z błagą, zasupłana w jeden węzeł, a daty, jak wykazują badania, z reguły się nie zgadzają. Roi się też od pomyłek i koloryzacji, które jednak nie przyćmiewają i przyćmić nie mogą arcyciekawej prawdy.

MOJA RODZINA – DZIECIŃSTWO

...Kajetan Józef Jakub Casanova uległ wdziękom aktorki imieniem Fragoletta, grywającej rolę subretek, i opuścił dla niej swoją rodzinę. Zakochany i nie mając z czego żyć postanowił wykorzystać własną osobę w celach zarobkowych. Poświęcił się sztuce tanecznej i przez lat pięć występował na deskach scenicznych, gdzie wyróżniał się bardziej rozwiązłością obyczajów niż talentem.

Czy to niestałością, czy to zazdrością wiedziony porzucił Fragolettę i przyłączył się w Wenecji do trupy komedianów produkujących się w teatrze Św. Samuela. Naprzeciwko domu, w którym mieszkał, miał swą siedzibę szewc nazwiskiem Hieronim Farusi, ze swą żoną Marzią i jedyną córką Zanettą, niezwyklej urody, w wieku lat szesnastu. Młody komediant zakochał się w tej dziewczynie i zdołał przemówić do jej uczuć, a następnie nakłonić ją, aby dała się porwać. Był to jedyny sposób, ażeby ją osiąść, jako że Kajetan Józef nigdy by nie uzyskał zgody Marzii, a tym bardziej Hieronima; w ich oczach bowiem komediant był osobą wszeźteczną. Młodzi kochankowie zaopatrzeni w odpowiednie dokumenty i w towarzystwie dwóch świadków stawili się przed oblicze patriarchy weneckiego, który pobłogosławił ich związek małżeński. Marzia, matka Zanetty, podniosła wielki lament, ojciec zaś umarł ze zgrzyoty. Urodziłem się z tego stadła po dziewięciu miesiącach, 2 kwietnia 1725 roku.

W roku następnym matka pozostawiła mnie u babki, która przebaczyła jej, gdy się dowiedziała, że ojciec nie będzie nalegał, aby występowała na scenie. Taką obietnicę dają wszyscy komedianci żeniąc się z mieszcankami. Nie dotrzymują jej jednak nigdy, bo one wcale na jej dotrzymanie nie nalegają. Zresztą szczęśliwie się stało, że moja matka wstąpiła na scenę, bo gdyby nie to, zostawszy w dziewięć lat potem wdową obarczoną sześciorgiem dzieci, jakżeby je wychowała?

Pamięć moja rozwinęła się na początku sierpnia 1733 roku. Miałem wtedy lat osiem i cztery miesiące. Nie pamiętam nic z tego, co się przedtem ze mną działo. A oto co wtedy zaszło:

Stałem w kącie pokoju, twarzą do ściany, podtrzymując głowę i wpatrzony w krew ściekającą obficie z nosa na podłogę. Moja babka Marzia, której byłem ulubieńcem, podeszła do mnie, obmyła mi twarz zimną wodą i nikomu nic nie mówiąc zabrała mnie z sobą do gondoli i kazała się zawieźć na wyspę Murano, o pół mili od Wenecji.

Po opuszczeniu gondoli weszliśmy do jakiejś rudery, gdzie zastaliśmy starą kobietę, trzymającą w objęciach czarnego kota i otoczoną kilkunastu innymi kotami. Była to czarownica. Obie starszki wdały się w długi dyskurs, którego byłem zapewne przedmiotem. Po czym czarownica, dostawszy od mojej babki srebrnego dukata, otworzyła skrzynię, wzięła mnie na rękę i zamknęła w tej skrzyni mówiąc, żebym się nie lękał, co wystarczyłoby, aby mnie napełnić przerażeniem, gdybym nie był całkowicie ogłupiały. Siedziałem więc w kącie skrzyni, trzymając chustkę przy wciąż krwawiącym nosie, obojętny na hałas z zewnątrz. Słyszałem kolejno śpiewy, płacze, krzyki i stukanie w skrzynię. Nic umie to nie obchodziło. Wreszcie czarownica wydobyla mnie ze skrzyni. Krew ciekła już mniej gwałtownie. Ta nadzwyczajna baba, wypieściwszy mnie na wszystkie strony, rozebrała mnie, położyła do łóżka, spaliła jakieś ziela, zebrała dym w prześcieradło, owinęła mnie nim, odmówiła zaklęcia, odwinęła prześcieradło i dała mi do zjedzenia pięć pastylek o przyjemnym smaku. Następnie natarła mi

skronie maścią o słodkim zapachu, ubrała mnie i orzekła, iż krwotok powoli ustanie, o ile nikomu nie powiem, co zrobiła, aby mnie wyleczyć, w razie zaś gdybym komukolwiek wyjawiał ten sekret, czeka mnie śmierć niechybna z upływu krwi.

Po tej podróży do Murano krwawiłem jeszcze z nosa czas jakiś, ale coraz mniej z dniem każdym, a moja pamięć rozwinęła się stopniowo. Nauczyłem się czytać w miesiąc niespełna.

Ojciec mój rozstał się z życiem w kwiecie wieku, mając lat trzydzieści sześć zaledwie. Do grobu odprowadził go szczery żal publiczności, a zwłaszcza szlachty, która doceniała zarówno jego znajomość mechaniki, jak urodzenie wyższe od zawodu, jaki mu uprawiać przyszło. Na dwa dni przed śmiercią ojciec czując, że koniec się zbliża, kazał mnie i memu rodzeństwu zebrać się przy swoim łożu, w obecności żony i panów Grimani, szlachciców weneckich, aby ich ubłagać o opiekę nad nami. Udzieliwszy nam błogosławieństwa zażądał od mej szlochającej matki, aby zaprzysięgła, iż żadnego z dzieci nie wychowa dla teatru, gdzie – gdyby nie zgubna namiętność – nigdy by się sam nie znalazł. Matka złożyła to uroczyste przyrzeczenie, a trzej patrycjusze poręczyli jego moc obowiązującą. Przemysłność dopomogła matce w dotrzymaniu słowa... Aczkolwiek młoda i piękna, odrzuciła wszystkich ubiegających się o jej rękę i ufna w łaskę Opatrzności wierzyła, iż zdoła nas sama wychować.

Pan Baffo, wielki przyjaciel mego ojca, wzniosły geniusz, niezrównany poeta, najsporniejszy ze wszystkich uprawiających ten rodzaj twórczości, dopomógł w oddaniu mnie do szkoły w Padwie. Pobożna gorliwość inkwizytorów Republiki Weneckiej przyczyniła się do jego sławy; prześladowając bowiem jego manuskrypty podnieśli znacznie ich wartość. A powinni byli wiedzieć, iż *spreti exolescunt*, czyli wzgarda podnosi cenę.

Ksiądz Grimani podjął się wynaleźć dla mnie dobrą pensję za pośrednictwem swego znajomego, chemika nazwiskiem Ottaviani, mieszkającego w Padwie, gdzie był również antykwariuszem. Przyszło mu to z łatwością i 2 kwietnia 1734 roku, w dziewiątą rocznicę moich urodzin, wyruszyliśmy: ksiądz Grimani, pan Baffo, moja matka i ja statkiem zwanym *burchiello* wzdłuż kanału Brenta do Padwy.

Burchiello jest to jakby pływający domek. Pod otwartym pomostem znajduje się sala z gabinetami, po obu zaś jej stronach, na rufie i na dziobie, są pomieszczenia dla służby. Sala ma kształt długiego prostokąta o oszklonych oknach, zaopatrzonych w okiennice.

Matka wstała o świcie i otworzyła okno naprzeciwko mego łóżka. Obudziłem się więc pod wpływem padających wprost na moją twarz promieni wschodzącego słońca. Łóżko było zbyt niskie, abym mógł dostrzec ląd; przez okno widziałem tylko wierzchołki drzew rosnących na brzegu rzeki. Łódź płynęła tak łagodnie, że nie mogłem się tego domyślić, i przesuwał się szybko przed moimi oczyma drzewa napełniły mnie nie lada zdumieniem.

– Mamo! – zawołałem. – Drzewa chodzą!

W tej chwili weszli obaj nasi towarzysze podróży i obserwując moje zdziwienie zapytali o przyczynę.

– Jakim sposobem – odpowiedziałem – drzewa chodzą?

Roześmieli się, a matka westchnąwszy rzekła pogardliwym tonem:

– To łódź się porusza, nie drzewa. Ubieraj się.

Zrozumiałem natychmiast istotę tego zjawiska.

– A zatem – rzekłem – jest możliwe, że słońce również się nie porusza, lecz to my się przesuwamy z zachodu na wschód.

Zbeształa mnie zacna matka za wypowiedzianie takich głupstw, a ksiądz Grimani nuże biadać nad tępotą mego umysłu. Mnie zaś, skonfundowanemu doszczętnie, na płacz się zbierało. Pan Baffo przywrócił mi równowagę ducha. Ucałował mnie serdecznie i rzekł:

– Masz rację, moje dziecko. Rozumuj zawsze śmiało i nie dbaj o śmiech innych.

Na co zapytała go moja matka, czy aby nie zwariował, lecz filozof nie odpowiedział jej nawet i tłumaczył mi dalej teorię przeznaczoną po prostu dla mego zdrowego rozsądku. Była to pierwsza przyjemność, jakiej zakosztowałem w życiu.

Do Padwy przybyliśmy wczesnym rankiem i udaliśmy się do domu Ottavianiego, a jego żona upieściła mnie i ucałowała serdecznie.

Ottaviani zaprowadził nas do domu, gdzie miałem pozostać na pensji, około pięćdziesięciu kroków od jego mieszkania, w parafii Św. Michała, u starej Kroatki, która wynajmowała swoje pierwsze piętro pani Mida, żonie pułkownika. Otwarto przed nią mój kuferek i wręczono jej spis wszystkiego, co zawierał. Następnie wyliczono jej sześć cekinów, z góry za sześć miesięcy. W zamian za tę drobną sumę miała mnie żywić, opierać i kształcić w szkole. Po czym ucałowano mnie, polecono słuchać we wszystkim jej rozkazów i w ten sposób mnie się pozbyto.

BABKA UMIESZCZA MNIE U DOKTORA GOZZI – MOJA PIERWSZA DZIECINNA MIŁOŚĆ

Zaledwie pozostałem sam z Kroatką, zaprowadziła mnie na strych i wskazała jedno z pięciu stojących rzędem łóżek. Trzy należały do trzech chłopców w moim wieku, przebywających podówczas w szkole, a na pozostałym spała służąca, której zadaniem było poskramiać figle, jakim chętnie oddają się uczniacy.

Nie czułem się ani uradowany, ani smutny; nie ulegałem ani nadziei, ani obawie, ani ciekawości, aczkolwiek nie wiedziałem jeszcze, co to jest piękno lub szpetota. Raziło mnie tylko ordynarne obejście i wygląd mojej opiekunki... Ogromnego wzrostu i barczysta jak żołnierz, cerę miała żółtą, włosy czarne, brwi długie i gęste, podbródek zdobiło kilkanaście długich włosów. A na dobitkę ohydne piersi, prawie odkryte, zwisały do połowy jej długiej postaci. Mogła mieć z pięćdziesiąt lat.

Około południa nadeszli trzej koledzy i – jak byśmy się znali od dawna – powiedzieli mi mnóstwo rzeczy, suponując, iż pewne pojęcia nie są dla mnie tajemnicą. Nie odpowiadałem im, co ich bynajmniej nie zniechęciło... Na obiad, po cienkiej zupie, dostaliśmy każdy małą porcję suchej ryby i jabłko. Na tym koniec. Byliśmy w okresie wielkiego postu. Nie mieliśmy ni szklanek, ni kubków i piliśmy z jednego glinianego garnka napój zwany *graspo*, przyrządzany z gotowanych w wodzie winogron, po wyjęciu z nich pestek.

Po obiedzie służąca zaprowadziła mnie do szkoły, do młodego księdza nazwiskiem doktor Gozzi, któremu moja opiekunka zobowiązała się płacić czterdzieści groszy, to jest jedenastą część cekina. Miałem się nauczyć pisać, posadzono mnie więc, na początek, wśród sześciolletnich dzieci. Nie omieszkały się ze mnie natrzęsać.

Po powrocie dostałem kolację, oczywiście skromniejszą niż obiad. Następnie położyłem się do łóżka, lecz robactwo należące do trzech dosyć znanych gatunków nie pozwoliło mi zmrużyć oka. Ponadto szczury hasające po całym strychu wskakiwały na moje łóżko i krew mi zastygała w żyłach ze strachu... Służąca pozostała głuchą na moje krzyki.

Nazajutrz rano po raz pierwszy w życiu płakałem ze złości i zmartwienia, czekając, aż zbudzą się koledzy. Ci jednak, zamiast współczuć, naigrawali się ze mnie. Biedacy dzielili moją niedolę, ale zdążyli się do niej przyzwyczaić, a to wszystko tłumaczy.

Ksiądz Gozzi dbał starannie o moje wychowanie. Posadził mnie przy własnym stole i aby mu okazać, iż doceniam to wyróżnienie, przykładałem się do nauki ze wszystkich sił. Toteż po upływie miesiąca pisałem już tak dobrze, iż kazał mi przejść do gramatyki. Nowy tryb życia, stały dokuczliwy głód, a zwłaszcza, jak sądzę, powietrze Padwy dały mi zdrowie, jakiego nigdy przedtem nie zaznałem. Tym trudniej było mi znosić niedożywienie. Rosłem w oczach, spałem dziewięć godzin najtwardszym snem, żadną zjawą nie zmaconym... Natarczywy głód byłby mnie w końcu osłabił, gdybym się nie nauczył chytyć i połykać wszystko, co było jadalne, wszędzie i zawsze, o ile byłem pewny, że nikt nie widzi. Wypatrzyłem kilkadziesiąt śledzi wędzonych w szafie kuchennej i pożarłem je kolejno wszystkie, jak również

kielbasy wiszące w kominie. Aby się do nich dostać niepostrzeżenie, wstawałem w nocy i plądrowałem po omacku. Wszystkie jaja, świeżo zniesione w kurniku, łykałem, jeszcze ciepłe, z rozkoszą.

Kroatka wściekła, iż nie może wykryć złodzieja, wyrzucała służące jedną po drugiej. Jednakże okazje do kradzieży nie nadarzały się zbyt często i chudy byłem jak szkielet.

Po paru miesiącach zrobiłem tak wielkie postępy, że doktor Gozzi mianował mnie dekurionem szkoły. Do moich obowiązków należało sprawdzanie, czy trzydziestu kolegów nauczyło się zadanej lekcji, poprawianie ich błędów, pochwała lub nagana przed nauczycielem. Niedługo trwała moja surowość. Leniuchy łatwo znalazły sposób, aby mnie udobruchać. Gdy szwankowała ich łacina, przekupywali mnie kotletami, kurczętami, nawet pieniędzmi. Podnieciło to moją chciwość, a raczej łakomstwo, i nie ograniczając się do wyzyskiwania nieuków, stałem się tyranem dla wszystkich, i nawet zasługującym odmawiałem aprobaty za darmo. Nie mogąc ścierpieć niesprawiedliwości, koledzy oskarżyli mnie o przekupstwo przed nauczycielem, który mnie zdegradował, co miałyby fatalne skutki, gdyby nowy i szczęśliwy zwrot w moim życiu nie położył kresu okrutnemu nowicjatu.

Doktor Gozzi, który mnie polubił, wezwał mnie kiedyś do swojego gabinetu i w cztery oczy zapytał, czy zechcę dopomóc mu w staraniach, jakie ma zamiar podjąć, by mnie odebrać od Kroatki i zabrać do siebie. A gdym się ucieszył, kazał mi przepisać trzy listy: do pana Baffo, do księdza Grimani i do mojej babki...

W owych listach opisywałem swoje cierpienia i zapowiadałem, że umrę, jeżeli nie odbiorą mnie od Kroatki i nie umieszczą u mego preceptora, który jednak żąda dwóch cekinów miesięcznie.

W tydzień potem, w chwili gdy zasiadałem do stołu, przybyła babka, która mnie kochała nad życie. Wzięła mnie zaraz na kolana, a ja czując, że mi odwaga powraca, opowiedziałem z płaczem, wszystkie doznane krzywdy, wskazałem, co mi jeść dawano, i zaprowadziłem ją, aby pokazać moje łóżko. Kroatka rzekła na to bezczelnie, iż za pieniądze, jakie otrzymuje, nie może mi lepiej dogodzić. Babka odpowiedziała spokojnie, że mnie zabiera, i kazała jej spakować moje manatki. Zaprowadziła mnie zaraz na obiad do oberży, gdzie zamieszkała, ale sama prawie nic nie jadła, tak była zdziwiona moją żarłocznością. Nadszedł zawezwany doktor Gozzi, który zrobił na babci jak najlepsze wrażenie. Wypłaciła mu za pokwitowaniem dwadzieścia cztery cekiny za rok z góry, ale pozostała ze mną trzy dni, podczas których ubrała mnie po księżowsku i kazała sprawić perukę, gdyż aby doprowadzić moją zawszoną głowę do porządku, musiałem obciąć włosy.

Rodzina doktora Gozzi składała się z jego ojca, szewca, i ze starej zgryźliwej matki, która wielce szanowała swego syna, gdyż jako chłopka nie uważała się za godną być matką księdza i w dodatku doktora. Ojciec pracował przez dzień cały do nikogo się nie odzywając, nawet przy stole. Towarzyski stawał się dopiero w dni świąteczne. Spędzał je z reguły w karczmie, skąd wracał o północy pijany i wyśpiewujący pieśni Tassa... Po trzeźwemu nie potrafił zebrać myśli i jego żona mawiała, iż nigdy by się nie zdecydował na ślub z nią, gdyby go dobrze nie uczęstowała przed pójściem do kościoła.

Doktor Gozzi miał również siostrę Bettinę. Była ładna, wesoła i pilnie czytywała romanse. Rodzice karcili ją za zbyt częste ukazywanie się w oknie, brat zaś za skłonność do lektury. Spodobała mi się ta dziewczyna, chociaż nie wiedziałem dlaczego, i ona to powoli roznieciła w moim sercu iskrę namiętności, która z czasem stała się dominującą w moim życiu.

W ciągu dwóch lat doktor Gozzi wdrożył mnie we wszystko, co sam umiał. Niewiele tego było w gruncie rzeczy, wystarczyło jednak, aby mnie wtajemniczyć we wszystkie rodzaje wiedzy. Nauczył mnie również gry na skrzypcach, co mi się później przydało. Nie będąc w najmniejszej mierze filozofem, zapoznał mnie z logiką perypatetyków i antyczną kosmografią Ptolomeuszów; wykpiwałem ją nieustannie, złoścąc go pytaniami, na które nie umiał odpowiedzieć. Jego obyczaje były nienagane i chociaż nie bigot, odznaczał się bezwzględnością

surowością w dziedzinie religii... Zwykł mawiać, że nic go bardziej nie drażni niż niepewność, a zatem tępił myśl, jako że myśl pobudza wątpliwości.

Największą jego pasją było kaznodziejstwo, w czym przychodziły mu z pomocą dorodna postać i dźwięczny głos. Toteż aczkolwiek był zaprzysiężonym wrogiem płci pięknej, jego audytorium składało się wyłącznie z kobiet. Grzech nieczystości uważał za najcięższy ze wszystkich i gniewał się na mnie, gdy ośmielałem się go zaliczać do najlżejszych. Swoje kazania szpikował cytatami z greckich autorów, które tłumaczył na łacinę równie niezrozumiałą, jak greka dla jego słuchaczek... Lubił się natomiast mną pochwalić przed przyjaciółmi, jako że nauczyłem się czytać po grecku sam, jedynie z pomocą podręcznika gramatyki.

W okresie wielkiego postu 1736 roku matka moja napisała do doktora Gozzi, iż niebawem wybiera się na występy do Petersburga i pragnąc mnie zobaczyć przed wyjazdem prosi, abysmy obaj przybyli na parę dni do Wenecji... Przyjęła nas z wielkopańską łaskawością, a że była piękna jak jutrzienka, mój biedny profesor stropił się wielce i nie śmiał na nią podnieść oczu.

Pierwszą rzeczą, która wywołała zgorzenie matki, była moja blond peruka, rażąca przy ciemności cerze i kłócąca się jak najbardziej z moimi czarnymi brwiami i oczyma. Doktor zapytany, dlaczego nie noszę fryzury z własnych włosów, odpowiedział ku uciesze zebranych, że jego siostrze łatwiej jest w ten sposób utrzymać moją głowę w czystości. Matka obiecała piękny podarek dla siostry, o ile zechce pielęgnować moje włosy, po czym kazała sprowadzić perukarza i zaopatrzyć mnie w perukę dobraną do koloru twarzy.

Przy kolacji doktor Gozzi siedział przy mojej matce bardzo onieśmielony i byłby się ani słówkiem nie odezwał, gdyby jakiś uczony Anglik nie zwrócił się do niego po łacinie. Na co doktor odpowiedział skromnie, iż nie rozumie po angielsku, co wywołało głośny wybuch śmiechu. Pan Baffo wybawił nas z kłopotu mówiąc, że Anglicy czytają i wymawiają łacinę tak samo jak włoską mowę. Wtedy nadmieniałem, że błędzilibyśmy w tej samej mierze co Anglicy, gdybyśmy czytali i wymawiali język angielski zgodnie z regułami przyjętymi dla łaciny. Anglik zachwycony moją bystrością napisał zaraz następujący dystych i dał mi do przeczytania:

Dicite, grammatici, cur mascula nomina cunnus
Et cur femineum mentula nomen habet¹

Odczytawszy to głośno, zawołałem:

- To przynajmniej jest łacina!
- Tyle wiemy – rzekła moja matka – ale należy to przetłumaczyć.
- To wystarczy – odpowiedziałem – to jest pytanie, na które odpowiem.

I zastanowiwszy się przez chwilę napisałem taki pentametr:

Disce quod a domino nomina servus habet²

Był to mój pierwszy w życiu wyczyn literacki i aplauz, jakim go powitano, zasiał w mej duszy podziw dla poetyckiej sławy. Zdumiony Anglik orzekł, że żaden inny jedenastoletni chłopak tyle by nie potrafił, ucałował mnie i podarował swój zegarek.

W cztery dni później na odjezdnym matka dała mi paczkę dla Bettiny, zaś ksiądz Grimani cztery cekiny na kupno książek. Znalazłszy w tej paczce pięć łokci czarnego atlasu i tuzin par rękawiczek Bettina zaczęła mi okazywać szczególne względy i tak starannie zajęła się moimi włosami, że po sześciu miesiącach porzuciłem perukę. Przychodziła mnie czesać codziennie i nie zawsze czekała, aż się ubiorę. Myła mi twarz, szyję i piersi, nie szczędząc dziecinnych pieszczot. Uważałem je za niewinne i karciałem sam siebie za podniecenie, jakie we mnie wy-

¹ Dicite... – Powiedzcie, gramatycy, czemu cunnus (narząd kobiecy) jest rodzaju męskiego, gdy mentula (narząd męski) żeńskiego?

² Disce quod... – Wiedz, że sługa bierze imię od swego pana.

woływały. Będąc młodszy od niej o trzy lata, nie wierzyłem, aby mogła mnie kochać zmysłowo. Po zakończeniu toalety całowała mnie czule, nazywała kochanym dzieckiem i aczkolwiek miałem nie lada ochotę pójść za jej przykładem, nie stawało mi na to odwagi. Później co prawda pod wpływem wyśmiewania przez nią mej nieśmiałości zmęźniałem i oddawałem jej pocałunki jeszcze gorętsze od jej własnych, zatrzymując się jednak, ilekroć odczuwałem skłonność, aby pójść dalej.

Na początku jesieni doktor Gozzi przyjął trzech nowych pensjonariuszy i nie upłynął miesiąc, a już jeden z nich, piętnastoletni Cordiani, doszedł, jak mi się zdawało, do zażyłości z Bettiną. Wzbudziło to we mnie nie znane dotychczas uczucie, które zanalizowałem dopiero po paru latach. Ani zazdrość, ani oburzenie, lecz szlachetną pogardę. Tłumić jej nie uważałem za stosowne, Cordiani bowiem, wulgarny, bez polotu, bez towarzyskiej oglądy, syn zwykłego chłopca nie mogący w niczym mi sprostać, miał nade mną tylko przewagę wieku i nie zasługiwał w moich oczach na takie wyróżnienie. Rodząca się miłość własna mówiła mi, że jestem wart więcej od niego. To uczucie dumy zmieszanej z pogardą zwróciło się przeciwko Bettinie, którą kochałem nie wiedząc o tym. Zrozumiała mój żal po sposobie, w jaki przyjmowałem jej pieszczoty, gdy przychodziła do łóżka mnie czesać. Odpychałem jej ręce i nie oddawałem pocałunków. Dotknięta, orzekła, iż jestem zazdrosny o Cordianiego, co uznałem za upokarzającą kalumnię, i odpowiedziałem, że uważam ich za godnych jedno drugiego. Odeszła z uśmiechem i postanowiła wzbudzić we mnie zazdrość.

Pewnego ranka przyszła do mego łóżka przynosząc własnoręcznie szydełkiem wykonaną parę białych pończoch i po uczesaniu powiedziała iż musi mi je sama przymierzyć, aby sprawdzić, czy niczego im nie brak. W chwili naciągania pończoch orzekła, że moje uda są brudne, i nie pytając o zgodę przystąpiła do mycia. Podałem się jej woli nie wiedząc nawet, co z tego wyniknie. Bettina posunęła zbyt daleko swą troskę o schludność i jej ciekawość sprawiła mi rozkosz tak gwałtowną, iż ustała ona dopiero po jej całkowitym zaspokojeniu. Odzyskawszy kontenans uznałem się winnym i prosiłem o przebaczenie. Nie spodziewała się tego i po namyśle odpowiedziała pobłażliwym tonem, że wina jest po jej stronie, lecz to się już nie powtórzy. Po czym pozostawiła mnie gorzkim refleksjom. Były straszliwe: zdawało mi się, że ją zbezcześciłem, że zdradziłem zaufanie jej rodziny, pogwałciłem święte prawa gościnności i popełniłem okropną zbrodnię, którą mogłem okupić tylko małżeństwem, o ile Bettina zechciałaby tak niegodnego jej nicponia za męża.

Po tym incydencie Bettina przestała przychodzić do mego pokoju. Przez pierwszy tydzień jej wstrzeźliwość wydawała mi się rozsądna i nurtująca mnie rozterka przeobraziłaby się wkrótce w doskonałą miłość, gdyby względy, jakie okazywała Cordianiemu, nie zaszczyliły w mej duszy jadu zazdrości, aczkolwiek nie podejrzewałem, aby zawiniła z nim tak jak ze mną. Przekonanie, że to, co uczyniła, uczyniła z rozmysłem, a tylko skrucha nie pozwala jej znowu zbliżyć się do mnie, schlebiało mej miłości własnej, bo dowodziło, że mnie kocha; postanowiłem więc zachęcić ją pisemnie. List mój oceniłem jako arcydzieło, które winno wzbudzić jej uwielbienie i dać mi przewagę nad Cordianim. W pół godziny po otrzymaniu go powiedziała mi z ożywieniem, że przyjdzie nazajutrz rano, jak dawniej, do mego pokoju. Na próżno jednak na nią czekałem. Jakież było moje zdziwienie, gdy nazajutrz zapytała mnie przy stole, czy zgodzę się pójść z nią, za parę dni, przebrany za dziewczynę, na bal do doktora Olivo, jednego z naszych sąsiadów. Wszystkim spodobał się bardzo ten pomysł, więc przyjąłem jej propozycję, lecz oto co stanęło na przeszkodzie i wywołało prawdziwą tragikomedię:

Ojciec chrzestny doktora Gozzi, sędziwy i majątny, czując po długiej chorobie, iż śmierć się zbliża, posłał po niego powóz z prośbą, aby przybył wraz z ojcem asystować przy jego zgonie i polecić duszę Bogu. Stary szewc wychylił wpierrw ęsiorek, po czym ubrał się odświętnie i obaj wyjechali. Uznałem to za pomyślną okoliczność i uważając bal za bardzo jeszcze odległy, znalazłem odpowiedni moment, aby powiedzieć Bettinie, iż zostawię drzwi mego pokoju otwarte i będę na nią czekał po udaniu się wszystkich na spoczynek. Odparła, że

przyjdzie na pewno. Spała na parterze w alkierzu odseparowanym tylko cienkim przepierzeniem od izby ojca. Ja zaś miałem pokój oddzielny. Doktor Gozzi był nieobecny, trzech pensjonariusze spali w pokoju na uboczu, nie żywiłem więc żadnych obaw.

Czekałem dosyć spokojnie do północy, ale gdy minęła druga, trzecia, czwarta, a Bettiny wciąż nie było, krew we mnie zawrzała, ogarnęła mnie wściekłość. Na godzinę przed świtem zdecydowałem się zejść na dół, boszo, by nie obudzić psa, i podejść pod drzwi Bettiny, które powinny były być otwarte, gdyby była wyszła. Ale zastałem je zamknięte, a że można było to uczynić tylko od wewnątrz, sądziłem, iż zasnęła. Złamany bólem i nie wiedząc, co począć, usiadłem, szcękając zębami z zimna, na ostatnim stopniu schodów. O świcie, w obawie, że zastanie mnie tam służąca i posądzi o postradanie zmysłów, zdecydowałem się powrócić do siebie. Wstałem i w tej chwili doszedł mnie hałas z pokoju Bettiny. Pewny, że ukaże się, i ożywiony tą nadzieją podszedłem do drzwi. Zamiast niej jednak wypadł z nich Cordiani i jednym kopnięciem zwaliwszy mnie z nóg w głęboki śnieg, pobiegł, nie zatrzymując się, do pokoju, gdzie sypiał z kolegami, braćmi Feltrini.

Oszukany, zgnębiony, upokorzony, wydany na drwiny triumfatora Cordianiego powróciłem do swego pokoju, gdzie snułem najczarniejsze zamysły zemsty. Otrucie ich obojga wydawało mi się nie wystarczające w tej strasznej chwili mego życia.

W tym stanie ducha usłyszałem nagle przed moimi drzwiami skrzeczący głos matki Bettiny, która prosiła, abym zszedł, gdyż jej córka umiera. Zmartwiony, iż w ten sposób gotowa ująć mej zemsty, zbiegłem czym prędzej na dół i zastałem ją w łóżku ojca, w otoczeniu rodziny, na wpół ubraną, wijącą się w okropnych konwulsjach. Po przeżytej nocy nie wiedziałem, co o tym myśleć, a obcą mi była chytrość kobiet. W godzinę potem Bettina zasnęła spokojnie, a wezwana akuszerka, przybyła w tym samym czasie co doktor Olivo, orzekła, iż objawy te są rezultatem histerycznych humorów. Doktor był przeciwnego zdania i przepisał odpoczynek i zimne kąpiele. Co do mnie, to śmiałem się z nich w duszy będąc pewien, że choroba Bettiny pochodzi od jej nocnych igraszek lub ze strachu, jakiego jej napędziło moje spotkanie z Cordianim. Nie przypuszczałem bowiem, aby potrafiła tak świetnie symulować chorobę.

Nazajutrz matka Bettiny przerwała moją lekcję z doktorem Gozzi i po długim wstępie powiedziała, iż wie, co dolega jej córce. Czarownica – którą zna – rzuciła na nią zły urok.

– To możliwe, droga matko, ale w takich sprawach strzeżmy się omyłki. Któż jest ową czarownicą?

– Nasza stara służąca i przed chwilą przekonałam się o tym.

– W jaki sposób?

– Zatarasowałam drzwi mego pokoju dwoma skrzyżowanymi kijami od miotły. Widząc że weszła przez drugie drzwi. Gdyby nie była czarownicą, byłaby oczywiście rozkrzyżowała te kije.

– To nie jest takie oczywiste. Sprowadź mi tu tę kobietę.

A gdy się pojawiła, doktor Gozzi zapytał ją:

– Dlaczego nie weszłaś dziś rano tymi drzwiami, jak zwykle?

– Nie rozumiem, o co księdzu chodzi.

– Czy nie widziałaś na drzwiach krzyża świętego Andrzeja?

– Co to za krzyż?

– Udajesz głupią – wtrąciła matka – gdzie nocowałaś w ostatni czwartek?

– U mojej siostrzenicy, która rodzi.

– Nic podobnego! Byłaś na sabacie czarownic i rzuciłaś urok na moją córkę.

Oburzona kobieta plunęła jej w twarz, stara Gozzi pochwyliła za kij. Doktor musiał je rozdzielić i datkiem pieniężnym uspokoić złorzeczącą wniebogłosy służkę.

Po tej scenie zabawnej i skandalicznej doktor Gozzi nałożył swe liturgiczne szaty, aby odprawić egzorcyzmy przy siostrze i sprawdzić, czy istotnie zły duch ją opętał. Nie poprzestając na tym matka Bettiny zaprosiła najślawniejszego w Padwie egzorcystę, nad wyraz szpetnego

kapucyna, zwanego bratem Prospero da Borolenta. Zaledwie Bettina go ujrzała, wybuchnęła śmiechem i zaczęła wykrzykiwać najgorsze obelgi, co ucieszyło zebranych dokoła, jako że tylko diabeł mógł się odważyć na takie traktowanie kapucyna. Egzorcysta, zwymyślany od śmierdzących brudasów i głupców, zaczął okładać Bettinę krucyfiksem, twierdząc, iż bije diabła, i zaprzestał dopiero, gdy we własnej obronie pochwyciła nocnik.

Doktor Gozzi zarumienił się, lecz nie stropiony niczym kapucyn odczytał straszliwą formułę egzorcystyczną, po czym wezwał szatana, aby powiedział swe imię.

– Nazywam się Bettina.

– Nie, gdyż to jest imię ochrzczonej dziewczyny.

– A więc myślisz, że diabeł musi mieć imię męskie? Wiedz, głupi kapucynie, że diabeł nie ma płci.

Co mówiąc Bettina wybuchnęła śmiechem tak zaraźliwym, że poszedłem za jej przykładem. Kapucyn zwrócił się do doktora Gozzi i rzekł że brak mi wiary, wobec czego należy mnie wyprosić z pokoju.

Brat Prospero zjadł z nami obiad, w czasie którego prawił różne i liczne brednie. Po obiedzie wrócił do pokoju Bettiny, aby ją pobłogosławić, lecz widząc go pochwyciła szklanę z jakimś czarnym, dostarczoną jej przez aptekarza płynem i cisnęła mu ją w głowę. Stojący opodal Cordiani dostał swoją porcję, co mnie wielce uradowało. Bettina korzystała z okazji, wiedząc, że wszystkie jej czyny idą na rachunek szatana. Brat Prospero odszedł, z pewnością niezadowolony, i radził zwrócić się do innego egzorcysty.

BETTINĘ BIORĄ ZA OPĘTANĄ – OJCIEC MANCIA – OSPA – WYJEŹDŻAM DO PADWY

Nazajutrz ku rozpaczycy całej rodziny diabeł, który opętał Bettinę, usadowił się w jej umyśle. Doktor Gozzi powiedział mi, że musi być opętana, gdyby bowiem to był tylko obłąd, nie potraktowałaby tak przekornie kapucyna, i postanowił wezwać do niej ojca Mancia, dominikanina, niemniej sławnego egzorcystę, o którym mówiono, że z każdą opętaną dziewczyną potrafi sobie poradzić.

Był to wysoki i majestatyczny mężczyzna w wieku lat około trzydziestu, blondyn o niebieskich oczach, piękny jak Apollo belwederski, z tą różnicą, że nie triumf i pycha, ale skromność malowała się na jego obliczu.

Gdy weszliśmy, Bettina spała lub udawała, że śpi. Ojciec Mancia pokropił ją wodą święconą. Otworzyła oczy, spojrzała na mnicha i zamknęła je natychmiast. Po czym otworzyła je znowu, przyjrzała mu się nieco lepiej i z wdzięcznie pochyloną główką niby to zasnęła. Egzorcysta wydobyl z kieszeni rytuał i stulę, założył ją sobie na szyję, relikwiarz umieścił na piersi Bettiny i z arcypoważną miną kazał nam klęknąć i modlić się. Klęczeliśmy tak przez pół godziny, gdy on cicho coś czytał. Doktor powiedział nam, że mnich przyjdzie nazajutrz i przyrzeka, o ile Bettina nie jest obłąkana, uwolnić ją od złego ducha w ciągu trzech godzin.

Na drugi dzień Bettina ciskała się w najlepsze i plotła największe niedorzeczności, których nie przerwała nawet na widok przystojnego egzorcysty; on zaś słuchał tego z przyjemnością przez kwadrans, a później kazał nam wszystkim opuścić pokój. Usłuchaliśmy go niezwłocznie. Drzwi pozostały otwarte, ale któż by śmiał zaglądać? Trzy godziny panowała tam głucha cisza. W południe mnich nas zawołał. Bettina była smutna, lecz najzupełniej potulna, gdy egzorcysta związał manatki. Odchodząc wyraził nadzieję, że jego zabiegi okażą się skuteczne.

Przekonałem się jednak wkrótce, iż Bettina nie była ani opętana, ani żadnemu obłądowi nie uległa. Stało się to w przeddzień święta Oczyszczenia Matki Boskiej; doktor Gozzi zwykł nas prowadzić do parafii Św. Augustyna, gdzie spowiadaliśmy się u księży dominikanów.

Gdy zapowiedział to nam przy stole, matka jego dodała, że powinniśmy – tak samo jak ona – zwrócić się o absolicję do świątobliwego ojca Mancia. Nazajutrz raniutko Bettina wręczyła mi kartkę: „Możesz mnie nienawidzić, lecz uszanuj moją cześć i spokój duszy. Żaden z was nie może się spowiadać u ojca Mancia. Ty jeden potrafisz do tego nie dopuścić”.

Nie umiem nawet wyrazić litości, jaka mnie ogarnęła, gdy czytałem ową kartkę. Odpowiedziałem jednak w te słowa: „Rozumiem, że pomimo tajemnicy spowiedzi pomysł twej matki ci nie dogadza. Ale dlaczego nie zwracasz się w tej sprawie do Cordianiego, twego amanta?” Na co odpisała: „Nie rozmawiałam z Cordianim od owej fatalnej nocy, na skutek której tyle wycierpiałam. Nie przemówię do niego już nigdy i tobie tylko pragnę zawdzięczać cześć i życie”.

Zdecydowany okazać Bettinie pomoc, której się po mnie spodziewała, skorzystałem z odpowiedniej chwili przy kładzeniu się do snu i powiedziałem doktorowi Gozzi, że sumienie mi nakazuje prosić, abym mógł udać się do innego spowiednika, i że nie chciałbym się pod tym względem różnić od kolegów. Zaczęła się moja profesora zgodził się chętnie.

Pewnego popołudnia leżałem w łóżku z powodu małej ranki na nodze, gdy doktor Gozzi był w kościele ze swymi uczniami. Skorzystała z tego Bettina, przysłała do mego pokoju i usiadła na łóżku. Spodziewałem się tego i widząc, że nadszedł moment decydujących wyjaśnień, powitałem ją z radością. Wyznałem, że już jej nie kocham, gdyż sama zniweczyła w zarodku moją piękną miłość.

– Wszystko, co mi powiedział – zaczęła Bettina – opiera się na złym zrozumieniu i na pozorach. Nie kocham Cordianiego i nigdy go nie kochała. Cordiani – ciągnęła dalej – oświadczył mi się już w tydzień po przyjeździe i błagał, abym za niego wyszła, zaraz gdy zakończy studia, bo wtedy jego ojciec poprosi o moją rękę. Odparłam, że znam go za mało, że nie chcę wyjść za niego i proszę, aby zostawił mnie w spokoju. Jednak Cordiani widział nas razem i tegoż dnia po kolacji spadło na mnie pierwsze nieszczęście. Wsunął mi ten bilecik i ten list do ręki.

To mówiąc Bettina podała mi list i kartkę tej treści: „Albo wpuść mnie dziś do swojego pokoju zostawiając uchylone drzwi na podwórze, albo będziesz musiała jutro tłumaczyć się przed doktorem, bo mu oddam ten list, którego kopię tu widzisz!”

W liście Cordiani opisywał doktorowi, jak to jego siostra spędza ranki na karygodnej rozpuście ze mną, gdy on odprawia mszę.

– Po namyśle, którego sprawa wymagała – dorzuciła Bettina – zdecydowałam się wysłuchać potwora. Przy pierwszej uwadze na temat oszczerstwa zawartego w liście Cordiani rzekł mi, że to żadne oszczerstwo, bo przez dziurę w suficie nad twoim łóżkiem widział ze strychu, cośmy robili owego ranka, i zakończył tym, że zdradzi to wszystko memu bratu i matce, jeżeli odmówię mu tego, czegoś tobie udzieliła.

Następnie Cordiani usiłował namówić ją do wspólnej ucieczki do Ferrary, gdzie miał stryja.

– Serce mi krwawiło na myśl o tobie – dodała – ale nie mam sobie nic do wyrzucenia i nic też między nami nie zaszło, co by mnie czyniło niegodną twojego szacunku.

Byłem głęboko wzruszony, mimo że całe jej opowiadanie, choć mogło być prawdą, wydawało mi się kłamstwem. Bawiło mnie jednak udawanie, iż biorę jej słowa za dobrą monetę. Dialog ten ciążył mi jednak coraz bardziej i zapytałem wreszcie, co mogę dla niej uczynić. Odpowiedziała smętnym tonem, że o ile serce mi nic nie dyktuje, ona sama nie wie, czego się winna ode mnie domagać. Chcąc ją pocieszyć rzekłem, że jedynym sposobem odzyskania mojej miłości będzie obietnica, iż zrezygnuje z usług przystojnego egzorcysty.

Po kolacji służąca nie pytana powiedziała mi, że Bettina położyła się do łóżka z silną gorączką. Mogła to być rzecz naturalna, jednak wątpiłem. Nazajutrz Olivo, stwierdziwszy silną gorączkę, rzekł doktorowi, że chora majaczy i bredzi, ale że to z gorączki, nie z opętania. Gorączka nie ustępowała i czwartego dnia ukazała się wysypka. Biedna dziewczyna była nią tak pokryta, że nie pozostało wolnego kawałka skóry. Dziewiątego dnia wezwano księdza ze świętymi olejami.

W dwa lata później Bettina, z którą już tylko braterskie łączyły mnie uczucia, wyszła za mąż za szewca nazwiskiem Pigozzo, skończonego szubrawca, który ją maltretował i do nędzy doprowadził.

Ja zaś studiowałem tymczasem w Padwie prawo i mając lat szesnaście otrzymałem stopień doktora *iuris utriusque*, na podstawie dwóch tez: z prawa cywilnego *de testamentis* oraz *utrum Hebraei possint construere novas synagogas* – z prawa kanonicznego. Prawdziwym moim powołaniem były studia medyczne i czułem wyraźną inklinację do tego zawodu. Jednakże żądano ode mnie, abym zgłębiał wiedzę prawniczą, do której czułem wstręt nieodparty. Tłumaczono mi, iż nie dojdę do fortuny inaczej, jeno będąc adwokatem, a co gorzej – adwokatem eklezjastycznym. Gdyby mi pozwolono iść za własnym gustem, zostałbym lekarzem, stan, w którym szarlataństwo oddaje jeszcze większe usługi niż w palestrze.

Obowiązek uczęszczania na wykłady umożliwił mi samotne wycieczki do miasta i chcąc wykorzystać nie znaną mi dotychczas pełnię wolności nie omieszkałem pokumać się z najsłynniejszymi ze studentów; otóż ten rodzaj ludzi to wyłącznie libertyni, gracze, opoje, dziwkarze, birbanty, urwisy i zbereźniki niezdolne do żadnych szlachetnych uczuć.

W tych czasach studenci w Padwie cieszyli się wielkimi przywilejami i w ich obronie nie raz popełniali zbrodnie. Nie karano ich z obawy, by zbytńia surowość nie zmniejszyła napływu scholarzy, którzy zjeżdżali się z całej Europy do tego sławnego uniwersytetu. Rząd wenecki trzymał się następującej zasady: sowiec opłacać profesorów o wielkim nazwisku i pozostawiać ich uczniom jak najwięcej swobody. Prowadząc ten nowy dla mnie tryb życia i nie chcąc uchodzić za mniej zamożnego od mych nowych przyjaciół, wydawałem więcej, niż mnie stać było. Sprzedałem więc lub zastawiłem wszystko, co posiadałem, oraz zaciągnąłem długi, których nie mogłem spłacić. Nie wiedząc, co począć, napisałem do mojej kochanej babki, która miast przysłać pieniądze, przyjechała do Padwy i podziękowawszy doktorowi Gozzi i Bettinie za ich starania, zabrała mnie pierwszego października 1739 roku z powrotem do Wenecji.

PATRIARCHA WENECJI UDZIELA MI PIERWSZYCH ŚWIĘCEŃ – POZNAJĘ SENATORA MALIPIERO, SIOSTRZENICĘ KSIĘDZA, PANIĄ ORIO, NANETTE I MARTON – ZOSTAJĘ KAZNODZIEJĄ

„Przybywa z Padwy, gdzie studiował” – taką formułą przedstawiano mnie wszędzie, na co równi wiekiem i stanem bacznie mi się przyglądali, ojcowie rodzin komplementowali, starsze panie mnie całowały, poniektóre zaś podawały się za starsze, aby móc to uczynić swobodnie. Proboszcz parafii Św. Samuela, nazwiskiem Josello, po zainstalowaniu mnie przy swoim kościele przedstawił patriarsze weneckiemu, który mnie tonsurował, a w cztery miesiące później, ku ogromnej uciesze mojej babki, udzielił mi, za specjalnym indultem, czterech mniejszych święceń.

Poszukano mi zaraz dobrych mentorów dla dalszych studiów i pan Baffo zlecił księdzu Schiario nauczyć mnie bezbłędnie pisać po włosku, a zwłaszcza zaprawić do języka poezji, do czego miałem zdecydowaną inklinację. Aczkolwiek moim głównym protektorem powinien był być ksiądz Grimani, widywałem go rzadko, udało mi się natomiast pozyskać względy pana Malipiero, któremu przedstawił mnie ksiądz Josello. Siedemdziesięcioletni senator, czuł jeszcze na wdzięki niewieście, nie chciał się już wtrącać do spraw państwowych i prowadził szczęśliwe życie w swym pałacu, dobrze jadając i przyjmując co wieczór dobrane to-

warzystwo dam, z których każda potrafiła w swoim czasie wykorzystać młodość i urodę, oraz dowcipnych mężczyzn wiedzących o wszystkim, co się w mieście działo.

Wierny jego zasadom i posłuszny jego rozkazom, wkrótce zaskarbiłem sobie łaski i uznanie mego patrona i stałem się ulubieńcem bywających u niego przedstawicielek płci pięknej. Tak liczne znajomości wśród kobiet *comme il faut* natchnęły mnie troską o piękno oblicza i elegancję stroju, co wywołało sprzeciw mego proboszcza, popieranego przez babunię. Pewnego dnia odciągnąwszy mnie na bok powiedział miłodźwięcznym głosem, że skoro wybrałem stan kapłański, powinienem dążyć do podobania się Bogu zaletami serca, a nie światu wytworną prezencją, i zakończył tę admonicję cytata z wypowiedzi któregoś z soborów ekumenicznych: *Clericus qui nutrit comam anathema sit*³. Na co wymieniłem mu przykład stu wytwornych księży, których nie uważano za ekskomunikowanych, chociaż używali więcej pudru ode mnie, namaszczeni się podniecającą kobiety pomadą o woni ambry, podczas gdy moja pachniała jaśminem, co ściągało mi komplementy w każdym salonie, i wreszcie wyrażając żal, iż nie mogę go usłuchać, powiedziałem, że zamierzam być księdzem, a nie zaniedbanym kapucynem.

Niewątpliwie zirytowała go moja odpowiedź, bo parę dni później ten złośliwy klecha zwiódłszy moją babkę wszedł do mnie, zbliżył się do łóżka i śpiącemu jeszcze nielitościwie obciął nożyczkami wszystkie włosy na przodzie głowy. Wściekły ubrałem się snując mściwe plany i pobiegłem do poznanego u senatora adwokata Carrare, aby się dowiedzieć, czy mogę ścigać sędownie mego proboszcza. Oświadczył mi, że niedawno doprowadzono do ruiny pewną rodzinę za obcięcie wąsów kroackiemu oficerowi i że chętnie wytoczy w moim imieniu brzemienny w konsekwencje proces. Zgodziłem się i prosiłem, aby usprawiedliwił moją nieobecność tego wieczora u pana Malipiero, gdyż nie mogę się nikomu pokazać, dopóki włosy mi nie odrosną.

Nazajutrz, gdym się ubierał, aby pójść do adwokata, wszedł do mnie znakomity balwierz poznany u pani Cantarini. Rzekł, że go przysłał Malipiero, i ułożył mi włosy w tak kunsztowną i twarzową koafiurę, że wycofałem skargę. Nie ukrywałem mego żalu wobec pana Malipiero i powiedziałem mu otwarcie, że poszukam sobie innego kościoła, co zyskało aprobatę tego mądrego starca. Wszelako po dwóch tygodniach zdziwił mnie mówiąc, iż nadarza mi się sposobność powrotu i uzyskania godziwej satysfakcji od mego proboszcza.

– Jako prezes bractwa Najświętszego Sakramentu – rzekł senator – mam wyznaczyć mówcę na czwartą niedzielę w tym miesiącu, która przypada na drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Otóż zamierzam wyznaczyć ciebie i jestem pewny, że proboszcz nie ośmieli się mi odmówić.

Ta propozycja zaskoczyła mnie wielce, gdyż nie wyobrażałem sobie roli kaznodziei, odpowiedziałem jednak, że pilno mi zabrać się do pracy i chociaż nie jestem teologiem, czuję się na siłach wypowiedzieć rzeczy zarówno nowe, jak zadziwiające.

Proboszcz zgodził się istotnie, lecz pod warunkiem, że mu przedtem pokażę mój panegyryk, dotyczy to bowiem najwyższych sfer teologii i nie może mnie dopuścić na ambonę nie będąc pewny, czy nie palnę jakiejś herezji. W ciągu tygodnia napisałem orację. Nie potrafię opisać radości mej babki; płakała ze szczęścia, iż wnuk jej został apostołem. Wysłuchała mego utworu odmawiając różaniec i uznała go – zgodnie z moim własnym zdaniem – za arcydzieło. Pan Malipiero natomiast orzekł, że tekst mój nie uzyska aprobaty proboszcza. Temat wziętem z Horacego: *Ploravere suis non respondere favorem speratum meritis*⁴.

Następnie udałem się do księdza Josello, aby mu odczytać mój tekst. Nie zastałem go i chcąc skrócić czas oczekiwania, podszedłem do haftującej na bębenku jego siostrzenicy Angeli i tak się rozpoczęła moja do niej miłość. Uczucie to okazało się fatalne w skutkach, zrodziło bowiem afekt do następnych dwóch niewiast, co z kolei doprowadziło mnie do wielu

³ Clericus... – kłątwa na tych duchownych, co zapuszczają włosy.

⁴ Ploravere... – Utyskiwali boleściwie, że spodziewana łaska nie odpowiada ich zasługom.

innych miłostek i porzucenia stanu kapłańskiego. Ksiądz Josello przeczytał moje kazanie i oświadczył, że jest to piękna rozprawa akademicka, lecz na ambonę się nie nadaje.

– Dam ci nikomu nie znany własny tekst, nauczysz się go na pamięć, a obiecuję ci, że rozpowiem wszystkim, iż jesteś jego autorem.

– Dziękuję ci, wielbny ojcze, ale wypowiem mój albo żaden.

Wiedziony próżnością posłałem jeden egzemplarz doktorowi Gozzi. Otrzymałem go z powrotem z budzącą we mnie śmiech adnotacją, że chyba musiałem zwariować. „O ile pozwolą ci wygłosić coś takiego w kościele – pisał doktor Gozzi – nie lada dyshonor spadnie na mnie, którym ciebie wychował”.

Nie przejąłem się tą opinią i w oznaczony dzień wygłosiłem moje kazanie w kościele Najświętszego Sakramentu, przed wyborowym audytorium. Oklaskiwano mnie szczerze i przepowiadano, iż zostanę wielkim kaznodzieją, skoro w tak młodym wieku zdołałem się równie dobrze wywiązać z tego zadania. W sakiewce, do której zgodnie ze zwyczajem składa się datki dla kaznodziei, zakrystian znalazł przeszło pięćdziesiąt cekinów i parę bilecików miłych, co zgorszyło bigotów. Pod wpływem tej gratki (a byłem ostatnio bez grosza) zacząłem rozmyślać poważnie, czyby nie zostać kaznodzieją, i przesiadywałem często u mego proboszcza zasięgając jego rady, co pozwalało mi umizgać się do Angeli, w której kochałem się z dnia na dzień coraz bardziej. Roztropna to jednak była dziewczyna i żądała, abym porzucił sutannę i ożenił się z nią, na co nie miałem najmniejszej ochoty mimo całej miłości.

Pewnego dnia proboszcz, który zagustował wreszcie w mojej elokwencji, kazał mi przygotować kazanie na dzień świętego Józefa. Napisane było jednak w księdze przeznaczeń, że raz tylko wystąpię z powodzeniem na ambonie. Będąc młody i zarozumiały zaniedbałem nauczania się tekstu na pamięć. Nadszedł dzień 19 marca 1741 roku; kazanie miałem wygłosić o czwartej po południu. Przedtem jednak nie oparłem się pokusie zjedzenia obiadu z hrabią Mont-Real i jednym z jego przyjaciół. Weseliliśmy się jeszcze przy stole, gdy nadszedł kleryk mówiąc, że czekają na mnie w zakrystii. Uporałem się całkiem dobrze z *exordium*, lecz zaledwie wypowiedziałem pierwsze zdanie własnego tekstu, straciłem wątek, język mi się splątał i zacząłem pleść od rzeczy, co wywołało najpierw szmery, a potem chichot wśród słuchaczy domyślających się, co mi dolega. Nie potrafię powiedzieć, czy udałem, że mdleję, czy też naprawdę straciłem przytomność. Dość, że upadłem i dwóch kleryków wyniosło mnie do zakrystii.

Lato tego roku upłynęło mi na zalecaniu się do Angeli u jej mistrzyni haftów, gdzie spędzała mnóstwo czasu. Traktowała mnie jednak nadal bardzo chłodno i miłość do niej stała się dla mnie nie lada udręką. Dwie siostry Nanette i Marton, które wraz z Angelą uczyły się haftować na bębenku, były jej przyjaciółkami serdecznymi i konfidentkami wszystkich jej sekretów. Poznawszy je lepiej dowiedziałem się, że potępiały jej w stosunku do mnie surowość. Widywałem je często w towarzystwie Angeli i wiedząc o ich zażyłości skarżyłem się im na nią nieraz, gdy były same, lecz mając w oczach i w sercu obraz mej bogdanki nie ośmieliłem się przypuszczać, że mogą zakochać się we mnie. Zdarzało mi się jednak przemawiać do nich z całym ogniem, jaki mnie trawił.

Pewnego dnia odwiedziłem mistrzynię haftu i wsunąłem w dłoń starszej, Nanette, bilecik dla mojej ukochanej. Po dwóch dniach wręczyła mi w tajemnicy odpowiedź Angeli. Pisała ona tyle tylko, iż nie lubi prowadzić tego rodzaju korespondencji, lecz prosi, abym zastosował się do tego, co jednocześnie pisze Nanette. A oto co pisała ta ostatnia:

„Jestem gotowa na wszystko, aby oddać przysługę mojej przyjaciółce. Radzę Panu zawrzeć znajomość z naszą ciotką, panią Orio, nie zdradzając jednak w niczym uczuć, jakie pan żywi dla Angeli. Pani Orio, jakkolwiek dobrze urodzona, nie jest zamożna i pragnie być wciągnięta na listę szlachetnych wdów, aspirujących do szczodroblewości bractwa Najświętszego Sakramentu, którego pan Malipiero jest prezesem. Ostatniej niedzieli Angela powiedziała jej, że należy Pan do jego ulubieńców, że kocha się Pan we mnie i z łatwością może go

Pan skłonić do zainteresowania się losem pani Orio. Ciotka odpowiedziała, iż skoro pan jest księdzem, nie ma się czego obawiać, i że mogę do Pana napisać. Nie weźmie mi Pan chyba za złe tego wyznania, ale powiedziałam ciotce, że Pana nie kocham. Jeśli pozyska Pan dla niej względy pana Malipiero, będzie pan mógł często bywać w jej domu. Nie zawadziłoby uśmiechać się do niej zalotnie, ma sześćdziesiąt lat”.

Uznałem to za doskonały pomysł i nazajutrz, w niedzielę, złożyłem wizytę pani Orio ofiarowując jej moje usługi. Nie omieszkalem przy tym udawać, że Angela niewiele mnie obchodzi. Umizgałem się natomiast do Nanette, która stroniła ode mnie. Nanette i Marton liczyły sobie lat szesnaście i piętnaście, były sierotami i siostrzenicami pani Orio. Ta zacna niewiasta za całą fortunę miała dom, w którym mieszkała i odnajmowała pierwsze piętro, oraz zasilek wypłacany jej przez brata, sekretarza Rady Dziesięciu. Obie siostry sypiały na trzecim piętrze w szerokim łóżku, które dzieliły z Angelą, gdy odwiedzała je w dni świąteczne.

Kiedy już udało mi się uzyskać od pana Malipiero pożądany przez panią Orio dokument, pobiegłem do hafciarki, aby oddać Nanette bilecik zawiadamiający ją o powodzeniu moich zabiegów; dodałem, iż pojutrze – a był to dzień świąteczny – przyjdę do ciotki, aby jej wręczyć decyzję senatora. Gdy się tam zjawiłem, Nanette wcisnęła mi zrećnie do ręki bilecik następującej treści:

„Ciotka zaprosi Pana na kolację. Proszę odmówić i pożegnać się, gdy tylko zasiądziemy do stołu. Marton poświęci Panu aż do drzwi prowadzących na ulicę. Proszę jednak nie wychodzić, lecz po zamknięciu drzwi wejść po omacku na trzecie piętro i tam czekać na nas. Przyjdziemy, skoro tylko ciotka spać się położy. Po czym zależeć będzie wyłącznie od Angeli, czy zechce udzielić Panu tête-à-tête przez całą noc.”

PRZYKRA NOC – ZAKOCHUJĘ SIĘ W OBU SIOSTRACH I ZAPOMINAM O ANGELI

Okolo godziny czekałem w pokoju panienek pogrążony w słodkiej zadumie. Wreszcie usłyszałem szcęk zamykanych na dole drzwi i po chwili weszły obie siostry i moja Angela. Przygarnąłem ją zaraz do siebie i ze dwie godziny, nie widząc światła poza nią, prawilem dusery. Wydzwoniła północ. Powiedziano mi, że jestem, więźniem, gdyż klucze od drzwi wejściowych leżą pod poduszką ciotki. Wiadomość ta nie przeraziła mnie bynajmniej. Wręcz przeciwnie, miałem pięć godzin czasu do spędzenia z moim bóstwem. Aż tu nagle Nanette wybucha śmiechem, Angela chce się dowiedzieć, dlaczego, i Marton mówi jej coś do ucha, i również parska śmiechem. Zaintrygowany pytam z kolei o przyczynę ich wesołości, na co Nanette udając zmartwioną powiada, że mają tylko jedną łojówkę i że za chwilę pozostaniemy w ciemności. Przybrałem zakłopotaną minę, lecz w duchu radowałem się wielce.

Byliśmy we czworo, zabawiałem je zalotną pogawędką od trzech godzin. Afekt jest niewyczerpanym i nie lada poetą, lecz gdy nie osiąga celu, nuży się i milknie. Angela zaś w swych niezbyt częstych odpowiedziach wyrażała więcej rozsądku niż polotu. Zaledwie nastały ciemności, wyciągnąłem ręce, aby pochwycić przedmiot mych suplikacji, lecz natrafiłem na pustkę. Przez dalszą godzinę namawiałem Angelę wesoło i namiętnie na przemian, aby powróciła na swoje miejsce przy mnie; wreszcie zacząłem tracić cierpliwość.

– Jeśli naigrasz się, pani, ze mnie – rzekłem – winnaś zrozumieć, że mnie znieważasz, a nawet miłości nie należy wystawiać na taką ciężką próbę.

– Uspokój się pan, słucham każdego twego słowa, ale winienes zrozumieć, że przyzwitość wzbrania mi siedzieć koło ciebie po ciemku.

– Mamże tak cierpieć aż do świtu?

– To się połów do łóżka i śpij.

Zerwałem się na nogi i zacząłem jej szukać w ciemności. Na próżno! Jeśli schwytałem kogoś, była to z reguły Nanette lub Marton, co przez ambicję sygnalizowały natychmiast wołając swe imię. Ja zaś, głupi donkiszot, puszczałem je niezwłocznie.

Raczej znużony tą zabawą niż znudzony, usiadłem i przez dalszą godzinę opowiadałem dzieje Rogera i Angeliki, która zniknęła za pomocą zaczarowanego pierścienia, darowanego jej przez rycerza.

Così dicento, intorno a la fortuna
Brancolando n'andava come cieco
O, quante volte abbraccio l'aria vana
Sperando la donzella abhracciar seco.⁵

Angela nie знаła Ariosta, za to Nanette czytała parokrotnie jego dzieła i odpowiadała mi nader dowcipnie, broniąc Angeli i oskarżając Rogera, który nie powinien był powierzać pierścienia kokietce. I znowu błagałem Angelę przez tę ostatnią godzinę, aby zechciała zbliżyć się do mnie. Szafowałem hojnie argumentami, a nawet uciekłem się do łez, a gdy to wszystko nie zdało się na nic, ogarnęło mnie owo wzniosłe oburzenie, które uszlachetnia furję. Jakże chętnie wytlukłbym to okrutne monstrum! Wyrzucałem z siebie wszystkie obelgi, jakie wzgardzona miłość może podyktować rozsierzdzonemu umysłowi. Świt przerwał moje inwektywy. Pani Orio otworzyła drzwi i poszła do kościoła. Nie spojrzawszy na obie siostry i Angelę uciekłem bez słowa do siebie, gdzie rzuciłem się na łóżko, lecz nie mogłem zasnąć.

W południe pan Malipiero widząc moją kwaśną minę zapytał, co mnie trapi, i chcąc sobie ulżyć na sercu opowiedziałem mu wszystko. Mądry starzec nie śmiał się, lecz za pomocą pełnych zdrowego rozsądku refleksji ukoił jak balsamem moją zbolalą duszę. Słuchając pozeralem za dwoje – wszak w przeddzień nie jadłem kolacji – co wywołało jego podziw dla mej konstytucji.

Postanowiłem nie bywać więcej u pani Orio i zabrałem się pilnie do opracowywania tezy z metafizyki; dowodziłem w niej, że każda istota, o której mamy abstrakcyjne jedynie pojęcie, istnieje tylko w naszej wyobraźni. Moi profesorowie dopatrzyli się w tym jednak cokolwiek bezbożnych tendencji i kazano mi za karę śpiewać godzinki.

W parę dni potem udałem się do Padwy, gdzie zakończyłem studia prawnicze.

Po powrocie do Wenecji odwiedziłem panią Orio na jej zaproszenie. Przy pożegnaniu Nanette wręczyła mi list od siebie, zawierający bilecik od Angeli. „Jeśli odważysz się spędzić jeszcze raz noc ze mną, nie będziesz tego żałował. Kocham cię i chciałabym dowiedzieć się z twoich ust, czy nie przestałbyś mnie kochać, gdybym zgodziła się poniżyć w twoich oczach”. A oto co pisała Nanette: „Noc, którą z nami spędziłeś, była okrutna, przyznaję. Wszelako, jeśli kochasz Angelę, radzę ci zaryzykować jeszcze jedną. Czekamy”.

Ucieszyły mnie oba te pisma, gdyż dawały sposobność zemsty na Angeli przez okazanie jej absolutnej pogardy. W następny więc dzień świąteczny poszedłem do pani Orio, mając w kieszeni ukryte dwie butelki cypryjskiego wina oraz wędzony ozór. Ku memu zdziwieniu nie zastałem tam swojej dręczycielki. Nanette wtrąciła sprytnie do rozmowy, że Angela, z którą spotkała się w kościele, zapowiedziała, iż przyjdzie dopiero na kolację. Licząc na to, nie przyjąłem zaproszenia pani Orio, podobnie jak poprzednim razem pożegnałem się w chwili, gdy siadano do stołu, i schroniłem się w umówionym miejscu.

Po trzech kwadransach nadeszły Nanette i Marton.

– A gdzie Angela? – zapytałem.

– Coś musiało jej przeszkodzić, wszak wie, że czekasz na nią.

– Chciała mi spłatać figła i dobrze na tym wyszła, gdyż tym razem to ja bym ją wystrychnął na dudka.

⁵ Tak mówiąc, wokół szczęścia swego krążył jak ślepiec błądząc, od losu skrzywdzony. Och, ileż razy zamiast dziewczki lubej Pustkę uchwycił tęsknymi ramiony!

- Pozwalam sobie w to wątpić.
- Niesłusznie, piękna Nanette, przekonasz się, jak miłą noc spędzimy bez niej.

Nakryły do stołu, przyniosły chleba, parmezańskiego sera oraz wody i śmiejąc się ochoczo zasiedliśmy do biesiady. Nie były przyzwyczajone do cypryjskiego wina, poszło im więc do głowy i wzbudziło rozkoszną wesołość. Patrząc na obie siostry nie mogłem wyjść z podziwu, iż dotychczas nie poznałem się na nich.

Pierwszy nasz pocałunek ani nie był owocem miłości, ani nie nosił charakteru uwodzicielskich zakusów, a w parę dni później obie siostry zapewniały mnie, że oddały mi go tylko na dowód, iż dzielą moje braterskie uczucia. Lecz te niewinne, zdawałoby się, pocałunki wzniciły gwałtowny ogień w naszych żyłach, tak niespodziewany, że zaprzestaliśmy ich po paru chwilach. Obie siostry, każda po swojemu, były ładniejsze od Angeli. Dziwiłem się bardzo, że tego wcześniej nie dostrzegłem. I aczkolwiek nie ulegałem próżności na tyle, aby mniemać, że pozyskałem ich miłość, zdawałem sobie sprawę, że podczas tej długiej nocy może z łatwością dojść do decydującego zbliżenia między nami. Ta myśl nappełniła mnie zgrozą i przyrzekłem sobie solennie i stanowczo uszanować je, nie wątpiąc, iż zdołam dotrzymać takiego postanowienia.

Przez godzinkę rozmawialiśmy o Angeli. Powiedziałem, że będąc przekonany o braku jej żywszych dla mnie uczuć postanowiłem nie widywać jej więcej. Na co rzekła naiwna Marton:

– Jestem, pewna, że ciebie kocha, ale jeśli nie zamierzasz się z nią ożenić, lepiej zerwij, gdyż postanowiła nie dać ci jednego choćby całusa, dopóki się z nią nie zaręczysz.

– Rozumujesz nad wyraz prawidłowo, mój aniołku, ale skąd możesz być pewna, że Angela mnie kocha?

– To nie ulega wątpliwości. Kiedy Angela śpi z nami, całuje mnie czule i mówi: „Mój luby księżyku”.

Nanette wybuchnęła śmiechem i złożyła dłoń na ustach siostry.

– A czy Nanette również wymawia we śnie czyjeś imię? – zapytałem.

– Tego nikt nie wie.

– A więc kochasz kogoś, Nanette?

– Kocham, ale to mój sekret i nikomu go nie wyjawię.

Pod wpływem tak miłej pogwarki coraz trudniej mi było pogodzić się z myślą o spędzeniu bezczynnej nocy z tymi dwiema czarującymi dziewczynami, stworzonymi do miłości, i zacząłem udawać senność. Nanette pierwsza to spostrzegła i rzekła:

– Nie krępuj się i połóż do łóżka, my zaś pójdziemy spać do drugiego pokoju, na kanapę.

– Jakżebym się mógł zgodzić? To ja pójdę na kanapę – odrzekłem.

– Nie, nie – odparła mi – pozwól sobie wyperswadować i połóż się tutaj.

– Nie mogę spać ubrany.

– To się rozbierz, odwrócimy się na chwilę.

– Nie o to chodzi, ale nigdy nie zasną wiedząc, że czuwacie dla mojej wygody.

– Położymy się również – rzekła Marton – ale nie rozbierając się.

– To mnie obraża. Połóżcie się rozebrane przy mnie, a daję wam słowo, że się was nie dotknę. Zresztą będąc dwie przeciwko jednemu, czegoż możecie się obawiać?

Położyłem się do łóżka i udawałem początkowo, że śpię, wkrótce jednak sen zmorzył mnie na dobre i obudziłem się dopiero, gdy siostry położyły się przy mnie. Oczekałem spokojnie dłuższą chwilę, aż uznałem, że albo zasnęły, albo udają, że śpią. Leżały tyłem do mnie. Światło było zgaszone, działałem więc po omacku i skierowałem pierwsze hołdy do tej z prawej strony, nie wiedząc, czy to Nanette, czy Marton. Bez pośpiechu i oszczędzając jej wstydu doprowadziłem ją stopniowo do takiego stanu, iż wołała się uznać za zwyciężoną i dalej udawać śpiącą. Natura jej współdziałała w idealnej ze mną harmonii i niebawem dopiąłem celu, a moje ukoronowane pełnym sukcesem wysiłki nie pozostawiły mi żadnych wątpliwości co do wejścia w posiadanie skarbu, który przesądzić cenę każe tak wysoko. Uszczęśliwiony z przeży-

cia pełnej rozkoszy, jakiej zaznałem po raz pierwszy, odsunąłem się nieco od mojej bogdanki, aby drugiej z kolei sąsiadce złożyć miłosny haracz. Leżała na wznak, nieruchomo, rzekłbyś pogrążona we śnie głębokim. Delikatnie i z wolna, jak bym się obawiał ją obudzić, zacząłem schlebiać jej zmysłom, aż upewniłem się, że jest nowicjuską w tej samej mierze co siostra, a gdy tylko naturalny odruch dał mi znać, że gotowa jest przyjąć moją ofiarę, przystąpiłem ochoczo do jej złożenia. Wówczas, ulegając gwałtowności uczucia i jak by znużona biernością przybranej roli, objęła mnie ramionami w chwili ekstazy i oddawała mi namiętnie każdy pocałunek czy pieszczotę, a miłość spłotła nasze dusze w jednym cudownym porywie.

Zdawało mi się, że poznaję po tym Nanette, i wypowiedziałem głośno tę myśl.

– Tak, to ja – odrzekła – i deklaruję się szczęśliwą, podobnie jak moja siostra, jeśli okażesz nam wierność i uczciwość.

– Dozgonną, oczywiście – replikowałem – a że wszystko, co tu zaszło, jest dziełem miłości, nie wspominajmy już więcej o Angeli.

Po upływie dwóch dni odwiedziłem znowu panią Orio i Nanette wręczyła mi list oraz mały pakiecik. Zawierał kawałek wosku, na którym był odcisnięty klucz od ich drzwi; list zaś zapraszał mnie na noc, ilekroć przyjdzie mi na to chętka. Wkrótce potem zrządzenie losu uwolniło mnie od Angeli. Jej ojciec przeniósł się do Vicencii i zabrał ją z sobą. Nic więc nie stało już na przeszkodzie w korzystaniu z gościnności Nanette i Marton. Rozporządzałem dorobionym kluczem i co najmniej dwie noce w tygodniu upływały nam na miłosnych pieszczotach.

Okres wielkiego postu spędziłem częściowo na studiowaniu fizyki eksperymentalnej w klasztorze della Salute, częściowo zaś w objęciach moich dwóch anielic. Co wieczór bywałem u pana Malipiero, gdzie jak zwykle zbierało się dobrane towarzystwo.

ŚMIERĆ BABKI I WYNIKŁE Z TEGO SKUTKI – NIE MAM JUŻ DOMU – TINTORETTA – ZOSTAJĘ ODDANY DO SEMINARIUM – WYPĘDZAJĄ MNIE – DOSTAJĘ SIĘ POD ARESZT

Powróciwszy do Wenecji, musiałem na skutek choroby mojej babki przerwać swawolny tryb życia, zbyt ją bowiem kochałem, aby jej nie otoczyć serdeczną opieką. Toteż nie odstępowałem staruszki aż do jej zgonu. Nie pozostawiła mi nic w spadku, gdyż już za życia oddała mi wszystko, co posiadała, ale jej śmierć nie pozostała bez wpływu na moją przyszłość. W miesiąc po jej zgonie dostałem list od mojej matki... Nie przewidując rychłego powrotu do Wenecji postanowiła pozbyć się wynajętego tam ongi mieszkania. Czynsz był zapłacony do końca roku, lecz wiedząc o mającej nastąpić likwidacji posprzedawałem kolejno pościel, dywany, porcelanę, zwierciadła i meble. Nie wątpiłem, że matka i mój opiekun, ksiądz Grimani, wezmą mi to za złe, lecz była to scheda po moim ojcu, do której matka nie miała prawa, a z braćmi mogłem rozliczyć się kiedyś później. Po czterech miesiącach dostałem następny list od matki. Był datowany z Warszawy i zawierał drugi list pisany po łacinie. A oto co pisała moja matka:

„Drogi synu, poznałam tutaj uczonego mnicha, rodem z Kalabrii. Ilekroć zaszczycą mnie wizytą, jego wielkie zalety przywodzą mi na myśl twoją przyszłość. Powiedziałam mu jakiś rok temu, że mam syna aspirującego do kapłańskiego stanu, lecz nie mam środków na dalsze jego kształcenie. Na co odrzekł, że gotów jest cię traktować jak własne dziecko, o ile zdołam uzyskać od królowej nominację dla niego na jakieś biskupstwo we Włoszech. Sprawa, dodał, będzie załatwiona, jeśli królowa zechce polecić go na piśmie swej córce, królowej neapolitańskiej.

Ufna w pomoc Opatrzności padłam do nóg królowej, która raczyła napisać do córki, i mój czcigodny prałat został mianowany przez papieża biskupem w Martorano. Zamierza dotrzymać słowa i w połowie przyszłego roku będzie przejazdem w Wenecji; zabierze cię z sobą, po czym za jego protekcją droga do najwyższych dostojenstw kościelnych stanie przed tobą otworem. Jakaż będzie moja radość i pociecha widzieć ciebie za jakieś dwadzieścia, trzydzieści lat biskupem. Załączam pismo od twego dobroczyńcy, błogosławię etc...”

List od biskupa, pisany po łacinie, podobny był w treści do listu mej matki. Oba przyprawiły mnie o zawrót głowy. Byłem przekonany, iż stoję u progu wspaniałej kariery, i chciałem ją jak najprędzej rozpocząć, a budując z zapałem zamki na lodzie gratulowałem sobie, iż nie odczuwam żadnego żalu na myśl o opuszczeniu wszystkiego, co miałem w ojczyźnie. Przeniosłem się na polecenie księdza Grimani do jego domu na ulicy Św. Jana Chryzostoma. Pierwsze piętro wynajmowała niejaka Tintoretta, najlepsza podówczas tancerka w Wenecji. Biskup zapowiedział swój przyjazd w lecie, miałem więc przed sobą około sześciu miesięcy oczekiwania w Wenecji, aż wyruszę po mitrę.

Pod koniec karnawału matka napisała do księdza Grimani z prośbą, aby wynalazł dla mnie jakąś przyzwoitą kwaterę, jako że biskup mógłby mieć obiekcje co do mego tak bliskiego sąsiedzowania z baletnicą. Po naradzie z księdzem proboszczem Josello mój opiekun nie potrafił wymyślić nic lepszego, niż oddanie mnie do seminarium przy kościele Św. Cypriana. Proboszcz w parę dni później kazał mi wdziać krótką sutannę i przedstawił osobiście rektorowi, który powitał mnie bardzo życzliwie. Z pełnej namaszczenia oracji, jaką wygłosił przy tym, wywnioskowałem, że uważa oddanie mnie do seminarium za karę, czym poczułem się niemiłe dotknięty.

Zostałem zaliczony do klasy dogmatyki i rychło zaprzyjaźniłem się z jednym z kolegów (o ile żyje jeszcze, jest zapewne biskupem), bardzo przystojnym i utalentowanym chłopcem. Podczas rekreacji, zamiast grać w kręgle jak inni, zwykliśmy przechadzać się razem. Rozmawialiśmy przeważnie o poezji, z rozkoszą deklamowaliśmy na zmianę najpiękniejsze ody Horacego. Obaj ceniliśmy wyżej Ariosta niż Tassa i uwielbialiśmy Petrarke. Po czterech dniach nasza zażyłość doszła do tego stopnia, że byliśmy jeden o drugiego zazdrośni jak para kochanków.

Po kolacji udawaliśmy się do sypialni pod przewodem mnicha, określonego mianem prefekta, i po cichej modlitwie kładliśmy się spać. W jednym końcu dortuaru znajdowała się umywalnia, w drugim zaś stało łóżko prefekta, którego głównym obowiązkiem było czuwanie, aby żaden z elewów nie położył się do łóżka z drugim.

W nocy z dziewiątego na dziesiąty dzień mego pobytu w seminarium poczułem, że ktoś kładzie się przy mnie. Uścisnął mi rękę i wypowiedział szeptem swoje imię, na co o mało nie wybuchnąłem śmiechem. Był to mój przyjaciel, który korzystając z tego, że latarnia stale oświetlająca sypialnię zgasła, uległ zachciance odwiedzenia mnie w łóżku. Wyprosiłem go po chwili w obawie, że prefekt się obudzi, co niewątpliwie pociągnęłoby za sobą oskarżenie nas o jakiś obrzydliwy czyn, lecz zanim zdążył doskoczyć do swego łóżka, usłyszałem zbliżające się kroki, upadek ciała na podłogę i chrapliwy głos prefekta:

– Łotrze! Do jutra!

Nazajutrz rano rektor w towarzystwie prefekta wszedł do naszej sali i rzekł:

– Wiecie, co zaszło tej nocy. Dwóch z was jest winnych, gotów jestem im przebaczyć i aby ich nie narażać na dyshonor obiecuję, że nie będą ujawnieni. Przed rekreacją wszyscy przyjdziecie do mnie, do spowiedzi.

Skończyłoby się na tym, gdyby w parę nocy później nie przyszła mi ochota rewizytować mego przyjaciela po uprzednim zgaszaniu lampy. Powitał mnie z radością, obaj jednak baczyliliśmy pilnie, czy prefekt nadal chrapie. Ledwie przestał, wyczułem niebezpieczeństwo i natychmiast powróciłem do mego łóżka, gdzie czekały mnie dwie nie lada niespodzianki: pierwsza – ktoś leżał w moim łóżku; druga przybrała postać prefekta, który w koszuli i ze

świecą w ręku szedł powoli wzdłuż sypialni i spozierał na łóżka kleryków. Zaskoczony nie potrafiłem, nic innego wymyślić, jak udawać głęboko śpiącego. Za trzecim szturchańcem prefekta udałem, że się budzę, zaś mój towarzysz obudził się na dobre. Zdziwiony, iż leży w moim łóżku, zaczął się usprawiedliwiać.

– Pomyliłem się wracając z pewnego miejsca po ciemku: zmacałem próżne łóżko i przekonany, że to moje, położyłem się na nim.

– To możliwe – odpowiedziałem – gdyż i ja musiałem wstać za naturalną potrzebą.

– Nie wierzę – rzekł prefekt i obejrzawszy latarnię stwierdził, iż knot został zduszony. Nazajutrz rektor, po zbadaniu wszystkich okoliczności, kazał nam ubrać się i iść na mszę, a gdy byliśmy gotowi, rzekł dobrotliwie:

– Działaliście w niecnym porozumieniu, jeden z was bowiem zgasił lampę. Chcę wierzyć, że pobudek waszego występku należy się doszukiwać przede wszystkim w niezwyklej lekomyślności. Jednakże pogwałcenie dyscypliny w naszym zakładzie wymaga sankcji.

Zaledwie znaleźliśmy się za drzwiami, pochwyciło nas czterech służących. Związali nam ręce na plecach, zaprowadzili do sali, gdzie musieliśmy uklęknąć przed krucyfiksem, a po nadejściu rektora dostaliśmy po osiem uderzeń grubym sznurem. Wytrzymałszy te cięgi bez słowa, lecz gdy tylko rozwiązano mi ręce, zapytałem rektora, czy mogę napisać parę zdań przed tym samym krucyfiksem. Kazał przynieść papier i atrament, po czym napisałem co następuje:

„Przysięgam przed Bogiem, iż nie zamieniłem nigdy ani słowa z klerykiem, którego zastałem w moim łóżku. Niewinność każe mi zatem protestować przeciwko zadanemu gwałtowi i odwołać się do sądu przewielebnego patriarchy”.

Mój towarzysz cierpienia podpisał wraz ze mną ten dokument, a gdy go odczytałem na głos wszystkim kolegom, poprosiłem, aby mi zaprzeczyli, jeżeli skłamał. Natychmiast stwierdzili, że nigdy nie widzieli nas rozmawiających z sobą. Rektor odszedł wygwizdany, ale nie przeszkodziło mu to zamknąć mego kolegę i mnie w karczerze, każdego osobno.

Czwartego dnia przybył ksiądz Josello i zabrał mnie z sobą. Zrzuciłem sutannę, przebrałem się w strój, jaki zwykłem być nosić w Wenecji, i wsiedliśmy razem do gondoli księdza Grimani. Po drodze proboszcz powiedział mi w jego imieniu, abym mu się nie pokazywał na oczy, bo każe służbie wyrzucić mnie za drzwi. Następnie wysadził mnie na ląd opodal kościoła jezuitów, bez grosza przy duszy i z tym tylko, co miałem na sobie.

Zjadłem kolację u mego brata Franciszka, podówczas ucznia i stołownika malarza Guardi, i około północy poszedłem odwiedzić Nanette i Marton. Muszę jednak wyznać z całą pokorą, iż gnębiący mnie frasunek wpłynął bardzo ujemnie, pomimo dwutygodniowej abstynencji, na moją męską sprawność. Nazajutrz nie wiedząc, co z sobą począć, i bez grosza, spędziłem parę godzin w bibliotece Św. Marka. Około południa, w chwili gdy wychodziłem do pani Manzoni, aby zjeść u niej obiad, podszedł do mnie jakiś żołnierz i rzekł, że ktoś chce się ze mną rozmówić w gondoli, którą mi wskazał. Odparłem, że jeżeli ten ktoś chce ze mną pomówić, może przyjść do mnie, dodał więc łagodnym tonem, że nie opodal stoi jego kolega i obaj mogą mnie zmusić do posłuszeństwa. Poddałem się bez wahania. Mógłbym stawić opór, gdyż żołnierze nie byli uzbrojeni i nie aresztowano by mnie, albowiem w ten sposób nie wolno było nikogo aresztować w Wenecji, lecz nie przyszło mi to nawet do głowy. Zresztą są chwile upadku ducha, gdy człowiek odważny przestaje lub nie ma ochoty nim być.

Wsiadłem do gondoli, gdzie za firanką siedział oficer. Obaj żołnierze usadowili się na dziobie i odpłynęliśmy w kierunku Lido. Poznałem gondolę księdza Grimani. Po pół godziny przybiliśmy do bocznej bramy fortu Św. Andrzeja, położonego przy wyjściu z laguny na Morze Adriatyckie, w miejscu, gdzie co roku, w święto Wniebowstąpienia, doża odprawia uroczystość zaślubin z morzem.

Wartownik wezwał kaprała, ten z kolei zaprowadził nas do majora, któremu towarzyszący mi oficer podał list. Po przeczytaniu go major kazał mnie zamknąć w kordegardzie, gdzie

leżąc na łóżku polowym przez całą noc oka nie zmrużyłem. Żołnierze Kroaci śpiewali, jedli czosnek, palili śmierdzący tytoń i pili wino czarne jak atrament, którego żadne inne gardło nie zdołałoby przełknąć.

Następnego rana o świcie major Pelodero (tak się nazywał dowódca fortu) wezwał mnie do siebie i wyjaśnił, że zgodnie z otrzymanym rozkazem ma mnie traktować jak więźnia.

– Cała forteca – mówił – jest do pańskiej dyspozycji. Otrzyma pan przyzwoity pokój, gdzie znajduje się łóżko oraz dostarczony tu pański kufer i rzeczy. Możesz pan swobodnie przechadzać się wszędzie i robić, co ci się żywnie podoba, lecz proszę pamiętać, że ucieczka stąd naraziłaby mnie na nie lada przykrości. Żałuję, ale kazano mi wypłacać panu tylko dziesięć soldów dziennie. O ile ma pan przyjaciół w Wenecji, możesz do nich napisać – ręczę za dyskretne doręczenie listu – z prośbą o przysłanie pieniędzy.

Przeznaczony dla mnie pokój był istotnie ładny, na pierwszym piętrze, ze wspaniałym widokiem z dwóch okien. Znalazłem tam moje rzeczy i przybory do pisania na stole. Jeden z żołnierzy uprzejmie zaproponował, że będzie mi usługiwał, i zgodził się poczekać na wynagrodzenie. Wieczorem major zaprosił mnie do siebie na kolację i przekonałem się, iż życie nie będzie tu takie ciężkie.

MÓJ KRÓTKI POBYT W FORCIE – WYCHODZĘ NA WOLNOŚĆ – PRZYBYCIE BISKUPA – OPUSZCZAM WENECJĘ

W forcie, gdzie Republika utrzymywała zazwyczaj garnizon złożony tylko ze stu inwalidów, znajdowało się dwa tysiące Albańczyków z Epiru, prowincji należącej do Wenecji. Sprowadził ich minister wojny w nagrodę za zasługi położone przed dwudziestu pięciu laty podczas ostatniej wojny z Turkami. Nowy i zadziwiający był to dla mnie widok; ze dwudziestu oficerów, starych, lecz w świetnym stanie zdrowia, o twarzach i piersiach pokrytych bliznami, które wystawiali na pokaz. Zwłaszcza podpułkownik odznaczał się ilością odniesionych ran i można bez przesady powiedzieć, że brakowało mu ze ćwierć głowy. Miał tylko jedno oko, jedno ucho, szczęki zaś wcale byś nie dojrzał. Mimo to cieszył się wybornym apetytem i wesołym usposobieniem. Towarzyszyła mu rodzina złożona z dwóch ładnych córek i siedmiu synów, również żołnierzy. Wzrostu miał sześć stóp i wspaniałą postawę, lecz trudno było na niego patrzeć bez zgrozy. Polubiłem go jednak i chętnie bym z nim rozmawiał, gdyby nie silny zapach czosnku bijący z jego ust. Wszyscy ci Albańczycy mieli stale kieszenie pełne główek czosnku i uważali to za najmiłszy przysmak.

Podpułkownik nie umiał czytać, lecz za ujmę tego sobie nie poczytywał. Ową sztukę posiadali zresztą w całym garnizonie tylko kapelan i chirurg. Wszyscy żołnierze i oficerowie mieli mnóstwo pieniędzy i większość przybyła z żonami i dziećmi.

Po objęciu w posiadanie moich rzeczy wydobylem z kufierka cały eklezjastyczny przyodzievek i wezwawszy Żyda sprzedałem bezlitośnie. Następnie przesłałem panu Rosa, stałemu bywalcowi i supirantowi pani Orio, kwity na zastawione przedmioty i meble mojej matki z prośbą, aby wszystko sprzedał i przekazał mi uzyskaną sumę po spłaceniu długów. W ten sposób mogłem pozwolić sobie na odstąpienie owych marnych dziesięciu soldów dziennie usługującemu mi żołnierzowi.

W poszukiwaniu rozrywki włóczyłem się po całym forcie i zaglądałem często do majora przez sympatię, a do pułkownika, aby zerknąć na jego córki. Ojciec ich liczył na mianowanie go dowódcą pułku, miał jednak groźnego konkurenta. Zaproponowałem więc, iż napiszę w jego imieniu list do ministra wojny, wyliczający i odpowiednio komentujący jego zasługi.

Wywiązałem się tak dobrze z tego zadania, iż otrzymał niebawem tę pożądaną nominację. Pełen wdzięczności zaprosił mnie na rodzinną biesiadę (niestety, wszystkie potrawy były obficie przyprawione czosnkiem) i ofiarował mi dwa funty doskonałego tureckiego tytoniu.

Mój talent skryby wsławił mnie w całym forcie. Wszyscy oficerowie uwierzyli, że bez pomocy mego pióra do niczego w życiu nie dojdą. Nie odmawiałem więc nikomu takiej przysługi, co brano mi za złe, gdyż z równym zapałem i górnolotnym stylem opisywałem wyczynny każdego, nawet jeśli był to rywal mego poprzedniego klienta, i w ten sposób uzbierałem sobie czterdzieści cekinów.

Drugiego kwietnia weszła do mego pokoju wcale piękna Greczynka i powiedziała, że mąż jej, chorąży, wielokrotnie już i pod niejednym względem zasłużył na mianowanie go porucznikiem i byłby nim już dawno, gdyby nie złośliwość jego kapitana, który mści się za to, że odmawiała mu łask przysługujących wyłącznie jej mężowi. Przedłożyła mi różne zaświadczenia, prosiła o napisanie prośby do ministra wojny i dodała, iż będąc ubogą może mnie wynagrodzić jedynie tym, czym rozporządza. Nie omieszkałem jej zapewnić, że taka opłata wystarczy mi najzupełniej, i przystąpiłem niezwłocznie do pobrania zaliczki. Następnie kazałem jej przyjść w południe i obiecałem, że pismo będzie gotowe. Przyszła punktualnie i wynagrodziła mnie powtórnie; a wieczorem, pod pretekstem drobnych poprawek w tekście, po raz trzeci. Niestety nie ma róż bez kolców! Na trzeci dzień przekonałem się z przerażeniem, iż zmija kryła się w tym kwiecie, i dopiero po sześciu tygodniach prywacji i leczniczych zabiegów powróciłem do zdrowia.

Pewnego dnia, spotkawszy ją, byłem na tyle głupi, że począłem czynić jej wymówki. Odparła ze śmiechem, że dała mi to, czym rozporządza. Tym większą miałem o to do Greczynki pretensję, iż wtedy właśnie bratowa majora, znalazłszy się sam na sam ze mną, zwierzyła mi się ze smutnego stanu zaniedbania, w jakim od czterech lat pozostawia ją mąż, a nie mogłem jej pocieszyć, jak przystało. Wkrótce potem jeszcze bardziej żałowałem poznania Greczynki, odwiedziła mnie bowiem pani Orio z obu swymi siostrzenicami. Podjąłem je obiadem w moim pokoju, a następnie ruszyliśmy we trójkę na zwiedzanie fortu. W ciemnej kazamacie siostry obsypały mnie pocałunkami i wyczułem, że się czegoś więcej spodziewają; lecz pod pretekstem, iż ktoś może nas wypatrzeć, musiałem – ku ich niemałemu rozczarowaniu – odmówić złożenia w całej rozciągłości należnych im hołdów.

Opisałem matce szczegółowo moje losy i poskarżyłem się na księdza Grimani. Odpowiedziała, że prosi go listownie o przywrócenie mi wolności.

Po jakimś czasie przybył do Wenecji mój biskup, wysoki, przystojny zakonnik. Miał trzydzieści cztery lata i był biskupem z łaski Boga, Stolicy Apostolskiej i mojej matki. Ksiądz Grimani przedstawił mnie, jak bym był jego jedynym, ale za to bezcennym klejnotem. Biskup udzielił mi błogosławieństwa – co przyjąłem na klęczkach – podał rękę do ucałowania, po czym przycisnął mnie do ozdobionej krzyżem piersi i przemawiając po łacinie nazwał swym drogim synem.

– Nie mogę cię zabrać teraz z sobą – pojedziesz więc do Rzymu na własną rękę. Adres mój otrzymasz w Ankonie od mego przyjaciela, mnicha nazwiskiem Lazari, który ci dostarczy środków na podróż. Po spotkaniu w Rzymie udamy się już razem przez Neapol do Martorano. Przyjdź do mnie jutro wczesnym rankiem. Odprawię mszę, po czym zjemy razem śniadanie.

Ksiądz Grimani odprowadził mnie do siebie i przez całą drogę prawił morały, czego słuchałem, ledwie opanowując śmiech. Ostrzegał między innymi, abym zbyt pilnie nie oddawał się nauce, jako że w Kalabrii powietrze jest gęste i nadmiar pracowitości mógłby mnie narazić na suchoty.

Nazajutrz po mszy i czekoladzie biskup poddał mnie trzygodzinnej katechizacji i zdałem sobie jasno sprawę, że nie wywarłem na nim dodatniego wrażenia. Co do mnie, uznałem go chętnie za człowieka o szlachetnych skłonnościach. Poza tym miał utorować mi drogę do wy-

sokich urzędów kościelnych, a w tym czasie, aczkolwiek miałem już nader dobre o sobie mniemanie, nie żywiłem najmniejszej wiary we własne siły.

Po odjeździe biskupa ksiądz Grimani dał mi pozostawiony przez niego list dla doręczenia ojcu Lazari oraz dziesięć cekinów, co jego zdaniem winno wystarczyć na pobyt w Ankonie, gdzie czekała mnie kwarantanna, i oświadczył, że mam wyruszyć w towarzystwie udającego się do Rzymu weneckiego ambasadora. Czterdzieści nowiutkich cekinów – o czym nikt nie wiedział – brząkało mi w kabzie, pełen więc otuchy i bez żalu opuściłem mego opiekuna i nie opodal placu Św. Marka wstąpiłem na pokład małego żaglowca.

MOJE NIEPOWODZENIA W CHIOZZA – JAŁMUŻNIK OJCIEC STEFAN – GRECZYŃKA-NIEWOLNICA – PIELGRZYMKA DO MATKI BOSKIEJ LORETAŃSKIEJ – PIECHOTĄ DO RZYMU I DO NEAPOLU W POSZUKIWANIU BISKUPA, KTÓREGO NIE ZNAJDUJĘ – SZCZĘŚLIWY LOS POZWALA MI DOTRZEĆ DO MARTORANO, SKĄD WYRUSZAM CO PRĘDZEJ Z POWROTEM DO NEAPOLU

Dwór ambasadora zwany „wielkim” wydał mi się ogromnie mały. Składał się z ochmi-strza, mediolańczyka nazwiskiem Carnicelli, księdza, co pełnił rolę sekretarza, bo ambasador nie umiał pisać, leciwej niewiasty uważanej za klucznicę, kucharza z brzydką żoną i ośmiu czy dziesięciu służących.

Do Chiozza przybyliśmy w południe. Zaraz po zejściu na brzeg zapytałem uprzejmie mediolańczyka, gdzie mam się zatrzymać, na co odparł: „Gdzie się panu żywnie podoba, byleby tylko ten oto człowiek znał adres i mógł cię uprzedzić na czas, kiedy będziemy mogli odpłynąć”.

Wskazany mi człowiek był właścicielem jednomasztowego statku, tartany. Zapytałem go, gdzie bym się mógł ulokować. „U mnie – rzekł – jeżeli zgodzisz się pan dzielić łożę z panem kucharzem, którego żona zostaje na pokładzie”. Musiałem się na to zgodzić, bo cóż było robić. Jeden z marynarzy wziął mój kuferek i zaprowadził mnie do tego poczciwego człowieka. Kuferek wypadło wstawić pod łożko tak wielkie, że wypełniało cały pokój. Uśmiewszy się z tego, bo nie przystało mi wykazywać niezadowolenia, udałem się na obiad do oberży, a później wyszedłem na miasto.

Zauważyłem kawiarnię i wszedłem. Zaraz za progiem wpadłem w objęcia młodego doktora praw, mojego kolegi z Padwy, który od razu przedstawił mnie aptekarzowi.

W parę chwil potem podszedł do mnie krzepko zbudowany, jednooki mnich, dominikanin nazwiskiem Corsini, którego poznałem w Wenecji, i powitał nadzwyczaj uprzejmie.

Młody doktor ostrzegł mnie, że ów dominikanin to wielkie nicpotem, wszędzie źle widziany, i że dobrze zrobię stroniąc od niego. Szczerze podziękowałem za tę radę, ale byłem zbyt płochy, aby się do niej zastosować.

Trzeciego dnia pobytu, będąc w towarzystwie owego nicponia, dałem się zaprowadzić do pewnej spelunki, gdzie mogłem się dostać i bez rekomendacji, a chcąc wykazać się zuchem, obcowałem z pewną biedaczką, od której już sama jej brzydota powinna była mnie odstręczyć. Stamtąd zawiódł mnie ów mnich na wieczerzę do jakiejś oberży, gdzie spotkaliśmy czterech takich jak on nicponi i wydrwigroszów. Po kolacji jeden z nich założył bank i zaprosił mnie do gry w faraona.

Pod wpływem fałszywego wstydu, którego ofiarą tak często pada młodzież, uległem namowom i przegrawszy cztery cekiny chciałem wstać od stołu, jednak mój ze wszech miar uczciwy przyjaciel dominikanin zdołał mnie nakłonić, abym do spółki z nim zaryzykował cztery cekiny. Trzymał bank i przegrał. Nie chciałem już grać dalej, ale dominikanin, niby to żalując mnie i czując się odpowiedzialnym za moją przegraną, doradził, abym sam trzymał bank z dwudziestu pięciu cekinów. Ograno mnie haniebnie, a chęć odegrania się doprowadziła do tego, że straciłem wszystko. Przybity wróciłem do domu i położyłem się obok kuchacza, który zbudził się i nazwał mnie rozpustnikiem.

– Bo też nim jestem – odparłem.

Sfatygowany i zgnębiony do cna zapadłem w głęboki sen, z którego zbudził mnie znów mój niegodny dręczyciel. Przyszedł w południe mówiąc z triumfalną miną, że pewien młody i bogaty młodzieniec przyjedzie wieczerać z nami i z całą pewnością przegra sporo pieniędzy w karty, za czym będę mógł powetować sobie stratę.

– Nie mam już złamanego szeląga. Proszę, pożycz mi dwadzieścia cekinów.

– Nie pożyczam, bo jak pożyczę, to przegram. Już nieraz sprawdziłem słuszność owego przesądu. Spróbuj wydostać pieniądze skądinąd i przyjdź. Do widzenia.

Bojąc się zwierzyć z tych opałów, w jakich się znalazłem, memu rozsądnemu koledze, rozpytałem się o jakiegoś uczciwego lichwiarza i opróżniłem kuferek. Po obejrzeniu mojego dobytku uczciwy lichwiarz pożyczył mi trzydzieści cekinów maksimum na trzy dni, po czym cały ten zastaw przechodził na jego własność. Muszę go nazwać porządnym człowiekiem, bo wymógł na mnie zatrzymanie trzech koszul, pończoch i chustek, gdy ja pod wpływem przeczcucia, iż z pewnością się odegram, chciałem mu dać wszystko. Dość częsty błąd. W parę lat później sam sobie wyświadczyłem satysfakcję, gwałtownie krytykując przeczcucia. Uważam, że jedynym przeczcuciem, godnym odrobiny wiary, jest to, które wróży nam coś złego, bo dyktuje je rozum. To zaś, które każe nam wierzyć w jakieś szczęśliwe wydarzenie, wypływa z serca, a serce to szaleniec zasługujący na to, aby ufać ślepemu trafowi.

Co tchu przyłączyłem się do godnej kompanii, która najwięcej obawiała się tego, że nie przyjdę. Jedliśmy kolację i nikt słówkiem nie wspomniał o kartach, natomiast wszyscy wynosili pod niebiosą moje wspaniałe talenty i fetowali cudną przyszłość, czekającą mnie w Rzymie. Widząc przy końcu wieczery, że nikt nie mówi o grze, inspirowany przez mojego złego ducha zażądałem rewanzu. Odpowiedziano mi, żebym trzymał bank, a wszyscy będą stawiali. Usłuchałem, zgrałem się do ostatniego grosza i wyszedłem prosząc mnicha, aby zapłacił gospodarzowi za mnie, co przyrzekł uczynić.

Wróciłem zrozpaczony, bo na ukoronowanie nieszczęścia przekonałem się po drodze, że natrafiłem na drugą Greczynkę, nie taką ładną, ale równie perfidną...

Jedenaście godzin spałem jak zabity, a kiedy się zbudziłem przygnębiony, brzydzący się światła, którego nie czułem się godzien, znów zamknąłem oczy szukając zbawczego snu. Życie mi ciążyło i miałem cichą nadzieję, że skonam z wyczerpania nie ruszywszy się z miejsca. I z pewnością nie wstałbym z łóżka, gdyby nie był przybiegł pocziwy Alban, właściciel tartany. Potrząsnął mną mocno za ramię mówiąc, że czas, bym szedł na pokład, bo lada chwila podniesiemy żagle.

Zwykłemu śmiertelnikowi sprawia kolosalną ulgę, gdy się go wyrывa z głębokiej rozterki, obojętnie, w jaki sposób. Wydawało mi się, że Alban przychodzi, aby ogłosić tę jedyną rzecz, która mi pozostała w moim nieszczęściu. Szybko ubrałem się, zawiązałem cały swój majątek w chusteczkę i pobiegłem na statek. W godzinę później podnieśliśmy kotwicę, a rano zarzuciliśmy ją w porcie Orsara w Istrii. Wszyscy zeszli na ląd chcąc obejrzyć miasto, które wcale na to miano nie zasługuje.

Na stateczku podszedł do mnie pewien młody mnich, jałmużnik, który kazał się zwać ojcem Stefanem z Belun, zabrany z litości przez Albana czującego specjalne nabożeństwo do świętego Franciszka, i zapytał, czym nie chory.

- Mam ciężkie zmartwienie, mój ojczu.
- Minie ci, gdy zjesz ze mną obiad u jednej z adoratorek naszego zakonu.

Od trzydziestu sześciu godzin nic nie jadłem, a że wzburzone morze przez całą noc bardzo dawało mi się we znaki, żołądek miałem chyba zupełnie pusty. Poza tym szalenie męczyła mnie owa dolegliwość weneryczna, nie mówiąc już o wielkim upokorzeniu dręczącym umysł: byłem przecież bez grosza! Czułem się tak przygnębiony, że brakło mi nawet siły, aby czegoś nie chcieć. W tym stanie zupełnej apatii machinalnie poszedłem za jałmużnikiem.

Zaprezentował mnie owej pani mówiąc przy tym, że towarzyszy mi do Rzymu, gdzie mam przybrać zakonny habit franciszkanów. Zgroza zdjęła mnie na to kłamstwo i w każdym innym wypadku nie byłbym zmilczał, ale w mojej ówczesnej sytuacji owo szalbierstwo wydało mi się jeno zabawne.

Pocziwa kobieta ugościła nas doskonałą rybą na oliwie, daniem wspaniale tam przyrządzanym, które zapiliśmy wybornym winem.

Przez cały dzień (znów na statku) doskonale bawiłem się słuchając ojca Stefana, który zdradzał rzadko spotykaną ignorancję, przyprawioną niebywałym sprytem pod maską prostactwa. Pokazał mi jałmużnę zebraną w Orsara: chleb, wino, ser, kielbasy, konfitury i czekoladę. Wszystkie olbrzymie kieszenie jego habitu były obficie wypchane żywnością.

- Czy ma też ojciec i pieniądze? – zapytałem.

– Niech mnie Bóg przed tym strzeże! Po pierwsze: reguła naszego chlubnego zakonu zakazuje tykać pieniędzy, po drugie: gdybym je przyjmował podczas kolekty, ludzie wykręciliby się datkiem jednego lub dwóch soldów, podczas gdy to, co mi dają w żywności, warte jest dziesięć razy tyle. Wierzaj mi, święty Franciszek nie był głupi.

Pomyślałem sobie, że bogactwo mnicha wypływa z tego, co dla mnie wówczas było biedą. Zaprosił mnie jednak na współbiedniaka i zdawał się zachwycony, że mu nie odmówiłem tego zaszczytu.

Wysiedliśmy w Ankonie i udaliśmy się do starych budynków kwarantanny, gdzie nam powiedziano, że musimy przeczekać tu cztery tygodnie, bo Wenecja przyjęła po trzymiesięcznej kwarantannie załogę dwóch statków z Mesyny, gdzie teraz szalała dżuma. Zażądałem pokoju dla siebie i brata Stefana, który był mi za to niezmiernie wdzięczny. Od Żydów wynająłem łóżko, stół i kilka krzeseł obiecując zapłacić za wszystko przy końcu kwarantanny. Mnich poprzestał na sienniku. Być może, gdyby był wiedział, że bez niego chyba zginąłbym z głodu, nie ceniłby sobie tak wysoko mojego towarzystwa. Jakiś marynarz, który liczył najwiśdoczniej na szczodry datek, zapytał, gdzie mój kuferek. A gdym mu odpowiedział, że nic o nim nie wiem, usilnie zaczął go szukać wraz z Albanem, a ów mało mnie o śmiech nie przyprowadził, gdy przyszedł przeproszać, że zapomniał mojego bagażu, i obiecywać dosłanie zguby najdalej za trzy tygodnie.

Kwestarz, który miał spędzić cztery tygodnie ze mną, liczył, że ów okres przeżyje na mój koszt, tymczasem zaś sama Opatrzność mi go zesłała. Jego zapasy starczyłyby nam na tydzień, trzeba było jednak pomyśleć o przyszłości.

Po wieczery więc w patetycznych słowach przedstawiłem mu moje położenie, że bez grosza w kieszeni muszę jednak dotrzeć do Rzymu, gdzie, jak mu powiedziałem, mam zostać pierwszym sekretarzem biskupa. Proszę sobie jednak wystawić moje zdumienie na widok uciechy tego bałwana, gdy usłyszał o moich nieszczęściach.

- Biorę cię pod swoją opiekę aż do Rzymu, powiedz mi tylko, czy umiesz aby pisać.
- Śmiejesz się, ojczu, ze mnie?
- Co w tym dziwnego! Ja, na przykład, potrafię się tylko podpisać. Prawda, że mogę to zrobić zarówno lewą ręką jak prawą, ale po co mi więcej?
- Dziwię się, bom myślał, że ojciec jest księdzem.
- Nie jestem księdzem. Jestem mnichem. Odprawiam msze i dlatego powinienem umieć czytać. Święty Franciszek, którego jestem niegodnym synem, nie umiał czytać i z tego powo-

du nigdy nie odprawiał mszy. Krótko mówiąc, skoro, synu, umiesz pisać, napiszesz jutro w moim imieniu do wszystkich osób, które ci wskażę, i wierzaj mi, że nam naślą tyle żarcia, że będziemy go mieli po same uszy aż do końca kwarantanny.

Nazajutrz na jego rozkaz wygotowałem osiem listów, albowiem w ustnych tradycjach jego zakonu powiedziane jest, że gdy mnich zapuka do siedmiu drzwi i nie dostanie datku, powinien z całą ufnością zapukać do ósmych, gdzie mu niczego nie odmówią. A że już raz wędrował do Rzymu, znał przeto wszystkie lepsze domy w Ankonie, oddane kultowi świętego Franciszka, jak i wszystkich przełożonych co bogatszych klasztorów. Musiałem pisać do tych, które wskazał mi, i nie omijać żadnego z dyktowanych kłamstw. Kazał mi podpisać się za siebie mówiąc, że gdyby to sam uczynił, łatwo poznano by, iż kto inny je pisał, co by mu przyniosło szkodę, bo w tym wieku zepsucia jedynie ludzie uczeni cieszą się szacunkiem i poważaniem. Kazał mi też naszpikować listy łacińską, nawet te adresowane do kobiet, a moje sprzeciwy na nic się zdały, bo gdym się upierał, groził, że mi jeść nie da. Postanowiłem robić wszystko, co mi zleci, a zlecił mi napisać do przełożonego zakonu jezuitów, że nie zwraca się do kapucynów, albowiem są ateistami, i to jest powodem, dla którego święty Franciszek nigdy nie mógł ich znieść. Daremnie usiłowałem mu wytłumaczyć, że w czasach, gdy żył ten święty, nie było jeszcze ani kapucynów, ani franciszkanów; uważał mnie tylko za nieuka. Sądziłem, że ludzie wezmą go za wariata i nikt nic nie przyśle, ale się omylił, bo nadsyłano nam tyle jedzenia, że nie mogłem wyjść z podziwu. Z trzech, czterech stron dostaliśmy wina w ilości wystarczającej na cały czas kwarantanny, tym bardziej że piłem tylko wodę; tak mi spieszo było odzyskać zdrowie. A gdy idzie o jedzenie, dostawaliśmy go codziennie przynajmniej na sześć osób. To, co zostawało, zabierał dozorca obarczony liczną rodziną. Za te wszystkie dary mój mnich wdzięczny był jedynie świętemu Franciszkowi, a żadną miarą ofiarodawcom.

Podjął się tedy dać dozorczy moją bieliznę do prania, czego sam zrobić nie śmiałem. On zaś oznajmił, że niczym nie ryzykuje, bo wszyscy wiedzą, że franciszkanie w ogóle bielizny nie noszą.

Piętnastodniowy odpoczynek i surowa dieta zrobiły swoje, toteż od rana do wieczora spacerowałem po dziedzińcu kwarantanny, ale że z Salonik przybył akurat kupiec turecki z całym swoim dworem i zajął parter, musiałem przerwać owe przechadzki. Pozostała mi więc już tylko jedyna przyjemność: spędzanie długich godzin na balkonie wychodzącym na tenże dziedziniec. Wtedy to ujrzałem cudnej urody niewolnicę, Greczynkę, która ogromnie podnieciła moją uwagę. Całymi dniami siedziała na progu drzwi zajęta szydełkowaniem lub lekturą, a gdy uniosła oczy i nasze spojrzenia spotykały się, natychmiast skromnie opuszczała głowę. Czasem wstawała nawet i wchodziła wolnym krokiem do domu, jak by chciała powiedzieć: nie wiedziałam, że będę obserwowana. Była dość wysoka i smukła, a jej postać zdradzała wczesną młodość. Skórę miała bielusińką, włosy i oczy zaś wspaniale czarne. Nosiła się na grecką modłę, co bardzo działało na zmysły.

Skazany na bezczynność, wierny własnej naturze oraz przyzwyczajeniom, czyż mogłem przez większość dnia podziwiać tak uwodzicielską istotę i nie postradać zmysłów? Słyszałem, że mówiła łamaną francuszczyzną ze swoim panem, przystojnym starcem, który nudził się jak ona i czasem wychodził na dziedziniec z fajką w ustach, po to aby zaraz wrócić do domu. Chętnie rzuciłbym parę słów tej pięknej dziewczynie, gdybym się nie bał, że jej więcej nie ujrzę. Aliści pod wpływem owej obawy i nie mogąc już panować nad sobą, postanowiłem napisać liścik, ani chwili nie zastanawiając się, jak go jej prześle; wystarczyło bowiem, aby spadł z balkonu. Nie będąc jednak pewny, czy go podejmie, oto jak się urządziłem: uchwyciwszy moment, kiedy była sama, zrzuciłem do jej stóp skrawek papieru złożony w formie listu. Był to jednak czysty papier, a ów prawdziwy liścik trzymałem w ręku i w pogotowiu. Gdy zobaczyłem, że się schyla po ten pierwszy, szybko zrzuciłem ów drugi. Podniosła oba i wsunęła do kieszeni. Po chwili zniknęła. Mój list zawierał mniej więcej taką treść: „Aniele

Wschodu, uwielbiam cię. Całą noc spędzę na balkonie żywiąc nadzieję, że przyjdiesz na kwadrans, ażeby posłuchać, co ci powiem przez otwór w podłodze. Będziemy rozmawiali szeptem i chcąc mnie lepiej usłyszeć możesz wejść na belę stojącą pod tym otworem”.

O północy, kiedy zacząłem już wątpić, czy przyjdzie, nadeszła jednak. Wyciągnąłem się wówczas jak długi na podłodze balkonu i przytknąłem twarz do otworu w desce, szorstkiego i kwadratowego, wielkości sześciu cali. Zobaczyłem, że weszła na belę; jej głowa była teraz oddalona o stopę od balkonu. Aby nie stracić równowagi w tej chwiejnej pozycji, musiała się oprzeć ręką o mur i tak mówiliśmy o sobie, o miłości, pożądaniu, przeszkodach i o tym, iż żaden podstęp nie rokuje nadziei. Wreszcie, obiecawszy mi przychodzić pod balkon co noc, przyłożyła dłoń do otworu. Cóż z tego! Nie mogłem nasycić się pocałunkami, bo wydawało mi się, że nigdy w życiu nie dotknąłem jeszcze ręki równie delikatnej i pięknej. Ale jakaż radość, kiedy poprosiła o moją rękę! Szybko wsunąłem ramię w otwór, ona zaś przyłgnęła ustami do zgięcia w łokciu. A wtedy na jaki słodki złodziejski czyn pokusiła się moja dłoń! Jednak trzeba było się rozstać. Po powrocie do siebie z zadowoleniem stwierdziłem, że dozorca mocno śpi w kącie sali. Rad, że osiągnąłem maksimum tego, czegom mógł się spodziewać w tej niedogodnej pozycji, jałem rozmyślać, jak tu zakosztować jeszcze większych delicji w najbliższą noc, aż przekonałem się niespodzianie, iż moja piękna Greczynka jest bardziej pomysłowa ode mnie.

Będąc na dziedzińcu wraz ze swoim panem, rzekła mu po turecku coś, z czym się zgodził, i niebawem ukazał się służący, Turczyn, który z pomocą dozorca wniósł i ustawił pod balkonem wielki kosz z towarami. Greczynka doglądała ich i jak by chcąc zrobić miejsce dla kosza, kazała postawić jedną belę z bawełną na dwóch drugich. Odgadując jej zamiar dygotałem z radości, bo teraz mogła wspiąć się o dwie stopy wyżej. Ale zastanowiwszy się spostrzegłem, że będzie stała jeszcze bardziej niepewnie, bo zgięta. Nie przesunie głowy przez ciasny otwór w podłodze i nie będzie mogła się wyprostować. Należało więc coś obmyślić. Nie widziałem innej rady, jeno oderwać deskę, co wcale nie było łatwe. Gotów na wszystko udałem się do sali po wielkie szczypce. Dozorca gdzieś poszedł i skorzystawszy z tego zdołałem wyrwać cztery olbrzymie gwoździe przytrzymujące deskę. Widząc, że teraz zdołam ją unieść w każdej chwili, odłożyłem szczypce na miejsce i z niecierpliwością kochanka czekałem nadejścia nocy.

Moja upragniona zjawiała się punktualnie o północy. Ujrawszy, że trudno jej wspiąć się i stanąć na nowej beli, uniosłem deskę i podałem jej mocne ramię. Wyprostowała się mile zdziwiona, że może wsunąć ręce i głowę w otwór w podłodze. Nie traciliśmy czasu na czule słówka: powinszowaliśmy sobie tylko tego, iż złączyliśmy nasze wysiłki, by dojść do wspólnego celu.

Jeśli poprzedniej nocy mogłem w moich poczynaniach górować nad nią, to tym razem ona górowała nade mną. Łapczywie sięgała ręką w tajniki mojej istoty, gdy ja musiałem zatrzymać się w pół drogi.

Na tym rozkosznym zajęciu, mimo że nie ukoronowaliśmy go ostatecznym skutkiem, zeszła nam reszta nocy. Starannie ułożyłem deskę na miejscu i poszedłem się położyć, bo gwałtownie potrzebowałem wypoczynku. Uroczą Greczynka przed odejściem uprzedziła mnie, że jeszcze w tym dniu zaczyna się mały *bejram*, który potrwa trzy dni, zobaczymy się więc dopiero po nim. Na czwartą noc, nie uchybiwszy spotkaniu oświadczyła, że nie zazna szczęścia beze mnie, że jest chrześcijanką, a zatem mogę ją wykupić i zabrać Turkowi po zakończeniu kwarantanny. Musiałem wówczas wyjawić, że jestem bez grosza, na co ciężko westchnęła. Następnej nocy powiedziała, że jej pan gotów sprzedać ją za dwa tysiące piastrów; że mi je da, że jest dziewczicą i że z pewnością będę z niej zadowolony. Dorzuciła, iż wręczy mi skrzynkę pełną diamentów, z których jeden jedyny wart jest dwa tysiące piastrów, a ze sprzedaży pozostałych będziemy mogli żyć nie lękając się biedy. Zapewniła mnie też, że Turek nie spostrzeże zniknięcia szkatułki, a gdyby nawet – nigdy w życiu nie posądzi jej o kradzież.

Byłem zakochany w tej kobiecie. Jej słowa zasiały niepokój w mojej duszy, ale zbudziwszy się nazajutrz, już się nie wahałem. Przyszła o zwykłej godzinie przynosząc szkatułkę, a gdy jej rzekł, że nie mogę przystać na udział w kradzieży, westchnęła i powiedziała, iż nie odpłacam jej taką samą miłością, ale jestem dobrym chrześcijaninem.

Widzieliśmy się zapewne po raz ostatni w życiu. Trawił nas ogień pulsujący w żyłach. Zaproponowała, abym ją wciągnął na balkon.

Pokażcież mi kochanka, który by nie usłuchał tak ponętnej propozycji! Wstałem i nie pretendując do miana nowego Milona, ująłem ją pod pachy, przyciągnąłem do siebie i już miałem posiąść, gdy ktoś chwycił mnie mocno za ramię. Był to dozorca, który wołał: „Co pan robisz!” Puściłem więc swój drogocenny ciężar i krzyknąwszy ze złości padłem jak długi na podłogę. Greczynka zaś uciekła do pokoju. Mimo że dozorca, którego chętnie bym uśmiercił, trząsał mną bez przerwy, leżałem jak trup. W końcu wstałem i poszedłem do łóżka bez słowa, nie położwszy nawet deski z powrotem na miejsce.

Rankiem powiedziano nam, że jesteśmy wolni. Z rozdartym sercem porzucając kwarantannę, z daleka widziałem płaczącą Greczynkę.

Wyzaczyłem ojcu Stefanowi spotkanie przed giełdą, a tymczasem zaprowadziłem Żyda, któremu winienem był za wynajem rzeczy, do klasztoru franciszkanów, gdzie ojciec Lazari dał mi sześć cekinów. Dostałem też od niego list polecający do biskupa, który po odbyciu kwarantanny na pograniczu Toskanii powinien się być udać do Rzymu, gdzie miałem go też odnaleźć.

Zakupiwszy sobie parę butów i redyngot poszedłem na spotkanie z ojcem Stefanem, któremu oznajmiłem, że zamierzam iść do Loretto, że zaczekam tam na niego trzy dni i potem będziemy mogli razem powędrować do Rzymu. Odparł na to, że wcale nie ma ochoty iść przez Loretto i że gorzko pożałuje, iżem się sprzeniewierzył łasce świętego Franciszka. Mimo to wyruszyłem nazajutrz w doskonałym zdrowiu.

Do świętego miasta przywlokłem się śmiertelnie znużony, bo po raz pierwszy w życiu zrobiłem piętnaście mil piechotą, popijając tylko wodę, albowiem gotowane wino, będące tu w powszechnym użyciu, paliło mi żołądek, upał zaś był niemożliwy. Muszę jednak powiedzieć, że mimo swojej biedy nie wyglądałem na żebraka.

Nazajutrz przystąpiłem do komunii w Santa Casa. Trzeciego dnia obejrzałem całe otoczenie owego sanktuarium, a nazajutrz o świcie wyruszyłem dalej.

W pół drogi do Macerata spotkałem ojca Stefana maszerującego bardzo wolno. Ucieszył się z mojego widoku i powiedział, że wyruszył z Ankony w dwie godziny po mnie, ale że nie robi więcej niż trzy mile dziennie, rad z tego, iż dwa miesiące zajmie mu droga, którą, nawet na piechotę, z łatwością mógłby odbyć w tydzień.

– Chcę – wyjaśnił – przybyć do Rzymu zdrowy i wypoczęty. Nic mnie nie pili, a jeżeli wolisz, synu, tak wędrować ze mną, to możesz być pewny, że naszym utrzymaniem nie sprawimy kłopotu świętemu Franciszkowi.

Ten bęcwał miał ze trzydzieści lat, był rudy, mocnej kompleksji, słowem: prawdziwy chłop, który stał się mnichem dla łatwego życia w lenistwie. Odparłem, że nie mogę mu towarzyszyć, bo się bardzo spieszę. „Przejdę więc dziś dwa razy tyle – odparł – jeżeli poniesiesz moją pelerynę, która ogromnie mi ciąży”. Propozycja wydała mi się zabawna: wdziałem jego pelerynę, a on mój redyngot, ale w tym przebraniu tworzyliśmy tak komiczną parę, że budziłyśmy wesołość wszystkich przechodniów. Muł miałby co dźwigać, gdyby nań wpakować pelerynę ojca Stefana: miała dwanaście kieszeni tego wypchanych, nie mówiąc już o jednej z tyłu, którą mnich nazywał *il batticulo*, mieszczącej tyleż co wszystkie pozostałe razem. Chleb, mięso świeże i solone, kurczaki, jaja, ser, szynka, kiełbasa – wszystkiego starczyłoby na dwa tygodnie co najmniej.

– Czemu – zapytałem – nie zatrzymuje się ojciec w swoich klasztorach?

– Bom niegłupi. Przede wszystkim nie przyjmą mnie, zbiegłego mnicha; nie mam pisemnej obediencji, o którą zawsze pytają. Ryzykuję nawet tym, że te przekłete świnię zamkną mnie w więzieniu. Po drugie zaś w klasztorze nie podejmują nas tak dobrze jak nasi dobrodzieje.

– A czemu ojciec jest zbiegiem?

Na to pytanie odpowiedział stekiem bzdur i kłamstw o swoim uwięzieniu i ucieczce. Ów zbiegły franciszkanin był głupcem o umyśle arlekina, a swoich słuchaczy brał za jeszcze głupszych od siebie. Jednak w tej głupocie kryła się finezyjna chytryść. Jego wiara była szczególnego gatunku. Aby nie uchodzić za bigota, był bezwstydnym, a chcąc rozśmieszyć audytorium pozwalał sobie na najbardziej cyniczne powiedzonka. Nie lubował się ani w rozkoszach cielesnych, ani zmysłowych jedynie z braku temperamentu. Chciał jednak, aby ów niedostatek poczytywano mu za cnotę. I wszystko w tej materii uważał za śmiechu wartę, ale gdy podpisał, zadawał współbiednikom pytania tak nieprzyzwoite, że wszyscy się rumienili, a on, chamisko, tylko z tego rechotał.

Kiedy już byliśmy o sto kroków od domu tego dobrodzieja, którego chciał zaszczyścić wizytą, odebrał mi swoją ciężką pelerynę. Wchodząc udzielił ogólnego błogosławieństwa, a wszyscy podeszli ucałować jego rękę. Gospodyni poprosiła o odprawienie mszy, na co przystał i pozwolił zaprowadzić się do zakrystii. Uchwyciłem sprzyjającą chwilę, aby mu szepnąć: „Zapomniałeś, ojcze, że jesteśmy po śniadaniu?”, na co odparł sucho: „To nie twoja sprawa”.

Nie ośmieliłem się replikować, asystując jednak przy owej mszy zdumiałem się bardzo, ujrawszy, że wcale nie zna liturgii. Wydało mi się to zabawne, ale nie było jeszcze najkomiczniejsze w tej całej historii. Gdy już jako tako poradził sobie ze mszą, zasiadł w konfesjonale i wypowiedawszy całą rodzinę odmówił abszolucji młodej córce pani domu, uroczej i ładnej trzynastoletniej panience. Uczynił to publicznie, zburczał ją i zagroził piekłem. Biedne dziecko wyszło z kościoła zalewając się łzami, ja zaś, wzruszony i ujęty urodą owej panienki, nie mogłem się powstrzymać, aby na głos nie nazwać ojca Stefana wariatem, po czym pobiegłem za małą chcąc ją pocieszyć. Znikła gdzieś jednak i odmówiła przyjścia do stołu. Tak mnie to zirytowało, że chętnie wytlukłbym mnicha. Przy wszystkich zwymyślałem go od oszustów i niecnym katów owej panienki i zapytałem, czemu odmówił jej abszolucji. Zatkanął mi jednak usta, z zimną krwią zasłoniwszy się tajemnicą spowiedzi. Nie chciałem nic jeść, twardo zdecydowany zerwać z łajdakiem. Przy wyjściu wypadło mi jeszcze przyjąć jedno paolo za fałszywą mszę, którą odprawił, bo musiałem pełnić przykrą funkcję jego skarbnika.

Ledwie wyszliśmy na drogę, oznajmiłem, że wolę się z nim rozstać z obawy, aby mnie nie skazano na galery, a gdy w odpowiedzi na moje zarzuty nieuctwa i łajdactwa nazwał mnie żebraczną, wymierzyłem mu tęgi policzek, on zaś wyrzwał mnie kijem. Wyrwałem mu go natychmiast i pozostawiwszy nicponia na szosie ruszyłem ku Macerata. W kwadrans później woźnica jadący próżno do Folentino zaoferował się mnie podwieźć za dwa paoli, na co się zgodziłem. Stamtąd mogłem być jechać do Foligno za sześć paoli, lecz na nieszczęście żal mi się zrobiło pieniędzy. Czułem się dobrze i myślałem, że łatwo dojdę do Valcimare, ale dowlokłem się tam dopiero po sześciu godzinach, konając ze zmęczenia.

Nazajutrz, zbudziwszy się wypoczęty i gotów do dalszej drogi, chciałem zapłacić gospodarzowi, i co za nowe nieszczęście! Jakaż okropna sytuacja! Przypomniałem sobie, że zostawiłem kieskę z siedmioma cekinami na stole w oberży w Folentino. Jakaż rozpacz! Poniechałem myśli wrócenia po nią, nie będąc pewien, czy ją odzyskam. A ta kieska zawierała przecież mój cały majątek i prócz niej miałem tylko parę miedziaków, zawieruszonych w kieszeni. Zapłaciłem skromny rachunek i z ciężkim sercem ruszyłem w drogę piechotą do Seraval. Nie dalej niż o milę od tej miejscowości przeskakując rów skrzyłem nogę i musiałem sięść na brzegu drogi i czekać zmiłowania w postaci czyjejś pomocy.

Przesiedziałem tak z pół godziny, aż wreszcie nadszedł jakiś chłop z osłem i zgodził się za jednego paola przewieźć mnie do Seraval na grzbiecie kłapoucha. Tenże wieśniak, chcąc mi zaoszczędzić wydatku, ulokował mnie za cenę dwóch paoli, zapłaconych z góry, u jakiegoś człowieka, wyglądającego na skończonego łajdaka. Zażądałem chirurga, ale mógł przyjść dopiero jutro... Zjadłem nadzwyczaj lichą wieczerzę, po czym położyłem się do łóżka, którego sam widok przyprawiał o mdłości. Myślałem jednak, że w nim zasnę, a sen sprawi mi ulgę, ale właśnie tu mój zły duch szykował mi najstraszliwszą mękę.

W parę chwil później zjawili się trzech ludzi z karabinami, mocno przypominających bandytów i gadających dialektem, którego nie rozumiałem. Klęli i przeklinali, nic sobie ze mnie nie robiąc. Pili też i śpiewali aż do północy, po czym pokładli się na wiązkach słomy, a mój gospodarz, zupełnie pijany, przyszedł położyć się przy mnie. Wzburzony perspektywą znalezienia się obok podobnej istoty nie chciałem się na to zgodzić, ale on klnąc straszliwie oznajmił, że wszyscy diabli razem wzięci nie zabronią mi położyć się do własnego łóżka. Musiałem posunąć się i wykrzyknąłem przy tym: „Wielkie nieba, u kogóż jestem!” Odparł na to, że u najuczciwszego ze wszystkich zbirów w Państwie Kościelnym. Czyż mogłem przewidzieć, że chłop zawiódł mnie w samo gniazdo tych przeklętych wrogów ludzkości! Gospodarz położył się, ale wkrótce musiałem huncwota tak silnie wyrznąć w piersi, że zleciał z łóżka. Wstał i z całą bezczelnością zaatakował mnie znowu. Czując, że nie zdołam się obronić, zawlokłem się na krzesło i szczęśliwy, iż daje mi spokój, spędziłem resztę nocy na siedząco. O świcie ów zbój podbechtany przez swych godnych kompanów podniósł się z łóżka. Po nowym pijaństwie i krzykach przybysze wzięli karabiny i wynieśli się nareszcie.

Po wyjściu tej zgrai daremnie całą, jakże długą godzinę przywoływałem kogokolwiek. W końcu zjawił się jakiś malec i za parę groszy pobiegł szukać chirurga, który obejrzawszy nogę zapewnił mnie, że trzy, cztery dni wypoczynku przywróca mi w niej władzę. Poradził też, abym się kazał przenieść do oberży, na co z całego serca przystałem. Gdy się już tam znalazłem, położyłem się zaraz do łóżka. Obchodzono się ze mną dobrze, lecz w mojej sytuacji bałem się wyzdrowienia. Przeczuwałem, że na zapłacenie długu w oberży będę musiał spieniężyć redyngot, i to napawało mnie wstydem. Mimo woli nasuwała mi się myśl, że gdybym był pohamował sympatię dla owej młodej dziewczyny, niecznie potraktowanej przez ojca Stefana, nie znalazłbym się w takiej potrzebie. W konkluzji przyszedłem do wniosku, że w złą stronę skierowałem swój zapal. Gdybym lepiej znosił towarzystwo jałmużnika... gdyby, gdyby, gdyby – wszystkie owe „gdyby”, co targają duszę człowieka nieszczęśliwego, który umie myśleć i który przezuwając bezustannie swoje myśli wcale nie czuje się przez to bardziej szczęśliwy, dręczyły mnie teraz bezlitośnie.

Rankiem czwartego dnia, kiedy zgodnie z przepowiednią chirurga czułem się na siłach, aby ruszyć w drogę, zdecydowałem się prosić tego porządnego człowieka o sprzedaż mego redyngota. Przykra konieczność, tym bardziej że właśnie zaczęło padać. Gospodarzowi winienem był piętnaście paoli, a chirurgowi – cztery. W chwili kiedy już miałem prosić o tę bolesną dla mnie sprzedaż, zjawia się nagle ojciec Stefan! Wchodzi i śmiejąc się jak wariat pyta, czym już zapomniał o cięgach, jakie mi spuścił.

Zbaraniałem! Po chwili poprosiłem chirurga o zostawienie nas sam na sam.

Pytam się, moi czytelnicy, jak tu przy podobnych spotkaniach wyrzec się przesądów! W tym wydarzeniu najbardziej zadziwia chwila, kiedy się ono stało, albowiem mnich wszedł, gdy już otwierał usta...

– *Chi va piano, va sano*⁶ – rzekł mi, kiedy znaleźliśmy się sami.

Droga, którą przebyłem w dzień, jemu zajęła pięć, ale był zdrow i nie spotkało go nic złego. Wyjaśnił, że przechodził tędy, gdy mu powiedziano, iż pierwszy sekretarz ambasadora Wenecji leży chory w oberży i w dodatku okradziony w Valcimare.

⁶ Chi va... – Kto wolno idzie, ten daleko zajdzie.

– Przyszedłem, aby się z tobą zobaczyć, a że już czujesz się dobrze, pójdziemy razem do Rzymu. Będę robił po sześć mil dziennie, żeby ci sprawić przyjemność. Zapomnijmy o wszystkim i ruszajmy szybko.

– Nie mogę, straciłem sakiewkę i winien jestem dwadzieścia paoli.

– Pójdę więc ich poszukać w imieniu świętego Franciszka. Wrócił po godzinie, ale z czym! W towarzystwie mojego niecnego zбира, który mi oświadczył, że gdyby był wiedział, o kogo chodzi, nigdy by mnie od siebie nie wypuścił.

– Dam ci – dodał – czterdzieści paoli, jeżeli okażesz mi protekcję u twego ambasadora. Ale jeżeli nic u niego nie wskórasz, zwrócisz mi pieniądze w Rzymie. Musisz to jednak potwierdzić na piśmie.

– Zgoda.

Załatwiliśmy wszystko w kwadrans. Dał mi pieniądze, zapłaciłem długi i wyruszyłem z ojcem Stefanem.

Była zaledwie pierwsza w południe, kiedy zauważywszy o jakieś sto kroków nędzny domeczek, mnich powiedział:

– Do Collefiorito mamy jeszcze szmat drogi, zatrzymujemy się więc tu na noc.

Daremnie przedstawiałem mu, że nie będzie nam wygodnie w tej chatynce. Wszystko na próżno, musiałem podporządkować się jego woli. W chatce zastaliśmy jakiegoś zgrzybiałego i umierającego starca na wyrku, dwie ohydne kobiety między trzydziestką a czterdziestką, troje całkiem nagich dzieci, krowę i wstrętnego psa, który nas tylko obszczekał. Bieda aż kłuła w oczy, jednak uparty mnich, miast dać tym ludziom jałmużnę, zażądał od nich obiadu w imieniu świętego Franciszka. Konający starzec kazał kobietom ugotować kurę i wyciągnąć butelkę wina przechowywaną od lat dwudziestu. Ledwie to wyrzekł, złapał go atak kaszlu tak silny, że myślałem, iż ducha wyzionie. Mnich zaś podszedł do niego i rzekł, że święty Franci-szek ujmie mu lat. Zdjęty litością na widok tej straszliwej nędzy chciałem iść dalej do Collefiorito i tam zaczekać na ojca Stefana, ale na prośbę kobiet zostałem. Po czterech godzinach kura wciąż jeszcze zdolna była wyłamać najmocniejsze zęby, a wino, które otwarłem, smakowało jak ocet. Straciwszy cierpliwość sięgnąłem do *batticulo* mnicha i wydobyłem dość zapasów na wspaniałą wieczerzę. Ujrzałem przy tym, jak na widok jedzenia rozpromieniają się twarze dwóch kobiet.

Najedliśmy się wszyscy do syta, a potem posłano nam dwa wielkie łóżka ze świeżą słomą i położyliśmy się po ciemku, bo jedyny ogarek w tym smutnym ludzkim schronieniu zdążył się wypalić. Leżeliśmy może z pięć minut, kiedy usłyszałem mnicha krzyczącego, że jakaś niewiasta legła przy nim, a w tej samej chwili objęła mnie ta druga. Odpycham ją, mnich broni się rozpaczliwie. Moja bezwstydnica nie ustępuje, zrywam się więc, pies skacze mi na kark i zmusza przerażonego do powrotu na siennik. Mnich krzyczy, wyklina, broni się; pies szczeka, starzec kaszle; co za rozgardiasz! Wreszcie ojciec Stefan, chroniony swoim grubym habitem, uwalnia się z objęć megiery i nie bacząc na psa łapie za kij. Potem wali nim na prawo i lewo, aż wreszcie jedna z niewiast krzyczy: „Ach, Boże!” – wtedy on mówi: „Ogłuszyłem ją” – i spokój powraca. Pies, w którego pewnie trafił, już nie warczy, starzec, być może dobity, nie kaszle, dzieci śpią, a kobiety przerażone uprzejmością mnicha cicho trzymają się na uboczu. Nareszcie więc mamy spokój do końca nocy.

Wstałem o wczesnym świcie, ojciec Stefan poszedł w moje ślady. Rozglądałem się i widzę zdumiony, że kobiety zniknęły, a starzec leży bez ducha, z wielkim sińcem na czole. Pokazuję nań jałmużnikowi mówiąc, że to on mógł go zabić. „Możliwe – odpowiada – ale jeżeli nawet ja to zrobiłem, to nieumyślnie” – i sięgnąwszy do swojego *batticulo* wpada w straszliwą złość: olbrzymia kieszeń jest pusta. Byłem uszczęśliwiony, obawiałem się bowiem, że kobiety pobiegly, aby sprowadzić pomoc i zatrzymać nas, lecz zniknięcie żywności wskazywało na to, że te biedne istoty uciekły po dokonaniu kradzieży. Niemniej jednak w jaskrawych kolorach przedstawiłem wiszącą nad nami groźbę mnichowi i udało mi się tak go nastraszyć, że

postanowił uciekać. Niebawem napotkaliśmy woźnicę zdążającego do Folligno. Nakłoniłem ojca Stefana do wykorzystania owej okazji i oddalenia się z niebezpiecznego miejsca. A gdy jedliśmy śniadanie w Folligno, trafił nam się drugi woźnica, który jechał próżnym wozem. Wsiedliśmy i za jakieś grosze dojechaliśmy do Pisigano. Tu bardzo gościnnie podejmował nas jeden z adoratorów świętego Franciszka i nareszcie mogłem zasnąć wolny od obawy aresztowania.

Nazajutrz wczesnym rankiem przyszedliśmy do Spoleti, gdzie ojciec Stefan miał dwóch do-brodziejów, a nie chcąc żadnemu przysparzać powodów do zazdrości, obu faworyzował jednak. Obiad zjedliśmy u pierwszego, który nas podjął, jak byśmy byli udzielnymi książętami, a spaliśmy i kolację spożyliśmy u tego drugiego. Był to bogaty handlarz win, ojciec licznej i czarującej rodziny. Poczęstował nas wyśmienitą wieczerzą i wszystko byłoby doskonale, gdyby mnich, który sobie już podchmielił przy obiedzie, nie upił się do reszty. W tym stanie uważając najwidoczniej, że jest wielce cenionym gościem w owym domu, zaczął psy wieszać na tamtym, czego znieść nie mogłem. Gdy zaś przechwalał się, że powiedział naszemu poprzedniemu gospodarzowi, iż jego wina są fałszowane i jest złodziejem, zadałem mu kłam w oczy i nazwałem łajdakiem. Gospodarze uspokoili mnie mówiąc, że znają swojego sąsiada i wiedzą, co o nim myśleć, ale ponieważ mnich cisnął mi serwetkę w nos, gdym mu zarzucał łgarstwo, gospodarz ujął go łagodnie pod ramię i zaprowadził spać do oddzielnego pokoju, zamykając drzwi na klucz. Ja zaś poszedłem spać do drugiego pokoju.

Zbudziwszy się o świcie, deliberowałem nad samotnym wyruszeniem w drogę, aż tu wchodzi mnich, któremu wino już wyparowało ze łba, i mówi, że winniśmy żyć w zgodzie i już się nie kłócić. Ustąpiłem, bo najwidoczniej los tak chciał, i wyruszyliśmy. W Soma pewna właścicielka oberży, kobieta niespotykanej urody, poczęstowała nas pysznym obiadem ze wspaniałym cypryjskim winem, przywożonym jej przez kurierów z Wenecji w zamian za trufle, które po powrocie wielce korzystnie sprzedawali w tym mieście. Oczywiście odchodząc zostawiłem kawałek serca u tej pięknej oberżystki.

Jakże opisać moje oburzenie, gdy na parę mil przed Terni mnich niecnota pokazał mi torbę z trufkami, które w nagrodę za niezwykłą gościnność skradł był tej czarującej osobce. Wartość skradzionych trufli sięgała przynajmniej dwóch cekinów. Nie posiadając się ze złości wyrwałem mu torbę i oznajmiłem stanowczo, że ją odeślę oberżystce. On zaś ze swojej strony, zadawszy sobie trud bynajmniej nie dla przyjemności stracenia jego owoców, rzucił się na mnie i wywiązała się formalna bójka. Zwycięstwo jednak nie kazało na siebie długo czekać, bo gdy zamachnął się kijem, obaliłem go do rowu i odszedłem. Po przybyciu do Terni napisałem list z wytłumaczeniem do pięknej oberżystki i odesłałem trufle.

Z Terni piechotą poszedłem do Otricoli, gdzie zatrzymałem się tyle tylko, ile trzeba na podziwianie pięknego, starego mostu, i jakimś wózkiem za cztery paoli dojechałem do Castel Nuovo, skąd udałem się do Rzymu. Do tego słynnego miasta przybyłem pierwszego września o dziewiątej rano.

Wchodząc w bramy prastarej stolicy świata miałem tylko siedem paoli przy duszy, toteż nic nie mogło mnie interesować. Skierowałem się prosto do Monte Magnanopoli, gdzie, zgodnie z podanym mi adresem, miał się znajdować mój biskup. Dowiedziałem się jednak, że wyjechał przed dziesięcioma dniami, pozostawiając zlecenie odesłania mnie do Neapolu na jego koszt i pod adresem, który mi dano. Nazajutrz odjeżdżała tam poczta, toteż nie dbając o zobaczenie Rzymu położyłem się do łóżka i spałem aż do odjazdu.

Za towarzyszy podróży miałem trzech jakichś gburów. Przez cały czas aż do końca nie zamieniłem z nimi słowa. Szóstego września przybyłem do Neapolu.

Natychmiast pobiegłem pod wskazany adres: biskupa już nie było. Udałem się zaraz do ojców paulinów i dowiedziałem się, że odjechał do Martorano. Próżno pytałem, czy zostawił jakieś polecenie dla mnie, nikt nic-nie wiedział. Tak więc znalazłem się w olbrzymim mie-

ście, samotny jak palec, z ośmioma karlinami w kieszeni i nie wiedząc nawet, dokąd się obrócić. Ale to było nieważne: los wzywał mnie do Martorano, i tam też poszedłem.

Wprawdzie odjeżdżała poczta do Cosenzy, ale już się dowiedziano, że nie mam żadnych pakunków, i nie chciano mnie brać, chyba gdybym uiścił należność z góry. Trudno było nie przyznać temu racji, musiałem jednak dostać się do Martorano, postanowiłem więc pójść pieszo, bezczelnie domagając się po drodze jedzenia i spania, tak jak to robił wielce szanowny braciszek Stefan.

Przede wszystkim postanowiłem coś zjeść za jedną czwartą mego majątku, a później – co będzie, to będzie. Poinformowany, iż winienem pójść drogą wiodącą do Salerno, skierowałem się do Portici, dokąd zaszedłem w półtorej godziny. Zmęczenie zaczęło mi się dawać we znaki, toteż raczej nogi niżli głowa zawiodły mnie do oberży, gdzie zażądałem pokoju i posiłku. Nazajutrz ubrawszy się powiedziałem gospodarzowi, że wychodzę obejrzyć pałac królewski. Kiedym tam wchodził, zaczepił mnie jakiś mężczyzna z wschodnia przybrany i wyglądający na wielce usłużnego, mówiąc, że jeżeli zechcę zwiedzić pałac, oprowadzi mnie po nim, co mi zaoszczędzi grosza.

Kiedym mu się zdradził w rozmowie, że jestem Wenecjaninem, rzekł, że jest moim poddanym, albowiem pochodzi z wyspy Zante. Przyjąłem ten komplement za dobrą monetę i podziękowałem ukłonem.

– Mam doskonały muskat z Lewantu, który mogę panu tanio sprzedać.

– Chętnie kupię, uprzedzam jednak, że się znam na winie.

– Tym lepiej. A jakie lubisz pan najwięcej?

– Cerigo.

– Masz pan rację. Mam wspaniałe i spróbujemy go przy obiedzie, jeśli zechcesz zjeść razem ze mną.

– Z przyjemnością.

– Mam też wino z wyspy Samos i Cefalonii. A również i pewną ilość minerałów: witriol, cynober, antymonit i sto cetnarów rtęci.

– Wszystko tutaj?

– Nie, w Neapolu. Tu mam tylko muskat i rtęć.

– Kupię także rtęć.

Tak to już bywa, że młodzieniec niedoświadczony w biedzie i wstydzący się ubóstwa rozmawiając z bogatym nieznanym, bez myśli o oszustwie, chętnie opowiada bajki o swojej fortunie i możliwościach. Gadając przypomniałem sobie, że rtęć z bizmutem i ołowiem tworzy ciekawy amalgamat. Przybiera o ćwierć na wadze. Trzymałem język za zębami, ale przyszło mi na myśl, że jeżeli Grek jest owej rzeczy nieświadom, obrócę ją na swoją korzyść. Czulem, że trzeba się uciec do przebiegłości, bo gdybym mu ni stąd, ni zowąd zaproponował kupno mojego sekretu, nic by z tego nie wyszło.

Po zwiedzeniu pałacu wróciliśmy do oberży, gdzie Grek zawiódł mnie do siebie i kazał podać dwa nakrycia. W sąsiednim pokoju zobaczyłem dwie wielkie flaszki muskatu i cztery z rtęcią – każda dziesięciofuntowej wagi. Mając już plan w głowie poprosiłem o flakon rtęci za pełną cenę i zaniósłem do swojego pokoju.

Grek wyszedł w jakichś sprawach mówiąc, że zobaczymy się w obiadowej porze. Wyszedłem i ja, aby kupić dwa i pół funta ołowiu i tyleż bizmutu; drogerzysta nie miał więcej. Wróciłem i kazawszy przynieść puste flaszki, zrobiłem swój amalgamat.

W wesołych humorach spożyliśmy obiad, a Grek był zachwycony tym, że jego muskat z Cerigo przypadł mi do gustu. W czasie rozmowy zapytał, po co nabyłem rtęć.

– Możesz się pan o tym przekonać w moim pokoju – odparłem.

Po obiedzie udał się za mną do mojego pokoju i ujrzał swoją rtęć rozlaną do dwóch butelek. Kazałem przynieść kawałek irchy, przecedziłem amalgamat i napełniwszy flaszkę Greka

ujrzałem, iż zdębiał widząc, że pozostała mi jedna ćwierć flaszki pięknej rtęci prócz takiejże ilości sproszkowanej substancji, której nie znał, a która była bizmutem.

Wybuchnąłem wtedy śmiechem i zawoławszy służącego z oberży posłałem go do drogerzysty z poleceniem sprzedania pozostałej mi rtęci. W chwilę potem wrócił przynosząc piętnaście karlinów.

Greku, którego zdumienie doszło do szczytu, poprosił, abym mu oddał jego pełną flaszkę wartości piętnastu karlinów. Zwróciłem mu ją z uśmiechem, dziękując za to, że mi dał zarobić piętnaście karlinów. Jednocześnie wspomniałem mimochodem, że wczesnym rankiem wyjeżdżam do Salerno.

– Ale chyba spożyjemy dziś razem wieczerzę? – zapytał.

Tak jak przypuszczałem. Grek zjawił się u mnie nazajutrz o świcie. Przyjąłem go jak najlepiej, mówiąc, że razem zjemy śniadanie.

– Doskonale – odparł – ale czy ksiądz nie sprzedałby mi swojej tajemnicy?

– Chętnie, kiedy spotkamy się w Neapolu...

– A czemu nie dziś?

– Bo czekają na mnie w Salerno, a poza tym ów sekret to rzecz kosztowna, a ja pana nie znam.

– To nie dowód; jestem tu dość znany jak na to, by zapłacić gotówką. Ileż ksiądz żąda?

– Dwa tysiące uncji⁷.

– Dam ci je pod warunkiem, że przy pomocy tej ingrediencji, jaką mi ksiądz wskażesz, i zakupionej osobiście przeze mnie, sam dokonam tego procesu.

– To niemożliwe, bo tu nie znajdziesz pan owej ingrediencji. W Neapolu zaś jest jej bez liku.

– Jeśli to metal, znajdziemy go w Torre del Greco. Możemy pojechać tam razem. Chciałbym wiedzieć, ile kosztuje takie powiększenie objętości.

– Półtora procent, ale czy znają pana również w Torre del Greco? Bo szkoda by mi było czasu.

– Martwi mnie pański brak zaufania.

To mówiąc wziął pióro, skreślił parę słów i oddał mi ten bilecik: „Proszę wypłacić okazicielowi pięćdziesiąt uncji zapisując na konto rachunku Panagiottiego”...

Powiedział przy tym, że bankier mieszka o dwieście kroków od oberży, i nakłonił mnie do pójścia doń osobiście. Nie kazałem się długo prosić, dostałem pięćdziesiąt uncji, po czym wróciłem, wyłożyłem je na stół mówiąc, że możemy już jechać do Torre del Greco, gdzie ubijemy całą sprawę po spisaniu dwustronnej umowy. Miał własne konie i powóz. Zaraz kazał zaprzęgać i wyjechaliśmy, ale przedtem jeszcze uprzejmie poprosił o schowanie owych pięćdziesięciu uncji do mojej własnej kieszeni.

W Torre del Greco wystawił mi formalne zobowiązanie, mocą którego przyrzekł wypłacić dwa tysiące uncji natychmiast, gdy mu wymienię ingrediencję i wyjawię sposób stosowany przeze mnie do powiększenia ilości rtęci o jedną czwartą, bez uszczerbku dla jakości, tak aby rtęć była taka sama jak ta, którą przy nim sprzedałem w Portici.

Poza tym wystawił mi tratę na okaziciela z tygodniowym terminem, ciągnioną na niejakiego Genaro de Carlo. Wówczas wymieniałem mu ołów i bizmut: pierwszy dzięki swej naturze łączy się z rtęcią, a drugi nadaje jej większą płynność, konieczną dla przefiltrowania przez skórę. Grek bez chwili namysłu poszedł przeprowadzić próbę, nie wiem dokąd, ja zaś zjadłem obiad samotnie. Wrócił jednak wieczorem mocno zaaferowany.

– Dokonałem próby – rzekł – ale rtęć jest w złym gatunku.

– Jest taka, jaką sprzedałem w Portici. Pańskie zobowiązanie określa to wyraźnie.

– Ale moje zobowiązanie głosi też: „bez uszczerbku dla jakości”. Otóż przyznaj pan, że jakość doznała uszczerbku. Dowód bodaj w tym, że jej objętość już nie rośnie.

– Wiedziałeś pan o tym: zresztą upieram się przy warunku „równości”. Będziemy się są

⁷ Uncja równała się 24 paoli.

dzili i przegrasz pan. Zły jestem jednak, że tajemnica zostanie zdradzona. Gdybyś pan wygrał, możesz sobie powinszować, żeś wyłudził mój sekret za darmo. Nie sądziłem, że mnie w ten sposób podejdziesz.

– Nie podchodzę nikogo, wielbny księże.

– Znasz sekret, czy go nie znasz? Byłbymże ci go zdradził, gdyby nie nasz układ? Wszyscy będą się śmieli w całym Neapolu, a adwokaci tylko zarobią. Sporo zmartwienia już mi przysporzyła ta sprawa i zły jestem, że się dał nabrać na twoje słodkie słówka. A tymczasem, proszę, oto te pięćdziesiąt uncji.

Wyciągnąłem pieniądze na pół żywy ze strachu, iż gotów je wziąć, lecz on wstał i odszedł nie biorąc ich. Potem wrócił i jedliśmy kolację w tym samym pokoju, ale każdy przy innym stoliku. Toczyliśmy otwartą wojnę, choć byłem przekonany, że się pogodzimy. Przez cały wieczór nie zamieniliśmy jednego słowa, ale nazajutrz rano, gdym się szykowałem do odjazdu, przyszedł na rozmowę. Ponownie chciałem mu zwrócić pięćdziesiąt uncji, lecz prosił, bym je zechciał zatrzymać, przyjmując nowe pięćdziesiąt i oddać mu tratę na dwa tysiące. Zaczęliśmy więc nareszcie mówić do rzeczy i po dwóch godzinach ustąpiłem. Dostałem jeszcze pięćdziesiąt uncji, zjedliśmy wspólnie obiad jak dwaj przyjaciele i uściskaliśmy się serdecznie. Na pożegnanie dał mi jeszcze kartkę do swojego magazynu w Neapolu, upoważniającą do odbioru baryłki muskatowego wina, i podarował kasetkę z dwunastoma świetnej roboty brzytwami w srebrnej oprawie, wykonanymi w Torre del Greco. Rozstaliśmy się więc w najlepszej zgodzie i zupełnie zadowoleni z siebie.

W Salerno zatrzymałem się przez dwa dni, aby się zaopatrzyć w bieliznę i wszystko, co potrzeba.

W dalszą drogę wyjechałem wraz z dwoma księżmi, których jakieś sprawy wzywały do Cosenzy. Sto czterdzieści dwie mile przebyliśmy w czterdzieści osiem godzin. Nazajutrz po przybyciu do tej stolicy Kalabrii wynająłem powozik i pojechałem do Martorano.

Biskupa Berrarda de Bernardis zastałem piszącego niewygodnie przy jakimś nędznym stoliku. W myśl zwyczaju padłem na kolana, ale miast udzielić mi błogosławieństwa, wstał, objął i przycisnął mnie do piersi. Szczerze zmartwił się, kiedy mu powiedziałem, że w Neapolu nie znalazłem żadnych wskazówek, dokąd mam się udać, by mu paść do nóg. Ale rozpogodził się na wiadomość, że nic nikomu nie winien i czuję się dobrze. Kazał mi siąść, westchnął ciężko, zaczął się skarżyć i narzekać, i rozkazał służącemu dodać trzecie nakrycie. Prócz tego sługi Jego Eminencja miał jeszcze gospodynię w najbardziej kanonicznym wieku oraz księdza, który, sądząc po tych paru słowach, jakie wyrzekł przy stole, wydał mi się niebotycznie głupi.

Dom zajmowany przez biskupa był obszerny, ale kiepskiej budowy i niechlujnie utrzymany. Urządzono go tak skąpo, że biedny biskup musiał mi odstąpić jeden z dwóch własnych materaców, abym miał na czym spać w pokoju przylegającym do jego sypialni! Obiad, żeby już nic więcej nie powiedzieć, przeraził mnie. Biskup ściśle obserwujący reguły swojego zakonu pościł owego dnia, a oliwa użyta do potraw miała ohydny smak. Poza tym jednak Jego Eminencja był bardzo wykształconym, a co więcej, niezwykle prawym człowiekiem. Rzekł mi, czemu się niepomiernie zdziwiłem, że jego diecezja, która przecież nie była z tych najmniejszych, przynosi mu najwyżej pięćset dukatów rocznie i że na domiar wszystkiego jest jeszcze zadłużony na sześćset dukatów. Dodał z westchnieniem, że jedynym jego szczęściem jest to, że wy dostał się z łap mnichów, których piętnastoletnie prześladowanie uważa za swój prawdziwy czyściec. Przygnębiły mnie te zwierzenia, bo dając dowód, że mitra wcale nie jest ową ziemią obiecaną, pozwoliły mi też odczuć, jakim będę dla niego ciężarem. Widziałem, że sam jest przygnębiony smutną rzeczywistością, którą mi obnażył.

Zapytałem, czy ma jakieś dobre książki, towarzystwo ludzi wykształconych i godne środowisko dla przyjemnego spędzenia kilku godzin. Odparł z uśmiechem, że w całej diecezji nie znajdzie się taki, który by mógł pochwalić się umiejętnością porządnego pisania, a cóż dopiero mówić o kimś lubującym się w dobrej literaturze i mającym o niej pojęcie; że nie ma

tu ani jednej prawdziwej księgami i ani jednego amatora gazet. Przyrzekł mi jednak, że razem zajmiemy się literaturą, gdy tylko nadejdą książki zamówione w Neapolu.

Cóż, mogło tak być, ale czy bez dobrej biblioteki, wybranego koła znajomych, współzawodnictwa, wymiany listów był to kraj, w którym osiadłbym w osiemnastym roku życia? Pocziwy biskup na widok mojej zadumy i konsternacji, w jaką popadłem wobec perspektywy smutnego życia przy nim, chciał mnie pocieszyć, zapewniając, iż uczyni wszystko, co w jego mocy, dla mego szczęścia.

Nazajutrz, gdy odprawiał pontyfikalną mszę, miałem sposobność przyjrzeć się całemu klerowi oraz kobietom i mężczyznom wypełniającym katedrę. Ten obraz decydująco wpłynął na moje postanowienie opuszczenia owego smutnego kraju. Zdawało mi się, że mam przed sobą nieokrzesane stado. Jakież brzydkie kobiety! Jakież głupie i tępe twarze mężczyzn! Po powrocie do domu oświadczyłem pocziwemu biskupowi, że nie czuję w sobie powołania, aby w ciągu paru miesięcy zakończyć życie jako męczennik tego ponurego miasta.

– Proszę o błogosławieństwo i zwolnienie, a raczej błagam Waszą Eminencję: jedź ze mną, bo przysięgam, że gdzie indziej czeka nas wspaniała przyszłość.

Aż do wieczora śmiał się raz po raz na wspomnienie tej mojej propozycji. Gdyby był ją przyjął, nie byłby umarł w kwiecie wieku w dwa lata później. Ten dzielny człowiek czując, jak gruntowne jest moje obrzydzenie, prosił, abym mu wybaczył błąd, który popełnił ściągając mnie tutaj. Uważał, że powinien odesłać mnie na swój koszt do Wenecji, a nie mając pieniędzy i nie wiedząc, że ja je mam, skierował mnie do pewnego mieszczanina w Neapolu, który miał mi wypłacić sześćdziesiąt dukatów na powrót do ojczyzny. Z wdzięcznością przyjmawszy ten dar, pobiegłem wyciągnąć z moich rzeczy piękną szkatułkę, ofiarowaną mi przez Greka, i prosiłem biskupa, by ją zechciał ode mnie przyjąć na pamiątkę. Z wielkim trudem nakłoniłem go wreszcie do tego, bo szkatulka warta była z sześćdziesiąt dukatów. Musiałem nawet, chcąc przełamać jego opór, użyć argumentu, iż pozostanę, jeśli tego daru nie przyjmie. Dostałem też list do arcybiskupa Cosenzy, w którym biskup nie szczędząc mi pochwał prosił, by mnie na jego koszt odesłano do Neapolu. Tak więc wyjechałem z Martorano w sześćdziesiąt godzin po przyjeździe, gorzko żałując biskupa, którego tam pozostawiłem i który łzami zrosił udzielone mi na drogę błogosławieństwo.

Arcybiskup Cosenzy, człowiek mądry i bogaty, udzielił mi łaskawej gościny. Przy stole z wielkim zapałem i ze szczerego serca wychwalałem biskupa z Martorano. Bezlitośnie jednak krytykowałem jego diecezję, później całą Kalabrię, i to tak zjadliwie, że pobudziłem do śmiechu arcybiskupa, a za nim wszystkich gości, wśród nich zaś dwie damy, jego krewne, które zaszczyliły ten obiad swoją obecnością. Jedna wzięła mi jednak za złe wyśmiewanie się z jej kraju i wstąpiła w szranki, ale zdołałem ją sobie pozyskać oświadczeniem, że gdyby jedna czwarta mieszkańców Kalabrii była do niej podobna, byłby to przepiękny kraj. Cosenza to miasto, w którym człowiek kulturalny może znaleźć rozrywkę, bo są tu ludzie bogaci dobrego stanu, edukowani w Neapolu lub Rzymie, oraz piękne kobiety. Wyjechałem trzeciego dnia zaopatrzonego w list polecający od arcybiskupa do słynnego Antoniego Genovesi.

Jechałem z pięcioma towarzyszami podróży, a sądząc po minach byli to korsarze lub zawodowi złodzieje. Postarałem się więc, by ani odgadli, ani zobaczyli, że mam pełną sakiewkę. Z tego też powodu spałem w ubraniu, co jest rzeczą wielce w tym kraju wskazaną dla każdego młodzieńca.

Do Neapolu przybyłem 16 września 1743 roku i natychmiast udałem się pod adres podany w liście biskupa z Martorano. Okazało się, że skierował mnie do niejakiego Gennaro Polo, który – mimo że miał tylko wypłacić mi sześćdziesiąt dukatów – zaproponował po przeczytaniu listu, abym zatrzymał się u niego, bo chciał mnie poznać ze swoim synem, który był również poetą, a z listu biskupa dowiedział się, że mam rzadko spotykane zdolności. Po zwykłych w takich razach ceregielach przyjąłem zaproszenie, kazałem przenieść moje rzeczy i zamieszkałem pod jego dachem.

W Neapolu szczęście dopisuje Casanovie: spotyka bogatego krewnego, który hojnie darzy go pieniędzmi. Casanova jednak nie zatrzymuje się tu długo i zaopatrzonego w list polecający do kardynała Acquaviva jedzie do Rzymu. W drodze – nowy romans.

Po przybyciu do Rzymu Casanova zostaje sekretarzem kardynała i rzuca się w wir wielkoświatowych intryg. Pisze wiersze i polityczne satyry. Kompromituje się jednak w pewnej przygodzie miłosnej i musi opuścić Rzym. Decyduje się na Konstantynopol.

Dostaje list polecający od kardynała do Osman-paszy i wyjeżdża. Jedzie do Wenecji, a gdy tam dociera po kilku przygodach, wstępuje pod sztandary Republiki i w miłym towarzystwie Nanette oraz Marton spędza miesiąc przed odjazdem na Wschód.

Po licznych przygodach, dezercji i powrocie do wojska znowu ląduje w Wenecji. Sprzedaje swój patent oficerski za sto cekinów i chce zostać zawodowym graczem. Po tygodniu jednak nie ma już ani grosza!

Żyje teraz z gry na skrzypcach, hula i bawi się. Przypadkiem poznaje senatora Bragadina, którego ratuje od śmierci, a potem oczarowuje swoimi kabalistycznymi zdolnościami. Ale złośliwy figiel (wśród wielu innych spleatanych przez Casanovę), którego ofiarą pada pewien Grek, kończy się skandalem. Oskarżony o zbezczeszczenie grobu Casanova musi uchodzić z Wenecji.

Nowa włóczęga, nowe przygody, w których miłość odgrywa niemałą rolę – i znów powrót do Wenecji.

W 1750 roku szczęście uśmiecha się do Casanovy: wygrywa na loterii trzy tysiące dukatów i jedzie do Paryża, o czym dawno marzył. Po drodze, w czasie pobytu w Lyonie, zostaje przyjęty do loży masońskiej.

W Paryżu intensywnie uczy się języka i szybko go opanowuje. Obraca się w świecie aktorskim, spędza czas z bratem-malarzem, pisze i tłumaczy sztuki. Potem podróżuje i wreszcie w 1754 roku znów jest w Wenecji.

Wraca do dawnych przyzwyczajzeń. Gra ze zmiennym szczęściem, bawi się i romansuje. Pewnego dnia w drodze z Padwy ratuje jakąś piękną damę, która jechała kabrioletem w towarzystwie oficera. O mało co nie wpadła do rzeki, gdy powozik się wywrócił. Nazajutrz Casanova wypadkiem spotyka tę damę i próbuje ją uwieść. Jest ona przyjaciółką wspomnianego oficera, którego Casanova określa inicjałami P. C. Ów oficer to szalbierz zajmujący się ciemnymi interesami na tle dostaw dla wojska. Prosi teraz Casanovę o poręczenie mu weksli i wprowadza go do domu swoich rodziców. Tam Casanova poznaje jego siostrę, piękną C. C.

POZNAJĘ PANNE C. C.

Panna C. C. wychodziła wyłącznie z matką, choć dewotką, jednak osobą wyrozumiałą i pobłażliwą. Czytywać mogła jedynie książki z biblioteki ojca, człowieka mądrego, który wcale nie interesował się powieściami i romansami, gdy ona pałała chęcią poznania tej lektury. Równie gorąco pragnęła poznać życie weneckie, a że nikt nie bywał u nich w domu, nikt też nigdy nie rzekł jej, że jest istnym cudem.

Nie powiedziałem jej, ani jak bardzo jest piękna, ani nie zdradziłem się przed nią z moją miłością, bo tylekroć skłamawszy wobec innych, obawiałem się obudzić w niej podejrzenie moim wyznaniem.

Wyszedłem z tego domu smutny, rozmarzony i niezwykle przejęty rzadkimi zaletami tej czarującej istoty, ale zdecydowany nie widywać jej więcej. Czułem, iż nie nadaję się do tego, aby poświęcić swoją wolność prosząc o jej rękę, aczkolwiek uważałem, iż nikt lepiej od niej nie zdołałby zapewnić mi szczęścia.

W dwa dni po mojej wizycie u P. C. niespodziewanie spotkałem się z nim na ulicy. Powiedział, że jego siostra bezustannie mówi o mnie, że pamięta wiele z tego, com jej opowiadał, i że ich matka jest zachwycona moją osobą.

– Będzie doskonałą partią dla pana – dorzucił – gdyż dostanie w posagu dziesięć tysięcy dukatów w brzęczącej monecie. Jeśli odwiedzisz mnie pan jutro, napijemy się kawy z moją matką i siostrą.

Przyrzekłem sobie nie przekroczyć ich progu, lecz nie dotrzymałem słowa. Zresztą w takich wypadkach człowiek łatwo łamie postanowienia.

Trzy godziny rozmawiałem z tą czarującą osobą i wyszedłem nieprzytomnie zakochany. Na pożegnanie rzekłem jej, że zazdroścę człowiekowi, który ją pojmie za żonę, a ów komplement, pierwszy, jaki usłyszała w tym rodzaju, powlókł jej piękną twarzyczkę żywym rumieńcem.

Zastanowiwszy się po wyjściu nad tym moim uczuciem przeraziłem się, albowiem zdałem sobie sprawę, że nie mogę postąpić ani jak człowiek szlachetny, ani jak rozpustny; nie mogłem ubiegać się o zaszczyt poślubienia C. C., a bez namysłu zasztyletowałbym każdego, kto by mi doradził, abym ją uwiódł. Musiałem czymś rozerwać myśli i poszedłem grać. Czasami gra jest najlepszym lekiem na miłość. Szczęście mi dopisało i wyszedłem z sakiewką pełną złota.

Nazajutrz przyszedł do mnie P. C. i oznajmił rozradowany, że matka pozwoliła mu zabrać siostrę do opery, że mała jest uszczęśliwiona, bo nigdy tam nie była, i że jeżeli chcę, mogę się z nimi gdziekolwiek spotkać.

- Czy siostra pańska wie, że chcesz mnie przypuścić do towarzystwa?
- Bardzo się z tego cieszy.
- A pańska matka też wie o tym?
- Nie, ale jeśli się dowie, nie będzie się gniewać, bo nabrała do pana sympatii.
- Spróbuję dostać lożę.
- Doskonale; czekaj nas pan tam a tam.

Filut nawet nie bąknął o wekslach, a widząc, że dałem spokój jego bogdance i że całkowicie zająłem się jego siostrą, postanowił zabawić się w rajfura. Żalowałem matki i córki, które

ufały podobnemu osobnikowi; nie byłem jednak aż tak szlachetny, aby zrezygnować ze wszystkiego. Tłumaczyłem sobie nawet, że w imię mojej miłości dla C. C. powinienem przyjąć tę propozycję, aby uchronić ukochaną przed jakimiś innymi pułapkami, bo gdybym się wycofał, lądak mógłby znaleźć kogo innego o mniejszych skrupułach, a tej myśli nie mogłem znieść. Uważałem, iż z mojej strony pannie C. C. nic nie zagraża.

Zamówiłem łożę w operze Św. Samuela i o wiele przed czasem czekałem w oznaczonym miejscu. Wreszcie przybył P. C. z siostrą, a widok mojej młodej przyjaciółki sprawił mnie w zachwyt. Miała prześliczną maskę, a brat jej wdział mundur. Bojąc się, że zdradzi ją osoba brata, zaprosiłem oboje do mojej gondoli. P. C. chciał, abym go wysadził przy domu jego kochanki, niedomagającej, jak mówił, i prosił, byśmy sami udali się do opery, gdzie nas odnajdzie. Zdziwiło mnie, że C. C. nie wydaje się zaskoczona i nie okazuje niechęci do pozostania sam na sam ze mną w gondoli; natomiast nie zdziwiłem się wcale zniknięciem jej brata, albowiem zamierzał on najwidoczniej wyciągnąć z tego korzyść. Powiedziałem C. C., że zażyjemy przejażdżki aż do czasu rozpoczęcia się przedstawienia, i poprosiłem, aby ze względu na dotkliwy upał zdjęła maskę, co uczyniła natychmiast. Postanowienie uszanowania niewinności tej ukochanej istoty, szlachetna pewność malująca się na jej twarzyczce, ufność spojrzenia i nie ukrywana dziecinna uciecha powiększały moją miłość.

Nie wiedząc, o czym tu mówić, gdyż oczywiście mogłem mówić tylko o miłości, a był to drażliwy temat – kontentowałem się obserwowaniem czarującej postaci mojej towarzyszki. Nie śmiałem jednak spocząć wzrokiem na dwóch rozkwitających półkulach, zaokrąglonych dłutem amora, by nie urazić jej wstydlivości.

– Niechże pan coś powie – rzekła. – Patrzysz tylko na mnie bez jednego słowa. Zdobyłeś się pan dziś na ofiarę, bo mój brat byłby cię zabrał do swojej damy, która podobno jest piękna jak anioł.

– Widziałem tę panią.

– Musi być bardzo zajmująca.

– Możliwe, ale nie zdołałem tego zauważyć, bom nigdy u niej nie był i nie zamierzam pójść kiedykolwiek. Nie sądz zatem, piękna C., że zdobyłem się na jakieś poświęcenie.

– Myślałam tak, bo skoro nic nie mówisz, sądziłam, iż trawi cię smutek.

– Jeśli nic nie mówię, to dlatego, że twoja anielska ufność, pani, wzrusza mnie do głębi.

– Bardzo mnie to cieszy; lecz jak mogłabym ci nie ufać? Przy tobie czuję się znacznie swobodniej i pewniej, niż gdybym była z moim bratem. Nawet matka mówi, iż nie można wątpić w twoją wielką szlachetność serca. I wreszcie: jesteś pan kawalerem; to była pierwsza rzecz, o którą zapytałam brata. Pamięta pan, powiedziałeś mi, że zazdrościsz temu, co dostanie mnie za żonę. A ja teraz mówię, że ta, która ciebie dostanie za męża, będzie najszcześliwszą kobietą w Wenecji.

Te słowa, wygłoszone z naiwną prostotą i owym szczerym tonem, co płynie prosto z serca, wywarły na mnie trudne do opisanie wrażenie. Cierpiałem, iż nie wolno mi złożyć najczulszego pocałunku na koralowych wargach, które je wygłosiły. Aliści jednocześnie odczuwałem rozkoszne zadowolenie, iż jestem kochany przez tego anioła.

– Droga C., czy w tej jedności uczuć – powiedziałem – nie moglibyśmy znaleźć doskonałego szczęścia, gdybyśmy zdołali połączyć się nierozzerwalnymi więzami? Tylko że ja mogłbym być twoim ojcem.

– Pan moim ojcem? Cóż za bajki! Czy wiesz pan, że mam czternaście lat?

– Czy wiesz pani, że ja mam ich dwadzieścia osiem?

– Dobrze! Któż w pańskim wieku mógłby mieć taką córkę? Śmiać mi się chce na myśl, że gdyby mój ojciec przypominał pana, wcale bym się go nie bała: nie mogłabym czuć przed nim żadnego respektu.

Zbliżała się godzina rozpoczęcia spektaklu i wysiedliśmy z gondoli, aby udać się do teatru, gdzie przedstawienie całkowicie pochłonęło uwagę C. C. Brat jej zjawił się dopiero przy koń-

cu, tak jak to sobie naprzód obliczył. Zabrałem oboje do jakiejś oberży na kolację, a widok tej ślicznej osóbkki, jedzącej z ogromnym apetytem, kazał mi zapomnieć, że jestem bez obiadu. Nie odzywałem się prawie wcale, gdyż byłem chory z miłości i tak podniecony, iżem sobie rady dać nie mógł. Aby usprawiedliwić swoje milczenie, udałem ból zęba; żałowano mnie i pozostawiono w spokoju.

Po kolacji P. powiedział siostrze, że kocham się w niej na zabój i że jeżeli będę ją mógł pocałować, z pewnością sprawi mi to ulgę. W odpowiedzi tylko zwróciła się ku mnie z roześmianymi ustami, dopominającymi się pocałunku. Płonałem z pożądania, ale tak czciłem to czyste i naiwne stworzenie, że pocałowałem ją tylko w policzek, i to całkiem chłodno na pozór.

– Ładny mi pocałunek! – wykrzyknął P. – Śmiało, śmiało, całuj pan jak należy!

Nie ruszyłem się: drażnił mnie ten bezwstydnny kusiciel, ale jego siostra odwróciła głowę mówiąc z przejęciem:

– Nie nalegaj, skoro nie mam szczęścia mu się podobać.

Te słowa jeszcze bardziej mnie podnieciły; przestałem nad sobą panować.

– Jak to! – wykrzyknąłem z zapalem. – Jak to! Nie raczysz pani łączyć mojej powściągliwości z uczuciem, które we mnie wzbudziłaś? Sądysz, że mi się nie podobasz? Jeśli tylko pocałunek wystarczy, aby cię przekonać, daję ci go wraz z całą moją miłością.

Porwałem ją w ramiona i tuląc do piersi wycisnąłem na jej ustach długi, namiętny i z dawną upragnioną pocałunek, a z jego charakteru wyczuła łagodna gołębica, że wpadła w szpony sępa. Wyśliznęła się z objęcia zdumiona, że w ten sposób zdradziłem się ze swoją miłością. Brat jej gratulował mi hałaśliwie, gdy ona, dla ukrycia zmieszania, nakładała z powrotem maskę. Zapytałem, czy i teraz jeszcze przypuszcza, że mi się nie podoba.

– Przekonałeś mnie pan – odrzekła. – Ale nie powinienesz mnie karać za to, że się pomyliła.

Ta subtelna odpowiedź wielce przypadła mi do gustu, gdyż była wyrazem uczucia, ale P. C. uważał ją za głupią, jako że nie zgadzała się z jego planami.

Nałożywszy maski wyszliśmy, a gdy odwiozłem ich do domu, wróciłem do siebie bardzo rozkochany i w gruncie rzeczy zadowolony, choć wielce smutny...

Nazajutrz P. C. przyszedł do mnie oznajmiając z triumfalną miną, że jego siostra powiedziała matce o naszej miłości i że jeśli ma wyjść za męża, może być szczęśliwa jedynie ze mną.

– Uwielbiam pańską siostrę – odparłem. – Ale czy sądzisz pan, iż twój ojciec zechce mi ją dać?

– Nie, ale on jest stary. Na razie więc kochajcie się i czekajcie. Matka zezwala siostrze pójść z nami do opery.

– Wspaniale, drogi przyjacielu, pójdziemy więc.

– Niestety, muszę pana prosić o wyświadczenie mi niewielkiej przysługi.

– Rozkazuj pan.

– Trafia mi się wspaniałe wino cypryjskie, i to bardzo tanio; mogę dostać całą beczkę w zamian za weksel z terminem półrocznym. Jestem pewien, że od razu sprzedam je z zyskiem. Ale kupiec żąda poręczenia i przyjmie pańskie, jeśli mi go zechcesz udzielić. Czy podzyrujesz mój weksel?

– Z przyjemnością.

Podpisałem weksel bez zmrużenia oka, bo jakież zakochany śmiertelnik w podobnych warunkach odmówiłby człowiekowi, który przez zemstę mógłby go unieszczęśliwić? Umówiliśmy się na wieczorne spotkanie i rozstaliśmy się zadowoleni z siebie.

Ubrawszy się wyszedłem i kupiłem tuzin rękawiczek, tyleż par jedwabnych pończoch oraz parę haftowanych podwiązek ze złotymi zapinkami. Z przyjemnością myślałem o tym pierwszym prezencie, który ofiaruję swojej nowej przyjaciółce.

Nie potrzebuję chyba mówić, że na spotkanie stawilem się punktualnie. Jednak z daleka dostrzegłem, że już na mnie czekają. Bardzo by mi pochlebily te względy, gdybym się nie był domyślił intencji P. C., bo ledwie zdążyłem się przywitać, oznajmił mi, że musi załatwić jakąś pilną sprawę i dlatego pozostawi nas we dwoje z C. C. i przyjdzie pod koniec przedstawienia. Gdy odszedł, zaproponowałem C. C. przejażdżkę gondolą aż do rozpoczęcia się spektaklu.

- Nie – odrzekła – jedźmy raczej do ogrodu Zuecca.
- Chętnie.

Wsiedliśmy do gondoli i popłynęliśmy na Saint-Blaise, do pewnego znanego mi ogrodu, który za jednego cekina objąłem w wyłączne posiadanie na cały dzień, i nikt poza nami nie mógł tam wejść. A tak się stało, że oboje byliśmy bez obiadu. Zamówiłem więc suty posiłek, potem zaś poszliśmy na górę, do pokojów hotelowych, zdjęliśmy maski i domina i zeszliśmy znów do ogrodu.

Przemiała C. C. miała na sobie tylko skromną taftową spódniczkę i takiż staniczek; ale w tym prostym stroju była zachwycająca! Rozkochanym spojrzeniem przenikałem te osłony i oczami duszy widząc ją całkiem nagą wdychałem z hamowanego pożądania i namiętności.

Gdy znaleźliśmy się w długiej alei, moja mała towarzyszka, zwinna jak sarenka, która po raz pierwszy zaznała szczęścia hasania po murawie, zdjęta przemożną radością jeła biegać tu i tam. Wkrótce, gdy przystanęła dla złapania tchu, ujrzała, że przyglądam jej się z niemym zachwytem, jak by w ekstazie, i wybuchnęła śmiechem na ten widok.

Niebawem kazała mi się ścigać z sobą. Zgodziłem się ochoczo, ale postanowiłem urozmaicić tę zabawę jakimś zakładem. Powiedziałem więc:

- Pokonany będzie musiał zrobić to, co rozkaże zwycięzca.
- Doskonale, zgoda.

Wyznaczamy metę i biegniemy. Byłem pewny wygranej, ale postanowiłem przegrać, aby zobaczyć, czego ode mnie zażąda. Od razu pędzi co sił, gdy ja szcędzę swoich, toteż do mety przybiega przede mną. Łapiąc oddech zastanawia się, jak mnie ukarać, potem biegnie ukryć się za drzewa i rozkazuje mi odnaleźć jej pierścionek. Ukryła go na sobie, przez co cała oddaje się pod moją władzę. Oczarowała mnie tym, gdyż jasno przejrzałem i podstęp, i intencje. Jednakże wiedziałem, że nie wolno mi nadużyć jej zaufania, przeciwnie, bo te naiwne uczucie należało nawet pogłębić. Usiedliśmy na trawie i zacząłem przeszukiwać jej kieszenie, fałdy staniczka i spódnicy, potem trzewiki i podwiązki, które nosiła zapięte pod kolanami. A że nie znalazłem pierścionka, szukałem dalej, bo go przecież miała na sobie i wypadało go znaleźć. Czytelnik zapewne zgaduje, że domyślałem się, w jakim to czarownym schowku moja ślicznotka ukryła klejnocik; powiedziałem sobie jednak, że nim tam dotrę, muszę w pełni zakosztować wszystkich przyjemności, co też czyniłem z rozkoszą. W końcu znalazłem pierścionek, schowała go między dwa krągłe wzgórki, najpiękniejsze z tych, jakie natura kiedykolwiek wytoczyła. Ręka trzęsa mi się z szalonego podniecenia, gdy go stamtąd wydobywałem.

- Dlaczego pan drży? – zapytała C. C.
- Z radości, że znalazłem pierścionek, bo schowałeś go, pani, wybornie! Ale winnaś mi rewanż i tym razem już mnie nie pokonasz.
- Zobaczymy.

Pobiegliśmy i widząc, iż biegnie niezbyt szybko, sądziłem, że łatwo ją prześcignę, gdy zechcę. Ale myliłem się. Oszczędzała sił i kiedy byliśmy na dwóch trzecich drogi, wysunęła się naprzód, minęła mnie i ujrzałem, że przegrywam. Uciekłem się więc do niezawodnego podstępu: udałem, że padam jak długi, krzyknąwszy przy tym boleśnie. Biedne maleństwo przystaje przerażone, podbiega i bolejąc nade mną pomaga mi wstać. Już na nogach i nieco wysunięty przed nią, parskam śmiechem, rzucam się naprzód z impetem i pierwszy dopadam mety.

Czarująca zawodniczka mówi osłupiała:

– A więc nic się panu nie stało?

– Nie, bo upadłem umyślnie.

– Umyślnie? By mnie zwieść! Nie posądzałam cię o to. Nie wolno szachrować w grze i dlatego wcale nie przegrałam.

– Jednak przegrałaś pani, bo byłem pierwszy u mety; a podstęp za podstęp, przyznaj sama, że też próbowałaś mnie zwieść biegnąc z początku powoli.

– Ale to jest dozwolone, gdy pański podstęp, drogi przyjacielu, był zgoła innego rodzaju.

– Jednak dał mi zwycięstwo, a *vincasi per fortuna o per ingano, il vincer sempre fù laudabil cosa*⁸.

– Często słyszałam to od mego brata, lecz nigdy od ojca. Zresztą poddaję się. Rozkazuj, skaz mnie: będę ci posłuszna.

– Zaczekaj, pani. Usiądźmy, bo muszę się namyślić. Skazuję panią na wymianę ze mną podwiązek.

– Podwiązki? Widziałeś je pan, są brzydkie i mało co warte.

– To nie ma znaczenia. Dwa razy dziennie będę myślał o przedmiocie mojej miłości, i to w tych samych chwilach, kiedy pani będziesz zmuszona przypomnieć sobie o mnie.

– Bardzo ładny pomysł, który mi schlebia. Wybaczam panu teraz, żeś mnie oszukał. Oto moje brzydkie podwiązki. Ach, mój najdroższy oszuście, jakie te są śliczne! To piękny naprawdę podarek. Będą się bardzo podobały mojej matce! Pewnie dostałaś je w prezencie niedawno, bo są nowiusieńkie.

– To nie prezent; kupiłem je specjalnie dla pani i łamałem sobie głowę nad tym, jak ci je ofiarować. Miłość natchnęła mnie myślą, aby uczynić z nich nagrodę w wyścigu. Teraz możesz pani wyobrazić sobie moje strapienie, kiedym ujrzał, że wygrywasz. Z rozpaczy zrodził się ów fortel oparty na uczuciu, które ci tylko zaszczyt przynosi. Przyznaj pani bowiem, iż zdradziłabyś niezwykłą twardość serca, gdybyś mi nie pospieszyła z pomocą.

– Jednak jestem pewna, że nie uciekłbyś się pan do tego podstępu, gdybyś był wiedział, jaki ból mi sprawisz.

– Tak żywym więc darzysz mnie zainteresowaniem?

– Uczynię wszystko, by cię o tym przekonać. Bardzo mi się podobają moje śliczne podwiązki: nigdy nie włożę innych i ręczę przy tym, że mój brat mi ich nie skradnie.

– Mógłby to zrobić?

– O, z pewnością! Zwłaszcza jeśli sprzączki są ze złota.

– Są złote; ale powiedz mu pani, że to miedź pozłacana.

– Czy nauczysz mnie pan zapinać te piękne sprzączki?

– Oczywiście.

Poszliśmy na obiad. Po posiłku, któremu – jak sobie przypominam – oboje oddaliśmy należną cześć, C. C. rozweseliła się jeszcze bardziej, a ja rozkochałem się w niej jeszcze goręcej, będąc tym godniejszy pożałowania, że powziąłem był owo ciężkie postanowienie. Płonąc z niecierpliwości włożenia podwiązek poprosiła mnie o pomoc, i to w najlepszej wierze, bez szelmostwa czy kokieterii. Młodej dziewczynie, która mimo swych piętnastu wiosen nie przestaje z rówieśnicami i nie bywa w świecie, obcą jest gwałtowna żądza i to wszystko, co ją wzbudza. Z pewnością nie ma też najmniejszego pojęcia o niebezpieczeństwie, które się kryje w pozostawianiu sam na sam z mężczyzną. Gdy po raz pierwszy zakocha się, instynktownie uważa, iż przedmiot jej uczuć godzien jest pełnego zaufania, i myśli, że tylko wtedy będzie kochana, jeżeli złoży mu dowód całkowitej ufności.

C. C. znajdując, iż ma zbyt krótkie pończochy, by zapiąć podwiązki ponad kolanami, oznajmiła, że będzie je nosić przy dłuższych. Skorzystałem z tego i natychmiast zręcznie wyciągnąłem z kieszeni te, które kupiłem dla niej, prosząc, aby je przyjęła. Rozradowana i

⁸ Vincasi...-Czy zdobyte trafem, czy podstępem zwycięstwo zawsze jest rzeczą chwalebna.

wdzięczna siadła mi na kolanach i obsypała pocałunkami, jakich nie szczędziłaby własnemu ojcu za podobny prezent. Oddawałem jej całusy tłumiąc z całej siły gwałtowne pożądanie i powiedziałem jej tylko, że każdy taki całus to więcej niż królestwo. Uroczą C. C. zdjęła bučki i wciągnęła pończochy, które sięgały aż do pól uda. Im bardziej poznawałem jej niewinność, tym mniej miałem śmiałości, by zawładnąć tym czarującym łupem.

Zeszliśmy znów do ogrodu, gdzie przechadzaliśmy się do wieczora, za czym udaliśmy się do opery, przezornie osłonięci maskami, albowiem w niedużym teatrze łatwo zostalibyśmy poznani, a moja uroczą przyjaciółką była pewna, że ojciec już by jej nie wypuścił z domu, gdyby się dowiedział, iż korzysta z podobnych przyjemności.

Zdumiała nas nieobecność P. C. Po naszej lewej stronie siedział markiz de Montalegre, ambasador Hiszpanii, w towarzystwie panny Bola, swojej oficjalnej metresy, z prawej zaś – zamaskowana para, mężczyzna i kobieta. Te dwie maski nie spuszczały nas z oczu, ale moja przyjaciółeczka, siedząc do nich tyłem, nie mogła tego dostrzec. A gdy podczas baletu położyła na oparciu łoża libretto opery, zamaskowany mężczyzna sięgnął ręką i wziął je. Sądząc więc, że jest to ktoś znajomy, powiedziałem o tym swojej przyjaciółce, która odwróciwszy się rozpoznała brata. Kobieta w masce była więc jego kochanką. P. C. znał numer naszej łoży, wziął zatem sąsiednią, a że na pewno miał w tym jakiś cel, podejrzewałem, że chce w czasie kolacji zetknąć swoją siostrę z tą kobietą. Rozgniewało mnie to, lecz cóż mogłem poradzić, chyba zerwać z nim otwarcie, ale byłem zakochany.

Po drugim balecie P. C. wszedł do naszej łoży razem ze swoją bogdanką. Wymieniwszy zwykle w takich razach uprzejmości zawarliśmy znajomość i poszliśmy na kolację do jego *casino*⁹. Kiedy obie damy zdjęły maski, ucałowały się serdecznie, a metresa pana P. C. rozplywała się w zachwytach nad moją małą przyjaciółką. Przy stole siliła się, aby ją traktować z uprzedzającą grzecznością, C. C. zaś, nie nawykła do światowego obejścia, odwzajemniała się jej szczególnym szacunkiem. Widziałem jednak, że mimo swego wyrafinowania metresa pana P. C. nie potrafiła ukryć gniewa na widok tej wyższości wdzięków, które przełożyłem ponad jej własne. P. C. szalenie wesoło wysiłał się na płaskie dowcipy, które budziły śmiech jedynie jego bogdanki. Ja byłem zły, wzruszałem więc tylko ramionami, a jego siostra nie rozumiejąc owych żartów nie mogła na nie w ogóle reagować. Z tych to powodów nasza czwórka stanowiła źle dobrane towarzystwo.

Przy deserze P. C., nieco rozgrzany winem, wziął w objęcia swoją ukochaną zapraszając mnie, abym to samo uczynił z jego siostrą. Odparłem, że naprawdę kochając pannę C. C. nie pozwolę sobie na to dopóty, dopóki nie nabędę praw do jej serca. P. C. począł żartować na ten temat, ale jego metresa kazała mu być cicho. Wdzięczny za ten przyjazny akt wyjąłem z kieszeni zakupiony tuzin par rękawiczek i ofiarowawszy jej sześć par, poprosiłem C. C., by przyjęła resztę. P. C. drwiąc i żartując wstał od stołu i pociągnawszy za sobą swoją kochankę, która również dość hojnie korzystała z winnicy pańskiej, padł wraz z nią na kanapę. Widok stał się drażliwy, postanowiłem więc zasłonić go sobą i pociągnąłem swoją małą przyjaciółkę we wgłębienie okna. Nie mogłem jednak zapobiec temu, aby nie widziała w szybie zachowania się tej bezwstydney pary, toteż jej twarzyczka spłonęła rumieńcem. Ale że nie powiedziałem jej nic nieprzyzwoitego, poczęła mówić o pięknych rękawiczkach, które składała i rozkładała na konsoli. Po swoim brutalnym akcie bezwstydney P. C. podszedł i uściskał mnie, a jego rozwiązała towarzysza, biorąc z niego przykład, objęła moją przyjaciółeczkę. Wyraziła przy tym nadzieję, że nie widziała ona owej sceny. C. C. odrzekła skromnie, iż nie wie, co mogła była zobaczyć, ale spojrzenie, które mi przesłała, zdradziło jej prawdziwe uczucia. Gdy chodzi o to, co ja czułem, niech to czytelnik odgadnie, jeśli zna serce mężczyzny. Jak tu znieść taki widok w obecności niewinnego dziewczątka, które ubóstwiałem, gdy ponadto przyszło mi walczyć z własnym pożądaniem i nie zawieść pokładanego we mnie zaufania! Stałem jak na rozżarzonych węglach!

⁹ Casino – willa lub apartament przeznaczony na zabawy i rozrywki.

Moja miłość do C. C. rosła z każdym dniem, toteż postanowiłem za nic w świecie nie pozwolić na to, aby jej niecny brat przeefrymarczył ją komuś innemu, nie mającemu tych skrupułów, które się we mnie budziły. A sprawa wydawała się naglić... Powiedziano mi, że P. C. jest zadłużony po uszy, że zbankrutował w Wiedniu, gdzie ma żonę i dzieci, że w Wenecji przyniósł wstyd swojemu ojcu...

Wiedziony tym potężnym uczuciem, które ludzie zwą idealną miłością, poszedłem naza jutrz do P. C. i powiedziałem przede wszystkim, że uwielbiam jego siostrę żywiąc wobec niej jak najczystsze intencje. Następnie dałem mu do zrozumienia, jaką to przykrość wyrządził mi zapominając o tych względach i wstydzie, o których największy nawet rozpustnik winien pamiętać, jeżeli chce uchodzić za człowieka światowego.

– Nawet za cenę rezygnacji z widywania takiego anioła, jakim jest pańska siostra – rzekłem – postanowiłem nie przebywać więcej w twoim towarzystwie; ostrzegam cię jednak, mój panie, iż potrafię zapobiec temu, aby i ona pokazywała się z tobą; albowiem gotowa stać się w twoich rękach stawką w jakimś haniebnym przetargu.

Jął się tłumaczyć od nowa, kładąc swoje postępowanie na karb pijaństwa i nieświadomości, iż ja kocham jego siostrę miłością idealną, wykluczającą pożądanie. Płakał, całował mnie, błagał o przebaczenie i pewnie dałbym się ugłaskać, gdyby nie to, że w tej samej chwili weszła jego matka z siostrą. Obie zaczęły mi wylewnie dziękować za piękny podarunek. Odpowiedziałem matce, że zezwalam sobie miłować jej córkę w tej tylko nadziei, iż mi ją da za żonę.

– Z tą nadzieją, pani – dorzuciłem – będę mówił z jej czcigodnym małżonkiem, zaraz gdy zdobędę pozycję pozwalającą mi na godziwe utrzymanie żony, tak, bym uczynił ją szczęśliwą.

To, com oznajmił matce, zdumiało córkę, lecz jej zdumienie wzrosło, gdy dowiedziała się, co rzekłem jej bratu. Po chwili namysłu powiedziała mu, że każdy inny mężczyzna na moim miejscu byłby ją zgubił oraz że gdyby była jego damą serca, nigdy by mu nie darowała tego zachowania się, które obraziło je obie jednak. P. C. płakał, ale ów zdrajca umiał płakać na zawołanie.

Działo się to w Zielone Świąta, a że teatr był nieczynny, P. C. rzekł mi, że jeśli zechcę stawić się w zwykłym miejscu, przybędzie tam wraz z siostrą, potem zaś, ponieważ honor nie pozwala mu pozostawić swojej bogdanki samej, udzieli nam zupełnej swobody.

– Dam panu swój klucz – dodał – i odprowadzisz moją siostrę tutaj, gdy już zjecie kolację, gdzie wam się spodoba.

Z tymi słowy dał mi klucz, którego przyjęcia nie miałem siły odmówić, i odszedł. W chwilę potem wyszedłem i ja, powiedziawszy mej przyjaciółce, że nazajutrz pojedziemy do ogrodu Zuecca.

– Brat mój postąpił tak szlachetnie, jak tylko mógł – rzekła mi.

Na spotkanie stawiłem się punktualnie i gorejąc z miłości rozkoszowałem się myślą o czekających mnie słodkich chwilach. Przezornie wynająłem łożę w operze, ale w oczekiwaniu wieczoru udaliśmy się do naszego ogrodu. Z racji święta sporo stolików było zajętych, nie chcąc więc mieszać się z pośledniejszym towarzystwem postanowiliśmy zostać w pokojach gościnnych, których zażądałem, i pójść do opery na koniec przedstawienia; zamówiłem zatem wyborną kolację. Mieliśmy przed sobą siedem godzin, podczas których – jak rzekła moja uroczą kochanka – nie zaznamy nudy. Uwolniwszy się od maski i domina usiadła mi na kolanach, mówiąc, że całkowicie podbiłem ją moim powściągliwym zachowaniem się po tamtej okropnej kolacji; jednak te rozważania sownie okraszaliśmy pocałunkami, które coraz bardziej rozpalały w nas krew.

– Czyś widział – spytała – co brat mój robił ze swoją damą, kiedy dosiadła go niby konia?

– Widziałem tylko w lustrze, ale wyobrażam to sobie doskonale. Czy nie obawiałaś się, że i ja postąpię tak samo z tobą?

– Nie, zapewniam cię. Czyż mogłabym się obawiać, gdy wiem, jak bardzo mnie kochasz? Tak byś mnie upokorzył, że nie mogłabym cię więcej kochać. Uszanujemy się do czasu, aż się pobierzemy, nieprawdaż, mój ukochany? Nie wyobrażasz sobie nawet, z jaką radością słuchałam, gdyś się oświadczał o mnie mojej matce! Będziemy się wiecznie kochali. Ale *à propos*, mój drogi, przetłumacz mi słowa wyhaftowane na moich podwiązkach.

– Jest tam jakaś dewiza? Nic o tym nie wiedziałem.

– Ależ tak, po francusku: bądź tak dobry i przeczytaj mi.

Siedząc na moich kolanach odpięła jedną podwiązkę, gdy ja odpiąłem jej drugą. Oto wiersze, które powinienem był przeczytać, zanim ofiarowałem jej ten prezent:

Codziennie oglądając mej damy klejnocik
Żądaj odeń wierności: Amor lubi psocić.

Te wiersze, niewątpliwie frywolne, wydały mi się zgrabne, zabawne i wcale dowcipne.

Parsknąłem śmiechem, potem zaś roześmiałem się po raz wtóry, gdy zobligowany przez C. C. musiałem przełożyć treść dwuwiersza. A że nie rozumiała, o co chodzi, trzeba było wdać się w szczegóły, co nas jeszcze bardziej zagrzało.

– Nie ośmielę się nikomu pokazać moich podwiązek, i to mnie martwi.

Widząc, że się zadumałem, spytała:

– Powiedz, o czym rozmyślasz?

– Myślę, że te szczęśliwe podwiązki dostały przywileju, który może nigdy nie będzie moim. Jakże chciałbym znaleźć się na ich miejscu! Być może umrę z tego pragnienia i umrę nieszczęśliwy.

– Nie, mój przyjacielu, gdyż ja, w tym samym położeniu co ty, pewna jestem swego życia. Zresztą możemy przyspieszyć nasze małżeństwo. Co do mnie, gotowam jutro przysiąc ci wiary, jeśli chcesz. Jesteśmy niezależni i ojciec musi się zgodzić.

– Rozumiesz słusznie, będzie musiał się zgodzić chociażby dla ratowania honoru. Jednak pragnę złożyć mu dowód szacunku prosząc o twoją rękę, a potem już szybko załatwimy wszystko. Wystarczy tydzień lub dziesięć dni.

– Tak szybko? Zobaczysz, iż powie, że jestem jeszcze za młoda.

– Kto wie, czy nie będzie miał racji.

– Nie, bo choć młoda, nie jestem już dzieckiem i nie wątpię, że mogę zostać twoją żoną.

Siedziałem jak na rozżarzonych węglach i nie miałem już sił tłumić ognia, który mnie trawił.

– Czyś pewna, moja ubóstwiana – rzekłem jej – że cię Kocham? Mogłabyś posadzić mnie o podłóżkę? Jesteś przekonana, że nigdy nie pożałujesz, iż zostałaś moją żoną?

– Jestem bardziej niż pewna, mój skarbie; przecież nie mógłbyś chcieć mego nieszczęścia.

– Dobrze więc! Zostańmy małżeństwem od tej chwili. Zaufajmy sobie wzajem, połączmy nasze losy i bądźmy szczęśliwi... A tymczasem bądź moją...

Ucałowawszy ją najczulej, poszedłem powiedzieć gospodyni, aby podała nam kolację, dopiero gdy tego zażądamy, i niech nikt nam teraz nie przeszkadza. Tymczasem moja cudna C. C. rzuciła się na łóżko całkiem ubrana. Rzekłem jej więc, że miłość lęka się niefortunnnych zasłon i w niespełną minutę miałem już przed sobą nową Ewę, piękną i nagą, jak by tylko co wyszła z rąk najwspanialszego artysty. Jej miękka jak atlas skóra była olśniewająco biała, jeszcze bielsza w zestawieniu z falą wspaniałych hebanowych włosów, które rozpuściłem na alabastrowe ramiona...

W najwyższym uniesieniu zacząłem się już obawiać, czy aby owo szczęście przeżywam na jawie i czy zostanie ono ukoronowane najwyższą rozkoszą, kiedy złośliwy Amor w tak poważnej chwili ośmielił się mnie rozśmieszyć.

– Czy jest takie prawo, że małżonek się nie rozbiera? – zapytało moje bóstwo.

– Nie, nie, drogi aniele; a gdyby nawet było, uważałbym je za zbyt okrutne, ażeby mu się poddać. Natychmiast zrzuciłem z siebie wszystką odzież i z kolei moja ukochana dała się ponieść instynktowi i ciekawości: wszystko we mnie było dla niej nowe. Wreszcie, jak by pod ciężarem wzrokowej rozkoszy, przytuliła się do mnie wykrzyknawszy przy tym:

– O mój miły! Jakże jesteś niepodobny do mojej poduszki!

– Do poduszki, najdroższa? Chyba żartujesz: wytłumacz mi, co masz na myśli.

– Och, to takie dziecinne, ale czy nie będziesz się gniewał?

– Gniewać się! Czyż mógłbym gniewać się na ciebie w najśłodszym momencie mego życia?

– Więc dobrze! Od wielu dni nie mogłam zasnąć nie tuląc w ramionach poduszki; pieściłam ją i nazywałam swym drogim mężem...

Umiłowana C. C. po bohatersku została moją żoną, bo wielka miłość nawet ból czyniła jej rozkosznym. Po trzech godzinach najśłodszych szaleństw wstałem, by zawołać o kolację. Była niewyszukana, ale przepyszna. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu, bo jakże mogliśmy oddać słowami nasze uczucia?

Świtało już, kiedy budząc ciekawość gondolierów wysiedliśmy na placu Świętej Zofii. Pożegnaliśmy się szczęśliwi, zadowoleni i głęboko przekonani, iż jesteśmy prawdziwym małżeństwem. Kładłem się spać, twardo zdecydowany wyrocznią kabały zmusić pana Bragadina do tego, aby w moim imieniu poprosił o rękę ubóstwianej C. C. Spałem aż do południa, a resztę dnia spędziłem przy kartach z fatalnym wynikiem, tak jak by los chciał rzucić wyzwanie mojemu szczęściu.

DALSZY CIĄG MOJEGO ROMANSU Z C. C. – PAN BRAGADIN PROSI O JEJ RĘKĘ DLA MNIE – OJCIEC C. C. ODMAWIA I ZAMYKA JĄ W KLASZTORZE

Rozkoszna miłość czyniła mnie nieczułym na straty materialne, a umysł miałem tak zajęty moją ukochaną C. C., że o niczym innym nie mogłem myśleć.

Nazajutrz rano, kiedy właśnie pogrążony byłem w tych dumaniach, zjawił się u mnie jej brat i powiedział rozradowany:

– Wiem na pewno, iż pokładałeś się z moją siostrą i jestem tym zachwycony. Ona zaprzecza, ale daremnie. Przyprawdzą ci ją dzisiaj.

– Rad będę temu, gdyż ją uwielbiam i postaram się prosić o nią pańskiego czcigodnego ojca w taki sposób, iż nie będzie mógł mi odmówić.

– Życzyłbym sobie tego, ale wątpię. Tymczasem znów muszę pana prosić o przysługę. Mogę dostać na weksel, płatny za pół roku, pierścień wartości dwustu cekinów, który łatwo sprzedam dziś za tę samą kwotę. Te pieniądze są mi koniecznie potrzebne, ale złotnik, który zna pana, nie chce mi zawierzyć bez pańskiego poręczenia. Czy oddasz mi pan tę usługę? Wiem, że przegrałeś wczoraj; jeśliś w potrzebie, pożyczę ci sto cekinów na weksel.

Jakże mu było odmówić? Wiedziałem, że mnie wystrychnie na dudka, ale tak bardzo kochałem jego siostrę!

W południe przyprowadził mi swoją siostrę i niewątpliwie chcąc dowieść, że jest uczciwym człowiekiem, albowiem łajdacy najwięcej o to stoją, oddał mi weksel za wino cypryjskie, którym mu był poręczył, zapewniając jednocześnie, iż przy najbliższym spotkaniu da mi przyrzeczone sto cekinów.

Jak zwykle zabrałem swoją przyjaciółkę do Zuecca, kazałem zamknąć ogród i obiadowali

śmy w altanie z winogrodu. C. C., odkąd należała do mnie, wydawała mi się jeszcze piękniejsza. A że z miłością łączyła się przyjaźń, odczuwaliśmy błogie zadowolenie, które malowało się na naszych obliczach.

Kiedy zostaliśmy sami, moja ukochana zapytała, jakie to sto cekinów ma mi przynieść jej brat; powiedziałem więc, co zaszło między nami.

– Błagam cię, drogi mój – odrzekła – już na nic więcej się nie zgadzaj. Ten biedak tak jest zadłużony, że w końcu i ciebie wciągnie w otchłań, w którą niechybnie wpadnie.

Tym razem nasze pieczyoty nosiły solidniejszy charakter: zażywaliśmy ich znacznie subtelniej i – jeśli można tak rzec – z większym rozmysłem.

– O mój ukochany – powiedziała C. C. – postaraj się uczynić mnie matką. Wtedy ojciec nie będzie mógł mówić, że jestem za młoda na żonę.

Z trudem zdołałem jej wytłumaczyć, że spełnienie tego życzenia, mimo że jest również i moim, nie zależy tylko od nas.

Zbyt wczesny świt zaskoczył nas pośród najśłodszych karesów. Co prędzej wróciliśmy więc do Wenecji jeszcze na czas, aby uniknąć ciekawych oczu.

W piątek spotkaliśmy się znowu, lecz jakkolwiek z rozrzewnieniem wspominam te chwile, oszczędzę czytelnikowi opisu przeżywanego przeze mnie nowych rozkoszy. Powiem tylko, iż przed pożegnaniem ustaliliśmy, że po raz ostatni spotkamy się w ogrodzie w nadchodzący poniedziałek, czyli na sam koniec karnawału. Jedynie śmierć zdołałaby przeszkodzić mi w stawieniu się na tę schadzkę, która mogła być naszym ostatnim miłosnym sam na sam.

Tak więc w poniedziałek, po zobaczeniu się z P. C., który potwierdził mi jeszcze miejsce i czas spotkania, nie omieszkałem stawić się na tę schadzkę. Pierwsza godzina oczekiwania mimo mojej niecierpliwości minęła szybko, ale następna była przygnębiająco długa. Jednak czekałem trzecią i czwartą, nie mogąc dojrzeć pary, której wypatrywałem. W zdenerwowaniu wyobrażałem sobie rzeczy najgorsze. Jeśli C. C. nie mogła wyjść, to jej brat powinien był przybyć, aby mi to rzec. Ale mógł natrafić na jakąś nieprzewidzianą i nieprzewycięzoną przeszkodę; bałem się zaś jechać do C. C., do domu, aby nie minąć się z nią w drodze. Wreszcie w chwili, gdy zadzwoniono na Anioł Pański, ujrzałem podchodzącą do mnie C. C., samą i w masce.

– Byłam pewna – rzekła – że tu czekasz, i nie zważałam na przestrogi matki. Musisz być śmiertelnie głodny. Ojca nie było przez cały dzień. Jedźmy czym prędzej do naszego zakątka, bo i mnie się chce jeść; potem zaś miłość wynagrodzi nam nasze dzisiejsze cierpienia.

Nie pozostawiła mi czasu nawet na wtrącenie jednego słowa. Wsiedliśmy w gondolę, aby się udać do naszego ogrodu. Dał silny wiatr, niemal huraganowy, a łódź była o jednym wiosle. Groziło nam prawdziwe niebezpieczeństwo, z którego C. C. nie zdawała sobie sprawy. Rozdokazywała się na dobre, jak by chciała zapomnieć o ciąży na niej przez dzień cały przymusie. Gondola niebezpiecznie przechylała się rozkołysana jej gwałtownymi ruchami i gdybyśmy jakimś fatalnym zrządzeniem losu wpadli do wody, niechybnie znaleźlibyśmy śmierć miast przyjemności, po którą zdążaliśmy. Starłem się uspokoić moją ukochaną, ale bałem się powiedzieć jej o czyhającym niebezpieczeństwie, za to gondolier, który nie potrzebował się z tym liczyć, ryknął stentorowym głosem, abyśmy siedzieli spokojnie, jeżeli chcemy ująć z życiem. Ta groźba poskutkowała i pomyślnie przybyliśmy na miejsce.

W naszym przybytku rozkoszy spędziliśmy sześć szczęśliwych godzin, gęsto kraszonych miłością. Tym razem nie zakosztowaliśmy snu. Jedynie myśl, że karnawał się kończy i że nie wiedzieliśmy, jak odtąd będziemy mogli urządzać schadzki, zakłócała nasze szczęście... Postanowiliśmy, że w środę rano odwiedzę jej brata, ona zaś przyjdzie tam jak zwykle...

Pożegnaliśmy pocziwą gospodynię, która widząc, że jesteśmy u niej po raz ostatni, bardzo tego żałowała i obsypała nas błogosławieństwami. Potem szczęśliwie odwoziłem swoją kochankę aż do drzwi jej domu i rozstaliśmy się.

Do szaleństwa rozkochany nie chciałem ani chwili dłużej czekać z oświadczynami, od których – jak wierzyłem – zależy moje szczęście. Za czym po obiedzie poprosiłem pana Bragadina i jego obu przyjaciół o dwugodzinną rozmowę w pokoju, gdzie nikt nam nie przeszkodzi. Tam bez długich wstępów oświadczyłem im, że zakochałem się w C. C., którą gotówem nawet uprowadzić, jeśli nie zdołają nakłonić jej ojca, aby mi ją oddał za żonę. „Chodzi o to – rzekłem do pana Bragadina – aby stworzyć mi pewną pozycję materialną jako odpowiednik tych dziesięciu tysięcy dukatów, które ta młoda osoba wniesie w posagu.” Odparli, że w tej sprawie chętnie postąpią według wskazówek wyroczni. To mi wystarczyło. Dwie bite godziny stawiałem żądane przez nich kabały, które doprowadziły do tego, że pan Bragadin osobiście miał prosić ojca o rękę C. C. i że on to z woli wyroczni miał zagwarantować swoim obecnym i przyszłym majątkiem wiano wnoszone przez pannę młodą...

Wielce rad ze swoich poczynań udałem się nazajutrz rano do P. C. Stara baba, która mnie wpuściła, rzekła, że wyszedł, ale że pani przyjdzie pomówić ze mną. Istotnie przyszła wraz z córką i obie wydały mi się bardzo zatroskane, z czego źle sobie wróżyłem. C. C. oznajmiła mi, iż brata uwięziono za długi i że trudno go będzie uwolnić, albowiem suma jest znaczna. Matka gorzko płacząc rozpaczała, że nie będzie mogła utrzymać syna w więzieniu, i pokazała mi list od niego pisany wyłącznie do siostry. Zapytałem ubóstwianą C. C., czy mogę go przeczytać. Dała mi wtedy ów list, w którym prosił, aby się do mnie zwróciła o pomoc. Odparłem, że nic nie mogę poradzić. Jednocześnie ofiarowałem matce dwadzieścia pięć cekinów, by miała z czego przesłać mu czasem jednego lub dwa na raz. Nie chciała ich przyjąć i ustąpiła dopiero na usilne błagania córki.

Po tej mało pocieszającej scenie zdałem im sprawę z kroków, które poczyniłem dla pozyskania ręki mej ukochanej. Pani C. wyraziła mi podziękowanie uznając te poczynania za szlachetne i zręczne; ostrzegła mnie jednak przed zbytnimi nadziejami, gdyż jej małżonek jest uparty i przyrzekł sobie wydać córkę za męża, dopiero gdy ukończy ona osiemnaście lat, a co najważniejsze – za kupca. Miał powrócić tegoż dnia. Gdym odchodził, moja bogdanka wsunęła mi ukradkiem bilecik, w którym pisała, że mogę bez obaw, korzystając z posiadanego klucza od bocznego wejścia, przyjść do niej o północy i że będzie czekała w pokoju swojego brata. To mnie uszczęśliwiło, gdyż pomimo wątpliwości matki rokowałem sobie jak najlepiej.

Po powrocie do domu oznajmiłem panu Bragadinowi bliski powrót ojca mojej uwielbianej C. C. i natychmiast przy mnie ów czcigodny starzec zasiadł do pisania listu. Prosił o wyznaczenie godziny spotkania dla omówienia nie cierpiącej zwłoki sprawy. Obligowałem pana Bragadina, aby wysłał list dopiero nazajutrz.

Czytelnik odgaduje, że o północy nie dałem na siebie czekać. Wszedłem bez przeszkód i zastałem mego anioła, który mnie powitał z otwartymi ramionami.

– Nie obawiaj się niczego – rzekła. – Ojciec wrócił w doskonałym zdrowiu i wszyscy mocno śpią.

– Prócz Amora – odparłem – który zaprasza nas do pieśczoł. On nas osłoni, moje kochanie, jutro zaś twój ojciec otrzyma bilecik od mego szanownego protektora.

Na te słowa C. C. zadrżała pod wpływem usprawiedliwionego przeczcucia.

– Ojciec – rzekła – który traktował mnie jak dziecko, odtąd zwróci baczną uwagę na moje postęпки, będzie chciał niejednego dociec i Bóg wie co uczyni. Teraz jesteśmy szczęśliwi, bardziej jeszcze, niż gdy jeździliśmy do Zuecca, bo możemy bez skrępowania widywać się każdej nocy. Co jednak robi mój ojciec, skoro dowie się, iż mam kochanka!

– Cóż może zrobić? Jeśli mi odmówi, porwę cię i będzie musiał udzielić nam błogosławieństwa. Będziemy należeli do siebie na całe życie.

– To moje najgorętsze życzenie i dla tego celu gotowam na wszystko; ale, drogi mój, znam swego ojca.

Dwie godziny spędziliśmy razem, bardziej zajęci naszą troską niżli kochaniem. Rozstałem się z C. C. obiecując przyjść nazajutrz. Reszta nocy minęła mi w smutku i zmartwieniu, a

koło południa pan Bragadin oznajmiły że na jego list ojciec C. C. odpisał, iż nazajutrz stawi się osobiście po jego rozkazy. Koło północy znów widziałem się z moją ukochaną i zdałem jej sprawę ze wszystkiego. Ona zaś powiadomiła mnie, że ojciec, który nigdy nie miał do czynienia z senatorem Bragadinem, bardzo jest zaintrygowany listem podobnego wielmoży.

Nazajutrz po obiedzie p. Ch. C. – ojciec C. C. – przybył do pana Bragadina, ale ja się nie pokazałem. Spędziłem dwie godziny z moimi trzema przyjaciółmi, a gdy odszedł, dowiedziałem się, iż odpowiedział to, co już wiedziałem od matki C. C., a ponadto dodał coś bardzo dla mnie przykrego: że odda córkę do klasztoru na te cztery lata, które ma ona jeszcze przed sobą, zanim może myśleć o zamążpójściu. Na koniec oświadczył, jakby dla zadośćuczynienia odmowie, że o ile bym w tym czasie zdobył odpowiednią pozycję, zgodzi się na nasz związek. Ta odpowiedź wydała mi się przytłaczająca i w przygnębieniu, w jakim mnie pograżyła, nie zdziwiłem się nawet, że owej nocy zastałem małe drzwiczki zamknięte-od wewnątrz. Powróciłem do domu niemal bez duszy i dwadzieścia cztery godziny spędziłem w okrutnej rozterce, jak człowiek, który powinien coś przedsięwziąć, a sam nie wie co. Myślałem o porwaniu, ale dostrzegłem tysiące trudności, które stały temu na przeszkodzie. A że brat C. C. był w więzieniu, wiedziałem, iż niezmiernie trudno przyjdzie mi nawiązać korespondencję z moją żoną; tak bowiem myślałem o C. C., nie inaczej, jak byśmy mieli błogosławieństwo księdza i kontrakt notariusza.

Udręczony nawalem ponurych lub beznadziejnych myśli postanowiłem trzeciego dnia złożyć wizytę pani C. Służąca, która mi otworzyła, powiedziała, że pani wyjechała na wieś i nie wiadomo, kiedy powróci. Ta wiadomość spadła na mnie jak piorun: znieruchomiałem niby posąg. Bez pomocy matki C. C. nie mogłem już zdobyć żadnych wiadomości. Starłem się okazywać spokój wobec swoich trzech przyjaciół, ale w istocie rzeczy byłem w stanie godnym pożałowania...

W dwa dni po rekurzie pan de Bragadin wraz z obydwojema przyjaciółmi wyjechał na miesiąc do Padwy. Zostałem w pałacu sam, gdyż w tym smutnym stanie ducha nie mogłem im towarzyszyć. Szukając odprężenia grałem w karty, a grając z roztargnieniem – przegrywałem stale. Wyprzedzałem to, co miało jakąkolwiek wartość, i zadłużyłem się u wszystkich. Pomocy mogłem się spodziewać jedynie od moich wspaniałomyślnych trzech przyjaciół, jednak pod wpływem wstydu wzdragałem się wyjawić im, w jakie opresje wpadłem. Byłem bliski samobójstwa i myślałem o tym goląc się przed lustrem, kiedy służący wprowadził do pokoju jakąś kobietę z listem do mnie. Zbliżyła się podając mi go ze słowami: „Czy jesteś pan osobą, do której list został zaadresowany?”

Ujrzałem pieczętkę, którą dałem C. C., i o mało trupem nie padłem. Aby się uspokoić, kazałem kobiecie zaczekać i chciałem dokończyć golenia, ale ręka odmówiła mi posłuszeństwa. Odłożyłem brzytwę i odwróciwszy się tyłem, rozpieczętowałem list. Oto co zawierał:

„Nim napiszę szczegółowo, muszę upewnić się o szczerości tej kobiety. Jestem w klasztorze dobrze traktowana i cieszę się doskonałym zdrowiem mimo duchowego niepokoju. Przeoryszy zlecono, aby nie pozwoliła mi nikogo widywać i z nikim korespondować. Jednak wiem już, że zdołam do ciebie pisywać mimo tego zakazu. Nie wątpię o twojej wierności, drogi mój mężu, a ty możesz być pewien mojego serca, w którym panujesz niepodzielnie. Bądź pewien, że gotowa jestem uczynić wszystko, co mi rozkażesz, bom twoja i tylko twoja. Odpowiedz mi w krótkich słowach, póki nie będziemy pewni naszej posłanniczki. Murano, 12 czerwca”.

W niecałe trzy tygodnie ta młoda osoba stała się dojrzałą umysłowo kobietą, ale jej mistrzem była miłość, a miłość cuda działa. Po przeczytaniu owego listu czułem się zupełnie jak skazaniec, który dowiedział się o ułaskawieniu, lub człowiek, co zbudził się ze śmierci do życia i ogarnia go podniecenie nieraz ponad siły. Musiałem przeczekać parę chwil, aby znów zebrać myśli i odzyskać zwykły mi spokój.

Zapytałem kobietę, czy umie czytać.

– Ach, panie! Gdybym nie umiała, byłabym godna litości. Jestem jedną z siedmiu kobiet usługujących wielebnym siostronom w Murano. Raz w tygodniu kolejno przyjeżdżamy do Wenecji: ja bywam tu w każdą środę i od dziś za tydzień przywiozę panu odpowiedź na list, który – jeśli zechcesz – możesz zaraz napisać.

– Możecie więc przynosić listy, które zakonnice wam powierzają?

– Nie jest to naszym obowiązkiem. Ale najważniejsze z poleceń, które dostajemy, to wierne doręczenie listów. Nie potrzebowano by nas więc, gdybyśmy nie potrafiły odczytać adresów. Mniszki chcą być pewne, że nie oddamy Piotrowi tego listu, który pisały do Pawła. Nasze mateczki zawsze obawiają się, byśmy nie popełniły takiego głupstwa. Ujrzy mnie pan za tydzień o tej samej porze, lecz rozkaż, by cię obudzono, gdybyś spał, gdyż czas wyliczają nam na wagę złota. Zwłaszcza bądź pan pewien mojej dyskrecji, gdybyś chciał korzystać z moich usług, bo gdybym nie umiała milczeć, straciłabym swój kawałek chleba. I cóż bym wówczas poczęła, biedna wdowa z czworgiem dzieci: ósmioletnim synem i trzema ładnymi córkami, z których najstarsza ma dopiero szesnaście lat! Możesz pan je zobaczyć, gdy przybędziesz do Murano. Mieszkam koło kościoła od strony ogrodu i jestem zawsze albo w domu, albo w klasztorze, gdzie często mają dla mnie jakieś polecenie. Panna, której imienia jeszcze nie znam, gdyż dopiero od tygodnia przebywa u nas, dała mi ten list, ale jakże zrzęcznie! Och, musi być równie mądra, jak jest piękna, bo obecne przy tym trzy zakonnice w niczym się nie połapały. Biedne dziecko! Zaleciła mi jak największą tajemnicę, ale może na to liczyć. Napisz pan jej, proszę, by była całkiem spokojna...

Natychmiast zasiadłem do odpowiedzi z zamiarem skreślenia do mojej drogiej pustelniczki, tak jak mi poleciła, tylko paru wierszy. Ale nie miałem dość czasu na krótki list. Rozpisałem się na czterech bitych stronach, z których każda mówiła mniej niż jeden wiersz jej bileciku. Zacząłem od tego, że uratowała mi życie swoim listem, i pytałem, czy wolno mi mieć nadzieję widywania jej; wspomniałem, że kobieta, która mi przyniosła bilecik, dostała ode mnie cekina i że drugiego chowam pod pieczęć listu... Błagałem, aby pisała co środa, i niech wie, że jej listy zawsze będą za krótkie... Pochwaliwszy ją za spryt, dzięki któremu zdołała napisać do mnie mimo zakazu, napomknąłem, iż powinna być bardzo ostrożna i nie dać się przylapać na tej korespondencji... „Pal wszystkie moje listy, najdroższa – pisałem – i tak jakoś się urządź, aby przy częstych spowiedziach nie zdradzić naszej tajemnicy. I pisz o wszystkich swoich troskach, które mnie bardziej jeszcze obchodzą od radości.”

Ukrywszy cekina pod pieczęcią tak zrzęcznie, aby nie dawał się wyczuć, wynagrodziłem kobietę i przyrzekłem nagradzać ją podobnie za każdy przyniesiony list. A gdy poczuła monetę w ręku, rozpląkała się pocziwina z uciechy i zapewniła mnie, że żadna siła na świecie nie przeszkodzi jej oddać listu panience, gdy znajdą się same.

Miłość jest ślepa, gdy świta jej nadzieja rozkoszy, ale gdy ma odzyskanie niefortunnie utraconego szczęścia na celu, potrafi z niezwykłą przenikliwością przewidzieć wszystko. List mojej drogiej zoneczki napełnił mnie niesłychaną radością: w jednej chwili przeszedłem od krańcowej rozpaczki do krańcowej nadziei. Czuję się na siłach, by porwać moją lubą, nawet gdyby mury klasztoru jeżyły się armatami, a zaraz po odejściu Laury jałem się zastanawiać, jak tu spędzić ów tydzień do następnego listu. Tylko karty mogły mnie rozerwać, a wszyscy wyjechali do Padwy. Kazałem więc spakować rzeczy i zanieść je na *burchiello*, który właśnie miał odpłynąć, sam zaś udałem się do Fusina, a stamtąd, co koń wyskoczy, w niespełna trzy godziny przegalopowałem przed pałac pana Bragadina, w chwili gdy ów mój drogi protektor szedł na obiad.

Wieczorem zamaskowany poszedłem do opery, gdzie zasiadłszy w *foyer* do faraona zgrałem się do ostatniego grosza. Los nadal dawał mi dowody, że zakochanym szczęście nie sprzyja. Z ciężkim sercem, zmartwiony ległem spać.

STUDIUJĘ DŁUGI LIST MOJEJ UKOCHANEJ

Wyjechałem w okropną nie pogodę, zaraz o zmroku, konno, pędząc co tchu, bo nic nie mogłoby mnie zatrzymać, gdy nazajutrz z samego rana miałem odebrać list od mojej ukochanej pustelniczki... Ledwie w kwadrans po moim przyjeździe do Wenecji wysłanniczka z Murano wręczyła mi list mówiąc, że za dwie godziny przyjdzie po odpowiedź. Ów list był dziennikiem na siedmiu stronach i gdybym go w pełni przytoczył, mógłbym znudzić czytelników. Ale oto co z niego wynikało:

Ojciec C. C., wróciwszy do domu po rozmowie z panem Bragadinem, wezwał przed siebie żonę i córkę, którą łagodnie zapytał, skąd mnie zna. Odparła, że rozmawiała ze mną parę razy w pokoju brata i tam też zapytałem, czy zgodziłaby się zostać moją żoną. Odrzekła, że w tym względzie postąpi zgodnie z wolą rodziców. Wtedy ojciec powiedział, że jest za młoda do zameścia, a w dodatku, że ja nie mam jeszcze zapewnionej sytuacji. Za czym udał się do pokoju brata i zamknął od wewnątrz boczne drzwi oraz te, które wiodły do pokoju matki; kazał też matce, aby zleciła mi oznajmić, gdybym zjawił się z wizytą, że wyjechała na wieś.

W dwa dni później, gdy C. C. była przy łożu chorej matki, przyszedł oznajmić, iż ciotka zawiezie ją do klasztoru, gdzie pozostanie pod opieką zakonnicy dopóty, dopóki rodzice nie wskażą jej męża. Odparła na to, że jako pokorna córka usłucha go z radością. Zadowolony z takiego posłuszeństwa obiecał odwiedzić ją i zapewnił, że matka przyjedzie, skoro poczuje się zdrowsza. W kwadrans później zjawiła się ciotka i gondolą pojechały do klasztoru, w którym obecnie przebywa. Ma tu swoje łóżko i rzeczy. Jest bardzo zadowolona z pokoju i mniszki, która sprawuje nad nią opiekę. Ona to zakazała jej pod groźbą klątwy Ojca Świętego, wieczystego potępienia i innych podobnych bagatelek korespondowania lub widywania się z kimkolwiek. Tymczasem zaś ta sama mniszka dostarczyła jej papieru, atramentu i książek, a C. C. łamiąc w nocy zakaz klasztorny opisuje mi to wszystko. Nie omieszkała też napomknąć, że ufa oddawczyni listów i nie sądzi, aby kiedykolwiek zdradziła ona to zaufanie; dla tej biednej kobiety nasze cekiny są przecież prawdziwą fortuną.

W komiczny sposób pisała, że podbiła serce najpiękniejszej z mniszek, która po przyjacielsku ostrzegła ją przed przyjaźnieniem się z innymi pensjonariuszkami i dwa razy na tydzień daje jej lekcje francuskiego. Owa mniszka ma dwadzieścia dwa lata najwyżej, jest piękna, bogata i ogromnie szlachetna: budzi wielki respekt i wszyscy okazują jej niezmierny szacunek. „Kiedy jesteśmy same, całuje mnie – pisała moja ukochana – tak że byłbyś zazdrosny, gdyby to nie chodziło o kobietę.” C. C. uważała, że porwanie nie powinno być trudne, jednak przeczniej będzie poczekać z tym, póki dokładnie nie pozna budynku i miejsca i nie będzie mogła podać koniecznych szczegółów. Zalecała mi wierność jako najlepszą gwarancję stałości uczuć i kończyła prośbą o moją miniaturkę wprawioną w pierścienek, ale tak misternie, aby nikt prócz nas dwojga nie znał tajemnicy. Wspomniany portrecik mógłbym doręczyć przez jej matkę, która już czuje się dobrze i codziennie bywa na pierwszej mszy w swojej parafii. Dalej zapewniała, że jej poczciwa matka rada będzie mnie widzieć i z przyjemnością spełni moją prośbę. „Poza tym – pisała – gdyby mnie tu chciano zatrzymać, myślę, że z mojego stanu wynikłaby tylko kompromitacja dla zakonu.”

Kończyłem swoją odpowiedź, kiedy Laura, posłanniczka C. C., zjawiła się po list.

Nie mając nic do roboty w Wenecji co prędzej zjadłem obiad i zakupiłem sobie przejazd pocztą do Padwy, do której przybyłem szczęśliwie.

Wciąż zajęty swoją najdroższą C. C., nazajutrz cały dzień pozowałem bardzo utalentowanemu Piemontczykowi, który był przypadkiem na targach w Padwie i który w jakiś czas później dorobił się wielkich pieniędzy w Wenecji. Kiedy już skończył mój portrecik w miniatur-

ce, wymalował świętą Katarzynę tej samej wielkości, a pewien Wenecjanin, zręczny złotnik, doskonale wykonał pierścionek. W obsadzie widziało się tylko świętą Katarzynę, ale wystarczyło ostrzem szpilki nacisnąć prawie niedostrzegalny niebieski punkcik w obramowaniu z białej emalii, by sprężyna puściła i wystąpił mój portret.

Gdy już wróciłem do Wenecji, wczesnym rankiem Laura przyniosła mi list, który przeczytałem łapczywie. Był czuły, ale nie zawierał nic nowego.

Zgodnie z otrzymaną instrukcją od C. C. stanąłem pewnego pięknego ranka w miejscu, skąd mogłem widzieć jej matkę wchodzącą do kościoła. Wszedłem zaraz za nią i uklękawszy tuż obok, szeptem poprosiłem o parę chwil rozmowy. Poszła za mną do refektarza. Spróbowaawszy najprzód pociechy i zapewniwszy o moim bezgranicznym oddaniu jej córce, zapytałem, czy będzie się z nią niebawem widziała.

– Mam nadzieję, że uda mi się uściskać moje drogie dziecko w niedzielę. Wspomnę jej o panu, co na pewno sprawi biedaczce wielką radość; niestety jednak nie mogę ci powiedzieć, gdzie jest.

– Wcale przy tym nie obstawiam, ale niech mi wolno będzie prosić, abys zechciała pani wręczyć mojej ukochanej ten oto pierścionek. To portrecik jej patronki – ciągnąłem – i powinnaś pani zobligować córkę, aby go stale nosiła na palcu. Niech się do niej modli codziennie, bo tylko za jej wstawiennictwem będziemy mogli się pobrać...

Wniebowzięta moją nabożnością i uszczęśliwiona, że będzie mogła dostarczyć córce nowy dowód mojego oddania, pocziwa kobieta przyrzekła spełnić tę prośbę.

NIESZCZĘŚCIE SPADA NA DROGĄ MOJEMU SERCU C. C. – DOSTAJĘ ANONIMOWY LIST OD MNISZKI, NA KTÓRY ODPOWIADAM – INTRYGA MIŁOSNA

Pewnego poniedziałku pod koniec lipca o świcie zbudził mnie lokal mówiąc, że Laura przysłała w jakiejś pilnej sprawie. Zdjęty złym przecuciem kazałem ją zaraz wprowadzić i oto co za list mi przyniosła:

„Mój jedyny, nieszczęście, które na mnie spadło wczoraj wieczorem, pogrążyło mnie w rozpacz tym większej, że muszę się z nim kryć przed wszystkimi w klasztorze. Mam straszliwy krwotok i nie wiem, jak go zatamować, bo brak mi bielizny. Laura zaś mówi, że będę jej potrzebować bardzo dużo, jeśli krwotok potrwa. Zaufać mogę tylko tobie, toteż błagam: przyslij tyle bielizny, ile zdołasz. Jak widzisz, musiałam zwierzyć się ze wszystkiego Laurze, która jedna ma do mnie wstęp o każdej godzinie. Gdybym umarła, cały klasztor dowiedziałby się od czego. Myślę ciągle o tobie i drżę. Co poczniesz w swoim bólu! Och, moje serce, jakie straszne nieszczęście!”

Ubierałem się na gwałt, gorączkowo wypytyując Laurę. Oświadczyła mi jasno, że chodzi o poronienie, że należy działać w jak największej tajemnicy, aby ratować cześć mojej ukochanej, że wreszcie potrzeba tylko większej ilości bielizny, a wszystko dobrze się skończy. Te proste słowa zupełnie nie pasowały do dręczącego mnie niepokoju. Wszedłem z Laurą i udałem się do pewnego Żyda, u którego nabyłem sporo prześcieradeł i dwieście ręczników. Potem wpakowałem to wszystko do wielkiego worka i pojechałem z Laurą do Murano. W drodze skreśliłem ołówkiem liścik do C. C. pisząc, aby zaufała w pełni Laurze i że nie opuszczę Murano, póki niebezpieczeństwo nie minie. Nim jeszcze wysiedliśmy z gondoli, Laura powiedziała, że dobrze zrobię ukrywając się u niej, aby mnie nikt nie widział. Zawiodła mnie do małego pokoiku na parterze, a sama, schowawszy na sobie tyle bielizny, ile się dało, po-

spieszyła do chorej, której nie widziała od wczorajszego wieczoru. Miałem nadzieję, że zasta-
nie ją zdrowszą, i czekając na wiadomość niecierpliwie się szalenie.

Nie było jej z godzinę, a kiedy wróciła, minę miała zatroskaną. Przyszła powiedzieć, że C.
C. leży w łóżku ogromnie osłabiona wielką utratą krwi, że trzeba ją Bogu polecić, bo jeżeli
krwotok jeszcze jakiś czas potrwa, nie przetrzyma następnej doby.

A kiedy wyciągnęła spod odzieży zakrwawioną bieliznę, wstrząsnął mną dreszcz przerażenia
i myślałem, że trupem padnę. Istna jatka! Chcąc mnie pocieszyć Laura powiedziała, abym był
spokojny, bo tajemnicy nikt się nie dowie. Ha! Cóż to mnie obchodziło! „Niechby jeno żyła –
odparłem – i niech cały świat się dowie, że jest moją żoną.” W każdym innym wypadku
uśmieiałbym się z głupoty Laury, ale w owej smutnej chwili zabrakło mi do tego sił i ochoty.

– Nasza biedna chora – rzekła Laura – uśmiechnęła się czytając pański liścik i powiedzia-
ła, że teraz, kiedy jest pan tak blisko, już nie zembrze.

Owe słowa dodały mi otuchy, ale człowiekowi tak niewiele trzeba, by go pocieszyć w
strapieniu lub ulżyć w bólu.

– Kiedy mniszki zasiądą do stołu – dorzuciła Laura – wrócę i przyniosę tyle bielizny, ile
zdołam ukryć na sobie. A tymczasem tę upiorę.

– Czy panienkę ktoś odwiedził?

– O tak, cały klasztor, ale nikt niczego się nie domyśla.

– Dobrze, lecz przy tym upale może leżeć tylko pod lekką kołdrą, pod którą chyba widać te
wszystkie ręczniki?

– Nie ma obawy, bo siedzi w łóżku.

– A co je?

– Nic, albowiem przy tym jeść nie można.

Niebawem Laura wyszła, a ja poszedłem za nią. Udałem się do lekarza, u którego straci-
łem czas i pieniądze po to, aby mi wypisał długą receptę, z której nie mogłem skorzystać, bo
cały klasztor dowiedziałby się tajemnicy, a raczej tajemnica objawiłaby się wszystkim, gdyż
tajemnica mniszki szybko przedostaje się za klasztorne mury.

Powróciwszy do domu Laury siadłem smutny w mojej ubogiej samotni, a w pół godziny
później zjawiała się Laura i ze łzami w oczach wręczyła mi następujący bilecik skreślony tak
słabą ręką, że niemal nieczytelny:

„Sił mi już braknie, aby pisać do ciebie, mój ukochany, bo z każdą chwilą życie ze mnie
ucieka. Tracę całą krew i myślę, że na to nieszczęście nie ma rady. Zdaję się w ręce Stwórcy i
dziękuję mu za to, że uratował mi część. Nie martw się za bardzo. Jedyna moja pociecha to
świadomość, iż jesteś blisko! Boże, gdybym cię mogła zobaczyć, umarłabym szczęśliwa.”

Zadrżałem na widok dwunastu ręczników pokazanych mi przez Laurę a ta pocziwa ko-
biecina chciała mnie pocieszyć mówiąc, iż butelka krwi wystarczy, aby je tak okrwawić. Nie
czułem w sobie dosyć sił do wysłuchiwanie podobnych konsolacji. Byłem w rozpacz i czy-
niłem sobie gorzkie wyrzuty, iż ta niewinna istota umiera za moją przyczyną. Padłem na łóż-
ko i prawie nieprzytomny z bólu przeleżałem ponad sześć godzin do powrotu Laury, która
znowu przyniosła dwadzieścia przesiąkniętych krwią ręczników. Całą noc miała pozostać w
klasztorze.

Dzień ledwie wstawał, kiedy znów zjawiała się zapłakana, z wiadomością, że moja biedna
C. C. już przestała krwawić. Sądziłem, że zmarła, i krzyknąłem:

– Nie żyje!

– Żyje, proszę pana, ale boję się, że nie przetrzyma dnia, tak bardzo osłabła. Ledwie może
oczy otworzyć, a puls trudno się domacać. Odetchnąłem; czułem, że mój anioł jest uratowany.

– Ta wiadomość – powiedziałem – wcale nie jest zła i jeżeli krwotok ustał, należałoby tyl-
ko dać panience coś lekkiego do zjedzenia.

– Posłano już po lekarza, który powiedział, co dać panience. Ale jeżeli mam rzec prawdę,
nie żywię wielkiej nadziei.

– Przysięgnij mi przynajmniej, że nie umarła.

– To przysięgam, ale chyba pan się domyśla, że panienka nie powie prawdy, a wówczas Bóg jeden wie, co jej lekarz zapisze. Szepnęłam, aby niczego nie zażywała, a ona pojęła, o co chodzi.

Mimo wszystko mając nadzieję i będąc osłabiony, kazałem przygotować sobie coś do jedzenia i zasiadłem do listu, który moja ukochana mogłaby odczytać, gdy już nabierze dość sił.

Przy obiedzie usługiwały mi młode córki Laury, ale mimo to nie mogłem nic przełknąć. Ubawiłem się jednak widząc, jak owe trzy siostry, które nie kazały się dwa razy prosić, pochłonęły mój obiad. Starsza, krzepka i tęga, ani razu nie podniosła na mnie swoich wielkich oczu. Dwie młodsze wydały mi się warte grzechu, ale to tylko pogłębiło ciężkie wyrzuty, jakim sobie czynił.

Laura, której wypatrywałem niecierpliwie, wróciła nareszcie mówiąc, że mojej ukochanej chorej ani trochę sił nie przybywa i że lekarz dziwi się jej niezrozumiałemu wyczerpaniu.

– Przepisał kordiały i lekki bulion, a gdyby zdołała usnąć, ręczy za powrót do zdrowia. Kazał też, aby ktoś przy niej czuwał w nocy, a wtedy zrobiła taki ruch ręką, jak by wskazywała na mnie. Przrzekam panu teraz, że nie odstąpię panienki ani w dzień, ani w nocy, chyba tylko po to, ażeby przynieść panu jakąś wiadomość.

Podziękowałem jej i obiecałem hojnie wynagrodzić.

Nieco uspokojony dałem sześć cekinów Laurze i po jednym każdej z córek, za czym zjadłem coś niecoś. Potem ułożyłem się na nędznym łóżku w tymże pokoju. Kiedy obie siostry ujrzały, że się kładę, rozebrały się bez ceremonii i położyły do drugiego łóżka, tuż przy moim. Ujęła mnie ta niewinna ufność. Starsza zaś, świadoma rzeczy, położyła się w sąsiednim pokoju, bo miała kochanka i szykowała się do zameścia. Tym razem jednak krew we mnie nie zagrała, toteż pozwoliłem dwom dziewczątkom spać spokojnie nie sięgając po ich dziewiczy klejnot.

Nazajutrz wczesnym rankiem Laura wlała balsam w moją duszę – przyszła rozradowana z wiadomością, że moja najmilsza dobrze noc spędziła i że niebawem dostanie posiłną zupę. Byłem jak upojony i uważałem wyroki Eskulapa za znacznie pewniejsze od wyroczni Apollina. Za wcześniej jednakże było na pianie triumfalnych hymnów, bo mojej ukochanej musiały przeciw wrócić siły i utracona krew, ale to zależało już tylko od czasu i troskliwej opieki. Tydzień jeszcze spędziłem w domu Laury i odjechałem dopiero wtedy, kiedy C. C., że tak powiem, kazała mi to zrobić – w liście na cztery strony.

Po powrocie do Wenecji czas popłynął mi jak zawsze, ale czy przy mojej naturze mogłem czuć się szczęśliwy poprzestając tylko na biernej miłości? Jedyłą przyjemnością były listy od ukochanej C. C., otrzymywane co środa. Kazała mi w nich czekać cierpliwie, miast zachęcać do porwania. Od Laury wiedziałem, że jest jeszcze piękniejsza, toteż umierałem z chęci ujżenia jej, a gdy niebawem nadarzyła się okazja, skorzystałem z niej bez namysłu. W klasztorze miały się odbyć obłóczyny – ceremonia, która zawsze przyciągała tłumy. Składano wówczas liczne wizyty mniszkom i mogło się zdarzyć, że pensjonariuszki również będą w rozmównicy. Owego dnia zamieszany w tłumie mogłem się nie bać, że zwrócę na siebie uwagę. W tajemnicy nawet przed Laurą pojechałem więc do Murano i myślałem, że zemdleję na widok mojej ukochanej zoneczki, o cztery kroki ode mnie, przyglądającej mi się uważnie i jakby w ekstazie. Wyrosła, spoważniała i wydała mi się ładniejsza niż dawniej. Nie odrywaliśmy wzroku od siebie i ostatni wyszedłem z klasztoru, który owego dnia uważałem za świątynię szczęśliwości.

W trzy dni później dostałem list, w którym w tak gorących słowach odmalowała mi radość z mojego widoku, że postanowiłem podobną radość sprawiać jej jak najczęściej. Natychmiast odpisałem, że będzie mnie widywała w każde święto na mszy w kaplicy klasztornej. Ja nie widziałem jej, ale wiedziałem, że ona mnie widzi, a jej szczęście było także i moim. Nie po-

trzebowałem się niczego obawiać, albowiem było rzeczą niemożliwą, by mnie ktoś rozpoznał w kościele, do którego uczęszczali jedynie mieszczanie z Murano.

Po miesiącu – czy może po pięciu tygodniach – moja najdroższa C. C. doniosła mi żartobliwie, że stałem się zagadką dla całego klasztoru. Wszystkie mniszki i pensjonariuszki tylko czekają mojego zjawienia się i natychmiast dają sobie znać, ledwie zanurzę palce w święconej wodzie. Zauważyły, że nigdy nie patrzę na kratę, za którą modlą się mieszkanki klasztoru, ani nie przyglądam się kobietom wchodzącym i wychodzącym z kościoła.

W dzień Wszystkich Świętych 1753 roku po wysłuchaniu mszy, kiedy wsiadałem już do gondoli, minęła mnie jakaś kobiecina, przypominająca Laurę, i uważnie na mnie spojrzawszy upuściła liścik. Podniosłem go, a gdy to zauważyła, spokojnie poszła swoją drogą. List nie miał adresu, pieczęć zaś była w kształcie węzła. Co prędzej wsiadłem do gondoli, a gdy byliśmy już daleko od brzegu, przełamałem pieczęć i przeczytałem, co następuje:

„Mniszka, od dwóch i pół miesięcy widująca pana w każde święto na mszy w kaplicy klasztornej, chciałaby cię poznać. Broszura, którą pan upuściłeś, trafiła przypadkiem do jej rąk, skąd wie, że mówisz po francusku. Ale jeżeli wolisz, możesz odpowiedzieć po włosku, bo owej mniszce nade wszystko zależy na ścisłości i precyzji. Nie proponuje ona, abyś ją wywołał do kraty, albowiem chce, byś się jej przyjrzał, nim nabierzesz chęci do rozmowy, i w tym celu wskaże pewną damę, której będziesz mógł towarzyszyć do parlatorium. Owej damy nie znasz i nie będziesz potrzebował przedstawiać się jej, jeśli tego nie zechcesz.

Gdyby jednak nie odpowiadał ci ten sposób zawarcia znajomości, mniszka wskaże *casino* w Murano, gdzie zastaniesz ją pan samą o godzinie pierwszej w nocy w dniu, który wskażesz. Będziesz mógł spożyć kolację w jej towarzystwie albo też odejść w kwadrans po przyjściu, jeżeliby cię wzywały jakieś inne sprawy.

A może wolałbyś pan zaprosić mniszkę na kolację do Wenecji? Wyznacz dzień, nocną godzinę i miejsce, w którym miałyby się stawić, i czekaj na nią wysiadającą z gondoli. Bądź tylko sam nad brzegiem kanału, zamaskowany i z latarnią w ręku.

Jestem pewna, że mi odpowiesz i że odgadujesz pan, z jaką niecierpliwością czekam twojego listu. Oddaj więc go, proszę, tej samej kobiecie, która ci ten doręczy. Znajdziesz ją jutro na godzinę przed południem w kościele Świętego Kancjana, przy pierwszym ołtarzu po prawej stronie.

Pomyśl, proszę, że gdybym nie wierzyła w szlachetność twego serca i umysłu, nigdy w życiu nie zdecydowałabym się na krok, który mógłby mnie ukazać w złym świetle w twoich oczach.”

Ton tego listu, który tu przytaczam słowo w słowo, zaskoczył mnie bardziej od jego treści. Miałem coś do załatwienia, ale poniechałem wszystkiego, aby zamknąć się u siebie i zaraz odpisać. Przyszło mi do głowy, że owa mniszka może być tą, która udziela lekcji mojej ukochanej C. C. Pisała mi, że jest ona piękna, bogata, szlachetna i wytworna. Moja luba mogła się z czymś zdradzić. Tysiące możliwości przychodziły mi do głowy, ale odrzucałem te wszystkie, które nie odpowiadały uśmiechającym mi się planom. Zresztą C. C. wspomniała, że owa mniszka nie jest jedyną władającą francuskim.

Oto co odpisałem bez obawy, że może mnie to skompromitować: „Pani, odpowiadam ci po francusku w nadziei, że mój list będzie zawierał tę ścisłość i precyzję, której dałaś mi przykład. Rozumie pani chyba, że odpowiadając nieznannej osobie w tak ważnej, a bardzo interesującej kwestii muszę, nie chcąc uchodzić za pyszałka, podejrzewać mistyfikację, toteż honor nakazuje mi jak największą baczność i ostrożność. Jeżeli uważasz mnie pani za godnego dostąpienia zaszczytu poznania cię, mimo że sądzisz o mnie z pozorów, chętnie usłucham twojego życzenia, nawet gdybyś się miała rozczarować.

Z trzech łaskawie zaproponowanych mi sposobów pozwalam sobie wybrać ów pierwszy z zastrzeżeniami, które podsunął mi twój przenikliwy umysł, pani. Będę towarzyszył do rozmównicy nieznannej damie, która w konsekwencji nie będzie mogła mnie zdradzić.”

Udałem się na wskazane miejsce i odszukawszy owego Merkurego w spódnicy wręczyłem mu list wraz z cekinem. Powiedziałem też, że nazajutrz przyjdę tu po odpowiedź. Nie uchybiłem obietnicy i zastałem już tę kobietę. Ledwo mnie ujrzała, zbliżyła się, oddała otrzymanego wczoraj cekina, wręczyła list i powiedziała, abym poszedł go przeczytać i rzekł potem, czy ma czekać odpowiedzi. Odszedłem i przeczytałem list. A oto on:

„Myślę, mój panie, że nie pomyliłam się w niczym. I ja również nie znoszę kłamstwa, gdy może pociągnąć za sobą jakieś konsekwencje. Z trzech propozycji wybrałeś pan tę, która ci przynosi najwięcej zaszczytu. Respektując powody, które ci każą zachować *incognito*, piszę do hrabiny S. to, co będziesz łaskaw przeczytać na załączonym bileciku. Zapieczętuj go, proszę, przed oddaniem. O jego treści hrabina będzie uprzedzona. Udasz się do niej, kiedy zechcesz; o wyznaczonej ci godzinie przyjedziesz z nią do klasztoru w jej gondoli. Nie zapyta cię o nic i z niczego też nie będziesz potrzebował się tłumaczyć. Nie ma mowy o wzajemnej prezentacji, ale kiedy usłyszysz pan moje nazwisko, będziesz mógł, jeżeli zechcesz, przybyć tu w masce i wezwać mnie do rozmównicy w imieniu hrabiny. Jeżeli ci to dogadza, powiedz pan, proszę, doręczycielce tego listu, ażeby nie czekała na odpowiedź.”

Pewny, że zupełnie nie znam hrabiny S., rzekłem kobiecie, że odpowiedzi nie będzie, i z tym odeszła.

A oto treść bileciku, który mniszka przeze mnie pisała do hrabiny:

„Proszę cię, droga przyjaciółko, przyjedź zobaczyć się ze mną, kiedy będziesz miała czas, i podaj masce, która doręczy ci ten liścik, dzień i godzinę twoich odwiedzin, aby ci mogła towarzyszyć. Na pewno nie omieszka się stawić. *Adieu*, zasłużysz sobie na moją wdzięczność.”

W ostatnim liście moja mniszeczka zdawała się wcale nie kłopotać o to, kim jestem; przyklaskiwała mojemu wyborowi i udawała obojętność w sprawie nocnego spotkania. Była jednak pewna, że gdy ją raz zobaczę, wywołam do rozmównicy. Wiedziałem już, czego się trzymać, bo do czegoś ma doprowadzić intryga, jeśli nie do miłosnej schadzki! Tymczasem jej beztraska, a raczej pewność siebie podniecały moje zaciekawienie i zdawałem sobie sprawę, że musi być ładna i młoda, skoro jest taka dufna.

O trzeciej udałem się do hrabiny, a gdy jej przesłałem bilecik, wyszła do mnie i oznajmiła, że z całą przyjemnością skorzysta z mojego towarzystwa jutro o tej samej godzinie. Skłoniliśmy się sobie nader uprzejmie i rozstaliśmy się. Hrabina, kobieta już przekwitająca, ale jeszcze urodziwa, robiła wrażenie bardzo energicznej.

Nazajutrz rano, a była to niedziela, udałem się na mszę wystrojony i wypięknony, w duszy już wiarolomny, albowiem bardziej myślałem o owej mniszce, starej czy młodej, niż o tym, aby się pokazać ukochanej żonie.

Po południu włożyłem maskę i w oznaczonej godzinie udałem się do hrabiny, która mnie czekała. Zeszliśmy i w gondoli na dwa wiosła popłynęliśmy do klasztoru, przez całą drogę mówiąc tylko o pogodzie, która nam dopisywała. W klasztorze hrabina kazała przywołać M. M. Zdziwiło mnie to nazwisko, bo osoba, która je nosiła, była bardzo znana. Weszliśmy do małej rozmównicy i w parę minut później ujrzałem młodą zakonnicę: podeszła prosto do kraty, a gdy nacisnęła niewidoczny guziczek, rozsunęła się ona robiąc dość szeroki otwór, przez który obie przyjaciółki mogły się łatwo objąć i ucałować. Ale zaraz potem owo okienko zostało starannie zasunięte. Miało z osiemnaście cali szerokości i człowiek mojej budowy mógłby się przez nie łatwo przecisnąć.

Hrabina siadła naprzeciw mniszki, ja stanąłem nieco z boku, ale tak, aby swobodnie obserwować jedną z najpiękniejszych w świecie kobiet. Nie wątpiłem, że jest to ta sama mniszka, o której pisała moja ukochana C. C., jej nauczycielka francuskiego. Byłem tak oczarowany, że nie słyszałem prawie żadnego słowa z rozmowy tych dwóch pań.

A piękna mniszka nie tylko się do mnie nie odezwała, ale nawet nie spojrzała w moją stronę. Mogła mieć ze dwadzieścia trzy lata, wzrostu była nieco powyżej średniego, rysy miała cudnie rzeźbione, cerę białą, prawie bladą, wyraz twarzy szlachetny i stanowczy, a jednocze-

śnie skromny i powściągliwy. Oczy niebieskie jak niebo, cudownie wykrojone, minkę roześmianą i pełną słodyczy, usta wilgotne, piękne i upajająco zmysłowe, a zęby jak dwa rzędy lśniących pereł. Nie widziałem jej włosów pod kornetem; sądząc jednak po brwiach była jasną szatynką. Ale w największy zachwyt wprawiła mnie ręka i ramię widoczne aż po łokieć. Dłuto Praksytelesa nie wyrzeźbiłoby nic bardziej krągłego, pulchnego i powabniejszego. Mimo to wszystko, com oglądał i czegom się domyślał, wcale nie żałowałem, że odmówiłem tych spotkań, które owo cudo mi proponowało, bom wiedział, że je posiadę za dni parę, i rozkoszowałem się już myślą o hołdach, jakie mu złożę z moich pożądań. Nagle obie przyjaciółki zniżyły głos do szeptu, więc odszedłem przez delikatność. Ich tajemnicza rozmowa trwała kwadrans, a ja tymczasem udawałem zainteresowanie obrazami. Potem ucałowały się jak przy powitaniu i mniszka, zamknąwszy owo okienko, odwróciła się i odeszła, jak by mnie wcale nie widziała.

Hrabina w powrotnej drodze do Wenecji, być może znudzona moim milczeniem, rzekła z uśmiechem:

- M. M. jest piękną kobietą i niepospolitego umysłu.
- Pierwsze widziałem, o drugim nie wątpię.
- Nie odezwała się do pana przecież ani słowem.
- Nie chciałem być jej przedstawiony, za karę więc zignorowała moją osobę.

Hrabina nie odpowiedziała i już w całkowitym milczeniu przybyliśmy przed jej dom. Pożegnałem ją przed wejściem, gdzie z grzecznym ukłonem i krótkim: „Do widzenia panu” dała mi znać, że nie chce, abym szedł dalej. Zresztą nie miałem na to żadnej ochoty i poszedłem rozmyślać nad tą szczególną przygodą, której rozwiązania wypatrywałem niecierpliwie.

HRABINA CORONINI – MIŁOSNY GNIEW – POJEDNANIE – PIERWSZA SCHADZKA

Cieszyłem się w duchu, że piękna mniszka nie odezwała się do mnie, albowiem oczarowany i zdumiony widokiem tak cudnej osóбки wybąkałbym jakąś nieskładną odpowiedź, co postawiłoby mnie w niekorzystnym świetle w jej oczach. Zdawałem sobie sprawę, że nie potrzebowała się lękać obojętności z mojej strony; w tym względzie nie groziło jej żadne upokorzenie... Podziwiałem jednak śmiałość, z jaką w swojej sytuacji wdała się w podobnie ryzykowną awanturę. Nie mogłem pojąć, jakim cudem korzystała z takiej swobody. *Casino* w Murano! Możnaść udania się do Wenecji, aby sam na sam zjeść kolację z młodą mężczyzną! To wszystko nie dawało mi spokoju, toteż przyszedłem do wniosku, że ma pewnie kogoś znacznego za kochanka, który usiłuje ją uszczęśliwić spełnieniem każdego kaprysu. Prawdę mówiąc, ta myśl nieco drażniła moją dumę, ale przygoda była zbyt frapująca, sam obiekt zbyt ponętny, aby nie przymknąć na to oka. Dojrzałem już do zdrady mojej ukochanej C. C., a raczej jużem ją był zdradził w myśli. Mimo całej miłości do tej czarującej dziewczyny przyznaję jednak, że nie gnębiły mnie żadne skrupuły. Zdawało mi się, że tego rodzaju zdrada, nawet gdyby wyszła na jaw, nie mogłaby jej urazić, albowiem, mały wybryk dobrze by mi tylko zrobił i wcale od niej nie odciągnął, a rozproszył jeno żrącą nudę.

Pewna mniszka przedstawiła mnie kiedyś hrabinie Coronini, bardzo ładnej i mądrej, która straciwszy już zainteresowanie do wielkoświatowych intryg i miłostek pędziła żywot w klasztorze Świętej Justyny. A że była kobietą wielce znaną, widywała jeszcze u kraty ambasadorów i najwyższych dostojników Republiki, więc – choć w murach klasztornych – wiedziała o wszystkim, co się działo w mieście. Cieszyłem się jej sympatią, a że uważała mnie jeszcze za młodzika, przy każdej okazji i nadzwyczaj mile udzielała mi rad i pouczeń. Pewny, że zrećźnie zdołam wywiedzieć się czegoś o M. M., postanowiłem złożyć jej osobiście wyraz szacunku nazajutrz rano.

Hrabina przyjęła mnie jak zawsze uprzejmie i po krótkim, nic nie znaczącym wstępie, jak zwykle się zaczynać rozmowę w wyższych sferach, zręcznie naprowadziłem konwersację na klasztory weneckie. Przechodząc od jednej znanej mniszki do drugiej wymieniłem M. M. i powiedziałem, że aczkolwiek podobno równie światowa jak tamte, jest o wiele większą zagadką.

– Najbardziej niezrozumiałym jest – rzekła mi na to – kaprys, który skłonił tę piękną, bogatą, wolną, wielce inteligentną, oświeconą kobietę i, z tego co wiem, wolnomyślicielkę, do przywdziania habitu. Wdziąka go bez żadnego uzasadnienia moralnego czy fizycznego: to był prawdziwy kaprys.

Z tajemniczego wyrazu twarzy hrabiny zupełnie już przekonany, że M. M. ma kochankę, postanowiłem nie brać sobie tego do serca i włożywszy maskę udałem się po obiedzie do Murano. U furty zadzwoniłem i z bijącym sercem poprosiłem w imieniu hrabiny S. o rozmowę z M. M. Małe parlatorium było zamknięte i furtianka wskazała mi inne.

Wchodzę, zrzucam maskę, siadam i czekam na moje bóstwo.

Serce łomocze mi w piersi. Czekam niecierpliwie, a jednak czas mi się nie dłuży, albowiem lękam się tego spotkania. Godzina mija dość szybko i wtedy czekanie poczyna mi ciążyć: sądząc, że furtianka nie zrozumiała, dzwonię raz jeszcze i pytam, czy powiadomiono siostrę M. M. o moim przybyciu. Czyjś głos mi odpowiada, że tak. Siadam znowu: w parę chwil później wchodzi jakaś bezzębna starucha, która zbliża się i mówi:

– Mateczka M. M. jest zajęta aż do wieczora.

Wychodzi nie dając mi nawet czasu na odezwanie się słowem. Byłem tak głęboko upokorzony, że w pierwszej chwili poczułem najwyższą pogardę dla samego siebie; zdjęła mnie straszliwa rozpacz, granicząca z wściekłością. Potem przyszło oburzenie na mniszkę, którą osądziłem bezlitośnie, tak jak – zdawało mi się – na to zasługiwała, co mnie trochę pocieszyło w moim bólu.

Ludzie mówią, że czas jest najlepszym doradcą, ale czas także wszystko łagodzi. Namysł zaś przywraca jasność myśli. Powiedziałem więc sobie w końcu, że w tym całym wydarzeniu nie ma nic nadzwyczajnego i że za takie bym je uważał od początku, gdyby mnie nie olśnił urok mniszki i nie zaślepiła miłość własna.

Nie chcąc, aby ten kiepski żart zamienił się w triumf, postanowiłem udawać, że mnie ani trochę nie zadrasnął. Kazała mi rzec, że jest zajęta, a zatem rzecz prosta: przywdzieję się w obojętność. Dowiodę, że kpię sobie z jej niecnego postępu. Nie trzeba chyba mówić, że odesłałem oba listy, ale oczywiście przy bileciku, którego galanteria na pewno nie wywoła uśmiechu na jej twarzy.

Położyłem się spać złakniony zemsty, zasnąłem z myślą o niej, a zbudziłem się zdecydowany jej dokonać. Zasiadłem do pisania, ale chcąc mieć pewność, że w moim liście nie ma nawet cienia miłosnego gniewu, zostawiłem go na biurku, ażeby go nazajutrz przeczytać w zupełnym spokoju. Była to rozsądna przezorność, bo odczytawszy list w dwadzieścia cztery godziny później, znalazłem go niegodnym siebie i podarłem na strzępy. Były tam zdania zaradzające słabość, gniew i miłość, które miast upokarzać M. M., dostarczyłyby jej tylko powodów do śmiania się ze mnie.

W środę po zawiadomieniu C. C., że z ważnych powodów nie mogę przychodzić na mszę do klasztornej kaplicy, ułożyłem nowy list do mojej mniszki, który we czwartek, zdradziwszy te same słabostki, podzielił los swojego poprzednika. Wydawało mi się, że straciłem łatwość wypisania się. W dziesięć dni później spostrzegłem, że jestem zbyt zakochany jak na to, aby nie pisać z serca.

*Sincerum est nisi vas quodcumque in fundis acescit*¹⁰.

Pomyślawszy sobie wreszcie, że owego trzpiota może trapić bezustanny niepokój z powodu tych dwóch listów, które miałem w ręku i które pozwalały mi skompromitować ją i klasztor, postanowiłem po dziesięciu dniach odesłać je z takim bilecikiem:

¹⁰ Sincerum... – Kwaśniej to, co się wkłada do dzbana, gdy nie jest czyste.

„Zechciej mi wierzyć, pani, że tylko przez zapomnienie nie zwróciłem jej załączonych dwóch listów. Nigdy nie miałem zamiaru wbrew własnym zasadom niegodnie mścić się na pani i bez najmniejszego żalu wybaczam ci niezwykłą płochość, którą wykazałaś albo bez zastanowienia, albo z wyraźnym zamiarem zażartowania sobie ze mnie. Niech mi jednak wolno będzie radzić ci, abyś w ten sposób nie postąpiła z kimś innym, bo mogłabyś natrafić na osobę znacznie mniej dyskretną. Znam pani nazwisko, wiem, kim jesteś. Bądź jednak spokojna i uważaj, że tego wcale nie wiem...”

Zalakowawszy te listy, wdziałem maskę i wyszukałem Furlana¹¹, który nie mógł mnie znać. Dałem mu pół cekina i przyrzekłem dodać drugie tyle, gdy wróci z wiadomością, że dostarczył list do klasztoru w Murano. Udzieliłem mu wszystkich koniecznych wskazówek i kazałem przyrzec, że odejdzie zaraz po wręczeniu listu furtiance, nawet gdyby mu powiedziano, aby czekał na odpowiedź. Muszę tu wyjaśnić, że Furlani w Wenecji to posłańcy godni zaufania i że nikt nigdy nie słyszał, aby im zarzucono najmniejszą zdradę. Tacy byli kiedyś Sabaudzcy w Paryżu, ale wszystko pogarsza się na świecie...

Zaczynałem już zapominać o całej sprawie, kiedy w dziesięć dni później, wychodząc z opery, spostrzegłem tego samego Furlana z latarnią w ręku. Zawołałem nań machinalnie i nie zdejmując maski zapytałem, czy mnie poznaje. Spojrzał na mnie, zlustrował od stóp do głów i rzekł, że nie.

– A czy dobrze wywiązałeś się z danego ci polecenia do klasztoru Murano?

– Ach, to pan! Bogu niech będą dzięki! Nareszcie pana znalazłem, a mam coś ważnego do powiedzenia! Odwiozłem pański list i oddałem, jak mi pan kazałeś. Odszedłem też zaraz, gdy go furtianka wzięła do ręki, choć chciała, abym czekał. Po powrocie jużem pana nie zastał, ale to nie szkodzi. Nazajutrz rano jeden z moich kolegów, który stał niedaleko od furty, gdym oddawał list, zbudził mnie mówiąc, abym się zaraz zgłosił do klasztoru, do siostry furtianki. Poszedłem i po paru chwilach zaprowadziła mnie ona do rozmównicy, gdzie jakaś mniszka, piękna jak słońce, z godzinę zasypywała mnie pytaniami o pana albo przynajmniej o to, jak pana znaleźć. Wie pan przecież, że nie mogłem jej nic dokładnego powiedzieć. Kazała mi czekać i w parę godzin później dała list obiecując dwa cekiny, jeżeli go panu doręcę i przyniosę odpowiedź. A tymczasem, dopóki pana nie odszukam, mam przychodzić codziennie do klasztoru pokazywać list i za każdym razem dostanę czterdzieści soldów. Jak dotąd zarobiłem dwadzieścia liwrów, ale boję się, aby tej pani to nie zbrzydło, i teraz tylko od pana zależy, mój dobry panie, czy zarobię owe dwa cekiny.

– A gdzie ten list?

– U mnie, pod kluczem, bo jak śmierci boję się go zgubić.

– Więc jakże mam na niego odpowiedzieć?

– Poczekaj pan z łaski swojej tu na mnie, w kwadrans wrócę z listem.

– Nie zaczekam, bo mnie ta odpowiedź nie ciekawi. Ale powiedzże mi, jak mogłeś obiecać mniszce, że mnie odnajdziesz? Nicpoń z ciebie, bo gdybyś jej był głowy nie zawrócił obietnicą, nie powierzyłaby ci listu.

– Nie jestem nicponiem, bom zrobił, coś mi pan kazał. Ale racja, że jej opisałem pański ubiór, zapinki i wzrost, i zapewniam cię, panie, że od dziesięciu dni uważnie przyglądam się wszystkim maskom pańskiej postawy, niestety jednak daremnie...

Nie mogłem już dłużej pohamować ciekawości, toteż postanowiłem nie czekać na niego, lecz pójść z nim. Odpiszę tylko: „List otrzymałem”. To mi wystarczy, a jednocześnie pozwoli zarobić posłańcowi owe dwa cekiny. Jutro zaś zmienię zapinki, wdzienę inną maskę i już mnie nikt nie pozna.

Poszedłem więc z Furlanem aż pod drzwi jego domu i po chwili wyniósł mi list. Kazałem mu iść za mną do oberży, tam zażądałem osobnego pokoju z dobrym ogniem na kominie, a

¹¹ Furlan – mieszkaniec prowincji Friul.

Furlanowi poleciłem czekać. Zerwałem pieczęcie ze sporych rozmiarów koperty i pierwszą rzeczą, która mi wpadła w oczy, były owe dwa listy, com je odesłał M.M., aby ją uspokoić z powodu płochego żartu.

Na ten widok dostałem takiej palpacji serca, że musiał usiąść: był to oczywisty znak mojej klęski. Prócz tych dwóch listów ujrzałem bilecik podpisany literą „S” i adresowany do M. M. Oto com w nim wyczytał:

„Maska, która mi towarzyszyła tam i z powrotem, nie otworzyłaby chyba ust, gdybym jej nie była powiedziała, że czar twojego umysłu urzeka bardziej jeszcze od czaru postaci. Odparł mi na to: «Widziałem jedno, nie wątpię o drugim». Dodałam, że nie rozumiem, czemu nie zamieniłaś z nim słowa. Odrzekł z uśmiechem: «Nie chciałem być jej przedstawiony, ukarała mnie więc ignorując moją osobę». Na tym skończyła się nasza rozmowa. Chciałam posłać ci tę wiadomość dziś rano, ale nie mogłam. *Adieu.*”

Uszczęśliwiony z tego, że niebawem przekonam się o własnej niesprawiedliwości, nabrałem odwagi i przeczytałem następny list.

„Słabość, jak sądzę zupełnie wybaczalna, sprawiła, że chciałam wiedzieć, jakiego jesteś pan zdania o mnie, gdyś mnie już zobaczył. Skorzystałam więc ze sprzyjającej chwili i poprosiłam hrabinę, aby mnie najdalej nazajutrz rano poinformowała o twoim wrażeniu, bo spodziewałam się pańskich odwiedzin po południu. Jej bilecik, który załączam i proszę, abyś przeczytał, nadszedł w pół godziny po twoim odejściu.

To było pierwsze fatalne zrzędzenie losu.

Nie otrzymawszy jeszcze tego bileciku wtedy, kiedy chciałeś pan ze mną mówić, nie miałam sił widzieć się z tobą. Okropna słabość i druga fatalność, sądzę jednak, że w twoich oczach równie wybaczalna. Kazałam służce rzec ci, że będę niedomagać przez cały dzień; wymówka prawdziwa czy zmyślona, jednak bez zarzutu, bo najzupełniej formalna i złagodzona słowami cały dzień. Nie mogłam już biec za panem, kiedy stara idiotka powtórzyła mi, że powiedziała, iż będę zajęta.

To było trzecie fatalne zrzędzenie losu.

Nie możesz pan sobie nawet wystawić, co miałam ochotę powiedzieć i zrobić tej głupiej siostrze, ale tutaj nie należy ani nic mówić, ani nic robić. Trzeba mieć tylko cierpliwość i dziękować Bogu, że takie pomyłki rodzą się z głupoty, nie ze złośliwości, co często zdarza się w innych klasztorach. Domyśliłam się, że uważasz się pan za wystrychniętego na dudka, że się buntujesz wewnętrznie... Pański list unieszczęśliwił mnie zupełnie... Uważałeś, że z ciebie zadrwiono, to wszystko, coś miał do powiedzenia, ale czy ten list przekona cię o twoim błędzie? Przyjdź zaprzeczyć osobiście temu, coś napisał: ty powinienes, a ja na to zasługuję. *Adieu*: możesz mi być życiem lub śmiercią.”

Nie potrzebowałem dwa razy czytać owego listu; byłem zawstydzony i zrozpaczony. M. M. miała rację. Natychmiast wezwałem Furlana i zapytałem, czy rozmawiała z nim dziś rano i czy sprawiała wrażenie chorej. Odparł, że każdego dnia wyglądała na coraz bardziej przybitą, a oczy miała zaczerwienione.

– Poczekaj.

Zasiadłem do pisania i dopiero o świcie skończyłem list, a oto com napisał:

„Pani, zawiniłem i nie mogę się nawet usprawiedliwić, a jednocześnie jestem głęboko przekonany o twojej niewinności. Byłbym niepokieszony, gdybym nie żywił słodkiej nadziei, że wina zostanie mi wybaczona... Myślę, że wszystko zostało wyjaśnione, toteż dziś o jedenaście ujrysz mnie pani u swoich stóp, skruszonym, uległym i czułym. Przebaczysz mi, moja bogini, albo też sam wezmę pomstę na sobie za krzywdę, jaką ci wyrządził. Błagam tylko o jedną łaskę: spal mój list i nigdy już nie mówmy o nim. Wysłałem go dopiero wtedy, gdy podarł cztery poprzednie. Niechaj ci to posłuży za dowód mojej męki serdecznej.

Rozkazuję posłańcowi natychmiast udać się do klasztoru, aby ten list dotarł do ciebie, skoro się zbudzisz. Posłaniec nigdy by mnie nie odnalazł, gdybym za sprawą mojego dobrego

ducha nie był go zaczepił przy wyjściu z opery. Tego człowieka nie będę już potrzebował: nie odpisuj mi, pani, i przyjmij słowa uwielbienia płynące z kochającego cię serca.”

Skończywszy wezwał posłańca, dał mu cekina i kazał natychmiast udać się do klasztoru i oddać list do rąk własnych mniszce. Ledwie odszedł, wrócił do domu i położył się do łóżka, lecz niecierpliwość i pożądanie nie dały mu oka zmrużyć. Domyślił się, czytelniku, że zżerany niecierpliwością punktualnie przybyłem do klasztoru. Wprowadzono mnie do małej rozmównicy, tej, w której po raz pierwszy ujrzałem M. M., a ona nie dała mi na siebie czekać. Kiedy podszedłem do kraty, padłem na kolana. Bojąc się, że ktoś może nas obserwować, M. M. kazała mi wstać. Twarzyczkę miała spłonioną, a jej wzrok wydał mi się niebiański.

Siedliśmy jedno naprzeciw drugiego i w głuchym milczeniu nie odrywaliśmy wzroku od siebie. Pierwszy przerwałem ciszę pytając głosem czułym i zalterowanym, czy mi zechce wybaczyć. Poprzez kraty przesunęła swoją piękną rączkę, ucałowałem ją gorąco i skropiłem łzami.

– Nasza znajomość zaczęła się od gwałtownej burzy – rzekła – miejmy nadzieję, że będzie teraz długa i pogodna. Po raz pierwszy mówimy z sobą, lecz to, co przeżyliśmy, wystarczyło, abyśmy się dobrze poznali. Wierzę, że ten związek będzie równie czuły jak szczerzy i że nie zabraknie nam wyrozumiałości dla naszych wad.

– Czy może je mieć taki anioł jak pani?

– O, drogi przyjacielu, któż jest bez wad?

– Kiedy będę mógł, zupełnie nieskrępowany i ku mej wielkiej radości, przekonać cię, pani, jak bardzo cię kocham?

– Zjemy kolację w moim *casino*, kiedy zechcesz, pod warunkiem, że mnie uprzedzisz na dwa dni przedtem. Albo też, jeśli cię to nie żenuje, zaproś mnie na kolację do Wenecji.

– To mnie tylko jeszcze bardziej uszczęśliwi. Sądzę, że powinienem rzec ci, pani, że żyję w dobrobycie i że raczej lubię wydatki, niżli się ich boję, a wszystko, co mam, należy do tej, którą kocham.

– Miłe mi to zwierzenie, tym bardziej że i ja mogę ci rzec, drogi przyjacielu, iż jestem bogata i że niczego nie odmówiłabym kochankowi.

– Ale chyba masz go, pani?

– Tak: to on uczynił mnie bogatą i jemu też jestem całkowicie oddana. Mówię mu o wszystkim. Pojutrze, gdy będę z tobą i tylko z tobą, powiem ci więcej.

– Sądzę jednak, że pani kochanek...

– Nie będzie go, możesz być pewien. Czy masz też kochankę?

– Miałem. Niestety! Od sześciu miesięcy żyję w całkowitym celibacie, bo mi ją siłą zabrano.

– Czy kochasz ją jeszcze?

– Kocham przy każdym wspomnieniu. Ma niemal twój urok, pani, i twój wdzięk. Zdaje mi się jednak, że przy tobie zapomnę o niej.

– Jeżeli byliście szczęśliwi, żałuję cię szczerze... Ale jeśli się zdarzy, drogi przyjacielu, że zajmę jej miejsce w twoim sercu, nikt mnie już go nie pozbawi.

– A co powie pani kochanek?

– Będzie zachwycony widząc mnie czułą i szczęśliwą z takim kochankiem jak pan. To leży w jego charakterze.

– Cudowny charakter! Bohaterstwo o ileż wyższe nad moje zalety i siły.

– Zaraz zadzwonią na dwunastą. Musimy się pożegnać. Przyjdź pan pojutrze o tej samej porze: udzielę ci wtedy potrzebnych wskazówek do naszej wspólnej kolacji.

– Sam na sam?

– Oczywiście.

– Czy wolno mi prosić cię, pani, o mały zadatek? Bo szczęście, które mi przyrzekałaś, jest tak wielkie.

- Jakiegoż zadatku żadasz?
- Chciałbym cię ujrzeć przed tajemnym okienkiem w kracie, a mnie pozwól stanąć na miejscu hrabiny S.

Wstała i z najmiłszym uśmiechem nacisnęła guziczek u kraty. Rozstaliśmy się po namiętym pocałunku...

Pozostałe dwa dni minęły mi w tak radosnym upojeniu i gorączkowym oczekiwaniu, że nie mogłem ani jeść, ani spać, bo wydawało mi się, iż nigdy jeszcze nie byłem równie szczęśliwy w miłości, a raczej, że to po raz pierwszy w życiu nim będę...

PIERWSZE SPOTKANIE Z M. M. – LIST OD C. C. – DRUGIE SPOTKANIE Z MNISZKĄ W MOIM CASINO W WENECJI – JESTEM SZCZĘŚLIWY

Przekonany, że M. M. nie złamie słowa, pojechałem do klasztoru koło dziesiątej rano i le-dwie kazałem się zaanonsować, ujrzałem ją wchodzącą.

- Boże, czyś pan nie chory?
- Nie, moja boska przyjaciółko, ale tak wyglądam, bo spałam się z tęsknoty do czekającego mnie szczęścia. Nie jem, nie sypiam, chyba umrę, jeśli odłożyłaś nasze spotkanie.
- Nie odłożyłam, drogi przyjacielu, ale jakżeś niecierpliwy! Siądźmy. Oto klucz od *casino*, do którego się udasz. Nie będziemy sami, bo przecież ktoś musi nam usługiwać. Ale nikt się do ciebie nie odezwie, ty też nie będziesz potrzebował do nikogo nic mówić. Włóżysz maskę i przybędziesz dopiero o wpół do drugiej w nocy¹², ani minuty wcześniej. Wejdiesz po schodach na samą górę i w blasku latarni ujrzysz zielone drzwi. Otworzysz je i wejdiesz do jasno oświetlonego apartamentu. Będę w drugim pokoju, ale gdybym jeszcze nie przybyła, zaczekasz parę minut. Możesz jednak liczyć na moją punktualność. Możesz też zdjąć maskę i rozgościć się jak najwygodniej. Znajdziesz tam ogień na kominku i książki.

Wskazówki były zupełnie jasne, ucałowałem więc rączkę, która wręczyła mi klucz do tej tajemniczej świątyni. A potem zapytałem ową uroczą niewiastę, czy będzie w habicie.

- Wyjdę w habicie – odparła – ale mam tam garderobę, tak że mogę przeistoczyć się w kobietę światową, a nawet, jeśli trzeba, zamaskować..
- Pozwól mi, pani, wyrazić nadzieję, że pozostaniesz w habicie.
- A czemu to, mój panie?
- Lubię cię, pani, w tym ubiorze!
- Ach, ach, rozumiem. Przypuszczasz, że jestem ostrzyżona, i to cię przeraża? Uspokój się, przyjacielu, mam tak misterną perukę, że wygląda jak naturalna fryzura.
- Boże! Co też pani mówi! Samo słowo peruka działa jak maczuga. Ale nie, nie wążp, pani, dla mnie zawsze będziesz czarująca. Nie wkładaj tylko przy mnie tej okropnej peruki... Przepraszam, uraziłem panią, ale z rozpaczą słuchałem słów twoich. Czy jesteś, pani, pewną, że nikt cię nie ujrzy przy wyjściu z klasztoru?
- Sam się o tym przekonasz, gdy obejdiesz wyspę. Dojrzysz drzwiczki wychodzące na małe nabrzeże. Mam klucz od pokoju przy tym nabrzeżu i jestem też pewna siostry zakonnej, która mi posługuje.
- A gondola!?
- Kochanek ręczy mi za wierność gondolierów.

¹² W dwie godziny po zachodzie słońca (czas w Republice Weneckiej liczono według tzw. zegara włoskiego; doba rozpoczynała się z nastaniem zmroku i dzieliła się na 24 godziny; w zależności od pory roku pierwsza godzina wypadła różnie).

- Co za wspaniały człowiek z pani kochanka! Chyba jest stary.
- Mylisz się i wstydziłabym się, gdyby tak było. Nie ma nawet jeszcze czterdziestu lat i jest stworzony na to, aby go kochać: piękny, mądry, łagodny, wyrozumiały i szlachetny.
- I wybacza ci kaprysy?
- Co zwiesz kapryсами? Zdobył mnie rok temu, a przed nim nie znałam żadnego mężczyzny. Dopiero ty rozbudziłeś moją wyobraźnię. Kiedym mu o tym powiedziała, zdziwił się trochę, a potem zaczął się śmiać. W krótkich słowach przedstawił mi ryzyko, na jakie się wystawiam, gdyby osoba, której zaufałam, była niedyskretna. Wyraził chęć, żebym się przynajmniej dowiedziała, kim pan jesteś, póki rzecz nie zajdzie dalej... Ale już było za późno. Zaręczyłam mu za ciebie i oczywiście śmiał się tylko z tego, że tak gorąco ręcę za kogoś, kogo całkiem nie znam.
- A kiedy zwierzyłaś mu się pani ze wszystkiego?
- Przedwczoraj i nic nie ukrywając. Pokazałam mu listy twoje i moje. Sądzi, że jesteś pan Francuzem, aczkolwiek podajesz się za Wenecjanina. Strasznie jest ciekaw, ktoś ty, ale nie bój się niczego. Przyrzekam ci, że sama nigdy nie podejmę żadnych kroków, aby się tego dowiedzieć.
- Ani ja nie postaram się dowiedzieć, kim jest ów człowiek, równie wyjątkowy, jak ty, pani...

Przed rozstaniem M. M. raz jeszcze pozwoliła mi pocałować się czule przez kratę i odprowadziła mnie wzrokiem do drzwi.

Wieczorem, o ustalonej godzinie udałem się na schadzke i postępując zgodnie z danymi mi instrukcjami wszedłem do salonu, gdzie zastał moją nową miłość przybraną po świecku z niezwykłą elegancją i gustem. Światła z żyrandoli odbite w lustrach i cztery precudne świeczniki na stołach z książkami całkowicie rozpraszały mrok salonu. M. M. wydała mi się teraz zupełnie odmiennej urody niż wtedy, kiedym ją widział w habicie. Włosy miała zebrane we wspaniały kok, aliści tak prześladowała mnie myśl o peruce, że tylko prześliznąłem się po nich wzrokiem, uważając, aby się nie wyrwać z żadnym komplementem na temat uczesania. Przypadłem jej do nóg i z uniesieniem całowałem piękne ręce w oczekiwaniu na te miłosne sceny, jakich się niebawem spodziewałem. Ale M. M. uważała, że nie powinna mi ulec tak łatwo. O, jakże uroczy jest ów upór kochanki, który tylko po to opóźnia chwile rozkoszy, by nabrały smaku! Dwie godziny zeszły nam na tych wstępnych miłosnych utarczkach i w końcu oboje mogliśmy sobie powinszować: ona, że potrafiła mi się oprzeć, ja – że zdołałem powściągnąć zniecierpliwienie.

Z potrzeby krótkiego wypoczynku i jakby wiedziona wspólną nam chęcią, M. M. zapytała wreszcie:

– Drogi przyjacielu, jestem tak głodna, że nie daruję żadnej potrawie przy kolacji. Czy obiecujesz dotrzymać mi towarzystwa?

Czując, że mogę w pełni stawić czoło temu wyzwaniu, odparłem:

– Tak, obiecuję. A potem sama osądzisz, czy jestem na równie dobrej stopie z Amorem, jak z Komosem.

Od razu, od pierwszych skosztowanych potraw poznałem kuchnię francuską i muszę dodać, że wcale mnie nie zawiodła. Piliśmy tylko burgunda i szampana. M. M. uważnie i umiejętnie przyrządziła sałatę, a ja zachwyciłem się gracją i wdziękiem każdego jej ruchu. Jej kochanek najwidoczniej był wielkim koneserem i wielu rzeczy ją nauczył. Interesowało mnie, kto to taki mógł być, i dlatego przy ponczu powiedziałem, że chętnie uczynię zadość jej ciekawości i zdradzę swoje nazwisko.

– Pozostawmy to czasowi – odparła mi na to.

Wśród breloków przy zegarku miała flakonik z górskiego kryształu, jota w jotę taki sam, jaki nosiłem u swego łańcuszka. Zwróciłem jej na to uwagę, a że w moim była wotka nasiąknięta różaną esencją, prosiłem, aby ją powąchała.

- Mam identyczną.
- I pokazała mi swoją.
- To rzadko spotykana esencja – powiedziałem – i nadzwyczaj droga.
- I wcale nie sprzedawana.
- Racja. Jej twórcą jest koronowana osoba: król Francji. Zrobił tylko funt za cenę trzydziestu tysięcy franków.
- Dostałam ją w prezencie od mojego kochanka.
- Pani de Pompadour ofiarowała za pośrednictwem pana B., obecnie ambasadora Francji w Wenecji, małą jej fioleczkę panu de Mocenigo, ambasadorowi Wenecji w Paryżu.
- Znasz pan pana B.?
- Miałem zaszczyt jeść z nim obiad akurat w owym dniu, gdy przyszedł pożegnać się z ambasadorem, do którego byłem zaproszony...

Dochodziła północ: byliśmy po wysmienitej kolacji, ogień płonął wesoło. Zakochany przy tym wszystkim w doprawdy wyjątkowej kobiecie, uważałem, że czas nie czeka, i stałem się natarczywy, ale M. M. wciąż się wzbraniała.

– Okrutna – rzekłem – czyś po to obiecała mi chwile szczęścia, aby skazać na męki Tantalą? Jeżeli nie chcesz ulec miłości, ulegnij przynajmniej naturze: po tak wspaniałej kolacji połóż się spać.

- Chciałoby ci się spać?
- Nie, oczywiście, że nie, lecz o tej godzinie ludzie się kładą. Pozwól mi położyć cię do łóżka: siądę przy wezglowiu albo odejdę, jeżeli tego żądasz.
- Sprawiłbyś mi tym wielką przykrość.
- Wierzaj, proszę, że moja nie byłaby mniejsza. Ale jeżeli zostanę, co pocniemy?
- Możemy położyć się w ubraniach na tej sofie.
- W ubraniach! Zgoda. Pozwolę ci spać, jeżeli zechcesz, ale nie wymagaj, abym sam zasnął, bo spać przy tobie i w ubraniu, to rzecz niemożliwa.
- Poczekaj.

Wstała, z największą łatwością ustawiła w poprzek kanapę, wyciągnęła z niej poduszki, prześcieradła, koldrę i w mgnieniu oka zamieniła ją we wspaniałe łoże, szerokie i wygodne. Potem wzięła wielką chustkę, którą dziwacznie przystroiła moją głowę, i podając mi także chustkę kazała mi wyświadczyć sobie podobną usługę. Zabrałem się do dzieła ukrywając starannie mój dysgust do peruki, kiedy zaskoczyło mnie niespodziewane i nadzwyczaj przyjemne odkrycie: miast peruki wyczułem pod palcami sploty cudnych włosów. M. M. roześmiała się słysząc mój okrzyk zachwytu. Wyjaśniła mi, że mniszki muszą jedynie ukrywać swoje włosy przed oczami zwykłych profanów, nic więcej. Przy tych słowach zręcznie pchnęła mnie na kanapę. Padłem jak długi i w minutę uwolniony od ubrania leżałem przy niej, a raczej na niej. Była silna i objąwszy mnie ramionami sądziła, że wynagrodzi mnie tym za wszystkie cierpienia. Nie mogłem się pochwalić żadnym sukcesem: płonąłem, ale hamowałem niecierpliwość; uważałem, że nie mam prawa być wymagającym. Zabrałem się do rozwiązywania kilku wstążek, kontent, że zezwala mi na to, i drżąc z radości odsłoniłem nareszcie najcudniejsze na świecie piersi. Jąłem je pokrywać pocałunkami, ale niestety na tym się skończyło. Zmęczony zasnąłem wreszcie w jej ramionach...

Zbudziło nas głośnie dzwonięcie.

- Co to jest?! – zawołałem zrywając się.
- Wstawajmy, mój drogi, czas mi wracać do klasztoru.
- Ubierz się więc i niech cię zobaczą w świętej sukience, albowiem odchodzisz dziewczęcą.
- Tym razem poprzestań na tym, mój słodki kochanku, i naucz się ode mnie abstynencji. Przy następnym spotkaniu będziemy szczęśliwsi. Jeśli ci nigdzie nie pilno, możesz tu zostać i wypocząć... Przyjdź pojutrze. Powiesz mi wtedy, której nocy spotkamy się w Wenecji, a wówczas, czuły kochanku, oboje będziemy szczęśliwi. *Adieu.*

Zadowolony, choć nie zaspokojony, położyłem się i spałem do południa. Wyszedłem i nie widząc żywego ducha, dobrze zamaskowany, udałem się do Laury, gdzie czekał już na mnie list od ukochanej C. C.

„Drogi mój, daję ci tutaj próbkę mojego sposobu myślenia i wierzę – bynajmniej nie chcąc sobie szkodzić w twoich oczach – że uznasz mnie, mimo wieku, za osobę umiejącą dotrzymać tajemnicy i godną zostać twoją żoną. Pewna twoich uczuć nie biorę ci za złe powściągliwości w stosunku do mnie... Posłuchaj więc: wczoraj, kiedy szłam korytarzem, upuściłam niechcący wykałaczkę i aby ją podnieść, musiałam odsunąć taboret stojący przed szczeliną w murze. A że jestem już ciekawa, jak każda mniszka (przywara zrozumiała w bezczynności), przyłożyłam oko do szczeliny i cóż zobaczyłam?

Ciebie, mój miły, w ożywionej rozmowie z moją uroczą przyjaciółką, mateczką M. M. Nie zdołasz sobie nawet wyobrazić mojej radości i zdziwienia zarazem. Szybko jednak postawiłam taboret na miejsce i odeszłam... Powiedz mi, mój drogi, wszystko. Powiedz mi, czy ona cię zna i w jaki sposób doszło do znajomości między wami? M. M. to moja najserdeczniejsza przyjaciółka, ta, o której jużem ci pisała. Uczy mnie francuskiego i dała mi książki, skąd czerpię mądrość, mało którym kobietom dostępną. I tylko dzięki niej udało mi się ukryć ów wypadek, którego mało życiem nie przypląciłam... Wszyscy w całym klasztorze myślą, że zachorowałeś, a ja umieram z chęci zobaczenia ciebie. Przyjdź więc choć raz. *Adieu.*”

Ten list mimo całego szacunku, jaki we mnie wzbudził, zaniepokoił mnie lekko. Byłem zupełnie pewny dyskrekcji mojej C. C., ale owa szczelina w murze mogła nas wystawić na widok innym oczom. Natychmiast więc odpisałem C. C., iż ze względu na łączącą je przyjaźń powinna zaraz powiedzieć M. M., że widziała ją w rozmowie z maską. Wyjaśniłem też, że dowiedziawszy się o wielkich zaletach M. M. zapragnąłem ją poznać i dlatego występując pod obcym nazwiskiem wywołałem ją do rozmównicy. Prosiłem, aby C. C. nie zdradziła mojego prawdziwego nazwiska, ale napomknąłem, że może powiedzieć, iż poznała we mnie tego mężczyznę, który przychodził na mszę do kaplicy klasztornej...

Chcąc się zobaczyć z moją piękną mniszką, aby ustalić dzień naszego spotkania w Wenecji, udałem się nazajutrz wczesnym rankiem do klasztoru. Nie kazała mi na siebie czekać ani minuty i rozradowana zaraz weszła do rozmównicy.

– Powiedz mi, mój najdroższy aniele, czy nic się nie stało, co by opóźniło godzinę mojego szczęścia? – zapytałem.

– Niestety, musimy ją przesunąć, ale tylko o dwadzieścia cztery godziny. Nowa siostra zakonna zaprosiła mnie do swojej celi na kolację i chyba rozumiesz, że nie mam żadnego wiarygodnego powodu, aby jej odmówić... Powiedz mi więc, mój drogi, gdzie będziesz na mnie czekał jutro, w dwie godziny po zachodzie słońca.

– Czy nie moglibyśmy się spotkać u ciebie w *casino*?

– Nie, bo mój kochanek sam odwiezie mnie do Wenecji.

– Osobiście?

– Tak, osobiście.

– To nie do wiary.

– A jednak prawdziwe.

– Będę czekał na placu Świętego Jana i Świętego Pawła, za posągiem Bartłomieja z Bergamo.

– Widziałam ten plac i posąg Colleonię tylko na rycinach, ale to wystarczy. Przybędę na pewno...

Czas naglił, bo nie miałem własnego *casino*. Wziąłem więc dla pośpiechu drugiego wioślacza i w niespełna kwadrans wysiadałem już na placu Świętego Marka. Z miejsca zabrałem się do szukania tego, czegom potrzebowałem. Gdy zwykły śmiertelnik hojnie korzysta z łask Plutona i gdy w dodatku nie braknie mu klepek w głowie, może być pewien powodzenia we wszystkim: tak więc nie potrzebowałem długo szukać odpowiedniego *casino*. Było najpięk-

niejsze z leżących w okolicy Wenecji; ale – co jest rzeczą zwykłą – było też i najkosztowniejsze. Należało kiedyś do angielskiego ambasadora, który porzucając Wenecję tanio odstąpił je swojemu kucharzowi. Wynająłem owo *casino* aż do świąt Wielkiej Nocy, płacąc nowemu właścicielowi sto cekinów z góry pod warunkiem, że osobiście będzie gotował obiady i kolacje, które zadysponuję.

Na miejsce spotkania przybyłem o godzinę za wcześnie i choć noc była chłodna, wcale tego nie czułem. Punktualnie w ustalonym czasie ujrzałem gondolę o dwóch wiosłach. Ledwie przybiła do brzegu, wysiadła z niej maska. Powiedziała coś gondolierowi stojącemu na dziobie i ruszyła w stronę posągu, a z każdym jej krokiem serce biło mi coraz radośniej. Po chwili jednak odsunąłem się na bok, bo wydało mi się, że to mężczyzna, i pożałowałem, że nie wziął pistoletów. Tymczasem maska obeszła cokolwiek posągu i przyjaźnie wyciągnawszy rękę zbliżyła się do mnie: poznałem ukochaną. Roześmiała się z mojego zdumienia, ujęła mnie pod ramię i w milczeniu ruszyliśmy w stronę placu Świętego Marka, a stamtąd do mojego *casino*, które stało nie dalej niż o sto kroków od teatru Świętego Mojżesza.

Wszystko czekało tam na nas zgodnie z moim życzeniem. Weszliśmy, uwolniłem się szybko od domina i maski, ale M. M. spodobało się zajrzeć do każdego kątką tego wspaniałego apartamentu. Odbicie jej postaci w niezliczonych lustrach i w blasku szczerze rozstawionych świeczników zdawało się dla niej nowym widokiem, od którego oczu nie mogła odebrać. Siedząc na taborecie w niemym zachwycie podziwiałem jej elegancką sylwetkę. Stroił ją frak z różowego weluru, usiany złotymi pajetkami, bogata, misternie haftowana i obcisła kamizelka, czarne, satynowe spodenki i brylantowe sprzączki przy trzewikach. Na małym palcu miała bezcenny pierścień...

Chcąc, bym ją lepiej mógł podziwiać, podeszła i stanęła przede mną. Zrewidowałem jej kieszenie: znalazłem złotą tabakierkę, bombonierkę wysadzaną cennymi perłami, złote etui, wspaniałe lorgnon, najcieńsze batystowe chusteczki, raczej przesiąknięte niż spryskane najkosztowniejszą perfumą. Uważnie przyjrzałem się mechanizmowi kosztownych dwóch zegarków, łańcuszkom i brelokowi skrzącym się od diamentów. Wreszcie znalazłem i sztylcik: krótki, angielski, z najlepszej stali i nadzwyczaj pięknej roboty.

– Wszystko, co tu widzę, moja boska przyjaciółko, nie jest warte ciebie, ale nie mogę powstrzymać się od wyrażenia zachwyty dla tego zadziwiającego człowieka, powiedziałbym raczej: godnego uwielbienia, który chce cię przekonać, że istotnie jesteś jego panią.

– To samo powiedział mi, kiedy go poprosiła, aby mnie odwiózł do Wenecji i tam zostawił. „Baw się – rzekł – a ja chciałbym tylko, aby ten, któremu masz dać szczęście, przekonał cię, że jest go wart”.

– Kochanek o podobnym harcie ducha to rzecz wyjątkowa. Czuję, że nie zdołam mu dorównać, tak jak obawiam się, że nie zasłużyłem na owo szczęście, o którym myśl mnie olśniewa.

– Pozwól mi odejść i zdjąć maskę.

– Jesteś panią swojej woli.

Po kwadransie moja ukochana M. M. wróciła. Zachwycił mnie jej widok i wprost nie mogłem uwierzyć w szczęście, które mnie czekało.

– Nie, nie, czarująca istoto, nie jesteś stworzona dla zwykłego śmiertelnika – powiedziałem – i wydaje mi się, że nigdy nie będziesz moją. W ostatniej chwili jakieś niezwykle wydarzenie wyrwie cię z moich objęć. Być może twój boski kochanek, zazdrosny o najzwyklejszego człowieka, zniweczy moje nadzieje.

– Czyś zmysły postradał, mój drogi? Przecież nawet w tej chwili mogę być twoją, jeżeli chcesz.

– Ach, jeżeli chcę! Chodź, mimo że głodny, miłość i szczęście mnie nasycą.

Skarżyła się na chłód, siedliśmy więc przy ogniu. Płonąc z niecierpliwości rozpiąłem brylantową agrafkę przytrzymującą jej żabot. Czytelniku, bywają przeżycia tak żywe i słodkie, że

ich wspomnień nawet lata nie mogą osłabić, a czas nigdy nie zatrze! Już raz pokrywałem pocałunkami tę czarującą pierś, lecz wówczas dokuczliwy gorset stał na zawadzie i nie pozwolił mi podziwiać jej piękna. Teraz widziałem ją wolną od wszystkich niepotrzebnych zasłon i sznurówek i muszę przyznać, że nigdy jeszcze oczy moje nie oglądały, a ręce nie dotykały czegoś równie wspaniałego: dwie cudowne półkule Wenus Medycejskiej, ożywione iskrą Prometeusza, zbladłyby obok tych dwóch mojej boskiej mniszki. Nie panując już nad pożądaniem, chciałem je zaraz zaspokoić, ale ta czarująca kobieta powstrzymała mnie jednym, słowem:

– Po kolacji.

Kiedy już zjedliśmy kolację, którą była zachwycona, przyrzęła poncz, a znała się na tym doskonale. Tymczasem niecierpliwiłem się coraz bardziej.

– Pomyśl – powiedziałem – że mamy tylko siedem godzin przed sobą i że głupio zrobimy spędzając je tutaj.

– Rezonujesz niczym Sokrates – odparła – chodź.

Poszliśmy do wytwornej garderoby, gdzie ofiarowałem jej piękny czepeczek prosząc, aby się uczesała po kobiecemu. Przyjęła go z radością i kazała mi pójść rozebrać się do salonu, obiecując, że mnie zawoła, gdy już będzie w łóżku.

Nie czekałem długo, bo gdy w grę wchodzi przyjemność, wszystko inne idzie szybko. Pi-jany szczęściem i miłością padłem w jej ramiona i przez całe siedem godzin dawałem jej naj-realniejsze dowody mojego zapału i uczucia, które wzbudziła w moim sercu... Wreszcie usłyszeliśmy fatalny zegar: trzeba było dać wypocząć zmysłom.

Ubraliśmy się, a ona widząc, że wkładam jej do kieszeni piękny, koronkowy czepeczek, zapewniła mnie, iż przez całe życie zachowa go jako świadka doznanego szczęścia...

DALSZY CIĄG POPRZEDNIEGO ROZDZIAŁU – LIST OD M. M. I MOJA ODPOWIEDŹ

W myśl obietnicy pojechałem w dwa dni potem do klasztoru zobaczyć się z M.M. Ale le-dwie mnie ujrzała, rzekła, że zaraz przybędzie jej kochanek i żebym wobec tego przyjechał jutro. Odszedłem więc, ale tuż przy pomoście ujrzałem kogoś źle zamaskowanego, wysiadającego z gondoli. Przyjrzałem się gondolierowi i poznałem w nim tego, który służy u ambasadora Francji. „To on” – powiedziałem sobie. I obserwując niepostrzeżenie owego mężczyznę zobaczyłem, że wszedł do klasztoru. A więc żadnych wątpliwości. Odjechałem do Wenecji zachwycony tym odkryciem, postanowiłem jednak nic nie mówić mojej kochance.

Z M. M. zobaczyłem się nazajutrz i oto nasza rozmowa:

– Mój kochanek – powiedziała – przyjechał wczoraj, aby się ze mną pożegnać aż do Bożego Narodzenia. Wyjeżdża do Padwy, ale wydał wszystkie rozkazy, możemy więc spokojnie spotykać się w jego *casino*, kiedy tylko zechcemy.

– A czemu nie w Wenecji?

– Prosił, abym tam nie jeździła w czasie jego nieobecności. To człowiek mądry i ostrożny, powinnam się go słuchać.

– Doskonale. Więc kiedy spotkamy się znowu?

– W niedzielę, jeżeli chcesz.

– To niewłaściwe określenie, bo chcę zawsze...

W wigilię Bożego Narodzenia M. M. powiedziała mi, że jej kochanek przyjeżdża, że w dzień świętego Szczepana idą razem do opery, po czym wspólnie spędzą noc.

– Czekam więc na ciebie, mój najdroższy, w ostatni dzień roku, a oto list, który, proszę, przeczytaj w domu.

Wczesnym rankiem zapakowałem zatem swoje rzeczy, ustępując miejsca komu innemu, i opuściłem ów dom, w którym przez dziesięć dni zażywałem tyłu rozkoszy. Udałem się do pałacu pana Bragadina i tam odczytałem list od M. M.

„Drogi przyjacielu, ubodły mnie nieco twoje słowa na temat tajemnicy, jaką muszę otaczać osobę mojego kochanka, i powiedzenie, że zadowolając się posiadaniem mojego serca pozostawiasz mnie panią własnej duszy. Ów podział na serce i duszę wydaje mi się czysto sofistyczny, a jeżeli tak nie uważasz, musisz przyznać, że nie kochasz mnie całej.

Możesz mi jednak kiedyś zarzucić i nawet mnie przekonać, że nie postąpiłam wobec ciebie z całą szczerością, jakiej wymaga prawdziwa miłość. Dlatego też postanowiłam zdradzić ci pewien sekret dotyczący mojego kochanka, choć wiem, że liczy on na moją dyskrecję. Popelnię zdradę, ale nie osłabi to twojej miłości do mnie, bo skoro muszę wybierać między wami dwoma i jednego zdradzić, idę za głosem serca.

Kiedym zdała sobie sprawę, że dłużej już nie mogę oprzeć się chęci poznania ciebie, musiałam się z tym zwierzyć mojemu kochankowi, w którego wyrozumiałość ani chwili nie wątpiłam. Na podstawie twojego pierwszego listu powziął doskonałe mniemanie o tobie, ale zażądał też, abym i ja okazała pewną wyrozumiałość i pozwoliła mu asystować tajemnie przy naszym pierwszym spotkaniu. Nie widziałeś małego sekretnego gabinetu, gdzie był ukryty, ale go ujrzysz w ostatni dzień roku. Powiedz mi, serce moje, czy mogłam odmówić tej szczególnej satysfakcji człowiekowi, który okazał mi tyle zrozumienia? Teraz już wiesz, że mój kochanek był świadkiem naszej pierwszej nocy, ale niech cię to nie przeraża, bo podobałeś mu się we wszystkim: w każdym czynie i w każdym zdaniu. Kiedy zaczęliśmy mówić o nim, bałam się bardzo, abyś nie powiedział czegoś, co by uraziło jego ambicję, na szczęście jednak usłyszał same pochlebne słowa. Posłuchaj, owej nocy byłeś zupełnie naturalny i przemiły: czy byłbyś taki sam, gdybyś wiedział, że ktoś na nas patrzy? Chyba nie, a jeśli bym ci o wszystkim powiedziała, byłbyś się może na to nie zgodził i zapewne miałbyś rację.

Teraz, kiedy się już znamy i nie możesz, mam nadzieję, wątpić o mojej najszczerzej miłości, chcę dla spokoju ducha postawić wszystko na jedną kartę. Dowiedz się więc, najdroższy, że w ostatni dzień roku mój kochanek będzie w *casino* i że odjedzie dopiero nazajutrz rano. Ty go nie zobaczysz, ale on nas będzie widział, a ponieważ nie wie, że ci zdradziłam tajemnicę, sam chyba pojmujesz, jak bardzo powinieneś być naturalny...

Teraz, mój drogi, pozostaje mi jeszcze tylko jedno pytanie: czy zechcesz, aby jakiś mężczyzna patrzył na ciebie w rozkosznych chwilach miłosnego uniesienia? Dręczy mnie niepewność w tej materii i błagam cię o „tak” lub „nie”. Gdybyś uznał, że nie potrafisz zdobyć się na czułość przy kimś trzecim, a zwłaszcza nieznanym, postąpię tak, jak mi miłość dyktuje.”

Zaskoczył mnie ten list, ale po głębokim namyśle, uważając swoją rolę za piękniejszą od roli przybranej przez tamtego kochanka, uśmiełem się szczerze. Przyznaję jednak, że owa sprawa nie wydałaby mi się taka zabawna, gdybym nie znał charakteru człowieka, którego będę miał za świadka. Wiedząc, że moja przyjaciółka bardzo się denerwuje, i chcąc ją uspokoić, odpisałem w ten sposób:

„Ostatnią noc w roku spędzę z tobą i zapewniam cię, moja najdroższa, że twój przyjaciel, któremu damy przedstawienie godne miast Pafos i Amathus, nie zobaczy i nie usłyszy niczego, po czym mógłby się domyślić, iż poznałem jego tajemnicę. Nie rozumiem, jak może człowiek – oczywiście, jeśli ma być zawsze posłuszny rozumowi i jeśli o tyle, o ile to od niego zależy, rozum ma uważać za swojego przewodnika – czuć wstyd przed pokazaniem się przyjacielowi w chwili, kiedy zarówno natura, jak i miłość darzą go swoimi łaskami. Przyznam ci się jednak, że źle byś zrobiła zwierzając mi się z sekretu za pierwszym razem. Mógłbym myśleć, że twoim kochankiem kieruje przede wszystkim chęć uradowania wzrokiem wido-kiem pary niepohamowanie i namiętne oddającej się rozkoszom miłości. Wówczas powziąłbym zapewne niepochlebne zdanie o tobie, a niechęć zmroziłaby uczucie, które dopiero się

we mnie rodziło. Dziś, droga przyjaciółko, rzecz ma się całkiem inaczej: wiem już, co posiadam, a z tego, coś mi opowiadała, dobrze poznałem charakter twojego kochanka, którego lubię i uważam za swojego przyjaciela...”

Przez ostatnie sześć dni grałem w karty rano i wieczór i stale przegrywałem.

Przy końcu 1774 roku Wielka Rada wydała prawo zabraniające wszystkich gier hazardowych. Było to zaiste prawdziwe zjawisko i gdy wydobyto głosy z urny, senatorzy wymienili zdziwione spojrzenia. Wydali prawo, którego wcale nie chcieli wydać, bo trzy czwarte senatorów było przeciwko niemu, a tymczasem trzy czwarte głosów padło za nim. Mówiono, że to święty Marek sprawił cud na prośbę pana Flangini, dzisiejszego kardynała, oraz trzech Inkwizytorów Stanu.

W oznaczonym dniu stawilem się na schadzke o zwykłej godzinie, a moja ukochana nie kazała na siebie czekać. Była już w garderobie, gdzie zdążyła się przebrać, i gdy mnie usłyszała, przyszła zaraz, niezwykle elegancka.

– Mojego przyjaciela – rzekła – jeszcze nie ma na posterunku, ale skoro się tam znajdzie, mrugnę porozumiewawczo.

– A gdzie jest ów tajemniczy gabinecik?!

– O, tu: przyjrzyj się oparciu kanapy przy ścianie. Te wszystkie rzeźbione kwiaty mają pośrodku otwórki wychodzące na gabinecik. Jest tam łóżko, stół i wszystko, co może być potrzebne komuś, kto chce spędzić noc na oglądaniu, co się tu dzieje.

– Czy to dzieło twojego kochanka?

– Nie, skądże! Przecież nie mógł przewidzieć, że będzie z tego kiedyś korzystał.

Powiedziałem już, że moja kochanka przystroiliła się niezwykle. Dziwnym wydało mi się tylko, że użyła barwiczki, ale widziałem w tym nawet pewien urok, bo użyła jej na modłę dam z Wersalu. Cały wdzięk podobnego malowania policzków polega na niedbałym nałożeniu różu, albowiem wcale nie chodzi o to, aby kolory wyglądały naturalnie, lecz o zadowolenie mężczyzn, którzy widzą w tym obiecującą oznakę upojenia. M. M. wyjaśniła mi, iż chciała sprawić przyjemność ciekawemu kochankowi, który to bardzo lubi.

– Wnosząc z tego gustu jest Francuzem.

Ledwie to wyrzekł, dała mi znak: kochanek był na miejscu. Od tej chwili zaczynała się komedia.

– Im dłużej patrzę na ciebie, aniele, tym bardziej wydajesz mi się godną uwielbienia.

– Sądzisz jednak, że nie uwielbiasz zbyt okrutnej boginki?

– Dlatego też nie przynoszę żadnych ofiar, by cię ułagodzić, lecz po to, aby rozpaść. Przez całą noc będę cię rozgrzewał żarem moich uczuć...

Podczas gdy zabawialiśmy się takim budującym dialogiem, podano do stołu. M. M. jadła za dwóch, ja za czterech, bo wyborne potrawy pobudzały nasz apetyt.

Po przyrządzeniu ponczu zabawialiśmy się jedzeniem ostryg w sposób najbardziej ekscytujący dwoje miłujących się kochanków: kładliśmy je sobie na język i wsysali na przemian. Spróbuj, lubieżny czytelniku, a z pewnością dojdiesz do wniosku, że to rozkosz bogów.

Wreszcie czas było skończyć z tymi igraszkami i pomyśleć o bardziej rzeczowej przyjemności.

– Poczekaj – powiedziała M. M. – pójdę się przebrać i zaraz wrócę.

Po chwili wróciła przebrana za nimfę. Padłem jej do nóg błagając, aby już nie odkładała chwili mojego szczęścia...

**DAJĘ SWÓJ PORTRET M. M. – JEJ PREZENT DLA MNIE –
IDĘ Z NIĄ DO OPERY – M.M. GRA – ODGRYWAM SIĘ –
LIST OD C. C. – C. C. WIE WSZYSTKO – BAL W
KLASZTORZE; MOJE WYSTĄPIENIE W KOSTIUMIE
PIERROTA – C. C. PRZYBYWA DO CASINO ZAMIAST M. M.**

Moja ukochana M. M. wyraziła chęć posiadania mojego portretu, takiego, jakim dał C. C., lecz trochę większych rozmiarów, aby go mogła nosić w medalionie. Miał być ukryty pod ruchomą podobizną jakiegoś świętego lub świętej. Chcąc spełnić to życzenie, udałem się do malarza, który w trzech seansach wykonał pierwszą miniaturę. Ten sam artysta wymalował mi Zwiastowanie przedstawiając archanioła Gabriela w postaci bruneta, a Świętą Dziewicę jako piękną blondynkę, wyciągającą ku niemu ramiona. Złotnik zaś, który oprawił obie miniatury w medalion, uczynił to tak zręcznie, że nikt by się nie domyślił, iż pod świętym obrazkiem kryje się świecki.

Nazajutrz po nowym 1754 roku, nim jeszcze udałem się do *casino*, zajrzałem do Laury, aby jej oddać list dla C. C., a przy okazji odebrałem list od niej, który mnie mocno ubawił. M. M. świetnie uświadomiła tę młodą osóbkę, która nabrała teraz nie lada rozumu. Pisała, że nie życząc sobie zdawać relacji ze swoich spraw spowiednikowi i nie chcąc kłamać, już nic mu nie mówi.

„Rzekł mi – dodała – że nie spowiadam mu się z niczego, bo może nie dość uważnie badam własne sumienie. Odparłam na to, że nie mam mu nic do powiedzenia, ale jeżeli chce, zgrzeszę specjalnie po to, aby móc coś wyznać.”

Tegoż dnia dostałem list od mojej czarującej mniszki.

„Piszę leżąc w łóżku, bom tak wyczerpana, że nie mogę na nogach ustać. Nie martwię się tym jednak, bo to przejdzie, gdy wypocznę: jem dobrze i śpię doskonale... W przyszłości, gdy przyjdiesz do mojego *casino*, zapytaj, czy ktoś tam jest, i jeżeli ci odpowiedzą, że tak – odejdz. Mój kochanek postąpi identycznie. W ten sposób nie ryzykujecie spotkaniem się, ale nie na długo, bo on ogromnie chce cię poznać... Przysyłam ci kluczyk od sekretery. Otwórz ją i weź to, co zaopatrzone w napis: „Mojemu aniołowi”. Jest to mały podarunek, który ci daję za wolą mojego kochanka i w zamian za piękny nocny czepeczek. *Adieu*”.

Płonąc chęcią ujżenia, jaki to jest ów prezent, który dostaję zgodnie z wolą kochanka M. M., otworzyłem co prędzej sekreterę i znalazłem w niej list oraz safianowe etui. Oto ów list:

„... W tym puzdreczku jest mój podwójny portrecik, pod dwoma postaciami. Po uniesieniu dna tabakierki, ukażę ci się w habicie, a później, gdy naciśniesz róg, otworzy się drugie dno na zawiasach i wtedy ujrzysz mnie nagą. Drogi przyjacielu, niemożliwe, aby jakaś kobieta kochała cię tak, jak ja cię kocham!...”

Etui zawierało złotą tabakierkę, a kilka ziarenek hiszpańskiej tabaki świadczyło, że ktoś jej używał. Był to piękny prezent, którego nie czułem się godzien. Poza tym w szufladach szkatułki zamkniętej w sekreterze zobaczyłem wszystkie diamenty M. M. i cztery pękate sakiewki wypchane cekinami. Podziwiając ufność M. M. i szlachetność jej czynu, zamknąłem z nabożeństwem sekreterę, niczego nie ruszywszy, i powróciłem do Wenecji.

W dzień Trzech Króli z moim medalionem w kieszeni stanąłem zawczasu przy pięknym pomniku Colleonego.

Punktualnie o drugiej ujrzałem moją kochankę wysiadającą z gondoli w kobiecej sukni i dobrze zamaskowaną. Poszliśmy do opery i po drugim balecie udaliśmy się do reductowych sal, gdzie moja przyjaciółka bawiła się doskonale patrząc na patrycjuszki, które jedne jedyne miały przywilej siedzenia bez masek. Pospacerowawszy tak z pół godziny przeszliśmy do sali „wielkich bankierów”. M. M. przystanęła przed stolikiem pana Mocenigo, w owym czasie

najpiękniejszego ze wszystkich patrycjuszów-karciarzy. Nie mając przed sobą żadnych graczy pan Mocenigo niedbale pochylił się nad uszkiem jakiejś zamaskowanej damy, w której poznałem jego miłość, panią Marię Pitani. M. M. zapytała mnie, czy chcę grać, i usłyszawszy, że nie, powiedziała:

– Zagramy do spółki.

Nie czekając odpowiedzi wyciąga sakiewkę i kładzie rulon złota na jednej z kart. Bankier nie przerywa rozmowy, tasuje karty, daje, a moja kochanka wygrywa i podwaja stawkę. Bankier płaci i bierze inną talię, ciągle najspokojniej rozmawiając ze swoją damą i całkowicie obojętny na czterysta cekinów, które moja ślicznotka już zdążyła położyć na tej samej karcie. A gdy wciąż kontynuuje rozmowę, M. M. zwraca się do mnie w pięknej francuszczyźnie:

– Nie gramy dość drogo, abyśmy mogli zainteresować tego pana. Chodźmy.

Odkłada kartę, ja zaś zabieram złoto i wsuwam do swojej kieszeni nie odpowiadając bankierowi, który mówi:

– Pańskiej maseczce doprawdy brak wyrozumiałości.

Po chwili przystajemy przed stolikiem pana Marcello. Moja kochanka gra znowu: przegrywa pięć rulonów złota jeden po drugim. Nie mając już skąd, czerpie pełnymi garściami z mojej kieszeni i po czterech, pięciu rozdaniach rozbija bank. Przerywa grę, a szlachetny bankier gratuluje jej, szczęścia. Zbieram wygrane złoto, podaję jej ramię i wychodzimy.

Po kolacji przeliczyłem wygraną i przekonałem się, że na moją część przypada tysiąc cekinów. M. M. ułożyła resztę w rulony i poprosiła mnie, abym je schował do szkatułki obok innych. Co uczyniwszy, wyjąłem medalion z kieszeni i zawiesiłem go na jej szyi. Ucieszyła się niezmiernie. Długo nie mogła wykryć tajemniczej sprężynki, a gdy pokazałem, jak się medalion otwiera, stwierdziła wielkie podobieństwo portretu.

Na czwarty dzień po Trzech Królach, kiedy udałem się do Murano, odzwierna w *casino* oddała mi list, a parę chwil przedtem Laura wręczyła mi drugi od C. C.

Moja nowa kochanka, zawiadomiwszy mnie o stanie swojego zdrowia, prosiła, abym się dowiedział u swojego złotnika, czy nie wykonał on, czasem pierścionka z wizerunkiem świętej Katarzyny, pod którym niechybnie również kryje się portret. Chciała posiąść jego tajemnicę. „Pewna piękna pensjonariuszka, moja przyjaciółka, nosi ten pierścionek” – wyjaśniła.

A oto co pisała C. C. (ten list jest dość zabawny ze względu na zakłopotanie, w jakie mnie wprowadził):

„Och, mój kochany mężusiu, jakżem szczęśliwa! Kochasz mateczkę M. M., moją najdroższą przyjaciółkę. Ma ona medalion wielkości pierścienia, a mogła go otrzymać tylko od ciebie. Jestem pewna, że pod Zwiastowaniem kryje się twoja podobizna. Poznałem pędzel malarza. Bałam się ją urazić i dlatego nie powiedziałam, że znam tajemnicę, ale ona – albo bardziej szczerza, albo znacznie ciekawsza – rzekła mi, że z pewnością pod świętą Katarzyną kryje się portret mojego kochanka. Przyznałam, bo nie mogłam nic innego zrobić, że istotnie pierścionek dostałam od ukochanego, ale że nie wiem, czy kryje jego portret... Nagle wezwano mnie do ciotki, zostawiłam więc pierścionek mojej przyjaciółce. Oddała mi go po obiedzie, mówiąc, że nie odkryła sekretu, ale jest przekonana o jego istnieniu. Zapewniam cię, że nigdy nie zdradzę tajemnicy pierścionka, bo musiałabym wtedy powiedzieć, kim jesteś. Przykro mi, że nie mogę być szczerza wobec niej, ale wcale się nie gniewam o to, że się kochacie. Żałuję tylko z całego serca, że musicie się kochać poprzez tę okropną kratę. Jakże bym chciała, najdroższy, ustąpić ci mojego miejsca! Za jednym, zamachem uszczęśliwiłabym dwie istoty. *Adieu!*”

Odpisałem, że odgadła słusznie: medalion jej przyjaciółki jest prezentem ode mnie i zawiera mój portrecik. Niech jednak zachowa tajemnicę i będzie pewna, że przyjaźń, jaką żywię do M. M., w niczym nie zagraża mojemu dozgonnemu sentymentowi. Nie ukrywałem przed sobą, że kłamię, że jestem nieszczerzy, ale chciałem oszukać samego siebie...

Dowiedziawszy się od Laury, kiedy odbędzie się bal w klasztorным parlatorium, postanowiłem nań pójść, ale tak zamaskowany, aby obie kochanki nie mogły mnie poznać. Przebrałem się za pierrota, bo pod tym strojem najlepiej się ukryć.

Podczas karnawału w Wenecji wolno urządzać w klasztorach taką niewinną zabawę. Publiczność tańczy w rozmównicy, mniszki zaś zza rozległej kraty przyglądają się zabawie. Pod wieczór wszyscy wychodzą, a biedne zakonnice długo jeszcze cieszą się z miłego dla oczu widowiska. Wspomniany bal miał się odbyć w dniu, w którym zamierzaliśmy wraz z M. M. zjeść kolację w Murano. Nie przeszkodziło mi to jednak udać się na bal, bom chciał zobaczyć moją C. C.

Powiedziałem, że ze wszystkich przebrań najlepiej maskuje kostium pierrota. Ma on też i tę zaletę, że wielka czapka zakrywa włosy, a biała gaza na twarzy nie daje dojrzeć koloru brwi i oczu. Ale ów kostium trzeba wdziać na gołe ciało, aby nic nie krępowało ruchów. Otóż w zimie tego rodzaju strój jest dosyć przykry. Niewiele jednak sobie z tego robiłem i wsiadłszy do gondoli, pokrzepiony filiżanką bulionu, udałem się do Murano. Nie wziąłem żadnego okrycia, a w kieszeni miałem tylko chustkę, klucz od *casino* i kieskę.

Wchodzę: w rozmównicy tłok, jednak wszyscy rozstępują się przede mną, bo w Wenecji rzadko kiedy widuje się pierrota. Idę jak przygłupek, zgodnie z charakterem maski, i staję w kole tańczących. Przyjrzawszy się poliszynelom, pantalonom, arlekinom, skaramuszom, podchodzę do kraty, widzę wszystkie mniszki i pensjonariuszki siedzące lub stojące i nie zatrzymując na żadnej wzroku dostrzegam swoje dwie przyjaciółki, tuż przy sobie, uważnie przyglądające się zabawie. Potem obchodzę salę, beczelnie mierząc spojrzeniem spotykane osoby i bacznie obserwowany przez wszystkich.

Zaczepiam, piękną kolombinę i błazeńsko chwytam ją za rękę zapraszając do menueta. Ludzie śmieją się i robią nam miejsce. Moja partnerka, nie przynosząc wstydu swojemu kostiumowi, tańczy doskonale, ja zaś błaznuję jak na pierrota przystało. Wszyscy śmieją się ze mnie. Po menuecie dwanaście razy tańczę furlanę z szalonym wigorem. Bez tchu padam wreszcie na ziemię i udaję śpiącego; a kiedy chrapię, publiczność jak by respektowała sen pierrota. Godzinę trwa kadryl, w którym, jak uważam, nie powinienem brać udziału. Ale gdy dobiegł końca, jakiś arlekin z impertynencją, dopuszczalną przy tym przebraniu, podchodzi i z rozmachem zaczyna mnie bić swoją laską. To jego broń. Bezbronny w roli pierrota chwytam go wpół i biegnąc obnoszę po całej sali, a on okłada mnie bez przerwy. Stawiam nicponia, wyrywam mu laskę, zręcznym ruchem sadzam sobie jego kolombinę na ramionach i ciągłymi kopniakami poganiam go przed sobą wśród śmiechów patrzących i krzyków kolombiny, która się boi, że mogę upaść i że całe audytorium zobaczy przy tym fragment wyciągu z jej metryki. Miała rację, bo jakiś głupi poliszynel podstawił mi z tyłu nogę i padłem jak długi. Wszyscy głośno oburzyli się na niego, zerwałem się i mocno zły rozpocząłem formalną bójkę z tym zuchwalcem. Był mojego wzrostu, ale nie tak zręczny. Obaliłem go i trzęsąc nim niechętnie pozbawiłem garbu i przyprawionego brzucha. Przy ironicznych śmiechach i głośnych brawach zakonnice, które nigdy jeszcze nie oglądały podobnego widowiska, wymknąłem się niepostrzeżenie z zabawy...

Do spotkania w Murano miałem jeszcze przed sobą dwie godziny, a spieszno mi było zobaczyć zaskoczoną minę mojej pięknej mniszki, gdy ujrzy przed sobą pierrota. Owe dwie godziny zeszyły mi przy kartach: grałem ze zmiennym szczęściem, i płaćtałem tysiące figli, pewny, że nikt mnie nie pozna.

Wreszcie wydzwania druga zwiastując mi, że i Amor, i Komos czekają, aby mi ofiarować nowe rozkosze. Z kieszeniami wypchanymi złotem i srebrem pędzę do Murano, wchodzę do sanktuarium miłości i widzę moje bóstwo w habicie, wsparte o kominek. Zbliżam, się cichcem, aby ją zaskoczyć, przyglądam się uważniej i kamienieję:

Zakonnica, którą widzę, nie jest M. M.

To C. C. w zakonnej sukience: bardziej zdziwiona ode mnie, niema, bez tchu i nieruchoma. Chcąc zyskać na czasie, aby ochłonąć ze zdumienia, padam na fotel...

„To żart M. M. – mówię sobie. – Ale jakim cudem dowiedziała się, że jestem kochankiem C. C.? Czy od niej zna sekret? Jeżeli tak, to z jakimż czołem zrezygnowała z przyjemności spotkania ze mną i pozwoliła zastąpić się rywalce?”

Pochłonięty tymi ponurymi myślami sądziłem się oszukany, wzgardzony i spędziłem tak w głuchym milczeniu posępne, grobowe pół godziny z wzrokiem wlepionym w C. C. Ona zaś zaambarasowana i oszołomiona, nie wiedząc, kogo ma przed sobą, nie śmiała nawet odechnąć.

Zakochany w M. M., dla niej tutaj przybyłem i nie uśmiechała mi się żadna zamiana, mimo że nawet mowy nie mogło być o tym, bym gardził C. C., która mi przecież okazała nie mniej serca niż M. M. Kochałem C. C., była mi droga, ale w owej chwili nie jej pragnąłem...

Należało jednak coś zrobić: nie mogłem przesiedzieć całej nocy w kostiumie pierrota i w dodatku nie odzywając się słowem.

W pierwszej chwili chciałem nawet odejść, tym bardziej że skąd C. C. lub M. M. miały się domyślać, iż pierrot i ja to jedna i ta sama osoba? Ale uświadomiwszy sobie, jak głęboko zraniłbym tym C. C., gdyby się dowiedziała, kim był ów pierrot, natychmiast ze wstrętem odrzuciłem tę myśl. Wreszcie przyszło mi do głowy, że może już coś podejrzewa, i zrobiło mi się jej żal. Uwiodłem ją, dałem prawo uważania mnie za swojego. małżonka Serce darło się we mnie na strzępy od tych rozmyślań.

Jeżeli M. M. jest w przyległym gabinecie ze swoim kochankiem, to zjawi się na czas. Z tą myślą zdjąłem gazę z twarzy. Moja urocza C. C. westchnęła z ulgą i powiedziała:

– Kamień spadł mi z serca! To mogłeś być tylko ty. Miłość mi to podszeptała. Ale wydawałeś się zdziwiony moim widokiem. Czyżbyś się mnie tu nie spodziewał?

– Nie, nic nie wiedziałem.

– Przykro mi bardzo, jeżeli się gniewasz, ale to nie moja wina.

– Chodź w moje objęcia, najdroższa, i nie myśl, że mógłbym się kiedyś gniewać na ciebie. Ale proszę cię, rozwiej moje okrutne wątpliwości, bo jakże byś się tu znalazła nie zdradziwszy naszej tajemnicy?

– Tego bym nigdy nie zrobiła!

– Więc jakim cudem tu jesteś? Jakim sposobem twoja przyjaciółka wykryła wszystko? Tylko od ciebie mogła się dowiedzieć, że jestem twoim, mężem. A może Laura...

– Nie, Laura jest wierna.

– Ale co cię skłoniło do tej maskarady i do przyjścia tutaj? Wychodzisz z klasztoru i wcale nie dajesz mi znać o tak ważnej tajemnicy.

– Dopiero dwie godziny temu wysłałam po raz pierwszy, a trudno o coś bardziej zwykłego, coś prostszego niż to, co się stało...

– Opowiedz mi, umieram z ciekawości.

– Wyznam, ci wszystko. Wiesz, jak lubimy się z M. M., trudno o bardziej czułą przyjaźń. Przed dwoma dniami ta moja najdroższa przyjaciółka ubłagała przeorysę i ciotkę, abym mogła sypiać u niej zamiast siostry zakonnej, która się zaziębiła i straszliwie kaszle. Nie możesz nawet wyobrazić sobie, jak cieszyliśmy się, po raz pierwszy kładąc się do jednego łóżka. Dziś, kiedy się wymknąłeś z zabawy, potem gdyś nas tak rozśmieszył ukrywając się zrecznie pod kostiumem pierrota, odeszła też z rozmównicy M. M., a ja poszłam za nią. Ledwie znalazłyśmy się same, poprosiła mnie o usługę, od której zależy jej szczęście. Otworzyła szafę i bardzo się zdziwiłam, kiedy mnie przebrała za mniszkę. Śmiała się i ja się śmiałam, nie wiedząc, do czego prowadzi ta psota. A kiedy już uporałyśmy się z przebraniem, powiedziała, że teraz zdradzi mi największy sekret, ale czyni to bez cienia obawy. „Wiedz – rzekła – że miałam wyjść z klasztoru i wrócić dopiero jutro. Ale teraz postanowiono, że to ty wyjdiesz. Za godzinę zjawi się tu służka zakonna, powiem jej dwa słowa po cichu, a potem pójdiesz za

nią. Wyjdziecie małymi drzwiczkami, przetniecie ogród i dojdziecie do domku tuż nad wybrzeżem. Wsiądziesz do gondoli i powiesz tylko: »Do *casino*«. Zawiozą cię tam w pięć minut. Wsiądziesz i wejdiesz do małego apartamentu, gdzie już zastaniesz ogień na kominku. Będziesz sama i zaczekasz.” „Na kogo?” – zapytałam. „Na nikogo. To powinno ci wystarczyć. Bądź jedynie pewna, że nie przytrafi ci się nic, co by ci sprawiło przykrość. Zaufaj mi. O nic więcej nie pytaj, bo nic więcej nie mogę ci powiedzieć.” Oto szczerą prawdą, mój drogi przyjacielu. Powiedz mi, co miałam robić... Roześmiałam się i nie spodziewając się niczego prócz przyjemności, poszłam zaraz za służką, gdy się zjawiała, i oto tu jestem. Nudziłam się trzy kwadransy, aż wreszcie ujrzałam pierrota. Wiedz, że moje serce od razu mi powiedziało, że to ty, ledwie na ciebie spojrzałam. Ale w chwilę potem, kiedyś się cofnął – jak by piorun we mnie uderzył, bo ujrzałam jasno, że nie mojej osoby się tu spodziewałeś. Przeraziłam się twoim posępnym milczeniem, bo przecucie mogło mnie mylić: pod maską pierrota mógł się kryć ktoś inny... Teraz, kiedy już wiesz, że niczym nie zawiniłam, pozwól sobie powinszować znajomości tego miejsca. Jesteś szczęśliwy i wiedz, że to mnie raduje. Poza mną tylko M. M. warta jest twojej miłości, to jedyna kobieta, z którą mogłabym cię dzielić...

Byłbym niewdzięcznikiem, barbarzyńcą niemal, gdybym jak najczulej nie przycisnął do piersi tego anioła dobroci i piękności...

Oznajmiwszy, że całkowicie wierzę jej słowom, powiedziałem, iż uważam postępek M. M. za dwulicowy i nie oceniam go zbyt korzystnie.

– Mnie się tak nie wydaje – odparła C. C. – Moja droga przyjaciółka, nie wiem, jakimi drogami, dowiedziała się, że byłeś moim kochankiem, nim ją poznałeś. Mogła myśleć, że mnie jeszcze kochasz, i sądziła, iż da największy dowód miłości, jeśli bez uprzedzenia dostarczy dwom kochającym się istotom tego, za czym tęsknią.

– Jeśli chodzi o ciebie, rozumiesz logicznie. Ale ja jestem w zupełnie odmiennej sytuacji. Nie masz i nie możesz mieć innego kochanka, gdy ja, wolny i z daleka od ciebie, nie mogłem się oprzeć urokowi M. M. Kocham się w niej jak szalenciec. Wie o tym i swoim postępkim mogła mi tylko wyrazić pogardę.

– Nie zgadzam się z tobą. M. M. ma duszę tak szlachetną, jak wspaniałomyślne serce. I jak ja nie biorę wam za złe, że się kochacie, tak ona nie gniewa się o to na nas. Jest nawet zachwycona, że może nam tego dowieść. Niewątpliwie chciała ci okazać, że cię miłuje dla ciebie samego, że twoje przyjemności są jej przyjemnościami i że wcale nie jest zazdrosna o swoją najlepszą przyjaciółkę. Dobrze wiesz, że mnie kocha, że często jestem jej żoną lub mężem, i tak jak ty nie bierzesz mi za złe, iż jestem twoim rywalem, tak ona nie wierzy, aby jej miłość do ciebie wydała ci się nienawiścią.

– Bronisz jej, moja najdroższa, jak anioł. Ale nie widzisz sprawy we właściwym świetle. Umysł i duszę masz czystą, lecz brak ci mojego doświadczenia. Miłość M. M. do mnie to jeno kaprys; wie ona dobrze, że nie jestem takim głupcem, abym wziął tę zamianę za dobrą monetę. Jestem nieszczęśliwy... Czyż to nie upokarzające, że potrafiłem rozbudzić w niej tylko przelotne uczucie?

Była już północ i nadal traciliśmy czas na podobne rozmowy, kiedy przezorna odzwierna podała nam wspaniałą kolację. Nie tknąłem niczego, tak byłem zrozpaczony, ale moja żoneczka jadła za dwoje. Zdażyłem tymczasem zauważyć, że wyładniała i zaokrągliła się. Była niezwykle piękna, ale to nie rozgrzało we mnie krwi. Zawsze twierdziłem, że gdy się prawdziwie kogoś kocha, wierność nie jest żadną zasługą.

Na dwie godziny przed świtem znów zasiedliśmy przy kominku. C. C. widząc mój smutek darzyła mnie najsubtelniejszymi względami...

– M. M. spodziewa się ujrzeć mnie rozradowaną i wdzięczną za wspaniałą ofiarę, jaką mi przyniosła z tej nocy. Co chciałbyś, abym jej powiedziała?

– Całą prawdę. Nie ukrywaj ani słowa z naszej rozmowy, a przede wszystkim powiedz jej, że mnie unieszczęśliwiła na długo.

Bicie zegara rozwiało moją nadzieję, iż ujrzę M. M. i wysłucham jej usprawiedliwień. Uściskałem więc C. C. i wręczywszy jej klucz od domu, z prośbą, aby go oddała M. M., włożyłem maskę i wyszedłem.

O MAŁY WŁOS NIE TONEŃ W LAGUNACH – CHORUJĘ – LISTY OD C. C. I M. M. – ZGODA – SPOTKANIE W CASINO W MURANO – DOWIADUJĘ SIĘ NAZWISKA KOCHANKA M. M. I ZGADZAM SIĘ ZAPROSIĆ ICH OBOJE DO MOJEGO CASINO

Pogoda była straszliwie brzydka. Dał silny wiatr, a chłód przejmował do szpiku kości. Stąwszy na wybrzeżu daremnie szukałem wzrokiem gondoli. Wołałem gondolierów, ale wbrew nakazom policji nie było żadnego. Co począć? Ubrany lekko, nie byłem w stroju, w którym mógłbym przechadzać się godzinę nad wodą w taką pogodę. Gdybym nie oddał klucza, pewnie wróciłbym do *casino*.

W kieszeni brzęczała mi sakiewka ze złotem i pieniądze wygrane poprzedniego wieczora. Miałem więc powody, aby się bać złodziei z Murano, rzezimieszków wielce niebezpiecznych, morderców zdeterminowanych, którzy cieszą się pewnego rodzaju bezkarnością i nadużywają jej, bo z racji pracy w licznych na tej wyspie fabrykach szkła, obdarzono ich różnymi przywilejami. Jakaś spotkana para tych opryszków w najlepszym wypadku rozebrałaby mnie do naga, albowiem tak się dziwnie złożyło, że nie zabrałem nawet owego sztyleciku, jaki w mojej drogiej ojczyźnie musi nosić każdy uczciwy człowiek dla obrony własnego życia.

Nie wiedziałem zatem, co począć, kiedy wydało mi się, że widzę słabe światełko w szczelinie między okiennicami jakiegoś domeczku. Zbliżam się i pukam nieśmiało.

– Kto tam? – dobiega mnie czyjś głos i jednocześnie słyszę skrzywienie uchylającej się okiennicy. – Czego pan sobie życzy? – pyta jakiś mężczyzna zdziwiony moim strojem.

W krótkich słowach mówię, co mi się przytrafiło, i wsunąwszy mu do ręki cekina proszę, aby mi pozwolił schronić się w domu. Bardziej zjednany datkiem niżli moimi słowami otwiera drzwi. Wchodzę i przyrzekam drugiego cekina, jeżeli wyszuka mi gondolę, która by mnie zawiozła do Wenecji. Ubiera się na gwałt i błogosławiąc Boga wychodzi obiecawszy, że zaraz wynajdzie mi gondolę. Zostaję sam w ubogim pokoiku, gdzie cała rodzina z nędznego i wielkiego łóżka wytrzeszcza na mnie oczy, zdumiona moim ubiorem. Po półgodzinie mężczyzna wraca i oznajmia, że łódź wprawdzie czeka, ale że wioślarze chcą otrzymać zapłatę z góry. Poddaję się owemu żądaniu, wciskam mu cekina do ręki, dziękuję i odchodzę.

Na widok dwóch krzepkich gondolierów wsiadłem do łodzi bez obawy, ale zaraz za wyspą wpadliśmy w tak silny wiatr, że zląkłem się o życie, bo choć byłem dobrym pływakiem, nie czułem się aż tak silnym, aby oprzeć się prądowi i uratować wpraw. Kazałem więc wioślarzom zawrócić, ale mi odparli, ażebym siedział cicho, bo nie mam do czynienia z jakowymiś łobuzami. Znając naszych gondolierów wołałem zamilczeć.

Tymczasem raz po raz chwytały nas gwałtowne podmuchy wiatru, fale pienily się wokół gondoli i zalewały ją, a moi dwaj gondolierzy mimo szalonego uporu i siły nie mogli już nią kierować. Niedalej niż o sto kroków od wylotu Kanału Jezuitów potężny podmuch wichury strącił wioślarza z rufy, jednak zdołał on uczepić się gondoli i bez większego trudu wgramolił się z powrotem. Stracił wprawdzie wiosło, lecz wziął inne, tymczasem zaś gondola obróciła się bokiem i prąd ją ściągnął dość daleko w tył. Nie było chwili do stracenia, a ja nie miałem ochoty wieszerać u Neptuna. Cisnąłem więc garść monet na dno gondoli i kazałem wioślarzom odrzucić *felce*, jej górną osłonę. Dźwięk pieniędzy oraz zawisłe nad nami niebezpie-

czeństwo sprawiły, że usłuchali mnie bezzwłocznie, a gdy wiatr nie napotykał już takiego oporu, moi dzielni wioślarze dowiedli Eolowi, że próżno się trudził... W parę godzin później, kiedy pan de Bragadin w towarzystwie dwóch nieodłącznych przyjaciół przyszedł mnie odwiedzić w swoim pałacu, majaczyłem w wielkiej gorączce. Wieczorem pocilem się tak bardzo, że trzeba było zmienić mi pościel.

Wczesnym rankiem w środę Laura, wierna pośredniczka, też jeszcze zastała mnie w łóżku. Powiedziałem jej, że jestem za słaby, że nie mogę ani czytać, ani pisać, i prosiłem, aby przyszła nazajutrz. Położyła więc na stolyczku obok łóżka przyniesiony list i odeszła, dobrze już wiedząc, co o moim zdrowiu powiedzieć C. C.

Pod wieczór, czując się już nieco lepiej, kazałem służącemu zamknąć drzwi i rozpieczętowałem list C. C. Pierwsze, com ujrzał i co mi sprawiło wielką przyjemność, to klucz od *casino*, już bowiem żalowałem, że go był oddał, bo zaczynałem rozumieć, że nie miałem racji. Drugą rzeczą, nie mniej cenną od tak miłego klucza, był list od M. M. Co prędzej złamałem pieczęć i oto, com wyczytał:

„To, co przeczytałeś lub przeczytasz w liście mojej przyjaciółki, pozwoli ci, mam nadzieję, zapomnieć o pomyłce, którą popełniłam w niewinności ducha, albowiem wręcz odwrotnie: zamierałam sprawić ci wielką przyjemność. Wszystko widziałam, wszystko słyszałam i nie wyszedłbyś, gdybym przypadkiem nie była zasnęła na godzinę przedtem. Weź ten klucz i przyjdź jutro wieczór...”

Przeczytałem następnie list mojej drogiej C. C. i przytaczam go tutaj, bo wydaje mi się dość ciekawy.

„Błagam cię, drogi mój, nie odsyłaj aby tego klucza, chyba że stałeś się najokrutniejszym z ludzi i znajdujesz satysfakcję w dręczeniu dwóch kobiet, które cię gorąco kochają i to nie egoistyczną miłością. Znając twoje dobre serce jestem pewna, że przyjdiesz jutro wieczór do *casino* i pojednasz się z M. M., która nie może tam być dziś wieczór...”

Kiedy już mając wracać do klasztoru ujrzałam przed sobą moją drogą M. M., zdziwiłam się niezmiernie. Okazuje się, że ze schowanka słyszała wszystko, coś mówił. Kilkakrotnie chciała wyjść stamtąd, ale za każdym razem wstrzymywała ją obawa, że zjawi się nie w porę i przeszkodzi porozumieniu, które – jak sądziła – musi nastąpić między dwojgiem kochanków...

«Opowiem ci wszystko» – powiedziała mi po powrocie do klasztoru i zaraz się położyła. Siadłam u wezgłowia i oto jej słowa: «Kiedy zostałam sama, bo ciotka cię odwołała, wzięłam szpilkę i nacisnęłam niebieski punkcik, pod którym, jak podejrzewałam, istotnie kryje się sprężyna. Nie potrafię ci odmalować mojej radości, gdy ujrzała, że kochamy tego samego mężczyznę. Ale nie potrafię ci też wyrazić bólu na myśl, iż uzurpuję twoje prawa. Jednak zachwycona moim odkryciem, powzięłam plan zrobienia ci przyjemności i zaaranżowania dla was kolacji sam na sam... Chodziło mi tylko o jedno: o przekonanie was, że zasługuję na wasz szacunek, miłość i przyjaźń... Nasz ukochany zrozumiał to inaczej, odszedł zrozpaczony. Kocha mnie jeszcze, ale jeśli myśli o mnie, to po to, aby tym łatwiej zapomnieć. To, że oddał klucz, jest dowodem, że już nie wróci... Umrę, jeżeli nie zdołasz mu wszystkiego wytłumaczyć, albowiem bez niego nie mogę żyć. Z pewnością zdołasz do niego napisać: znasz go, wiesz, jak się nazywa. Błagam cię, poślij mu ten klucz wraz z listem, w którym proszę, aby choć raz przyjechał na rozmowę ze mną do Murano jutro lub pojutrze...»

Przy końcu lektury owego listu poczułem rosnący we mnie podziw dla C. C. i gorącą miłość do M. M. Ale niestety! Byłem obezwładniony chorobą, mimo że nie miałem gorączki. Przekonany, że Laura przyjdzie jutro wczesnym rankiem, zabrałem się do pisania odpowiedzi.

W sześć dni później, czując się już zdrowszy, udałem się do Murano, gdzie odźwierna wręczyła mi list od M. M. Pisała, że umiera z niecierpliwości dowiedzenia się, iż jestem zdrowszy i znowu panem jej *casino* wraz ze wszystkimi prawami, które winienem zachować do końca

życia. „Daj mi znać, proszę – pisała – kiedy spotkamy się w Murano lub w Wenecji, jak wolisz. Pamiętaj, że i tu, i tam nie będziemy mieli świadków.” Odpisałem zaraz, że zobaczymy się pojutrze w tym samym miejscu, z którego piszę, bo tam, gdzie ją skrzywdziłem, muszę też uzyskać przebaczenie płynące z jej kochającego serca...

W dwa dni potem, 4 lutego 1754 roku, miałem szczęście znaleźć się znowu sam na sam z moim aniołem. Była w stroju zakonnym. A że oboje czuliśmy się winni, odruchowo, od pierwszego na siebie spojrzenia uklękliśmy jedno u nóg drugiego, a raczej – kolano przy kolanie. Oboje ciężko skrzywdziliśmy miłość: ona traktując ją po dziecinnemu, ja po jansenistowsku. Ale jakąż mową mogliśmy wyrazić naszą wzajemną skruchę, jakimi słowami błagać o wybaczenie! Pocałunek, ten znak niemy, choć wymowny, ów dotyk delikatny i rozkoszny, który rozpala krew w żyłach i od razu wyjaśnia, co serce czuje i do czego rwie się dusza – był jedyną naszą mową. I, czytelniku, nie wypowiedziawszy ani słówka, jakże byliśmy zgodni niebawem!...

Kiedy troskliwa odźwierna podała nam kolację i siedliśmy do stołu, M. M. zauważyła, że schudłem.

– Nie tyje się z fizycznych dolegliwości – odparłem – a z udręki moralnej marnieje. Dostyc jednak wycierpieliśmy oboje i powinniśmy mieć tyle rozumu, aby nie wspominać tego, co sprawia nam przykrość.

Zabawialiśmy się przypominaniem sobie minionych niebezpieczeństw, maskarady i mojego stroju pierrota.

– Byłam uszczęśliwiona – powiedziała M. M. – dowiedziawszy się, że nie jesteś patrycjuszem, jakem się tego obawiała, bo gdybyś nim był, mogłaby mi się w końcu przydarzyć bardzo bolesna przygoda.

Doskonale wiedziałem, czego mogła się obawiać, ale udałem, że nie rozumiem.

– Nie wiem, czego mogłabyś się lękać, gdybym był patrycjuszem.

– Nie mogę ci wyznać dopóty, dopóki nie przyrzekniesz, że spełnisz to, o co cię poproszę.

– Mów szczerze, przytocz powody i licz na moją miłość do ciebie...

– Dobrze. Chcę, abyś nas zaprosił na kolację do swojego *casino*, mnie i mojego kochanka, który umiera z chęci poznania ciebie...

– Pewnie już wie, kim jestem.

– Uważałam, że to mój obowiązek powiedzieć mu, bo inaczej nie pozwoliłby sobie na przyjemność zjedzenia z tobą kolacji, zwłaszcza zaś u ciebie.

– Wiem już, o co chodzi: a więc twój przyjaciel jest posłem obcego państwa.

– Tak.

– Ale wolno mi się chyba spodziewać, że raczy łaskawie wystąpić pod prawdziwym nazwiskiem.

– To się rozumie samo przez się. Przedstawię ci go wymieniając nawet wszystkie tytuły, nie tylko nazwisko.

– Ustal zatem dzień i możesz być pewna, że będę go niecierpliwie wyczekiwał.

– Nasz przyjaciel nazywa się de Bernis i jest ambasadorem Francji. Przybędzie w masce, a gdy ją zdejmie, przedstawię ci go.

– Miałaś więc rację, droga przyjaciółko, obawiając się, czy aby nie jestem patrycjuszem, bo wówczas panowie Inkwizytorzy Stanu, którzy tak często chcą tylko popisać się gorliwością, nie omieszkaliby wmieszać się w sprawę, i strach mnie oblatuje na myśl o straszliwych konsekwencjach, jakie by z tego wynikły. Ja zamknięty w więzieniu Pod Ołowianym Dachem, ty zhańbiona, przeorysza... klasztor... Wielkie nieba! Powiedz mi jednak, którego dnia mam wydać ową kolację? Płonę z niecierpliwości.

– Dziś mamy czwartego, dobrze więc, za cztery dni.

– A zatem ósmego.

– Tak. Przybędziemy z opery zaraz po drugim balecie. Opisz mi dokładnie drogę do ciebie, abyśmy nie potrzebowali nikogo pytać.

Po odejściu mojej pięknej mniszki spałem aż do południa. Potem ubrawszy się wróciłem do Wenecji i chcąc, aby kolacja przyniosła mi zaszczyt i była godna moich gości, od razu pospieszyłem wydać dyspozycje kucharzowi.

JEMY W MOIM CASINO KOLACJĘ WE TROJE Z PANEM DE BERNIS, AMBASADOREM FRANCJI – PROPOZYCJA M. M.; WYRAŻAM ZGODĘ – JEJ SKUTKI – C. C. ZDRADZA MNIE I NIE MOGĘ MIEĆ DO NIEJ O TO ŻALU

Myśl o wieczerzy zaaranżowanej w porozumieniu z M. M. sprawiła mi wielką przyjemność, toteż powinienem być czuć się zupełnie szczęśliwy. A jednak nie byłem. Czemu więc przypisać dręczący mnie niepokój? Skąd wypływał? Z fatalnej żyłki do hazardu. Ta namiętność zakorzeniła się we mnie głęboko: życie i grę uważałem za jedno. Co rano i co wieczór przegrywałem i z tego powodu czułem się nieszczęśliwy.

– Więc czemuś pan grał, skoroś tego nie potrzebował? Nic ci nie brakowało, miałeś pełną kiesę pieniędzy i mogłeś zaspokoić wszystkie zachcianki.

Byłoby to ambarasujące pytanie, gdybym sobie nie postanowił rzec prawdy. A więc dobrze, panowie ciekawscy: jeżeli grałem mając niemal pewność przegranej (mimo że chyba jestem na nią najczulszy ze wszystkich ludzi), to dlatego, że opętał mnie demon skapstwa. Oczywiście lubiłem wydawać pieniądze, byłem niemal rozrzutny, a jednak serce we mnie krwawiło, gdym musiał sięgać do innych pieniędzy niż pochodzących z wygranej. To brzydka cecha i wcale się nie bronię. Tak czy owak dość na tym, że przez cztery dni dzielące mnie od wizyty M. M. przegrałem całe złoto, którym dzięki niej był wygrał.

W owym gorąco oczekiwanym dniu udałem się do swojego *casino*, gdzie o umówionej godzinie zjawiała się M. M. wraz ze swoim przyjacielem, którego mi przedstawiła, zgodnie z przyjętymi formami, natychmiast, gdy zdjął maskę.

– Od chwili, kiedy pani mi powiedziała, że znaleźmy się z panem. w Paryżu – rzekł ambasador – pilno mi było odnowić tę znajomość.

To mówiąc przyglądał mi się bacznie, jak zawsze, kiedy chcemy sobie przypomnieć człowieka, którego straciliśmy z oczu. Pragnąc mu ułatwić sytuację powiedziałem, że nie zamieniliśmy wówczas ani słowa, a zatem nie mógł zapamiętać moich rysów.

– Miałem zaszczyt – oświadczyłem – jeść obiad z Waszą Ekscelencją u pana de Mocenigo. Byłeś pan jednak zajęty osobą milorda Marschala, ambasadora króla pruskiego, toteż niestety nie udało mi się ściągnąć na siebie pańskiej uwagi.

Ta niecodzienna para szybko zaczęła się czuć jak u siebie i niebawem zasiedliśmy do stołu. Ambasador, znakomity smakosz, wielce sobie chwalił moje wina i z przyjemnością dowiedział się, że mam je od hrabiego Algarotti, który słynął ze swojej piwnicy.

Sztywność pierwszego spotkania nie studziła humorów, bo pan de Bernis pod tym względem był Francuzem, w całym tego słowa znaczeniu. Dużo podróżowałem, napatrzyłem się ludzi pojedynczych i w masie, i muszę powiedzieć, że tylko Francuzi odznaczają się prawdziwą towarzyskością. Jedynie oni potrafią żartować, a żart, finezyjny i delikatny, ożywiając konwersację, nadaje urok towarzyskim spotkaniom.

Czarująca M. M. zręcznie skierowała rozmowę na romantyczną intrygę, dzięki której mnie poznała. Oczywiście już teraz tylko jeden krok dzielił nas od tematu mojej miłości do C. C. M. M. tak interesująco opisała tę cudną osobkę, że ambasador wysłuchał opowiadania z cie-

kawością człowieka, który nigdy nie widział owej ślicznotki. Musiał tak robić, albowiem nie wiedział, że jego pobyt w ukryciu podczas mojej idiotycznej rozmowy z C. C. nie jest dla mnie żadną tajemnicą. Teraz rzekł, że bardzo by się cieszył, gdyby M. M. była przywiozła C. C. na kolację.

– Byłoby to zbyt ryzykowne, ale jeżeli zrobi to panu przyjemność – powiedziała urocza mniszka zwracając się do mnie z miną nobliwą i uprzejmą zarazem – zaproszę pana do siebie na kolację, na której i ona będzie.

Ogromnie zdziwiły mnie te słowa, ale żadną miarą nie mogłem tego w owej chwili pokazać po sobie.

– Trudno – odparłem – o większą przyjemność od tej, jaką znajduję w pani towarzystwie, przyznam jednak, że ucieszyłby mnie podobny wzgląd z pani strony.

– Dobrze więc, pomyślę o tym.

Prosiłem ambasadora o wyrozumiałość dla piętnastoletniego dziewczątka, które jeszcze nie obracało się w świecie.

Goście bardzo zadowoleni pożegnali się ze mną o ósmej, a ja zostałem sam.

Nazajutrz z rana napisałem do C. C., ani słówkiem jednak nie zdradzając, że przy kolacji będzie czwarta osoba, i oddawszy ten bilecik Laurze udałem się do Murano, gdzie odźwierna wręczyła mi list od M. M.

„Najmilszy przyjacielu, nie będę mogła spać spokojnie, jeżeli przed pójściem do łóżka nie uwolnię się od skrupułów, które mi ciążyą na duszy. Być może tylko przez zwykłą grzeczność przystałeś na kolację we czworo. Powiedz prawdę, bo gdybyś nie życzył sobie tego spotkania, potrafię zniweczyć cały projekt bez najmniejszej dla ciebie kompromitacji...”

Ta obawa była zupełnie naturalna, jednak fałszywy wstyd nie pozwolił mi się cofnąć. M. M. znała mnie doskonale, a będąc wspaniałym taktykiem, potrafiła zaatakować moją słabą stronę.

Oto com jej odpowiedział:

„Umówiona kolacja powinna się odbyć; sprawi mi dużą przyjemność. Pozwól sobie powiedzieć, że zgodziłem się na nią kierowany raczej wdzięcznością niż ogłądą. C. C. dopiero wchodzi w świat i rad jestem, że ty jej w tym patronujesz... W jakiej szkole nauczyłaby się tego lepiej niż pod twoimi skrzydłami?...”

Oto jak dobrowolnie zabrnąłem w sytuację, z której nie było odwrotu. Ale niechże mi wolno będzie poczynić te wszystkie refleksje, jakie mi dyktuje znajomość ludzkiego serca. Z łatwością spostrzegłem niezaprzeczalny fakt, że ambasador zakochał się w C. C., i domyśliłem się, że powiedział o tym M. M., która, nie mogąc zapobiec tej miłości i niewątpliwie przybrawszy rolę poczciwej przyjaciółki, gotowa była na wszystko, co faworyzowałoby ową namiętność. Oczywiście nie mogła nic przedsięwziąć bez mojej zgody i uważała tę sprawę za zbyt delikatnej natury, aby mi wręcz zaproponować uczestnictwo w miłosnej grze. Zmówili się więc, że skierują rozmowę na ów temat, a wtedy wiedziony grzecznością lub sentymentem wyrażę zgodę i wpadnę w sidła. Ambasador, polityk zaprawiony w intrygach, świetnie wywiązał się z zadania i, jak sobie życzyli, połąkłem przynętę. Cóż miałem począć? Tylko udawać zadowolonego, aby nie wyglądać na durnia i nie okazać się niewdzięcznikiem wobec człowieka, który udzielił mi niebywałych przywilejów. Jednak w konsekwencji tej intrygi mogłem tylko ochłodzić dla jednej z dwóch moich kochanek. M. M. świetnie zdawała sobie z tego sprawę i po powrocie do klasztoru chcąc się osłonić i zaradzić wszystkiemu jak mogła najlepiej, natychmiast napisała do mnie, że gotowa jest zniweczyć cały projekt, ale pewna była mojej odmowy.

Nazajutrz udawszy się do *casino* M. M. zastałem już tam ambasadora. Powitał mnie przyjaźnie i na moje pytanie, czy mu się podoba życie w Wenecji, odparł, że jakże mogłoby mu się nie podobać, skoro czuje się doskonale i mając dużo pieniędzy może sobie tutaj, lepiej niż gdzie indziej, pozwolić na wszystkie rozkosze.

Rozmawialiśmy do pewnego stopnia poufnie, kiedy weszła M. M. ze swoją młodą przyjaciółką, która ujrawszy mnie z jakimś innym mężczyzną zrobiła taki ruch, jak by się chciała cofnąć. Dodałem jej odwagi czułym powitaniem, a zupełnie odzyskała kontenans, kiedy odpowiadawszy na komplement nieznanego zobaczyła, że jej wyborna znajomość języka francuskiego wywołała zachwyt na jego twarzy.

Byłem oczarowany C. C.: jej spojrzenie żywe i skromne wydawało się mówić mi: „Musisz być mój”. Do tego dołączało się jeszcze gorące pragnienie, aby wszystkich ołśniła. Te oba uczucia dopomogły mi zapomnieć o brzydkiej zazdrości, która wbrew woli zaczęła się już we mnie budzić.

Panu de Bernis C. C., którą ożywiał i której pochlebiał aplauz malujący się w moim spojrzeniu, wydawała się istnym cudem. Okazywał więc jej przez cały czas istic królewskiej wieczery jak najdalej idące względy. M. M. traktowała go jak dobrego przyjaciela, nic więcej, mnie okazywała szacunek, a dla C. C. była czułą siostrą. Pan de Bernis zaś odnosił się do niej uprzejmie i życzliwie, bynajmniej nie ukrywając jednak jak najgłębszego zainteresowania każdym słówkiem wyrzeczonym przez C. C.

Spędziliśmy tak pięć przemiłych godzin, ambasador zaś był najbardziej zachwycony z nas wszystkich. M. M. wyglądała na osobę zadowoloną ze swego dzieła, a ja występowałem w roli aprobaty. C. C. sprawiała wrażenie uszczęśliwionej tym, że potrafiła nam się podobać; można by nawet sądzić, iż wiele pochlebiało jej to, że ambasador tylko nią był zajęty.

Po północy zaczęliśmy się żegnać i panu de Bernis przypadł obowiązek komplementowania towarzystwa. Dziękując M. M. za najmiłą w jego życiu wieczerzę, zobligował ją jednocześnie do powtórzenia podobnej kolacji pojutrze. Do mnie zaś, dla zachowania pozorów, zwrócił się z pytaniem, czy bawiłem się tak samo dobrze jak on...

Nazajutrz, zastanawiając się nad tą zaiste przykłądną kolacją, bez trudu domyśliłem się, do czego to wszystko zdąża. Widziałem, że ambasador nieprzytomnie kocha się w C. C., i ani chwili się nie ludziłem, że nie należy on do ludzi, którzy by poprzestali na patrzeniu w jej piękne oczy. Miał już niewątpliwie sprecyzowany plan, a M. M. mimo całej lojalności była jego inspiratorem. I choć nie zamierzałem posuwać swojej uprzejmości poza słusne granice, czułem już, że zostanę wystrychnięty na dudka, a biedna C. C. padnie ofiarą owych sztuczek. Nie mogłem się zdecydować ani na pogodzenie się z tym faktem, ani na jakiegokolwiek przeciwdziałanie, i uważając, że moja mała żona nie pozwoli sobie na żaden wybryk, który by mi się nie podobał, wolałem na wszystko przymknąć oczy ufny, że nie da się ona tak łatwo uwieść. Idiotyczna kalkulacja!

Ambicja i fałszywy wstyd wzięły we mnie górę nad zdrowym rozsądkiem.

Pojutrze o ustalonej godzinie przybyłem do *casino* i zastałem obie piękne kochanki przed kominkiem.

– Witam was, moje boginie. A gdzie nasz miły Francuz?

– Jeszcze się nie zjawił – odparła M. M. – Ale stawi się z pewnością. Zdjąłem maskę i siadłszy między nimi, jąłem je obsypywać pocałunkami strzegąc się, aby żadnej przy tym nie wyróżnić. Godzina zesłała nam na przyjaznej i grzecznej pogawędce, a mimo pulsującej krwi w skroniach nie pofolgowałem zmysłom; M. M. działała na mnie silniej niż C. C., lecz za skarby świata nie chciałem urazić mojej czarującej dziewczynki. W końcu, gdy M. M. zaczęła się już niepokoić nieobecnością pana de Bernis, odzwierna przyniosła jej liścik od niego. „Kurier przybyły o drugiej – pisał w nim – unieszczęśliwił mnie na ten wieczór, albowiem aż do rana będę musiał odpisywać na otrzymane depesze. Mam nadzieję, że nie tylko raczy mi pani wybaczyć, ale jeszcze mnie pożałuje. Czy mogę spodziewać się, że w piątek pozwoli mi pani dostąpić tej przyjemności, której fatalny los pozbawił mnie dzisiaj? Proszę, niech mnie pani o tym zawiadomi jutro. Chciałbym ujrzeć cię w tym samym towarzystwie, które zechce pani serdecznie pozdrowić w moim imieniu”.

– To nie jego wina – rzekła M. M. – Zjemy więc kolację we troje. Czy przybędziesz pan w piątek?

– Z przyjemnością. Ale co ci jest, moja droga C. C.? Masz taką smutną minkę.

– Smutną? Nie. Chyba że z powodu naszego drogiego przyjaciela, bo nie spotkałam jeszcze człowieka równie układnego i uprzejmego.

Nakryto do stołu w innym pokoju i podano kolację, do której zasiedliśmy z żarłocznym apetytem. A podczas gdy M. M. uczyła C. C. przyrządzania ponczu, przyglądałem się tej małej uważnie.

– Twoje piersiątko – powiedziałem – za jakieś dziewięć miesięcy osiągną doskonałość.

– Są zupełnie podobne do moich – wtrąciła M. M. – chcesz zobaczyć? – A gdy nie zaprzeczyłem, przystąpiła do dzieła i rozwiązała sznurówkę swojej przyjaciółki, która się temu nie sprzeciwiła, i natychmiast zabrała się do siebie samej. Po chwili podziwiałem cztery półkulki, rywalizujące z sobą na wzór owych trzech bogiń, które o jabłko apelowały do sprawiedliwości pięknego Parysa. Czy muszę opisywać żar, jaki zbudził we mnie ten zachwycający widok?... Niebawem leżeliśmy już jak nas Bóg stworzył w obszernym łożu...

Rozstaliśmy się o świcie, wyczerpani i zawstydzeni, że musimy się do tego przyznać, lecz zadowoleni z siebie i tęskniący do ponownych, takich samych rozkoszy.

Nazajutrz, gdym rozmyślał nad ową, aż nazbyt intensywną nocą, kiedy to miłość jak zawsze wzięła górę nad rozsądkiem, zdjęły mnie wyrzuty sumienia. Ani przez chwilę nie wątpiłem, że nieobecność ambasadora była umyślna i ukartowana. W moich supozycjach wybiegałem nawet dalej, bo wydawało mi się jasne, że owa dwójka konspiratorów przeczuła, iż odgadnę ich finezyjną grę i wrażliwy na punkcie honoru, mimo ewentualnych wyrzutów sumienia, nie zechcę im ustąpić w szczodrości. Ambasador pierwszy zapewnił mi rozkoszną noc miłosną, jakże mógłbym, mu odmówić podobnej? Moi przyjaciele rozumowali trafnie, bo mimo całej rozterki zdawałem sobie wyraźnie sprawę, że nie powinienem przeszkadzać im w zwycięstwie. Nie kłopotali się osobą C. C., byli pewni, że ulegnie, jeśli mnie przy tym nie będzie. Biedna mała! Widziałem już ją kroczącą po drodze rozpusty, i to było moim dziełem! Wzdychałem też z niepokoju przypomniawszy sobie, że nie byłem dość ostrożny w czasie naszej ostatniej orgii i drętwiałem na myśl, co zrobię, jeżeli obydwie jednocześnie będą musiały z powodu swojego stanu uciekać z klasztoru.

W owej nieszczęsnej walce między rozsądkiem i przesądami nie mogłem zdecydować się, czy pójść na tę kolację, czy nie iść.

Jeżeli pójde, noc minie zupełnie niewinnie, ale wystawię się na pośmiewisko jako zazdrośnik, niewdzięcznik i nawet prostak. Jeśli nie pójde, C. C. będzie stracona, przynajmniej w mojej duszy, albowiem czułem, że nie zdołam kochać jej nadal, i wtedy żegnaj, nadziejo małżeństwa! W tym głębokim niepokoju doznawałem potrzeby oparcia się na czymś realniejszym od podejrzeń. Włożyłem maskę i skierowałem się prosto do pałacu pana de Bernis. Zwróciłem się do szwajcara mówiąc, że mam list do Wersalu, że chciałbym go oddać kurierowi, który ma tam wrócić zaraz po otrzymaniu poczty z rąk ambasadora.

– Ale, mój panie, od dwóch miesięcy nie przybył do nas żaden ekstra kurier.

– Jak to? Podobno przybył wczoraj wieczór!

– Więc dostał się chyba przez dywnik albo komin, bo tymi drzwiami, słowo daję, żaden nie wszedł.

– Ale Jego Ekscelencja pracował przez całą noc.

– Cóż, to możliwe, jednak nie tu, bo wieczerał u ambasadora Hiszpanii, od którego wrócił dopiero nad ranem.

A więc odgadłem słusznie... Bez wstydu nie dałoby się już zawrócić z drogi. Teraz tylko C. C. mogła pokrzyżować plany tamtej pary, jeśli jej nie dogadzały. Gwałtu nikt jej nie zada. Kości były rzucone.

Pod wieczór udałem się specjalnie do *casino* w Murano, skąd napisałem list do M. M., w którym prosiłem, aby mi wybaczyła, jeżeli pilna sprawa pana de Bragadina nie pozwoli mi spędzić wieczoru z nią i dwojgiem naszych przyjaciół. Prosiłem też, aby nie tylko pozdrowiła

ich w moim imieniu, ale i wyjednała mi przebaczenie. Po tym pięknym czynie wróciłem zły do Wenecji, poszedłem grać i przegrywałem do rana.

W dwa dni później będąc pewnym, że w Murano czeka na mnie list od M. M., udałem się tam i istotnie odzwierciedlała mi kopertę, w której były aż dwa listy: od mojej mniszki i od C. C., bo teraz wszystko stało się wspólne między nimi.

Oto co pisała C. C.:

„Drogi mój, ogromnie zmartwiła nas wiadomość, że nie będziemy mieli szczęścia ciebie ujrzeć. Przyjaciel mojej kochanej M. M. przyszedł w kwadrans potem i bardzo był niezadowolony, gdy przeczytał twój list. Do kolacji zasiedliśmy smutni, ale ów pan rozbawił nas swoimi miłymi żartami. Nawet nie wyobrażasz sobie, jakie szaleństwa wyprawialiśmy po ponczu i szampanie. Nasz wspólny przyjaciel nie ustępował nam w szaleństwach i choć nie spędziliśmy nocy w miłosnym trio, to jednak minęła nam bardzo przyjemnie. Mówię ci, że to jest czarujący człowiek, stworzony do kochania, ale z tobą pod żadnym względem równać się nie może. Bądź pewien, że nigdy nie przestanę cię kochać i że zawładnąłeś moim sercem na całe życie.”

Mimo że złość mnie wzięła list ten mnie ubawił, ale ów od M. M. był jeszcze bardziej niezwykły.

„Jestem pewna – pisała – żeś skłamał przez zwykłą grzeczność, ale odgadłeś, że się tego spodziewałam. Był to wspaniały prezent, który chciałeś ofiarować naszemu przyjacielowi, w zamian za otrzymany od niego dar w postaci mojego serca. Przykro mi było, że cię nie widziałam, zdawałam sobie jednak sprawę, że w twojej obecności nie bawilibyśmy się tak dobrze, albowiem nasz wspólny przyjaciel mimo swojego rozumu nie jest wolny od pewnych przesądów. Gdy idzie o C. C., to ma teraz umysł tak samo wolny od przesądów jak my i pochlebiam sobie, że to moja zasługa... W śróde jestem sama i będę całkowicie dla ciebie w twoim *casino* w Wenecji...”

Wypadało unisono odpowiedzieć na te oba listy i mimo gorczy wypełniającej mi serce odpowiedź winna była być słodka jak miód. Musiałem się zdobyć na wysiłek i odwagę i bardzo do rzeczy powiedziałem sobie: „Same tego chcia!”

Odpisując C. C. miałem dość odwagi lub czelności, aby jej powinszować i nawet zachęcić do naśladowania M. M., bo nie mógłbym jej doradzić lepszego wzoru.

Do M. M. napisałem, że punktualnie stawię się przed pomnikiem, ale w całej masie obłudnych komplementów, za którymi próbowałem ukryć stan mojego ducha, wyraziłem też podziw dla wspaniałej edukacji, jaką C. C. od niej odebrała. Wspomniałem jednak, że jestem szczerze rad, iż nie byłem skazany na tortury – jakich bym nawet nie zniósł – przyglądania się temu wszystkiemu.

W śróde przybyłem na schadzki punktualnie, a na M. M. czekałem niedługo. Przyszła w męskim przebraniu.

- Dzisiaj rezygnujemy z teatru, pójdziemy do sal reutowych przegrać pieniądze albo podwoić nasz stan posiadania.

Miała sześćset cekinów, gdy ja tylko sto. Szczęście odwróciło się od nas i straciliśmy wszystko. Myślałem, że teraz wyjdziemy z tej jaskini gry, ale M. M., która na moment odešla ode mnie, wróciła z kieszka zawierającą trzysta cekinów, otrzymaną od pana de Bernis.

Wiedziała, gdzie go szukać, a owe pieniądze, które zawdzięczała miłości lub przyjaźni, przyniosły jej przelotne szczęście: nie tylko bowiem odzyskała wszystko, co przegraliśmy, ale chciwi albo też nieostrożni graliśmy dalej i zgraliśmy się do ostatniego grosza.

– Chodźmy – powiedziała M. M., kiedy już nie mieliśmy co stawiać. – Chodźmy teraz, gdy nie potrzebujemy bać się złodziei, chodźmy na kolację.

Kiedy znaleźliśmy się sam na sam, stwierdziła, że jestem smutny i zatroskany, mimo że usiłowałem tego po sobie nie pokazać.

Chcąc wprowadzić mnie w dobry humor M. M. zaczęła szczegółowo opisywać wieczór spędzony z C. C. i swoim kochankiem, lecz szybko spostrzegła, że źle się z tym wybrała.

Siedziałem jak na szpilkach i wszystkimi sposobami próbowałem sprowadzić rozmowę na inny temat, bo owe pikantne szczegóły, tak chętnie przez nią cytowane, gniewały mnie tylko, gniew zaś studzi namiętność. Bałem się więc, że nie stanę na wysokości zadania w czekających nas miłosnych zapasach, a gdy kochanek zwątpi o swych siłach, prawie zawsze zawiedzie nadzieje kochanki.

Po kolacji poszliśmy się położyć do alkowy, gdzie piękno, urok ciała i umysłu, wdzięk i temperament mojej cudownej mniszki pomogły mi zapomnieć o zmartwieniach i wprowadziły w lepszy nastrój.

Przed rozstaniem się M. M. poprosiła mnie, abym wziął pieniądze od niej z biureczka i raz jeszcze do spółki z nią spróbował szczęścia w kartach. Zrobiłem, jak chciała: wziąłem całe złoto i podwajając stawki wygrywałem codziennie aż do końca karnawału. Winszowałem sobie, że przysparzam majątku mojej lubej, która zawiadomiła mnie, iż względy przyzwoitości wymagają, abyśmy w dwie pary zjedli kolację w ostatki.

Była to moja ostatnia kolacja z C. C. Bawiła się na niej świetnie, ale ja, już dokonawszy wyboru, asystowałem tylko M. M. Naśladowała mnie więc bez żenady i zajmowała się wyłącznie swoim nowym kochankiem.

Czując, że już niebawem będziemy sobie nawzajem zawadzać, prosiłem M. M., aby jakoś tak to zaaranżowała, byśmy się rozdzielili, z czego wywiązała się doskonale.

Gdy już zjedliśmy kolację, ambasador zaproponował partyjkę faraona: kazał przynieść karty, wyłożył na stół sto podwójnych ludwików, otworzył bank i postarał się je przegrać bez reszty do C. C. Przeznaczył jej te pieniądze na szpilki, bo uważał, że tak powinien.

Po skończonej partii M. M. oznajmiła, że boli ją głowa i że pójdzie położyć się do alkowy. Prosiła, bym ją uśpił. Tak więc usunęliśmy się z drogi tej parze kochanków. A w sześć godzin później, kiedy zegar dał znać, że czas się rozstać, ujrzeliśmy ich śpiących w objęciach. Jeśli chodzi o mnie, to tę noc miłosną spędziłem w spokoju, zadowolony z M. M. I ani razu nie pomyślałem o C. C.

Po wyjeździe pana de Bernis do Wiednia Casanova korzysta z pozostawionego mu wspaniałomyślnie *casino* i spotyka się nadal z M. M. Jego sytuacja materialna znacznie się pogarsza. M. M. ciężko choruje. Na wiadomość o tym Casanova przeprowadza się na Murano. Tu oboje planują ucieczkę i spieniężenie resztek kosztowności M. M. Ale Casanova przegrywa i te pieniądze. Jednocześnie wygasa jego uczucie do M. M.

W tym to roku 1754 Wenecja staje się polem bezkrwawej bitwy między dwoma obozami. Poszło zaś o to, że Marek Antoniusz Zorzi, z patrycjuszowskiego rodu, uroił sobie, że jest wspaniałym komediopisarzem, a jeżeli nie znajduje uznania, to tylko za sprawą księdza Chiari, w owym czasie najśłynniejszego, z braku lepszych, weneckiego poety.

Casanova bierze czynny udział w tej walce po stronie Zorzi... Układa wiersze satyryczne na księdza Chiari, które Zorzi rozpowszechnia. Opłaceni ludzie wygwizdują każdą sztukę księdza Chiari, wystawianą w teatrze San Angelo.

W sprawę wsadza swoje trzy grosze niejaki Condulmer, mężczyzna po pięćdziesiątce, palący nienawiścią do Casanovy. Kocha się bowiem w pani Zorzi, a jego szansę znacznie zmalowały od chwili, gdy na arenie zjawił się dużo młodszy i o wiele bardziej interesujący Casanova. W parze z zazdrością idzie też ból z powodu strat materialnych, albowiem Condulmer jest współwłaścicielem teatru San Angelo.

Casanova ma do czynienia z groźnym przeciwnikiem: Condulmer, rozpustnik, gracz i bigot, każe go śledzić szpiegowi Świętego Oficjum, niejakiemu Manuzzi, a kiedy sam staje się inkwizytorem, jeszcze gęstsza siecią intryg oplata Casanowę.

Ale mało tego: wariuje hrabianka Bonafade i w pewien upalny dzień wybiega nago na uliczki Wenecji, przeklinając głośno Casanowę. W dodatku pani Memmo oskarża go o zły wpływ na swoje córki. Pętla wokół niego zacieśnia się.

Manuzzi, którego Condulmer bezustannie przynagla, wylazi ze skóry, aby tylko coś znaleźć przeciwko Casanovie, i między innymi donosi, że widział u niego w szafie ów dziwaczny przedmiot, przypominający skórzany fartuszek, jaki noszą ludzie zwący się masonami. To wystarcza. Rozkaz aresztowania Casanovy zostaje wydany!

... ZOSTAJĘ ARESZTOWANY Z ROZKAZU INKWIZYTORÓW STANU...

W tym samym czasie pewien osobnik, niejaki Manuzzi, z zawodu szlifierz drogocennych kamieni, a poza tym szpieg, niecny zausznik inkwizytorów stanu, człowiek najzupełniej mi obcy, zdołał podstępnie poznać się ze mną, ażeby zaproponować mi kupno diamentów na kredyt. Pod tym pozorem wkradł się do mojego domu. A gdy przeglądał leżące tu i ówdzie książki, zainteresował się bardzo rozprawami z dziedziny magii. Zabawiając się głupio jego zdziwieniem pokazałem mu te, które uczyły sposobów obcowania z duchami pierwszego stopnia. Moi czytelnicy zechcą mi chyba łaskawie dać wiarę, że ja sam w najmniejszym stopniu nie wierzyłem owym tajemnym księgom. Miałem je jednak i bawiłem się nimi, jak bawimy się tysiącnymi głupstwami, zrodzonymi w mózgach pustogłowych myślicieli. W parę dni później ów zdrajca znów przyszedł z wiadomością, że ktoś ciekawy, czyjego nazwiska wymienić nie może, gotów dać tysiąc cekinów za te moje pięć ksiąg, ale że przedtem chciałby je zobaczyć dla przekonania się, czy są aby autentyczne. Że zaś zobowiązał się zwrócić mi je po dwudziestu czterech godzinach, a ja do nich żadnej wagi nie przywiązywałem, powierzyłem mu owe dzieła. Odniósł je nazajutrz mówiąc, że ten amator uważa, że są to falsyfikaty. Dopiero w parę lat później dowiedziałem się, że zaniósł je był do sekretarza inkwizytorów stanu, którzy tym sposobem dowiedzieli się, że jestem słynnym czarnoksiężnikiem.

W owym fatalnym miesiącu wszystko sprzysięgło się na moją zgubę...

... O wczesnym świcie¹³ wszedł do mojego pokoju straszliwy Messer Grande. W jednej chwili zbudziłem się, ujrzałem go i usłyszałem, że pyta, czy jestem Jakubem Casanovą. A na moje: „Tak, nazywam się Casanova”, kazał mi wstać, ubrać się, wydać mu wszystkie pisma własne i cudze, jakowe posiadam, i udać się za nim.

– W czym imieniu wydajesz mi pan ten rozkaz?

– W imieniu Trybunału.

POD OŁOWIANYM DACHEM – TRZĘSIENIE ZIEMI

...Mój sekretarzyk stał otworem; wszystkie papiery leżały na stole, który mi służył za biurko.

– Proszę, bierz pan – powiedziałem do owego emisariusza straszliwego Trybunału, wskazując ręką na papiery zalegające stół. Nappełnił nimi torbę i wręczywszy ją jednemu ze zbirów rzekł, abym mu również wydał oprawione manuskrypty, które mieć winienem. Wskazałem mu miejsce, gdzie leżały, i to mi otworzyło oczy na wszystko. Jasno pojąłem, że zdradził mnie ów niegodny Manuzzi. Księgami tymi były: „Kluczyk Salomona”, „Zecorben”, „Pecatrix” oraz wyczerpujące „Pouczenie o godzinach planetarnych”, jak również konieczne zaklęcia, potrzebne do obcowania z duchami wszystkich stopni. Ci, którzy wiedzieli, że mam te księgi, uważali mnie za wielkiego maga, o co wcale się nie gniewałem.

¹³ 26 lipca 1755 roku.

Messer Grande zabrał mi również wszystkie księgi, które miałem na nocnym stoliku, i zażądał tych zadenuncjonowanych przez Manuzziego. Ów szpieg wyglądał na uczciwego człowieka, co w jego zawodzie było niezbędnym warunkiem. Jego syn doszedł do majątku w Polsce, żeniąc się z pewną damą nazwiskiem Opeska, którą później zgładził – według tego, co ludzie mówią, bo ja nie mam na to żadnych dowodów, a moje miłosierdzie chrześcijańskie posuwam aż tak daleko, że nie chcę temu dać wiary, aczkolwiek ów człowiek mógłby się porwać na podobną zbrodnię.

Podczas gdy Messer Grande zbierał moje manuskrypty, książki i listy, ubierałem się machinalnie i bez pośpiechu. Obmyłem się, ogoliłem, uczesałem, włożyłem koszulę z koronkami i mój najlepszy frak, o niczym w czasie tego nie myśląc i nic nie mówiąc, a Messer Grande, który nawet na chwilę nie spuścił mnie z oka, wcale się nie dziwił, że się przystrajam, jak bym się na wesele wybierał.

Przy wyjściu zdziwiłem się niepomniernie na widok chyba czterdziestu zbirów czekających w sieni. Zrobiono mi niepośledni zaszczyt uważając, że tylu ich potrzeba, aby mnie przytrzymać, wtedy gdy, zgodnie z zasadą *ne Hercules quidem contra duos*, wystarczyłoby dwóch w tym celu. Rzecz szczególna, że w Londynie, gdzie wszyscy są odważni, dość jednego człowieka dla zaarrestowania drugiego, gdy w mojej kochanej ojczyźnie, w której ludzie mają zajęte serca, trzeba ich trzydziestu. Może dlatego że tchórz osaczający boi się o wiele więcej niż tchórz osaczony, co czasem sprawia, że zwykły tchórz staje się przypadkowym bohaterem. Nieraz w Wenecji samotny człowiek broni się przeciw dwudziestu zbijom i szczęśliwie wymyka się z zasadzki złowszy im skórę. Pamiętam, że raz w Paryżu pomogłem jednemu z moich przyjaciół wyrwać się z rąk czterdziestu siepaczy i że we dwóch zmusiliśmy do ucieczki tę nędzną hołotę.

Messer Grande kazał mi wejść do gondoli i sam usiadł przy mnie zabierając eskortę z czterech ludzi. Po przybyciu do swego domu zapytał, czy nie napiłbym się kawy, a gdy odmówiłem, zamknął mnie w pokoju. Cztery godziny upłynęły mi na spaniu; budziłem się jednak co kwadrans dla oddania moczu. Niezwykły objaw, skoro się zważy, że zupełnie nie cierpiałem na pęcherz, że upał był nieznośny, a wczoraj nie jadłem kolacji.

Koło trzeciej godziny wszedł szef zbirów z oznajmieniem, że kazano mu odprowadzić mnie Pod Ołowiany Dach. Poszedłem za nim bez słowa. Wsiedliśmy do gondoli i kręcąc po wąskich kanałach dotarliśmy do Canale Grande, aby w końcu wysiąść na nabrzeża więziennym. Gdy już wstąpiliśmy na wiele schodów, przeszliśmy zamkniętym mostem, który ponad kanałem Rio di Pallazzo łączy więzienia z pałacem. Za tym mostem znajduje się długa galeria; przeszliśmy nią, a następnie przecięliśmy jeden pokój, aby wejść do drugiego, gdzie szef zbirów przedstawił mnie jakiemuś osobnikowi odzianemu w strój patrycjusza, który zmierzyszy mnie wzrokiem, rzekł: *E quello, mettetelo in deposito*¹⁴. Był to sekretarz inkwizytorów, rozsądny Dominik Cavalli, który najwidoczniej wstydził się mówić przy mnie w weneckim narzeczu i wygłosił rozkaz aresztowania po tokańsku.

Wówczas Messer Grande oddał mnie w ręce klucznika więzienia Pod Ołowianym Dachem, który czekał z olbrzymią wiązką kluczy w ręku i w asyście dwóch zbirów poprowadził mnie dwiema wąskimi kondygnacjami schodów na górę, gdzie poszliśmy najprzód jedną galerią, później drugą, oddzieloną od tamtej drzwiami zamkniętymi na klucz, a potem znowu inną. Przy jej końcu klucznik otworzył jeszcze jedne drzwi, wychodzące na obszerne poddasze, na sześć sążni długie i na dwa szerokie, bardzo mroczne, bo nie mogło rozjaśnić go okienko umieszczone tuż pod dachem. Myślałem, że to będzie moje więzienie, ale się w tym pomylił, bo strażnik wzięwszy w rękę olbrzymi klucz, otworzył masywne, obite żelazem, na trzy i pół stopy wysokie drzwi, z ośmioletowym otworem pośrodku, i rozkazał mi wejść do wnętrza właśnie w chwili, kiedy z wielkim zainteresowaniem przyglądał się jakiejś żelaznej maszynie, solidnie wbudowanej w mocną przegrodę. Przypominała podkowę na cal

¹⁴ E quello... – To ten, zamknijcie go w więzieniu.

grubą, a oba jej końce były od siebie na pięć cali oddalone. Rozmyślałem nad zastosowaniem tej obrzydliwej maszyny, gdy klucznik rzekł mi z uśmiechem:

– Widzę, że chciałbyś pan wiedzieć, do czego służy ta machina, i mogę zaspokoić pańską ciekawość. Gdy Ich Ekscelencje każą kogoś udusić, sadza się go na taborecie plecami do tej oto obroży, tak aby objęła mu część szyi. Zwój jedwabiu, spowijający drugą część szyi, przechodzi przez tę dziurę, a oba jego końce okręca się wokół osi kołowrotu. Jest tu ktoś, kto tak długo obraca tym kołowrotem, aż skazaniec w spokoju odda ducha Bogu, bo – dzięki Najwyższemu – spowiednik nie opuszcza go do ostatniego tchnienia.

– Bardzo pomysłowe, i myślę, mój panie, że tobie przypada zaszczyt obracania kołowrotu?

– Nie – odpowiedział i ruchem ręki rozkazawszy mi wejść, co też uczyniłem zginając się we dwoje, zamknął mnie i zaraz zapytał przez okratowany otwór w drzwiach, co chciałbym zjeść.

– Jeszcze się nad tym nie zastanowił – odparłem.

Odszedł zamykając starannie wszystkie drzwi za sobą. Przybity i oszołomiony wsparłem się łokciami na parapecie okratowanego okienka. Było ono na dwie stopy szerokie i na dwie wysokie, przegrodzone sześcioma żelaznymi prętami na cal grubymi, co dawało w sumie szesnaście kwadratowych otworów po pięć cali. Przepuszczałyby dość światła do mojej ciemnicy, gdyby kwadratowa belka stropowa, na osiemnaście cali gruba, wpuszczona w mur pod okienkiem, które miałem nieco na ukos od siebie, nie zabierała mi światła wpadającego na ohydne poddasze. Z pochyloną głową, bo moje więzienie było najwyżej na pięć i pół stopy wysokie, obszedłem je i nieomal po omacku stwierdziłem, że w trzech czwartych tworzy kwadrat na dwa łokcie długości. Czwartą i brakującą ćwiartką była jakby alkówka, w której od biedy stanęłoby łóżko. Jednakowoż nie znalazłem ani łóżka, ani stołu, ani krzesła, ani też żadnego mebla prócz kubła, którego przeznaczenia czytelnik łatwo domyślić się może, oraz deski wprawionej w mur, szerokiej na stopę i na cztery stopy od ziemi wzniesionej. Na niej to złożyłem swój płaszcz z tafty, mój wspaniały frak, tak nieodpowiednio dobrany, i kapelusz obsyty hiszpańskimi koronkami, przyozdobiony pięknym białym piórem. Upał dawał mi się we znaki, toteż instynktownie podszedłem do małej kraty, jedyne miejsce, gdzie mógłbym odetchnąć wsparty na łokciach. Nie widziałem okienka, ale widziałem światło, które wpadało na poddasze, i biegające swobodnie, straszliwie wielkie szczury. Bo te wstrętne i ohydne dla mnie stworzenia bez najmniejszego strachu podchodziły do drzwi mojej celi. Na ten obrzydliwy widok co prędzej zatrasnąłem klapę przy otworze pośrodku drzwi, bo wizyta szczurów w mojej celi przyprawiłaby mnie o chorobę. Z ramionami opartymi na parapecie pod kratą, głęboko zadumany spędziłem osiem godzin w zupełnej ciszy i bez ruchu.

Kiedy zegar wybił godzinę dwudziestą pierwszą, zacząłem się budzić z zamyślenia i odczuwać niepokój, że nikt nie zjawia się z jedzeniem, meblami i rzeczami, których potrzebowałem, aby się położyć. Wydawało mi się, że powinienem dostać co najmniej krzesło, chleb i wodę. Nie byłem wcale głodny, ale któż o tym mógł wiedzieć? A nigdy w życiu nie czułem jeszcze takiej suchości i goryczy w ustach. Nie wątpiłem jednak, że przed wieczorem ktoś do mnie przyjdzie, lecz kiedy usłyszałem, że bije dwudziesta czwarta, ogarnęła mnie wściekłość, począłem więc kopać i walić w drzwi, krzykiem i przekleństwami potęgując owo dobijanie się, do którego zmuszała mnie sytuacja, w jakiej się znajdowałem. Po godzinie takich wściekłych prób, nie widząc żywego ducha i nie zauważywszy najmniejszych oznak, iż moje krzyki doszły czyichś uszu, zatopiony w ciemnościach, zatrasnąłem okienniczkę z obawy, by szczury nie wskoczyły do mojej ciemnicy, i jak długi wyciągnąłem się na podłodze. Tak okrutne zapomnienie wydawało mi się czymś nienaturalnym, toteż powiedziałem sobie w duchu, że barbarzyńscy inkwizytorzy skazali mnie na śmierć. Długo musiałbym zastanawiać się nad powodami takiego traktowania mnie, albowiem nawet po najstaranniejszym badaniu moich postępów nie zdołałbym odkryć nic pewnego. Byłem libertynem, graczem, człowiekiem śmiałym w słowach i zazwyczaj obchodziły mnie tylko aktualne rozkosze życia. Aleć w

tym wszystkim nie widziałem jeszcze zdrady stanu. Toteż wzburzony i doprowadzony do rozpaczki owym traktowaniem mnie jak zbrodniarza zacząłem kłać na ten okrutny despotyzm w słowach, których niechaj czytelnik sam się domyśli, bo wstyd nie pozwala mi ich tu przytoczyć. Jednak wzburzenie i coraz silniejszy głód, palące wnętrzości pragnienie i twarde deski, na których leżałem, wcale nie przeszkodziły wyczerpanemu organizmowi dopominać się o swoje prawa, toteż niebawem zasnąłem.

O północy zbudziło mnie bicie zegara. Jakże straszne jest przebudzenie, gdy każe nam żałować złudzeń niebytu! Nie mogłem sobie nawet wyobrazić, że przez trzy godziny nie odczuwałem żadnych cierpień. Leżąc nadal bez ruchu na lewym boku wyciągnąłem prawą rękę po chustkę, którą, jak pamiętałem, położyłem obok. Zacząłem szukać po omacku. Boże! Jaką straszną miałem niespodziankę, kiedy moja ręka pochwyciła czyjaś inną, zimną jak lód! Przerazenie zelektryzowało mnie od stóp do głów, a włosy stanęły mi dęba.

Jeszcze nigdy w życiu nie przeżywałem tak strasznego lęku i nie sądziłem nawet, że mogę się aż tak bać. Na trzy, cztery minuty jak bym przestał istnieć i leżałem nie tylko nie ruszając się, ale nawet nie mogąc zebrać myśli. A kiedy nieco ochłonałem, pomyślałem z ulgą, że może owa ręka, której dotknąłem, jest tylko tworem mojej podnieconej fantazji. Z tą nadzieją w duszy znów wysunąłem rękę i natrafiłem na tę samą dłoń. Skostniały ze strachu, krzyknąłem przeraźliwie, odepchnąłem ową dłoń i cofnąłem rękę trzęsąc się jak galareta.

Niebawem, odzyskawszy nieco przytomności i zdobywszy się na spokój, przyszedłem do wniosku, że gdy spałem, złożono obok mnie jakiegoś trupa, bo wiedziałem z całą pewnością, że przedtem go tam nie było.

– To chyba zwłoki jakiegoś zadławionego nieszczęśnika – mówiłem sobie – i pewnie w ten sposób ci ludzie chcą mnie uprzedzić, jakiego losu mam się spodziewać.

Na tę myśl wpadłem w rozpacz. Wściekłość mnie ogarnęła, strach ustąpił przed straszną złością, po raz trzeci wyciągnąłem rękę ku lodowatej dłoni i pochwyciwszy ją, aby się przekonać o okrutnej rzeczywistości, spróbowałem się unieść na lewym łokciu i wówczas pojąłem, że trzymam swoją własną dłoń! Przygnieciona ciężarem mojego ciała do twardych desek, które mi służyły za piernat, utraciła przyrodzone ciepło, wrażliwość i czucie.

Owa przygoda, mimo jej komizmu, bynajmniej mnie nie ubawiła. Odwrotnie, nawet dała mi powód do jak najczarniejszych rozmyślań... Zrozumiałem, że znalazłem się w miejscu, gdzie jeżeli złudne wydaje się prawdziwym, to prawdziwe jest złudnym; gdzie rozsądek traci połowę swoich przywilejów i gdzie rozum, pod wpływem pobudzonej fantazji, staje się ofiarą albo chimerycznych nadziei, albo strasliwej rozpaczki. Postanowiłem strzec się przed tym i po raz pierwszy w życiu, w wieku lat trzydziestu, poszukałem ratunku w filozofii, której ziarna już kiełkowały w mojej duszy, lecz do której jak dotąd nie potrzebowałem się uciekać.

Po wzruszeniu, jakiego przed chwilą doznałem, nie mogło już być mowy o spaniu. Ale po cóż miałbym wstać, skoro nie mogłem stanąć wyprostowany! Zdecydowałem się zatem na jedyną rzecz, rozsądną w tych warunkach, i usiadłem. Siedziałem tak aż do godziny ósmej; wstający dzień począł już świtać, słońce powinno było wzejść o dziewiątej. Niecierpliwie wypatrywałem dnia, bo jakieś przecucie, które uważałem za niezawodne, mówiło mi, że mnie odeślą do domu. Pałałem chęcią zemsty: nie kryłem się z tym przed sobą. Widziałem się na czele ludu gotowego obalić rząd, który mnie oprymował; bezlitośnie mordowałem wszystkich arystokratów; wszystko należało zniszczyć. Byłem jak w malignie: znałem sprawców mego nieszczęścia i w wyobraźni niszczyłem jego źródło. Powoływałem do życia naturalny przywilej wszystkich ludzi – podlegania prawom przez nich ustanowionym i tylko na ich podstawie odpowiadania wobec swych władców; krótko mówiąc: budowałem zamki na lodzie.

O wpół do dziewiątej głuchą ciszę owego miejsca, piekła ludzi żywych, rozdarł przyszywający zgrzyt zamków w przedsionkach korytarzy, które trzeba było przejść chcąc dotrzeć do mnie.

– Już się pan namyślił, co chciałby pan zjeść? Starczyło panu czasu? – poprzez kraty ochryplym głosem krzyknął mój dozorca.

Można się cieszyć, kiedy zuchwałość łajdaka występuje tylko pod maską dobroduszej ironii; odparłem więc, że chciałbym zupełną ryżową, sztukę mięsa, pieczone, chleba, wina i wody. Spostrzegłem, że grubianin zdumiał się nie słysząc ode mnie skarg, jakich się spodziewał. Odszedł i wrócił po kwadransie, ażeby mi wyrazić zdziwienie, iż nie żądam łóżka i koniecznych mebli, „bo jeżeli – dodał – pocieszasz się pan myślą, że wtrącono pana tutaj na jedną noc, to się pan mylisz”.

– A więc proszę przynieść mi to, co uważasz pan za konieczne.

– Dokądże mam po to pójść? Oto ołówek i papier: proszę wszystko spisać.

Zapisałem mu, dokąd ma się udać po koszule, pończochy, najróżniejsze manatki, jak łóżko, stół, krzesło, i wreszcie dodałem książki zabrane mi przez Messer Grande, papier, pióra etc. A kiedym mu to odczytał, bo gbur był niepiśmienny, powiedział:

– Niech pan skreśli, niech pan skreśli książki, papier, pióra, zwierciadło, brzytwy, bo to wszystko zakazany tu owoc. I niech pan mi da pieniędzy na pański obiad.

Miałem trzy cekiny, dałem mu więc jednego i poszedł sobie. Spędził jeszcze godzinę w korytarzach, zajęty, jak się później dowiedziałem, obsługiwaniem siedmiu innych więźniów, których trzymano w daleko od siebie położonych celach, ażeby nie mogli się z sobą skomunikować.

Koło południa wrócił w towarzystwie pięciu zbirów, którzy posługiwali więźniom stanu. Otworzył celę dla wniesienia żądanych przeze mnie mebli i obiadu. Łóżko wsunięto do alkozy, obiad postawiono na stoliku, na którym położono też nakrycie, to znaczy łyżkę z kości słoniowej, zakupioną za moje pieniądze. Widelca, noża i innych narzędzi tnących nie wolno było trzymać w celi.

– Niech pan powie, co pan chcesz jeść jutro, bo mnie wolno tu przychodzić tylko raz dziennie o wschodzie słońca – rzekł klucznik. – Jasnie oświecony sekretarz kazał mi powiedzieć, że przyśle panu odpowiednie książki, ale tych, których pan chce, nie wolno.

– Podziękujże mu pan ode mnie za łaskę pozostawienia mnie w samotności.

– Zrobię, jak pan sobie życzy, ale źle pan czyni szydząc w ten sposób.

– Wcale nie szydzę, bo myślę, że lepiej siedzieć samotnie niż razem ze zbrodniarzami, których pewnie tu więzicie.

– Jakże to! Ze zbrodniarzami? Bardzo mnie pan zgniewał. Tu siedzą tylko uczciwi ludzie, których jednakże trzeba było odseparować od społeczeństwa, z przyczyn znanych jedynie Ich Ekscelencjom. A pana po to trzymają samotnie, żeby pana jeszcze bardziej ukarać. I pan chcesz, abym w pańskim imieniu dziękował za to?

– Tego nie wiedziałem.

Głupiec miał rację i niedługo przyszło mi czekać na potwierdzenie jego słów. Doświadczyłem na sobie, że człowiek zamknięty samotnie nie może niczym się zająć i że sam w ciemnicy, gdzie tylko raz dziennie widuje i częściej widywać nie może tego, co mu jeść przynosi, gdzie stale musi chodzić pochylony, jest najnieszczęśliwszą istotą na świecie. Wolałby piekło, jeśli w nie wierzy, byle w towarzystwie. To uczucie jest tak potężne, że ja pragnąłbym mieć przy sobie nawet mordercę, człowieka zakaźnie chorego, niedźwiedzia bodaj. Samotność w zamknięciu wiedzie do rozpaczki, lecz żeby temu uwierzyć, trzeba jej samemu doświadczyć, a owego doświadczenia nawet wrogom nie życzę.

Gdy klucznik wyszedł, przesunąłem stół do otworu, gdzie było trochę widniej, i zasiadłem do obiadu, ale zdołałem przełknąć jedynie parę łyżek zupy. Po czterdziestoosmiogodzinnym poście czułem się chory – rzecz zupełnie naturalna. Cały dzień przesiedziałem w fotelu zapomniawszy o gniewie, zobojętniały, przygotowując się duchowo do lektury litościwie przyrzeczonych mi książek. W nocy bicie zegara na kościele Świętego Marka, tak ogłuszające jak by w mojej celi, i głośne harce szczurów nie pozwalały mi zmrużyć oka. Ale te dwie udreki

nie były jeszcze najgorszymi z tych, które mnie trapiły, a wątpię, czy wielu z moich czytelników bodaj w najmniejszym stopniu ma pojęcie o tym, co chcę powiedzieć: chodzi o tysiące pcheł, które w najlepsze hasały po całym moim ciele. Te małe insekty wysysały mi krew tak łapczywie i zawzięcie, że trudno to opisać. Ich bezustanne, trujące krew ukłucia przyprawiały mnie o spazmatyczne dreszcze.

O świcie Wawrzyniec (tak zwał się ów klucznik) przyszedł zasłać łóżko, zamieść, uprządkować celę, a jeden z jego pomocników przyniósł mi wody do mycia. Chciałem wyjść na poddasze, ale Wawrzyniec nie pozwolił zasłaniając się otrzymanym rozkazem. Doręczył mi też dwie grube księgi, których w obecności tego szpiega nie chciałem otwierać, bojąc się, że nie zapanuję nad odruchem zniechęcenia, a on zaraz o tym doniesie inkwizytorom. Wyszedł wreszcie, zostawiwszy mi obiad i dwie przecięte cytryny.

Natychmiast po jego wyjściu zabrałem się do zupy, póki jeszcze nie ostygła. Później z jedną z przyniesionych mi książek podszedłem do okienka i z satysfakcją stwierdziłem, że będę mógł przy nim czytać. Spojrzałem na tytuł i zobaczyłem, że jest to „Tajemniczy gród siostry Jezusowej, Maryi, zwanej Agradą”. Druga księga była dziełem jezuita imieniem Caravita. Ten hipokryta, jakimi zresztą są oni wszyscy, ustalał nową „adorację świętego serca Jezusowego”... „Tajemniczy gród” zainteresował mnie trochę. Przeczytałem od początku do końca owo dzieło, splodzone przez chorobliwą imaginację hiszpańskiej dziewczicy, niezwykle pobożnej, melancholizki, zamkniętej w klasztorze i mającej za spowiedników ludzi ciemnych, kłamliwych i bigotów. Wszystkie te widzenia urojone, fantastyczne i monstrialne przyzobione zostały mianem „objawień”.

Potrzeba zajęcia się czymś skłoniła mnie do spędzenia tygodnia nad tym arcydziełem głupoty, tworem rozgorączkowanego umysłu. Strzegłem się, jak mogłem, aby w rozmowach z Wawrzyńcem nawet jednym słowem nie napomknąć o tej pięknej książce, czułem jednak, iż coraz bardziej opanowuje ona moje myśli.

Pod koniec dziewiątego czy dziesiątego dnia zabrakło mi pieniędzy. Wawrzyniec zażądał ich ode mnie.

- Nie mam już ani grosza.
- Dokądże mnie pan pośle po nie?
- Nigdzie.

Tego chciwego głupca, gadułę i wścibskiego najbardziej denerwowało moje milczenie i lakoniczność.

Nazajutrz przyszedł z wiadomością, że Trybunał wyznaczył mi na utrzymanie pięćdziesiąt soldów dziennie i że on będzie moim kasjerem, ale wyliczy się z pieniędzy tylko raz na miesiąc i zaoszczędzoną kwotę wyda stosownie do mojego życzenia.

- Przyniesiesz mi dwa razy na tydzień „Gazette de Leyde”.
- Niemożliwe, tego nie wolno.

Siedemdziesiąt pięć liwrów miesięcznie to było więcej, niż potrzebowałem, bo już nie mogłem nic jeść; nieznośny upał i osłabienie spowodowane nieodpowiednim odżywianiem wprowadziły mnie w stan rozdrażnienia. Kanikuła była w pełni: promienie słoneczne prostopadle, z całą siłą prażyły dach mojego więzienia, toteż czułem się w nim niby w łaźni tak dusznej i nagrzejanej, że pot kapiący raz po raz z mojego udręczonego ciała zwilżał podłogę po prawej i po lewej stronie fotela, na którym musiałem siedzieć zupełnie nagi.

Już od piętnastu dni usychałem w tym piekle i jeszcze ani razu nie byłem na stronie. Pod koniec tego, wprost nieprawdopodobnie długiego czasu, kiedy natura zaczęła dopominać się o swe prawa, sądziłem, że lada chwila wyzionę ducha. Żyły w odbytnicy tak mi się wzdęły, że przyczyniały mi nieznośnego bólu. Temu to fatalnemu dla mnie pobytowi w więzieniu należy przypisać okropną dolegliwość, z której nigdy już nie zdołałem się wyleczyć. Owe bóle odnawiające się od czasu do czasu, acz już znacznie słabsze, przypominają mi ich przyczynę i bynajmniej nie osładzają łączących się z tym wspomnień.

Tegoż dnia złapał mnie gwałtowny atak febry i zmusił do pozostania w łóżku. Słówkiem nie wspomniałem o tym Wawrzyńcowi, lecz kiedy po dwóch dniach, znajdując przyniesione jedzenie nie tknięte, zapytał, jak się czuję, odparłem:

– Zupełnie dobrze.

– To niemożliwe, bo pan nic nie jesz. Pan jesteś chory i zaraz przekonasz się o wspaniałości naszego Trybunału, który dostarczy panu za darmo leków i przyśle cyrulika.

Wyszedł i powrócił po trzech godzinach, już bez zwykłych satelitów, niosąc świeczkę w rękę i prowadząc za sobą jakąś poważną personę – medyka, jak się okazało. Leżałem trawiony gorączką, która nie opuszczała mnie od trzech dni. Lekarz podszedł bliżej i zadał parę pytań. Odpowiedziałem mu, że ze swoim spowiednikiem i lekarzem zwykłym mówić w cztery oczy. Wówczas kazał Wawrzyńcowi wyjść, ale gdy ów argus odmówił, odszedł, mówiąc, że jestem bliski śmierci. Ale ja jej właśnie pragnąłem, bo życie takie, jakim było dla mnie, nie wydawało mi się najwyższym dobrem. A poza tym z pewną satysfakcją myślałem, że może pod jej wpływem nielitościwi prześladowcy zastanowią się nad swoim nieludzkim postępowaniem wobec mojej osoby.

Po czterech godzinach znów usłyszałem szcęk zasuw u drzwi i znów wszedł medyk, tym razem samotny, z pochodnią w rękę; Wawrzyniec czekał za drzwiami. Leżałem w tak wielkim osłabieniu, że sprawiało mi ono prawdziwą ulgę. Byłem uszczęśliwiony, że mój niecy cerber został na korytarzu, bo nie mogłem znieść widoku tego człowieka od czasu, gdy mi wyjaśnił zastosowanie owego naszyjnika z żelaza.

W kwadrans wszystko wytłumaczyłem lekarzowi

– Należałoby przepędzić melancholię – rzekł mi – jeżeli chcesz pan odzyskać zdrowie.

– A więc proszę napisać taką receptę i zanieść do jedyne go aptekarza, który potrafi z niej zrobić użytek. Pan Cavalli jest tym złym lekarzem, który dał mi „Serce Jezusa” i „Tajemniczy gród”.

– Te dwa medykamenty mogły wywołać gorączkę i hemoroidy. Będę czuwał nad panem.

Wyszedł dopiero wówczas, kiedy już własnoręcznie przyrządził porządną porcję mocnej lemoniady, którą kazał mi często popijać. Noc upłynęła łagodnie na tysiącu głupich i tajemniczych snów.

Nazajutrz lekarz powrócił w towarzystwie Wawrzyńca i chirurga, który puścił mi krew. Zostawił też jakiś lek z poleceniem, ażebym go zażył wieczorem, oraz butelkę bulionu.

– Zezwolono mi przenieść pana na poddasze – powiedział – gdzie jest trochę chłodniej i nie tak duszno.

– Rezygnuję z tej łaski, bo nie znoszę szczurów, których pan nie znasz i które na pewno wleżą mi do łóżka.

– To fatalne! Powiedziałem panu Cavalli, że mało brakowało, a byłby wyprawił pana na tamten świat tymi książkami. Kazał, bym mu je odniósł, i w zamian dał panu Boecjusza. Proszę, oto jest.

– Jestem panu bardzo zobowiązany. Wolę Boecjusza od Seneki. Ta lektura z pewnością dobrze mi zrobi.

– Zostawiam panu wywar z jęczmienia i jedno niezbędne narzędzie. Niech się pan tym zabawia, aby sobie ulżyć.

Odwiedził mnie cztery razy i wyciągnął z oparów. Mój silny organizm dokonał reszty i odzyskałem apetyt. Na początku września byłem już zupełnie zdrów i nic mi nie dokuczało oprócz niezwykłego upału, robactwa i nudy, bo przecież nie mogłem przez cały czas czytać Boecjusza.

Pewnego dnia Wawrzyniec oznajmił mi, że mogę wychodzić z celi, aby się umyć podczas ścielenia łóżka i zamiatania. Skorzystałem z tej łaski i spacerowałem przez dziesięć minut, gdy sprzątano celę, a że chodziłem gwałtownie i szybko, przestraszone szczury bały się pokazać. Tego też dnia Wawrzyniec wyliczył się z moich pieniędzy i okazało się, że pozostało mu

jeszcze trzydzieści liwrów, których jednak nie miał prawa dać mi do ręki. Kazałem mu zatrzymać je z tym, aby zakupił msze na moją intencję – pewny, iż uczyni z nich całkowicie inny użytek. Podziękował mi z zadowoleniem w głosie, które mnie umocniło w mniemaniu, że to on będzie celebrował owe msze. Co miesiąc dysponowałem to samo, ale nigdy nie ujrzałem żadnego pokwitowania księdza. Wawrzyniec dobrze zrobił odprawiając msze w karczmie, bo pieniądze przynajmniej komuś się przydały.

Żyłem z dnia na dzień, co wieczór pocieszając się, że nazajutrz odzyskam wolność. Skoro jednak te nadzieje zawodziły mnie codziennie, uroiłem sobie w skołatany mózgu, że niezawodnie nastąpi to pierwszego października, kiedy rozpocznie się panowanie nowych inkwizytorów. Według tej kalkulacji mój areszt miałby trwać tak długo, jak rządy obecnych. I zapewne to było też powodem, dla którego ani razu nie widziałem jeszcze sekretarza, bo inaczej niezawodnie przyszedłby mnie wypytać, wybać i wmówić zbrodnie, ażeby w końcu ogłosić wyrok. To wszystko, będąc naturalne, wydawało mi się niewątpliwe, jednak owo rozumowanie okazało się fałszywe Pod Ołowianym Dachem, gdzie nic nie działo się w naturalnym porządku rzeczy. Wyobrażałem sobie, że inkwizytorzy poznali się na mojej niewinności i dojrzeliby własną niesprawiedliwość i że trzymają mnie w więzieniu tylko pro forma i po to, aby ich opinia sprawiedliwych sędziów nie doznała uszczerbku. Stąd wyciągnąłem wniosek, że zwrócą mi wolność przy składaniu insygniów swojej niezwyklej władzy. Mój umysł był w stanie tak idealnego spokoju, że gotów byłem przebaczyć im i zapomnieć wyrządzoną mi krzywdę. Jakże – mówiłem sobie – mogliby ci panowie zostawić mnie tutaj na łasce swoich następców, którym nie zdołają przedstawić najmniejszego dowodu mojej winy!? Uważałem za rzecz zgoła niemożliwą, ażeby mogli mnie skazać i wydać wyrok nie pomówiwszy ze mną uprzednio i nie przedstawiając swoich racji. Moją niewinność uważałem za bezsprzeczną i rozumowałem logicznie, jednak nie należało kierować się rozsądkiem mając do czynienia z Trybunałem, który różni się od wszelakich innych na świecie samowolą i własnym widzimi się. Wystarczy, że inkwizytorzy występują przeciwko komuś, aby już był winien, więc po co ogłaszać mu wyrok! Nikt go nie pyta o zgodę, a inkwizytorzy myślą, iż lepiej zezwolić niešťczęśnikom na odrobinę nadziei, gdyż nawet dobrze o wszystkim poinformowany więzień nie pozostanie przez to ani godziny krócej pod kluczem. Ktoś mądry nikogo w swoje sprawy nie wtajemnicza, a sprawą wenecjańskiego Trybunału jest sądzić i skazywać. Winny to maszyna, która nie potrzebuje się do niczego wtrącać przy współpracy; to gwóźdź – wystarczy tylko uderzyć, aby wszedł w ścianę.

Znałem coś nie coś zwyczajnie kolosa, co mnie przygniótł swoją stopą, jednak istnieją na świecie rzeczy, których znajomością człowiek nie może się chwalić, dopóki nie doświadczy ich na własnej skórze.

W ostatnią wrześniową noc nie zmrużyłem oka, niecierpliwie wypatrując świtu, bo byłem głęboko przekonany, iż tego dnia odzyskam wolność. Skończyło się panowanie hultajów, którzy mnie uwięzili. Jednak dzień nadszedł, Wawrzyniec zjawił się jak zwykle, nie przynosząc mi nic nowego. Przez pięć, sześć dni targaly mną wściekłość i rozpacz, aż wreszcie wyobraziłem sobie, że dla powodów, których nie umiałem pojąć, postanowiono więzić mnie do końca życia. Pusty śmiech porwał mnie na tę myśl, bo wiedziałem, że nie ma takiej siły, która mogłaby mi narzucić długą niewolę; że postawię życie na kartę, a zerwę te więzy. Zdawałem sobie sprawę, że albo ucieknę, albo zginę *deliberata morte ferocior*.¹⁵

Na początku listopada zacząłem zastanawiać się, jak by tu przemocą wyjść z więzienia, gdzie zamknięto mnie prawem kaduka, i już o niczym innym nie myślałem. Jałem łamać sobie głowę nad sposobem wprowadzenia w czyn mego zamiaru i układałem setki planów, jeden śmielszy od drugiego. Ale zawsze jakiś nowy kazał mi zapomnieć o poprzednim, który sądziłem najlepszym.

¹⁵ Deliberata... – tym groźniejszy, że zdecydowany na śmierć.

Podczas tej wyteżonej pracy imaginacji przydarzył się wypadek szczególny, który dał mi odczuć, w jak smutnej kondycji znajdował się mój umysł.

Stałem na poddaszu spoglądając w górę, ku okienku, a moje spojrzenie biegło również w stronę grubej belki. Nagle ujrzałem, że nie tyle drgnęła, co skrzyła się w prawo i zaraz odprężając się, ale ruchem wolnym i przerywanym, powróciła do dawnego położenia. A gdy ja jednocześnie zachwiałem się na nogach, pojąłem, że jest to wstrząs ziemi. Wawrzyniec i jego pomocnicy, którzy w owej chwili wyszli z mojej celi, powiedzieli, że i oni również odczuli ów wstrząs. Byłem w takim stanie umysłu, że to wydarzenie wzbudziło we mnie radość, którą ukryłem starannie, nie odzywając się słowem. Taki sam wstrząs powtórzył się w parę sekund później i wówczas nie mogłem powstrzymać się od krzyku: „Un'altra, un'altra, gran Dio! Ma piu forte”¹⁶. Prerażone zbiry uważając to za obrazę boską, popełnioną przez zrozwadzzonego szaleńca, uciekły w popłochu. Zastanowiwszy się nad sobą po ich ucieczce, zrozumiałem, że wśród wydarzeń, które pomogłyby mi odzyskać wolność, brałem także pod uwagę zawalenie się Pałacu Dożów. Przy rozsypywaniu się tego olbrzymiego budynku zostałbym wyrzucony cały i zdrowy, a więc i wolny, na plac świętego Marka, gdzie – w najgorszym wypadku – zginąłbym zmiażdżony pod gruzami. Człowiek w mojej ówczesnej sytuacji ma wolność za wszystko, gdy życie za nic lub prawie za nic! W głębi duszy byłem już bliski obłędu.

Ów wstrząs ziemi był odbiciem tego, który zniszczył wtenczas Lizbonę.

RÓŻNE WYDARZENIA – WSPÓLTOWARZYSZE – PRZYGOTOWUJĘ UCIECZKĘ – ZMIANA CELI

Po to, ażeby czytelnik mógł objąć rozumem moją ucieczkę z takiego miejsca, jakim jest więzienie Pod Ołowianym Dachem, muszę go zapoznać z jego rozkładem.

Więzienie Pod Ołowianym Dachem, przeznaczone dla więźniów stanu, jest najzwyczajszym strychem w Pałacu Dożów, a swoją nazwę bierze od wielkich arkuszy ołowiu, pokrywających dach. Dostać się doń można jedynie przez drzwi pałacu lub z budynku więziennego, albo też przez most, o którym już wspomniałem, zwący się Mostem Westchnień. A do cel droga wiedzie tylko poprzez salę, gdzie zbierają się panowie inkwizytorzy. Klucz od niej ma sekretarz i bardzo wczesnym rankiem wręcza go klucznikowi, nikomu innemu, i tylko na ten czas, jakiego potrzeba do obsłużenia więźniów. Owo obsługiwanie odbywa się o samym świącie, albowiem później zbiry kręcący się tu i tam zbyt rzucaliby się w oczy tym, którzy w jakowymś interesie przychodzą do Rady Dziesięciu. Rada zaś zbiera się codziennie w przyległej sali, nazywanej „La Bussola”, przez nią to muszą przechodzić zbiry za każdym razem, gdy idą do więzienia.

Cele położone są po dwóch frontach na szczycie pałacu, trzy od zachodu, z moją wśród nich, i cztery od wschodu. Rynna na dachu od zachodniej strony wychodzi na pałacowe podwórze, ta druga zaś opada pionowo wprost do kanału „rio di Palazzo”. Cele od tamtej strony są bardzo jasne i można w nich stać wyprostowanym, czego nie da się rzec o tej części więzienia, gdzie mnie zamknięto, zwanej od przechodzącej przez nią olbrzymiej belki, tej, co mnie pozbawiła światła, międzykrokwiową. Podłoga mojej celi znajdowała się nad sufitem sali inkwizytorów, gdzie zbierali się oni zwykle dopiero w nocy po dziennej sesji Rady Dziesięciu, której wszyscy trzej są członkami.

Doskonale znając rozkład budynku i niezmiennie zwyczaje inkwizytorów uważałem, że jedyny sposób ucieczki, przynajmniej w moim mniemaniu jedyny wróżący powodzenie, zasa-
dzał się na tym, by przebić podłogę mojej celi. Do tego potrzebowałem jednak narzędzi, a o

¹⁶ Un'altra... – Jeszcze raz, jeszcze raz, wielki Boże! Ale mocniej.

nie trudno było w miejscu, gdzie zakazywano komunikowania się ze światem zewnętrznym i zabraniano przyjmowania wizyt i pisywania listów. Na przekupienie zbira potrzebowałbym sporo pieniędzy, a nie miałem ani grosza. Gdyby nawet klucznik i jego dwaj pomocnicy łaskawie pozwolili zadusić się, bom nie miał innej broni prócz własnych rąk, to trzeci z nich stał zawsze na warcie przy zamkniętych drzwiach do galerii i otwierał je na hasło podawane mu przez towarzysza, gdy który chciał wyjść. Mimo tych przeszkód stale rozmyślałem, jak stąd uciec, a że u Boecjusza nie znajdowałem na to żadnej odpowiedzi, zaniechałem czytania go. Jednak będąc głęboko przeświadczony, że ów sposób nasunie mi się tylko przy uporczywym deliberowaniu, nie zezwalałem sobie na najmniejszą myśl, która nie wiązałaby się z ucieczką.

Zawsze wierzyłem, że gdy człowiek uporczywie do jakiegoś celu dąży i uparcie ów plan ma na oku, musi dopiąć swego mimo wszelkich przeszkód. Stanie się wówczas wielkim wozym, papieżem, wstrząśnie fundamentami monarchii, byleby zabrał się do tego za młodu i byleby miał konieczny ku temu rozum i wytrwałość. Albowiem człowiek w latach, wzgardzony już przez Fortunę, do niczego nie dojdzie i bez jej pomocy na nic liczyć nie może. Chcąc osiągnąć powodzenie, trzeba budować na szczęściu i nie oglądać się na porażki, ale to najtrudniejsza ze wszystkich politycznych kalkulacji.

W połowie listopada Wawrzyniec powiedział mi, że Messer Grande sprowadził jakiegoś więźnia i że nowy sekretarz, nazwiskiem Businello, kazał go wsadzić do najgorszej ciemnicy, wobec czego zostanie zamknięty w mojej celi.

Wawrzyniec jakoby miał się odezwać, iż ja za łaskę sobie poczytuję zamknięcie w samotności, na co sekretarz odparł, że po czterech miesiącach więzienia pewnie zmądrzałem. Owa wiadomość nie zmartwiła mnie, a tę, dzięki której dowiedziałem się o zmianie sekretarza, miałem nawet za przyjemną. Pan Piotr Businello był porządnym człowiekiem, a poznałem go w Paryżu, gdy jechał do Londynu w charakterze rezydenta Republiki.

Tegoż dnia po południu usłyszałem zgrzyt zamków. Wawrzyniec w towarzystwie dwóch pacholków przyprowadził młodego mężczyznę, rzewnie płaczącego, i zdjąwszy mu kajdany zamknął go ze mną, wychodząc bez słowa. Leżałem w łóżku, gdzie młodzieniec nie mógł mnie widzieć. Ubawiłem się jego zdumieniem. Na swoje szczęście był ode mnie niższy o siedem do ośmiu cali i dlatego mógł stać wyprostowany. Przyglądał się mojemu fotelowi poczytując go bez wątpienia za przeznaczony dla własnego użytku. Uniósłszy wzrok na wysokość parapetu przy okienku dojrzał dzieło Boecjusza; wziął je, otworzył i odrzucił jak by z rozczarowaniem, pewnie dlatego, że – pisane po łacinie – na nic mu się przydać nie mogło. Kontynuując dalej inspekcję ciemnicy, po omacku skierował się na lewo i mocno zdziwił się natrafiwszy na moje manatki. Podeszedł do alkówki, wyciągnął rękę i dotknąwszy mnie, poprosił z szacunkiem o wybaczenie. Kazałem mu sięść i tak zawarliśmy znajomość.

– Kim pan jesteś? – zapytałem.

– Nazywam się Maggiori i pochodzę z Vicenzii. Mój ojciec, stangret domu Poggianów, do jedenastego roku życia posyłał mnie do szkół, gdzie nauczyłem się czytać i pisać. Potem przez pięć lat praktykowałem u balwierza i dobrze posiadałem znajomość owego fachu. Odszedłszy od niego, zostałem przyjęty na pokojowca do księcia X. Od dwóch lat byłem na tej służbie, kiedy to jego jedynaczka wyszła z klasztoru. Odtąd trefiłem jej włosy i stopniowo zakochałem się w tej paniencie, budząc wzajemny sentyment. Kiedy już po raz setny przysięgliśmy tylko do siebie należeć, ulegliśmy przemożnej potrzebie okazywania sobie czułości, aż wreszcie stan młodej hrabianki zdradził nasz związek. Jedna ze służ, stara i pobożna, pierwsza odkryła, co nas łączy, oraz ów stan mojej kochanki. Oznajmiła, że musi o wszystkim powiedzieć hrabiemu, ale moja młoda przyjaciółka zdołała skłonić ją do milczenia zapewnieniem, że sama jeszcze w tym tygodniu wyzna ojcu prawdę przez swojego spowiednika. Upowiedziała mnie o wszystkim i miał pójść do spowiedzi uknuła wraz ze mną plan ucieczki. Szczęśliwie zawładnęła dość znaczną kwotą oraz paroma diamentami zmarłej matki i tej nocy

mieliśmy wyruszyć do Mediolanu. Ale wczoraj po obiedzie wezwał mnie hrabia, wręczył list i kazał natychmiast dostarczyć go do rąk własnych osobie, do jakowej był adresowany w Wenecji. A że mówił do mnie wielce uprzejmie i łaskawie, nie mogłem powziąć najmniejszego podejrzenia, jaką zdradę szykuje. Poszedłem po płaszcz i w przelocie pożegnałem moją małą żoneczkę, zapewniając, że wrócę niebawem. Bardziej przenikliwa niż ja i być może przeczuwając nieszczęście, jakie mi groziło, biedaczka zemdląła. Jak najszybciej przybywszy na miejsce pospieszyłem oddać fatalny list. Kazano mi czekać odpowiedzi, a gdy ją wreszcie dostałem, wstąpiłem do gospody, aby się trochę pokrzepić, z myślą, że zaraz wyruszę w powrotną drogę do mojej żonki. Ale kiedy wychodziłem z gospody, zatrzymano mnie, zawiedziono na wartownię i trzymano pod strażą, póki nie sprowadzono tutaj. Sądzę, mój łaskawy panie, że chyba mogę poczytywać hrabiankę za swoją żonę?

– Mylisz się pan.

– Tak, ale natura...

– Natura, gdy się tylko jej słucha, prowadzi człowieka do więzienia Pod Ołowianym Dachem.

– A więc jestem Pod Ołowianym Dachem?

– Jak i ja.

Mój młodzieniec zapłakał gorzkimi łzami. Był to chłopiec ładny, szczerzy, uczciwy i zakochany po uszy. Całkowicie rozumiałem hrabiankę i ogromnie winiłem hrabiego, jej ojca, za to, że naraził córkę na pokusy towarzyszące obcowaniu z mężczyzną młodym, przystojnym i uczuciowym. Pasterzowi co wpuszcza wilka między owieczki, nie wolno narzekać na szkodę w stadzie. Płacząc i lamentując ów młodzieniec ani jednej łzy nie uronił nad swoim losem, lecz wszystkie uczucia kierował ku młodej kochance. Myślał, że klucznik powróci, aby mu przynieść łóżko i jedzenie, rozczarowałem go jednak w tym względzie i zaofiarowałem coś niecoś z moich zapasów. Zbyt jednak cierpiał, aby mógł przełknąć choć jeden kęs. Wieczorem dałem mu swój siennik, na którym spędził noc, bo aczkolwiek wyglądał na schludnego, nie chciałem, aby spał ze mną, bojąc się skutków, jakie senne widziadła mogły wywołać u zakochanego.

Nazajutrz przyniesiono mu siennik i obiad za piętnaście soldów, które Trybunał wyznaczył na jego utrzymanie w dowód szczególnej łaski albo też z litości, bo słowo sprawiedliwość wydawało się obce tak straszliwej instytucji. Powiedziałem klucznikowi, że mój obiad wystarczy nam obu i że za to, co przyznano owemu młodzieńcowi, może odprawiać swoje msze. Chętnie się tego podjął i powinszowawszy młodzieńcowi mojego towarzystwa oznajmił, że obaj możemy na pół godziny wyjść na poddasze. Te spacerki doskonale robiły memu zdrowiu i były niezmiernie pomocne w planach ucieczki, którą udało mi się urzeczywistnić dopiero po jedenastu miesiącach. Na samym końcu tego siedliska szczurów dostrzegłem stare meble, ponieważ się po obu stronach dwóch wielkich skrzyń i przed olbrzymim stosem papierów pozszywanych w kajety. Zabrałem sobie kilkanaście dla przyjemności czytania i przekonałem się, że są to dawne procesy kryminalne, a ich lektura przysporzyła mi sporo rozrywki, bo mogłem czytać o tym, co ongi z pewnością osłaniała gęsta tajemnica.

Między rupieciami leżącymi na ziemi znalazłem fajerkę, kociołek, szufelkę do węgla, szczypcę, stare lichtarze, urynały i nawet szprycę do lewatywy. To nasunęło mi myśl, że paru wielce dostojnych więźniów wyróżniono zezwoleniem korzystania z owych rzeczy. Ale największą ciekawość obudził we mnie rygiel prosty, gruby na cal i długi na półtorej stopy. Nie ruszyłem niczego, bo moje plany nie dojrzały jeszcze na tyle, abym sobie coś specjalnego upatrzył.

Pewnego ranka przy końcu miesiąca zabrano mego towarzysza, a Wawrzyniec powiedział mi, że skazano go na zamknięcie w więzieniu zwanym Więzieniem Czterech. Leży ono pośród innych, zwykłych, i podlega inkwizytorom państwa. Więźniowie obdarzeni są tam przewilejem przywoływania klucznika, gdy zajdzie tego potrzeba. Cele są ciemne, jednak oświe-

tlone lampą oliwną. Nie zachodzi obawa pożaru, bo wszystko jest tam z marmuru. W długi czas potem dowiedziałem się, że nieszczęsny Maggiori przesiedział w tym więzieniu pięć lat, a później zesłano go na dziesięć na wyspę Cyterę. Nie wiem, czy się stamtąd kiedy wydostał. Był mi pożądanym towarzyszem, o czym przekonałem się, gdy go utraciłem, bo zacząłem popadać w melancholię. Na szczęście zachowałem przywilej półgodzinnych spacerów po strychu i zabrałem się do skrupulatniejszego badania jego zawartości. Jedną ze skrzyń wypełniały piękne papiery, kartony, nie zacięte pióra i kłębki szpagatów. Druga była zabita gwoździami. Moją uwagę przykuł kawał marmuru; był czarny, gładki, gruby na cal, długi na sześć i szeroki na trzy. Wziąłem go, nie wiedząc jeszcze po co i na co, i ukryłem w mojej celi, starannie osłoniwszy koszulami.

W tydzień po odejściu Maggioriego Wawrzyniec powiedział mi, że według wszelkich znaków na niebie dostanę niebawem nowego towarzysza. Wawrzyńca, w gruncie rzeczy gadułę, poczynano złościć, że nigdy nie zadawałem mu żadnych pytań. Z obowiązku powinien był trzymać język za zębami, lecz gdzie znaleźć idealnych hultajów? Trafiają się tacy, na szczęście rzadko, a w żadnym wypadku nie należy szukać ich wśród podlegszych stanów. Tak więc Wawrzyniec, nie mogąc zabłysnąć powściągliwością języka, wyimaginował sobie, że skoro go nigdy o nic nie pytam, to pewnie przypuszczam, iż nic nie wie, a to ubodło jego ambicję. Chcąc mnie przekonać, iż tkwię w błędzie, paplał nie pytany.

– Sądzę, że pan często będzie miał gości, bo w sześciu innych celach siedzi po dwóch więźniów, bynajmniej nie stworzonych do zamknięcia w Więzieniu Czterech. A że mu nie odpowiedziałem, znów podjął po paru chwilach:

– Tam wtrącają wszystkich bez wyboru, z ogłoszonych wyroków, o których oni nawet nie wiedzą. Więźniowie, co to jak pan siedzą Pod Ołowianym Dachem i pod moją opieką, to wszystko ludzie znaczni i o ich przestępstwach zwykli ciekawscy wiedzieć nie mogą. Gdyby pan wiedział, kto tu dzieli pański los, zdziwiłby się pan...

Taka oto była pierwsza przemowa, którą mnie ten kat uraczył, i muszę przyznać, że setnie się nią ubawiłem. Zrozumiałem, że ów człowiek, gdyby był odrobinę mądrzejszy, na pewno okazałby się gorszy. Postanowiłem wykorzystać jego głupotę.

Nazajutrz przyprowadzono do mojej celi nowego współstołownika, a gdy pierwszego dnia potraktowano go tak jak Maggioriego, zrozumiałem, że powinienem zakupić jeszcze jedną kościaną łyżkę, bo skoro nowy przybysz nic nie dostał, musiałem jako dobry gospodarz użyć mu swojej.

Nowy współtowarzysz skłonił mi się głęboko, albowiem broda, która mi była wyrosła na cztery cale, więcej jeszcze budziła szacunku od całej postawy. Wawrzyniec nieraz pożyczał mi nożyczek dla obcięcia paznokci lecz pod groźbą ciężkiej kary nie wolno mu było zezwolić, abym dotknął swojej brody. Nie znam powodów tego zakazu, ale w końcu przyzwyczaiłem się do zarostu, jak przyzwyczajamy się do wszystkiego.

Przybysz był w wieku lat pięćdziesięciu, mniej więcej mojej postury, lekko przygarbiony, chudy, z dużymi ustami i lichym uzębieniem. Małe szare oczki spoglądały spod krzaczastych, rudych brwi, co mu nadawało wygląd puszczyka. A to wrażenie podkreślała jeszcze mała peruczka z czarnego włosia, od której bił wielce przykry odór oliwy, oraz szaty z grubego szarego sukna. Przyjął zaofiarowany mu przeze mnie obiad, lecz zachowywał się powściągliwie i przez cały dzień nie przemówił ani słówka. Naśladowałem jego milczenie, będąc pewny, że mu się język rozwiąże, co istotnie nastąpiło nazajutrz.

Wczesnym rankiem przyniesiono mu łóżko i wór napełniony bielizną. Klucznik zapytał nas obu, co życzylibyśmy sobie na obiad, i poprosił o pieniądze.

- Nie mam ani grosza – odparł na to.
- Jak to? Taki bogacz nie ma ani grosza!
- Nie mam ani grosika.

– No to dostanie pan żołnierskie suchary i wodę. Takie są przepisy. Wyszedł i wrócił po chwili przynosząc półtora funta sucharów i dzban wody. Postawił to wszystko obok więźnia i znów wyszedł zamykając drzwi.

Zostawszy sam na sam z tym straszylem, usłyszałem, że wzdycha. Zdjęty litością prze-
rwałem ciszę:

– Niech pan nie wzdycha, mój panie, zjesz pan ze mną. Jednak wydaje mi się, że popełni-
łeś pan gruby błąd przychodząc tu bez pieniędzy.

– Mam je, ale nie mogę się do tego przyznać przed tymi harpiami.

– Piękna mi mądrość, co skazuje na chleb i wodę! Czy wiesz pan, dla jakich powodów cię
uwięziono?

– Tak, wiem, i w paru słowach przedstawię je panu. Nazywam się Squaldo-Nobili. Mój oj-
ciec był zwykłym chłopem, nauczył mnie jednak czytać i odziedziczyłem po nim mały dome-
czek z niewielkim kawałkiem przylegającego doń gruntu. Pochodzę z Friul, o jeden dzień
marszu od Udine. A że częsta wichura, którą zwą *cornò*, raz po raz uszkadzała moją małą
posesję, postanowiłem sprzedać ją i zamieszkać w Wenecji, co też i uczyniłem dziesięć lat
temu. Dostałem osiem tysięcy liwrów, i to w dobrych cekinach, a wiedząc, że w tej błogosła-
wionej republice każdy człowiek korzysta z odpowiedniej swobody, przełożyłem sobie, że
gdy puszcę w ruch ten kapitał, będę mógł żyć w dostatku; zacząłem więc pożyczać pod za-
staw. Ufając w swoją gospodarność, zdrowy sąd i znajomość życia, postanowiłem temu za-
wodowi dać pierwszeństwo przed innymi. Wynająłem mały domek w dzielnicy Kanału Kró-
lewskiego, umeblowałem go i mieszkałem tam samotnie i bardzo spokojnie, a po dwóch la-
tach stwierdziłem, że mam już dziesięć tysięcy liwrów ponad kapitał, choć niczego sobie nie
żałując wydawałem dwa tysiące na własne potrzeby. Kontynuując ten sam proceder znalaz-
łem się na dobrej drodze do zdobycia z czasem uczciwej fortuny, aliści pewnego dnia, poży-
czywszy jednemu Żydowi dwa cekiny pod zastaw sporej ilości książek, znalazłem między
innymi jedną zatytułowaną „Mądrość” Charona. Wówczas to przekonałem się, jak dobrze jest
umieć czytać, bo ta książka, której być może pan nie znasz, sama jedna warta jest wszystkich
innych, skoro zawiera w sobie bez wyjątku wszystko to, co człowiek wiedzieć powinien.
Uwalnia go od przesądów nabytych w dzieciństwie. Przy Charonie – żegnaj piekło i te
wszystkie próżne okropności przyszłego życia; otwieramy oczy, poznajemy drogę do szczę-
ścia, stajemy się mędrkami. Niech pan zdobędzie księgę, o której mówię, i kpi sobie z głup-
ców, co panu zakazują owego skarbu.

Ta niezwykła przemowa zdradziła mi, z kim mam do czynienia. Jeśli idzie o Charona,
czytałem go, ale nie wiedziałem, że został przełożony na włoski. Charon, wielki admirator
Montaigne’a, chciał prześcignąć mistrza, lecz daremnie się trudził.

Mój nowy towarzysz ciągnął dalej:

– Uwolniony przez Charona od reszty fałszywych skrupułów i niepotrzebnych wpływów,
których tak trudno się wyzbyc, uwijałem się rażno, toteż po sześciu latach byłem już w posia-
daniu dziesięciu tysięcy cekinów. Niechże się pan temu nie dziwi, albowiem w tym bogatym
mieście hazard, próżniactwo i hulanki zdemoralizowały wszystkich, wywołując stałą gonitwę
za pieniędzmi, a mądrzy zarabiają tam, gdzie głupi tracą.

Trzy lata temu hrabia Sériman zaproponował mi, abym wziął od niego pięćset cekinów i
puścił je w obieg za połowę zysku, jaki przyniosą. Zażądał tylko zwykłego kwitu, mocą któ-
rego zobowiązałem się zwrócić ową kwotę na pierwsze żądanie. Przy końcu roku dałem mu
siedemdziesiąt pięć cekinów, co stanowiło piętnaście procent zysku. Pokwitował mi je, ale nie
był zadowolony, bez najmniejszego powodu, bo miałem dość własnych pieniędzy i nie korzy-
stałem z jego wkładu w moim interesie. Następnego roku z czystej szlachetności postąpiłem
podobnie, jednakże doszło przy tym do obraźliwych słów i hrabia zażądał zwrotu pięciuset
cekinów.

„Chętnie – odparłem – ale potrączę sobie owe sto pięćdziesiąt, które już pan dostał.” Wpadł w gniew i przez sąd zażądał zwrotu całości. Sprytny jurysta podjął się mojej obrony i ciągnął sprawę aż dwa lata. Trzy miesiące temu zaczęto mi napomykać o ugodzie, której odmówiłem. Ale lękając się jakowegoś gwałtu zwróciłem się do księdza Justiniani, powiernika markiza de Montalegre, ambasadora Hiszpanii, a ów za niewielką kwotę wynajął mi domeczek na Listę, gdzie człowiek jest bezpieczny przed niespodziankami. Chciałem zwrócić hrabiemu pieniądze, ale uważałem, że wolno mi zatrzymać sto cekinów, które z jego winy wydałem na proces. Tydzień temu odwiedzili mnie dwaj juryści, jego i mój; pokazawszy im dwieście pięćdziesiąt cekinów w sakiewce, oznajmiłem, że mogą je dostać, lecz ani grosza więcej. Odeszli bez słowa, choć obaj z minami wielce niezadowolonymi, z czego sobie zresztą nic nie robiłem. Otóż trzy dni temu ksiądz Justiniani zawiadomił mnie, że ambasador uważał za stosowne zezwolić inkwizytorom stanu na przeprowadzenie u mnie rewizji. Będąc pod opieką ambasadora obcego państwa uważałem to za rzecz niemożliwą, toteż zamiast zwykle przyjętych w takowych wypadkach środków ostrożności, ukryłem jedynie pieniądze w zupełnie pewnym miejscu i spokojnie czekałem zapowiedzianej wizyty zbirów. O świcie zjawił się u mnie Messer Grande i zażądał trzystu pięćdziesięciu cekinów, a gdy odpowiedziałem, że nie mam ani grosza, aresztował mnie i oto tu jestem.

Zadrzałem nie dlatego, że znalazłem się w towarzystwie łajdaka, lecz bardziej dlatego, że sądził mnie równym mu, bo gdyby inaczej mniemał, z pewnością nie zaszczyliłby mnie tak długą opowieścią, licząc przy tym niewątpliwie na moją aprobatę. Owe głupstwa, którymi mnie częstował przez trzy dni pobytu w celi, bez przerwy gadając o Charonie, pozwoliły mi sprawdzić słusność włoskiego przysłowia: *Guardati da colui che non ha letto che un libro solo*¹⁷. Lektura owej książki, dzieła zdrożnego księdza, uczyniła zeń zupełnie ateistę, czym się bez ustanku przechwalał. Po południu zjawił się Wawrzyniec i kazał mu zejść z sobą do sekretarza. Ubrał się więc szybko i w pośpiechu wciągnął moje buciki miast swoich, czego nawet nie zauważyłem. Wrócił w pół godziny potem płacząc, wyciągnął ze swoich bucików dwie sakiewki, w których miał trzysta pięćdziesiąt cekinów, i poprzedzany przez klucznika poszedł je zanieść sekretarzowi. Niebawem znów wrócił i wzięwszy płaszcz, wyszedł. Wawrzyniec powiedział mi, że go wypuszczono na wolność. Myślę, i nie bez podstaw, że sekretarz pod groźbą tortur zmusił go do uznania i zapłaty długu, a gdyby tortury miały służyć tylko do takich celów, to choć brzydzę się nimi i tym, co je wynalazł, pierwszy głosiłbym ich przydatność.

Dnia 1 stycznia 1756 roku dostałem noworoczne upominki. Wawrzyniec przyniósł mi szlafrok na lisim futrze, jedwabną, watowaną kołdrę i worek na nogi z niedźwiedziej skóry. Przyjąłem to z radością, bo zimno dawało mi się równie dotkliwie we znaki, jak upał w sierpniu. Wawrzyniec oznajmił mi także z polecenia sekretarza, że mogę dysponować sześciu cekinami co miesiąc, za które wolno mi kupić takie książki, jakie zechcę, i otrzymywać gazetę, i że ten podarunek zawdzięczam panu de Bragadin. Wzięwszy od Wawrzyńca ołówek napisałem na kawałku papieru: „Dziękuję Trybunałowi za wspaniałomyślność i panu de Bragadin za szczodrość”.

Pewnego ranka, gdy spacerowałem, po strychu, mój wzrok spoczął na ryglu, o którym, już napomknąłem, i pomyślałem, że może mi posłużyć za doskonałą broń ofensywną i defensywną. Schwyciłem go i ukrywając pod szlafrokiem zaniósłem do swojej celi. A kiedy zostałem sam, wzięłem wspomniany uprzednio kawał czarnego marmuru i szybko spostrzegłem, że może być wspaniałym toczydłem, bo po krótkim pocieraniu żelaza o marmur uzyskałem wcale zgrabny i gładki kant.

Zaciekawiła mnie ta niezwykła praca, zupełnie dla mnie nowa i obiecująca zdobycie przedmiotu całkowicie zakazanego w tym więzieniu. Być może wiodła mnie też i próżność, która nakazywała, bez żadnych potrzebnych do tego narzędzi, wykonać oręż i podniecała

¹⁷ Guardati... – strzeż się tego, kto czytał tylko jedną książkę.

trudność, albowiem musiałem trzeć rygłem o marmur niemal po ciemku na poziomie parapetu. Trzeba było przy tym trzymać owe toczydło w lewym ręku, bom nie miał jak go umocować, a w dodatku nie dysponowałem ani kropelką oliwy dla zwilżenia i zmiękczenia żelaza, com je chciał naostrzyć. Dość, że postanowiłem spróbować tego ciężkiego zadania. Ślina posłużyła mi za oliwę i przez osiem dni pracowałem nad wyszlifowaniem ośmiu stożkowych płaszczyzn, których wierzchołki zbiegały się w jeden ostry szpic. Płaszczyzny miały po półtora cala długości, a rygiel – tym sposobem wyszlifowany – tworzył ośmiokątny sztylet, tak doskonale proporcjonalny, jakiego trudno by nawet szukać u dobrego nożownika. Nie można sobie przedstawić, ile musiałem przy tym znieść bólu ani ile fady i cierpliwości kosztowała mnie ta przykra praca, którą przyszło mi wykonać bez żadnych narzędzi posługując się jedynie ruchomym kamieniem... Prawe ramię tak mi zeszywniało, że nie mogłem nim poruszać. Dłoń wyglądała jak wymacerowana i przecięła ją długa blizna powstała z wielu bąbli, natarłych przy ciężkiej i uporczywej pracy. Trudno sobie wyobrazić, ile się nacierpiałem, zanim skończyłem to zadanie.

Dumny ze swego dzieła i nawet jeszcze nie myśląc, do czego mi posłuży zacząłem przede wszystkim zastanawiać się, jak by je ukryć, aby uszło uwagi przy najskrupulatniejszej rewizji. Przychodziły mi do głowy tysiące pomysłów, wszystkie niepewne, aż nagle wzrok mój padł na fotel i tu ukryłem sztylet w sposób nie budzący najmniejszych podejrzeń. Tak oto Opatrzność dopomogła mi w przygotowaniu ucieczki, która miała być niezwykłą, jeśli już nie cudowną. Przyznaję się do próżności, jednakże ta próżność nie wypływa z powodzenia ucieczki, albowiem największą rolę odegrało w niej szczęście; wynika ona natomiast z tego, że uważałem rzecz całą za możliwą i że miałem odwagę podjąć ją mimo wszystkie przeszkody, które, gdyby zniweczyły moje plany, znacznie pogorszyłyby też i mój los, być może na zawsze pozabawiając mnie wolności.

Po trzech, czterech dniach rozmyślań nad sposobem użycia rygla, który stał się teraz jak by rodzajem piki, wielkiej niby kij i długiej na dwadzieścia cali, osądziłem, że najprościej będzie wydłubać nim otwór w podłodze pod moim łóżkiem.

Byłem pewny, że sala pod spodem jest tą, w której widziałem pana Cavalli. Nie było dla mnie tajemnicą, że otwierają ją codziennie rano, i nie wątpiłem, że gdy już wydłubię dziurę, zdołam łatwo opuścić się przez nią za pomocą prześcieradeł skreconych w sznur i przywiązanych jednym końcem do nogi łóżka. W sali schowam się pod stół, przy którym zasiada Trybunał, a rano, skoro tylko otworzą drzwi, wyjdę i zanim pogoń wyruszy, zdążę ukryć się w bezpiecznym miejscu. Wziąłem też pod uwagę, że w owej sali może stale czuwać jeden ze zbirów, jednakże mój sztylet winien był szybko mnie od niego uwolnić. Podłoga mogła być z podwójnych lub nawet potrójnych desek. Nie lada kłopot! Jak powstrzymać zbirów od zamiatania celi przez owe dwa miesiące, bo tyle mogło mi zająć wydłubywanie otworu? Wyraźnym zakazem wzbudziłbym podejrzenie, tym bardziej że chcąc się uwolnić od robactwa, nastawiałem na codzienne zamiatanie, a miotła wnet ujawniłaby moje plany. Trzeba więc było znaleźć jakiś sposób, aby ominąć tę trudność.

Zacząłem od tego, że zabroniłem zamiatać nie podając powodów owego zakazu. W tydzień potem Wawrzyniec zapytał o nie. Wyjaśniłem, że kurz pobudzający mnie do gwałtownego kaszlu może wywołać jakieś tragiczne skutki w moim zdrowiu.

– Każę skrapiać podłogę – rzekł na to.

– To będzie jeszcze gorzej, bo wilgoć gotowa pobudzić humory.

W taki to sposób zyskałem tydzień zwłoki, aliści po tym czasie Wawrzyniec kazał zbirom znów zamiatać. Polecił wynieść łóżko na poddasze i pod pretekstem staranniejszego sprzątnięcia zapalił świecę. Stąd wywnioskowałem, że łajdak powziął jakieś podejrzenie, ale zdobyłem się na obojętność wobec tych poczynań i bynajmniej nie rezygnując ze swoich planów myślałem tylko o tym, jak by je jeszcze mocniej obwarować. Nazajutrz rano zakłuwszy się w palec okrwawiłem całą chustkę i leżąc w łóżku czekałem na Wawrzyńca. Ledwie wszedł,

powiedziałem, że w gwałtownym ataku kaszlu pękło mi parę żyłek i stąd ta krew, którą widzi. Zażądałem też sprowadzenia lekarza, który, gdy przyszedł, puścił mi krew i zapisał jakiś lek. Oznajmiłem mu, że to wina Wawrzyńca, bo nastawał na zamiatanie celi. Robił mu z tego powodu wyrzuty i – jak bym go był o to prosił – opowiedział, że pewien młody człowiek umarł od takiej przyczyny, tudzież oświadczył, że nie ma nic niebezpieczniejszego nad wdychanie kurzu. Wawrzyniec zaklął się na wszystkie świętości, iż kazał zamieść jedynie z uwagi na moje zdrowie, i obiecał, że to się już więcej nie powtórzy. Śmiałem się w duchu, bo lekarz nie mógłby lepiej uczynić, nawet gdybym go we wszystko wtajemniczył.

Po wyjściu lekarza Wawrzyniec poprosił mnie o wybaczenie i zapewnił, że wszyscy inni więźniowie czują się dobrze, choć zamiata się u nich dość regularnie.

Puszczanie krwi dobrze mi zrobiło przywracając sen i lecząc z gwałtownych kurczy, które już zaczęły napawać mnie strachem. Odzyskałem też apetyt i z każdym dniem nabierałem sił. Ale moment zabrania się do pracy był jeszcze dość daleki, albowiem wciąż panował dotkliwy chłód i nie mogłem dość długo utrzymać sztyletu w rękach, które zaraz mi grabiały. Moje przedsięwzięcie wymagało wielkiej przeczności. Musiałem unikać wszystkiego, co łatwo by mnie zdradziło; musiałem zdobyć się na nieustraszoną odwagę i zuchwałość, aby się porwać na wszystko to, co moi oprawcy mogliby przewidzieć i co los mógł postawić mi na drodze.

Zimowe noce doprowadzały mnie do rozpaczy, albowiem dziewiętnaście śmiertelnie długich godzin musiałem spędzać w ciemności. W dniem mgliste zaś, których w Wenecji nie brak, światło wpadające przez okienko było tak mdłe, że nie mogłem przy nim czytać. A skoro umysł nie miał żadnej innej strawy, prócz ciągłego rozmyślenia nad ucieczką, łatwo mogłem popaść w monomanię. Posiadanie nędznej lampki kuchennej uczyniłoby mnie szczęśliwym, ale jak tu było sprokurować sobie podobną rozkosz! O cudzie ludzkiej myśli! Jakże się ucieszyłem, kiedy wydało mi się iż wpadłem na pomysł zdobycia tego skarbu! Po to, aby zrobić sobie lampę, potrzebowałem następujących składników, które by się złożyły w jedną całość: naczynia, knotów, oliwy, krzemienia, krzesiwa, hubki, siarczków. Za naczynie mogła posłużyć miska, w której przyrządzano mi jajecznicę. Pod pretekstem, że nie znoszę zwykłej oliwy, kazałem sobie kupić do sałaty oliwy z oliwek; z pikowanej kołdry mogłem porobić knoty. Udając, że cierpię na zęby, powiedziałem Wawrzyńcowi, ażeby przyniósł pumeksu, ale gdy nie zrozumiał, o co mi chodzi, wyjaśniłem, że skałka będzie równie przydatna; trzeba ją tylko przez jeden dzień moczyć w occie, a przyłożona później do zęba ukoi ból. Odparł na to, że mój ocet jest doskonały i że sam mogę to sobie zrobić, co mówiąc sięgnął do kieszeni i wyciągnął parę kamieni. Gruba żelazna kłamra przy moim pasie musiała posłużyć za krzesiwo. Brakowało mi jeszcze siarki i hubki, toteż bez przerwy głowiłem się nad zdobyciem tych dwóch rzeczy. W końcu los uśmiechnął się do mnie.

Dostałem jakiejś wysypki podobnej do odry, po której pozostały mi na ramionach czerwone placki, czasami mocno swędzące. Powiedziałem więc Wawrzyńcowi, aby zażądał od lekarza jakiegoś środka na tę dolegliwość, toteż nazajutrz przyniósł mi karteczkę, którą oczywiście sekretarz uprzednio przeczytał, takiej treści: „Jeden dzień postu, cztery uncje słodkich migdałów, i skóra wyzdrowieje; albo maść z kwiatu siarki, lecz ten środek jest niebezpieczny”.

– Kpię sobie z niebezpieczeństwa – powiedziałem Wawrzyńcowi – proszę mi kupić tę maść lub przynieść siarki, bo mając tu masło sam przyrządzę maść. A może, panie Wawrzyńcze, masz pan siarczki? Proszę mi dać parę.

Wypadkiem miał ich kilka w kieszeni i dał mi.

Jakaż radość człowiekowi w nieszczęściu mogą sprawić nawet najbłahsze rzeczy! A w moim położeniu te siarczki nie były rzeczą błahą, lecz skarbem prawdziwym.

Później przez długie godziny łamałem sobie głowę, czym by tu zastąpić hubkę, jedyną brakującą mi jeszcze rzecz, gdy przypomniałem sobie, że kazałem krawcowi wszyć ją pod pachy mego fraka, aby ustrzec materiał od przepocenia. Serce zabiło mi gwałtownie, bo choć

to ubranie, całkiem nowe, leżało tu przede mną, krawiec mógł zapomnieć o hubce. Lęk i nadzieja miotały mną na przemian. Jeden krok wystarczyłby dla przekonania się, ale nie mogłem się nań zdobyć. W końcu podszedłem i czując się niemal niegodnym tej łaski padłem na kolana i zapamiętałe począłem błagać Boga, aby krawiec nie zapomniał był mojego polecenia. Po gorącej modlitwie wzięłem frak, nadprułem go i znalazłem hubkę!

Mając już wszystkie składniki, szybko sporządziłem lampę. Proszę sobie wyobrazić moją satysfakcję; nie tylko bowiem stworzyłem, jeśli tak wolno rzec, światło w ciemnościach, ale jeszcze, co sprawiło mi niemniejszą radość, przestąpiłem zakaz wydany przez moich niecnym prześladowców! Noc już się dla mnie skończyła, ale skończyła się też i sałata, bo choć ją bardzo lubiłem, musiałem, co mi zresztą przyszło dość łatwo, wyrzec się jej ze względu na brak oliwy. Postanowiłem, że do żmudnej pracy przy wierceniu otworu zabiorę się w pierwszy poniedziałek wielkiego postu, bo w pełni karnawału obawiałem się nowych gości w mojej celi, i okazało się, że miałem rację.

W zapustną niedzielę w południe usłyszałem szcęk zamków i ujrzałem Wawrzyńca, a za nim tęgiego mężczyznę, w którym poznałem Żyda, Gabriela Schalona, znanego powszechnie z umiejętności wyciągania pieniędzy od młodych ludzi w zamian za różne brzydkie czyny. Zналиśmy się, toteż w naszym powitaniu nie było nic niewłaściwego. Wolałbym wprawdzie dostać jakiegoś innego towarzysza, ale nikt mnie o zdanie nie pytał. Schalon chciał posłać Wawrzyńca do swego domu po obiad, łóżko i wszystkie niezbędne rzeczy, ale Wawrzyniec odrzekł, że zdąży o tym pomówić jutro.

Ów Żyd był lekkoduchem, gadułą, ignorantem i głupcem, lecz tylko nie w swoim zawodzie. Zaczął od gratulacji, iż to mnie, a nie komu innemu przypadł zaszczyt dotrzymywania mu towarzystwa. Za całą odpowiedź zaproponowałem, aby podzielił ze mną obiad, czego jednak odmówił wyjaśniając, że jada tylko koszerne i że zaczeka, aby smaczniej zjeść w domu.

– Kiedy?

– Dziś wieczór. Słyszałeś pan chyba, że gdym zażądał łóżka, klucznik odparł, że o tym pomówimy jutro. A więc łóżko mi niepotrzebne. Czy pan uważasz, że można zostawić bez jedzenia takiego człowieka jak ja?

– Mnie jednak zostawiono.

– Zgoda, ale jest pewna różnica między nami. A poza tym, gdyby nawet tylko o to chodziło, inkwizytorzy popełnili gruby błąd każąc mnie aresztować. Niezawodnie głowią się teraz, jak naprawić pomyłkę.

– Wyznaczą panu jakieś odszkodowanie, bo muszą przecież oszczędzić tak znakomitego człowieka.

– Rozumujesz pan słusznie, bo jestem najzręczniejszym maklerem na giełdzie, toteż Pięciu Mędrców¹⁸ wielce skorzystało na moich radach. Aresztowanie mnie nie przejdzie bez echa i dziwnym zbiegiem okoliczności wyjdzie panu na dobre.

– A to w jaki sposób, mój panie?

– Uwolnię cię stąd, nim miesiąc minie. Wiem, z kim i jak o tym mówić.

– A zatem liczę na pańskie względy.

– Może pan śmiało.

Ten nicpoń był wielkiego mniemania o własnej osobie. Chciał mi opowiedzieć, co mówią w mieście o moim uwięzieniu. Znudził mnie jednak powtarzaniem głupich rozmów między ignorantami takimi jak on i aby go dłużej nie słuchać, sięgnąłem po książkę. Wtedy ten grubianin miał czelność poprosić, abym nie czytał, bo jego namiętnością jest gadanie, lecz przez cały czas mówił tylko o sobie. Bałem się zapalić lampę przy tym bydlęciu, on zaś z nastaniem nocy zdecydował się przyjąć ode mnie trochę chleba i cypryjskiego wina. Później musiał zadowolnić się moim siennikiem, który został już zwykłym łóżem wszystkich świeżo przybywających do celi.

¹⁸ Pięciu Mędrców – odpowiednik Izby Przemysłowo-Handlowej.

Nazajutrz dostał łóżko i żywność z domu. Ciężkie brzemię tego towarzystwa dźwigałem przez dwa miesiące, bo zanim nicponia przeniesiono do Więzienia Czterech, sekretarz nieraz musiał go wypytywać, aby ujawnić najrozmaitsze łajdackie sprawy i sporą ilość niedozwolonych kontraktów.

Widząc, że ów uciążliwy towarzysz jakoś mnie nie opuszcza, zdecydowałem się wreszcie zapalić lampę, gdy uzyskałem od niego obietnicę, że mnie nie zdradzi. Ale dotrzymał słowa tylko tak długo, jak był ze mną, bo Wawrzyniec dowiedział się o wszystkim; na szczęście nie przywiązywał żadnej wagi do tej wiadomości.

Naprawdę bardzo cierpiałem przez tego gburę, przede wszystkim dlatego, że przeszkadzał mi czytać. Był wymagający, głupi, zabobonny, pyszałkowaty, bojaźliwy, a czasem wpadał w rozpacz. Chciał, abym lamentował na głos, wówczas gdy lęk wyciskał mu łzy z oczu, i bezustannie powtarzał, że to aresztowanie zepsuje mu reputację. Zapewniałem go z ironią, której nie pojmował, że pod tym względem niczego nie potrzebuje się obawiać, bo ma już od dawna ustaloną renomę. Brał to za komplement. Nie chciał przyznać się do skąpstwa, ale któregoś dnia zmusiłem go do wyznania, że gdyby inkwizytorzy płacili mu po sto cekinów za każdy dzień uwięzienia, zgodziłby się całe życie spędzić Pod Ołowianym Dachem.

Niebywale opasły, trzy czwarte życia spędzał w łóżku, a często, pochrupując w dzień, złościł się potem, iż nie sypia w nocy, i to tym bardziej, iż słyszał, jak oddycham przez sen. Pewnego razu wyrwał mnie z najmocniejszego wypoczynku.

– Czego pan sobie życzysz? – spytałem budząc się raptownie.

– Drogi przyjacielu, nie mogę spać, zlituj się nade mną i pogadajmy trochę.

– I pan mnie nazywasz swoim przyjacielem, wstrętny człowieku! Wierzę, że ta bezsenność to prawdziwa męka, ale jeżeli jeszcze raz ośmielisz się obrabować mnie z jedyne go skarbu, jaki mi pozostał, wstanę tylko po to, aby cię udusić – powiedziałem z pewnego rodzaju wściekłością.

– Wybaczże mi pan; zapewniam, że to już się nie powtórzy.

Może bym go i nie udusił, choć prawdę mówiąc brała mnie chęć, bo więzień, co miał szczęście zasnąć głęboko, na cały ów czas przestaje być niewolnikiem, a nieszczęsny niewolnik nie czuje ciężaru łańcuchów, gdy śpi.

Winszowałem sobie, że nie przystąpiłem do mojego wielkiego zamierzenia, zanim dodano mi owego towarzysza, tym bardziej iż domagał się on zamatania celi. Gdy tego zażądał po raz pierwszy, uśmiełem się ze słów usługujących nam zbirów, którzy oświadczyli, że to może przyprawić mnie o śmierć. Uparł się jednak przy swoim, a ja odpłaciłem mu się w ten sposób, że udałem chorego. Moje interesy wymagały ustępliwości.

W Wielką Środę Wawrzyniec uprzedził nas, że po południu z okazji nadchodzących świąt Wielkiej Nocy, jak to jest w zwyczaju, odwiedzi więzienie sekretarz, aby ukoić dusze tych, co zechcą przyjąć święty sakrament, i żeby wysłuchać skarg na klucznika.

– Tak więc – dorzucił – jeżeli chcesz się pan o coś na mnie pożalić, niech się pan żali. I niech się pan ubierze od stóp do głów, bo etykieta tego wymaga.

Powiedziałem na to, że ma mi nazajutrz przyprowadzić spowiednika. Ubrałem się przystojnie, a mój towarzysz poszedł w moje ślady, już z góry żegnając się ze mną, taki był pewien, że ledwie przemówi do sekretarza, ten zwróci mu wolność.

– Przeczucia – powiedział – nigdy mnie nie zawodzą.

– Winszuję, ale nie mów pan hop, póki nie przeskoczysz.

Nie zrozumiał mnie.

Sekretarz przyszedł istotnie i natychmiast po otworzeniu celi mój współtowarzysz na klęczkach poczołgał mu się do nóg. Przez kilka minut słyszałem tylko jego krzyki i płacz, bo sekretarz milczał zawzięcie. Potem Schalon wrócił, a mnie Wawrzyniec kazał wyjść. Z ośmiomiesięczną brodą, w stroju przeznaczonym do załotów i na sierpniową pogodę, przedstawiałem zapewne zabawny widok przy panujących chłodach. Dygotałem z zimna, co spr-

wiało mi wielką przykrość, bo bałem się, aby sekretarz nie pomyślał, że to ze strachu. Wychodząc z ciemnicy musiałem się nisko przygiąć i uważałem, że to starczy za ukłon, toteż wyprostowawszy się patrzyłem na sekretarza z miną spokojną, jednak bez niewłaściwej dumy. Czekałem, ażeby się do mnie odezwał. A że również milczał, staliśmy przed sobą jak dwa posągi. Po paru minutach, widząc, że się nie odzywam skinął lekko głową i odszedł. Wróciłem do celi, rozebrałem się szybko i wlałem do łóżka, chcąc się rozgrzać co prędzej.

W Wielki Czwartek wypowiadał mnie ksiądz jezuita, a nazajutrz ksiądz z kościoła Świętego Marka udzielił mi komunii. Jezuita uznał moją spowiedź za nader lakoniczną i uważał za stosowne udzielić mi napomnienia przed rozgrzeszeniem.

– Czy modlisz się, synu? – zapytał.

– Od rana do nocy i od nocy do rana, bo w tych terminach, w jakich jestem, wszystko, co się we mnie dzieje: podniecenie i niecierpliwość wszystko, aż do obłędu, może być uważane tylko za modlitwę w oczach Mądrości Bożej, która jedna jedyna czyta w moim sercu.

Uśmiechnął się na to i wygłosił przemowę, bardziej metafizyczną niż, umoralniającą, która ani rusz nie pasowała do mojej wypowiedzi. Odparłbym każdy jego argument, gdyby mnie nie zadziwił przepowiednią:

– Skoro – rzekł – myśmy nauczyli cię wiary, uprawiaj ją, synu, jak my ją uprawiamy, i wiedz, „że wyjdiesz stąd nie wcześniej niż w dzień swego patrona”.

Po tych słowach udzielił mi rozgrzeszenia i wyszedł. Trudno uwierzyć, jak wielkie wrażenie zrobił na mnie ów człowiek. Daremnie próbowałbym się uwolnić od tego uczucia, toteż zabrałem się do przeglądania wszystkich świętych w kalendarzu.

Pouczony, że opuszczę więzienie w dzień mego patrona, i świadom, iż człowiek, który mi to powiedział, może o tym wiedzieć z nauk zupełnie pewnych, cieszyłem się myślą o posiadaniu takiego orędownika, ale któryż święty to mógł być? – pytałem siebie. Jezuita mi nie powiedział. Przechodziłem więc od jednego do drugiego i stopniowo przyzwyczaiłem się wierzyć w opiekę świętych nie więcej, niż wierzymy w to, czego pragniemy, zresztą bez głębszego przekonania, a w końcu zacząłem pokładać ufność jedynie w moim „świętym sztylcie” i sile własnych ramion. A jednak przepowiednia jezuity sprawdziła się, bo wyszedłem z więzienia w dzień Wszystkich Świętych, a jeżeli jeden z nich ma mnie w swojej pieczy, to musi być wśród tych, których się święci tego dnia, ponieważ święci się ich wszystkich.

W dwa tygodnie po Wielkiej Nocy uwolniono mnie nareszcie od uciążliwego Żyda i zamiast odesłać biedaka do domu, skazano go na dwa lata pobytu w Więzieniu Czterech. Po wyjściu stamtąd osiedlił się w Trieście, gdzie też zakończył życie.

Znalazszy się sam, natychmiast z całym zapalem zabrałem się do dzieła. Musiałem się spieszyć z obawy, że mogę dostać jakiegoś nowego współtowarzysza, równie uciążliwego, który – jak ów Żyd – będzie domagał się zamiatania celi. Zacząłem od tego, że odsunąłem łóżko i zapaliwszy lampę położyłem się plackiem na podłodze ze sztyletem w rękę i z serwetką tuż przy sobie, abym miał w co zbierać wióry i drzazgi w miarę drażenia desek. Z początku odłupywałem kawałki nie większe od ziarenek pszenicy, jednak szybko przybierały one na wielkości.

Podłoga była z modrzewiowych, szerokich desek. Zacząłem na styku dwóch, a że tam nie było ani gwoździa, ani jakowegoś żelastwa, praca szła mi gładko. Po sześciu godzinach dłubania zwinąłem serwetkę i odłożyłem na bok, aby nazajutrz wysypać jej zawartość za kupą papierów na poddaszu. Te kawałki na objętość były ze cztery do pięciu razy większe niż otwór, z którego je wylupałem. Wgłębienie szło pod kątem trzydziestu stopni, a w średnicy mogło mieć z dziesięć cali. Przesunąłem łóżko na miejsce i nazajutrz opróżniłem serwetkę przekonawszy się, że te odpadki pozostaną niewidoczne.

Nazajutrz też przebiwszy pierwszą deskę, jak stwierdziłem dwucalowej grubości, natknąłem się na drugą, która wydawała mi się podobna do swojej poprzedniczki. Gnębiony obawą, że dostanę nowego współtowarzysza, zdwoiłem wysiłek i po trzech tygodniach przewierciłem

otwór w trzech deskach podłogi. Lecz wówczas zdało mi się, że jestem zgubiony, bo natknąłem się na warstwę małych kawałeczków marmuru, tak zwaną w Wenecji *terrazzo marmorin*. Jest to zwykła mozaika, taka, jaką się widuje we wszystkich weneckich domach, prócz domów biedaków, bo nawet wielmoże przekładają mozaikę nad parkiet. Wpadłem w konsternację widząc, że nie ustępuje przed moim sztyletem. Ten wypadek o mały włos nie odebrał mi całej odwagi. Lecz przypomniałem sobie Hannibala, który zgodnie ze słowami Tytusa Liwiusza otworzył sobie drogę przez Alpy, rozbijając ciosami topora skały uprzednio rozmiękczone octem. Sądziłem, że Hannibalowi udało się to nie dzięki zastosowaniu *aceto: octu*, lecz *aceta*, co w padewskiej łacinie mogło oznaczać *ascia*, kilof – zresztą któż może ręczyć za błędy kopysty? Mimo to wlałem do otworu posiadaną butelkę mocnego octu i nazajutrz, czy to na skutek jego działania, czy też dlatego, że po wypoczynku przybyło mi sił i cierpliwości, przekonałem się, że niebawem pokonam i tę przeszkodę. A chodziło nie o rozbicie marmuru, lecz o wykruszenie ostrzem mego narzędzia spoiwa między płytkami. Wkrótce zresztą stwierdziłem z wielką radością, że owa praca nie była taka trudna. Po czterech dniach wydłubałem całą mozaikę, ani trochę nie uszkadzając ostrza mojego sztyletu.

Pod mozaiką napotkałem drugą podłogę, ale nie była dla mnie żadną niespodzianką. Uważałem, że to już ostatnia przegroda. Napocząłem ją z pewnym trudem, bo ciężko mi było manipulować moim sztyletem w otworze na dziesięć cali głębokim. Po tysiąc razy błagałem Boga o zmiłowanie. Wolnomyśliciele, którzy twierdzą, że modlitwa na nic się zda, nie wiedzą, co mówią, albowiem ja wiem z własnego doświadczenia, że po modłach do Boga zawsze przybywało mi sił.

Dnia 25 czerwca, w ten sam dzień, kiedy Republika Wenecka święci cudowne pojawienie się świętego Marka pod postacią lwa uskrzydłonego w kościele Pałacu Dożów, to pojawienie się, co, jak mówią, nastąpiło przy końcu jedenastego stulecia i w owym świątym wieku wskazało wzniosłym umysłom dostojnych senatorów, że czas już wyrzec się świętego Teodora, który zawiódł ich nadzieje i nie dopomógł w zdobyciu potęgi, i zastąpić go uczniem świętych Piotra i Pawła albo li tylko – jak chce święty Euzebiusz – tego pierwszego, otóż w ów dzień – powtarzam – koło trzeciej po południu, gdy zupełnie nagi i ociekający potem trudziłem się – leżąc na brzuchu nad ostatecznym przebicciem otworu, z lampą u boku dla odrobiny światła, usłyszałem ze śmiertelnym przerażeniem szczęk zasuwu i skrzyp drzwi na pierwszym korytarzu. Cóż za okropna chwila! Zdmuchnąłem lampę, pozostawiłem sztylet w dziurze, wrzuciłem do środka serwetkę z całą zawartością, co prędzej pchnąłem łóżko na miejsce i padłem jak trup akurat w momencie, kiedy otwierały się drzwi celi. Jeszcze dwie sekundy i Wawrzyniec byłby mnie przyłapał. O mało co nie nastąpił na mnie, ale zapobiegłem temu jęknąwszy boleśnie, cofnął się więc z okrzykiem:

– Mój Boże, jak mi pana żal, toż tu człowiek dusi się jak w piekle. Niech pan wstanie i podziękuje Bogu za dobre towarzystwo, które panu zsyła.

– Proszę wejść, wasza światłość, proszę wejść – zwrócił się do nieszczęśnika, który szedł za nim.

Ów przybysz sądził, że wchodzi do piekła, toteż wykrzyknął:

– Gdzie jestem? Gdzie mnie prowadzą? Święty Boże, co za upał, jaki zaduch! Kto to jest?

Wawrzyniec wyprowadziwszy go poprosił, abym wdział koszulę i wyszedł na chwilę z celi, a zwracając się do nowego więźnia wyjaśnił, iż przyniesie teraz, jak mu kazano, łóżko i inne konieczne rzeczy, i dlatego pozostawia nas na poddaszu aż do swojego powrotu. Tymczasem cela się przewietrzy i uwolni od zaduchu, który pochodzi tylko ze spalonej oliwy. Wielką niespodzianką były dla mnie owe słowa! W pośpiechu zapomniałem przydusić knot po zdmuchnięciu płomienia, skoro zaś Wawrzyniec nie zadawał mi żadnych pytań w tej sprawie, domyśliłem się, że wie o wszystkim, a tylko niecny Żyd mógł mnie zdradzić. Jakże sobie winszowałem, że go w nic więcej nie wtajemniczył!

W owej chwili rozwiął się mój wstręt do Wawrzyńca.

Włożywszy koszulę i szlafrok wyszedłem i zobaczyłem swojego nowego współtowarzysza, który ołówkiem spisywał, co Wawrzyniec winien był mu przynieść. Przy pierwszym spojrzeniu na mnie wykrzyknął:

– Ach, to Casanova!

A ja poznałem w nim hrabiego księdza Fenarolo z Brescii, który miał lat około pięćdziesięciu, był bogaty, miły i wielce lubiany w towarzystwie. Uścisnął mnie, a gdy mu powiedział, że spodziewałbym się zobaczyć tu Pod Ołowianym Dachem, raczej całą Wenecję, ale nie jego, nie mógł powstrzymać łez.

Kiedy zostaliśmy sami, oznajmiłem hrabiemu, że zaraz po przyniesieniu łóżka odstąpię mu alkowę, ale proszę, aby się na to nie zgadzał. Poprosiłem też, aby się nie dopominał o zamiatanie celi mówiąc, że później wyjaśnię tego powody. On zaś przyrzekł mi zachować wszystko w najgłębszej tajemnicy i wyraził radość z zamknięcia go w jednej celi ze mną. Powiedział też, że skoro nikt nie zna powodów mojego uwięzienia Pod Ołowianym Dachem, każdy domyśla się czegoś innego. Jedni uważają mnie za szefa nowej sekty, inni, że pani Memmo przekonała inkwizytorów, iż nakłaniałem jej córki do ateizmu, jeszcze inni twierdzili wreszcie, że Antoni Condulmer, inkwizytor państwowy, kazał mnie zamknąć z powodu zakłócenia spokoju publicznego, bo wygwizdałem komedię księdza Chiari i knułem zamiar wyjazdu do Padwy specjalnie po to, aby go zgładzić. Te wszystkie oskarżenia miały pewne podstawy nadające im cechy prawdopodobieństwa, jednak w gruncie rzeczy były całkowicie fałszywe.

Zagadnieniami wiary nie interesowałem się aż w takim stopniu, abym sobie zawracał głowę zakładaniem nowej sekty. Córki poczciwej pani Memmo, urocze i bystre, raczej mogły kogoś do czegoś namówić, niż same dać się namówić, a pan Condulmer miałby pełne ręce roboty, gdyby chciał uwięzić tych wszystkich, którzy wygwizdali utwór księdza Chiari...

Pod wieczór przyniesiono porządne łóżko, wytworną bieliznę, pachnidła, wyborną kolację i wspaniałe wina. Ksiądz zapłacił zwykły trybut, to znaczy niczego nie tknął, ja zaś jadłem za dwóch.

Gdy Wawrzyniec powiedział nam dobranoc i zamknął celę aż do jutra, wydobylem swoją lampę i przekonałem się, iż jest próżna, bo cała oliwa wsiąkła w serwetkę. Uśmiełem się szczerze na myśl o poruszeniu, jakie wywołałby pożar, bo serwetka łącznie mogła się zająć od tlejącego knota. Podzieliłem się tymi myślami z moim towarzyszem, który również uśmieł się szczerze. Później, przy zapalonej lampie, przyjemnie przegadaliśmy całą noc.

Nazajutrz o świcie Wawrzyniec przyniósł kawę i kosz z tym wszystkim, co było potrzebne do sporządzenia dobrego obiadu. Ksiądz był bardzo zaskoczony, bo nie mogło mu się w głowie pomieścić, iż można by jeść o tej porze. Pozwolono nam pospacerować godzinę na poddaszu, później znów zamknięto, i to było wszystko na dziś. A że robactwo bardzo nas niepokoiło, mój towarzysz zapytał, czemu sprzeciwiam się zamiataniu. Nie mogłem pozwolić, aby mniemał, że lubuję się w brudzie ani że mam skórę twardszą niż on, i dlatego wyznałem mu i pokazałem wszystko. Był zrozpaczony na myśl, iż może zmusił mnie do wyznania tak ważnej tajemnicy, jednak dodawał mi otuchy i zachęcał do gorliwej pracy i – jeśli tylko warunki pozwolą – do przebicia otworu jeszcze przed wieczorem. Chciał mi nawet dopomóc w opuszczeniu się w dół i potem wciągnąć linę. Sam wolał nie korzystać z ucieczki, która, jak uważał, mogła tylko zaszkodzić jego sprawie. Pokazałem mu urządzenie, które miało mi dopomóc w ściągnięciu za sobą sznura zwiniętego z prześcieradeł. Był to kijek przyczepiony do długiego szpagatu. Lina z prześcieradeł miała się trzymać stelaża mego łóżka za pomocą tego kija, od którego sznur sięgał aż do podłogi w pokoju inkwizytorów. Gdy więc stanę na niej, szarpnę sznur, wyciągnę kijek i prześcieradła opadną. Ksiądz sprawdził działanie tego urządzenia i powinszował mi pomysł, tym bardziej że owa ostrożność była konieczna, bo gdybym pozostawił zwisające prześcieradła, byłyby one pierwszym śladem, który by mnie zdradził.

Tydzień uwięzienia, czas, jaki przepowiedziałem księdzu, przeminął szybko. Utraciłem mилоgo towarzysza, ale nie żałowałem tego. Odzyskał wolność i to było wystarczającym po-

wodem, abym się radował. Nie potrzebowałem prosić go o zachowanie tajemnicy, bo najmniejsza uwaga na ten temat zraniłaby jego szlachetną duszę.

Nazajutrz Wawrzyniec zdał mi rachunek z moich pieniędzy i okazało się, że dysponuję jeszcze czterema cekinami, z których zrobiłem prezent jego żonie, co go bardzo dobrze do mnie usposobiło. Nie powiedziałem, że wynagradzam go w ten sposób za lampę, ale mógł się domyślić. Podjąwszy swoją pracę i ciągnąc ją bez przerwy dobiłem do celu w dniu 23 sierpnia. Opóźniło się to tak na skutek najzwyczajszego wypadku. Dłubałem otwór w ostatniej desce, wciąż bardzo ostrożnie, i przebiwszy ją wreszcie na wylot, przyłożyłem oko do małej dziurki, przez którą powinienem był dojrzeć pokój inkwizytorów. Ujrzałem go istotnie, ale jednocześnie dostrzegłem w pobliżu jakąś prostopadłą powierzchnię wielkości mniej więcej ośmiu cali. Stało się to, czego się zawsze obawiałem: natrafiłem na jedną z belek stropowych. Ów fakt zmusił mnie do poszerzenia otworu w przeciwnym kierunku, albowiem, belka tak zwęziłaby przejście, że – będąc dość krzepkiej budowy – nie zdołałbym się tamtędy przecisnąć. Powiększyłem więc otwór o jedną czwartą, przechodząc od nadziei do rozpacz, bo przecież mogło tak się zdarzyć, że między dwiema krokwiemi nie stałoby miejsca. Po rozszerzeniu otworu mogłem przez drugą dziurkę przekonać się, że Bóg pobłogosławił mojej pracy. Starannie zatkałem owe otworki, aby żaden wiórek nie spadł do sali pod spodem lub nie przedostał się tam promień lampy, co by mnie zdradziło i mogło przyprawić o zgubę.

Na dzień ucieczki wybrałem wigilię świętego Augustyna, bo wiedziałem, że wtedy zbierze się Wielka Rada i nie będzie nikogo w sali przylegającej do pokoju, przez który musiałem przejść, aby wydostać się na wolność. Miało to więc być 27, ale 25 w południe spotkało mnie nieszczęście, a na myśl o nim jeszcze teraz dostaję dreszczy, mimo że to już tyle lat minęło od tego czasu.

Dokładnie w południe usłyszałem szcęk zasuwu i zdawało mi się, że umieram, serce bowiem tak mi załomotało w głębi piersi, jak by nadchodziła moja ostatnia godzina. Przerazony padłem na swój fotel i czekałem. Wawrzyniec wszedłszy na poddasze przyłożył twarz do kraty i zawołał wesołym tonem:

– Winszuję panu dobrej nowiny, którą przynoszę!

Myśląc z początku, że chodzi o zwolnienie z więzienia, bo nic innego nie przyszło mi do głowy, zadrzałem na całym ciele, gdyż wykrycie zrobionego przeze mnie otworu musiałoby doprowadzić do cofnięcia ułaskawienia.

Wawrzyniec tymczasem wyszedł i kazał mi iść za sobą.

– Zaraz, niech się ubiorę.

– Nie ma po co, bo pan tylko przechodzi z tej nędznej celi do innej, nowej i jasnej, gdzie przez dwa okna zobaczy pan połowę Wenecji i będzie pan mógł stać wyprostowany...

To było ponad moje siły. Czulem, że mdleję.

– Proszę mi podać ocet – powiedziałem – a potem zawiadomić sekretarza, że dziękuję Trybunałowi za tę łaskę i proszę o pozostawienie mnie tu, gdzie jestem.

– Pan chyba żartuje alboś pan rozum postradał! Chcą pana wyciągnąć z piekła, aby wsadzić do raju, a pan odmawiasz! Chodźmy, chodźmy, trzeba być posłusznym. Wstańże pan! Pomogę panu przejść i przeniosę wszystkie manatki i książki.

Widząc, że opór byłby daremny, wstałem z fotela i z ulgą słuchałem, jak Wawrzyniec rozkazywał usługującemu mi zbirowi, aby przeniósł mój fotel, dzięki temu bowiem nie traciłem sztyletu, a wraz z nim i wiary w powodzenie ucieczki. Chciałbym móc również zabrać z sobą i wydłubany otwór, obiekt tylu trudów i straconej nadziei. Śmiało mogę rzec, że wychodząc z tego straszliwego miejsca udręki, pozostawiałem w nim moją duszę.

Wspierając się na ramieniu Wawrzyńca, który swoimi głupimi żartami próbował mnie rozśmieszyć, minąłem dwa korytarze i po zejściu z trzech stopni wszedłem do bardzo jasnej sali. W jej odległym końcu, na lewo, były małe drzwi, przez które Wawrzyniec wprowadził mnie do innego korytarza na dwie stopy szerokiego i na dwanaście długiego. W jednym z jego ro-

gów była moja nowa cela. Miała ona jedno zakratowane okno wychodzące na dwa, również zakratowane okna na korytarzu, przez które można było rozkoszować się wspaniałym widokiem aż po Lido. W owej smutnej chwili nie miałem nastroju do radowania się tym, ale później z zadowoleniem stwierdziłem, że gdy okno było otwarte, wpadał przez nie lekki i świeży powiew, który łagodził nieznosny upał i zwłaszcza w lecie był prawdziwym balsamem kojącym dla nieszczęśników, co musieli tam żyć i oddychać. Czytelnik łatwo się domyśli, że te wszystkie spostrzeżenia nasunęły mi się później. A wówczas, kiedy wszedłem do nowej celi, Wawrzyniec kazał wnieść fotel i odszedł mówiąc, że idzie po resztę rzeczy.

Siedziałem w fotelu nieruchomy jak posąg czekając na burzę, lecz bez lęku. W to osłupienie wprawiła mnie przygnębiająca myśl, że wszystkie moje trudy, wszystkie wyliczenia poszły na marne, i ów fakt sprawiał mi przykrość, wcale jednak nie wywołując żalu, a największą pociechę znajdowałem w niemyśleniu nad przeszłością...

PODZIEMNE CELE ZWANE „STUDNIAMI” – ZEMSTA WAWRZYŃCA – NAWIĄZUJĘ KORESPONDENCJĘ Z INNYM WIĘŹNIEM, WIELEBNYM OJCEM BALBI; JEGO CHARAKTER – UZGADNIAM Z NIM UCIECZKĘ; JEJ SPOSÓB – FORTEL, PRZY POMOCY KTÓREGO PRZESYŁAM MU SZTYLET – SUKCES – DOSTAJĘ NICPONIA ZA TOWARZYSZA; JEGO PORTRET

Siedziałem zdjęty niepokojem i zdesperowany, kiedy dwóch zbirów wniosło moje łóżko. Wyszli zaraz po resztę rzeczy i ponad dwie godziny nie widziałem żywej duszy, aczkolwiek drzwi mojej nowej celi stały otworem. Ten wypadek, zgoła niezwykły, zbudził mnóstwo podejrzeń w moim umyśle, jednak nie mogłem zdecydować się na żadne z nich. Wiedziałem tylko, że mogę się spodziewać rzeczy najgorszych, i ta pewność zmusiła mnie do zdobycia się na filozoficzny spokój, który pomógłby mi oprzeć się wszelkim niebezpieczeństwom.

Poza Ołowianym. Dachem i Więzieniem Czterech inkwizytorzy dysponowali jeszcze dziewiętnastoma straszliwymi celami pod ziemią, w samym Pałacu Dożów. Były to ohydne lochy przeznaczone dla nieszczęśników, których nie chciano skazywać na śmierć, mimo że w pełni na nią zasłużyli swoimi zbrodniami.

Każdy sędzia na całej kuli ziemskiej niezmiennie uważa, że darowując życie przestępcy, który zasłużył na śmierć, wyrządza mu najwyższą łaskę. Jednak wówczas, zamiast jednorazowego i krótkiego bólu, skazuje człowieka na o wiele cięższy los, czasem tak straszny, że każda chwila wciąż ponawianego cierpienia gorszą jest od śmierci.

Te podziemne lochy, z powodzeniem przypominające czasem groby, zwą się jednak „studnie”, bo zawsze jest w nich na dwie stopy wody. Dostaje się ona z morza przez te same kraty, przez które przenika odrobina światła. Taka krata mierzy najwyżej kwadratową stopę. Biedak skazany na życie w owej brudnej kloace, jeśli nie chce kąpać się w słonej wodzie, musi przez cały dzień przesiadywać na pryczy, gdzie leży siennik, a jednocześnie mieści się spiżarnia. Rano dostaje dzbanek wody, cienką zupę i porcję żołnierskich sucharów, a musi je zjeść zaraz, bo inaczej staną się łupem tłustych szczurów morskich, od których roi się w tych straszliwych lochach. Nieszczęśnicy wtrąceni do „studni” zwykle kończą tam swój żywot, ale zdarza się, że niektórzy z nich dożywają sędziwego wieku. Jeden ze zbrodniarzy, zmarły w czasie, gdy ja siedziałem Pod Ołowianym Dachem, przeżył w owych lochach trzydzieści siedem lat, a miał ich czterdzieści cztery, gdy go tam wtrącono. Jeżeli we własnym mniemaniu

zasłużył na śmierć, być może wziął to złagodzenie kary za prawdziwą łaskę, bo są ludzie, którzy nade wszystko lękają się śmierci. Ten człowiek zwał się Béguelin. Francuz z urodzenia, służył w randze kapitana w wojskach Republiki w czasie ostatniej wojny z Turkami w roku 1716. Był pod rozkazami hrabiego von der Schulenburga, który zmusił wielkiego wezyra do odstąpienia od Korfu. Wspomniany Béguelin będąc szpiegiem przebierał się za Turka i przekradał do muzułmańskiego obozu, aliści służąc marszałkowi służył jednocześnie i wezyrowi, a że dowiedziono mu tej podwójnej zdrady, niewątpliwie wyświadczone mu też i łaskę wysyłając na śmierć do owych „studni”. Mógł się tam tylko nudzić i głodować, lecz mając niecny charakter pewnie sobie często powtarzał: *Dum vita superest, bene est*¹⁹.

Widziałem w Spielbergu na Morawach cele pod pewnym względem jeszcze straszliwsze: z litości wtrącano tam ludzi skazanych na śmierć, a żaden z nich nie przeżył nawet roku. Ładne miłosierdzie!

Przez dwie śmiertelnie długie godziny oczekiwania, wydany na pastwę najczarniejszych myśli i najokropniejszych przewidywań, oczywiście widziałem się także wtrąconym do tych przeraźliwych lochów, strasznego miejsca, gdzie nieszczęsny więzień żyje chimerycznymi nadziejami i gdzie zżera go paniczny i nierozsądny strach. Trybunał, władający najodleglejszymi zakątkami pałacu, łatwo mógł wysłać do piekła kogoś, kto usiłował uciec z czyścica. W końcu usłyszałem szybkie kroki i niebawem ujrzałem przed sobą Wawrzyńca z obliczem wykrzywionym wściekłością, pieniącego się i bluźniącego Bogu i wszystkim świętym. Zaczął od tego, że rozkazał mi oddać siekiere i narzędzia, którymi posługiwałem się dla przebicia podłogi, i wyjawić, od jakiego zbira je dostałem. Nie ruszając się z miejsca, z zimną krwią odparłem, że nie rozumiem, o czym mówi. Usłyszawszy to kazał mnie zrewidować, ale ja zerwałem się z fotela i stanąłem w groźnej postawie. Po chwili zaś zrzuciłem z siebie ubranie mówiąc:

– Czyńcie swoją powinność, lecz niech żaden tknąć się mnie nie waży!

Przetrzęsneli materac, opróżnili siennik, obmacali poduszki fotela i nic nie znaleźli.

– Pan nie chcesz powiedzieć, gdzie są narzędzia, którymi wydłubałeś otwór, ale znajdziemy sposoby, aby cię zmusić do mówienia.

– Jeżeli naprawdę gdzieś tam jest otwór, to powiem, że to od ciebie dostałem narzędzia i że je tobie oddałem!

Na tę groźbę, która wywołała uśmiech aprobaty na twarzach towarzyszących mu ludzi, prawdopodobnie zgniewanych jakimiś obelgami, Wawrzyniec tupnął nogą, schwycił się za głowę i wybiegł jak szalony. Tymczasem jego ludzie poszli i przynieśli mi wszystkie moje rzeczy prócz kawałka marmuru i lampy. Wawrzyniec zaś, nim wyszedł z korytarza i już po zamknięciu mojej celi, zamknął też oba okna, przez które wpadał świeży powiew. Zostałem więc uwięziony w ciasnej i dusznej celi, odcięty od dopływu powietrza. Ale niezbyt się tym przejąłem, bo muszę przyznać, że tanio się wykpiłem. Mimo całej znajomości swego fachu, Wawrzyniec na szczęście nie domyślił się, iż należałoby dokładnie przetrząsnąć fotel. Tak więc zachowawszy swój sztylet, gorąco podziękowałem za to Opatrzności, albowiem wciąż uważałem, że los zesłał mi owo narzędzie, abym przy jego pomocy wcześniej czy później odzyskał wolność.

Przez całą noc nie zmrużyłem oka, bo częściowo upała, a częściowo strapienie nie dały mi spać. O świcie zjawił się Wawrzyniec z jakimś obrzydliwym winem i wodą, których nie można było przełknąć. Reszta także była nielepsza: sałata zwiędła, mięso cuchnące, a chleb twardszy od angielskich sucharów.

Wawrzyniec nie pozwolił też sprzątnąć celi, a kiedy poprosiłem go, aby otworzył okna, udał, że nie słyszy. Jeden ze zbirów, uzbrojony w żelazny drąg, zaczął ostukiwać ściany i podłogę, zwłaszcza deski pod moim łóżkiem. Patrzyłem na to obojętnym okiem, ale dostrzegłem, że nawet nie dotknął pułapu... A więc tamtędy – powiedziałem sobie – wyjdę z tego

¹⁹ Dum... – Póki życia, póty dobrze.

piekła. Jednak ów zamiar rokował nadzieję tylko wtedy, gdyby się nań odpowiednio złożyły warunki, bo musiałem strzec się wszystkiego, co mogło wpaść w oczy. Cela była nowiutka i nawet najmniejsze zadrapanie nie uszłoby uwagi zbirów. Dzień straszliwie dał mi się we znaki, bo w celi było duszno i gorąco jak w piecu, a przy tym nie mogłem przelknąć nawet kęsa z tego, co dostałem. Głód i poty tak mnie osłabiły, że nie mogłem ani chodzić, ani czytać. Nazajutrz obiad był równie podły: cielecina, którą ów łajdak przyniósł, tak śmierdziała, że aż mnie odrzuciło, ledwie ją tknął.

– Czy kazano ci – zapytałem – zamorzyć mnie głodem i tym piekielnym żarem?

Zamknął celę nie odpowiedziawszy słowa. Nazajutrz doświadczyłem takiegoż traktowania. Zażądałem więc papieru i ołówka, ażeby napisać do sekretarza, ale Wawrzyniec i tym razem zbył mnie milczeniem.

Zrozpaczony zjadłem zupe, a później chlebem maczanym w cypryjskim winie postanowiłem dodać sobie siły, aby nazajutrz pomścić się na Wawrzyńcu i wbić mu sztylet w gardło. Wiedziony wściekłością sądziłem, że nie mam już innego wyjścia. Noc jednak przyniosła pewne uspokojenie, toteż nazajutrz, ledwie ów oprawca otworzył drzwi do celi, oznajmiłem mu tylko, że zabiję go natychmiast po odzyskaniu wolności. Roześmiał się na tę groźbę i wyszedł bez słowa. Zacząłem przypuszczać, że działa tak na rozkaz sekretarza, któremu pewnie wyjawiał wszystko. Nie wiedziałem, co począć. Przechodziłem od determinacji do rozpacz. Byłem w strasliwym położeniu. Zdawało mi się, że umieram z wycieńczenia. Wreszcie przy końcu tygodnia piorunującym głosem, z wściekłością w sercu i w obecności zbirów, zaszczycając Wawrzyńca szlachetnym mianem ohydnego kata kazałem mu zdać rachunek z moich pieniędzy. Odparł krótko, że otrzymam go jutro. A gdy zabierał się do wyjścia, porwałem kubek, jak bym chciał wychlusnąć zawartość na korytarz. Wówczas, uprzedzając mój zamiar, kazał jednemu ze zbirów wziąć kubek i w obawie przed infekcją otworzył okno na czas tej wstrętnej ceremonii, lecz mimo moich głośnych protestów zamknął je zaraz po skończonej operacji. Uważając, że tę nieprzyjemną, lecz konieczną usługę zawdzięczam moim wymysłom, postanowiłem jeszcze ostrzej wystąpić nazajutrz. Ale gdy się znów pokazał, odeszła mnie wściekłość, bo zanim przedstawił rachunek z pieniędzy, wręczył mi koszyk cytryn przesłanych przez pana de Bragadin, wielką butlę z wodą – jak stwierdziłem, nadającą się do picia – oraz smakowitą i bardzo apetyczną smażoną kurę. Prócz tego jeden ze zbirów natychmiast otworzył oba okna. Kiedy więc Wawrzyniec przedstawił mi rachunek, spojrzałem tylko na końcową sumę i kazałem mu jednego cekina wypłacić zbirom, których przyprowadził do posług, a resztę podarowałem jego żonie. Ta niewielka zresztą wspaniałomyślność ujęła owych biedaków i dziękowali mi za nią wylewnie.

Wawrzyniec umyślnie zostawszy sam na sam ze mną, tak mnie zapytał:

– Mówiłeś pan, że to ja ci dałem konieczne narzędzia do wydłubania takiej olbrzymiej dziury, dlatego o nic więcej nie pytam. Ale powiedzże mi pan, z łaski swojej, kto ci dostarczył tego, co było potrzeba dla zrobienia lampy?

– Też pan, Wawrzyńcze.

– Teraz już jestem całkiem głupi, bo nie wiedziałem, że rozum i czelność to jedno.

– Nie kłamie. Pan własnymi rękami dawałeś mi wszystko, czegom potrzebowałem: oliwę, krzesiwo, siarczki. Resztę już miałem.

– Racja, ale czy zdoła mnie pan tak samo łatwo przekonać, że dostarczyłem panu narzędzi dla wywiercenia otworu?

– Oczywiście, bo przecież wszystko dostaję przez ciebie.

– Wielki Boże! Co ja słyszę! Niechże mi pan powie, jak dostarczyłem panu siekierę?

– Powiem wszystko i powiem prawdę, lecz jedynie w obecności sekretarza.

– Nie chcę już o niczym słyszeć i wierzę panu. Proszę, nie mów pan aby nic nikomu, bo przecież pan wie, że jestem biednym człowiekiem i mam dzieci.

Wyszedł trzymając się obiema rękami za głowę.

Winszowałem sobie z całego serca, że potrafiłem przestraszyć nicponia; wiedziałem, że o tym, co zaszło, we własnym interesie nic nie powie swoim przełożonym.

Kazałem też kupić dzieła księdza Maffei. Wydatek wcale mu się nie podobał, ale nie odważył mi się z tym zdradzić. Zapytał tylko, po co mi książki, skoro mam ich tak wiele.

– Przeczytałem wszystkie i potrzebuję nowych.

– Pożyczę je dla pana od kogoś, kto tu siedzi, jeżeli pan zgodzisz się w zamian pożyczyć swoje. To panu oszczędzi wydatku.

– Pewnie chodzi o jakieś romanse, których nie czytuję.

– Nie, to są książki naukowe; niech pan nie myśli, że pan jest jedynym mądrym, który tu siedzi.

– No, dobrze, zobaczymy. Proszę, oto książka, którą pożyczam jakiemuś mądrymu. Proszę przynieść coś w zamian.

Dałem mu „Rationarium” Petaviusa, a on w parę minut później przyniósł tom Wolfa. Dość z tego zadowolony powiedziałem, że rezygnuję z dzieł księdza Maffei, czym sprawiłem mu dużą przyjemność.

Znacznie bardziej ciesząc się z możliwości korespondowania z kimś, kto mógłby sekundować mi w moich planach ucieczki, w tych planach, które sobie umyśliłem, niż z rozrywki, jaką wyciągnąłbym z tej uczonej lektury, zaraz po wyjściu Wawrzyńca otworzyłem książkę i uradowałem się niezmiernie odczytawszy na jednej ze stron parafrazę słów Seneki: *Calamitosus est animus futuri anxius*²⁰, ujętą w sześć zgrabnych wierszy. Natychmiast ułożyłem inne, a oto, na jaki genialny pomysł wpadłem, aby je napisać: na małym palcu już uprzednio wypieczętowałem sobie długi paznokciec, aby nim wydłubywać woskowię z ucha, teraz więc zaciąłem, go ostro, zamieniając w pióro. Sądziłem już, że przyjdzie mi zakłuć się w palec i pisać krwią, kiedy pomyślałem sobie, iż sok morwowy doskonale zastąpi atrament, którego nie miałem. Prócz owych sześciu wierszy spisałem też posiadane książki, a spis wsadziłem do okładki wspomnianego tomu. Trzeba wiedzieć, że we Włoszech książki na ogół oprawia się w pergamin i to tak, iż po ich otwarciu okładka tworzy jakby kieszeń. Obok tytułu nakreśliłem słowo: *latet*²¹. Pilno było mi otrzymać odpowiedź, toteż nazajutrz, ledwie Wawrzyniec wszedł, oznajmiłem mu, że przeczytałem książkę i proszę tego, co mi ją pożyczył, o jakąś inną. W parę chwil potem istotnie przyniósł mi następny tom.

Gdy zostałem sam, otworzyłem książkę i znalazłem w niej luźną kartkę pisaną po łacinie i zawierającą takie słowa: „Jesteśmy we dwóch zamknięci w jednej celi i radujemy się niezmiernie, że dzięki głupocie chciwego klucznika zaznajemy nie spotykanego w tym miejscu przywileju. Te słowa kreśli szlachetnie urodzony Wenecjanin, Marino Balbi, braciszek somaski, którego współtowarzyszem jest hrabia Andrzej Asquin z Udine, stolicy prowincji Friul. Prosi mnie on, aby pana powiadomić, że wszystkie jego książki, których spis znajduje się w grzbiecie tego tomu, są do pańskiej dyspozycji. Jednak uprzedzamy pana, że musimy uciec się do jak największej ostrożności, aby ukryć przed Wawrzyńcem ten nasz kontakt”.

Nie dziwiłem się, że w sytuacji, w jakiej byliśmy, wpadliśmy na ten sam pomysł: wymiany i ukrycia w okładce książki spisów naszych szczupłych bibliotek. To było logiczne. Natomiast dziwiło mnie, że radę zachowania ostrożności przesłano mi na luźnej kartce. Nie obrażałem sobie, aby Wawrzyniec nie otworzył tej książki, a w tym wypadku na pewno widziałby ową kartkę, a że nie umiał czytać, włożyłby ją do kieszeni, by ktoś potem zapoznał go z jej treścią! Wtedy wszystko zostałoby odkryte w zarodku. To kazało mi przypuszczać, że mój korespondent był skończonym pustogłowem.

Przejrzałem spis książek, napisałem, kim jestem, jak mnie aresztowano, że nie wiem, o co mnie oskarżają, i wyraziłem nadzieję, iż niebawem zostanę zwolniony. Balbi natychmiast odpisał na szesnastu stronach. Hrabia Asquin natomiast nic nie napisał. Mnich Balbi zdał mi

²⁰ Calamitosus... – Nieszczęśliwy jest człowiek, który się lęka przyszłości.

²¹ Latet – ukryte

relację ze wszystkich swoich nieszczęść. Siedział tu już od czterech lat więziony za to, że cieszył się względami trzech młodych dziewcząt, które obdarzyły go trojgiem dzieci, on zaś w swojej naiwności ochrzcił je pod własnym nazwiskiem. Za pierwszym razem skończyło się tylko na porządnej burze od przeora, za drugim – zagrożono mu karą, a za trzecim – zamknięto w więzieniu.

Opisał mi też historię wszystkich obecnych więźniów Pod Ołowianym Dachem jak i tych, co tu siedzieli w czasie owych czterech lat, które tu spędził. Zdradził, że jeden ze zbirów, Mikołaj, w tajemnicy załatwia mu zakupy, podaje nazwiska nowych więźniów i to, co o nich wie. A chcąc mnie o tym przekonać, powtórzył wszystko, co słyszał o mojej próbie ucieczki. Wyjaśnił też, że do nowej celi przeniesiono mnie za wstawiennictwem patrycjusza Priuli, że Wawrzyniec aż dwie godziny łątał wywiercony przeze mnie otwór i że pod karą śmierci zabronił stolarzowi, ślusarzowi i wszystkim zbirom pisać o tym choć słówkiem. Mikołaj miał też dodać, że jeszcze jeden dzień i Casanova byłby zbiegł w sposób genialny, co dla Wawrzyńca skończyłoby się stryczkiem, bo choć zdziwił się ogromnie na widok otworu, nie może być wątpliwości, że to on i nikt inny dostarczył narzędzi do tak trudnej pracy...

Balbi, zapewniwszy mnie o swojej dyskrecji, prosił, abym wszystko opisał szczegółowo i wyjawiał mu, w jaki sposób sprokurowałem sobie potrzebne narzędzia. Ta ciekawość nie budziła we mnie żadnych wątpliwości, natomiast nie wierzyłem w jego dyskrecję, tym bardziej że podobna prośba charakteryzowała go jako najbardziej niedyskretnego z ludzi. Osądziłem jednak, że trzeba się z nim liczyć, bo brałem go za człowieka tak twardego, że nie cofnie się przed niczym, co by mi pomogło w ucieczce. Zasiadłem więc do układania odpowiedzi, ale pewne małe podejrzenie, które się nagle we mnie zbudziło, kazało mi powstrzymać się z jej wysłaniem. Pomyślałem sobie mianowicie, że owa korespondencja może być podstępem ze strony Wawrzyńca: że w ten sposób próbuje dowiedzieć się, kto mi dostarczył narzędzi i co z nimi uczyniłem. Ażeby więc zaspokoić ciekawość mnicha nie podrywając do siebie zaufania, napisałem mu, że otwór wydlubałem mocnym nożem, który ukryłem na parapecie okna w korytarzu. To kłamstwo już na trzeci dzień całkowicie rozwiało moje podejrzenia, bo Wawrzyniec nawet nie zajrzał na wspomniany parapet, a niewątpliwie uczyniłby to, gdyby był przejął mój list. Zresztą, jak wynikało z odpowiedzi ojca Balbi, wiedział on, że mogłem posiadać ten wielki nóż, bo Wawrzyniec mówił mu, że nie byłem rewidowany przed zamknięciem w celi... Balbi zakończył swój list prośbą o przesłanie owego noża przez Mikołaja, któremu mogę całkowicie zaufać.

Zdumiała mnie owa lekkomyślność. Odpisałem, że nie mam najmniejszego zaufania do Mikołaja i że moja tajemnica jest z gatunku tych, których nie mogę powierzyć papierowi.

Skoro rozwiały się już moje podejrzenia, zacząłem tak oto rozumować: za każdą cenę pragnę odzyskać wolność, a choć mój sztylet jest ze wszech miar doskonały, nie mogę się nim posłużyć, bo co ranka jeden ze zbirów żelaznym prętem opukuje cele nie ruszając tylko sufitu, zatem jedynie tamtędy wiedzie moja droga, jeżeli w ogóle chcę się stąd wydostać. Do tego jednak potrzebny jest otwór, którego nie zdołam przebić od dołu, bo na to jednego dnia za mało. Muszę mieć jakiegoś pomocnika, który mógłby przy tym uciec wraz ze mną. Nie miałem wielkiego wyboru i siłą rzeczy musiałem się zdecydować na mnicha. Miał trzydzieści osiem lat i chociaż mu nie zbywało na rozumie, sądziłem, że umiłowanie wolności, ta pierwsza potrzeba człowieka, przysporzy mu dość siły ducha, by wykonywał wszystkie moje zlecenia. Należało zaś zacząć od tego ażeby się na niego zdać całkowicie i wymyślić jakiś sposób przekazania mu sztyletu. Obie te rzeczy nie były łatwe.

Rozpocząłem od tego, że zapytałem go, czy tęskni do wolności i czy gotów jest porwać się na wszystko, aby wraz ze mną postarać się ją odzyskać. Odpisał, że on jak i jego towarzyszy zdecydowani są na każdy wysiłek dla zerwania łańcuchów, ale dodał, że nie ma po co łamać sobie głowy nad nieziszczalnymi planami. Na czterech bitych arkuszach wyliczał trudności, które mu podpowiedział jego ciasny umysł, albowiem biedak nie widział najmniejszego cie-

nia nadziei na powodzenie ucieczki. Z kolei odpowiedziałem, że nic mnie nie obchodzą przeszkody ogólniejszej natury i że układając mój plan zastanawiałem się jedynie nad bezpośrednimi trudnościami, a te przezwyciężę. Na zakończenie dałem mu słowo honoru, że go uwolnię, jeśli zgodzi się być ślepo posłuszny. Przyrzekł to.

Wyjaśniłem mu, że mam sztylet długości dwudziestu cali. Posługując się nim powinien wybić dziurę w ścianie swojej celi, następnie przebić dzielący nas mur, przez ten otwór przedostać się nad moją celę, potem przedziurawić jej sufit i wreszcie pomóc mi wydostać się na zewnątrz. „I na tym skończy się zadanie wielebnego ojca, a zaczniesz moje. Uwolnię was obu”.

Odpisał mi wówczas, że nawet gdy wydobędzie mnie z celi, pozostanę jednak w więzieniu, a w naszej sytuacji zajdzie tylko taka zmiana, że obaj będziemy na szerszej przestrzeni. Po prostu będziemy na poddaszu zamkniętym trzema mocnymi drzwiami.

„Wiem o tym, wielebny księżu – odpisałem – lecz uciekniemy wcale nie przez drzwi. Ułożyłem już sobie plan ucieczki i jestem pewny sukcesu. Domagam się tylko ścisłego trzymania się moich wskazówek i ślepego posłuszeństwa. Proszę jedynie o zastanowienie się, jak najlepiej przesłać księdzu narzędzie, ów klucz do naszej wolności, tak, by ten, co je doręczy, niczego się nie domyślił. A tymczasem niech ksiądz każe Wawrzyńcowi kupić ze czterdzieści świętych obrazów tak wielkich, by nimi wylepić swoją celę od góry do dołu. Nie wzbudzą one żadnych podejrzeń, a pozwolą zakryć dziurę. Kilka dni zejdzie na wybijaniu jej, rankiem zaś Wawrzyniec nie zobaczy, czego ksiądz wczoraj dokonał, bo ksiądz to zasłoni jakimś obrazem. A jeśli ksiądz chce wiedzieć, czemu tego sam nie robię, wyjaśnię, iż będąc podejrzany znajduję się pod obserwacją, i to chyba wyda się księdzu rozsądnym usprawiedliwieniem.” Wprawdzie zalecałem księdzu Balbi, aby się zastanowił, jak mu przesłać mój sztylet, jednak sam nad tym także łamałem sobie głowę, aż w końcu wpadłem na szczęśliwy pomysł, którego się zaraz uchwyciłem. Kazałem Wawrzyńcowi kupić Biblię *in folio*, która właśnie wyszła z druku... Miałem nadzieję, iż uda mi się ukryć sztylet w grzbiecie oprawy tej wielkiej księgi i w ten sposób przesłać go mnichowi. Aliści po otrzymaniu Biblii przekonałem się, że sztylet jest o jakieś dwa cale od niej dłuższy. Tymczasem Balbi dał mi znać, że już wytapetował obrazami celę, a ja zakomunikowałem mu swój pomysł z Biblią i powiadomiłem o kłopotach wynikających z różnych długości obu przedmiotów. Rad, że może zabłysnąć rozumem, szydząc z mojej niezaradności napisał, że wystarczy owinać sztylet w lisią pelisę-i tak mu go przesłać. Pisał, że Wawrzyniec już im opowiadał o tym wspaniałym futrze, toteż nie powstaną żadne podejrzania, jeżeli hrabia wyrazi chęć obejrzenia pelisy pod pozorem, że chce nabyć taką samą. „Wystarczy przesłać futro zwinięte, Wawrzyniec go nie rozwinie”.

Byłem pewien wręcz czegoś innego. Przecież o wiele trudniej nieść futro zwinięte niż rozwinięte, jednak aby nie zniechęcać mnicha, a zarazem przekonać go, że nie jestem takim lekkoduchem jak on, napisałem, by zażądał pelisy. A gdy Wawrzyniec poprosił o nią nazajutrz, dałem mu ją zwiniętą w kłębek, lecz bez sztyletu. W kwadrans potem odniósł mi pelisę mówiąc, że owi panowie bardzo się nią zachwycali.

Od mnicha dostałem zbolały list, w którym przyznawał się, iż udzielił mi złej rady, ale dodał, że niepotrzebnie jej usłuchałem. Sądził, że sztylet przepadł, bo Wawrzyniec przyniósł pelisę rozwiniętą. Uważał więc biedak, że cała nadzieja stracona. Pocieszyłem go prostując to mniemanie i doradziłem większą oględność w radach. Trzeba było jednak jakoś tę rzecz załatwić, toteż nieodwołalnie postanowiłem przesłać mój sztylet pod osłoną Biblii, używając jednak przy tym jeszcze czegoś dodatkowego, co przeszkodziłoby niosącemu przyglądać się krańcom olbrzymiego tomu. I oto, co zrobiłem:

Powiedziałem Wawrzyńcowi, że chciałbym uczcić dzień świętego Michała makaronem z serem oraz że w uznaniu wielkiej szlachetności tego, który łaskawie pożycza mi swoich książek, pragnąłbym i dla niego przyrzadzić osobiście duży półmisek makaronu. Wawrzyniec zaś

powiadomił mnie, że ci panowie chcieliby przeczytać ową wielką księgę, która kosztowała trzy cekiny. I tak sprawa została ułożona.

– Świetnie – powiedziałem – prześlę ją im wraz z makaronem, przynieś mi tylko z domu największy półmisek, bo chciałbym zrobić coś imponującego.

Obiecał mi to załatwić zgodnie z moim życzeniem. Wtedy owinąłem sztylet w papier, wsadziłem w grzbiet Biblii tak, aby z obu stron wystawał jednakowo, licząc, że gdy postawię na niej wielki półmisek z makaronem, skąpanym w maśle, Wawrzyniec nie dostrzeże, iż coś sterczy po bokach, bo będzie musiał uważać, aby nie rozlać tłuszczu na księgę. Uprowadziłem ojca Balbi o wszystkim, zalecając ostrożność przy odbieraniu półmiska i wskazując na konieczność wzięcia obu rzeczy razem, nie kolejno.

W oznaczonym dniu Wawrzyniec zjawił się wcześniej niż zwykle, z kotłem ugotowanego makaronu i ze wszystkimi przyprawami. Roztopiwszy sporą porcję masła polałem nim makaron wyłożony na półmisku tak hojnie, że podeszło aż pod brzegi. Olbrzymi półmisek znacznie przekraczał wielkość Biblii, na której go postawiłem, i wystawał za brzegi. Wszystko to działo się wewnątrz celi, a Wawrzyniec czekał za drzwiami.

Skończywszy podniosłem ostrożnie Biblię z półmiskiem, umyślnie odwróconą grzbietem do niosącego, i kazałem Wawrzyńcowi nieść to na wyciągniętych przed siebie rozstawionych ramionach, szybko dostarczyć na miejsce i uważać przy tym, aby tłuszcz nie wychlapnął. Przekazując mu ciężar, utkwilem wzrok w jego oczach i z radością dostrzegłem, że nie odrywa spojrzenia od płynnego masła w obawie, aby go nie rozlać. Próbował wytłumaczyć mi, że lepiej wpierw zanieść półmisek, a potem wrócić po książkę, wyjaśniłem mu jednak, że wówczas cały prezent nie będzie miał już takiego znaczenia i że wszystko musi być razem zaniezione. Poskarżył się wtedy, że omaściłem makaron za szczodrze i oświadczył, że nie może odpowiadać za szkodę, jeśli się trochę tłuszczu wychlapnie.

Z chwilą kiedy ujrzałem Biblię na jego rękach, nabrałem pewności, że podstęp się udał, albowiem sztylet wcale nie wystawał spod półmiska. Mógłby się wysunąć, gdyby Wawrzyniec przechylił niesiony ciężar, co uważałem za niemożliwe, bo za żadne skarby świata nie odwróciłby wzroku od półmiska, który musiał przez cały czas utrzymywać w idealnej równowadze. Odprowadziłem go oczami aż do drzwi celi, w której siedział mnich, a ów umówionym sygnałem, trzykrotnym wytarciem nosa, dał mi znać, że przesyłkę odebrał w porządku, co zresztą Wawrzyniec potwierdził parę chwil później.

Balbi od razu zabrał się do rzeczy i w tydzień udało mu się wydłubać w suficie odpowiednio wielką dziurę, którą zakrył podobizną jakiegoś świętego, przylepioną miększym chleba. 8 października napisał mi, że przez całą noc mozolił się przy oddzielającym nas murze i udało mu się wydłubać tylko nieduży kawał. Z przesadą pisał o trudnościach, jakie mu się nasuwają przy rozdzielaniu mocno spojonych cegieł, obiecywał jednak wytrwałość, wciąż zaznaczając, że ucieczka nie uda się i że tylko pogorszymy naszą sytuację. Odpowiedziałem, iż zupełnie nie podzielam jego zdania, że powinien mi ufać i nie ustawać w pracy.

Niestety! Niczego nie byłem pewien, musiałem jednak tak postępować lub też zupełnie wyrzec się nadziei. Chciałem wyjść z piekła, w którym trzymała mnie najstraszniejsza z tyranii. Nie obchodziło mnie nic więcej i myślałem tylko o tym, aby krok po kroku posuwać się naprzód z twardym postanowieniem zwyciężenia lub też zatrzymania się tylko wtedy, kiedy znajdę się przed barierą nie do przebycia.

Praca ojca Balbi była taka ciężka jedynie pierwszej nocy, bo im dłużej pracował, tym łatwiej mu szło, toteż niebawem przekonał się, że wyjął z muru trzydzieści sześć cegieł.

W dniu 16 października, kiedy o godzinie 10 rano zajęty byłem przekładem którejś ody Horacego, usłyszałem nad głową jakiś ruch i trzy krótkie stuknięcia. Był to umówiony między nami znak, że wszystko idzie dobrze. Balbi pracował aż do wieczora, a nazajutrz napisał, że jeżeli mój sufit składa się tylko z dwóch pokładów desek, dziś jeszcze upora się z zadaniem. Zapewniał, że dołoży starań, aby otwór miał kształt okrągły, zgodnie z moim zalece-

niem, i że nie przebije sufitu na wylot. Zwłaszcza to było ważne, albowiem najmniejszy nawet ślad otworu mógłby wydać nasze zamiary.

„Tak głęboko wydrążę deskę – zawiadamiał – że wystarczy kwadrans, aby ją przebić do reszty.”

Postanowiłem, że pojutrze w nocy wyjdę z celi, aby już do niej nie wrócić, albowiem byłem przekonany, że we dwóch zdołamy w trzy, cztery godziny przebić dach Pałacu Dożów, wydostać się nań i stamtąd już, wykorzystując każdy szczęśliwy traf, zejść na ziemię.

Ale nim do tego doszło, zły los przygotował mi jeszcze jedną przeszkodę. Owego dnia, a było to w poniedziałek, o godzinie drugiej po południu, wówczas gdy ojciec Balbi pracował w najlepsze, usłyszałem, iż otwierają się drzwi pomieszczenia sąsiadującego z moją celą. Krew zastęła mi w żyłach, ale miałem jeszcze dość przytomności umysłu, aby dwoma umówionymi stuknięciami zaalarmować ojca Balbi, który winien był zaraz powrócić przez dziurę w murze do swojej celi i zatrzeć wszystkie ślady. W następnej minucie Wawrzyniec otworzył drzwi i przepaszając oznajmił, że musi mi dodać bardzo podłego kompana. Był to mężczyzna w wieku między czterdziestką a pięćdziesiątką, niski, chudy, brzydki, licho ubrany, w czarnej krągłej peruce. Lustrowałem go uważnie, podczas gdy obaj zbirzy rozwiązywali mu ręce. Nie miałem wątpliwości, że to skończony łotr, a zresztą Wawrzyniec bez ogródek tak mi go zaprezentował, co na nim nie wywarło najmniejszego wrażenia.

– Trybunał – odparłem – władny jest robić, co mu się podoba.

Wawrzyniec kazał wnieść siennik dla nowego więźnia i oznajmiwszy mi, że na jego utrzymanie wyznaczono dziesięć soldów dziennie, wyszedł i zaniknął drzwi.

Pragnąc pozyskać sobie tego nicponia, powiedziałem mu, że będzie jadał ze mną. Pocałował mnie wtedy w rękę i zapytał, czy mimo to otrzyma owe dziesięć soldów wyznaczonych przez Trybunał. Odparłem, że tak. Usłyszawszy to padł na kolana, wyciągnął z kieszeni olbrzymi różaniec i zaczął rozglądać się po kątach.

– Czego pan szukasz?

– Proszę mi wybaczyć, dobry panie, ale szukam jakiegoś obrazu Matki Boskiej, bo jestem chrześcijaninem. Och, gdybyż tu był bodaj najmniejszy krucyfiks, bo nigdy jeszcze nie czułem takiej potrzeby polecenia się świętemu Franciszkowi z Asyżu, którego imię niegodnie noszę!

Z trudem powstrzymałem się od śmiechu, nie z powodu jego pobożności, bo wiara i sumienie to sprawy jak najbardziej osobiste, lecz z formy tej uwagi. Osądziłem, że bierze mnie za Żyda, i aby rozwiać jego wątpliwości, dałem mu co prędzej nowennę do Matki Boskiej, a on ucałowawszy święty obrazek oddał mi ją mówiąc skromnie, że jego ojciec, nadzorca galerników, nie nauczył go czytać.

– Należę do bractwa różańcowego – wyjaśnił i zabrał się do opowiadania wielu cudów, których wysłuchałem z anielską cierpliwością, a gdym go zapytał o powód uwięzienia, opowiedział mi taką historię:

– Nigdy nie myślałem o niczym innym, tylko o chwale Naszego Pana, Świętej Republiki i o posłuszeństwie wobec prawa. Zawsze czujny na machinacje wszelkiego rodzaju łotrów, zaprzątniętych jedynie oszustwem i spiskowaniem przeciwko swoim władcom, niezmordowanie usiłowałem wykryć ich knowania i zawsze wiernie powiadamiałem Messer Grande o wszystkim, co doszło moich uszu. Prawda, że brałem za to pieniądze, ale o wiele większą radość od zapłaty sprawiała mi świadomość, iż służę chwale naszego świętego Marka. Zawsze śmieszył mnie pogląd tych, co zawód szpiega uważają za hańbiący... Pod tym względem mojego zapału nie studziła przyjaźń, która może ma jakiś wpływ na innych, a cóż dopiero mówić o tym, co ludzie nazywają wdzięcznością. Nieraz chcąc wywiedzieć się ważnej tajemnicy, przysięgałem, że jej nie zdradzę, i natychmiast skrupulatnie powtarzałem komu należy. Mogłem to robić z czystym sumieniem, bo mój spowiednik, pewien świątobliwy jezuita, wyjaśnił mi, że żadna przysięga nie obowiązuje, gdy nie zamierzało się jej dochować i gdy cho-

dzi o dobro ogółu... Otóż od trzech tygodni obserwowałem na Isoli, maluteńkiej wysepce, na której mieszkam, jakieś wyjątkowe konszachty między kilkoma notablami naszego miasteczka. Wiedziałem, że są niezadowoleni z rządu, a to z powodu jakowejś kontrabandy przyłapanej i skonfiskowanej, za którą najmożniejsi z tej grupki mieli odcierpieć karę więzienia. Do wspomnianego spisku należał też pierwszy kapelan na wyspie, poddany austriacki. Spiskowcy zbierali się wieczorami w jednej z izb szynkowni, gdzie stało łóżko. Pili tam i gadali, a potem się rozchodzili. Postanowiwszy wykryć ich znowę, któregoś dnia, kiedy byłem pewien, że nikt mnie nie obserwuje, zdobyłem się na odwagę i schowałem pod łóżkiem. Przed wieczorem przyszedli spiskowcy i zaczęli rozmawiać; mówili między innymi, że Isola nie podlega jurysdykcji świętego Marka, lecz Triestu, bo nie może być uważana za część wenecjańskiej Istrii. Kapelan powiedział prowodyrowi spiskowców, niejakiemu Piotrowi Paolo, że jeżeli podpiszą petycję, to on osobiście uda się do ambasadora cesarstwa, i że wtedy cesarzowa nie tylko zagarnie miasteczko, ale jeszcze wyznaczy im jakąś nagrodę. Wszyscy oświadczyli zgodnie, że chętnie złożą podpisy, a kapelan obiecał przynieść im nazajutrz to pismo i zaraz potem dostarczyć je tutaj ambasadorowi.

Ja zaś postanowiłem natychmiast zniweczyć ich podły zamysł, mimo że jeden ze spiskowców był moim kumem i że przez to duchowe pokrewieństwo winien był dla mnie znaczyć więcej niż rodzony brat.

Jeszcze tej samej nocy odpłynąłem stateczkiem i nazajutrz przed południem przybyłem tutaj. Kazałem sobie napisać nazwiska spiskowców i zaniósłem je sekretarzowi Trybunału zdając mu jednocześnie sprawę ze wszystkiego, com słyszał. Kazał mi wtedy udać się nazajutrz z samego rana do Messer Grande, a ten da mi człowieka, z którym mam wrócić na Isolę i tam pokazać mu kapelana, prawdopodobnie wciąż jeszcze przebywającego na miejscu. „I na tym – dorzucił prześwietny sekretarz – już się kończy twoja rola.”

Zrobiłem, jak mi kazał, i gdy już wskazałem kapelana człowiekowi Messer Grande, zająłem się swoimi sprawami.

Po obiedzie przywołał mnie kum, bym go ogolił, bo jestem balwierzem. A kiedy uporałem się z tym, poczęstował mnie szklaneczką wspaniałego *refosco* i paroma kawałeczkami kielbasy, którą przyjaźnie spożył wraz ze mną. Wówczas porwany nagłą czułością chwyciłem go za rękę i gorzko płacząc radziłem, aby się nie zadawał z kanonikiem, a przede wszystkim, by nie podpisywał tego pisma, o którym wie. Odparł na to, że kanonik tyle go obchodzi, co każdy inny, i zapewnił, że nic nie wie o żadnym piśmie. Roześmiałem się mówiąc, że to był tylko żart, i wyszedłem zły na siebie, iż dałem się ponieść czulemu sercu, które kazało mi popełnić tak wielkie głupstwo. Nazajutrz nie widziałem już ani tego człowieka, z którym przyjechałem, ani kapelana, a w tydzień później, kiedy przyjechałem tutaj i udałem się do Messer Grande, ten od razu kazał mnie zamknąć. Teraz dziękuję świętemu Franciszkowi za to, że znalazłem się w towarzystwie prawego chrześcijanina, co tu siedzi zamknięty dla powodów, których znać nie chcę, nie będąc człowiekiem ciekawym. Nazywam się Soradaci.

Zadrzałem na myśl, z jakim łajdakiem los mnie połączył, jednak zdając sobie sprawę z drażliwości mojej sytuacji i czując, że należy postępować oględnie, z jezuicką przebiegłością udałem współczucie, gorąco pochwaliłem patriotyzm owego nicponia i wyraziłem przypuszczenie, że niebawem odzyska wolność. A gdy po kilku minutach usnął, skorzystałem z tego, aby wszystko opisać ojcu Balbi i wskazać mu konieczność odłożenia naszych wysiłków do bardziej sprzyjającego momentu.

Nazajutrz kazałem Wawrzyńcowi kupić drewniany krzyż, obraz Matki Boskiej oraz świętego Franciszka i przynieść dwie butelki święconej wody. Soradaci natomiast zażądał od niego swoich dziesięciu soldów, na co Wawrzyńc z pogardliwą miną dał mu ich dwadzieścia. Poza tym kazałem kupić poczwórną ilość wina, czosnku i soli, którymi delectował się mój odrażający kompan. Gdy Wawrzyńc wyszedł, zręcznie wy dostałem z książki list ojca Balbi. Odmalował w nim swoje przerażenie. Uważał, że wszystko stracone, i raz po raz napomykał,

jak się to szczęśliwie stało, że Wawrzyniec zamknął Soradaciego w mojej celi. „Bo – pisał – gdyby go wprowadził do mojej, dostrzegłby, że mnie nie ma, i wówczas «studnia» byłaby nagrodą za nasze trudy.”

Opowiadanie Soradaciego utwierdziło mnie w przekonaniu, że będzie wypytywany, bo wydało mi się jasne, że zamknięto go na skutek podejrzeń o zniesławienie. Dlatego też postanowiłem dać mu dwa listy, które, gdyby je oddano adresatom, nie mogły mi ani pomóc, ani zaszkodzić, natomiast przedstawiłyby mnie w korzystnym świetle, gdyby – o czym nie wątpiłem – ów zdrajca przekazał je sekretarzowi.

Dwie godziny spędziłem na pisaniu ołówkiem tych listów. Nazajutrz Wawrzyniec przyniósł krzyż, dwa święte obrazy, święconą wodę i resztę zakupów. Wówczas, porządnie ucęstowawszy owego łajdaka Soradaciego oznajmiłem, że chcę prosić go o przysługę, od której zależy mój los.

– Liczę – powiedziałem – na pańską przyjaźń do mnie i śmiałość: oto dwa listy, które, proszę, oddaj adresatom zaraz po wyjściu z więzienia. Mój los zależy teraz od tego, czy mi pan dotrzymasz wierności. Musisz dobrze ukryć te listy, bo gdyby je znaleziono, obaj bylibyśmy zgubieni. Przysięgnij na ten krzyż i na te święte obrazy, że mnie nie zdradzisz.

– Gotów jestem, mój dobry panie, przysiąc wszystko, co sobie życzysz, a zbyt wiele panu zawdzięczam, bym mógł za to zdradą odpłacić.

Po tych słowach rozpląkał się, zaczął lamentować i rozpaczać: narzekał że się go podejrzewa o zdradę w stosunku do człowieka, za którego gotów oddać życie. Wiedziałem, co o tym sądzić, ale odegrałem komedię do końca. Oddałem mu więc moją koszulę i szlafmycę i zostałem z gołą głową. Później skropiwszy celę święconą wodą, obficie i długo kropiłem nią także mojego łajdaka i wreszcie kazałem mu złożyć straszliwą przysięgę, przeplataną groźnymi zaklęciami, całkowicie pozbawionymi sensu, które właśnie dlatego powinny były zasiać przerażenie w jego duszy. Gdy zaś w czasie tej farsy przysięgł mi oddać listy adresatom, wręczyłem mu oba. Sam z własnej woli postanowił zaszyć je pod podszewkę na plecach, przeciw czemu nie oponowałem.

Byłem święcie przekonany, że przy najbliższej okazji wręczy listy sekretarzowi, toteż dołożyłem starań, aby ich styl nie zdradził podstępny. Mogły pozyskać mi tylko szacunek Trybunału i – być może – jego względy. Jeden zaadresowałem do pana Bragadina, drugi do księdza Grimani.

Pilnowałem się, aby Soradaci nie powziął podejrzeń, że moje listy są tak niewinne, bo wtedy mogłaby go wziąć ochota uczciwego wywiązania się z obietnicy i oddałby je adresatom, a mnie wcale nie o to chodziło...

ZDRADA SORADACIEGO – SPOSÓB, W JAKI WYKIEROWAŁEM GO NA DURNIA – KSIĄDZ BALBI SZCZĘŚLIWIE KOŃCZY ZADANIE – OPUSZCZAM CELE – NIEWCZESNE REFLEKSJE HRABIEGO ASQUINA – UCIECZKA

Soradaci już od dwóch, trzech dni miał moje listy, kiedy pewnego popołudnia zjawił się Wawrzyniec, aby go zaprowadzić do sekretarza. Nie wracał przez parę godzin, toteż nabrałem nadziei, że już wcale nie wróci. Zdumiałem się więc, gdy go przyprowadzono pod wieczór. A po wyjściu Wawrzyńca mój antypatyczny współtowarzysz wyjaśnił mi, że sekretarz podejrzewa go o uprzedzenie kapelana, bo ów wcale nie poszedł do ambasadora i nie miał też przy sobie żadnego pisma. Mówił nadto że po bardzo długim wypytywaniu zamknięto go w ciasnej

komóreczce, gdzie przesiedział wiele godzin, a następnie znów mocno skrepowano. W tym stanie powtórnie stanął przed sekretarzem, który usiłował nakłonić go do przyznania się, iż zawiadomił kogoś na Isoli, aby kapelan tam nie wracał. Soradaci nie chciał jednak złożyć takiego zeznania, skoro nic podobnego nie mówił. Znużony sekretarz zadzwonił na zbirów i kazał go odprawić do celi.

Zasmuciło mnie to opowiadanie, bo teraz już nie miałem najmniejszej wątpliwości, że ten nędznik długo zostanie ze mną. Będąc zmuszony uprzedzić ojca Balbi o tej nowej przeszkodzie, napisałem do niego w nocy, a że wypadło mi to nieraz robić, wprawilem się w dość dokładne pisanie po ciemku.

Nazajutrz, pragnąc przekonać się o słuszności moich podejrzeń, kazałem szpiegowi oddać mi list do pana Bragadina, pod pozorem, że chcę coś dopisać.

– Potem będziesz pan mógł znów go zaszyć – dodałem.

– To niebezpieczne – odparł – bo Wawrzyniec może wejść akurat w tejchwili i wówczas będziemy zgubieni.

– Nie ma obawy, oddaj mi pan ów list.

Wtedy potwór rzucił mi się do nóg, wyznając, że gdy po raz drugi stanął przed groźnym sekretarzem, poczuł na plecach pod zaszytymi listami nieznośny ciężar i porwały go tak silne dreszcze, że zapytany przez sekretarza, co mu jest, nie miał siły ukryć prawdy. Wówczas na dzwonek zjawił się Wawrzyniec, który go rozwiązał, zdjął mu kaftan i rozpruł podszewkę. Sekretarz zaś po odczytaniu listów wrzucił je do szuflady biurka.

– Powiedział przy tym – dodał nędznik – że gdybym doręczył owe listy, wyszłoby to na jaw i życiem przypłaciłbym swój czyn.

Udałem, że okropnie mną wstrząsnęła ta wiadomość, i zakrywwszy twarz rękami padłem na kolana przed łóżkiem i obrazem Przenajświętszej Marii Panny, uroczyście błagając ją o zemstę nad łajdakiem, który mnie zdradził złamawszy najstraszliwszą z przysiąg. Potem położyłem się na łóżku twarzą do ściany i wytrzymałem w tej pozycji aż do wieczora bez najmniejszego ruchu, bez słowa, udając, że nie słyszę płaczu, krzyków i błagalnych lamentów owego łajdaka. Wspaniale odegrałem rolę w komedii, którą sobie dokładnie ułożyłem. W nocy zaś napisałem do ojca Balbi, aby zjawił się punktualnie o dziewiętnastej, ani minutę wcześniej, ani minutę później, dla dokończenia swojej pracy i ażeby się przy niej trudził przez cztery godziny. Boże broń chwili dłużej. Wyjaśniłem mu, że nasza wolność zawisła od ścisłego wykonania tego polecenia i że nie ma się czego obawiać.

Było to 25 października i zbliżał się czas, kiedy albo powinienem był wykonać swój plan, albo go ostatecznie poniechać. Inkwizytorzy stanu, jak i sekretarz, co roku spędzali trzy pierwsze dni listopada na wsi, na łądzie stałym. Wawrzyniec korzystał z nieobecności przelożonych i upijał się każdego wieczoru bez wyjątku, a sypiając dłużej niż zwykle, dopiero późno zaglądał do więzienia.

Skoro więc o tym wiedziałem, sama przezorność nakazywała wybrać ów czas na ucieczkę, bo byłem pewien, że wyda się ona dopiero bardzo późnym rankiem. Inny jeszcze powód, który mnie skłonił do pośpiechu i uciekania wówczas, kiedy już nie wątpiłem o podłości mojego współtowarzysza, wydaje mi się dość ważny jak na to, bym o nim poinformował moich czytelników.

Największą ulgą człowieka w nieszczęściu jest nadzieja. Wzdycha on do momentu, kiedy ujrzy koniec swojej udreki. Sądzi, że zdoła tę chwilę przyspieszyć gorącym pragnieniem i gotów jest na wszystko, byle poznać ścisłą godzinę, w której zakończą się jego utrapienia. Nikt jednak nie może określić, kiedy wydarzy się coś zależnego od czyjejś woli, chyba że ktoś inny mu to powie. Niemniej jednak człowiek, który się męczy, staje się niecierpliwy i słaby, i jak by predysponowany do przesądów. Mówi sobie: Bóg musi znać chwilę, w której skończy się moja męka. Bóg może zezwolić, aby ta chwila została mi objawiona, obojętne w

jaki sposób. A gdy już tak rozumuje, bez wahania, w sposób, jaki podyktowała mu fantazja, radzi się losu i w większym lub mniejszym stopniu gotów jest uwierzyć wybranym przez siebie wyroczniom.

Byłem w takim właśnie nastroju, ale nie wiedząc, jakiej metody użyć, aby skłonić przeznaczenie do odkrycia mi mego losu za pośrednictwem Biblii, to znaczy do objawienia dnia, w którym odzyskani to największe ze wszystkich dobro, jakim jest wolność, postanowiłem sięgnąć do boskiego poematu „Orland Szalony” Ludwika Ariosto. Czytałem to dzieło ze sto razy, znałem je na pamięć i delektowałem się nim nawet tu, w więzieniu, Pod Ołowianym Dachem.

Pochłonięty tą myślą napisałem pytanie skierowane do rzekomo najwyższego rozumu, zapytując, w której pieśni Ariosta znajdę przepowiednię dotyczącą dnia odzyskania mojej wolności. Potem ułożyłem odwróconą piramidę z liczb, jakie mi dawały pojedyncze słowa pytania, i odejmując dziewięć od każdej pary tych liczb uzyskałem w końcowym wyniku dziewięć. Ustaliłem zatem, że przepowiednię, której szukam, znajdę w pieśni dziewiątej. Chcąc dostać odpowiedź, w której zwrotce znajdę przeznaczoną dla mnie wróżbę, posłużyłem się tą samą metodą i dowiedziałem się, że jest to zwrotka siódma, wiersz pierwszy.

Wziąłem poemat i z bijącym sercem, jak bym z tą przepowiednią wiązał całą wiarę, odzyskałem odpowiednią stronę i przeczytałem:

*Fra il fin d'ottobre e il capo di novembre.*²²

Dokładność i stosowność tego wiersza wydawały mi się tak zadziwiające, że choć nie powiem, abym mu całkiem uwierzył, myślę, iż czytelnik wybaczy mi, jeśli nieco więcej miejsca poświęcę tej przepowiedni. Szczególną uwagę budzi to, że „koniec października” i „początek listopada” przegradza tylko chwila północy, a jak czytelnik niebawem się przekona, z mojej celi wydostałem się dokładnie z uderzeniem północy w dniu 31 października.

Zresztą, mimo tego wytłumaczenia, proszę, aby czytelnik nie poczytywał mnie za bardziej przesadnego od innych, albowiem się pomyli. Opowiadam o tym wydarzeniu, bo jest prawdziwe, bo jest niezwykle i dlatego że gdybym do niego nie przywiązywał takiej wagi, pewnie nie umknąłbym z więzienia.

Po wyjściu Wawrzyńca poczęstowałem Soradaciego zupą. Niecnota wylegiwał się symulując chorobę. Nie śmiałby podejść do mnie, gdybym go nie był przywołał. Wstał, runął mi do nóg jak długi, zaczął mnie całować po stopach i zalewając się gorącymi łzami zapewniał, że jeżeli mu nie przebaczę, skona w ciągu dnia, bo już zaczął odczuwać ciężące na nim przekleństwo i zemstę Matki Boskiej, którą o to ubłagałem. Ból rozdziera mu wnętrzności, jama ustna pokryła się wrzodami. Pokazał mi ją i zobaczyłem pełno pleśniawek, a nie wiem, czy były tam w przeddzień. Nie zależało mi na dociekaniu prawdy, albowiem mój interes wymagał udawania, że mu wierzę, i zasiania w jego duszy nadziei na łaskę. Należało zacząć od tego, by się najadł i napił. Ten zdrajca być może zamierzał oszukać mnie, skoro jednak sam byłem zdecydowany wywieść go w pole, szło teraz o to, który z nas będzie zręczniejszy. Przygotowałem sobie atak, przed którym trudno mu się było obronić.

Przybrawszy więc natchnioną minę, powiedziałem:

– Siadaj i jedz zupę, po czym dowiesz się o szczęściu, jakie na ciebie spadło, bo wiedz, że o świcie objawiła mi się Matka Boska Różańcowa i kazała mi, abym ci przebaczył. Nie umrzesz i wyjdiesz z więzienia wraz ze mną.

Oslupiały i z braku stolka wciąż na klęczkach, zjadł ze mną zupę. Później usiadł na sienniku, ażeby wysłuchać, co mu powiem. Oto mniej więcej moje słowa:

– Zmartwienie, spowodowane twoją ohydłą zdradą, całą noc nie dało mi spać, albowiem przez te listy będę musiał spędzić w tym więzieniu resztę życia. Przyznaję, że jedyną pociechą sprawiała mi pewność, że ty umrzesz tutaj, na moich oczach, przed upływem trzeciego dnia. Z głową pełną tych myśli niegodnych chrześcijanina, albowiem Bóg nakazał nam przebaczyć winy, usnąłem wreszcie zmożony fatygą, a podczas tego błogosławionego snu miałem

²² Fra... – Między końcem października i początkiem listopada.

prawdziwe widzenie. Ujrzałem Marię Pannę. Ujrzałem przed sobą tę Matkę Boską, której obraz tu widzisz, żywą przede mną i tak do mnie mówiącą: „Soradaci należy do mojego bractwa różańcowego, osłaniam go więc i chcę, abys mu przebaczył, toteż przekleństwo, jakie na siebie ściągnął, traci moc. A w nagrodę za twój wspałałomyślny czyn, kazałam jednemu z aniołów przybrać ludzką postać, zejść z nieba, rozedrzeć dach tego więzienia i uwolnić cię w ciągu pięciu, sześciu dni. Ów anioł przystąpi do dzieła jeszcze dziś, dokładnie o godzinie dziewiętnastej, i będzie pracował do dwudziestej trzeciej trzydzieści, bo musi za dnia wrócić do nieba. Wychodząc z więzienia w towarzystwie mego anioła zabierzesz też Soradaciego i zajmiesz się jego losem, pod warunkiem jednak, że wyrzeknie się on zawodu szpiega. I powiesz mu o tym wszystkim”. Z tymi słowami Matka Boska zniknęła, a ja się zbudziłem.

Zachowując wciąż jednakową powagę człowieka natchnionego, przyglądałem się minie zdrajcy, który osłupiał. Wziąłem więc swój brewiarz, skropiłem celę święconą wodą i od czasu do czasu całując obrazek Przenajświętszej Panny, udawałem, że modłę się do Boga. Po godzinie to bydlę, milczący dotąd uparcie Soradaci, ni stąd, ni zowąd zapytał mnie, o której godzinie anioł zjedzie z nieba i czy usłyszymy hałas towarzyszący jego włamywaniu się do naszej celi.

– Jestem przekonany, że przyjdzie o dziewiętnastej, że usłyszymy, jak zabierze się do pracy, i że odejdzie o godzinie oznaczonej przez Matkę Boską.

– Panu to się mogło zwyczajnie śnić.

– Na pewno nie. Czy możesz przysiąc mi, że wyrzekniesz się zawodu szpiega?

Zamiast odpowiedzieć zasnął i zbudził się dopiero w dwie godziny później, aby mnie zapytać, czy zgodzę się jeszcze poczekać z tą przysięgą, której się domagam.

– Możesz poczekać, aż anioł zjawi się tutaj, aby mnie uwolnić, lecz jeżeli wówczas uroczystą przysięgą nie wyrzekniesz się tego nędznego zawodu, który cię zawiódł do więzienia i w końcu doprowadzi na szubienicę, zostawię cię tutaj. Taki jest rozkaz Matki Boskiej, która wówczas cofnie ci swoją łaskę.

Na godzinę przed ustalonym czasem zachciało mi się jeść. Piłem przy tym jedynie wodę, podczas gdy Soradaci wyłopał całe wino, a na deser pochłonał też i wszystek czosnek, jaki miałem. Wraz z pierwszym uderzeniem dziewiętnastej padłem na kolana i gromkim głosem kazałem Soradaciemu uczynić to samo. Usłuchał przyglądając mi się z oszołomioną miną. A ledwie usłyszałem słaby szmer za murem, rzekłem:

– Anioł nadchodzi.

Po czym padłem na ziemię i silnym szturchańcem przymusiłem Soradaciego, aby uczynił to samo. Przy dość silnym hałasie sprawianym przez księdza Balbi, wytrwałem kwadrans w tej niewygodnej pozycji i w każdym innym wypadku na pewno uśmiełbym się serdecznie z widoku tego mojego bydlaka, który leżał jak martwy. Ale nie śmiałem się, pamiętając, że moim zasadniczym celem jest doprowadzenie Soradaciego do swoistego oblędu, do otumanienia umysłu. Ta przewrotna dusza bowiem mogła odzyskać swoje ludzkie cechy tylko wtedy, gdybym ją pogrzył w śmiertelnym strachu. Podniósłszy się ukląłem, pozwoliłem mu zrobić to samo i przez trzy i pół godziny kazałem odmawiać różaniec. Usypiał od czasu do czasu, bardziej znużony klęceniem niż monotonnym klepaniem pacierzy, jednakże ani razu mi nie przerwał... A kiedy usłyszałem zegar wydzwaniający dwudziestą trzecią trzydzieści, powiedziałem tonem uroczystym i nabożnym zarazem:

– Padnij na twarz, anioł odchodzi!

Balbi powrócił do swojej celi i zapadła cisza. Wstając z kolan nie odrywałem oczu od nędznika i z zadowoleniem ujrzałem na jego twarzy lęk i niepewność. Zaczął mówić o swoich grzechach, nabożności, umiłowaniu świętego Marka, oddaniu sprawom Republiki i tym oto cnotom przypisywał łaskę okazaną mu przez Matkę Boską. Oświadczył wreszcie, że nie wie, co pocznę z takim nieukiem jak on.

– Będiesz mi służył i będziesz miał wszystko, czego ci potrzeba, nie uprawiając niebezpiecznego zawodu szpiega.

– Ale nie pozostaniemy w Wenecji?

– Oczywiście, że nie, anioł zawiedzie nas do takiego państwa, które nie należy do świętego Marka. Czy gotów jesteś przysiąc, że porzucisz teraz swoje ohydne zajęcie? I jeżeli przysięgniesz, czy nie popełnisz po raz drugi krzywoprzysięstwa?

– Skoro złożę przysięgę, zostanę jej wierny, to pewne. Ale niechże pan przyzna, że mojemu krzywoprzysięstwu zawdzięcza pan ową łaskę Przenajświętszej Matki Boskiej, którą Panu okazała. To, że złamałem wiarę, przyczyniło się do pańskiego szczęścia. Powinien więc pan lubić mnie i cieszyć się z mojej zdrady.

– A czy lubisz Judasza, który zdradził Chrystusa?

– Nie.

– Więc widzisz, że nienawidzimy zdrajców uwielbiając jednocześnie Opatrzność, która potrafi złe obrócić na dobre. Dotąd byłeś tylko łajdakiem, zgrzeszyłeś wobec Pana Boga i Matki Boskiej i dlatego przyjmę od ciebie przysięgę dopiero wówczas, gdy odpokutujesz swój czyn.

– A czymże zgrzeszyłem?

– Zgrzeszyłeś pychą, skoro uważasz, iż winienem ci wdzięczność za to, żeś mnie zdradził oddając moje listy sekretarzowi.

– Jak mam odpokutować ten grzech?

– Posłuchaj. Jutro, kiedy przyjdzie Wawrzyniec, będziesz leżał na swoim sienniku twarzą zwrócony ku ścianie i nie uczynisz ani jednego ruchu, nie spojrzysz na niego. A jeśli zapyta, odpowiesz nie odwracając wzroku, że nie mogłeś spać i potrzebujesz wypoczynku. Czy obiecujesz mi to bez zastrzeżeń?

– Obiecuję wypełnić dokładnie to, co pan mi kazał.

– A więc prędko przysięgnij na ten święty obrazek.

– Przysięgam Ci, Przenajświętsza Matko Boska, że gdy wejdzie Wawrzyniec, nie spojrzę na niego i będę leżał na swoim sienniku.

– A ja, Przenajświętsza Panno, przysięgam na Serce Twojego Boskiego Syna, że jeśli Soradaci uczyni najmniejszy ruch i spojrzy na Wawrzyńca, od razu uduszę go bez litości ku Twojej wieczystej chwale.

Liczyłem tyleż na efekt tej groźby, co i na przysięgę Soradaciego. Chcąc jednak uzyskać całkowitą pewność zapytałem, czy ma coś przeciwko tej przysiędze, a on po chwili namysłu odpowiedział, że nie ma nic i że jest zupełnie zadowolony. Rad z samego siebie dałem mu się najeść, a potem kazałem, aby się położył, bo muszę się przespać.

Gdy zasnął, przez dwie godziny ślecząłem nad listem. Zdałem sprawę ojcu Balbi ze wszystkiego, co zaszło, zaznaczając, że powinniśmy uciec z więzienia w nocy 31 października i że będzie nas czworo łącznie z jego współtowarzyszem i moim. A było to 28 października.

Nazajutrz Balbi odpisał mi, że wąskie przejście jest już gotowe i że pozostaje do przebicia tylko jeden pokład desek nad moją celą, na co wystarczy mi czterech minut. Soradaci dotrzymał przysięgi udając, iż śpi, a Wawrzyniec słowa doń nie przemówił. Nawet przez chwilę nie spuściłem Soradaciego z oka i myślę, że byłbym go udusił, gdyby bodaj co nieco odwrócił głowę ku Wawrzyńcowi, bo mógł mnie zgubić najmniejszym mrugnięciem.

Reszta dnia zeszła mi na wzniosłych dyskursach i wygłaszaniu przesadnych frazesów tonem tak uroczystym, na jaki było mnie stać, i z radością widziałem, iż Soradaciego ogarniał coraz większy fanatyzm... Nazajutrz także nie złamał posłuszeństwa, bo na pytanie Wawrzyńca o zdrowie odparł nie odwracając głowy. Tak samo zachowywał się następnego dnia, kiedy to po raz ostatni widziałem Wawrzyńca w dniu 31 października rano. W książce, którą mu wówczas dałem do odniesienia, zawiadomiłem księdza Balbi, aby o godzinie siedemnastej zabrał się do wybicia dziury w suficie. Tym razem nie miałem się czego obawiać, dowiedziawszy się od Wawrzyńca, że inkwizytorzy i sekretarz już wyjechali na wieś. Żaden nowy

więzień nie mógł więc przybyć, a mojego nicponia nie potrzebowałem się już wystrzeżać... Po wyjściu Wawrzyńca oznajmiłem Soradaciemu, że o godzinie siedemnastej przybędzie anioł wyświdrować otwór w suficie naszej celi.

– Przyniesie też nożyczki i utniesz brody aniołowi i mnie – dodałem.

– To anioł nosi brodę?

– Tak, sam zobaczysz. A potem wyjdziemy z celi, rozedrzemy poszycie dachu pałacu i zjedziemy na plac Świętego Marka, skąd udamy się do Niemiec.

Nie odpowiedział. Jadł samotnie, albowiem serce i umysł miałem zbyt zajęte, abym mógł jeść. Nie mogłem nawet spać.

Wybiła ustalona godzina: oto anioł! Soradaci chce paść na ziemię i bić czołem, ale mówię mu, że to niepotrzebne.

Ksiądz Balbi w trzy minuty przebił otwór: szczapy posypały się na podłogę i za chwilę on sam stoczył się w moje ramiona. „No – powiedziałem – teraz ksiądz skończył swoje zadanie i zaczęło się moje.” Uściskaliśmy się i podał mi sztylet wraz z nożyczkami. Kazałem Soradaciemu ściąć nam brody i nie mogłem się przy tym powstrzymać od śmiechu na widok tego bydlaka, który z rozdziawioną gębą przyglądał się niezwykłemu aniołowi, podobnemu raczej do diabła. Ale, mimo ogromnego zdziwienia, umiejętnie ściął nam brody.

Pilno mi było obejrzeć przyległe pomieszczenia, lecz nie chcąc zostawić Soradaciego bez opieki kazałem mnichowi mieć go na oku i wyszedłem. Otwór w murze był dość wąski, ale jakoś prześliznąłem się na zewnątrz. Znalazszy się nad celą hrabiego, zszedłem na dół i serdecznie uściskałem czcigodnego starca. Spostrzegłem, że nie podołałby trudom ucieczki po dachu stromym i pokrytym arkuszami ołowiu. Zapytał o moje plany i wyraził opinię, że działam trochę lekkomyślnie.

– Chodzi mi tylko o to – odparłem – aby wyjść na spotkanie wolności lub śmierci.

– Jeśli pan zamierzasz – odrzekł ściskając mi rękę – przebić poszycie i znaleźć na ołowianym dachu jakiś sposób zejścia w dół, nie sądzę, by ci się powiodło, chyba że przyprawisz sobie skrzydła. Brak mi odwagi, aby panu towarzyszyć. Zostanę więc tutaj i będę się modlił za ciebie.

Chcąc zbadać strukturę dachu, wyszedłem i postarałem się jak można najdalej dotrzeć w kąty strychu. A kiedy wcisnąłem się w najwęższy, siadłem między rupieciami, których pełno na każdym strychu wielkich pałaców, i dotknąłem poszycia dachu. Końcem swojego sztyletu próbowałem desek i na szczęście przekonałem się, iż prawie całkowicie stoczyły je robaki. Próchno sypało się przy każdym szturchnięciu sztyletem. Upewniony, że w niecałą godzinę zdołam przebić dość duży otwór, wróciłem do celi i przez cztery godziny ciąłem prześcierała, kołdry, materace i siennik, by powiązać je w liny. Nie omieszkałem osobiście zaciągnąć każdy supeł i sprawdzić jego moc, bo wiedziałem, że nasze życie od tego zależy. W końcu miałem sto sążni sznurów²³.

W każdym wielkim przedsięwzięciu są sprawy o wszystkim decydujące i w nich wódz godny sukcesu nie spuszcza się na nikogo. Kiedy więc sznur był już gotowy, spakowałem w tobolek mój frak, jedwabny płaszcz, parę koszul, pończochy i chustki i we trójkę przeszliśmy do celi hrabiego. Czcigodny starzec przede wszystkim powińszował Soradaciemu mojego towarzystwa w celi jak i tego, że stoi teraz na progu wolności. Śmiech mnie zdjął na widok głupiej miny Soradaciego. Już teraz nie krępowałem się, bo odrzuciłem maskę świętoszka, która mnie ogromnie żenowała od pierwszej chwili, kiedy ze względu na tego łajdaka musiałem ją przywdziać. Zdawał sobie sprawę, że go oszukałem, jednak nic nie rozumiał, albowiem nie potrafił sobie wytłumaczyć, w jaki sposób porozumiewałem się z domniemanym aniołem, o której godzinie ma się zjawiać i odchodzić. Uważnie słuchał tłumaczeń hrabiego, że wysta-

²³ Zarzucano Casanovie, że to jest niemożliwe, bo musiałby wnieść na dach ca 210 metrów sznura; na to odpowiadano, że Casanova nie myśli o sążniach (po franc. – brasse), lecz o łokciach (po włosku – braccio); wysokość Pałacu Dożów wynosi ca 30 m i tyle liny Casanova potrzebował (przyp. tłum.).

wiamy się na niechybną zgubę i, jak na prawdziwego tchórza przystało, obmyślał plan wycofania się z ryzykownej wędrówki. Powiedziałem mnichowi, aby spakował swój tobolek, gdy ja pójdę wybić dziurę w kącie poddasza.

Do drugiej w nocy własnymi siłami wybiłem dość duży otwór. Starłem na proch deski, a zrobiona przeze mnie dziura była dwa razy większa, niż trzeba. Dotykałem teraz arkusza ołowiu, którego nie zdołałbym unieść sam, bo był mocno przytwierdzony. Balbi pomógł mi: wbiłem sztylet między rynnę i ołów i udało mi się go oderwać. Później, podważając blachę ramionami, zwinęliśmy ją na tyle, aby otwór wystarczył nam do wyjścia. Niestety, gdy wysunąłem głowę na zewnątrz, przekonałem się, że księżyc na początku pierwszej kwadry świeci jasno. Była to złośliwość losu, którą należało znieść spokojnie i czekać z wyjściem do północy, to jest do czasu, kiedy sierp księżyca przesunie się na przeciwległą stronę nieba. W tak piękną noc, gdy całe wytworne towarzystwo Wenecji przechadzało się po placu Świętego Marka, nie mogliśmy ryzykować wyjścia na dach, bo nasze wydłużone cienie, padające w dół, przyciągnęłyby ogólną uwagę. Postanowiłem więc, że wydostaniemy się na dach dopiero po zejściu księżyca. Błagałem Boga o pomoc, ale nie żądałem cudów. Księżyc powinien był zejść o piątej, a słońce wzejść o trzynastej i pół, mieliśmy więc przed sobą siedem godzin całkowitej ciemności, kiedy mogliśmy działać; i choć czekała nas ciężka praca, miałem nadzieję, że podolamy jej w tym czasie.

Powiedziałem ojcu Balbi, że możemy pozwolić sobie na trzygodzinną pogawędkę z hrabią Asquinem i żeby poprosił go o pożyczanie mi trzydziestu cekinów, kto wie, czy nie równie niezbędnych, jak ten sztylet, dzięki któremu dokazałem aż tylu rzeczy. Poszedł i w parę minut wrócił mówiąc, że mam się udać sam, bo hrabia chciałby ze mną pomówić bez świadków. Biedny starzec łagodnie zaczął mi perswadować, że do ucieczki nie potrzebuję pieniędzy, których zresztą nie posiada; że ma liczną rodzinę i że jeżeli zginę, straci pożyczoną kwotę. Na zakończenie dodał jeszcze mnóstwo podobnych bzdur, aby ukryć sobkostwo lub przywiązanie do pieniędzy. Odpowiedź zajęła mi pół godziny. Były to doskonale argumenty, które jednakże jak świat światem nigdy do niczego nie doprowadziły, albowiem wszystkie argumenty tępieją w zetknięciu ze stałą tej najodporniejszej z ludzkich namiętności. Był to klasyczny wypadek, kiedy należało sięgnąć do powiedzenia *nolenti baculus*²⁴, nie mogłem jednak zdobyć się na tyle okrucieństwa, aby użyć przemocy wobec nieszczęsnego starca. Powiedziałem mu więc w końcu, że jeżeli zechce uciec ze mną, poniosę go jak Eneasza Anchizesa, lecz jeśli woli zostać i błagać Boga, aby nas wiódł, to uprzedzam go, iż tym modłem zabraknie logiki, bo jakże można prosić Boga o powodzenie w czymś, do czego nawet w najprostszy sposób nie chciało się przyłożyć.

Odparł mi ze łzami, które mnie wzruszyły. Zapytał, czy nie wystarczą mi dwa cekiny. Odparłem, że każda suma musi mi wystarczyć. Pożyczył mi więc dwa cekiny prosząc, bym mu je oddał, jeżeli po obejściu dachu przekonam się, że najmądrzej będzie wrócić do celi. Obiecałem to, nieco zdumiony przypuszczeniem, że mógłbym odstąpić od swego zamiaru. Nie znał mnie, a ja byłem raczej gotów umrzeć niż wrócić tam, skąd bym już nigdy nie wyszedł.

Przywołałem moich towarzyszy i złożyliśmy nasze manatki w poblizze otworu. Podzieliłem na dwie części owe sto sążni przygotowanego sznura i dwie godziny zeszły nam na rozmowach i przypominaniu sobie, nie bez przyjemności, zmiennych kolei tej naszej ucieczki. Po raz pierwszy dał mi też wtedy ojciec Balbi próbkę swego szlachetnego charakteru, z dziesięć razy zarzucając złamanie słowa, bo zapewniałem go, iż mam ułożony zupełnie pewny plan w głowie, kiedy w gruncie rzeczy nie mam żadnego. Oznajmił czelnie, że gdyby był to przewidywał, nie wydobyłby mnie z celi. Hrabia z powagą swoich siedemdziesięciu lat powiedział również, że najmądrzej uczyniłbym nie obstając przy nierozważnym zamiarze, który nie może się powieść i musi zakończyć śmiercią. Będąc prawnikiem wygłosił całą mowę, którą przyta-

²⁴ *Nolenti baculus* – kijem tego, co nie słucha.

czam; rozumiałem jednak, że kieruje nim chęć odzyskania dwóch cekinów, które musiałbym mu oddać, gdybym postanowił zostać.

– Dach obity arkuszami ołowianej blachy – mówił – jest tak stromy, że nie tylko nie zdołasz pan po nim iść, ale i nie potrafisz utrzymać się na nogach. Mieści w sobie co prawda ze siedem czy osiem okienek, ale wszystkie są zakratowane i nie ustoi się przed nimi, bo leżą na spadku i nie ma gdzie oprzeć stopy. Pańskie sznury na nic się nie zdadzą, bo do czegoś je pan przywiążesz? A nawet jeżeli znajdzie się jakiś występ, to żaden człowiek opuszczając się z takiej wysokości nie zdoła ani się utrzymać, ani dotrzeć do ziemi. Jeden z was trzech będzie więc musiał przewiązać w pasie dwóch pozostałych i spuszczać ich tak, jak spuszcza się wiadro lub wiązkę chrustu, a potem jemu już nic nie pozostanie, tylko wrócić do celu. Któryż z was zgodzi się wziąć na siebie tak miłosierny i niebezpieczny uczynek? A jeżeli nawet jeden zdobędzie się na podobne bohaterstwo, to powiedzcie mi, z jakiej strony zamierzacie się opuścić? Chyba nie od kolumnady ze strony placu, bo was zobaczą; od kościoła niemożliwe, bo znajdziecie się w zamknięciu; od dziedzińca – trudno o tym myśleć, albowiem wpadniecie w ręce *arsenalotti*, którzy tam stale patrolują. Możecie więc zejść tylko od kanału, ale czy na was tam czeka gondola lub jakaś barka? Nie. Będziecie więc musieli skoczyć do wody i ratować się wpław aż do Świętej Apolonii, dokąd dotrzecie w opłakanym stanie, nie wiedząc, co dalej począć. Pomyślcie też, że ołów jest śliski i jeżeli wpadniecie do kanału, gdybyście nawet pływali jak rekiny – musicie zginąć, albowiem spadniecie z wysoka, a woda jest płytka. Zginiecie zmiażdżeni, bo trzy lub czterostopowa głębokość wody nie złagodzi upadku. A więc w najlepszym razie znajdziecie się na dole z połamanymi kończynami.

Krew we mnie zawrzała na taką przemowę, wysoce nieoględną w owych warunkach, jednak zdobyłem się na wysłuchanie jej z cierpliwością wcale do mnie niepodobną. Wyrzuty mnicha, cierpkie i brutalne, oburzyły mnie i nawet chciałem odpowiedzieć mu ostro, wiedziałem jednak, że w tej trudnej sytuacji, w jakiej się znalazłem, mogę tym zrujnować moje dzieło, bo miałem do czynienia z tchórzem, który gotów był odpowiedzieć, że nie jest aż takim desperatem, aby gardzić śmiercią; pozostawiony zaś własnym siłom próżno nawet marzyłbym o powodzeniu ucieczki. Zapanowawszy więc nad sobą, jak najłagodniej zapewniłem ich wszystkich o moim przekonaniu, że ta rzecz się uda, ale że nie mogę zdradzić szczegółów całego planu.

– Wiedziony pańskimi rozsądnymi argumentami, hrabio – zwróciłem się do starca – będę działał bardzo ostrożnie. Jednak ufność, jaką pokładam w Bogu i we własnych siłach, sprawi, iż przezwyciężę wszelkie trudności.

Od czasu do czasu macałem ręką wokół siebie, aby przekonać się, czy Soradaci jest tutaj, bo nie wyrzekł ani słowa. Śmiałem się w duchu zastanawiając się, nad czym łamie sobie głowę teraz, gdy wie, że go zwiódłem. O godzinie czwartej i pół powiedziałem mu, aby poszedł zobaczyć, gdzie stoi księżyc. Usłuchał, a powróciwszy rzekł, że za półtorej godziny skryje się zupełnie i że gęsta mgła, która zaczyna się podnosić, czyni wielce niebezpiecznym posuwanie się po ołowianym dachu.

– Mnie wystarczy, że mgła nie jest z oliwy – odparłem. – Zapakuj swój płaszcz razem z częścią naszego sznura, który musimy podzielić równo.

Zdziwiłem się, że na te słowa przypadł mi do kolan, schwycił za rękę i zaczął ją okrywać pocałunkami. Z płaczem jał mnie błagać, abym go nie skazywał na zgubę.

– Jestem pewien – mówił – że zlecę do kanału. Na nic się panu nie przydam. Niechże mnie pan tu zostawi, a przez całą noc będę się modlił za pana do świętego Franciszka. Może mnie pan zabić, ale za nic na świecie nie pójdę z panem.

Głupiec, nie wiedział, jak bardzo było mi to na rękę!

– Masz rację – odparłem – zostań, lecz pod warunkiem, że będziesz się modlił do świętego Franciszka. Ale przedtem idź po moje książki, które chcę zostawić hrabiemu.

Uśluchał w milczeniu i niewątpliwie z wielką radością. Moje książki warte były co najmniej sto talarów. Hrabia zapewnił, że je zwróci po moim powrocie.

– Ręczę panu, że mnie pan tu już nie ujrzysz – odrzekłem. – Te książki wynagrodzą panu stratę owych dwóch cekinów, które wyłożyłeś.

Jeśli chodzi o tego starego szelmę, byłem uszczęśliwiony, że zabrakło mu odwagi do pójścia z nami. Byłby mi przyczynił niemało kłopotu. A poza tym nędznik nie wart był tego, aby wraz ze mną i księdzem Balbi dzielić zaszczyt tak wspaniałej ucieczki. Poprosiłem go o pióro, atrament i papier, bo miał je mimo zakazu (albowiem zakazy były niczym dla Wawrzyńca, który za talara sprzedałby samego świętego Marka), i napisałem niżej przytoczony list. Odałem go potem Soradaciemu nie mogąc nawet przeczytać, bo pisałem po ciemku. Zacząłem od wzniosłej łacińskiej dewizy: „Nie umrę, żyć będę sławiąc Pana”.

„Prześwietni inkwizytorzy stanu winni czynić wszystko, by siłą utrzymać winowajcę Pod Ołowianym Dachem; winowajca zaś, na szczęście nie związany słowem, winien próbować wszystkiego, co w jego mocy, dla odzyskania wolności. Prawem inkwizytorów – sprawiedliwość, gdy prawem winowajcy – ludzka natura. I jak oni nie żądali jego zgody na uwięzienie, tak on nie pyta ich o zgodę przy próbie odzyskania wolności.

Jakub Casanova, który to pisze w goryczy serca, wie, że fatalnym dla siebie trafem może zostać schwytyany, nim zdoła wydostać się z Republiki i schronić na gościnnej ziemi, i że wówczas prawo do jego głowy będą mieli ci, przed którymi szuka teraz ucieczki. Jednak gdyby przytrafiło mu się podobne nieszczęście, apeluje on do ludzkich uczuć swoich sędziów i prosi, aby posłuszeństwa prawom natury nie przypłacił losem bardziej okrutnym od tego, przed którym ucieka. Jeżeliby został ujęty, błaga o zwrot swojego dobytku i o pozostawienie go w celi. Ale gdyby szczęście mu dopisało i doprowadził swój zamiar do celu, daruje to wszystko Franciszkowi Soradaci, który z braku odwagi wobec niebezpieczeństwa woli być więźniem; nie przekłada, jak ja, wolności nad życie. Casanova prosi zatem, aby Wasze Eks-celencje nie kwestionowały temu biedakowi prawa do owego daru. Pisane na godzinę przed północą, po ciemku, w celi hrabiego Asquina w dniu 31 października 1756 roku.”

Uprzedziłem Soradaciego, aby nie oddawał tego pisma za pośrednictwem Wawrzyńca, lecz by je wręczył osobiście sekretarzowi, bo nie wątpiłem, że ów wezwie go do siebie, o ile sam nie wejdzie na górę, co wydawało się najbardziej prawdopodobne.

Hrabia zapewnił Soradaciego, że mój list poskutkuje, ale gdyby mnie złapano – powiedział – musi mi on oddać ten dar w całości, a ów osioł odparł, iż chętnie by mnie znów ujrzał, by mi wszystko zwrócić ze szczerego serca.

Czas było wyruszyć. Księżyc już się skrył. Przytroczyłem księdzu Balbi połowę sznura u jednego ramienia, a tobolek z jego łańchami u drugiego. To samo zrobiłem ze swoim sznurem i rzeczami. A później obaj w kamizelkach i kapeluszach na głowach, wyszliśmy na świat.

*E quindi uscimmo a rimirar le stelle*²⁵.

²⁵ E quindi... – A później wyszliśmy podziwiać gwiazdy (cytat z Dantego).

WYCHODZĘ Z WIĘZIENIA – O MAŁO NIE GINĘ NA DACHU – WYDOSTAJĘ SIĘ Z PAŁACU DOŻÓW, WSIADAM DO GONDOLI I PRZYBYWAM NA LĄD STAŁY – OJCIEC BALBI WYSTAWIA MNIE NA NIEBEZPIECZEŃSTWO – MUSZĘ UCIEC SIĘ DO FORTELU, ABY SIĘ OD JEGO OSOBY UWOLNIĆ

Wyszedłem pierwszy, a ksiądz Balbi szedł za mną. Soradaci, który nas odprowadził aż do otworu w dachu, dostał rozkaz przygiąć z powrotem arkusz blachy i wrócić, aby się modlić do świętego Franciszka. Mocno uchwyciłem sztylet i wyciągniętą na całą długość ręką wbijałem go ukośnie w złącza blachy, aż wreszcie, chwytając czterema palcami za skraj uniesionych arkuszy, na klęczkach i na czworakach wspiałem się na szczyt. Mnich posuwał się za mną uczepony prawą ręką paska moich spodni. Tak więc znalazłem się w sytuacji zwierzęcia, co niesie i ciągnie zarazem, i to na stromym dachu, oślizłym od gęstej mgły.

W połowie drogi ojciec Balbi zażądał, abym przystanął, bo zgubił jeden ze swoich toboleczków, a miał nadzieję, że zatrzymał się on na rynnie. W pierwszym odruchu chciałem mocnym kopnięciem posłać go w ślad za tym tobołkiem, ale dzięki Bogu powstrzymałem się od tego, bo dla nas obu byłaby to zbyt surowa kara, zważywszy, iż sam nie zdołałbym uciec. Zapytałem więc tylko, czy to był zwój sznura, lecz gdy odrzekł, że chodzi o węzełek z manuskryptem znalezionym na poddaszu pałacu, mogącym, jak sądził, przynieść mu fortunę, powiedziałem, aby się zdobył na stoicyzm, bo każdy krok w tył może przynieść nam zgubę. Biedak westchnął na to i wciąż trzymając się mojego paska piął się za mną.

Kiedy z największym trudem przeczołgaliśmy się po piętnastu lub szesnastu arkuszach blachy i dotarliśmy w końcu na sam szczyt, siadłem na nim okrakiem, a ksiądz Balbi poszedł w moje ślady. Siedzieliśmy odwrócenymi plecami do małej wysepki San Giorgio Maggiore mając o jakieś dwieście kroków przed sobą liczne kopuły kościoła Świętego Marka, który stanowi część Pałacu Dożów, bo właściwie jest on kaplicą dożów; a nie ma na świecie monarchy, który mógłby się piękniejszą poszczycić. Przede wszystkim uwolniłem się teraz od swoich ciężarów i powiedziałem księdzu Balbi, aby zrobił to samo. Umieścił, jak mógł najlepiej, zwój lin pod udem, ale gdy chciał zdjąć kapelusz, który mu krępował ruchy, zrobił to tak niezręcznie, że go upuścił. Kapelusz potoczył się w dół aż na rynnę, a stamtąd powędrował za węzełkiem do kanału. Mój biedny współtowarzysz wpadł w rozpacz.

– Zły znak – wykrzyknął – na samym początku ucieczki zostałem bez koszuli, bez kapelusza i cennego manuskryptu, zawierającego nikomu nie znaną, nadzwyczaj ciekawą historię wszystkich pałacowych uroczystości Republiki.

Znacznie już spokojniejszy, niż gdy się wspinałem na szczyt dachu, powiedziałem, że te dwa wypadki, których padł ofiarą, nie mają w sobie nic tak niezwykłego, co by upoważniało człowieka o zabobonnym umyśle do nazywania ich znakami; że zapatruję się na nie inaczej i że w najmniejszym stopniu nie odebrały mi odwagi.

– Powinny one, mój drogi przyjacielu, skłonić cię do większej ostrożności i rozsądku, a także natchnąć myślą, że Bóg nad nami czuwa, bo gdyby twój kapelusz spadł na lewo, miast na prawo, bylibyśmy zgubieni. Upadłby na podwórzec pałacowy, gdzie dojrzałyby go strażnicy i domyśliły się, że ktoś jest na dachu. Wtedy schwymano by nas niezawodnie.

Po paru minutach rozejrzawszy się bacznie na prawo i lewo kazałem mnichowi czekać nieruchomo mego powrotu i okrakiem, jedynie ze sztyletem w ręku, bez najmniejszego trudu jałem posuwać się naprzód. Całą godzinę badałem dach ze wszystkich stron, ale szukałem na próżno, bo nigdzie nie znalazłem żadnego występu, do którego mógłbym przywiązać sznur;

toteż nie wiedziałem, co teraz począć. Nie mogłem myśleć ani o kanale, ani o podwórzu pałacowym, a szczyt kościoła ukazywał mi się-między kopułami, jak by go otaczały głębokie przepaście, z których nie było wyjścia. A po to, ażeby przedostać się za kościół, tam gdzie plebania, musiałbym pokonać pochyłości tak strome, że nie wiedziałem, jak sobie z tym poradzić. Rzecz oczywista, że odrzucałem jako niemożliwe to wszystko, co sądziłem, niewykonalnym. Moja sytuacja wymagała zuchwalstwa, ale bardzo przezornego.

A przecież trzeba było coś począć: wyjść stąd lub wrócić do celi, by może nigdy już z niej nie wyjść, albo rzucić się do kanału. Wobec takiej alternatywy trzeba było zdać się na los szczęścia i od czegoś zacząć. Mój wzrok spoczął na okienku wychodzącym na kanał na dwóch trzecich wysokości dachu. Leżało dosyć daleko od miejsca, skąd wyruszyłem, a zatem ta część poddasza, jak mi się wydawało, nie mogła przylegać do więzienia, z którego się wyrwałem. Okienko należało pewnie do strychu, zamieszkanego lub nie zamieszkanego, ponad jakimś apartamentem pałacu, gdzie o świcie na pewno znalazłbym otwarte drzwi.

Powszechna nienawiść, jaką budziła straszliwa inkwizycja, pozwalała mi się spodziewać, że pałacowi urzędnicy, nawet ci z rodziny doży, którym nawinęlibyśmy się na oczy, pomogli by nam w ucieczce i nie pomyśleliby o przywołaniu straży, nawet gdyby w nas rozpoznali największych zbrodniarzy stanu.

Wobec tego należało zbadać to okienko, toteż łagodnie ześlizgując się wprost na dół, niebawem siedziałem już okrakiem na daszku nad nim. Wówczas wsparłszy się rękoma i wyciągnąwszy szyję zdołałem dojrzeć i dotknąć niewielkiej kraty, za którą znajdowało się okno z kwadratowych szybek, oprawnych w cienkie ołowiane ramy. Nie martwiłem się oknem, jednak krata, choć dość cienka, wydawała mi się przeszkodą nie do pokonania, albowiem bez pilnika nie mógłbym sobie chyba z nią poradzić, a miałem przecież tylko swój sztylet.

Byłem już całkowicie zniechęcony i odwaga zaczynała mnie opuszczać, kiedy dzięki najprostszej i najbardziej naturalnej w świecie rzeczy odzyskałem, że tak powiem, dawny hart ducha.

Bicie zegara na kościele Świętego Marka, akurat wieszczące północ, było owym czynnikiem, który podziałał na mój umysł i przez gwałtowny wstrząs wyrwał mnie z przytłaczającej bezradności. Przypomniało mi bowiem, że rozpoczynający się dzień był dniem Wszystkich Świętych, a zatem i mojego patrona, jeśli go w ogóle miałem, i od razu przywiodło mi na myśl przepowiednię mojego spowiednika jezuitę. Ale przyznaję, że to, co szczególnie dodało mi odwagi i naprawdę przysporzyło sił, to świecka wyrocznia mojego ukochanego Ariosta: *Fra il fin d'ottobre e il capo di novembre*.

Bicie zegara wydawało mi się głosem ducha opiekuńczego, który kazał mi działać obiecując zwycięstwo. Leżąc plackiem, z głową zwieszoną ku kracie okienka, wepchnąłem swój zaostrzony rygiel między nią i mur i wyciągnąłem ją w całości. W kwadrans uporałem się ze wszystkim: trzymałem nietkniętą kratę w rękach i odłożywszy ją na bok wygniotłem szybki w okienku bez najmniejszego trudu, choć głęboko, do krwi skaleczyłem się przy tym w lewą rękę. Z pomocą swojego sztyletu i według dawnej metody wydostałem się na szczyt dachu i okrakiem przesunąłem się do miejsca, gdzie zostawiłem swojego współtowarzysza. Był w rozpacz i wściekły; zwymyślał mnie grubiańsko za to, że opuściłem go na tak długo, i zapewniał, że czekał tylko do siódmej, ażeby wrócić do więzienia.

- Więc co ksiądz sobie myślał o mnie?
- Że zleciałeś pan z dachu.
- I radość z mojego widoku wyraża ksiądz obelgami?
- Cożeś pan robił przez tak długi czas?
- Proszę iść za mną i zobaczyć samemu.

Zabrałem swoje tobołki i ruszyłem w stronę okienka. Kiedy zaś znaleźliśmy się nad nim, dokładnie wytłumaczyłem ojcu Balbi, czego dokonałem, radząc się go jednocześnie, w jaki sposób przedostać się teraz na strych. Sprawa byłaby łatwa, gdyby chodziło o jednego z nas,

bo drugi mógł go opuścić na sznurze, ale jakże opuściłby się ten drugi, skoro nie było do czego przywiązać sznura nad okienkiem? Skacząc w dół ryzykował połamaniem rąk i nóg, bo od okienka do podłogi strychu mogło być dość wysoko. Na tę moją rozsądną uwagę, wygłoszoną tonem jak najbardziej przyjacielskim, ów brutal odpowiedział tymi słowami:

– Spuście mnie pan w dół, a gdy tego dokonasz, dość będziesz miał czasu do namysłu, jak samemu zejść.

Wyznaję, że w pierwszej chwili krew mi uderzyła do głowy i miałem ochotę przebić mu pierś sztyletem. Mój dobry geniusz powstrzymał mnie jednak. Nawet najmniejszym słowem nie wytknąłem ojcu Balbi nikczemnego egoizmu; wręcz przeciwnie: natychmiast rozwinąwszy linę założyłem mu pętlę pod pachy, kazałem lec na brzuchu i nogami w dół opuścić go na dach okienka. Kiedy już się tam znalazł, powiedziałem, aby się wsunął do środka aż po biodra i rękami wsparł o brzegi. Potem, jak za poprzednim razem, ześliznąłem się w dół na daszek nad okienkiem, położyłem się plackiem i mocno trzymając linę powiedziałem, ażeby się puścił bez obawy. Stanąwszy na podłodze strychu Balbi odwiązał linę, a ja po wciągnięciu jej przekonałem się, że wysokość od okienka do podłogi przewyższa pięćdziesiąt stóp. Było to za wiele na ryzykowanie skoku. Mnich zaś, teraz już spokojny o siebie, bo trzeba przyznać, że w czasie tych dwóch godzin spędzonych samotnie na dachu mógł go strach oblecieć, zawołał, abym mu zrzucił liny, a on się nimi już zajmie. Łatwo domyślić się, że nie posłuchałem jego głupiej rady.

Nie wiedząc, co począć, i szukając jakiegoś natchnienia, znowu wdrapałem się na szczyt dachu, a gdy spojrzałem w stronę jednej kopuły, której jeszcze nie zbadałem, ruszyłem ku niej. Ujrzałem przed sobą gładki taras kryty ołowianymi blachami, który przytykał do wielkiego okna, zamkniętego na podwójne okiennice. Był tam też cebrzyk z zaprawą, kielnia i – tuż obok – drabina, która wydała mi się dość długa, bym mógł zejść po niej na poddasze, gdzie już był mój towarzysz. To mi wystarczyło. Przeciągnąwszy linę wokół najwyższego szczebla drabiny dowlokłem ów kłopotliwy ciężar aż do mojego okienka. Teraz chodziło o to, aby tę wcale nie lekką drabinę, długą na dwanaście łokci, wepchnąć do środka; zaś trudności z tym połączone kazały mi gorzko żałować, że wyzbyłem się pomocy mnicha.

Zepchnąłem drabinę tak, że jednym końcem dotykała okienka, gdy drugim, w jednej trzeciej swojej długości, wystawała poza rynnę. Ześliznąłem się wówczas na daszek okienka, odsunąłem drabinę na bok i podciągnąwszy w górę ku sobie, przywiązałem koniec liny do ósmego szczebla. Później znow spuściłem drabinę tak, że znalazła się równolegle i nieco poniżej okienka, i wtedy wepchnąłem ją do środka, lecz mimo największych wysiłków nie zdołałem wciągnąć jej poza piątą szczebel, bo końcem zapałała się w wewnętrzną stronę daszka i ani rusz nie chciała wejść głębiej. Można ją było najwyżej złamać albo przebić daszek. Nie było innej rady, tylko unieść drugi koniec, bo wtedy przeważałaby część wtłoczona i drabina opadłaby pod własnym ciężarem. Gdybym do niej przywiązał sznur i położył ją w poprzek, opuściłbym się na strych całkiem bezpiecznie, ale wówczas pozostałaby na miejscu i rano zdradziłaby Wawrzyńcowi i zbirom, gdzie nas szukać.

Nie chciałem brakiem przezorności niweczyć owocu tylu wysiłków i pokonanych niebezpieczeństw, toteż dla zatarcia śladów musiałem całkowicie wepchnąć drabinę w okienko. Nie mając zaś nikogo do pomocy postanowiłem ześliznąć się aż do rynny, aby tam unieść koniec drabiny i przepchnąć ją w głąb strychu. Udało mi się to, jednak z tak wielkim ryzykiem, że gdyby nie swojego rodzaju cud, życiem bym to zuchwalstwo przypłacił. Odważywszy się puścić drabinę bez obawy, że spadnie do kanału, albowiem mocno zaczęła trzecim szczeblem o rynnę, ze sztyletem w ręku ześlizgiwałem się ostrożnie, aż wreszcie koniuszkami palców u nóg, bo zjeżdżałem na brzuchu, zapałem się o marmurową rynnę tuż obok drabiny. Leżąc w tej pozycji zdołałem unieść koniec drabiny na jakieś pół stopy. A gdy ją pchnąłem w górę, z radością stwierdziłem, że o stopę weszła w głąb okienka, czytelnik zaś domyśla się, że to znacznie zmniejszyło jej ciężar. Teraz chodziło o to, aby podnieść drabinę jeszcze o dwie

stopy, przez co o tyleż głębiej weszłaby w okienko, a wtedy mogłem być pewien, że po wy-dostaniu się na okap zdołam za pomocą liny opuścić ją całą. Ażeby więc nadać drabinie jesz-cze większe pochylenie, ukląknęłam i przy tym ruchu straciłem, równowagę oraz oparcie; ześli-żnąłem się trochę dalej i niespodziewanie, aż po pierś, zawisłem nad przepaścią, wsparty o dach tylko łokciami.

Cóż za okropny moment! Na jego wspomnienie jeszcze dziś przechodzą mnie ciarki, a trudno wyobrazić sobie całą jego grozę! Instynkt samozachowawczy kazał mi całą mocą, prawie bezwiednie przylgnąć żebrami do dachu, aby zatrzymać się w upadku, i aż mnie korci, by powiedzieć, że udało mi się to tylko cudem. Pilnie bacząc na każdy ruch, całą siłą obu ra-mion – od łokci do przegubów – zdołałem podciągnąć się w górę po brzuch. Na szczęście nie potrzebowałem obawiać się o drabinę, bo w owej nieszczęsnej, a raczej należałoby rzec: fa-talnej próbie, której o mały włos życiem nie przypłaciłem, udało mi się wepchnąć ją w okien-ko głębiej niż na trzy stopy, dzięki czemu w nim utknęła.

Leżąc na rynnie, właściwie zawieszony na napięstkach po pachwiny, pomyślałem sobie, że jeżeli zdołam unieść prawą nogę, potem lewą, ażeby się wesprzeć o rynnę jednym i drugim kolanem, będę uratowany, ale na tym nie kończyły się moje zmartwienia. Zrobiony wysiłek wywołał nadzwyczaj bolesny i mocny skurcz, który jakby mi sparaliżował członki. Nie tracąc głowy leżałem bez ruchu, póki mi to nie minęło. Wiedziałem, iż nie ma lepszego sposobu na tego rodzaju skurcze, i nieraz go wypróbowałem. Jeszcze jedna straszliwa chwila! W dwie minuty później, stopniowo ponawiając próbę, udało mi się na szczęście oprzeć dwoma koła-nami na rynnie, a gdy już złapałem oddech, ostrożnie uniosłem drabinę, aż wreszcie stanęła na wprost w okienku. Dostatecznie świadom praw równowagi i dźwigni, ujawszy sztylet, po-przednią metodą podciągnąłem się pod okienko i już bez trudu wepchnąłem doń całą drabinę, której koniec złapał ojciec Balbi. Potem wrzuciłem do środka nasze manatki, liny, kratę oraz inne pozostałości po włamaniu i zszedłem na poddasze, gdzie mój towarzysz powitał mnie bardzo przyjaźnie i już sam wciągnął drabinę. Ręka w rękę zabraliśmy się do inspekcji tego ciemnego miejsca, w które los nas rzucił: było na trzydzieści kroków długie i mniej więcej na dwadzieścia szerokie.

W jednym końcu owego poddasza natknęliśmy się na dwuskrzydłowe drzwi z żelaznych prętów. Fatalne! Jednak zamek łączący oba skrzydła od razu ustąpił pod naciskiem mojej ręki i drzwi się rozwarły. Ale przede wszystkim obeszlśmy wkoło nasze nowe więzienie i gdy chcieliśmy je przeciąć w poprzek, wpadliśmy na duży stół, otoczony stołkami i fotelami. Skręciliśmy więc w prawo, skąd szedł do nas powiew od okien, otworzyliśmy jedno i przy blasku gwiazd ujrzeliśmy tylko przepaście między kopułami. Nawet nie zastanawiałem się nad tym, aby zejść tędy: chciałem wiedzieć, dokąd idę, a nie poznawałem miejsca, gdzie by-łem. Zamknąłem więc okno, wyszliśmy z sali i powróciliśmy do naszych manatków. Do cna wyczerpany padłem na podłogę i podłożywszy zwój liny pod głowę, u kresu sił fizycznych i duchowych, zapadłem w słodki sen. Podałem mu się tak biernie, że gdybym nawet wiedział, iż śmierć za nim czyha, nie mógłbym się oprzeć i doskonale pamiętam, jaką cudowną przy-jemność mi sprawił.

Spałem trzy i pół godziny. Z trudem obudziły mnie dopiero krzyki i szturchańce mnicha. Powiedział, że właśnie wybiła dwunasta i że nie rozumie, jak można spać w naszej sytuacji. Było to niepojęte dla niego, lecz nie dla mnie, bo zasnąłem wbrew woli. Uległem tylko pra-wom natury, ustąpiłem, że tak powiem, przed ostatecznym wyczerpaniem. W moim zmęcze-niu nie było nic dziwnego: od dwóch dni żyjąc w szalonym podnieceniu nie mogłem ani je-dzenia wziąć do ust, ani oka zmrużyć, a dokonany wysiłek, ponad wytrzymałość człowieka, wyczerpałby każdego. Zresztą ów błogosławiony sen przywrócił mi dawny wigor i z zado-woleniem ujrzałem, iż ciemności bledną, a zatem będę mógł działać z większą pewnością i znacznie szybciej.

Rozejrzawszy się wkoło wykrzyknąłem: „Ależ to nie więzienie! Z pewnością będzie tu jakieś wyjście”. Skierowaliśmy się więc w przeciwną stronę od żelaznych drzwi i w jakimś ciasnym kącie dojrzałem jakby drzwiczki. Po omacku natrafiłem palcem na dziurkę od klucza. Wsunąłem w nią koniec mojego sztyletu i paroma ruchami udało mi się otworzyć drzwiczki. Weszliśmy do małego pokoju i tu na stole dojrzałem klucz. Przymierzyłem go do drzwi na wprost i poruszywszy nim w zamku stwierdziłem, że są otwarte. Kazałem wówczas mnichowi przynieść nasze manatki i odłożywszy klucz na miejsce weszliśmy do jakiejś galerii z niszami, w których leżały jakoweś papiery. Było to archiwum. Po chwili odkryłem małe kamienne schodki, po których zeszliśmy na dół. Znalazłszy jakieś inne, zeszliśmy i po nich, by stanąć wreszcie przed oszklonymi drzwiami, które otworzyłem i wszedłem do znanej mi sali. Byliśmy w kancelarii dożowskiej. Otworzyłem jedno z okien; łatwo wyszedłbym przez nie, ale znalazłbym się w labiryncie małych podwórek otaczających kościół Świętego Marka. Niechże mnie Bóg strzeże od podobnego szaleństwa! Na jednym z biurk dostrzegam żelazne narzędzie o zaokrąglonym ostrzu i z drewnianą rączką, to samo, którym sekretarz kancelarii dziurkuje pergamin, aby przeciągnąć sznurek z ołowianymi pieczęciami. Chwytam owo szydło, otwieram biurko i znajduję list oznajmiający prewedytorowi Korfu o przyznaniu trzech tysięcy cekinów na odrestaurowanie starej fortecy. Szukam tych pieniędzy, ale ich tam nie ma. Mój Boże, z jaką radością zawładnąłbym nimi, i śmiałybym się z mnicha, gdyby mi zarzucił kradzież! Wziąłbym tę kwotę jako dar niebios, uważając, że przysługuje mi do niej prawo zdobywcy.

Podszedłem do drzwi kancelarii i wsadziłem koniuszek swojego zaostrego rygla w zamek, jednak nie trzeba mi było nawet minuty, aby się przekonać, że go nie sforsuję. Postanowiłem więc szybko wybić dziurę w jednej połowie drzwi. Nie zaniedbałem wybrać miejsca prawie wolnego od sęków i zabrałem się do dzieła. Raz koło razu ciosami sztyletu, jak potrafiłem, łupałem i ciałem drzewo. Ksiądz Balbi, który pomagał mi szydłem wziętym z biurka, trząsał się słysząc gromkie echo, jakie budziły uderzenia mego sztyletu przy każdym zagłębianiu się w drzewo. Niewątpliwie słychać nas było z daleka. Orientowałem się w niebezpieczeństwie, ale musiałem mu rzucić wyzwanie.

Po pół godzinie otwór był już dość duży i dzięki Bogu, bo nie mógłbym go już powiększyć bez pomocy piły. Znajdował się o pięć stóp nad ziemią, a jego brzegi poszarpane i ostre, jakby stworzone po to, aby drzeć ubranie i ciało, budziły lęk. Podstawiwszy dwa stołki, jeden obok drugiego, weszliśmy na nie i mnich ze skrzyżowanymi rękami i wyciągniętą głową wsunął się w dziurę. Chwyciwszy go wówczas za uda, a później za nogi przepchnąłem na zewnątrz, a choć było ciemno, robiłem to bez obawy, bo znałem to miejsce. Kiedy już znalazł się poza drzwiami, podałem mu nasz skromny dobytek prócz lin, które rzuciłem. Potem ustawiłem trzeci stołek na tamtych dwóch, wdrapałem się na niego i mając już otwór na wysokości ud wsunąłem się weń aż do podbrzusza, choć z trudem, bo był za wąski, a że nie było też o co rąk oprzeć ani nikogo, kto by mnie przepchnął, jak ja przepchnąłem mnicha, powiedziałem mu, żeby mnie objął wpół i ciągnął mocno do siebie, nawet gdyby mnie miał poszarpać na kawałki. Usłuchał, a ja z zaciśniętymi zębami zniósłem straszliwy ból żywcem rozdieranego ciała na bokach i udach, które krwią spływały. Kiedy zdołałem wreszcie szczęśliwie znaleźć się na zewnątrz, pozbierałem co prędzej manatki i – po zejściu w dół dwiema kondygnacjami schodów – bez trudu otworzyłem drzwi, które wychodziły na galerię kończącą się wielkimi podwojami królewskich schodów. Obok zaś były drzwiczki do gabinetu *Savio alla scrittura*. Te wielkie podwoje stały zamknięte, jak i tamte do sali archiwum; a od pierwszego rzutu oka przekonałem się, że nie otworzę ich bez katapulty lub petardy, którą mógłbym pod nie podsadzić. Mój sztylet w ręku zdawał się mówić: *Hic fines posuit* – „już ci jestem niezdatny, możesz mnie odłożyć”. Zawdzięczałem mu wolność, był więc mi drogi. Zasługiwał na to, by go zawiesić *ex voto* na ołtarzu Wolności i Oswobodzenia.

Idealnie spokojny i zrezygnowany siadłem, zapraszając mnicha, aby uczynił to samo.

– Moje dzieło skończone – powiedziałem – reszta zależy od Boga albo od szczęścia.

*Abbia chi regge il ciel cura del resto,
O la fortuna, se non tocca a lui*²⁶.

– Nie wiem, czy dziś, w dniu Wszystkich Świętych, lub jutro, w Zadzuszki, przyjdą pałacowi sprzątacze. Jeżeli ktoś się pokaże, ucieknę, ledwie otworzy drzwi, a ksiądz niech biegnie za mną. Ale jeżeli nikt nie przyjdzie, nie ruszę się stąd, choćbym miał z głodu skonać.

Usłyszawszy to biedak wpadł w furję. Nazwał mnie szaleńcem, desperatem, kusicielem, oszustem i łgarzem. Pozwoliłem mu gadać pozostając niewzruszony. Tymczasem wydzwoniła trzynasta. Od mojego przebudzenia się na strychu upłynęła zaledwie godzina.

Przede wszystkim najważniejszą rzeczą wydała mi się zmiana wyglądu. Ksiądz Balbi przypominał chłopca, ale był cały i zdrowy, nie widziało się na nim ani łachmanów, ani krwi. Jego kamizelka z czerwonej flaneli i spodnie z fioletowej skóry nie były nigdzie rozdarte, gdy ja mogłem budzić tylko przerażenie i litość, bo zakrwawiona odzież wisiała na mnie w strzępach. Teraz, kiedy ściągnąłem z kolan pończochy, krew puściła się z głębokich zadrapań, bo starłem sobie skórę o rynnę, a w czasie przechodzenia przez otwór w drzwiach kancelarii porodziłem też kamizelkę, koszulę, spodnie i poraniłem biodra i uda. Byłem okropnie pokancerowany na całym ciele. Podarłem więc chustki i obandażowałem się nimi, jak mogłem najlepiej. Potem wdziałem swój piękny frak, który owego zimowego dnia niechybnie sprawiał przekomiczne wrażenie. Rozczesałem włosy, jak się dało, i wepchnąłem je w harbejtel. Naciągnąłem na nogi białe pończochy, włożyłem koszulę z koronkami z braku innej, na nią – dwie podobne, chustki i pończochy porozpychałem po kieszeniach, a to, co pozostało, cisnąłem w kąt. Swój wspaniały płaszcz narzuciłem mnichowi na ramiona; biedak wyglądał w nim tak, jak by go ukradł. Niezawodnie przypominałem człowieka, który spędziwszy po balu noc w jakimś lupanarze wyszedł z niego w takim właśnie stanie. Jedynie obandażowane kolana psuły moją niewczesną elegancję.

Tak przystrojony, w pięknym kapeluszu, zdobnym w złotą hiszpańską koronkę i z białym piórem, otworzyłem okno. Dostrzegli mnie jacyś próżniacy na pałacowym dziedzińcu, a nie rozumiejąc, jakim cudem podobna persona mogła o tak wczesnej godzinie znaleźć się przy tym oknie, pobiegli zawiadomić odźwiernego. Ów zaś pomyślał, że może wczoraj zamknął tam kogoś, i nadszedł z kluczami. Byłem zły na siebie za to pokazanie się w oknie, wcale nie wiedząc, iż los mi się tym dobrze przysłużył. Siedziałem obok mnicha, który ciągle gadał głupstwa, gdy nagle usłyszałem zgrzyt klucza w zamku. Wstałem szalenie podniecony i przyłożywszy oko do wąskiej szpary, co na szczęście przedzielała oba skrzydła drzwi, zobaczyłem samotnego człowieka, w peruce, bez kapelusza, który nie spiesząc się wchodził po schodach z wielkim pękiem kluczy. Z powagą w głosie kazałem mnichowi nie odzywać się słowem, trzymać się mnie jak najbliżej i iść za mną. Potem ująłem w prawą rękę sztylet i ukrywając go pod frakiem stanąłem przy drzwiach, w miejscu, z którego mogłem natychmiast zbiec w dół, gdy się otworzą. Błagałem Boga, aby ów człowiek nie próbował mnie zatrzymać, bo wówczas będąc na to zupełnie zdecydowany – musiałbym go pchnąć sztyletem.

Drzwi otworzyły się – i ujrawszy mnie pocziwina stanął jak wryty. Skorzystałem z jego osłupienia i nie zatrzymując się, bez słowa, szybko zbiegłem w dół, a mnich pospieszył za mną. Udając, że nie uciekam, jednak krokiem żwawym przemierzyłem Schody Olbrzymów i szedłem dalej mimo nawoływań księdza Balbi, który powtarzał bez przerwy: „Uciekajmy do kościoła”.

Do drzwi kościoła mieliśmy nie dalej niż dwadzieścia kroków, ale kościoły w Wenecji przestały już być azylem dla przestępców, toteż nikt się do nich nie chronił. Mnich wiedział o tym, ale strach pozbawił go pamięci. Później twierdził, że starał się nakłonić mnie, abyśmy weszli do kościoła, bo głęboka wiara ciągnęła go do stóp ołtarza.

²⁶ *Abbia chi regge...* – Niech ten, kto włada niebem, zatroszczy się o resztę, lub też fortuna, jeśli to nie jego sprawa.

- Czemu zatem, wielbny księżę, nie wszedłeś sam?
- Nie chciałem cię, panie, opuścić.

Powinien był rzec: „Nie chciałem zostać opuszczony”.

Nietykalność mogłem znaleźć jedynie poza granicami Najjaśniejszej Republiki i ku nim zacząłem się zbliżać: duchem już tam byłem, teraz należało tylko przenieść się ciałem. Skierowałem się ku Królewskim Podwojom i na nikogo nie patrząc, aby nie wzbudzać uwagi, przeciąłem placyk, podszedłem do mola, wsiałem do pierwszej z brzegu gondoli i na cały głos rzuciłem gondolierowi stojącemu w tyle:

- Odwieźcie mnie do Fusine i zawołajcie prędko drugiego gondoliera.

Był pod ręką, a gdy we dwóch odwiązywali gondolę, padłem na poduszki zaścielające jej środek, mnich zaś usadowił się na ławeczce. Zabawna postać księdza Balbi, z gołą głową i we wspaniałym płaszczu na ramionach, mój dziwaczny strój nie odpowiadający porze roku – wszystko to nadawało mi pozory szarlatana lub astrologa.

Kiedy minęliśmy komorę celną, gondolierzy poczęli żwawiej wiosłować po kanale Giudecca, który należy przebyć, aby dostać się do Fusine lub też do Mestre, dokąd właściwie zamierzałem się udać. A gdy byliśmy już w połowie kanału, wysunąłem głowę na zewnątrz i rzekłem do wiosłarza na tyle łodzi:

- Myślisz, że będziemy w Mestre przed czwartą?
- Ależ, panie, pan kazał zawieźć się do Fusine.
- Oszalałeś, mówiłem ci: Mestre.

Drugi gondolier powiedział, że się mylę, a mój głupi mnich, gorliwy chrześcijanin i wielki zwolennik prawdy, nie omieszkał przyznać im racji. W nagrodę za tę głupotę miałem ochotę kopnąć go porządnie, ale przypomniałszy sobie, iż chęć to nie najlepszy doradca, wybuchnąłem głośnym śmiechem i powiedziałem, że może się pomyliłem, ale chodziło mi o Mestre. Nikt nic nie odrzekł, lecz po chwili gondolier oznajmił, że zawiezie mnie nawet do Anglii, jeśli sobie tego życzę.

- Brawo! – odparłem. – A więc do Mestre.
- Będziemy tam za trzy kwadransy, bo płyniemy z wiatrem i z prądem.

Uradowany obejrzałem się za siebie, na kanał, który wydał mi się tak pięknym, jak bym go widział po raz pierwszy, a zwłaszcza dlatego, że nie dostrzegłem na nim żadnej łodzi płynącej za nami. Tego cudnego ranka powietrze było czyste, a pierwsze promienie słońca świeciły wspaniale.

Przybiliśmy wreszcie do Mestre. Nie było tam koni pocztowych, ale ugodziłem się z woźnicą jednego z wielu zresztą powozów, wcale nie gorszych od pocztowych, że w pięć kwadransów dowiezie mnie do Treviso. W trzy minuty założono konie, a ja przypuszczając, że ksiądz Balbi stoi za moimi plecami, odwróciłem się, by powiedzieć „wsiadamy”, ale jego nie było. Wysłałem więc chłopca stajennego na poszukiwanie księdza, postanowiwszy w duchu nagadać mu porządnie, nawet gdyby oddalił się za naturalną potrzebą, albowiem nasza sytuacja nie pozwalała na zaspokajanie żadnych potrzeb, choćby i tych. Jednak po chwili powiedziano mi, że go nigdzie znaleźć nie można. Byłem wściekły. Myślałem już, aby zostawić księdza własnemu losowi, i powinienem był tak uczynić, jednak ludzkie uczucie zwyciężyło. Wsiadłem i zacząłem, o niego rozpytywać; wszyscy go widzieli, ale nikt nie umiał rzec, gdzie się podział. Przebiegłem pod arkadami głównej ulicy i wiedziony instynktem wsunąłem głowę w okno kawiarni. Ujrzałem tam owego nędznika: stał i pił czekoladę zalecając się przy tym do młodej kawiarki. Dojrzawszy mnie wskazał na dziewczynę, oznajmił, że to przemile stworzenie, zapytał, czy nie napiłbym się filiżanki czekolady, każąc jednocześnie zapłacić za swoją, bo nie miał grosza przy duszy. Pohamowałem gniew i odparłem:

– Nie chce mi się pić i proszę, niech się ksiądz pospieszy. Ścisnąłem go przy tym za ramię tak mocno, że aż pobladł z bólu. Zapłaciłem i wyszliśmy. Trząsałem się ze złości. Przybiegliśmy z powrotem, wsiadliśmy do powozu, lecz nie zdążyliśmy ujechać nawet dziesięciu kro-

ków, kiedy napatoczył nam się pewien mieszkaniec Mestre, nazwiskiem Tomasi – człowiek poczciwy, lecz, jak mówiono, pozostający w bliskich stosunkach ze Świętym Oficjum Republiki. Znał mnie i zbliżył się wołając:

- Jak to, to pan tu jesteś? Jakże się cieszę! A więc udało ci się zbiec? Jakżeś to pan zrobił?
- Wcale nie uciekłem, mój panie. Dano mi urlop.
- To niemożliwe, bo jeszcze wczoraj byłem u pana Grimani i wiedziałbym o tym.

Czytelniku, łatwiej ci chyba przyjdzie odgadnąć, co się we mnie działo, niż mnie to opisać. Ujrzałem się przyłapanym przez człowieka, o którym sądziłem, że zapłacono mu za pochwylenie mnie, a do tego dość było mrugnąć okiem na pierwszego ze zbirów licznie kręcących się po Mestre. Powiedziałem, aby mówił ciszej, i wysiadłszy z powozu odciągnąłem go na bok. Zaszliśmy za dom, a widząc, że nikt nas dostrzec nie może oraz że stoimy nad głębokim rowem, za którym rozciągało się szczerze pole, wydobyłem swój sztylet i złapałem zdrajcę za kołnierz. Zrozumiał, do czego zmierzam, wyrwał się gwałtownym ruchem i uciekł za fosę. Nie odwracając się, bez chwili namysłu, co sił w nogach pobiegł prosto przed siebie, a gdy się już nieco oddalił, zwolnił, odwrócił głowę i przesłał parę pocałunków na znak, że mi życzy szczęśliwej podróży. Kiedy mi już znikł z oczu, podziękowałem Bogu, że zwinność tego człowieka ustrzegła mnie przed zbrodnią, bo byłbym go przebił sztyletem, choć nie miał przecież złych intencji.

Byłem w okropnej sytuacji: sam jeden w otwartej wojnie z całą potęgą Republiki. Przewrotność stała się dla mnie teraz najwyższym prawem, a wzgląd na własną przyszłość zabraniał wszelkich skrupułów w drodze do celu.

Ponury jak człowiek, który właśnie uniknął śmiertelnego niebezpieczeństwa, rzuciłem pogardliwe spojrzenie nędznemu mnichowi, który zrozumiał nareszcie, na jakie ryzyko nas wystawił, i wsiałem do powoziku. Rozmyślałem, jak by się pozbyć tego cymbała, który nie śmiał ust otworzyć. Bez żadnych dalszych spotkań przybyliśmy do Treviso, gdzie kazałem poczmistrzowi przygotować dwukonny powóz na godzinę siedemnastą. Wcale jednak nie zamierzałem korzystać z poczty w dalszej drodze, przede wszystkim dlatego, że nie miałem na to pieniędzy, a po drugie – z obawy przed pogonią. Oberżysta zapytał, czy chcę zjeść obiad: przydałoby mi się to dla podtrzymania sił, bo byłem śmiertelnie wyczerpany ale zabrakło mi odwagi. Nawet piętnastominutowa zwłoka mogłaby się okazać fatalną w skutkach. Bałem się, że mnie złapią, i musiałbym się z tego powodu rumienić przez całe życie; albowiem w szczerym polu człowiek mądry powinien kpić sobie z czterystu tysięcy ludzi, a jeśli nie zdoła się przed nimi ukryć, jest po prostu głupcem.

Wyszedłem przez bramę Św. Tomasza, jak bym się przechadzał, a gdy już miałem za sobą jedną milę po szosie, skręciłem w pola, zdecydowany nie porzucać ich, dopokąd będę na terenie Republiki. Najkrótsza droga wiodła przez Bassano, wybrałem jednak dłuższą, bo zapewne czekano już na mnie przy najbliższym przejściu granicznym i nikomu chyba nie przyszło do głowy, że po to, aby wyjść za obręb Republiki Weneckiej i dostać się pod jurysdykcję biskupa Trentu, skorzystam z owej dłuższej drogi przez Feltro.

Wędrowałem tak trzy godziny, aż wreszcie padłem na ziemię zupełnie wyczerpany. Musiałem się teraz posilić, jeżeli nie chciałem umrzeć. Kazałem więc mnichowi położyć płaszcz przy mnie, pójść do zagrody, którą widziałem w pobliżu, nabyć coś do jedzenia i przynieść mi tutaj. Dałem mu też pieniądze na to. Odszedł mówiąc, iż sądził mnie znacznie odważniejszym. Ten nicpoń nie wiedział, co to odwaga, był jednak rańniejszy ode mnie, a w dodatku przed ucieczką z więzienia na pewno dobrze napchał sobie brzuch. Zresztą wypił filiżankę czekolady, budowę miał bardziej wątlą i był mnichem, a przewrotność i poczucie honoru nie dręczyły tak jego duszy kosztem ciała.

Mimo że owo domostwo nie było oberżą, poczciwa gospodyni przysłała mi przez chłopkę obfity obiad, który kosztował zaledwie trzydzieści weneckich soldów. Gdy zaspokoilem głód, czując, że sen mnie morzy, co prędzej wyruszyłem w dalszą drogę, dość dobrze zorientowany

w okolicy. Po czterogodzinnym marszu zatrzymałem się za jakąś wioseczką, a wiedziałem, że od Treviso odszedłem już dwadzieścia cztery mile. Byłem u kresu sił: kostki u nóg mi spuchły, trzewiki zdarty się. Do zmroku miałem tylko godzinę. Wyciągnąłem się więc wśród kępy drzew, kazałem księdzu Balbi usiąść obok i przemówiłem do niego w te słowa:

– Udamy się do Borgo di Valsugano. Jest to pierwsze miasto poza granicami Republiki. Tam będziemy równie bezpieczni jak w Londynie i będziemy mogli wypocząć. Ale by się tam dostać, musimy zachować elementarną ostrożność. Ta zaś przede wszystkim nakazuje nam się rozdzielić. Ksiądz pójdzie przez las Mantello, ja zaś poprzez góry; ksiądz drogą łatwiejszą i krótszą, ja dłuższą i trudniejszą. I w końcu ksiądz zaopatrzony w pieniądze, gdy ja bez grosza. Daruję też księdzu mój płaszcz, który ksiądz może zamienić na kapotę i kapelusz, a wtedy każdy będzie myślał, że ma do czynienia z wieśniakiem, bo na szczęście na takiego ksiądz wygląda. Proszę, oto wszystkie pieniądze pozostałe z dwóch cekinów pożyczonych od hrabiego Asquina: w sumie siedemnaście liwrow. Proszę je wziąć. Ksiądz stanie w Borgo pojutrze wieczorem, ja zaś przybędę w dwadzieścia cztery godziny później. Spotkamy się w pierwszej oberży na lewo, a ksiądz może być pewien, że przybędę punktualnie. Dziś w nocy muszę się przespać w wygodnym łóżku i z pomocą Opatrzności gdzieś je tu znajdę, lecz potrzebny mi jest też spokój, a z księdzem go nie zaznam. W tej chwili na pewno rozesłano pogoń na wszystkie strony i nasz wygląd jest tak dokładnie podany, że zatrzymano by nas w każdej oberży, do której razem byśmy weszli. Ksiądz widzi, w jakim opłakanym znajduję się stanie, który wymaga przynajmniej dziesięciu godzin wypoczynku. A zatem: do widzenia; proszę odejść i pozwolić mi odejść w moją stronę. Poszukam sobie schronienia gdzieś tu w pobliżu.

– Spodziewałem się podobnych słów z pańskich ust – odparł Balbi – i za całą odpowiedź, mój panie, przypomnę ci obietnicę daną wówczas, gdy mnie namówiłeś do wybicia otworu w pańskiej celi. Przyrzekłeś mi, że już się nie rozdzielimy, a więc nie liczę teraz, iż odejdę od ciebie. Twój los niechaj będzie moim losem, a mój – twoim. Za pieniądze znajdziemy pewne schronienie; nie pójdziemy do oberży i nikt nas nie zatrzyma.

– A więc, mój ojczy, zdecydowanie nie chcesz pójść za radą, której ci udzieliłem pod wpływem przezorności?

– Tak, zdecydowanie.

– No, to zobaczymy.

Wstałem nie bez trudu: zmierzyłem jego wzrost i nakreśliłem odpowiedni prostokąt na ziemi. Później wyciągnąwszy swój sztylet pochyliłem się nisko, niemal ległem na lewym boku i z najzimniejszą krwią zacząłem ryc grób nie odpowiadając na pytania, które mi Balbi zadawał. Po kwadransie takiej pracy, ze smutkiem zacząłem poglądać na niego i powiedziałem, że jako dobry chrześcijanin muszę mu rzec, aby Bogu duszę polecił:

– ... bo pogrzebie cię tutaj martwego lub żywego; a jeżeli ksiądz jest silniejszy ode mnie, ksiądz mnie tu pogrzebiesz. Oto do czego doprowadzi mnie twój nieopatrzny upór. A jednak możesz uratować się, bo nie będę cię gonił.

Widząc, że mi nie odpowiada, znów zabrałem się do pracy, ale przyznaję że lęk mnie zdjął, kiedy pomyślałem, do czego zmusza mnie ten brutal bo byłem jednak zdecydowany uwolnić się od niego.

W końcu pod wpływem strachu lub namysłu podskoczył do mnie. Nie wiedząc, co zamierza, przystawiłem mu ostrze sztyletu do piersi. Ale była to próżna obawa.

– Zrobię wszystko, czego pan żądasz – powiedział.

Uściskałem go natychmiast i oddawszy mu wszystkie pieniądze raz jeszcze powtórzyłem solenną obietnicę stawienia się w Borgo, a choć bez grosza w kieszeni i z czekającą mnie przeprawą przez dwie rzeki, rad byłem, że zdołałem pozbyć się człowieka o tak podłym charakterze, bo wiedziałem, że samemu uda mi się przejść granicę mojej ukochanej ojczyzny.

IDĘ NA NOC DO DOMU SZEFA ZBIRÓW – WYSYPIAM SIĘ DOSKONALE I ODZYSKUJĘ SIŁY I ZDROWIE – UDAJĘ SIĘ NA MSZĘ; AMBARASUJĄCE SPOTKANIE – GWAŁTEM ZMUSZONY JESTEM ZDOBYĆ SZEŚĆ CEKINÓW – UCHODZĘ BEZPIECZNIE ZA GRANICĘ

Skoro ujrzałem, że ojciec Balbi oddalił się już dość znacznie, wstałem z ziemi, a widząc niedaleko na wzgórkach pastucha przy niewielkim stadzie, skierowałem się ku niemu po parę niezbędnych informacji.

– Mój przyjacielu, powiedzże mi, jak się nazywa ta wioska? – zapytałem.

– Valdepiadene, wielmożny panie.

Zdumiałem się, albowiem odszedłem o wiele dalej, niżem przypuszczał. Później zagadnąłem pastucha o nazwisko właścicieli paru domów stojących wkoło, i tak się jakoś złożyło, że znałem tych wszystkich ludzi. Nie mogłem się jednak u nich pokazać z obawy, aby nieszczęścia na nich nie ściągnąć.

Na moje pytanie, kto jest właścicielem stojącego w pobliżu pałacu, pastuch wymienił mi ród Grimanich, którego nestor był wówczas inkwizytorem stanu i w tym momencie powinien był bawić w pałacu. Musiałem się więc dobrze strzec, aby się nikomu nie pokazać na oczy. Wreszcie gdy zapytałem, do kogo należy czerwony domek widoczny w oddali, pastuch odrzekł mi, że do tutejszego szefa zbirów. Zaskoczyło mnie to, jednak pożegnawszy się z pastuchem machinalnie jałem schodzić ze wzgórza i do dziś nie mogę zrozumieć, co za tajemniczy instykt kazał mi pójść właśnie do tego domu, przed którym i rozum, i lęk powinny były mnie ostrzec. Szedłem prosto jak strzełił i muszę przyznać otwarcie, że moimi krokami bynajmniej nie kierowała zdecydowana wola. Jeżeli prawdą jest, że wszyscy posiadamy jakiś tajemniczy rozum, jakiegoś opiekuńczego ducha, który nas wiedzie ku szczęściu, jak to się parę razy przydarzyło Sokratesowi, to mojemu muszę przypisać ów nieodparty impuls, co mnie zawiódł w progi domu najgroźniejszego dla mnie wówczas człowieka. Tak czy owak był to najzuchwalszy czyn w moim życiu.

Wszedłem nie wahając się i zobaczywszy na podwórzu dziecko, które zabawiało się puszczaniem bąka, zapytałem je najspokojniejszym w świecie tonem, gdzie jest ojciec. Zamiast odpowiedzieć, pobiegło po matkę, a za chwilę ukazała się bardzo ładna kobieta w poważnym stanie i niezwykle uprzejmie zapytała, czego sobie życzę od jej męża, wyjaśniając, że go nie ma w domu.

– Przykro mi – odparłem – że nie zastaję mego kuma, ale jestem uszczęśliwiony, że mogę poznać jego piękną żonę.

– Pańskiego kuma? A więc mówię z Jego Ekscelencją panem Vetturi? Mąż powiedział mi, że pan łaskawie przyrzekł mi trzymać do chrztu dziecko, które noszę w łonie. Bardzo mi przyjemnie poznać pana, a mąż będzie w rozpacz, że pan go nie zastał.

– Mam nadzieję, że wróci niebawem, bo zamierzałem prosić go o udzielenie gościny na dzisiejszą noc. Nie chciałbym szukać noclegu gdzie indziej w tym stanie.

– Dam Waszej Ekscelencji najwygodniejsze łóżko w domu i przygotuję dobrą kolację, a mój mąż, skoro wróci, pospieszy podziękować za wyświadczony nam zaszczyt. Ledwie godzinę temu wyruszył ze wszystkimi swoimi ludźmi i nie spodziewam się go z powrotem wcześniej niż za jakieś trzy, cztery dni.

– A gdzie zabawi tak długo, moja piękna kumo?

– Czyżbyś pan nie wiedział, że dwóch więźniów zbiegło spod Ołowianego Dachy? Jeden to patrycjusz, a drugi to niejaki Casanova. Messer Grande w liście nadesłanym mężowi

rozkazuje szukać zbiegów. Jeśli ich spotka, odstawi obu do Wenecji, a jeśli nie – wróci tutaj, ale będzie poza domem co najmniej trzy dni.

– Przykro mi, że tak się stało, droga kumo, nie sprawię Jednak pani zbytniego kłopotu, tym bardziej że chciałbym jak najprędzej położyć się do łóżka.

– Zaraz się to zrobi, a moja matka zakrzętnie się koło pana. Ale co to się panu stało w kolano?

– Upadłem polując w górach. Poraniłem się dotkliwie i straciłem dużo krwi, co mnie bardzo osłabiło.

– O, mój biedny panie! Moja matka pana opatrzy.

Przywołała matkę i powiedziawszy jej, jak mnie ma obsłużyć, odeszła. Owa piękna żona zbira nie znała się na zawodzie męża, albowiem nic tak nie było podobne do bajki jak historyjka, którą jej opowiedziałem. Konno w białych jedwabnych pończochach! Na polowanie – w taftowym fraku! Bez płaszcza, bez służby... Mąż dobrze się z niej wyśmiej po powrocie, ale niechże ją Bóg nagrodzi za dobre serce i błogosławioną naiwność! Jej matka zaopiekowała się mną z uprzejmością, jakiej mógłbym się spodziewać od najlepiej urodzonych osób.

Obejrawszy moje kolana i biodra oznajmiła z przejęciem, że muszę się przygotować na ból, lecz za to na jutro będę już całkiem zdrowy. Powinienem tylko wyleżeć całą noc bez ruchu w łóżku z mokrymi serwetkami na ranach. Obiecałem znieść ból cierpliwie i zastosować się do tych wskazówek. Podała mi dobrą kolację, którą zjadłem z apetytem. Później opatrzyła moje rany i usnałem na jej rękach. Sądzę, że rozebrała mnie jak dziecko, bo po przebudzeniu nic nie pamiętałem, byłem też jak niemy, a w głowie miałem pustkę. I aczkolwiek kolację zjadłem ze smakiem, uczyniłem to jedynie z rozsądku: dla zaspokojenia potrzeb żołądka i podreperowania nadwężonych sił. A jeśli zasnąłem to dlatego, że nieodparta konieczność i wyczerpanie fizyczne wzięły górę nad przezornością. Zjadłem kolację o godzinie pierwszej w nocy, a nazajutrz zbudziwszy się usłyszałem, że bije trzynasta, i sądziłem, iż to jakoweś czar. Rozbudziwszy się na dobre i przypomniawszy sobie, gdzie jestem, co prędzej uwolniłem się od serwetek i z radością stwierdziłem, iż moje rany zabiłżniły się i przestały mi doskwierać. Przygładziłem włosy, ubrałem się w niecałe pięć minut i znalazłszy drzwi pokoju otwarte, zszedłem na dół, przeciąłem podwórko i pożegnałem się z tym domem udając, że nie widzę stojących w pobliżu dwóch osobników, którzy niewątpliwie byli zbirami. Szybko oddaliłem się od tego miejsca, gdzie zaznałem najbardziej serdecznej gościny, najszczerzej uprzejmości, najwspanialszej opieki, a co najważniejsze – gdzie odzyskałem zdrowie i siły. Ale bez przerażenia nie mogłem pomyśleć o strasznym niebezpieczeństwie, którego na szczęście uniknąłem. Trząsałem się mimo woli i jeszcze dziś, po tylu latach, dreszcz mnie przenika na myśl o nieszczęściu, jakie mogłem na siebie ściągnąć tym nieopatrzonym krokiem... Wydawało mi się niemożliwe, abym nie był śledzony. Pięć godzin szedłem lasami i górami, ani razu nie odwróciwszy głowy, i spotkałem tylko paru chłopów.

Jeszcze przed południem, kiedy wytrwale maszerowałem dalej, zatrzymało mnie bicie dzwonu. Byłem akurat na wzgórzu i spojrzawszy w bok, skąd dolatywał ten dźwięk, ujrzałem mały kościółek w dole i tłum ludzi idący na mszę. Przyszło mi do głowy, żeby również wejść; czułem potrzebę podziękowania Opatrzności za widomy dowód łaski i choć cała przyroda wokół wydawała mi się godną Świątynią Pańską, przyzwyczajenie ciągnęło mnie do kościoła. Bo człowiekowi w strapieniu każda myśl wydaje się natchnieniem boskim. Akurat był Dzień Zaduszny. Zbiegam więc ze wzgórza, wchodzę do kościoła i ku memu wielkiemu zdziwieniu widzę Marka Antoniusza Grimani, siostrzeńca inkwizytora stanu, w towarzystwie małżonki pani Marii Visani. Byli zaskoczeni moim widokiem. Skłoniłem się im głęboko; odpowiedzieli ukłonem, a kiedy wyszedłem po mszy, Grimani sam poszedł za mną. Po kilkunastu krokach zbliżył się i powiedział:

– Co pan tu robisz, panie Casanova? Gdzie twój kompan?

– Dałem mu tę trochę pieniędzy, które miałem, by uciekał inną drogą, gdy ja, bez grosza przy duszy, próbuję się salwować tędy. Gdyby pan, Ekscelencjo, zechciał okazać mi małą pomoc, łatwiej wykaraskałbym się z tych oparów.

– Nie mogę panu nic dać, lecz po drodze znajdziesz pan pustelników, którzy nie pozwolą ci skonać z głodu. Ale powiedzże mi, jakim sposobem. zdołałeś wydostać się z więzienia.

– Opowieść byłaby ciekawa, lecz długa, a tymczasem eremici mogliby zjeść tę żywność, co ma mnie uratować od głodowej śmierci.

Kończąc tę ironiczną replikę skłoniłem się głęboko i ruszyłem w dalszą drogę. Mimo że byłem w skrajnej potrzebie, ta odmowa jałmużny sprawiła mi przyjemność. Czułem się znacznie szlachetniejszym od Jego Ekscelencji, który mnie odesłał z moją prośbą do wspa-
niałomyślności pustelników. Później dowiedziałem się w Paryżu, że jego żona ostro mu wy-
rzuciła ten nielitościwy postępek.

Szedłem aż do zachodu słońca. Potem, u kresu sił, śmiertelnie głodny przystanąłem obok jakiegoś samotnego, mile wyglądającego domku. Zażądałem rozmowy z właścicielem, lecz stróż odparł mi, że go nie ma; wyjechał na ślub po drugiej stronie rzeki, a wróci za dwa dni. Wyjeżdżając rozkazał jednak, aby gościnnie podejmowano jego przyjaciół. Opatrzność! Szcześnie! Traf! Wszystko, co chcecie.

Wchodzę, częstują mnie dobrą kolacją, wygodnym łóżkiem. Po adresach na wielu koper-
tach orientuję się, że jestem u pana Rombenchi, konsula nie wiem jakiego państwa. Napisa-
łem do niego list, który zostawiłem zapieczętowany. Po dobrej wieczerzy i wspaniałym wy-
spaniu się wstałem i dość starannie ubrawszy się, wyszedłem, nie mogąc nawet dać żadnego
napiwka poczciwemu stróżowi.

Spacerem przeprowiłem się przez rzekę obiecując przewoźnikowi zapłacić za powrotem. Po pięciogodzinnym marszu zjadłem obiad w klasztorze kapucynów, którzy, jak zauważyłem, są niezwykle przydatnymi ludźmi w podobnych okolicznościach. Wypocząwszy co nieco, wyruszyłem dalej świeży i rześki i szedłem rażno aż do dwudziestej drugiej godziny. Potem wstąpiłem do domu mojego znajomego, a o tym, że to była jego siedziba, dowiedziałem się od jakiegoś wieśniaka. Wchodzę, pytam, czy zastałem gospodarza. Wskazują mi jego pokój, gdzie siedzi samotnie i pisze. Zbliżam się, aby go uścisnąć, ale na mój widok cofa się przera-
żony i mówi, że mam się natychmiast wynosić, bez chwili zwłoki, i motywuje owo żądanie w sposób obraźliwy i błahy. Przedkładam mu moją sytuację, mówię, czego mi potrzeba, i proszę o pożyczkę sześćdziesięciu cekinów pod rewers, za który zapłaci pan Bragadin. Odpowiada mi na to, że nie może mi pomóc, nawet nie da szklanki wody, albowiem drży ze strachu, że wpuściwszy mnie pod swój dach, narazi się Trybunałowi. Ten sześćdziesięcioletni człowiek, makler giełdowy, wiele mi zawdzięczał, toteż jego nielitościwa odmowa podziałała na mnie zupełnie inaczej niż odmowa pana Grimani. Czy to uniesiony gniewem, czy oburzeniem, czy też wiedziony rozsądkiem lub instynktem, chwyciłem go za kołnierz, wydobyłem swój sztylet i podniesionym głosem oświadczyłem, że go zamorduję. Trzęsąc się z przerażenia wyciągnął klucz z kieszeni i wskazawszy sekretere powieź, że w niej trzyma pieniądze i że mogę sobie wziąć, ile mi trzeba. Kazałem, ażeby sam ją otworzył. Usłuchał, a gdy wyciągnął szu-
fladę, w której trzymał złoto, poleciłem mu wyliczyć mi sześć cekinów.

– Pan żądałeś sześćdziesięciu?

– Tak, wówczas, gdym się ich spodziewał jako przyjacielskiej pożyczki, ale teraz, kiedy muszę uciec się do siły i gwałtu, poprzestanę na sześciu, nie dając w zamian rewersu. Odbie-
rzesz je, tchórz i obwiesiu, w Wenecji, dokąd napiszę, do czegoś mnie przymusił.

– Błagam, racz mi wybaczyć i weź pan więcej.

– Nie, ani grosza ponad to. Odchodzę i radzę ci: daj mi odejść spokojnie, albowiem pa-
miętaj, że w tej rozpacz gotowem wrócić i podpalić twój dom.

Wyszedłem i jeszcze dwie godziny byłem w drodze, aż wreszcie noc i znużenie kazały mi poszukać noclegu w domku jakiegoś wieśniaka. Zjadłem tam lichą kolację i przespałem się na słomie. Rano kupiłem zniszczony redyngot, wynająłem osła na dalszą drogę, a w pobliżu Feltre nabyłem parę butów. Tak wyposażony minąłem strażnicę nazywaną „La Scala”. Był tam strażnik, który nie wyświadczył mi nawet zaszczytu zapytania o nazwisko, a czytelnik łatwo domyśli się, że pozostał mu za to wdzięczny. Tam wynająłem już dwukonny wózek i wczesnym rankiem przybyłem do Borgo de Valsugano, gdzie we wskazanej oberży czekał już ojciec Balbi. Ale gdyby mnie nie był zaczepił, nie byłbym go poznał. Długi i szeroki redyngot, kapelusz z opuszczonym rondem, wdziany na zwykłą bawełnianą myckę, odmieniły go zupełnie. Powiedział mi, że jakiś wieśniak dał mu to wszystko w zamian za mój płaszcz, że przedostał się tu bez trudu i że już zdążył sobie dobrze podjeść. Zrobił mi też komplement, oświadczając, że wcale się mnie nie spodziewał, albowiem wątpił o szczerości mojej obietnicy. Może i lepiej bym uczynił nie sprawiając mu zawodu.

Następny dzień spędziłem w owej oberży i nie porzucając łóżka napisałem z górą dwadzieścia listów do Wenecji.

Odprułem też galony od mego stroju, sprzedałem kapelusz i w ten sposób rozstałem się z luksusem niepotrzebnym w mojej sytuacji, bo zbyt wpadającym w oczy.

Nazajutrz poszedłem spać do Pergine, gdzie odwiedził mnie młody hrabia d’Alberg, który Bóg wie jakim cudem dowiedział się, że zbiegliśmy z więzienia w Wenecji. Z Pergine udałem się do Trento i do Bolzano, i tam – gwałtownie potrzebując pieniędzy na ubranie, bieliznę oraz na dalszą drogę – poszedłem do pewnego starego bankiera nazwiskiem Mensch. Dał mi on zaufanego człowieka, przez którego posłałem list do pana Bragadina w Wenecji. Stary bankier umieścił mnie w przyzwoitej oberży i tu sześć dni spędziłem w łóżku czekając na powrót wysłańca. Przywiózł mi sto cekinów i zacząłem od tego, że ubrałem mojego towarzysza, a dopiero później samego siebie. Nieszczęsny Balbi codziennie przysparzał nowych dowodów, że jego towarzystwo jest nie do zniesienia. Ciągle wypominał, że bez jego pomocy nie zdołabym uciec i że zgodnie z obietnicą winienem mu połowę mojego przyszłego majątku. Kochał się we wszystkich służących, a że ani z postawy, ani z wyglądu nie był stworzony, aby im się podobać, zbierał tylko policzki, które przyjmował z przykładną cierpliwością, a po dwudziestu czterech godzinach zaczynał na nowo. Bawiło mnie to wprawdzie, jednak było mi przykro, że jestem związany z tak nędzną kreaturą.

Z Bolzano Casanova jedzie do Monachium i tu szczęśliwie uwalnia się od towarzystwa księdza Balbi, choruje, spotyka starych przyjaciół i wreszcie ląduje w Paryżu. Jest świadkiem zamachu na Ludwika XV i nie byłby Casanova, gdyby go los w to nie wplątał, zresztą przypadkowo i niegroźnie. Ma wiele przygód miłosnych i innych, i dziwnym trafem, bodaj przez żart razem z niejakim Calsabigi staje się organizatorem loterii – jak byśmy dziś powiedzieli – państwowej, której celem było zdobycie funduszu na szkołę wojskową. Przy tym przedsięwzięciu Casanova, według własnych zapewnień, zarabia sto tysięcy franków rocznie. Poznaje też słynną markizę d’Urfé, alchemiczkę i sawantkę, opętaną na punkcie nauk tajemnych, rzekomo komunikującą się z gnomami i sylfami. Pani d’Urfé odegrała znaczną rolę w życiu Casanovy, nieraz przychodziła mu z pomocą i często padała ofiarą jego zawiłych i niezbyt etycznych intryg.

HRABIA DE LA TOUR-D'Auvergne i Pani d'Urfé...

Najwięcej przyjemności sprawiało mi bywanie u Kamilli, aktorki i baletnicy Komedii Włoskiej, kobiety, w której kochałem się jeszcze przed siedmiu laty w Fontainebleau. W swoim małym, ładnym domeczku przy rogatkach Blanche, gdzie mieszkała razem z hrabią d'Aigreville, bardzo do mnie przywiązany i przepadającym za mną, potrafiła zgromadzić przemiłe towarzystwo... Hrabia cieszył się niezmiernie, kiedy u jego kochanki było rojno i gwarno; szczególny gust i rzadki, ale bardzo wygodny, a jednocześnie świadectwo charakteru ufnego i braku przesadnej zazdrości. Kamilla zaś kochała tylko jego – rzecz nieczęsto spotykana u aktorki i kobiety zalotnej – ale będąc rozsądną i znając życie, nie sprawiła zawodu nikomu, kto się do niej zalecał...

Po swoim kochanku największymi względami darzyła hrabiego de la Tour-d'Auvergne, człowieka wysokiego rodu, który ją ubóstwiał, lecz nie był na tyle bogatym, aby ją posiadać wyłącznie dla siebie; toteż wydawał się zupełnie zadowolony z tej cząsteczki, jakiej mu udzielała.

Pewnego wieczoru, kiedy byłem akuratnie w foyer Komedii Włoskiej, podszedł do mnie la Tour-d'Auvergne i poprosił o pożyczenie stu ludwików obiecując, że je odda w najbliższą sobotę.

– Niestety, nie mam takiej kwoty – odparłem – ale oto moja sakiewka. Dysponuj, hrabio, jej zawartością.

– Drogi przyjacielu, potrzebuję natychmiast stu ludwików, bo tyle przegrałem wczoraj wieczór u księżnej d'Anhalt.

– Ależ ja nie mam tyle.

– Kolektor loterii chyba ma zawsze ponad sto ludwików.

– Zgoda, ale ta kasa jest święta. Od dziś za tydzień muszę wpłacić pieniądze w całości.

– Uzupełnisz pan brak w poniedziałek, bo dług oddam ci w sobotę. Wyjmij sto ludwików z kasy i włóż w zamian moje słowo honoru. Uważałbyś, że nie jest warte sto ludwików?

– Nie mam na to nic do powiedzenia. Proszę, zaczekaj pan. Wrócę za chwilę.

Biegnę do swojego biura, biorę sto ludwików i przynoszę je. Mija sobota, hrabiego ani śladu, a że byłem bez grosza, musiałem w niedzielę zastawić swój pierścień i oddać kasie, mojej wierzycielce, owe sto ludwików, com był jej dłużny. Nazajutrz zdałem pieniądze agentowi. A w parę dni później w amfiteatrze Komedii Francuskiej podchodzi do mnie z przeprosinami hrabia de la Tour-d'Auvergne. Pokazałem moją rękę bez pierścienia, mówiąc, że musiałem go zastawić dla ratowania honoru. Wyjaśnił mi wielce zasmucony, że sprawiono mu zawód, ale że z pewnością odda mi owe sto ludwików w przyszłą sobotę.

– Masz pan na to – dorzucił – moje słowo honoru.

– Pańskie słowo honoru mam już w mojej kasie. Pozwól więc, panie hrabio, że nie będę nań liczył. Oddasz mi pan sto ludwików, kiedy będziesz mógł.

Na te słowa hrabia zbladł jak trup.

– Mój honor, drogi Casanova, jest mi milszy nad życie, toteż zwrócę panu sto ludwików jutro o dziewiątej rano w miejscu oddalonym o sto kroków od kawiarni przy końcu Champs Elysées. Obejdziemy się przy tym bez asysty. Mam nadzieję, że stawisz się pan nie zapomniawszy zabrać szpady. Będę cię czekał z moją.

– Tam do licha, panie hrabio, za drogo każesz mi płacić za mój żart. Oczywiście twoja propozycja to wielki zaszczyt dla mnie, ale wolę prosić cię o przebaczenie, jeśli wystarczy za całą sprawę.

– Nie, moja wina jest znacznie większa od twojej i mogę ją wymazać tylko ostrzem szpady. Czy pan się stawisz?

– Nie wolno mi odmówić, aczkolwiek sprawia mi to wielką przykrość.

Do kawiarni przybyłem wkrótce po hrabim: zjedliśmy śniadanie, za które zapłacił. Potem wyszliśmy i udaliśmy się ku Etoile. Kiedy byliśmy już z daleka od ludzkich oczu, hrabia wyciągnął z kieszeni rulon z setką ludwików i podając mi go z wielkopańską miną oznajmił, że jedno skrzyżowanie szpady wystarczy nam obu. Nie mogłem zdobyć się na żadną odpowiedź.

Wtedy odstąpił o cztery kroki i wydobył szpadę. Naśladowałem go w niemym milczeniu i zaraz po skrzyżowaniu broni postąpiwszy krok naprzód zadałem sztych wyciągniętym na całą długość ramieniem. Pewny, że trafiłem w pierś, odskoczyłem i przypomniałem hrabiemu jego słowa.

Łagodny jak baranek opuścił szpadę, a przyłożywszy rękę do piersi, odjął ją po chwili skrwawioną i rzekł przyjaźnie:

– To mi wystarcza.

Powiedziałem mu, jak umiałem i jak powinienem być, moc uprzejmości, gdy on opatrywał ranę chustką, i przyjrzawszy się końcowi szpady przekonałem się z wielką radością, że weszła w ciało najwyżej na jedną dwunastą cala. Uściskawszy go i uroniwszy parę łez wróciłem do domu wielce strapiony i bogatszy o jeszcze jedno ważne doświadczenie. Nikt się niczego nie dowiedział o tej sprawie i w tydzień później miło zjedliśmy razem kolację u Kamilli.

Kiedy po paru dniach odwiedziłem Kamillę, powiedziała mi, że hrabia la Tour-d' Auvergne leży zmorzony silnym atakiem sciatyki²⁷ i jeżeli chcę, możemy go jutro wspólnie odwiedzić. Przystałem chętnie i pojechaliśmy. Po obiedzie z poważną miną powiedziałem hrabiemu, że go uzdrowię, jeżeli mi zaufa, bo cierpi nie na to, co się określa mianem sciatyki, lecz na wilgotne wiatry, które przepędzę za pomocą tajemniczego znaku Salomona i zaklęcia z pięciu słów. Roześmiał się, ale pozwolił mi działać.

– Idę wobec tego kupić pędzel.

– Poślę służącego.

– Nie, bo muszę być pewien, że się nie targowano o niego. A poza tym brak mi też kilku leków. Kupię saletry, kwiatu siarki, rtęci i mały pędzelek.

Kiedy zaś wróciłem z tymi zakupami, powiedziałem:

– Potrzebuję też nieco pańskiego... ów płyn jest mi koniecznie potrzebny i musi być całkiem świeży.

Oboje z Kamillą wybuchnęli śmiechem, jednak nie przeszkodziło mi to zachować całej powagi szarlatana. Podałem hrabiemu kubeczek i skromnie zasunąłem firanki przy łóżku. Zrobił, co chciałem.

Wymieszałem wszystkie składniki i powiedziałem Kamilli, aby je wcierała choremu w biodro, gdy ja będę mruczał zaklęcia. Ale uprzedziłem ją, że jeżeli roześmieje się przy tym, wszystko będzie stracone. Ta groźba tylko jeszcze bardziej ich rozbawiła i śmieli się teraz bez przerwy, a kiedy myślałoby się, że już opanowali wesołość, wystarczyło, żeby na siebie spojrzeli i po krótkiej walce wybuchali nowym śmiechem. Zacząłem sądzić, że żądam niemożliwości, aż wreszcie po półgodzinnym zrywaniu boków zrozumieli, iż muszą spoważnieć i naśladować mój niewzruszony spokój. Hrabia pierwszy wziął się w karby i z całą powagą obnażył biodro. Kamilla zaś, wyobrażając sobie, iż gra rolę na scenie, poczęła je nacierać, gdy ja półgłosem mamrotałem słowa, których nigdy w życiu nie mogliby zrozumieć, nawet gdybym je wygłaszał jak najwyraźniej, choćby dlatego, że sam ich nie rozumiałem.

²⁷ Sciatyka – ischias.

Patrząc na miny, które stroili, aby zachować powagę, o mały włos nie roześmiałem się i nie zepsułem całego zabiegu. Kamilla była przekomiczna! Powiedziałem jej wreszcie, że dosyć tego nacierania, i umoczywszy pędzel w amalgamacie, jednym pociągnięciem nakreśliłem hrabiemu na biodrze pięcioramienną gwiazdę, tak zwany znak Salomona. Następnie owinałem biodro w trzy ręczniki i powiedziałem hrabiemu, że jeżeli zdoła spokojnie wyleżeć w łóżku dwadzieścia cztery godziny, nie zdejmując ręczników, gwarantuję wyzdrowienie. A najzabawniejsze, że kiedy skończyłem, ani hrabia, ani Kamilla już się nie śmieli. Byli oczarowani, a ja... mnie wydawało się, że dokonałem najwspanialszej rzeczy w świecie. Uporczywym powtarzaniem kłamstwa można dopiąć tego, że się w nie uwierzy.

W cztery do pięciu dni później, kiedy już prawie zupełnie zapomniałem o całej komedii, usłyszałem, że ktoś zajechał pod dom. Wyrząłem przez okno i zobaczyłem hrabiego de la Tour-d'Auvergne, który zwinnie wyskoczył z powozu i wbiegł do sieni.

– Drogi przyjacielu, musiałeś być pewien swojej nadzwyczajnej kuracji, skoro nie odwiedziłeś mnie nazajutrz, aby się dowiedzieć, jak się czuję – powiedział obejmując mnie.

– Istotnie byłem pewien, gdyby jednak nie brak czasu, niechybnie ujrzałbyś mnie, hrabio, u siebie.

– Powiedz mi, proszę, czy mogę się wykapać?

– Żadnej kąpieli, dopóki nie poczujesz się pan zupełnie zdrow.

– Nie złamię zakazu. Drogi przyjacielu, zdumiałeś wszystkich tą kuracją, bo nie mogłem powstrzymać się i opowiedziałem o niej moim znajomym. Wprawdzie znaleźli się mądrale, którzy śmieją się ze mnie, ale niech tam.

– Lepiej byłoby, gdybyś nic nikomu nie mówił. Znasz, hrabio, Paryż. Okrzyczą mnie szarlatanem.

– Nie wszyscy tak myślą. Przyjechałem zaś, aby cię prosić, mój panie, o pewną grzeczność.

– O cóż chodzi?

– Mam. ciotkę, słynną i ogólnie uważaną za wielce uczoną w naukach abstrakcyjnych. Rozmówiona w chemii, bardzo bogata, jedyna pani swojego majątku, może ci być przydatną... Gorąco pragnie, byś ją odwiedził, bo mówi, że zna ciebie, i utrzymuje, że nie jesteś tym, za kogo cię biorą. Zobligowała mnie do przyjścia z tobą, mój panie, na obiad i mam nadzieję, że nie odmówisz temu zaproszeniu. Moja ciotka to markiza d'Urfé.

Nie znałem tej pani, lecz nazwisko d'Urfé natychmiast coś mi przypomniało. Pamiętałem bowiem historię słynnej Anny d'Urfé, o której głośno było przy końcu szesnastego wieku. Markiza była wdową po prawnuku tamtej kobiety i wydawało mi się, że skoro weszła do jej rodziny, mogła posiadać subtelne tajniki wiedzy, którą niepomiernie interesowałem się, mimo iż uważałem ją za chimeryczną. Odparłem więc hrabiemu, że jestem na jego rozkazy pod warunkiem, iż obiad zjemy tylko we troje.

– Przy jej stole codziennie zasiada dwanaście osób i poznasz pan tam najwytworniejszy świat stolicy.

– Drogi hrabio, tego właśnie wolałbym uniknąć, bo nie chciałbym cieszyć się reputacją maga, którą niewątpliwie zdążyłeś mi wyrobić.

– O tym nie ma mowy. Jesteś pan znany i będziesz w towarzystwie osób żywiących do pana największy szacunek.

Miał rację, ale ponieważ wiedziałem, że jego cudowne uzdrowienie było sprawą czystego przypadku, nie miałem najmniejszej ochoty narazić się na pośmiewisko. Oznajmiłem więc stanowczo, że nie chcę pokazywać się publicznie, poprosiłem o powiedzenie markizie d'Urfé, że tylko pod tym warunkiem przyjmę jej zaproszenie i żeby łaskawie wyznaczyła dzień i godzinę, kiedy będę mógł złożyć jej wyrazy szacunku.

Tegoż wieczoru jeszcze, po powrocie do domu zastałem bilecik od hrabiego, który wyznaczył mi spotkanie jutro w południe w Tuileryach, gdzie będzie na mnie czekał i skąd udamy

się do jego ciotki, z niecierpliwością wypatrującej chwili poznania mnie. Mieliśmy zjeść obiad we trójkę, a markiza d'Urfé nie przyjmie nikogo.

Przybywszy na spotkanie równie punktualnie jak hrabia, poszedłem z nim do pani d'Urfé mieszkającej na bulwarze des Theatins obok pałacu Bouillon.

Pani d'Urfé, leciwa, lecz wciąż jeszcze piękna, powitała mnie z ową niewymuszoną uprzejmością, która cechowała stary dwór z okresu regencji. Półtorej godziny rozmawialiśmy na obojętne tematy i oczywiście nie przyznając się do tego, próbowaliśmy poznać się wzajemnie i wysondować.

Nie potrzebowałem udawać przy niej ignoranta, bo nim byłem w istocie, a pani d'Urfé nie będąc ciekawa, bezwiednie zdradzała chęć zabłyśnięcia swoją mądrością. To mi ogromnie odpowiadało, bo wiedziałem, że będzie zadowolona ze mnie, jeżeli sprawię, iż będzie zadowolona z siebie.

O drugiej podano do stołu obiad na trzy osoby, taki sam, jaki podawano co dnia na dwanaście.

Po deserze hrabia de la Tour-d'Auvergne pożegnał nas, bo chciał odwiedzić księcia Turenne, którego pozostawił był owego ranka w silnej gorączce. Gdy wyszedł, pani d'Urfé zaczęła mówić o chemii, magii i o tym wszystkim, co stanowiło przedmiot jej uwielbienia, a raczej szaleństwa... Potem pokazała mi swoją bibliotekę, ongi własność słynnego d'Urfé i jego żony, Renaty Sabaudzkiej. Pani d'Urfé znacznie powiększyła te zbiory licznymi manuskryptami za cenę ponad stu tysięcy franków.

Z biblioteki przeszliśmy do laboratorium. Zdumiało mnie ono naprawdę. Markiza pokazała mi jakąś substancję, którą od piętnastu lat trzymała na ogniu i która miała tam pozostać jeszcze przez cztery do pięciu lat. Ryl to proszek, w minutę zamieniający każdy metal w najczystsze złoto... Dla tej kobiety, prawdziwie zadziwiającej, kalcynacja rtęci była dziecinną zabawką.

Była już dziewiąta wieczór, kiedy hrabia de la Tour-d'Auvergne wszedł do pokoju, w którym siedzieliśmy, i wcale nie zdziwił się, że wciąż jeszcze bawię u jego ciotki. Oznajmił nam, że kuzyn ma gorączkę i że to jest ospa.

– Przyszedłem pożegnać się, droga ciociu, co najmniej na miesiąc, bo dam się zamknąć z chorym.

Pani d'Urfé pochwaliła tę gorliwość i wręczyła hrabiemu saszetkę obligując go jednocześnie do zwrotu jej zaraz po wyzdrowieniu chorego.

– Proszę zawiesić mu ją na szyi, a ospa wysypie szczęśliwie i chory z pewnością wyzdrowieje.

Hrabia przyrzekł jej to i wyszedł życzywszy nam dobrej nocy.

– Nie wiem, co zawiera saszetka – powiedziałem markizie – ale jeżeli to magia, to nie wierzę w jej skutek, bo zapomniałaś pani udzielić hrabiemu instrukcji dotyczącej godzin planetarnych.

– To „elektrum” i ani magia, ani godziny w tym wypadku nie wchodzą w rachubę.

– Zechce mi pani wybaczyć tę uwagę.

Pochwaliwszy moją wstrzeźliwość wyraziła przekonanie, że na pewno sprawi mi przyjemność bywanie w szczupłym gronie jej najbliższych znajomych, o ile oczywiście zechcę się do niego dołączyć.

– Poznam pana z moimi przyjaciółmi – dorzuciła – w ten sposób, że z każdym zjemy obiad we trójkę. Potem będziesz się pan już dobrze czuł ze wszystkimi.

Wyraziłem zgodę.

Los rzuca teraz Casanovę do Holandii. Jedzie tam w sprawach finansowych Francji. W Amsterdamie poznaje bankiera O., ojca czarującej czternastoletniej, pięknej i wykształconej Estery. Casanova od razu traci głowę. W Amsterdamie też spotyka przypadkiem Teresę Imer, aktorkę, jedną ze swoich dawnych miłości, i dowiaduje się, że jest ojcem jej córki, Zofii. Z tego spotkania wynika dla Casanovy zwycięski pojedynek z synem burmistrza Rotterdamu. Tymczasem romans z Esterą rozwija się w najlepsze. Casanova jest coraz bardziej zakochany.

Udaje mu się przekonać bankiera o swoich zdolnościach kabalistycznych i szczęśliwym trafem daje mu pomyslną wróżbę w sprawie zaginionego okrętu.

Czaruje bankiera dalej w ten sam sposób, co przynosi mu spore korzyści materialne. Bankier chce mu oddać rękę swojej córki, ale myśl o małżeństwie mimo całej miłości do Estery, przeraża Casanovę. Wyjeżdża więc do Paryża zabierając po drodze syna Teresy Imer. Dzieje się to w roku 1758.

W Paryżu wynajmuje piękną wiejską posiadłość, znaną pod nazwą „Petite Polegne”, utrzymuje służbę, konie, powozy.

W 1759 roku staje się właścicielem fabryki. Przenosi drukiem wzory na jedwabie, co mierzalnie i ręcznie wykonywano w tym czasie w Lyonie.

Przedsięwzięcie to jednak upada i Casanova traci mnóstwo pieniędzy. Że zaś nieszczęścia chodzą parami, zostaje oskarżony o kradzież i zamknięty w więzieniu. Pani d'Urfé wyklada za niego kaucję i uwalnia go z zamknięcia. Wreszcie, po załagodzeniu sprawy o kradzież, Casanova zniechęcony do Paryża jedzie do Holandii wraz ze swoim lokajem, Hiszpanem. W Holandii obraca się zarówno w wyższych sferach jak i wśród mętów. Po wielu przygodach opuszcza wreszcie ten kraj i jedzie do Kolonii.

PRZYGODA POD KOLONIĄ – ŻONA BURMISTRZA; ZDOBYWAM JEJ SERCE – BAL W BONN – SPOTKANIE Z ELEKTOREM KOLONII – OBIAD U BRÜHLA – PIERWSZE CZUŁOŚCI – PRZYCHODZĘ NIE PROSZONY NA KOLACJĘ DO GENERAŁA KETTLERA – JESTEM SZCZĘŚLIWY – WYJAZD Z KOLONII

W Utrechcie zatrzymałem się tylko na jeden dzień i nazajutrz w południe przybyłem do Kolonii bez większych przeszkód i kłopotów, choć nie bez ryzyka dla życia, bo o jakieś pół mili od miasta obskoczyło nas pięciu dezerterów, trzech z prawej strony powozu i dwóch z lewej, i krzyząc: „Pieniądze albo życie!” wzięło umie na cel. Ale ja chwyciwszy pistolet zmierzyłem w pocztyliona i zagroziłem, że go zastrzeżę, jeżeli nie puści koni galopem. Bandyty wypalili w powóz nie raniąc jednak ani ludzi, ani koni. Głupcy, powinni byli mierzyć w pocztyliona!

Gdybym na wzór Anglików, którzy zawsze dla śmiałych zbójów wożą jedną niepełną sakiewkę, nie miał swojej suto wypchanej, rzuciłbym ją tym nędznym biedakom. Jednak z braku czasu na odliczenie im części pieniędzy, zaryzykowałem życiem, aby nie dać się ograbić. Mój sługa, Hiszpan, był uszczęśliwiony, że go nie drasnęła żadna z kul gwizdzących koło uszu.

Francuzi stali w Kolonii na zimowych leżach. Ulokowano mnie Pod Żółtym Słońcem. Pierwszą osobą, która wpadła mi w oko, kiedym wchodził do sali, był hrabia Lastic, bliski krewny pani d’Urfé. Przywitawszy się jak najuprzejmiej, wyraził gotowość zaprowadzenia mnie do pana de Torcy, komendanta placu. Przystałem, a pan de Torcy w pełni zadowolił się listem polecającym od hrabiego d’Affri. Opowiedziałem mu też o swojej przygodzie i powinien mi szczęśliwego jej zakończenia. Jednak z całkowicie żołnierską szczerością zganił moją śmiałość.

– Porwałeś się pan na ryzykowną grę dla ratowania złota i mogłeś stracić jakąś kończynę, a tego by ci już nikt nie wynagrodził.

Odpowiedziałem mu na to, że rzucanie wyzwania niebezpieczeństwu to nieraz pomniejszanie jego grozy. Roześmieliśmy się, a później rzekł, że jeżeli nie spieszę się z wyjazdem, pewnie będzie mógł uradować mnie widokiem wieszania owych zbójów.

– Zamierzam wyjechać jutro – odparłem – i gdyby coś potrafiło zatrzymać mnie w Kolonii, to na pewno nie chęć asystowania przy egzekucji kilku nędzników. Nie gustuję w tego rodzaju rozrywkach.

Na prośbę pana Lastica zjadłem z nim obiad, a później ulegając namowom zgodziłem się towarzyszyć do teatru jemu i jego przyjacielowi, panu de Flavacour, bardzo miłemu oficerowi wyższej rangi. Przekonany, że będę przedstawiony paru damom, i chcąc się godnie zaprezentować, przystrajałem się z godzinę.

Siedziałem w łoży *vis-à-vis* jakiejś pięknej pani, która parę razy uważnie przyjrzała mi się przez lornetkę. Tego było aż za dużo dla rozbudzenia mojej ciekawości, toteż poprosiłem pana Lastica, aby mnie przedstawił owej damie, co też uczynił niezwykle uprzejmie. Przede wszystkim zapoznał mnie z hrabią Kettlerem, generał-lejtenantem w służbie austriackiej, przydzielonym do sztabu francuskiego, tak jak generał francuski Montacet przydzielony był do sztabu armii austriackiej. Potem przedstawiono mnie tej pięknej pani, której urodą zachwyciłem się od pierwszej chwili, gdym wszedł do łoży. Uśmiechnęła się do mnie wdzięcznie, zapytała o Paryż, Brukselę, gdzie była wychowana, a wszystko z taką miną, jak by nie przywiązywała żadnej wagi do odpowiedzi, bo całkowicie absorbowały ją moje koronki i kosztowności.

Rozmawiając o tym i owym, jak ludzie, co widzą się po raz pierwszy, nagle i niespodziewanie, jednak bardzo uprzejmie zapytała, czy długo zamierzam pozostać w Kolonii.

– Miałem zamiar przeprowić się przez Ren już jutro – odparłem – a obiad zapewne zjeść w Bonn.

Widziałem, że ukłula ją ta odpowiedź rzucona tonem równie niedbałym jak pytanie, i wzięłam to za dobry prognostyk. Generał Kettler zaś rzekł wstając:

– Jestem pewien, że pani potrafi nakłonić pana do odłożenia wyjazdu, z czego bardzo będę się cieszyć, bo to pozwoli zacieśnić naszą znajomość.

Skłoniłem się, a on wyszedł zabierając Lastica i zostawiając mnie samego z ową czarującą damą. Była żoną burmistrza, a Kettler uparcie jej asystował.

– Czy hrabia nie mylił się przypisując mi aż taką moc? – zapytała mnie z wyzywającym uśmiechem.

– Nie sądzę, ale mógłby się pomylić przypuszczając, że zechcesz pani skorzystać ze swojej przewagi.

– Doskonała odpowiedź! Czyż można zdradzić jego zaufanie? Chyba po to, aby go ukarać za tę niepowściągliwość. Proszę więc zostać.

Czułem, że mam głupią minę wobec tych słów, które wydały mi się zagadkowe. Musiałem odzyskać kontenans. Czyż mogłem spodziewać się podobnej przygody w Kolonii? „Niepowściągliwość” zabrzmiała mi czarująco, „ukarać” – bardzo słusznie, a „zdradzić” rozkosznie, zwłaszcza boskim sądziłem pomysł użycia mojej osoby za narzędzie do tego figla... Głupstwem wydało mi się zgłębianie tego tematu, toteż przybrawszy minę pełną wdzięczności i uległą, skłoniłem się nisko pięknej pani aż do jej ręki, którą ucałowałem z szacunkiem i czule zarazem, na dowód – choć nie wyrażony słowami – mego sentymentu jak i tego, że łatwo dam się oswoić.

– A więc pan zostanie i to będzie bardzo uprzejmie z pańskiej strony, bo wyjeżdżając jutro dałbyś pan dowód, że przybyłeś tutaj jedynie dla okazania nam swojej wzdargi. Jutro generał wydaje bal i mam nadzieję, że będziesz pan na nim tańczył wraz z nami.

– A mnie niech wolno będzie wyrazić nadzieję, że pani raczy tańczyć ze mną aż do końca balu.

– Obiecuję tańczyć z panem, dopóki ci sił starczy.

– Więc nie będzie pani tańczyć z nikim innym.

– Skąd ma pan tę pomadę o tak cudownym zapachu? Od razu poczułam ją, ledwie wszedłeś na salę.

– Sprowadzam ją z Florencji, lecz jeśli nie lubisz pani tego zapachu, każę ją wyrzucić.

– Proszę ją zatrzymać, bo to byłaby zbrodnia. Chciałabym mieć taką samą.

– A ja, pani, byłbym uszczęśliwiony, gdyby pani pozwoliła przysłać sobie jutro rano kilka słoików.

Nie mogła odpowiedzieć, bo przy moich ostatnich słowach drzwi się otworzyły i wszedł generał. Wstałem, aby się pożegnać, gdy zwrócił się do mnie:

– Jestem pewien – powiedział mi – że pani zdołała nakłonić cię, mój panie, do odłożenia wyjazdu i przybycia do mnie na kolację i na bal.

– Pani zechciała łaskawie dać mi nadzieję, że będę miał zaszczyt być zaproszonym przez pana, panie hrabio, i zatańczyć z nią kontredansa. Jakże się tu było oprzeć?

– Postąpiłeś słusznie i jestem wdzięczny pani, że potrafiła powstrzymać cię od wyjazdu. Mam zaszczyt oczekiwać pana u siebie.

Wyszedłem z łoży zakochany po uszy i niemal uszczęśliwiony nadzieją... Nazajutrz zapakowałem dwanaście słoików pomady w piękne puzderko, kazałem zawinąć je w nawoskowane płótno i odesłałem pani burmistrzowej bez żadnego bileciku, tak jak by je wysłano ze sklepu.

Obiad jadłem u pana de Castries i wszyscy bardzo się dziwili, że generał osobiście zaprosił mnie na bal, jako że był szalenie zazdrosny o swoją panią serca, która tylko dla zaspokojenia ambicji znosiła jego nadskakiwania. Kettler, już w wieku podeszłym, przy tym dość brzydki, mierną inteligencją wcale nie rekompensował fizycznych braków. Nie był stworzony na kochanka. Choć zazdrośnik, uznał za stosowne posadzić mnie przy stole obok wybranki mojego serca i pozwolił przegadać i przetańczyć z nią całą noc. Minęła cudownie, toteż do domu wróciłem tak oczarowany tą nową znajomą, że zupełnie nie myślałem o wyjeździe. W pewnej chwili rozgorączkowany i ośmielony rozmową odważyłem się powiedzieć owej damie, że jeżeli udzieli mi rozkosznego sam na sam, zobowiązuję się cały karnawał spędzić w Kolonii.

– A co pan powie – odparła – jeżeli obiecawszy nie dotrzymam słowa?

– Będę jedynie wyrzekał na swój los, w niczym nie obwiniając ciebie, pani. Powiem, że uznałaś to za niemożliwe.

– Jesteś szlachetny. Zostań u nas.

Nazajutrz po balu poszedłem złożyć jej pierwszą wizytę. Przyjęła mnie nad wyraz życzliwie i przedstawiła mężowi, który był człowiekiem miłym, niemłodym i nieładnym, lecz bardzo uprzejmym. Po godzinie, słysząc nadjeżdżający powóz generała, burmistrzowa pośpieszyła mi powiedzieć :

– Jeżeli hrabia zapyta, czy zamierzasz pan udać się do Bonn na bal wydawany przez elektora, odpowiedz twierdząco.

Gdy generał wszedł, wstałem i po wymianie zwykłych uprzejmości pożegnałem się i wyszedłem.

Nie wiedziałem, że elektor czy też ktoś inny wydaje bal, ani kiedy się on odbędzie, ale mając w perspektywie taką przyjemność szybko zebrałem informacje, z których wynikało, iż cała arystokracja Kolonii została nań zaproszona. Miał to być bal maskowy, a co za tym idzie, każdy mógł wziąć w nim udział. Postanowiłem więc, że pojedę na ten bal, bo wydawało mi się, że taki dostałem rozkaz, a skoro miała tam być moja piękna pani, mogłem spodziewać się miłego spotkania. Chcąc jednak zachować jak najściślejsze incognito, zdecydowałem się na wszystkie pytania odpowiadać, iż osobiste sprawy nie pozwalają mi udać się na ową zabawę.

Otóż tak się stało, że generał zapytał mnie o to w obecności swojej ukochanej, a ja wbrew jej poleceniu odparłem, że stan mojego zdrowia nie pozwala mi na tę przyjemność.

– Mądrze pan robisz – rzekł generał – trzeba umieć rezygnować z przyjemności, kiedy chodzi o zdrowie.

Dzisiaj myślę tak jak on, ale wówczas myślałem całkiem inaczej.

W dzień balu o zmroku wyruszyłem wózką pocztowym, w ubraniu, w którym by mnie nikt w Kolonii nie poznał, wioząc pudło z dwoma dominami. Co tchu przypędziłem do Bonn, wynająłem oddzielny pokój w zajeździe, narzuciłem jedno z moich domin, drugie zostawiłem w pudle zamkniętym na klucz i w lektyce kazałem nieść się na dwór elektora.

Wszedłem nie zatrzymany i przez nikogo nie poznany i zobaczyłem wszystkie panie z Kolonii bez masek wraz z moją damą serca przy stole do faraona, stawiające po dukacie. Z satysfakcją ujrzałem, że bank trzyma hrabia Verita z Werony, którego poznałem był w Bawarii. Służył na dworze elektora. W banku miał najwyżej pięć, sześć dukatów, a graczy przeciw sobie, pań i panów – z dwanaścioro. Stałem obok pięknej burmistrzowej, bankier zaś dając mi karty, podał mi również talię do przełożenia. Odmówiłem ruchem ręki, a moja sąsiadka przecięła talię nie proszona. Postawiłem dziesięć dukatów na jedną kartę i przegrałem cztery razy z rzędu.

Z drugą talią – to samo. Trzeciej nikt nie chciał przeciąć i poproszono o to generała, który się zgodził, nie grając. Coś mnie tknęło, że tym razem się uda i postawiłem pięćdziesiąt dukatów na jedną kartę. Wygrywam, podwajam stawkę i przy drugiej tali zrywam bank. Wszyscy są zaintrygowani, patrzą na mnie, śledzą, ale łapię pomyślny moment i wymykam się niepostrzeżenie.

Wracam do zajazdu, chowam pieniądze, zmieniam domino i znów jestem na balu. Widzę już innych ludzi przy stole i innego bankiera z okazałą kupką złota przed nim, ale nie zamierzając grać tym razem wziąłem mało pieniędzy z sobą. Wkręcam się w różne grupki i wszędzie spotykam się z ciekawymi pytaniami, kim mogła być ta maska, która zerwała pierwszy bank.

Nie kwapiąc się z zaspokojeniem tego zainteresowania, włóczę się tu i tam, aż wreszcie odnajduję moją zgubę w rozmowie z hrabią Verita. Zbliżam się i słyszę, iż mówią o mnie. Elektor, jak opowiada hrabia, chcąc się dowiedzieć, kto był tą szczęśliwą w kartach maską, zapytał o to Kettlera, a ten odparł, że być może pewien Wenecjanin tydzień temu przybył do Kolonii. Moja ukochana oświadczyła na to, że nie sądzi, abym przyjechał, albowiem sama ode mnie słyszała, że zdrowie nie pozwala mi na podobną eskapadę.

– Znam Casanovę – rzecze hrabia – i jeżeli jest w Bonn, elektor o tym się dowie, a Casanova nie odjedzie, nie zobaczywszy się ze mną.

Przewidywałem, że po balu moje incognito zostanie łatwo odkryte, ale w czasie samej zabawy nie bałem się nawet najprzebieglejszych ludzi. I byłoby mi się udało, gdybym był przeznorniejszy, ale kiedy zapowiedziano kontredansa, uległem chęci zatańczenia i nie zastanowiłem się, że przecież będę musiał zdjąć maskę. Tak się też stało, gdy już nie miałem odwrotu.

Dojrzawszy mnie po zakończonym kontredansie hrabia Verita podszedł i powiedział:

– Drogi rodaku, nie wątpię, że to pan mnie ograłeś w tak haniebnym sposobie. Pozwól więc, że ci powinszuję.

– Sam bym sobie wina winał, gdybym to był ja, drogi hrabio.

– Jestem pewien, że to ty byłeś.

Roześmiałem się tylko i napiwszy się czegoś przy bufecie tańczyłem dalej. A w dwie godziny później zjawił się hrabia i powiedział ze śmiechem:

– Zmieniłeś pan domino w tym a tym domu, w tym a tym pokoju. Elektor wie już wszystko i aby ukarać cię za ten figiel, kazał mi powiedzieć, że nie odjedziesz jutro.

– Więc każe mnie aresztować?

– A czemu to, czyżbyś odmówił jego zaproszeniu na jutrzejszy obiad?

– Powiedz, hrabio, Jego Książęcej Mości, że w tych sprawach jestem uległy i że usłucham rozkazu. Czy zechciałby pan od razu przedstawić mnie księciu?

– Opuścił już bal, ale staw się pan jutro u mnie w południe.

Podał mi rękę i odszedł.

Oczywiście przybyłem w oznaczonym czasie, ale przy samym przedstawieniu skompromitowałem się nieco, bo elektor stał w gronie paru dworzan, a że przedtem nie miałem szczęścia widzieć go ani razu, szukałem oczami duchownej osoby, której nigdzie nie mogłem dojrzeć. Elektor spostrzegł moje zakłopotanie i pospieszył z pomocą mówiąc w kiepskim wenecjańskim narzeczu:

– Dziś jestem w stroju wielkiego mistrza Zakonu Krzyżackiego.

Nie bacząc na to przyklęknąłem, jak to było w zwyczaju, a kiedy chciałem ucałować jego rękę, nie pozwolił mi i serdecznie uściśnął moją dłoń.

– Byłem w Wenecji, kiedy pana więziono Pod Ołowianym Dachem, a od mojego siostrzeńca, elektora bawarskiego, wiem, że po szczęśliwej ucieczce zatrzymałeś się pan przez czas pewien w Monachium. Gdybyś był przybył do Kolonii, byłbym pana zatrzymał na dłużej. Mam nadzieję, że po obiedzie opowiesz nam o swojej ucieczce, że zostaniesz na kolacji i weźmiesz udział w małej maskaradzie.

Zaraz po wstaniu od stołu elektor poprosił, abym rozpoczął opowiadanie. Byłem w pysznym nastroju i przez dwie długie godziny miałem przyjemność zająć całą uwagę tego najwytworniejszego towarzysza.

Balik u elektora minął nadzwyczaj przyjemnie. Wszyscy byliśmy przebrani za chłopów, a te ubiory wypożyczono nam z prywatnej garderoby księcia... Pani mojego serca wyglądała

przecudownie. Tańczyliśmy tylko kontredansa i alemandy²⁸. Z wyższych sfer było jedynie kilka pań, cztery lub pięć, reszta – bardziej lub mniej ładnych – należała do osobistych znajomych księcia, aż do zgonu wielkiego amatora płci pięknej. Dwie z tych pań tańczyły furlanę i elektor znajdował szczególną przyjemność w nakłanianiu nas do tego tańca. Wspomniałem już kiedyś, że furlana to taniec wenecki i że nie ma na świecie nic nad nią żywszego. Tańczy się ją parami, kawaler z damą, a że owe dwie panie z satysfakcją się zmieniały, mało co trudem nie padłem. Trzeba mieć sporo wigoru, aby zatańczyć furlanę dwanaście razy z rzędu, toteż po trzynastym, u kresu sił, błagałem, aby się ulitowały nade mną.

Zaraz potem tańczyliśmy pewien taniec, w którym jest taka figura, że kawaler obejmuje tancerkę stojącą *vis-à-vis* i całuje. Byłem w nim niepohamowany. Celowałem umiejętnie i za każdym razem znajdowałem się naprzeciwko mojej wybranej, którą ścisnąłem z takim zapalem, że wieśniak-elektor brał się za boki, gdy wieśniak-generał pękał ze złości.

W jakiejś przerwie w tańcach ta czarująca i o niezwykle oryginalnym umyśle kobieta znalazła odpowiedni moment, aby mi szepnąć, że wszystkie panie z Kolonii wyjeżdżają jutro w południe i że mogą sobie pozwolić na zaszczyt zaproszenia ich na śniadanie do Brühla.

– Poślij pan każdej bilecik z nazwiskiem jej kawalera i zdaj się na hrabiego Verita, który wszystko zaaranżuje jak trzeba. Powiedz mu pan tylko, że chcesz to tak urządzić, jak dwa lata temu urządził książę Dwóch Mostów. I nie trać czasu. Zaproś dwadzieścia osób i wyznacz godzinę. I dopilnuj, aby bileciki roznieśiono na dziewiątą rano.

Oznajmiła to z błyskawiczną szybkością, a ja niemal urzeczony władzą, jaką ta kobieta posiadała nade mną, byłem jej ślepo posłuszny nie zastanawiając się nawet, czy robię dobrze, czy źle. Brühl, śniadanie, dwadzieścia osób, jak książę Dwóch Mostów, bileciki do pań, hrabia Verita – byłem tak wspaniale poinformowany, że lepiej już bym nie mógł, nawet gdyby mi tłumaczyła przez godzinę.

Wychodzę w swoim przebraniu i proszę pazia, aby mnie zaprowadził na pokoje hrabiego Verita, który wybucha śmiechem na widok mego stroju. Opowiadam mu, co mnie sprowadza, z taką miną, jak by chodziło o sprawę dyplomatyczną największej wagi, i to wprawia go w doskonały humor.

– Nic łatwiejszego – mówi – wystarczy mi tylko skreślić parę słów do ochmistrza dworu i zaraz to zrobię. Powiedz mi pan tylko, jaką kwotę na to przeznaczasz.

– Taką, jaką trzeba.

– Chcesz rzecz najmniejszą?

– Nic podobnego: największą, bo pragnę wspaniale podjąć moich gości.

– Mimo to określ pan kwotę, bo znam swoich ludzi.

– Dobrze więc: czy dwieście, trzysta dukatów wystarczy?

– Dwieście. Książę Dwóch Mostów nie wydał więcej. Zasiadł do pisania liścików i dał mi słowo, że wszystko będzie gotowe na czas. Wyszedłem od niego i zwróciłem się do pazia, bardzo bystrego Włocha, z obietnicą zapłacenia dwóch dukatów temu lokajowi, który zaraz dostarczy mi adresów dam przybyłych do Bonn z Kolonii i towarzyszących im kawalerów. W pół godziny miałem już to, co chciałem, toteż przed końcem balu zawiadomiłem moją panią, że wszystko będzie załatwione tak, jak kazała. Zanim położyłem się spać, skreśliłem jeszcze osiemnaście bilecików, a wynajęty na miejscu, pewny służący rozniósł je pod wskazane mi adresy przed dziewiątą rano.

O dziewiątej poszedłem pożegnać się z hrabią Verita, a ów w imieniu elektora wręczył mi wspaniałą złotą tabakierkę z otoczonym brylantami konterfektem elektora w stroju wielkiego mistrza Zakonu Krzyżackiego.

Śniadać mieliśmy o pierwszej, a już o dwunastej byłem u Brühla, w podmiejskim pałacyku elektora, godnym uwagi tylko ze względu na umeblowanie. Była to słaba kopia pałacu Trianon.

²⁸ Alemanda – taniec żywy i szybki na dwa, trzy pas.

W ładnej sali ujrzałem stół na dwadzieścia cztery osoby, z połączoną zastawą, adamaszkowym obrusem i wspaniałą porcelaną. Na kredensie stała pokaźna ilość połączonych mis i półmisek. W jednym końcu sali ustawiono dwa inne stoły, uginające się od cukrów i najlepszych win europejskich i zamorskich. Oznajmiłem się jako amfitrion owej uczy, a kuchmistrz zapewnił mnie, że będę zadowolony.

Gości witałem na progu i nie mając innych uprzejmości do powiedzenia błagałem ich tylko, aby zechcieli łaskawie wybaczyć śmiałość zaproszenia.

Do stołu podano o oznaczonej godzinie, a ja z zadowoleniem patrzyłem na malujące się w oczach mojej wybranki lekkie zdumienie na widok, że ją podejmuję nie gorzej, niżbym podejmował księcia Rzeszy. Wiedziała, że każdy domyśla się, dla kogo poniosłem taki wydatek, ale była zadowolona, że jej nie wyróżniam spośród innych. Kazałem przygotować dwadzieścia cztery nakrycia i choć zaprosiłem osiemnaście osób, wszystkie miejsca zajęto. A więc intruzów było trzy pary; jednak cieszyłem się z tej wziętości wydanego przeze mnie śniadania. Aby nie uchybić obowiązkowi uprzejmego gospodarza, nie siadłem do stołu wraz z gośćmi: usługiwałem paniom przechodząc od jednej do drugiej, jedząc na stojąco wybrane kąski, które mi podawały na wyścigi, i czuwając, aby wszyscy byli zadowoleni.

Z ostrygami skończyliśmy dopiero przy dwudziestej butelce szampana, tak więc zanim śniadanie się zaczęło, rozmowa stała się ogólna... To śniadanie mogło uchodzić za najwytworniejszy obiad i z prawdziwą przyjemnością zauważyłem, że nikt nawet kropli wody do ust nie bierze, albowiem szampan, tokaj, wina reńskie, wina z Madery, Malagi, Cypru i Alikantu z nią się nie godzą, a innych nie podawano.

Generał Kettler, który mimo swojej zazdrości i mimo że widział, iż nadskakuję pięknej burmistrzowej, niczego się nie domyślał, oświadczył głośno:

– Założę się, że to figiel spleatany nam przez elektora na zakończenie zabawy. Księżę chciał zachować incognito, a pan Casanova świetnie odegrał swoją rolę.

Te naiwne słowa powitano śmiechem.

– Panie generale – odparłem – gdyby księżę elektor zaszczycił mnie podobnym rozkazem, byłbym mu posłuszny oczywiście, ale czułbym się dotkliwie upokorzony. Księżę zechciał okazać mi o wiele większy zaszczyt: oto proszę.

I wręczyłem mu tabakierkę, która – podawana z rąk do rąk – parę razy obeszła stół.

Po skończonym śniadaniu wszyscy wstali nie mogąc się nadziwić, że trzy bite godziny spędzili przy stole w tak miłym nastroju, iż szkoda było odjeżdżać. Ale czas naglił, toteż po wymianie tysięcznych komplementów całe towarzystwo ruszyło w drogę, aby jeszcze zdążyć do teatru.

Do Kolonii powróciłem dość wcześnie, mogłem więc wybrać się na jakąś sztuczkę graną przez Komedię Francuską, a że nie miałem powozu, kazałem zanieść się do teatru w lektyce. Ledwie wszedłem na salę, zobaczyłem panią mego serca w towarzystwie tylko hrabiego Laistica... Wziąłem to za dobry omen i podszedłem do nich. Ujrzawszy mnie piękna burmistrzowa powiedziała zmartwionym głosem, że generał tak źle się czuje, iż musiał się położyć. W parę chwil później, kiedy zostaliśmy sami, porzuciła przybrany smutek i z czarującym uśmiechem powiedziała mi moc komplementów, sto razy więcej wartych od mego śniadania.

– Generał wypił za dużo – wyjaśniła. – Ten wstrętny zazdrośnik uważa, że nie wypadało panu podejmować nas tak, jak byś był udziałnym księciem. Odparłam mu, że podejmowałeś nas pan, jak byśmy to my byli księżętami: jak prawdziwy żebrak, z serwetką na ramieniu. Rozgniewał się na mnie o to, że pana bronię.

– Ach, czemu nie dasz mu pani odkosza? Ten prostak nie jest stworzony na kawalera tak niebiańskiej piękności.

– Już za późno, mój drogi przyjacielu. Dostałby się pod władzę kobiety, której nie znasz, a ja musiałabym udawać obojętność i to by mnie bardzo bolało.

– Doskonale to rozumiem. Ach, czemuż nie jestem wielkim księciem! Tymczasem dowiedz się pani, że cierpię o wiele bardziej od Kettlera.

– Mam nadzieję, że pan żartuje.

– Ależ nie. Mówię zupełnie poważnie, bo pocałunki, które miałem szczęście skraść ci na balu, rozpały mi krew, a jeżeli nie znajdziesz pani w sobie tyle ludzkich uczuć, aby mi udzielić jedyne go na to leku, odjadę unieszczęśliwiony na całe życie.

– Niech pan odłoży wyjazd. Stuttgart nie może cię tak pociągać. Myślę o tobie, wierzaj mi, i nie chcę cię zwodzić, ale trudno znaleźć okazję.

– Gdybyś pani dziś wieczór nie dysponowała powozem generała, mógłbym bez żadnych podejrzeń odwieźć cię swoim do domu.

– Uspokój się pan. Pan nie ma powozu, toteż ja pana odwiozę. To cudowna myśl, ale nie może wyglądać na ukartowaną. Odprowadzisz mnie pan do powozu, a ja zapytam, gdzie jest twój. Powiesz, że wcale go nie masz, wtedy zaproszę cię do mojego i odwiozę do domu. Droga potrwa najwyżej dwie minuty, ale jak na razie dobre i to.

Odpowiedziałem jej tylko spojrzeniem, w którym malowało się bezgraniczne upojenie na myśl o czekającym mnie szczęściu.

Sztuka, aczkolwiek krótka, zdawała się ciągnąć wieki całe. W końcu jednak kurtyna opadła i wyszliśmy. Na umówione pytanie przy drzwiach teatru odparłem, że nie mam powozu.

– Jadę do generała – rzekła mi na to – aby się dowiedzieć o jego zdrowie, jeżeli więc nie zależy panu na czasie, mogę cię odwieźć do domu w powrotnej drodze.

Zaproszenie było cudowne: dwa razy przejeździemy przez te źle brukowane, słabo zaludnione i chaotycznie zabudowane miasto, będziemy więc mogli nieco dłużej zająć się sobą. Niestety, powóz był półkryty i w dodatku w tamtą stronę księżyc świecił nam w twarz. W owej chwili nie uważałem luno za protektorkę zakochanych. Robiliśmy, co w naszej mocy, ale w gruncie rzeczy – prawie nic, i mimo że moja rozkoszna partnerka wykazywała dużo zapału, z rozpaczą czułem, iż z tego nic nie będzie. Na domiar złego bezczelny i ciekawy stangret parę razy odwracał głowę i musieliśmy hamować ruchy. Szyldwach powiedział stangretowi, że Jego Ekscelencja nie chce widzieć nikogo, toteż z przyjemnością wyruszyliśmy w powrotną drogę, bo wówczas księżyc świecił nam z tyłu i już znacznie mniej obawialiśmy się ciekawości stangreta. Tym razem poszło nam trochę lepiej, a raczej mniej źle niż w tamtą stronę; zdawało mi się jednak, że stangret pędzi co koń wyskoczy. Chcąc go sobie zjednać na przyszłość, dałem mu dukata przy wysiadaniu. Wróciłem zmordowany i nieszczęśliwy, aczkolwiek bardziej jeszcze rozkochany niż przedtem, bo moja wybrana dowiodła mi, że ma gorącą krew w żyłach i że równie intensywnie odczuwa przyjemność, jak ją daje. Wobec tego postanowiłem nie opuszczać Kolonii dopóty, dopóki wspólnie z tą naprawdę boską kobietą nie wychylę do dna kielicha rozkoszy, co, moim zdaniem, mogło nastąpić dopiero po wyjeździe generała.

Nazajutrz w południe wybrałem się do niego, aby się wpisać do księgi odwiedzających, ale przyjmował i musiałem wejść. Moja ukochana już tam była. Powiedziałem generałowi parę miłych słów stosownych do okoliczności, ale ten grubiański Austriak tylko chłodno skinął mi głową bez słowa odpowiedzi. W kilka minut później wyszedłem, oddawszy ogólny ukłon, bo było tam sporo oficerów. Ów gbur trzy dni nie opuszczał domu, a że moja ukochana nie przychodziła wtedy do teatru, niestety nie widziałem jej przez ten czas.

W ostatni dzień karnawału Kettler zaprosił wiele osób na kolację, po której miał się odbyć bal. Tak się zdarzyło, że odwiedziłem burmistrzową w łoży i przez chwilę zostaliśmy sami.

– Czy generał pana zaprosił? – zapytała.

– Nie – odparłem.

– Jak to! – wykrzyknęła oburzona. – Nie zaproszono pana? Mimo to musisz pójść.

– Czy dobrze się pani zastanowiła? – rzekłem łagodnie. – Jestem ci powolny we wszystkim, ale w tym nie mogę.

– Wiem, co mógłbyś mi powiedzieć, jednak musisz pan przyjść. Czułabym się upokorzona, gdybyś nie był na tej kolacji, i jeżeli mnie naprawdę kochasz, dasz mi tym dowód swojej miłości i niech mi wolno rzec: szacunku.

– Pani tego wymagasz? Dobrze więc, pójdę. Lecz powiedz, czy rozumiesz, moja ubóstwiana, że twój rozkaz gotów mnie życie kosztować albo też zmusić mnie do zabicia generała, bo nie jestem z tych, których można znieważać bezkarnie.

– Wiem to, a twój honor nie mniej od własnego leży mi na sercu; kto wie, czy nie więcej. Jednak nic złego pana nie spotka, biorę to na siebie. Pan musisz tam pójść, proszę mi to obiecać teraz, kiedy się zdecydowałam. Jeżeli nie pójdziesz i ja nie pójdę, lecz wtedy nigdy już się nie zobaczymy.

– Pójdę, proszę na mnie liczyć.

Wszedł pan de Castries, opuściłem więc łóżę i zszedłem na parter, gdzie dwie bardzo przykre godziny minęły mi na rozważaniu konsekwencji, jakie ów niezwykle krok, którego domagała się moja ukochana, mógł być wywołać. Zdecydowawszy dotrzymać słowa, taki bowiem nieodparty wpływ wywierała na mnie ta urocza kobieta, postanowiłem jednak zachować się jak najtaktowniej, aby możliwie złagodzić dotkliwą obelgę, której się spodziewałem. Po przedstawieniu udałem się do generała, gdzie zastałem tylko parę osób. Podeszedłem do pewnej kanoniczki, rozmówianej we włoskiej poezji, i bez trudu wciągnąłem ją w ciekawą rozmowę. W pół godziny później salon się zappełnił, a moja pani przybyła ostatnia w towarzystwie generała. Zajęty rozmową nie ruszyłem się z miejsca, więc generał mnie nie zobaczył, a burmistrzowa, nadzwyczaj rozbawiona, nie dała mu czasu na przyjrzenie się zebranych gościom. Niebawem rozprawił już w innym końcu salonu. W kwadrans potem otworzono drzwi do jadalni. Kanoniczka wstała, przyjęła moje ramię i znaleźliśmy się przy stole obok siebie, wciąż gawędząc o włoskiej literaturze. Ale zaraz zaczęły się kłopoty. Kiedy już wszyscy usiedli, jeden z zaproszonych panów został bez miejsca.

– To niemożliwe – rzekł generał podniesionym głosem.

I gdy rozsuwano nakrycia, aby dodać jeszcze jedno, począł kolejno przyglądać się gościom. Udawałem, że nie widzę tego, co zaszło, ale kiedy jego spojrzenie spoczęło na mnie, odezwał się głośno:

– Mój panie, pana nie zapraszałem.

– Istotnie, panie generale – odparłem z respektem – sądziłem jednak, i chyba nie bez racji, że to tylko przez niedopatrzenie i że w żadnym wypadku nie wolno mi było nie złożyć Waszej Ekscelencji należnego mu szacunku.

Wyrzekłszy te słowa powróciłem do rozmowy z kanoniczką nie patrząc na nikogo. Przy stole na kilka minut zapadła grobowa cisza, ale kanoniczka rzuciła parę trafnych uwag, które zaraz rykoszetem podałem innym gościom, i niebawem zapanowała ogólna wesołość, tylko generał jeszcze się dąsał.

Tańczyliśmy całą noc, a ja nie odstępowałem swojej kanoniczki, zresztą kobiety czarującej i wspaniałej danserki. Z burmistrzową pozwoliłem sobie zatańczyć tylko jednego menueta. Przy końcu balu generał, na ukoronowanie swojego nieokrzesania, zapytał, kiedy zamierzam wyjechać z Kolonii. Odpowiedziałem, że dopiero po wielkiej rewii.

Położyłem się uszczęśliwiony z danego burmistrzowej, największego, na jaki mnie było stać, dowodu miłości i ogromnie wdzięczny losowi, który dzielnie mi dopomógł w utemperowaniu grubiańskiego generała; bo Bóg jeden wie, co bym uczynił, gdyby tak był się zapomniał, że kazałby mi wstać od stołu. Moja piękna burmistrzowa przy najbliższym spotkaniu wyznała, iż śmiertelnie się przeraziła, kiedy generał powiedział, że mnie nie zapraszał.

– Z pewnością nie poprzestałby na tym, gdyby nie pańska pełna godności odpowiedź. Ale gdyby powiedział choć jedno słowo więcej, wiedziałabym, co zrobić.

– A cóż byś pani uczyniła?

– Wstałabym, przyjąłabym pańskie ramię i wyszlibyśmy razem. Pan de Castries zwierzył mi się, że zrobiłby to samo, i sędzę, że wszystkie damy, które pan zaprosił wtedy do Brühla, nie postąpiłyby inaczej.

– Ale na tym by się nie skończyło, bo oczywiście zażądałbym natychmiastowej satysfakcji, a gdyby mi generał odmówił, przebiłbym go szpadą.

– Wiem o tym i, proszę, zapomnij pan, że to ja naraziłam cię na takie niebezpieczeństwo. Ze swojej strony zawsze będę pamiętać, com panu winna, i niebawem dam ci dowód mojej wdzięczności.

W dwa dni później wiedząc, że nadobna burmistrzowa jest lekko niedysponowana, wybrałem się do niej o jedenastej rano, kiedy to byłem pewien, iż nie zastanę generała. Przyjęła mnie w pokoju swego męża, który bardzo przyjacielsko poprosił, abym zrobił im zaszczyt i zjadł z nimi obiad w rodzinnym gronie. Podziękowałem z gotowością i ten obiad sprawił mi o wiele większą przyjemność niż kolacja u generała.

Burmistrz był dobrodusznym człowiekiem, miłym, bardzo wykształconym, o bystrym umyśle. Lubił spokój domowego ogniska, a jego żona, którą potrafił uczynić szczęśliwą, powinna go była kochać, bo nie należał do tych ludzi, co mówią: „Możesz nie podobać się innym, bylebyś się mnie podobała”. Gdy mąż wyszedł na chwilę, burmistrzowa oprowadziła mnie po całym domu.

– Oto nasza sypialnia, a oto pokoik, gdzie sypiam przez pięć, sześć dni, kiedy przystojność tego wymaga. A to jest kościół, który możemy poczytywać za prywatną kaplicę, bo z tych dwóch zakratowanych okien słuchamy mszy. W niedzielę schodzimy tymi schodami i dostajemy się do kościoła przez małe drzwiczki. Mam od nich klucz.

Było to w drugą sobotę postu. Jedliśmy bez mięsa, ale to mnie najmniej interesowało.

Nazajutrz poszedłem na mszę do kościółka przy domu burmistrza. Ubrałem się w redyngot, aby nie zwracać na siebie uwagi. Była to niedziela i widziałem moją ukochaną wchodzącą w płaszczu z kapturem, w otoczeniu rodziny. Przyjrzałem się małym drzwiczkom, tak miśternie ukrytym w murze, że trudno byłoby je dostrzec, gdyby się nie wiedziało o ich istnieniu. Otwierały się do wewnątrz, w stronę schodów.

Diabeł, który jak wiadomo ma znacznie większą władzę w kościele niż gdzie indziej, podszepnęła mi, abym przez te drzwi próbował spotkać się sam na sam z moją ukochaną. Nazajutrz w teatrze powiedziałem jej o swoim planie.

– Myślałam już o tym – odparła ze śmiechem – i dostaniesz pan ode mnie w tej materii pisemną instrukcję. Znajdziesz ją pan w pierwszej gazecie, jaką ci podam.

Nie mogła dłużej rozmawiać na ten rozkoszny temat, ze względu na obecność pewnej damy z Akwizgranu, która przyjechała do nich na parę dni i której musiała przez cały czas dotrzymywać towarzystwa. Nadto do loży schodzili się odwiedzający.

Moja cierpliwość nie była jednak wystawiona na długą próbę, bo już nazajutrz burmistrzowa przy wszystkich wręczyła mi gazetę mówiąc, że nie znalazła w niej nic zajmującego. Ale ja wiedziałem, że znajdę w niej coś, co mnie nadzwyczaj zajmowało. Oto treść bileciku burmistrzowej:

„Piękny plan, który miłość uknuła, nie zawiera nic trudnego, aczkolwiek sporo w nim niepewności. Żona sypia oddzielnie tylko wtedy, kiedy mąż jej na to pozwoli, co przydarza się jedynie w pewnych okresach, a ów rozdział trwa najwyżej cztery do pięciu dni. Ten czas już się zbliża, lecz ustanowiony zwyczaj nie pozwala żonie nakłonić męża do wcześniejszej separacji. Trzeba więc czekać. Serce najlepiej wskaże, kiedy wydzwoni owa szczęśliwa godzina. Wówczas należy ukryć się w kościele nie myśląc o przekupieniu odźwiernego, bo choć biedny, jest na to za głupi i może wydać sekret. Nie ma innego sposobu, jak tylko zwieść jego czujność. W dniu powszednie zamyka kościół w południe, w święta – dopiero o zmroku, a otwiera niezmiennie o świcie. Gdy przyjdzie czas, wystarczy lekko pchnąć znane drzwiczki; owego dnia będą one otwarte. Pokoik, w którym miłość zatriumfuje, oddzielony jest od sy-

pialni cienką przegródką, a więc trzeba pamiętać, że nie wolno w nim ani pluć, ani kasłać, ani wycierać nosa, bo to mogłoby doprowadzić do wielkiego nieszczęścia. Odejdźcie nie nasunie żadnych trudności, bo zejdzie się do kościoła i wyjdzie z niego po otwarciu drzwi, a kościelny, który nie ujrzy nikogo wieczorem, nie ujrzy zapewne i rankiem”.

Ze sto razy ucałowałem ten czarujący liścik, dowód niezwyklej pomysłowości i sprytu, i nazajutrz udałem się na zbadanie terenu, bo to wydawało mi się rzeczą najważniejszą. W kościele oczywiście była ambona, w której nikt by mnie nie odkrył, ale schody do niej wiodły z zakrystii zawsze zamkniętej. Zdecydowałem się więc na konfesjonał stojący tuż przy drzwiach. Nikt by mnie w nim nie dojrzał, gdybym się położył w miejscu, gdzie spowiednik opiera nogi, ale było tam tak ciemno, że nie wiedziałem, czy się zmieszczę przy zamkniętych drzwiczkach. Zaczekałem do południa i gdy kościół opustoszał, zrobiłem próbę. Musiałem zwinąć się w kłębek, lecz mimo to każdy przechodzący w pobliżu byłby mnie dostrzegł przez składane drzwiczki, bo nie dały się domknąć. Nie wahałem się jednak, albowiem w podobnych poczynaniach należy zaufać szczęściu. Zdecydowany ponieść największe nawet ryzyko i ciesząc się ze swojego odkrycia, wróciłem do domu. Zanotowałem owe spostrzeżenia wraz z moim postanowieniem i włożywszy tę karteczkę w starą gazetę oddałem ją burmistrzowej jeszcze tegoż wieczoru w łoży, miejscu naszych codziennych spotkań.

W tydzień później zapytała ona przy mnie generała, czy nie ma czasem jakichś zleceń dla męża, który nazajutrz wyjeżdża do Akwizgranu, skąd wróci po trzech dniach. Wiedziałem już dość, a spojrzenie, które mi rzuciła, zachęciło mnie do skorzystania z okazji. Nazajutrz, na domiar szczęścia, przypadało święto, uradowałem się więc tym bardziej, bo mogłem ukryć się w konfesjonale dopiero wieczorem, co oszczędzało mi długich godzin męczącego wyczekiwania. Było mi to ogromnie na rękę, albowiem akurat cierpiałem na katar. O czwartej po południu, poleciwszy się opiece wszystkich świętych, przycupnąłem w konfesjonale, ukryty jak mogłem najlepiej. O piątej kościelny obszedł kościół jak zwykle i wyszedł zamykając drzwi. Ledwie usłyszałem zgrzyt klucza w zamku, wygramoliłem się ze swego ciasnego więzienia i usiadłem na ławeczce na wprost okratowanych okien domu burmistrza, a w parę chwil potem, ujrawszy za nimi cień mojej ukochanej, nabyłem przekonania, że i ona mnie widziała.

Z kwadrans przesiedziałem na owej ławeczce. Potem podszedłem do małych drzwiczek, pchnąłem je i wszedłem na schody. Zamknąwszy owe drzwiczki, po omacku wdrapałem się na samą górę i usiadłem na najwyższym stopniu. Spędziłem na nim pięć godzin, które w oczekiwaniu szczęścia nie wydawałyby mi się wcale przykre, gdyby nie to, że nic dawały mi spokoju szczury, bez przerwy biegające tam i z powrotem. Nie znoszę tych małych zwierzątek, nie tak nawet groźnych, tylko że ich zapach przyprawia mnie o mdłości.

Punktualnie o dziesiątej nadeszła wreszcie godzina Amora: ujrzałem w drzwiach obiekt moich westchnień ze świecą w rękę i skończyły się wszystkie udreki. Gdybyście, moi czytelnicy, przeżyli to, co ja przeżyłem, moglibyście sobie wyobrazić całą przyjemność owej czarującej nocy, lecz nie odgadlibyście szczegółów, bo choć ja też znałem się na rzeczy, to jednak moja partnerka była wprost niewyczerpana w wynajdywaniu sposobów urozmaicenia i pomnażania rozkoszy tych cudownych praktyk. Nie zapomniała też o wspaniałej, radującej oko zimnej przekąsce. Nie tknąłem jednak ani kęska dręczony całkiem innym apetytem, który tylko jej uroda mogła zaspokoić. Siedem godzin zajęci byliśmy wyłącznie sobą, a minęły mi one jak jedna chwila, mimo że nie wypoczywaliśmy ani minuty, chyba tylko po to, aby jakimś czułymi słówkami okrasić naszą namietność.

Wyczerpany, ale bynajmniej nie nasycony, opuściłem moją piękną panią o brzasku, zapewniając, że przy najbliższym spotkaniu ujrzy mnie równie czułym i gorliwym kochankiem, i ukryłem się w konfesjonale, nękany obawą, iż świt może mnie zdradzić przed kościelnym. Ale były to płonne obawy, albowiem wyszedłem bez przeszkód. Prawie cały dzień przeleża

łem w łóżku, kazawszy podać sobie wspaniały obiad do pokoju. Wieczorem udałem się do teatru, aby nacieszyć oczy widokiem owego cudownego klejnotu, któryżem posiadał w nagrodę za miłość i wytrwanie.

Przy końcu drugiego tygodnia burmistrzowa doręczyła mi bilecik z zawiadomieniem, że następnej nocy będzie spać sama. Tym razem wypadło to w dzień powszedni, kościół był więc otwarty tylko do południa. Udałem się doń o jedenastej, po bardzo obfitym śniadaniu, i znowu ukryłem się w dawnym miejscu. Zakrystian zamknął drzwi i tym razem nic nie zauważywszy.

Czekało mnie dziesięć godzin zamknięcia, a myśl, że ten czas przyjdzie mi częściowo spędzić w kącie kościoła, częściowo zaś w ciemności, w towarzystwie stada szczurów, na schodach, gdzie nie będę mógł nawet zażyć tabaki z obawy, abym potem nie musiał wytrzeć nosa, wcale mi się nie uśmiechała; jednak nadzieja na rekompensatę, jakowej się spodziewałem, znacznie osładzała mi moją sytuację. Aliści koło pierwszej usłyszałem jakiś szmer i ujrzałem karteczkę wypadającą na kamienne płyty z ręki wysuniętej przez kratę. Podbiegam i z biciem serca podnoszę kartkę, bo w pierwszej chwili myślę, że pewnie zaszła jakaś przeszkoda i zamiast upragnionej przyjemności czeka mnie długa noc na kościelnej ławce. Rozwijam kartkę i z jaką radością czytam: „Drzwi są otwarte. Będzie panu wygodniej na schodach, gdzie znajdziesz światło, skromny obiad i książki. Niewygodnie będzie ci siedzieć, ale temu nie mogę zaradzić, położyłam tylko małą poduszkę. Możesz być pewien, że tobie czas będzie się mniej dłużył niż mnie, ale cierpliwości! Powiedziałam generałowi, że czując się niezdrowa nie wyjdę cały dzień. Na miłość boską, powstrzymuj się od kasłania, a zwłaszcza w nocy, bo nas zgubisz!”

Jakże pomysłowymi czyni nas miłość! Nie wahałem się nawet przez chwilę. Wszedłem na schody i znalazłem porządną zastawę, wspaniałe potrawy, cudowne wino, podgrzewacz, spirytus winny, kawę, cytryny, cukier i rum na poncz – gdyby mi nań przyszła ochota. Z tym i z ciekawymi książkami mogłem czekać. I byłem zachwycony, że ta czarująca kobieta potrafiła to wszystko zaaranżować w tajemnicy przed rodziną.

Trzy godziny spędziłem na czytaniu, trzy inne na jedzeniu, przyrządzaniu kawy i ponczu, a potem zasnąłem. O dziesiątej zbudził mnie mój anioł. Tę drugą noc spędziliśmy cudownie, choć znacznie gorzej niż pierwszą, bo bez przyjemności patrzenia. W dodatku w miłosnych zapasach krępowano nas fatalne sąsiedztwo męża. Przespaliśmy część nocy, a wczesnym rankiem trzeba było już myśleć o odwrocie.

Na tym skończył się mój romans z piękną burmistrzową. Generał wyruszył do Westfalii, a ona miała niebawem wyjechać na wieś. Przygotowałem się więc do opuszczenia Kolonii, przyrzekając mojej ukochanej, że wrócę za rok. Obietnica, której nie mogłem dotrzymać... Pożegnałem się więc ze znajomymi i odjechałem wśród ogólnego żalu.

Po wyjeździe z Kolonii, a jest rok 1760, Casanova udaje się do Stuttgartu. Przegrywa po pijanemu znaczną kwotę, a że jej nie może zapłacić, grozi mu zabranie w rekruty do wojska księstwa Würtenburgii. Przerażony ratuje przy pomocy znajomych aktorów część swojego ruchomego dobytku i ucieka nocą do Szwajcarii.

Chce zostać mnichem. Ale w Zurichu spotyka piękną nieznajomą i porzuca tę myśl. Bawi się w najlepsze, oczywiście romansuje, składa wizytę Walterowi i wdaje się z nim w dysputę. Wreszcie wyjeżdża do Francji. Po drodze, w Aix-en-Savoie (Aix-les-Bains), romansuje z mniszką, no i gra w karty.

Potem jedzie do Grenoble, Awinionu, Marsylii, Tuluzy i Nicei. Stamtąd eleganckim powozem zmierza do Rzymu. Oczywiście nie brak mu przygód i kobiet w tej drodze.

Z Rzymu jedzie do Neapolu i wreszcie udaje się do Paryża, stamtąd do Strasburga, gdzie nawiązuje romans z piękną aktorką Renaud i niebawem zostaje bez grosza. Zrozpaczony i już nieco zgorzkniały zdobywa się na energiczny czyn: zrywa z Renaud i jedzie do Augsburga. Jest chory, na domiar złego. Po pewnych kłopotach z lekarzem powraca do zdrowia i rozpoczyna dawne życie. Pani d'Urfé zasila jego nadwerżone finanse.

I znów jest w Paryżu, gdzie bez skrupułów czerpie z kieski markizy, a zupełnie opętawszy tę swoją przyjaciółkę i dobrze już zaopatrzony w pieniądze jeździ po Francji i zagląda do Szwajcarii. W końcu oznajmia pani d'Urfé, że wyjeżdża do Londynu, bo przepowiednia chce, aby jej tam znalazł męża. Zabiera małego Arandę, syna Teresy Imer, która pod nazwiskiem Cornelis zdobyła fortunę w Anglii, oraz Murzyna Yarbe'a.

ANGLIA – PANI CORNELIS – BAL NA SOHO SQUARE – LONDYŃSKIE KURTYZANY – MARTINELLI – PAULINA – JEJ HISTORIA

Anglia w niczym nie przypomina żadnego kraju na kontynencie; to świat mgieł i oparów, gdzie słońce świeci zawsze jak by przez zatłuszczony papier. Trzeba długo mieszkać na wyspach brytyjskich, ażeby przyzwyczać się do ich klimatu, tak jak i długo należałoby obcować z Anglikami, by żyć się z ich usposobieniem. Przez dłuższy czas nie mogłem pojąć, co rozumieją pod słowem „comfortable”. Zaraz po wylądowaniu na angielskiej ziemi chwytą was za gardło słona woń, zapach morski, przed którym nie ma ucieczki. Chleb, mięso, każdy napój nawet, prócz wina (oczywiście nie podrabianego), nasiąkły tą wonią. Bije ona z bielizny i wszystkich domowych przedmiotów. Na każdym kroku w Anglii odczuwacie, jeśli nie obecność morza, to przynajmniej jego sąsiedztwo i wpływ. Jak by się zmieszało z tym narodem, weszło mu w ciało i krew: Anglicy to prawdziwie wodny lud. Ich charakter jest całkiem odrębny, to ludzie niezwykle twardzi. Jak większość narodów mniemają o sobie, że są wyższą rasą od reszty mieszkańców naszego globu.

Po drodze z Dover do Londynu mogłem podziwiać piękno okolicy, regularność osiedli, ogólny porządek i czystość. Już w szesnastcie godzin po wyjeździe z Dover stanęliśmy w Londynie. Pobiegłem zaraz do matki małego Arandy.

Teresa Imer, która w Wiedniu zwała się signiora Pompeati, w Amsterdamie pani Trenti, przybrała w Londynie piękne nazwisko Cornelis, a zawdzięczała ten honor swojemu kochankowi z Amsterdamu, panu Cornelisowi Rigerboos. Mieszkała w Londynie na Soho Square. Kiedy tam przyszedłem z jej synem, służący doręczył mi bilecik, w którym pisała, gdzie spotkamy się wieczorem na kolacji. Usłuchałem rozkazu i pod wskazanym adresem zastałem grubą Francuzkę, panią Raucourt, która kordialnie uściskała młodego Cornelisa i kazała zaprowadzić go do przygotowanych dlań trzech ładnych pokojów. Jednocześnie przywołała dwóch pyzatyh służących i oświadczyła, że zarówno ona, jak ci dwaj są na jego usługi. Uważając, że jestem niewątpliwie czymś w rodzaju mentora-pedagoga tego nowego Telema-ka, wskazała mi odrażające pomieszczenie. Oczywiście odczułem całą niestosowność jej postępowania i zniewagę, jaka mnie spotkała, potrafiłem jednak zapanować nad oburzeniem. Zapytałem tylko Clairmonta, gdzie jest jego pokój.

- Na poddaszu – odparł,
- Świetnie, zanieśże tam swój tobolek.
- Czy mam wypakować pańskie rzeczy?
- Nie, nie waż się ich ruszać.

Powróciłem na pokoje Arandy, gdzie pani Raucourt perorowała w najlepsze. Plotła jakieś niesłychane bajki, był to istny potok słów; błyskotliwy opis fortuny pani Cornelis, jego matki. Prócz domu wspomniała o trzech sekretarzach, trzydziestu dwojgu służby, sześciu koniach, sforcie psów i damie do towarzystwa.

- Ach, tak! – rzekł mały. – A jak się ma Zofia?
- Jaka Zofia? – zapytała stara Francuzka.
- No, jak to? Moja siostra.
- Nazywamy ją: panna de Cornelis. Pańska siostra to istny cud...

- O której godzinie siada się tu do wieczerzy? – przerwał młody Cornelis.
- O dziesiątej, nie wcześniej. Twoja pani matka, paniczu, jest teraz na konferencji z adwokatami.

Pięknie – powiedziałem sobie – jeżeli pani „de” Cornelis jest zajęta swoimi sprawami, to nie ma co czekać jej zmiłowania. Wziąłem więc laskę i kapelusz, wybiegłem na miasto i poszedłem pierwszą lepszą ulicą. Nieświadomie zajrzałem do kawiarni „Orange”, miejsca spotkania wszystkich obywateli z Włoch i innych krajów. W Lyonie już mi opowiadano o tej knajpie i radzono unikać jej jak ognia. I właśnie tu moje dziwaczne fatum przywiodło mnie niby za rękę. Siadłem w kącie przed karafką lemoniady. Dojrzał mnie jakiś nieznajomy i przysiadł się, aby czytać gazetę przy świetle mojej świeczki. Trzymał w ręku ołówek, skreślał nim pewne słowa i dopisywał coś na marginesie. Zauważyłem, że gazeta była włoska i że w każdej jego poprawce tkwi błąd. Moje zamilowanie purystyczne nie dało mi milczeć.

– Jak to, łaskawco, już od czterystu lat pisze się „ancora” bez litery „h”, a pan ją dopisujesz!

Przyjrzał mi się ze śmiechem i rzekł:

– Słusznie, jestem pańskiego zdania, aczkolwiek na poparcie mam tu taki autorytet jak Boccaccio.

– Skoro powołujesz pan się na podobny autorytet, winienem prosić cię o przebaczenie. Z pewnością jesteś uczonym?

– Co nieco. Nazywam się Martinelli.

– Krewny pana Calsabigi?

– Tak, mój panie.

– Z przyjemnością czytałem pańskie satyry.

– Z kimże mam honor?

– Nazywam się kawaler de Seingalt. Czy prędko skończysz pan pracę nad nową edycją „Dekameronu”?

– Już niebawem, brak mi tylko tego, czego nie dostaje większości pożytecznych wydawnictw: subskrybentów.

– Zechcesz mnie pan wpisać na listę?

– Z całą ochotą. Masz pan tu abonament za gwineę.

– Deklaruję dwie. Ale czy wolno mi spytać, jak się zowie ta kawiarnia, gdzie jesteśmy?

– Przybyłeś pan zatem wczoraj?

– Dziś.

– A więc twoja gwiazda przywiodła cię do miejsca o najgorszej sławie w całym Londynie. Skoro jednak dopiero niedawno stanąłeś tutaj, trudno ci będzie, mój panie, trafić do domu. Pozwól więc, że posłużę ci za przewodnika.

Po drodze rzekłem:

– Owa kawiarnia cieszy się złą sławą, ale niech wolno mi będzie o tym wątpić, skorom pana w niej spotkał.

– Chodzę tam na zasadzie wiersza Juwenala: *Cantabit vacuus coram latrone viator*²⁹. Stali bywalcy nigdy nie zaczepiają mnie, wiedząc, że szkoda trudu. Nie jestem łakomym kęskiem dla filutów. Od czterech lat mieszkając w Londynie nie odwiedziłem nikogo prócz lorda Spencera. Literatura to moje ulubione zajęcie. Fach mało lukratywny, ale kontentuję się tym, co mam. Służący, wygodny pokój i obiad w tawernie, cóż więcej mi trzeba?

Nabrałem sympatii do tego człowieka. Doskonale mówił w tokańskim narzeczu. Prosiłem, aby mi poradził, jak się urządzić w Londynie, i oczywiście musiałem go wtajemniczyć w moją sytuację materialną i na jak długo przyjechałem.

– Przede wszystkim musisz pan wynająć cały od góry do dołu urządzony dom. Będiesz tam panem i wolnym niby Anglik, posłuszny tylko prawu.

²⁹ Cantabit... – Podróżnik bez grosza może się śmiać ze złodziei.

Zawiódł mnie na Pal Mall, gdzie wynająłem dom kompletnie urządzone za dwadzieścia gwinei tygodniowo. Mógłbym w nim z łatwością pomieścić wszystkich moich starych znajomych, bo naliczyłem szesnaście pokoi i osiem sypialni, każda z dwoma łózkami. Miałem tam sporo mebli oraz bardzo gustowne srebra do dyspozycji. Zatrzymałem też na gospodynię starszą damę, która nas oprowadziła po owym domu, lecz przed objęciem go w posiadanie pobiegłem do pani Cornelis. Jeszcze nie wróciła, a jej syn chrapał wyciągnąwszy się na sofie. Dotknięty do żywego sposobem, jakim mnie witała w Londynie, z niechęcią czekałem zbliżającego się momentu jej nadejścia. Nagle drzwi się otwały i Teresa podbiegła do śpiącego syna. Zaczęła go ścisnąć i całować. Kiedy poproszono do stołu, uczepliła się mojego ramienia i dopiero wtedy odezwała się do mnie po raz pierwszy.

– Czy wiesz, mój synu – rzekła pani Cornelis zwracając się do Arandy – czemu pan Casanova przywiózł cię do mnie? Bo jesteś już w tym wieku, że możesz mi pomóc w interesach.

– W jakich interesach?

– Musisz wiedzieć, że wydaję dwanaście bali rocznie dla arystokracji i tyleż dla mieszczaństwa. W moich salonach zbiera się czasami aż po sześćset osób i każda płaci dwie gwiney. Rozumiesz więc, ile mam spraw na głowie, a że jestem sama, ludzie mnie oszukują, co jest nieuniknione. Będziesz więc ich doglądał, inkasował pieniądze i prowadził księgi.

– Droga mamó, ja tego nie potrafię.

– Wprawisz się z czasem. Sekretarz wprowadzi cię we wszystko. Najważniejsze, żebyś się nauczył płynnie mówić po angielsku. Przedstawię cię paniom, poznasz u mnie najwspanialsze towarzystwo. Daję ci możliwość zdobycia fortuny, a już od ciebie zależy, byś z tego skorzystał i aby wszyscy mówili o Cornelisie.

– Któż to jest ów Cornelis?

– To ty.

– Jeśli tak, niechże sobie zapiszę to nazwisko, bo gotówem zapomnieć. Mówił naiwnie, jego matka zaś myśląc, iż żartuje, kazała mu wyjść. A gdy znaleźliśmy się we dwoje, rzekła mi:

– Mój panie, jakżeś go wychował! Nie potrafi się znaleźć. Cóż robił przez te sześć lat?

– Był w najlepszych paryskich zakładach, wielce renomowanych, gdzie wykładają języki żywe i martwe, matematykę, chemię, astronomię, filozofię, historię i geografję...

– Mój syn uczył się tych wszystkich pięknych rzeczy?

– Niestety, pani: prawdę mówiąc nie uwiodła go żadna z nich.

– Ale coś przecież umie?

– Niewątpliwie: jeździć konno, fechtować się i tańczyć menueta.

– Świetnie.

– I grać na flageolecie.

– Wolałabym flet.

– I wreszcie potrafi się ładnie ubrać.

– Tak, jest elegancki i dość dobrej budowy, choć trochę za niski jak na swój wiek... Ale wróćmy do sprawy zasadniczej: co umie?

– Nie słuchałaś mnie więc, pani? Przeciżem powiedział.

– Ale matematyka, geografia, gramatyka...

– To wszystko dla niego hebrajszczyzna.

– Umie przynajmniej czytać?

– Własne listy co najwyżej.

– Pięknie wykorzystane sześć lat! Będzie się musiał rumienić przy Zofii, która tyle już umie w ósmym roku życia! Nasze wszystkie panie przepadają za nią. Proszę przyjść w niedzielę, zobaczysz ją pan.

Zdziwiło mnie to zaproszenie, bo był akurat poniedziałek. Tydzień czekać na zobaczenie własnej córki, to długo!

Teresa podjęła:

– Przyjdiesz pan na ostatni bal w tym roku, nie mogę jednak dać ci biletu wstępu, bo nie jesteś z wysokiego rodu. Wstąpisz więc jako przyjaciel domu.

– Rozumiem.

– A gdy cię zapytają, kim jesteś, powiesz, że preceptorem młodego panicza Cornelisa.

– Serdeczne dzięki za tak łaskawe względy.

Ponieważ traktowała mnie bezceremonialnie, nie pytając ani o zamiary, ani jak długo zamierzam tu pozostać, ani też o moją sytuację i nie proponowała pomocy, uważałem, że lepiej uczynię milczeniem pomijając ów temat.

Nazajutrz widziałem się z Arandą, któremu podałem swój nowy adres.

– Jak to, opuścisz mnie! – wykrzyknął.

– Nie możemy pozostać pod jednym dachem, gdy twoja matka uważała za słuszne ulokować mnie na strychu.

– Jestem oburzony. Wracam do Paryża.

– Nie rób głupstw, musisz tu zostać. Ojczyzna twojej matki jest także twoją ojczyzną.

Stamtąd udałem się do rezydenta Republiki Weneckiej, pana Gulatto, któremu oddałem list polecający od pana Morosini. Czytał go długo, a potem rzekł chłodno:

– Doskonale. Rad pana widzę i czym mogę mu służyć?

– Chciałbym, aby mnie pan wprowadził na dwór.

– I przedstawił królowi, prawda? – rzekł wybuchając śmiechem. A że śmiał się jak wariat, nie psułem mu zabawy i już się więcej u niego nie pokazałem.

Miałem też list polecający od pana de Chauvelin do ambasadora Francji, pana de Guerchi. Gdy mnie wprowadzono do niego, przyjął mnie jak najuprzejmiej i zatrzymał na obiedzie. Przy tej to okazji zobaczyłem po raz pierwszy kawalera d'Eon, w owym czasie sekretarza ambasady. Pod męską postacią wyczuwało się coś, co wydawało mi się podejrzanym. Miał za wydatne piersi i zbyt szerokie biodra. Dowiedziałem się, że był kapitanem dragonów, zanim rozpoczął karierę dyplomatyczną. Dopiero później doszło do mnie to, co cały świat o nim wiedziało. Pan de Guerchi darzył go wielkimi względami.

W następną niedzielę pan de Guerchi zawiódł mnie do króla. Jerzy III był niski i dość gruby. W szkarłatnym stroju, nie mniej od niego czerwony, i w trójgraniastym kapeluszu z górującą nad nim egretą, przypominał potężnego koguta.

Skłoniłem mu się kornie, a on coś powiedział. Nie zrozumiałem ani słowa ponowiłem rewerans i wtedy znów coś rzekł, na co skłoniłem się raz jeszcze. Robilibyśmy tak ciągle, gdyby królowa nie wybawiła mnie z tego ambarasu, zwracając się do mnie w bardzo wyraźnej francuszczyźnie. Zapytała, gdzie się rodził. Na moją odpowiedź ze zdziwieniem spojrzała na obecnego przy tym rezydenta Republiki Weneckiej, a ten ukłonem dał jej do zrozumienia, że to prawda. Wówczas zapytała mnie zaraz, czym znał posła weneckiego, który ubiegłego miesiąca opuścił Londyn. Dumny byłem mogąc odpowiedzieć, że trzy dni spędziliśmy razem w Lyonie.

– Pan Querini przekomarzał się ze mną, nazywając mnie „Diavolo” – powiedziała.

– Chciał przez to rzec, że Wasza Królewska Mość ma duszę anioła.

Wszyscy roześmieli się prócz króla. Rezydent Republiki Weneckiej, przychylniej już do mnie usposobiony po okazanym mi przez królową przyjęciu, zbliżył się i powiedział:

– Czemuś pan milczał, kiedy król mówił do ciebie?

– Bo nie rozumiałem ani słowa z pytania, którym mnie zaszczycił.

– Kiedy się dowiedział, że zwiesz się de Seingalt, zapytał, czy nie pochodzisz z Hanoweru, a twój ukłon wziął za potwierdzenie. Tym bardziej to przykre, że jednego z owych Saint-Gallów, a nie Seingaltów powieszono kilka lat temu za flibustierstwo, a król pański drugi rewerans mógł wziąć za przyznanie się do tego pokrewieństwa.

– Bolesne nieporozumienie.

– Wszyscy przygryźliśmy usta, aby się nie roześmiać.

- Zrobiłbym to samo na waszym miejscu, choć prawdę mówiąc dla mnie nie jest to takie zabawne.
- Odwagi, mój panie, królowa jest dobrze do ciebie usposobiona i wyprowadzi małżonka z błędu.

Po skończonej audiencji zobaczyłem się z panią Cornelis. Był to dzień, w którym wydała obiad. Zdumiała się na widok mego bogatego stroju i powitała mnie nad wyraz serdecznie, nie szczędząc przyjaznych słówek. Jednak nie zdradzała chęci przedstawienia mnie gościom i ten wyłom w przyjętych zwyczajach wydał mi się ogromną impertynencją. Ujrawszy Zofię na progu podszedłem do niej z wyciągniętymi ramionami, a ona, pouczona przez matkę, cofnęła się i głębokim dygnięciem pokwitowała moją ojcowską czułość. Obiad i wieczór minęły w smutnym nastroju. Zofia pomiędzy matką i mną zupełnie widocznie była zażenowana. Bolałem nad tym rozdarciem serduszka małej. Jednakże pani Cornelis gestem kazała Zofii uściskać mnie, gdy zachwyciałem się jej rysunkami; wziąłem ją wtedy na kolana i ucałowałem stokrotnie, ona zaś z całą czułością oddawała mi pocałunki.

Mały Aranda przerwał te pieszczoty pytając, czy zamierzam udać się na królewski dwór. W owej chwili dostrzegłem, że pani Cornelis uśmiechnęła się pogardliwie. Odparłem dziecku, że właśnie stamtąd przychodzę.

- Jak to, widziałeś pan króla?
- Synu, nie zwykło zadawać się podobnych pytań.
- A czemu, mamusiu?
- Bo to mogłoby się nie podobać kawalerowi de Seingalt.
- O nie, proszę pani. Pytanie pani syna sprawiło mi przyjemność. Tak, mój przyjacielu, widziałem króla.
- I królową?
- Tak, i królową. Zaszczyciła mnie nawet paroma pytaniami.
- A kto pana przedstawiał?
- Ambasador Francji.
- Myślałam – ironicznie zauważyła pani Cornelis – że to należałoby do rezydenta Republiki Weneckiej.

Ta uwaga wydała mi się impertynencka, wstałem więc i pożegnałem się ukrywając zły humor.

Miałem list polecający do lady Harrington, która przyjmowała w niedziele. Wiedziałem, że w owe dni można grać u niej, bo mieszkała w Saint James Park znajdującym się pod jurysdykcją króla. Wszędzie indziej obowiązywał surowy zakaz gry w karty w niedzielę, a także muzykowania. Policjanci bez przerwy przebiegali ulice Londynu i czatowali nawet przed drzwiami domów. Wystarczyło im podejrzenie, że wewnątrz odbywają się jakieś niedozwolone zabawy, by wtargnąć do domostwa nieprawego chrześcijanina, co bezczęści dzień przeznaczony na chwałę Pana. Tymczasem zaś tawerny i różne spelunki są otwarte w niedzielę jak w dzień powszedni i każdy dobry Anglik może zabawić się do woli wszędzie, byle nie we własnym domu.

Milady Harrington była już dobrze po czterdziestce, ale przyznawała się najwyżej do trzydziestu czterech lat, a słynęła ze swych galanckich awanturek. Znać było na niej ślady dawnej urody, choć już mocno zbrzydła. Przedstawiła mi swojego męża i cztery dojrzałe i dość ładne córki.

- O złym czasie wybrałeś się pan do Londynu.
- O złym czasie! Przecie jesteśmy w pełni lata.
- Właśnie, toteż cały elegancki świat szykuje się do wyjazdu na wieś.
- Zostanę tu cały rok.
- Świetnie. Mam nadzieję, że będziemy się często widywać. W przyszły czwartek, na przykład, cała arystokracja zbiera się na Soho Square. Proszę, tu jest bilet wejścia: bal i kolacja, bagatelka – tylko dwie gwinee.

Wręczyłem jej tę kwotę. Wpisała na zaproszeniu: „Zapłacone – Harrington”. Strzegłem się, aby słówkiem nie zdradzić, że byłem na obiedzie u pani Cornelis.

- Czy masz pan jeszcze jakieś listy polecające do którejś z dam?
- Mam jeszcze jeden. Ale ten nosi całkiem szczególny charakter. To portrecik.
- Mogę go zobaczyć?
- Proszę bardzo.

– Ach, to jedna z moich serdecznych przyjaciółek, księżna Northumberland. Jest właśnie tutaj, o, ta piękna pani w różowej sukni, z trefionymi włosami, tam, przy stoliku do wista.

Po skończonej partii zostałem przedstawiony księżnej. Była bardzo łaskawa dla mnie i zaprosiła nawet do kart. Nie graliśmy wysoko, a jednak przegrałem piętnaście gwinei, a gdy zapłaciłem złotem, lady Harrington odwołała mnie na bok i rzekła:

- Nie masz pan banknotów?
- Mam w portfelu pięćdziesiąt po sto gwinei.
- Więc czemu nie zmieniłeś jednego z nich?! Płacić przegraną w brzęczącej monecie to nietakt, którego nie wybacza się nawet przyjeźdnemu. Mogłeś pan chyba zauważyć uśmiech na twarzy damy, która wygrała tę kwotę.
- Kimże jest owa dama? Bardzo zresztą ładna.
- To lady Coventry, córka księżnej Hamilton.
- Czy mam ją prosić o przebaczenie?
- Nie potrzeba. Prawdę mówiąc, nie ma się o co gniewać, gdy się zarobiło na tym piętnaście szylingów, bo złote monety są o szylinga droższe.

Po dość mile spędzonym wieczorze wróciłem do domu. Jakaż straszliwa samotność i obcość! Gdyby nie moja kucharka, która cudownie przyrządzała *ragoût* na sposób francuski, umarłbym chyba w Londynie z nudów i głodu. Nie ma tu zwyczaju podejmowania znakomitszych ludzi we własnym domu; preferencje mają tawerny. Spotkałem się też z ironicznym spojrzeniem, gdy mówiłem, że wolę jadać w domu, a to dlatego, że bardzo lubię zupy, których nie dają w tawernach. Z całą powagą pytano mnie wówczas, czym nie chory. Proszę, tacy są Anglicy! Nie jedzą ani chleba, ani zupy; nie znają deserów, a ich obiady są bez początku i końca. Piwo wydało mi się ohydne, wina zaś nie mają wcale. To, które piją, sprowadzają z Portugalii. Przypomina ocukrzoną lurę, liche wińsko, po którym wzbierały mi kwasy w żołądku. Kupowałem więc francuskie, choć Bóg wie ile mnie to kosztowało.

Następny dzień spędziłem w towarzystwie pana Martinelli. Rano zaprowadził mnie do Muzeum Brytyjskiego, gdzie oglądałem wspaniałe obrazy Rubensa i Van Dycka. Wieczorem weszliśmy do teatru na Drury Lane. Widownia burzyła się z racji zmiany programu. Tupano, wrzeszczano i hałasowano nie oglądając się na obecność rodziny królewskiej. Daremnie Garrick pokazywał się trzykrotnie i próbował uciszyć publiczność. Wygwizdano go i zakrzyczano z kretesem; obrzucono jabłkami i różnym śmieciem. A gdy opuszczono kurtynę, rozwścieczony tłum wpadł na scenę i połamał wszystko na kawałki. Zostały tylko gołe ściany. Martinelli brał się za boki na ten widok, a ja, który czytałem niedawno Monteskiusza i Woltera pod niebiosą wynoszących rozum narodu angielskiego, nie wiedziałem co myśleć o prawdomówności tych świątłych filozofów. Przed oczami miałem jawne zaprzeczenie tego, co pisali.

W parę dni potem spacerowałem po Hyde Parku z admirałem lordem Harveyem, kiedy zaczepił go jakiś nieznajomy i wdał się z nim w rozmowę. Gdy się pożegnali, zapytałem lorda, kto to był.

- Brat lorda Brockilla, który zginął na szafocie.
- I pan z nim rozmawiałeś na oczach wszystkich?
- Więc byłbyś niehonorowy dlatego, że jego brat popełnił morderstwo? Zresztą ten brat nie jest mordercą i nie może być zań uważany, skoro własną głową zapłacił za wykroczenie wobec prawa i już się z nim skwitował.
- A wobec społeczeństwa? – zapytałem.

– Społeczeństwo? Porwał się na wielką grę przeciwko niemu. Przegrał i zapłacił, a zatem – kwita. Można by zarzucić zmarłemu zaaranżowanie oszukańczej gry, ale to już jego sprawa. My nie znamy hańbiących kar. Mogę z rozmysłem złamać każde prawo, jeżeli zgadzam się ponieść za to karę.

– Rozumiem. Tutaj kara oznacza rehabilitację.

– Nic podobnego: u nas człowiek nie traci szacunku, jeżeli odcierpiał za popełnioną zbrodnię. Bezcennym jest ten, co winien podłości, za którą prawo go nie dosięgnie. Na przykład niehonorowym będzie ktoś, kto się odwoła i skorzysta z łaski króla.

– A ten, co się uratuje ucieczką?

– Złoży dowód pewnej odwagi. Walczył o życie i zwyciężył. *Vir fugiens, denuo pugna-bit*³⁰.

– Jakiegoż byłbyś pan zdania o zbójach rabujących po traktach?

– Myślę, że to nieszczęśnicy, męty zakłócające spokój społeczny, wrogowie cywilizacji, a jednocześnie nie mogą się wyzbyć głębokiego współczucia dla tych biedaków, co wykonując swój zawód, stale żyją w cieniu szubienicy. Gdyby tak przed rogatkami Londynu wskoczył ktoś podobny na stopień pańskiego powozu i z pistoletem w ręku zażądał sakiewki, co byś pan uczynił?

– Jeśli miałbym broń, roztrzaskałbym mu czaszkę, gdybym jej nie miał, oddałbym mu sakiewkę, zwymyślawszy od zbójów i morderców.

– W jednym i w drugim wypadku postąpiłbyś niewłaściwie. Gdybyś bowiem zabił złodzieja, skazano by cię na śmierć, bo będąc obcokrajowcem nie wolno ci porywać się na Anglika. Traktując zaś napadającego jako mordercę, mógłbyś od niego usłyszeć, że wcale nim nie jest, bo cię nie zabił, a sam się na śmierć naraził. Jeżelibyś natomiast zarzucił mu niecność zawodu, przyznałby ci rację i doradził w zamian, abyś nigdy nie opuszczał Londynu bez eskorty służącego lub bez broni.

Zabrakło mi na to argumentu, albowiem lord mówił sensownie. Anglia to morze pełne piaszczystych mielizn – tym gorzej dla tych, co żeglują po nim bez busoli.

– Posłuchaj pan – ciągnął lord – niedawno powieszono w Londynie złodzieja zasługującego na pewną uwagę. Ten biedak uciekł z siedemdziesięcioma tysiącami szterlingów i schronił się we Francji. Wydano go jednak, gdy rząd zwrócił się o ekstradycję. Nie podobała nam się ta sprawa załatwiona za pośrednictwem dyplomacji.

– Odzyskało się przynajmniej te siedemdziesiąt tysięcy funtów?

– Ani szylinga. Zostawił ów skarb swojej żonie, która opływa w dostatku. Młoda i piękna wyjdzie dobrze za mąż, może nawet za jakiegoś lorda.

– Jakże to! Tej kobiecie uszło to bezkarnie?

– Czy przyzna się, że dostała pieniądze od męża? Zresztą prawo bezwzględnie zakazuje jakiegokolwiek śledztwa w podobnych wypadkach. Zleca ujęcie złodzieja, ale nie troszczy się o obiekt kradzieży. Okradziony winien był pilnować swojego dobytku; skoro tego nie zrobił, tym gorzej dla niego. Jakżebyś pan sobie wyobrażał restytucję szkody? Ja zdobyłem Hawanę na Hiszpanach, a że nie mogłem wsadzić wyspy Kuby do kieszeni, musiałem tę zdobycz oddać rządowi, który nie miał do niej ani odrobiny większych praw niż ja. Ale co innego z czterdziestoma milionami plastrów, które tam znalazłem.

Rozstawszy się z lordem Harveyem spotkałem pana Martinelli, który mi powiedział, że Cornelis siedzi w długach po uszy... Była to akurat niedziela, dzień balu...

Nie będę usiłował opisać tego wieczoru, który tylko słabe ślady pozostawił w mojej pamięci. Owo wytworne towarzystwo wydało mi się chłodne i nadęte. Po dwóch godzinach, nie mogąc już dłużej wytrzymać, wzięłem kapelusza i poszedłem do Star Tavern, aby się trochę rozerwać. Lord Pembroke powiedział mi, że znajdę tam najpiękniejsze kobiety i wszystko, co najbardziej godne stolicy.

³⁰ *Vir fugiens...* – Mąż, który uciekł, będzie dalej walczył.

- Oddzielny gabinet – rzuciłem gospodarzowi.
- Pan życzy sobie zjeść tu wieczerzę?
- Tak.
- Jakie podać wino?
- Najlepsze. Ale proszę też dodać drugie nakrycie.
- Nie wiedziałem, że pan czeka na kogoś.
- Nie czekam na nikogo, ale chciałbym bardzo spędzić resztę wieczoru w towarzystwie ładnej kobiety.

Gospodarz roześmiał się; zawołał jednego z usługujących i rzekł:

- Sprowadź tu Sarę.

Prawie w tej samej chwili weszła wysoka, młoda dziewczyna, chuda, jasnowłosa, głupkowato uśmiechnięta. Wcale mi się nie podobała. Gospodarz spostrzegł to i rzekł:

- Sara, proszę odejść.

Odwróciła się na pięcie i zniknęła.

- Nie godziło się robić takiego afrontu tej pani – powiedziałem oburzony.
- O, my się tutaj tak bardzo nie ceregielujemy, zresztą dam jej szylinga w pańskim imieniu. To zwykłe odszkodowanie w podobnych wypadkach.
- W ten sposób, płacąc szylinga od głowy, mogę dokonać przeglądu wszystkich pięknotek z pańskiego zakładu?

- Oczywiście.

Przywołany służący znów wprowadził nową piękność, równie mało ponętą jak ta pierwsza. Zapłaciłem i pożegnałem ją. Nowa osóбка i nowy szyling, w ten sposób wydałem ich sześć. Znudził mnie w końcu ten proceder i zażądałem kolacji tylko dla siebie. A że akurat odbywała się wielka zabawa w Ranelagh, udałem się tam w zamiarach czysto miłosnych. Widziałem ładnych kobiet bez liku, ale cóż – nie znając angielskiego, skazany byłem na mimikę, wtedy śmiano mi się w nos: daremnie się tylko kompromitowałem. Zamierzałem już wracać do domu i na próżno rozglądałem się za dorożką, kiedy jakaś młoda dama ulitowała się nade mną i powiedziała po francusku:

- Pan zapewne mieszkasz przy White Hall, wsiądź więc do mojego powozu. Odwiozę pana do domu.

Można sobie wyobrazić, z jakim zapałem przyjąłem to zaproszenie. Zacząłem od bardzo gorących podziękowań, później, upojony wdzięcznością, ośmieliłem się ująć jej rączkę, czemu się nie sprzeciwiła. Bez przeszkód z jej strony posunąłem dalej te karesy, ale przy ostatecznej próbie powstrzymała mnie raptownie:

- Więc to tak odwdzięczasz się pan za moją uprzejmość?
- Droga pani, jakże jesteś nieludzka!
- A więc nie dość ci tego, co czynię?
- Nie bądź taka zimna!
- Nie bądź taki wymagający!
- Czy się jeszcze bodaj zobaczymy?
- Z pewnością. Rezerwuję sobie jednak prawo pierwszej wizyty.

Pożegnałem się z nią nie znając ani jej nazwiska, ani adresu, aż tu po dwóch tygodniach spotykam ową piękną nieznajomą u lady Germen: siedziała pogrążona w lekturze gazety. Obcy w tym towarzystwie, podszedłem do niej i poprosiłem, aby wyręczając nieobecną gospodynię przedstawiła mnie zebranym. Wtedy ze złośliwym uśmiechem odparła:

- Przedstawić pana! A kim pan jesteś? Ja pana nie znam.
- Czyżbym miał – szepnąłem jej do uszka – ożywić pani wspomnienia?
- Niech się pan nie waży. Jeżeli jesteś człowiekiem światowym, powinienesz wiedzieć, że podobne spotkania do niczego nie zobowiązują.

Odwróciła się i spokojnie zabrała do czytania gazety. Muszę dodać, że ta pani miała jak najlepszą reputację w Londynie. Anglia zresztą nie jest jedynym krajem, gdzie surowa postawa i pruderyjne maniery służą damom za płaszczyk do swawoli. Większość z nich myśli o tym tak, jak Świętoszek, wielka postać komedii francuskiej: „I wcale ten nie grzeszy, kto grzeszy w sekrecie”.

...Któregoś ranka byłem u Martinello, kiedy w oknie domu naprzeciwko ujrzałem niezwykle miłą i młodą niewiastę, ślącą mi całusy. Zapytałem pana Martinelli, kto to taki.

– Binetti – odparł.

Nie wiedziałem, że Binetti mieszka w Londynie. Martinelli powiedział mi, że rozeszła się z mężem i wcale się z nim nie widuje, tylko w teatrze Hay Market, gdzie razem tańczą co wieczór.

Natychmiast pobiegłem do niej. Przyjęła mnie bardzo serdecznie. Po kilku wstępnych czułościach powiedziałem:

– Czemu to, moja droga, mąż cię opuścił?

– To ja go puściłam kantem. Rujnował mnie ten niepoprawny gracz.

– A zatem przegrywał stale. Nieszczęśliwy w kartach, szczęśliwy w miłości.

– Chciałabym usprawiedliwić owo przysłowie, ale z zameżnej baletnicy żalosa figura! Bogacze nawet na nią nie spojrzą. A teraz mogę przyjmować moich przyjaciół bez skrupowania.

– Byłbyż pan Binetti tak śmiesznie zazdrosny? Innym go sądziłem.

– Nie znasz zwyczajów tego kraju, drogi przyjacielu. Dowiedz się więc, że prawo angielskie pozwala mężowi uwięzić amanta żony, jeżeli przyłapał ich w czułym *tête-à-tête*... Wystarcza, aby dwóch świadków stwierdziło, że widziało domniemanego kochanka w pozycji dwuznacznej, pochylonego nad łóżkiem, i już jest zgubiony. Zabiorą mu połowę majątku i wsadzą pod klucz. Wielu bogatych lordów wpadło w takie pułapki, toteż teraz jak ognia wystrzegają się mężatek, a zwłaszcza Włoszek.

– Skoro więc jesteś wolna, musi ci się dobrze wieść.

– Niestety. Nie mogę zabronić mężowi wstępu pod nasz wspólny dach i ledwie dostanę coś w prezencie, zjawia się po swoją część.

– Nie powinnaś się zgadzać.

– Kiedy to brutal. Poza tym pozwala mi na wszystko, a to najważniejsze.

Dałem jej swój adres i poprosiłem, aby mnie zawiadomiła, gdy przyjdzie jej ochota na wspólną kolację.

Nazajutrz odwiedził mnie lord Pembroke.

– O, do licha! Toż to sam król nie mieszka lepiej w pałacu Saint James. Trzy kondygnacje, ależ to nadto! Kto panu zabroni przytulić kilka panienek na wyższych piętrach?

– Milordzie, o nic więcej mi nie chodzi. Czy nie znasz pan parę wolnych a ładnych panien?

– Wskazałbym ci je tuzinami, nie wypada jednak, abys brał z mojej ręki resztki po mnie.

– Byłbyś pan aż tak zmiennym?

– Nigdy nie mogłem spać dwa razy z tą samą kobietą.

– Nie jesteś pan żonaty?

– W tym cały szkopał. Nie przeszkadza mi to jednak żyć po kawalersku. Codziennie ktoś nowy. Ale to straszliwie kosztuje. Każdego wieczoru kolacja na mieście – wprost rujnujące. Aha, czemu to pan jadasz w domu?

– Bo lubię zupę i dobre wino. Nie mogę się obyć bez francuskiej kuchni. Jakżebyś więc pan chciał, abym chodził do waszych tawern?

– Ale tam znajdziesz apetyczne i ładne dziewczuszki.

– Nie mówże mi pan tego! Tam są same brzydule.

I opowiedziałem mu o mojej przygodzie. Roześmiał się i rzekł:

– Czemu żeś się pan mnie nie zapytał o imiona tych najładniejszych? Gospodarz to chytra sztuka; wyłudziłby od pana wszystkie pańskie szylingi. W Londynie jest więcej brzydkich kobiet niż pensów w twojej kalecie. Płać pan, jak ja płacę, hojnie, a będziesz miał najpiękniejsze. Wszystkie. Przylecą z radością. Żle tylko, że nie mówisz po angielsku, bo Francuzki, które tu przyjeżdżają, są mało ponętne.

– To samo powiedziałbym o Angielkach w Paryżu. Kiedy te damy zestarzeją się, przeprawiają się przez Kanał, a to zła rekomendacja dla towaru. Znak, że potaniał w kraju.

Posłuszny instrukcjom lorda Pembroke posłałem swojego służącego Murzyna do jednej ze wskazanych mi dam. Mimo najszczerzej chęci jednak nie mogłem jej uznać za ładną. Ale podnieciła mnie i trochę poswawoliłem, a później odesłałem ją do domu z czterema gwineami gratyfikacji. Nazajutrz nowy bilecik i nowa wizyta. Tym razem była to już kobieta niemłoda, uważałem też, że jest zbyt łatwa i ekspansywna. Rozebrała się niemal na progu. Nie studziłem jej zapału. Potem ubrała się i odeszła, jak przyszła, tyle że z dwiema gwineami. Wyszedłem niemal równocześnie i przechodząc obok Covent Garden ujrzałem czarującą dziewczynę. Rzuciłem jej kilka słów po angielsku, lecz odpowiedziała mi po francusku. Oczarowany zaprosiłem ją na kolację.

– A nie dostanę nic w prezencie?

Pokazałem trzy gwinee. Dobiliśmy targu i przyszła po mnie pod teatr. Czekałem z listą lorda Pembroke w ręku i zapytałem ją o nazwisko.

– Miss Kennedy – odparła.

Figurowała na tym spisie z dwiema innymi tego samego nazwiska.

– To moje siostry – wyjaśniła.

– Jestem z ciebie zadowolony – powiedziałem. – Przyślij mi siostry.

I z tym odeszła.

Nudziły mnie te wszystkie rozrywki i już od pięciu tygodni siedząc w Londynie nie znalazłem sobie jeszcze żadnej metresy, żadnej przyjaciółki. Byłem sam w swoim olbrzymim domu i dnie i nocę wydawały się mdłe. Jakże znaleźć w tym mieście jakąś młodą kobietę, która by mi bodaj przypominała moje dawne kochanki? Susząc sobie nad tym głowę wpadłem na taki oto pomysł: zawołałem gospodynię i powiedziałem:

– Postanowiłem odnajdąć drugie i trzecie piętro tego domu. Proszę więc umieścić ten oto anons przy drzwiach: „Do wynajęcia młodej, zupełnie niezależnej damie, drugie i trzecie piętro umeblowane i kompletnie urządzone, pod warunkiem, że nie będzie ona nikogo przyjmować tak w dzień, jak i w nocy”.

Stara Angielka przeczytała kartę i wybuchnęła śmiechem.

– Czego się pani śmiejesz? Uważasz, że nikt się nie zgłosi?

– Przeciwnie, będziemy tu mieli całe procesje, jak na Boże Ciało. Zleci się panienek bez liku. Ręczę panu.

– No więc, czemu się pani śmiejesz?

– Bo to zabawne. Ile mam zażądać komornego na tydzień?

– Wszystkie zgłaszające się proszę przysyłać do mnie, bo ja cenę ustale.

– Niech pan weźmie pod rozwagę, że ludzie ubawią się pańskim kosztem. Przechodnie będą się gromadzić przed tym anonsem.

– O to mi właśnie chodzi.

Każdy przystawał przed wywieszonym afiszem i komentował go na swój sposób, ale już dwa dni minęło i nikt się nie zgłosił. Trzeciego dnia Yarbe przyniósł mi gazetę „Saint James Chronicle”. Przeczytałem w niej, co następuje: „Na pierwszym piętrze domu, o którym mowa, mieszka niewątpliwie ktoś, kto chciałby dysponować dwoma innymi piętrami. Należy przypuszczać, że mając intencję sprokurowania sobie miłego i dobranego towarzystwa będzie on czuwał osobiście nad skrupulatnym dotrzymaniem ustalonych warunków. Musimy jednak uprzedzić owego nieznajomego, że może dotkliwie zawieść się w nadziejach. Przede wszyst-

kim młoda dama, która tanio wynajmie całe piętro, gotowa tam tylko sypiać albo pokazywać się raz na tydzień. A może uprze się i nie będzie chciała przyjmować wizyt, które autor ogłoszenia zamierza jej składać”.

Z przyjemnością przeczytałem owe uwagi: dziennikarz udzielił mi rady, ja zaś chętnie z niej skorzystałem. Gazety londyńskie zajmują się wszystkim i piszą o wszystkim, a to jest bardzo wygodne. Podobna bagatelka, zaanonsowana w ten sposób, nabiera pewnej wagi: forma zabawia i obnaża błahość treści.

Nigdy bym nie skończył, gdybym wyliczał te wszystkie panie, które od trzeciego dnia zaczęły nachodzić dom: brakowało mi już pomysłów i wykrętów dla odprawiania ich z kwitkiem. Wszystkie stare, trzydziestosześcioletnie panny, wdowy w przełomowym wieku, rozwódki, przywidłe piękności, wypacykowane i wyfiocone naznaczyły sobie *rendez-vous* w moim przedpokoju. Potem pokazały się dojrzałe dziewczęta. Trudno wyobrazić sobie, ile przedziwnych buziaków przewinęło mi się przed oczyma w pierwszych dwóch tygodniach. Nie miałem chwili czasu i głowa mi puchła. W grono licznych interesantek wśliznęło się też dwóch frantów przebranych za kobiety. Jeden z nich lub też jedna z nich na moją uwagę o gęstym czarnym zarostcie na podbródku odparła, że wszystkie kobiety w jej rodzinie były brodate. Rzekłem na to, że gdybym kiedy zamierzał demonstrować cuda przyrody, zaproszę ją jako okaz, ale na razie zależy mi na tym, aby niewiasta mieszkająca u mnie nie potrzebowała się golić codziennie. On lub ona nalegała jednak, wyrażając gotowość okazania swojej płci, na co odparłem, iż widok twarzy wystarcza mi za tamten.

Wreszcie pewnego dnia, kiedy siedziałem przy stole, zjawiła się młoda osóбка, najwyżej dwudziestoletnia, skromnie, aczkolwiek gustownie ubrana. Zgrabna, rysy miała szlachetne, postać powabną, a zachowanie powściągliwe. Chciałem wstać, ale mi nie pozwoliła, wzięła sobie krzeselko i powiedziała w najczystszy włoskim języku:

– Chciałabym wynająć pokój na trzecim piętrze i myślę, że pan się na to zgodzisz, gdyż chętnie zastosuję się do wszystkich postawionych warunków.

– Nie będziesz, pani, mieszkała w jednym pokoju, lecz na całym piętrze, które ci daję do dyspozycji.

– Dziękuję panu, ale to byłoby za drogo. Mogę wydawać najwyżej dwa szylingi tygodniowo na mieszkanie.

– I tyle właśnie kosztuje to piętro. Moja kucharka jest na twoje rozkazy, pani.

– Powiem jej, ile przeznaczam na wyżywienie, ale to tak mało, że aż wstydę się wymienić.

– Nawet gdybyś pani nie mogła dać nic ponad dwa pensy, dostarczy wszystkiego, co ci trzeba. Proszę się nie rumienić z powodu godnych pochwały ograniczeń, które nakazują ci przystosować wydatki do możliwości.

Przywołałem służbę, wszystko zostało zaaranżowane i zdjąłem anons. Nieznajoma powiedziała mi, że wychodzi tylko w niedzielę na mszę do kaplicy ambasady bawarskiej i każdego pierwszego dnia miesiąca po odbiór pensji w wysokości trzech gwinei. Potem sama poprosiła, abym pod żadnym pretekstem nie wpuszczał nikogo, kto by o nią pytał.

Kiedy odeszła, nakazałem służbie jak największy dla niej respekt. Oni zaś powiedzieli mi, że przyjechała powozem i powozem też odjechała.

– Pod tym kryje się jakieś oszustwo – powiedziała mi stara gospodyni.

– Po co i na co? I jakżebym dał się oszukać? Przeciwnie, owa panienska sprawia wrażenie nader cnotliwej i gotówem się w niej rozkochać. Jak ma na imię?

– Paulina.

Pod wpływem przemożnej potrzeby kochania chciałem oczywiście w swojej wybrance odnaleźć wszystkie najpiękniejsze cechy. Przeczuwałem opór, lecz to tylko powiększało budzącą się we mnie miłość. Być może zbyt zadufany – już winszowałem sobie sukcesu, bo jakż kobieta oparła się kiedy zalotom porządnego mężczyzny, nieprzytomnie w niej zakocha-

nego? Zapamiętałem, że moja nieznajoma weszła bardzo blada, a gdy wychodziła, nabrała rumieńców. Z tej małej okoliczności wysnułem jak najlepszą prognozę.

Wieczorem po powrocie z teatru dowiedziałem się, że Paulina zajęła mały pokoiczek odmawiając stanowczo wprowadzenia się do apartamentu. Na kolację zażądała tylko chleba i wody i powiedziała kucharce, że na obiad wystarczy jej odrobina zupy i jedno danie. Później zamknęła się u siebie i pisała.

– A co kazała sobie podać na śniadanie?

– Suchy chleb.

– Zdziwiająca kobieta. Proszę uprzedzić ją jutro, że w myśl przyjętego w tym domu zwyczaju lokatorzy dostają śniadanie gratis, i dać jej do zrozumienia, że mogłaby mnie urazić odmową. Ale niech Bóg broni, aby się spostrzegła, że to wyszło ode mnie. Macie tu talara, będę wam co tydzień tak płacił, jeśli owa młoda dama zostanie dobrze obsłużona.

Zanim położyłem się do łóżka, napisałem do Pauliny prosząc, aby sobie wybrała najładniejszy i najwygodniejszy pokój: obłudą byłoby odmawiać tej zamiany. Z radością dowiedziałem się, że rano przyjęła podaną kawę. Zaraz też wybrałem się do niej z wizytą i prosiłem o pozwolenie odwiedzenia jej czasem. Jednocześnie zapytałem, czy nie zechciałaby zjeść ze mną obiadu w tym samym dniu. Wyświadczyła mi łaskę przyjmąwszy owo zaproszenie z widocznym wzruszeniem.

Tymczasem przyszedł Aranda przynosząc list od swojej matki. Ta miła pani donosiła mi, że nie mogąc zapłacić dwustu funtów długu siedzi uwięziona w domu, i prosiła, abym dał za nią kaucję, bo inaczej pójdzie do więzienia.

Wziąłem pióro i odpisałem: „Pani, przykro mi niezmiernie, że nie mogę spełnić twojej prośby. Rozumiesz jednak, że każde wtrącenie się w tego rodzaju sprawę mogłoby mnie skompromitować: chodzi o weksel legalnie zaprotestowany, którego ważności niepodobna kwestionować”. Biedny Aranda odszedł skonsternowany. Była to jego pierwsza wizyta u mnie od pięciu tygodni.

Poszedłem znów do Pauliny, która rozplýwała się w podziękowaniach za moją „dobroć”.

– Mylisz się, pani. To ja winienem ci wdzięczność.

– Jakże zdołam panu odpłacić?

– Pozwól mi żywić nadzieję, że zjesz ze mną obiad.

– Zawsze, ilekroć pan będziesz sam: tylko że nie wiem, jaką przyjemność znajdziesz w moim towarzystwie.

– Co za skromność! Proszę się nie rumienić i wierzyć, że nigdy nie pożałujesz łaskawie okazanego mi zaufania.

Przez cały czas nie usiadłem. Paulina była obłożona książkami, ale ja nawet na nie nie spojrzałem. Patrzyłem tylko na nią i tak mnie to pochłonęło, że nawet nie zapytałem, jak się czuje i jak noc spędziła. Zakochany bez pamięci i zdecydowany za każdą cenę zdobyć wzajemny afekt, pobiegłem do Saint James Park, ażeby się czegoś bliższego o niej dowiedzieć. Daremny trud: nie umiano mi nawet wyjaśnić, czy jest Włoszką, jak mi się to wydawało. Zmartwiłem się, bo postanowiłem był sobie, że nie będę ją nudził żadnymi niewczesnymi pytaniami tak długo, jak długo sama nie powie mi tego, co chciałem wiedzieć.

Gdy wróciłem, nie uprzedzona o moim przybyciu, sama zeszła, aby się ze mną zobaczyć. Wzruszył mnie ten dowód sympatii. Tym razem zapytałem, jak się czuje, bo wydawała mi się kruchego zdrowia. Zapewniła, że dzięki mocnej konstytucji nigdy na nic nie chorowała, nawet na morską chorobę.

– A zatem podróżowałaś pani morzem?

– Oczywiście, bo Anglia to wyspa.

– Racja, ale mogłem przypuszczać, że jesteś pani tu urodzona.

– Słusznie – i opuściła oczy nie dodając więcej ani słówka.

Siedzieliśmy na kanapie przed stolikiem z przygotowaną do gry szachownicą. Paulina machinalnie przesunęła kilka figur.

– Grasz pani w szachy?

– Tak, i to nawet dosyć dobrze, jak mówią.

– Ja jestem kiepskim graczem, spróbujmy jednak zagrać. Moja porażka rozweseli panią.

W czwartym ruchu dostałem szacha i mata. Paulina śmiała się raz po raz, a widok jej pięknych zębów, bielszych i gładszych od najpiękniejszej kości słoniowej, sprawiał mi niewinną przyjemność. Przy końcu trzeciej partii zaanonsowano nam, że obiad podany.

Siadaliśmy do stołu, kiedy Clairmont zameldował o przybyciu pani Raucourt i panny Cornelis, które chciały się ze mną zobaczyć.

– Będę wolny dopiero od siódmej. Proszę nikogo nie przyjmować.

Ale w tej samej chwili Zofia wpadła do pokoju i cała we łzach rzuciła mi się w ramiona. Łkanie odebrało jej mowę, lecz wiedziałem, o co chodzi. Wziąłem ją na ręce, otarłem łzy i jakoś uciszyłem obiecując pomoc matce. Przy tych słowach przeszła od bezgranicznego smutku do szalonej radości: znów ją mnie ścisnąć, mówiła do mnie „kochany tatusiu”. W tym upojeniu podbiegła i objęła też Paulinę, która, choć nie wiedząc, o co chodzi, płakała nie mniej gorzkimi łzami. Zatrzymałem Zofię na obiedzie i byłem zdziwiony jej inteligencją ponad wiek. Wyrażała się tak dokładnie i w tak wykwintny sposób, że nikt by się tego nie powstydział, nawet najlepiej urodzona osoba. Z doskonałym umiarkowaniem zganiała postępowanie swojej matki w stosunku do mnie i dała do zrozumienia, ile ją kosztowało posłuszeństwo w tym względzie.

– Nie kochasz matki?

– Boję się jej.

– To dlaczego płakałaś nad jej losem?

– A któż by nie płakał nad nieszczęściem, co na nią spadło? Przysyłając mnie tutaj powiedziała, że tylko ja potrafię zmiękczyć twoje serce.

– Sądzisz, że ci się to udało?

– Mam nadzieję pamiętając o tym, coś mi powiedział, tatusiu, w Hadze. Miałam wówczas pięć lat, ale świetnie wszystko pamiętam.

– Nie mówiła ci, że jestem twoim ojcem?

– Tak, ale w Londynie to co innego. Zapewniła mnie, że jestem córką pana Monpernisa, którego nigdy nie widziałam.

– Znieważa cię w ten sposób, bo wtedy uchodzisz za bękartą. W rzeczywistości zaś jesteś córką jej legalnego małżonka, baletnika Pompeati.

– Skąd więc to podobieństwo do ciebie?

– Całkiem przypadkowe.

– Ale nie będziesz się gniewał, jeśli nadal będę mówiła do ciebie „tatusiu”?

– Ile razy zapragniesz, moje drogie dziecko.

– A ta pani to może twoja małżonka?

– Tak.

– Więc będzie „mamusią”.

Paulina wzięła dziecko na kolana i okryła je pocałunkami. Przy deserze wręczyłem małej cztery banknoty po pięćdziesiąt funtów, każąc je oddać matce, lecz jako prezent, który uczynił jej, Zofii.

– To mi przez gardło nie przejdzie. Napisz.

– Twoja matka gotowa pomyśleć, że chciałbym ją upokorzyć w nieszczęściu. Napiszę więc tylko, ażeby pozwalała ci przyjść tu czasem na cały dzień.

– Jakież skarb z tego dziecka! – rzekła Paulina, gdy zostaliśmy sami. – A propos, nie zaniebda poinformować matki, że przy stole widziała pana z żoną.

– Pani Cornelis nie uwierzy. Zna mój wstręt do małżeństwa.

– A skąd ten wstręt?

– Bo małżeństwo to grób miłości.

– Nie zawsze.

Zmieniliśmy temat. Zapytałem, jak długo pozostaje w Londynie.

– Powrót do ojczyzny uzależniam od listu, którego spodziewam się codziennie.

– A jakież kraj jest twoją ojczyzną, pani? Może to niedyskretne pytanie?

– Nie, bo czuję, że nie mogę mieć przed panem żadnych tajemnic. Ale proszę o parodniową zwłokę.

– Uważaj więc, że nie pytałem o nic.

– Nie, nie. Moim obowiązkiem jest stosować się do pańskich życzeń. Poza tym. budzisz całkowite zaufanie i mam też dla ciebie jak najgłębszy szacunek.

– Mało mi na nim zależy, jeśli nie dołączysz doń przyjaźni, bo to o twoją przyjaźń zabiegam, moja piękna Paulino, i zrobię wszystko, co w ludzkiej mocy, aby ją zdobyć.

– Wydajesz mi się pan dość zręcznym, by dopiąć celu. I dlatego właśnie zaklinam cię: ulituj się nade mną; przyjaźń bolesnym uczyni nasze rozstanie, a wszystko nakazuje mi życzyć go sobie.

Nazajutrz lord Pembroke przyszedł zaprosić mnie na obiad.

– Wiemy już wszystko o panu – powiedział.

– A co mianowicie?

– Ma pan lokatorkę.

– I co jeszcze?

– Gratuluję, mówią, że jest bardzo ładna.

– Ta młoda dama jest uczciwa i godna najwyższego szacunku.

– Młoda osoba godna szacunku to rzecz rzadka.

– A jednak trafiają się takie.

– Fenomen, jakiego jeszcze nie spotkałem. Pozwólże obejrzeć twoją miłą lokatoreczkę poznając mnie z nią.

– Owey pani niezmiernie zależy na samotności.

– Wówczas gdy jej dotrzymujesz towarzystwa?

– Szczerze mówiąc, nie przyjmie pana.

– Zupełnie możliwe, bo taki był warunek twojego anonsu. Nie sądziłem cię zazdrosnym. Nie nalegam jednak. Gdzie jesz dziś obiad?

– Jestem naprawdę zrozpaczony, ale nie będę mógł ci dotrzymać kompanii.

– Rozumiem. Do widzenia.

Po Pembroke’u przyszedł Martinelli. Przydzwigał naręcz gazet. Każda zawierała jakąś parodię mojego afisza. Wszystkie – w złym guście i niesmaczne w tonie.

– Zobaczysz pan jeszcze coś innego.

– Co znowu?

– Szykują pańską karykaturę.

– A jeśli mi przyjdzie fantazja ukreślić łeb ich twórcy?

– Niechże cię Bóg broni: ludzie jeszcze lepiej będą się bawić pańskim kosztem. I powieszą cię na dokładkę.

– Cóż to za zbójcka jaskinia z tego kraju!

– Jaskinia zamieszкана przez bardzo uczciwych ludzi.

– Czy zdajesz pan sobie sprawę z niewłaściwości takiego postępowania?

– Chyba pańskiego w stosunku do miasta, w którym jesteś...

W tej samej chwili przyniesiono mi bilecik od pani Cornelis. Pytała, czy może przyjść dziś do mnie na obiad. Zapytałem Paulinę, czy nie robi jej przykrości widok obcej twarzy przy stole. Odpowiedziała, że chętnie na to przystanie pod warunkiem, aby owej damie nie towa-

rzyszył żaden mężczyzna. O piątej przybyła Zofia z matką, która odwoławszy mnie na bok ze łzami w oczach ją dziękować za podarowane dwieście funtów.

Przerwałem jej i uważałem przy tym za swój obowiązek wyjaśnić, że Paulina to obca pani, która wynajęła ode mnie jedno piętro. Przy stole Zofia powiedziała:

- A więc ta pani nie jest twoją żoną?
- Niestety, przyznaję to z żalem. Powiedziałem tak tylko dla żartu.
- Dobrze, pozwól mi więc, tatusiu, zostać na noc. Będę z nią spała.
- Nie chodzi o moje pozwolenie. Nie wiem, czy panna Paulina się zgodzi.
- Zgadzam się z całego serca.

Zofia została więc. We trójkę spędziliśmy rozkoszny wieczór. O północy odprowadziłem obie moje przyjaciółki do ich sypialni, a nazajutrz o siódmej rano już stałem przed jej drzwiami. Paulina była ubrana, Zofia na mój widok skuliła się pod kołdrą. Skorzystałem jednak z prawa przysługującego ojcu, odsłoniłem ją w miarę przyzwoitości i okryłem pocałunkami.

Kiedy odeszła, znalazłem się w całkiem nowej sytuacji wobec Pauliny. Imaginację miałem rozbudzoną, krew we mnie grała i musiałem się hamować, aby nie przekroczyć granic przyjaźni łączącej mnie z moją pensjonariuszką. Wreszcie za podszeptem tajemnego demona ująłem jej rękę i, co mi się jeszcze nie przydarzyło, ucałowałem ją namiętnie. Ku mojemu wielkiemu zdumieniu odebrała mi ją ze śmiechem.

- Paulino, droga Paulino, czy jesteś mężatką?
- Tak.
- Więc niewątpliwie znasz rozkosze macierzyństwa.
- Nie, bo choć mężatka, pozostałam panną.
- Czy twój małżonek jest w Londynie?
- Niestety, bawi bardzo daleko stąd, lecz, na miłość boską, nie pytaj pan o nic.
- Tylko jedno jeszcze słowo: czy połączysz się z nim po rozstaniu się ze mną?
- Z Anglii wyjadę po to, aby połączyć się z moim małżonkiem, którego sobie wybrała.
- A ja, droga Paulino? Czy pomyślałaś, jak bardzo będę nieszczęśliwy?
- Nie powinnam i nie chcę o tym myśleć.

Poszedłem za nią do biblioteki liczącej zaledwie kilkanaście książek. Był tam Ariosto, Milton, la Bruyère, Cervantes i Camoëns upstrzony notatkami.

- To pani ulubione dzieło – zauważyłem.
- Bo jestem Portugalką.
- A ja myślałem, że Włoszką! Tak więc znasz pani siedem języków! Jakie wykształcenie!
- Mam dwadzieścia trzy lata, a owymi językami władam od dzieciństwa.
- Ten rękopis – zapytałem kładąc rękę na grubym pliku papierów – jest niechybnie twoim, pani, dziełem?

– To historia mojego życia. Inaczej mówiąc: moich nieszczęść. Jeśli pana zaciekało, gotowam ci go powierzyć.

- Wolałbym wysłuchać opowieści z twoich ust.

Siadłem przy niej, a ona zaczęła:

– Jestem córką hrabiego de P., któremu markiz de Pombal pozwolił skonać w więzieniu w wyniku spisku uknutego przez jezuitów przeciwko królowi. Ojciec był niewinny. Mam prawo tak mniemać, bo ani nie postawiono go przed sąd, ani nie skonfiskowano mienia. Scheda należy do mnie, ale mogę nią dysponować jedynie w kraju. Wychowano mnie w klasztorze, gdzie przeoryszą była moja ciotka. Wysłałem z niego po śmierci ojca mając lat siedemnaście. Dziadek oddał mnie pod opiekę ciotecznej babki, markizy P. Dostałam własny dom, guwernantkę, jej pomocnicę, paziów i pokojówkę. Nie brakowało mi niczego. Już od paru miesięcy obracałam się w wielkim świecie, kiedy pewnego ranka przyszedł do mnie dziadek, aby oznajmić, że w imieniu hrabiego Fl. proszono o moją rękę.

- Cóżes odpowiedział? – zapytałam.
- Że król z pewnością wyrazi zgodę na to małżeństwo, po czym i ja na nie przystanę.
- Ale kto ci powiedział, że spodobam się memu przyszłemu małżonkowi?
- O tym nikt nie wąpi.
- Ja jednak wąpię.
- Cierpliwości. Będziecie mieli dosyć czasu, aby się bliżej poznać.

Nazajutrz udałam się do mojej ciotki przeoryszy i opowiedziałam o wszystkim. Podzieliła moje skrupuły, ale oznajmiła, że to małżeństwo pewnie dojdzie do skutku, bo życzy go sobie księżna Brazylii, której faworytem jest hrabia Fl. Nie trzeba mi było nic więcej, aby odrzucić myśl o tym związku.

W parę dni potem młody hrabia z ojcem przyjechał do Lizbony. Przedstawiono mi go: długo opowiadał o swoich podróżach i świetnych znajomościach, które porobił na obcych dworach. Ze zdumieniem słuchałam, jak się przechwalał paroma awanturkami, jakie miał we Włoszech i we Francji. Słowem, uważałam go za człowieka płytkiego, ignoranta i zarozumiałca, pełnego przesądów i niewątpliwie brzydkiego. W tydzień potem moja ciotka wydała bal, na którym był mój dziadek i hrabia z ojcem. Dziadek traktował młodego Fl. jak mojego narzeczonego i zwrócił się do mnie, abym ustaliła dzień ślubu. Odparłam natychmiast z całą swobodą, że ustalę go wtedy, kiedy zdecyduję się wyjść za mąż.

Minęło wiele dni i nikt nic nie wspominał o tym incydencie, aż moja guwernantka dała mi znać, iż jakiś obcy mnich chce ze mną mówić. Był to spowiednik księżny Brazylii, który z polecenia Jej Królewskiej Mości gratulował mi przyszłego zamęścia. Odparłam, że w tej sprawie jeszcze nic pewnego nie postanowiono.

- W twoim wieku, panienko, zawsze się spieszy, a jedno słowo zadecyduje o wszystkim.

Uśmiechem tylko odpowiedziałam na tę impertynencję i pożegnałam mnicha.

Pobiegłam do ciotki. Podzieliła moje obawy i troski, ale nie ukrywała, że dziadek może mnie zmusić do małżeństwa z hrabią. Wtedy w energicznych słowach zaapelowałam do markiza de Pombal: opisałam, co mi grozi, i przypomniałam o śmierci mojego ojca. Zakończyłam prośbą, aby się wstawił za mną u króla i uchronił mnie w ten sposób od niemiłych konkurów. List wysłałam przez pazia, odpowiedź zaś przyniósł mi jakiś młody człowiek. Rzekł, że nie mam innego wyjścia, tylko muszę powiedzieć tym, co mi narzucają owo małżeństwo, że gotowa się nań zgodzić, jeżeli przekonam się, iż taka jest wola księżny Brazylii. Wykonawszy to polecenie młodzieniec skłonił się głęboko. Ów posłaniec zajął mnie o wiele bardziej niż sama odpowiedź ministra: długo odprowadzałam go oczami, zdziwiona tym uczuciem, co się zrodziło w moim sercu po raz pierwszy. Może by mi ono przeszło, gdyby nie to, że odtąd spotykałam owego młodzieńca wszędzie: w teatrze, na spacerze, w kościele. Do tego stopnia, że czułam się bardzo nieszczęśliwa, gdy go przypadkiem nie zobaczyłam.

Pewnego ranka głos, który wprawił mnie w drżenie, przyciągnął mnie do pokoju guwernantki. Jakaś młoda dziewczyna pokazywała jej kosztowne koronki.

- Skoro nie podobają się pani, przyniosę jutro inne – rzekła.

Jakież było moje zdziwienie, kiedy pod czepeczką dziewczyny poznałam rysy mojego młodzieńca! Te same oczy, zwłaszcza to samo spojrzenie! To był on. Ale ponieważ zawsze najbardziej wąpimy o tym, czego najwięcej pragniemy, wzięłam na spytki pokojówkę. Nie znała tej dziewczyny i widziała ją po raz pierwszy. Nazajutrz kazałam przywołać nieznaną do siebie: mówiąc do niej, z trudem panowałam nad wzruszeniem. Tymczasem nabrałam już zupełnej pewności, a że to wszystko odbywało się przy pokojówce, wybrałam pierwsze lepsze koronki i wysłałam ją po pieniądze na zapłatę. Nieznajomy skorzystał z tego, aby mi powiedzieć:

- Moje życie jest w twoich rękach, pani. Wiem, żeś mnie poznała.
- Co za nieostrożność! Musisz uciekać.
- Daj mi przynajmniej słówko nadziei.

- Nic nie pojmuję, chyba że jesteś pan szalony.
- Racz mnie zatem wysłuchać.
- Wstań szybko, ktoś nadchodzi.
- Pokojowa jest w znowie.
- Jakżeś się ważył!

Wstał z klęczek, pokojówka odliczyła mu zapłatę, skłonił się i wyszedł. Obowiązek nakazywał mi zwolnić pokojową, ale serce przemawiało za nieznanym. Zresztą wiedziałam, że gdy ją oddalę, powstaną plotki. Minęły dwa tygodnie i młodzieniec się nie pokazał. Starłam się o nim zapomnieć, ale wszędzie towarzyszył mi jego obraz. Pewnego dnia, kiedy miałam na szyi chustkę przyozdobioną koronkami nabytymi od niego, przywołałam Paquitę i zapytałam:

- Czyś nie widziała dziewczyny, która sprzedała mi te koronki?
- Jeżeli nie wróciła, to pewnie boi się, że pani poznała, kto to był.
- A skąd ty o tym wiesz?
- Bo ja znam tę osobę.
- Któż to taki?
- Hrabia. A pani też go zna, bo przychodził do pani jakieś trzy miesiące temu.

Ulżyło mi na sercu po tej rozmowie, która w innym świetle przedstawiła moją pokojową. Jedyne, co wiedziałam o hrabim A., to to, że jest biedny jak mysz kościelna. Poczęła uśmiechać mi się myśl przyczynienia się do jego szczęścia. Miłość kobiety zawsze jest bezinteresowna. U mężczyzny zdarza się to czasami – wtedy, kiedy kochają po raz pierwszy. Wczoraj jeszcze nie chciałam już oglądać hrabiego, dziś lękałam się, że go więcej nie zobaczę. Może onieśmielił go mój chłód, może mnie zapomniał, może jest niestały! Dobrze więc – mówiłam sobie – jeśli nie jest mnie godzien, nie będę o nim myślała. Miłość być może rodzi się z iluzji, ale by trwać i rosnąć, wymaga szacunku. Posłuchaj, przyjacielu, co sprawiło, że w moim sercu zatriumfowała i tak już silna namiętność.

Moja pokojówka nieogłędnie napisała do młodzieńca, że może mi się znów pokazać w swoim przebraniu, i oto weszła raz do mnie i zanosząc się śmiechem zaanonsowała sprzedawczynię koronek. Młodzieniec wbiega, a ona zostawia nas samych. Od tej chwili moje serce należało już tylko do niego. Przysięgliśmy sobie wieczną miłość, ale nie ukrywałam przed nim, jak mało szans ma nasze małżeństwo. Błagał, aby mógł przychodzić do mnie w tym przebraniu; zwróciłam mu uwagę, jakie to niebezpieczne dla nas obojga. Bez trudu przekonał mnie, że ja niczym nie ryzykuję. Prosiłam, ażeby był ostrożny, on zaś obiecał znowu przyjść. Miał dwadzieścia trzy lata, był prawie mojego wzrostu, a szczupła figura i głos nie zdradzały mężczyzny. Zdradliwy był jedynie lekko zarysowujący się wąsik. Stałe przyjmowałam go w obecności guwernantki. Był czarująco skromny i powściągliwy, co jeszcze pogłębiło moją miłość. Powiedział mi, co markiz de Pombal zamierza uczynić dla jego przyszłości: chce go wysłać z depeszami do ambasady w Anglii. Wiadomość ta przejęła mnie smutkiem tym większym, że rodzina coraz natarczywiej domagała się odpowiedzi na oświadczenia pana de Fl. Zastanawiając się więc nad groźącym mi nieszczęściem, zaczęłam myśleć o pośpieszeniu za moim ukochanym do Anglii. Pierwsza mu się z tym zwierzyłam. Był ogromnie zaskoczony i uradowany; nie widział trudności, a ja ich widzieć nie chciałam. Przewidując, że nie będę mogła wyjść z pałacu w stroju kobiecym, wystarałam się o męski ubiór, gdy on zachowałby swoje przebranie. Natychmiast po przybyciu do Anglii mieliśmy się pobrać i w ten sposób zapobiec skandalowi wywołanemu ucieczką. Ze sprzedaży mojej biżuterii moglibyśmy żyć aż do dnia, w którym doszłabym do pełnoletności i objęła w posiadanie majątek. Hrabia A. uważał, że wszystko uplanowałam jak najlepiej. Było tylko jedno niebezpieczeństwo, że mógł go znać któryś z oficerów na statku. Fregata, którą miał odjechać, przybywała z Ferrol, ustaliliśmy więc miejsce spotkania. Przebrałam się po męsku i z kasetką zawierającą brylanty po matce wymknęłam się o świcie z domu.

Hrabia przebrany za kobietę czekał na mnie w jakimś domu przy porcie: jego bagaże zaniesiono na szalupę, która miała nas odstawić na pokład fregaty stojącej o trzy mile od brzegu. Zaraz po naszym przybyciu podniesiono kotwicę. Przedstawiłam się kapitanowi jako hrabia A. Wyraził zachwyt z poznania mnie i mojej małżonki. Zdziwił się tylko, że minister nie zawiadomił go, iż ma wziąć damę na pokład.

– Jest to wbrew przepisom – powiedział – lecz skoro działasz pan za zgodą Jego Ekscelencji, nie będę stawiał przeszkód.

Dostaliśmy ładną kajutę, gustownie umeblowaną, z dużym łóżkiem, przesuwany biurkiem, sofą i hamakiem. Na ścianach wisiało parę dobrych obrazów. Cała noc zeszła nam na rozmowie o naszej ucieczce, a kiedy o świcie dowiedzieliśmy się, że jesteśmy daleko od Lizbony, cieszyłam się niepomrotnie. Hrabia prawie nie opuszczał kajuty, a kapitan przez dyskrecję nie składał nam wizyt. W Portugalii mężczyźni traktują kobiety z wielką rezerwą: taki już jest zwyczaj. Dzięki memu przebraniu mogłam bez żadnych obaw spędzać większość czasu na mostku, skąd przez lunetę obserwowałam niebo, morze i statki przesuwające się na horyzoncie. Siódmego dnia podróży zasygnalizowano na naszym kursie korwetę lepiej ożaglowaną, która zapewne wyszła z Lizbony w dzień po nas. Z przerażeniem dowiedziałam się, że dobije do Anglii o dwa dni wcześniej. Od tej chwili ze strachem liczyłam godziny i minuty, bo jakieś przeczucie mówiło mi, że na brzegach Albionu nieszczęście nas czeka. Czternastego dnia podróży weszliśmy do portu Plymouth. Wieczorem powrócił z listami oficer, którego kapitan wysłał na ląd, aby się dowiedzieć, czy może wysadzić pasażerów. Stałam obok kapitana, gdy otwierał te listy. Zauważyłam, że czyta z wielką uwagą. Mój kochanek, jak zwykle, był w kajucie.

– To jest list od ministra – rzekł mi kapitan.

– Od markiza de Pombal?

– Tak, od niego osobiście. To pana zaniepokoi. Oto czemu: Jego Ekscelencja rozkazuje mi pod karą śmierci zatrzymać na pokładzie damę Portugalikę, jeżeli się tu znajduje. Poza tym nakazuje mi natychmiast odstawić ją do Lizbony. Otóż na moim statku jest tylko jedna niewiasta: pańska małżonka. Pomówmy szczerze: czy to naprawdę pańska legalna żona? Jeżeli dasz mi pan dowód, wysadzę ją na brzeg razem z tobą, jeśli nie – będę musiał zastosować się do rozkazów ministra.

– Jeżeli nie wierzysz mojemu słowu, jakże chcesz, abym ci dowiódł, że to moja żona?

– To oświadczenie nie wystarczy i dlatego odwiozę pańską małżonkę do Lizbony.

Wtajemniczyłam hrabiemu w okrutną nowinę, oznaczającą rozłąkę. Powiedział, że nic na to nie może poradzić, że w tym przebraniu pozwoli odwieźć się do Lizbony. Uzgodniliśmy dalej, że napiszę z Londynu do mojej ciotki przeoryszy i że przez nią będziemy korespondowali. Pozostawiłam hrabiemu szkatułkę, bo kto wie, czy kapitan nie położyłby na niej aresztu.

Pozegnaliśmy się wśród łez. Wszyscy na pokładzie byli głęboko wzruszeni, nawet nieszczęsny kapitan, który przeklinał rozkaz, choć musiał być mu posłuszny.

Zabrałam sepet kochanka do szalupy. Dziwny był to bagaż dla kobiety: uniformy, cyrkle, para pistoletów i kilka naukowych książek. W oberży, gdzie się zatrzymałam, powiedziano mi, że jeszcze tegoż dnia mogę odjechać do Londynu w towarzystwie dwóch dam i księdza. Miałam jedynie pięćdziesiąt lizbonin i pierścionek wart dwa razy tyle.

Z takimi to skromnymi zasobami przybyłam do Londynu. Po wynajęciu pokoju zrzuciłam męski strój i przybrałam kobiecy. Pod koniec miesiąca musiałam sprzedać pierścionek. Pewien Żyd dawał mi zań sto pięćdziesiąt gwinei. Zgodziłam się pod warunkiem, że będzie mi wypłacał po cztery gwinee miesięcznie, a gdybym mu zwróciła to, co już wypłacił, odda pierścionek. Oto dlaczego muszę żyć za cztery gwinee, co zapewnia mi jeszcze dwa lata przetrwania. Prywacie nadwreżyły moje zdrowie. Usiłowałam jakoś poprawić swój los, kiedy przypadkiem zobaczyłam pańskie ogłoszenie: zamieścił je „London Advertiser” wraz ze zło

śliwym komentarzem, który pobudził moją ciekawość. Nie mogłam mieć żadnych obaw, bo miłość do hrabiego służy mi za mocny puklerz, a poza tym jesteś pan Włochem, a ja bardzo lubię Włochów.

– A ty, pani, jesteś istnym aniołem! – zawołałem przerywając Paulinie. – Widzisz mnie teraz pogodzonego z twoimi rodakami.

– Nie lubisz Portugalczyków?

– Czyż nie pozwolili zemrzeć w nędzy swojemu największemu człowiekowi?

– Masz na myśli Camoënsa, lecz jeśli o to chodzi, powinieneś nienawidzić wszystkich narodów, a swego własnego przede wszystkim. Czyżbyś zapomniał o losie Dantego i Tassa? Skąd to zainteresowanie poetą, skoro nawet nie znasz języka, w którym pisał?

– Czytałem go po łacinie. Wergiliusz nie mógłby być bardziej natchnionym. Wybacz jednak, żem ci przerwał opowiadanie. Na miłość boską, mów pani dalej. Nic jeszcze nie wiem o losie twojego kochanka.

– Zaraz po przyjeździe napisałam długi list do ciotki przeoryszy. Wy tłumaczyłam się przed nią z mego postępków i zawiadomiłam, że tylko pod jednym warunkiem wrócę do Lizbony: jeżeli będę mogła poślubić hrabiego A. W odpowiedzi ciotka doniosła mi, że fregata, co nas odwiozła do Anglii, zawinęła szczęśliwie do Lizbony. A gdy kapitan zawiadomił ministra, że wrócił z damą, ów kazał mu ją odwieźć (był pewien, że to jestem ja) do klasztoru, w którym się wychowałam. Listem polecił biednej ciotce, aby mnie wzięła pod klucz. Ciotka, poinformowana przeze mnie o mistyfikacji, uwięziła hrabiego, który nie protestował, i zawiadomiła ministra, że jego rozkaz wykonała, lecz iż owa dama nie jest ani jej krewną, ani nawet kobietą, tylko przebrany młodzieńcem. Prosiła też, aby minister jak najprędzej uwolnił klasztor od jego osoby. Minister przyjechał, zabrał więźnia, o którym odtąd wszelki śluch zaginął. Cała sprawa narobiła sporo hałasu w Portugalii; jak zwykle w takich razach powstało wiele plotek wokół niej. Wmawiano sobie, że hrabia A. wciąż jest w Londynie i że to ja zginęłam bez śladu. Markiz de Pombal być może maczał w tym palce. Wie jednak doskonale, że wciąż tu jestem, wie gdzie mnie szukać, a chmara szpiegów informuje go o każdym moim kroku. Powtórzyłam mu to, co napisałam ciotce: że gotowam wrócić do Lizbony, jeżeli dostanę piśmienną zgodę na poślubienie hrabiego A. Codziennie spodziewam się teraz odpowiedzi na ten list.

Oto, co mi powiedziała Paulina. Niejeden czytelnik weźmie tę historię za zbyt romantyczną, ale w Lizbonie, gdzie jeszcze żyje pamięć o córce hrabiego de P., ludzie z łatwością stwierdzą prawdę mojej relacji (o ile te pamiętniki kiedykolwiek tam dotrą).

Opowieść Pauliny pogłębiła tylko moją miłość do niej. Wzruszyła mnie jej kolosalna energia, przywiązanie i odwaga. Widząc mnie smutnym i cierpiącym (chudłem w oczach) przypisała to złemu stanowi mojego zdrowia, brakowi ruchu i rozrywki. Chcąc ją uspokoić, jeździłem konno po okolicy. Podczas jednej z takich przejażdżek mój koń upadł *vis-à-vis* pałacu księcia Kingston. Pani Chodeleg zobaczyła to z okna i wysłała służbę na ratunek. Podnieśli mnie, ale nie mogłem kroku postąpić. Zaniesiono więc mnie do domu, a księżę i dwaj chirurdzy przybiegli zaofiarować mi pomoc.

– Zwichnięcie – zaopiniował jeden z nich.

– Nie, wybicie ze stawu – rzekł drugi.

– Trzeba puścić krew.

– Myślę, że należy uciąć nogę.

– Nic nie ucinajcie i zostawcie mnie w spokoju – przerwałem im.

Kazałem się odnieść do własnego domu i przywołać mojego lekarza.

– Najzwyklejsze zwichnięcie, żałuję, że nie złamanie.

– Ja natomiast bardzo się cieszę.

– A więc nie wiedziałbyś pan, że nie ma w Londynie lepszego nade mnie chirurga, gdy chodzi o złamania?

– Wiem, ale pozwól mi się pan cieszyć, że nie wypróbujesz na mnie swoich talentów.

– Zatem nie wiesz pan także i tego, że operuję tak zręcznie, iż chory nie odczuwa najmniejszego bólu?

– Masz ci los, jakżebym śmiał wątpić!

W tym momencie przybiegła łkająca Paulina. Przypadła do łóżka.

– O ja nieszczęśliwa! To przeze mnie... Przeze mnie złamał nogę.

– Czyżbym się pomylił? Byłobyż to naprawdę złamanie? – wykrzyknął lekarz.

– Milcz pan – powiedziałem – błahy wypadek, który teraz błogosławię.

Pocieszyłem Paulinę, a kiedy znaleźliśmy się sami, odważyłem się złożyć gorący pocałunek na jej ustach. Roześmiała się.

– Z czego się pani śmiejesz?

– Z tych mimowolnych pokus miłości, nad którymi nie możemy zapanować. Przez pański wypadek zdradziłam tajemnicę mego serca.

– Więc kochałabyś mnie?

– Nie sądzę, ale boję się tego. Byłaby to dla mnie straszliwa męka kochać i być kochaną, gdybym nie mogła dać ci szczęścia.

– A jeżeli list, którego czekasz, nie przyjdzie?

– Przyjdzie na pewno, lecz lękam go się teraz.

Znów wyciągnąłem ramiona do Pauliny, ale tym razem odsunęła się.

Wzięła książkę z biblioteki i aby mnie uspokoić, odczytała z Ariosta scenę między Ricardem i Hiszpanką. Powiedziała przy tym, że ona jest księżniczką, a ja rycerzem.

– Żałosna postać – rzuciłem.

A że czytała akurat pewien ustęp dość barwny i frywolny, przerwała, aby powiedzieć:

– Dziwię się, że Rzym nie umieścił tego poematu na indeksie.

– A to czemu? Ani jednym słowem nie atakuje Watykanu.

– Ale moralność.

– Rzym nigdy nie prześladował autorów rozpustnych książek. Bronią ich wszyscy nasi kardynałowie.

– Myślałam, że Ich Świątobliwości ściśle stosują się do zaleceń religii.

– Ale to nie oznacza, aby mieli czytywać jedynie Pismo święte.

– Jakże można czytać takie książki i zostać cnotliwym, przynajmniej w myślach?

– Cnota wcale nie jest zalecana przez Kościół.

– A przez Boga?

– Kochana Paulino, nie mówmy na te tematy. Czyżbyśmy nie mieli sobie nic ciekawszego do powiedzenia?

Uśmiechnęła się i opuściła książkę. Tego wieczoru nie czytaliśmy już więcej.

Nazajutrz, 1 sierpnia, dzień był fatalny. W tych pamiętnikach zaznaczam go czerwonym atramentem. Otrzymałem list z Paryża, a do Pauliny przyszły aż dwa z Lizbony. Pani du Romain donosiła mi o śmierci markizy d'Urfé, która niechcący otruła się wypijając swoje uniwersalne panaceum. Pozostawiła zabawny testament: spadkobiercami mianowała syna lub córkę, pogrobowców, których rzekomo poczęła ze Słońcem. W kodycyli ustalała mnie opiekunem noworodka, który jeszcze na świat nie przyszedł. Tymczasem, zanim się owe dzieci narodzą, markiza de Châtelet objęła majątek zmarłej, oceniany na dwa miliony franków. Wspomniana klauzula o moim opiekuństwie wprawiła mnie w rozpacz: rozumiałem, jak bardzo ośmieszyła mnie ona w Paryżu. Jeden z listów adresowanych do Pauliny był od markiza de Pombal. Jak najformalniej zawiadamiał on ją, że natychmiast po powrocie do ojczyzny będzie mogła poślubić hrabiego A. i objąć w posiadanie swój majątek. Jednocześnie przysłał jej milion rejsów, czyli tysiąc osiemset funtów szterlingów. Nadszedł więc czas rozłąki. Paulina, której zabrakło sił, aby pożegnać się ze mną, uczyniła to listownie. Dała mi do zrozumienia, że honor nakazuje jej oddać rękę temu, kogo ludzie uważają za jej rzeczywistego ko-

chanka. Chciała odjechać nie widząc się ze mną. Padłem jej do nóg i jednak ubłagałem, aby pozwoliła się odprowadzić do Duwru. Oszczędzę czytelnikom szczegółów tego okrutnego rozstania. Wróciwszy do Londynu zabroniłem przyjmować kogokolwiek. „Jeżeli aż tak cierpi z powodu odjazdu lokatorki – żartowali złościcy – to czemu nie przybije nowego ogłoszenia nad drzwiami?”

Londyn jest ostatnim miejscem, w którym można mieszkać, gdy się ma zmartwienie. Wszystko tam jest smutne i ponure. Daremnie starałem się jakoś pocieszyć w tym głębokim bólu, w którym pograżył mnie odjazd Pauliny. Całe dni mijały mi na włóczędze. Zmęczony i zadyszany wstępowałem do kawiarni – mojego zwykłego miejsca ucieczki. Przyglądałem się wchodzącym i wychodzącym, bawiłem się w obserwatora i to odrywało mnie trochę od posępnych myśli. Te wszystkie postacie wymodulowane na dziadki do orzechów, te zaciśnięte usta, co otwierały się jak na sprężynie, aby wydusić słowa twarde i skrzekliwe lub metodycznie łykać kęsy z długiej tartynki, lub też opróżnić niezliczoną ilość filiżanek herbaty – tworzyły komiczny obraz. Anglicy mają twarze – powiedziałoby się – jakby spod maszyny. Żaden naród nie jest tak przywiązany do swoich zwyczajów, które, aczkolwiek bardzo dziwaczne, są niezienne i ogromnie do siebie podobne. Owa niezmienność jeszcze bardziej uderza obcego, co jak ja nie zna języka. Kiedyś przyjemnie zdziwiłem się słysząc dwóch moich sąsiadów rozmawiających po włosku, mimo że niemilosiernie kaleczyli słowa. Byli to dwaj kupcy, którzy, przez cały czas wyliczając osiągnięte zyski, gorzko narzekali, na ciężkie czasy. „N. N. – mówił jeden z nich – zastrzelił się obrabowawszy mnie z czterech tysięcy gwinei. Zresztą mądrze zrobił pozabawiając się żywota, bo tak zbiedniał, że życie nie miałyby dlań żadnego powabu”. „Mylisz się pan – odparł ten drugi – mógł jeszcze poczekać z samobójstwem, wystarczyłoby mu pieniędzy na trzy miesiące dostatniej egzystencji”. Zabawne rozumowanie – pomyślałem i w tej samej chwili zobaczyłem wchodzącego do kawiarni niejakiego Bossangeta, dependenta mego bankiera. Zapytałem go, kim są ci kupcy.

– Ten wart jest sto tysięcy funtów szterlingów, a tamten nie wart złamanego grosza.

– Dobrze, ale jak się zwą?

– Tego nie wiem. My się tu nie pytamy o nazwiska. Nazwisko nie jest etykietą przy towarze; człowieka zna się wówczas, gdy zna się jego kabzę.

Po wyjściu z kawiarni zajrzałem do kantoru bankierskiego, aby wymienić dwudziestofuntowy banknot na brzęczącą monetę.

– Niestety zabrakło mi już złotych monet – odparł właściciel – ale przyjdź pan za godzinę, z łaski swojej. Proszę, oto twój banknot.

– Niechże go pan na razie zatrzyma. Ufam panu.

– Łaskawy panie, źle byś pan zrobił zostawiając mi go, bo bym panu nie oddał równowartości, chociażby po to, abyś na przyszłość był przezorniejszy. Banknot, u licha! To nie byle co i raczej sądziłbym, że wypłaciłem zań panu, niżbym pomyślał, iżeś mi go zostawił w zaufaniu.

Ale przytoczę zaraz jeszcze coś dziwniejszego: pewnego ranka powstało zbiegowisko na Piccadilly. Ujrawszy w tłumie Martinellogo zapytałem, co się tu stało.

– Wszyscy tłoczą się – odparł – koło jakiegoś jegomościa, który umiera od ciosu zadanego mu przy boksowaniu.

– A nie można go uratować?

– Zjawił się chirurg, aby mu krew puścić, i wyobraź pan sobie, że dwóch dżentelmenów założyło się o sto gwinei, czy ten jegomość wyżyje, czy skona. Przez nich to chirurg nie mógł udzielić pomocy.

– Zatem ów biedak życiem przypłaci ten okrutny zakład?

– W Anglii ludzie tak bardzo pasjonują się zakładami, że na każdym kroku znajdziesz tu pan klub zakładających się: paplą tam bez przerwy, a gdy ktoś zaprzeczy czymś słowem, musi ową negację poprzeć zakładem, bo inaczej płaci karę.

– Chciałbym zobaczyć taki klub. Ale wróćmy do tego osobnika: gdyby istotnie skonał, co zrobią z zabójcą?

– Powieszą go, jeżeli okaże się, że ma niebezpieczną rękę. Jeżeli nie, napiętnują mu rozpalonym żelazem prawicę. Jest to znak do rozpoznania zabójcy, którego szyja „już dojrzała do stryczka.”

– Przypuścimy, że zostanie napadnięty, co wtedy?

– Wystarczy mu. pokazać rękę i zostawią go w spokoju. W przeciwnym razie, jeśli by na nieszczęście zabił napastnika, prawo nie ma nic do niego.

– Jak można tolerować podobne walki na pięści?

– Zawsze odbywają się pod postacią zakładów. Jeżeli zapaśnicy przed rozpoczęciem walki nie rzucą stawki na ziemię, ten, co wyżyje, pójdzie na szubienicę.

Nazajutrz lord Pembroke zaprosił mnie na obiad do swojej wiejskiej posiadłości w Chelsea. Wspomniałem mu o chęci odwiedzenia klubu, ale doradził mi, abym się tam lepiej nie pokazywał.

– Czy zbiera się w nim podejrzanе towarzystwo?

– Najlepsze w Londynie: schodzą się lordowie, rentierzy, uczeni i bankierzy, ale pan jesteś impulsywny, ambitny i nie znasz Anglii. Będziesz chciał o czymś mówić i złapią cię.

– Jeśli nie stanie mi cierpliwości, zapłacę karę.

– I będą na pana patrzyli krzywym okiem, bo my sto razy wolimy narazić się na przegrany zakład niż na zapłacenie kary.

Jeszcze jedną zabawną rzecz widziałem u lorda. Gdy mnie już oprowadził po swoim parku, po ogrodach, oranżeriach, łazienkach, po wszystkich wspaniałych urządzeniach, pokazał mi ptaszarnię. Zauważyłem tam potężnego i wielce srogiego koguta.

– Czemu trzymasz go pan w zamknięciu?

– Bo morduje wszystkie spotkane kury.

– A zatem skazałeś go na celibat.

– Dzięki temu jest bardziej wojowniczy i zadzierzysty.

– Nie rozumiem.

– Nie widziałeś więc nigdy walki kogutów?

I dostojny lord natychmiast pokazał mi pedantycznie prowadzony spis zwycięskich walk swojego koguta. Kazał mi też obejrzeć hełm i ostrogi ptaka.

– To prawdziwy rycerz.

– I ze starego rodu. Może się wykazać dwudziestu czterema przodkami po stronie ojca.

– A zatem brak mu tylko maltańskiego krzyża: i on nie zostawi po sobie potomstwa, jak ci szlachetni rycerze. Ale dość o tym: przyrzekłeś mi pan liczne towarzystwo na wieczór.

– Nie tyle liczne, co wielce atrakcyjne dla pana. A więc będziesz pan miał bardzo ładną Francuzkę, przy której bez trudu zapomnisz Paulinę. A potem zagramy w karty.

– Ta Francuzka gra także?

– Nie, tylko jej mąż, gaskoński szlachcic, hrabia de Castelbajac.

– Wysoki, szczupły, śniady i ospowaty. Znam go.

Po południu przybył mój Castelbajac w towarzystwie niskiego jegomościa, chudego i słabowitego. Przedstawił go nam jako hrabiego von Schwerina, bratanka feldmarszałka o tym samym nazwisku, który poległ pod Rosbach.

Przy stole siedziałem obok hrabiny, młodej blondynki z końską twarzą, istoty tak bladej i wątłej, jak by życie lada chwila miało ująć z jej chorowitego ciała. Nie było można jej nawet porównać z moją drogą Paulina. Tak więc żegnaj konsolacja obiecana przez lorda Pembroke’a! Pomijam milczeniem szczegóły tego obiadu i wieczoru po nim, bo nic w nich ciekawego dla czytelnika.

Nie opisuję również paru niemiłych okoliczności, w których za sprawą pani Cornelis moje nazwisko złączono z nazwiskiem niejakiego pana Constantini. Przechodzę natomiast do opowiadania o przykrej i zawilej przygodzie, która przydarzyła mi się w Londynie i do reszty obrzydliła pobyt w tym przeklętym mieście.

NIESZCZĘŚLIWA MIŁOŚĆ – CHARPILLON I JEJ CIOTKI – NAJRÓŻNIEJSZE, FATALNE PRZYGODY

Pewnego wieczoru przechadzając się po Vauxhall usłyszałem, że ktoś za mną wypowiedział nazwisko miss Charpillon, i natychmiast przypomniałem sobie list i adres dany mi przez pana de Morosini w Lyonie. Zaraz nazajutrz udałem się do tej panny i poznałem w niej urocze dziecko, którym osiem lat temu spotkał w Paryżu.

– Jak to, mój panie, od trzech miesięcy bawisz w Londynie i dopiero teraz przypomniałeś sobie o mnie!

Usprawiedliwiałem się, jak mogłem najlepiej, gdy ona mizdrzyła się przed lustrem i wreszcie rzekła:

- Przyjdź pan jutro, zjemy razem obiad.
- Niestety, pani, jutro spodziewam się lorda Pembroke’a.
- Niewątpliwie w większym gronie.
- Będziemy sami.
- Przyjadę z ciotką dotrzymać panom towarzystwa.
- Będzie mi bardzo miło – i podałem jej adres.

Przeczytawszy go wybuchnęła śmiechem:

– Jak to! Pan jesteś tym Włochem, autorem wspaniałego afisza nad drzwiami jednego z domów na Pall Mall?

– We własnej osobie.

Śmiała się jeszcze głośniej.

– To zaproszenie przez afisz musiało pana drogo kosztować.

– Zawdzięczam mu cudowne chwile...

– I jestem pewna, że o mały włos nie umarłeś pan z żalu po zniknięciu owej obcej damy. Założę się, żeś dochował jej tajemnicy.

– Święcie.

– Niewiele brakowało, a miałbyś pan mnie za lokatorkę, miast tamtej pięknej damy.

– Pani śmiejesz się ze mnie. Apartament ciebie nie wart.

– Zamierzałam ukarać pana za czelność.

– Ciekaw jestem owej kary.

– Czyż my, kobiety, nie mamy jej zawsze na podorędziu? Podbiłabym twoje serce i torturowałabym cię kokieterią.

– Tylko diabeł wpadłby na podobny pomysł, a pani jesteś aniołem. Dziękuję za szczerość, będę się miał na baczności.

– A więc nie chcesz mnie już widzieć?

Filuterna minka towarzysząca tym słowom zadawała im kłam. Istnieje pewne kobiece szelmstwo polegające na tym, aby prawdę podawać w postaci najbardziej przykrego kłamstwa. Tę sztukę na moje nieszczęście, jak się o tym przekonamy, panna Charpillon znała wspaniale. Ów okres, wrzesień 1763 roku, notuję jako przełomowy w moim życiu, bo istotnie od tego czasu czułem, że się starzeję. Miałem dopiero trzydzieści osiem lat, ale jeżeli zgodnie z naturalnym prawem linię schodzącą można mierzyć wstępującą, wolno mi dziś (1797 rok) liczyć najwyżej na cztery lata życia, a te upływają dość szybko w myśl aksjomatu o ruchu przyspieszonym.

Panna Charpillon, którą wówczas znał cały Londyn i która może jeszcze żyje, była rzadko spotykaną i wprost idealną pięknoscią. Szatynka o lazurowych oczach i oślepiająco białej skórze, cienka w talii; gors miała pełny i cudnie toczony, rękę szczupłą, nóżkę malutką, i do

tego najwyżej siedemnaście lat. Nigdy nie zdarzyło mi się widzieć bardziej zwodniczej twarzyczki; nigdy jeszcze natura nie skłamała czelniej, niż nadając temu liczku aż tak niewinny i naiwny wyraz. Czemu nie miałbym podejrzewać, iż Charpillon planowała moją ruinę, nim mnie poznała! Nawet dziś nie mogę bez wzruszenia myśleć o chwili, kiedy się z nią pożegnałem po pierwszej wizycie: nie odczuwałem wówczas tych ciągotek, które budzi w nas widok pięknej osóбки. Byłem smutny, zrozpaczony, słowem – zakochany. Dziwne, że obraz Pauliny, ciągle żywy w mojej pamięci, nie zdołał rozwiązać tego swoistego czaru, który od pierwszej chwili wywarła na mnie panna Charpillon. Chwilami uspokajałem się przypisując to uczucie urokowi nowości. Wmawiałem sobie, że rozczarowanie jest bliskie, że jedna noc spędzona z tą dziewczyną stłumi ów piękny płomień i, prawdę mówiąc, sądziłem się bliski celu. Jakież przeszkody mogłem sobie wyobrazić? Czy nie zaprosiła się sama na obiad? Czy nie była metresą pana de Morosini, któremu wcale nie pozwoliła uschnąć z miłości, mimo brzydoty i wieku? Miał złoto, ale czy ja go nie miałem? Roztrwonię je w razie potrzeby, ale Charpillon będzie moja.

Nazajutrz lord Pembroke zdumiał się głęboko, kiedym mu powiedział, kto się do mnie wprosił na obiad i jak to było.

– Znam tę dziewczynę – rzekł – i już ze swoją szkodą. Spotkałem ją ostatnio w Vauxhall. Była wraz z ciotką. Zaproponowałem jej dwadzieścia gwinei za chwilę sam na sam w alejce. Zgodziła się, ale nie uszliśmy nawet pięćdziesięciu kroków, kiedy puściła moje ramię i uciekła.

– Trzeba było spoliczkować ją przy ludziach.

– Żeby się ze mnie wyśmiano! Pogardzam nią i to jest cała moja zemsta. Casanova, czyś pan czasem nie zakochany?

– Czysty kaprys, nic więcej.

– Strzeż się pan, to rozkoszna filutka, która kpi sobie z całego świata.

W tej chwili weszła Charpillon. Nawet na mnie nie spojrzała, tak była zajęta lordem. Przypomniał jej tę historię w Vauxhall. Długo drwiła z jego łatwowierności, a potem zaczęła nagle z innej beczki.

– Uspokój się, mój panie – rzekła mu – kiedy indziej nie będę tak okrutna.

– Zupełnie możliwe, bo tym razem nie zapłacę z góry.

– Pfuj, milordzie! To, coś powiedział, jest równie upokarzające dla ciebie jak i dla mnie.

Obiad minął wesoło dzięki Charpillon i lordowi Pembroke. Charpillon odjechała przy deszerze zaprosiwszy mnie do siebie na pojutrze.

Stawiłem się o oznaczonej porze na to spotkanie, które niespodziewanie odkryło mi coś godnego uwagi. Kiedy Charpillon przedstawiła mnie swojej matce, dostrzegłem w tej zbolalej i wychudłej twarzy rysy nasuwające mi dziwne wspomnienia. Trzeba wiedzieć, że w roku 1759 niejaki Bolome, gałgan z Genewy, zaproponował mi sprzedaż moich kosztowności pewnej damie. Po ubiciu targu zapłacił mi dwoma wekslami, które podpisała owa pani i jej siostry, panny Augspurphor. W dniu płatności dowiedziałem się, że ów jegomość zbankrutował. Jednocześnie poinformowano mnie o zniknięciu tamtych pań. Jakże więc zdziwiłem się teraz widząc w osobach matki i ciotek panny Charpillon wspomniane oszustki.

– Pani – rzekłem chłodno – jestem zachwycony naszym ponownym spotkaniem.

– I ja cieszę się z odnowienia znajomości. Ten łajdak Bolome...

– Nie mówmy o tym. Mam nadzieję spotkać go jeszcze.

– Dziwne, że córka przedstawiała nam pana pod cudzym nazwiskiem.

– Niczego nie ukradłem, proszę pani. Oba te nazwiska należą do mnie.

Przez dobry kwadrans przesuwiała się przede mną istna procesja rodziny Charpillon: jej babka, dwie ciotki, osoby wielce szanowne, następnie niejaki kawaler Goudar, któregom poznał w Paryżu, i w końcu dwóch innych osobników, Rostaing i Goumont, cała trójka z rodziny lub przyjaciele, a w każdym razie stali bywalcy domu i filuci z profesji. Czuję, że wpa-

dłem w bardzo podejrzanego towarzystwo, ale mimo to nie miałem najmniejszej ochoty ustąpić z pola. Obiecywałem sobie tylko jak największą czujność, a że szło mi jedynie o nawiązanie miłosnej intrygi z córeczką, mało interesowałem się resztą tych ludzi. Przy stole siadłem nie proszony obok mojej ślicznotki i zabawiałem ją, jak umiałem. Dawła błyskotliwe i trafne odpowiedzi, a mnie się zdawało, że świetnie prowadzę grę. Wymusiła ode mnie zaproszenie na kolację dla całego towarzystwa.

- Niech pan wyznaczy dzień – powiedziała.
- Ten, który pani wskaże, będzie i moim.
- A więc jutro.
- Przepraszam, zapomniałem o spotkaniu wyznaczonym na jutro.
- Pewnej pięknej i obcej pani, niewątpliwie.

Tą piękną i obcą panią był stary markiz z Wenecji, który się ze mną umówił i z którym miałem parę spraw do załatwienia. Zdawało mi się, że na twarzyczce Charpillon dostrzegam coś w rodzaju grymasu, wywołanego zazdrością, zacząłem więc nalegać, aby wyznaczyła jakiś inny dzień. Ale odwróciła się ode mnie jakby nadąsana i nawiązała rozmowę z jednym z owych niebieskich ptaków. Później nabrałem podejrzenia, że radziła się go co do dnia; faktem jest, że zaprosiła się z całym towarzystwem do mnie na pojutrze. Do domu wróciłem bardzo późno, mocno z siebie niezadowolony i zakochany jak głupiec.

Trzeciego dnia spodziewałem się ich dopiero wieczorem, aż tu rano zbudzono mnie o ósmej: była to Charpillon z ciotką.

- Fatyguję pana dużo wcześniej, ale chodzi o to, że mam ci coś ważnego do powiedzenia.
- Pozwolisz pani, że się ubiorę.
- Mogę rozmawiać tutaj nie uchybiając przyzwoitości, bo ciotka jest ze mną – i nagle rozmyśliwszy się: – choć to, co mam panu powiedzieć, powinnam powiedzieć w cztery oczy.
- W takim razie pani ciotka może przejść do sąsiedniego salonu zostawiając drzwi uchylone.

Po wyjściu ciotki piękna Charpillon zaczęła mi opisywać rozpaczliwą sytuację całej swojej rodziny. Myślę, że nikogo nie pominęła, jednak głowę miałem czym innym zajęta, a ona jak by tego nie widziała.

– Będiesz pan naszym dobrym aniołem, jeżeli zdobędziesz dla mojej ciotki sto gwinei. Wtedy nie potrzebujemy się już lękać o przyszłość.

- Jak to?
- Bo zna receptę eliksiru życia, który cuda działa. Przyrzeka oddać panu całą kwotę po sześciu miesiącach i w dodatku połowę zysku.
- Moja droga pani, masz skarb, nie ciotkę, pozwól jednak, że się namyślę nad twoją propozycją, a tymczasem pomówmy o czym innym.

I przyciągnąłem ją do siebie.

Przyłożyła palec do ust i główką wskazała na drzwi, jak by chciała powiedzieć: „Bądź pan rozsądny, nie jesteśmy sami”. A gdy nie zważając na to napomnienie wykonałem parę ruchów sprzyjających moim dalszym celom, odepchnęła mnie gwałtownie i uciekła do sąsiedniego pokoju zatrzaskując drzwi za sobą. Dość zły ubrałem się pospiesznie, postanowiwszy, rad nierad, od razu ponowić atak, gdy powiedziano mi, że Charpillon odjechała przyrzekając wrócić wieczorem.

– O, do diabła! – rzekłem sobie – ostrożnie, to mi pachnie jakimś łajdactwem. Potrzebują sto gwinei. Ugodźmy się na tę kwotę i nie wdawajmy się w żadne dalsze historie.

Goście zjechali o zmroku. Czekać na podanie kolacji Charpillon zaproponowała partię wista.

– Nie jesteś pani ciekawa mojej odpowiedzi na twoją ranną propozycję? Proszę, pójdz za mną, a dowiesz się.

Przeszliśmy dwa pokoje i wreszcie wskazałem jej miejsce na kanapie stojącej w pokoju w głębi domu.

– Sto gwinei jest w tej sakiewce.
– I pan je oddasz mojej ciotce?
– Oddałbym bardzo chętnie, ale... – i rzuciłem jej płomienne spojrzenie, które doskonale rozumiała.

– Dziś to niemożliwe, wszyscy tutaj pomyślą, że frymarczę moim honorem.
– Przecież wręczę pieniądze pani ciotce!

I powtórzyłem poranny manewr, ale wydała się tym oburzona i zaczęła krzyczeć, że za nic w świecie nie zgodzi się na to, co mogę uzyskać dopiero z czasem i w wyniku jej miłości. Byłem wściekły i dałem spokój.

Po kolacji chcąc się zrozerwać pojechałem odwiedzić moją córkę w pensjonacie. Jej widok w otoczeniu młodych towarzyszek podziałał kojąco na moje podniecone zmysły. W ciągu tych trzech tygodni nie było dnia, w którym nie widziałbym córki. Przywoziłem jej drażetki, cukry i ciasta, które zjadaliśmy razem. Parę razy prosiłem przełożoną, abym mógł pójść na przechadzkę z tą dzieciarnią. Czyż nie był to osobliwy widok: stary, drapieżny Casanova wśród stada turkawek? Zdecydowanie zaczynałem już zapominać o Charpillon, a moje czule serce ciągnęło mnie ku jednej z koleżanek Zofii. Miała czternaście lat najwyżej i przypominała aniołka. Tak sprawy stały, kiedy na moje nieszczęście ujrzałem pewnego ranka wchodzącą do mego pokoju ciotkę tamtej świętoszki. Jęła opowiadać, jak to cała rodzina dziwi się memu tak nagłemu zniknięciu. Po kilku patetycznych zdaniach opisujących ból, jakim była dla nich utrata mojego miłego towarzystwa, przeszła do istotnego celu wizyty, do stu gwinei na fabrykację eliksiru życia.

– Miejsze pani żal do siostrzenicy, jeżeli zapomniał o mojej obietnicy, bo ona nie dotrzymała swojej. Odmówiła mi najniewinniejszych karesów, na które nawet westalka byłaby się zgodziła, a pani siostrzenica westalką nie jest, jak to pani dobrze wiadomo.

– To jeszcze dziecko, ma zielono w głowie, ale serce wspaniałe.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– Mylisz się pan. Ona pana kocha, sama mi o tym powiedziała, ale zna ciebie i boi się, czy twoje uczucie to nie kaprys.

– Dasz mi pani przekonać się o prawdzie twoich słów?

– Oczywiście, i mimo że moja siostrzenica teraz jest trochę cierpiąca, zaprowadzę cię do niej i zobaczysz, że wyjdiesz całkiem usatysfakcjonowany.

Te ostatnie słowa rozbudziły we mnie namiętność.

– Chodźmy zaraz – ciągnęła rajfurka – zastaniesz ją pan w łóżku. Wyprzedzę cię tylko o parę kroków.

Było to tak jasne, że wydawało mi się, iż jestem u celu mych pragnień. Szybko wciągnąłem frak i jednym skokiem znalazłem się pod drzwiami Charpillon. Ciotka właśnie weszła.

– Moja siostrzenica – powiedziała mi tajemniczo – zaraz będzie się kąpała. Proszę zaczekać pół godziny.

– A niechże panią licha! Znowu zwłoka! Kłamczuch z ciebie, moja pani!

– Skoro pan tak uważasz, zaprowadzę cię zaraz do pokoju siostrzenicy. Sama ci powie, czego chce.

– Do pokoju, w którym się kąpie? – zapytałem mocno podniecony. – Nie oszukujesz tonie czasem?

– Nie, ani trochę, pójdź pan za mną.

Poszedłem za nią po schodach. Kiedy stanęliśmy przed małymi drzwiczkami, otworzyła je raptownie i wepchnąwszy mnie za nie, zatrzasnęła natychmiast. Charpillon, odwrócona, stała naga w wannie. Usłyszawszy trzask zamykanych drzwi pomyślała, że to ciotka weszła, i poprosiła o ręcznik. Nie zwlekając ani chwili podszedłem bliżej: poznała mnie, pisnęła i ukryła twarz w rękach.

– Nie krzycz, pani, na nic się to nie zda.

– Błagam, odejdz.

- Czemuś taka wzruszona? Czyżbyś sądziła, że mógłbym brać cię gwałtem?
- Ciotka drogo zapłaci mi za tę szacherkę.
- Pani ciotka jest kobietą godną szacunku i dobrze jej życzę.
- Nie myślałam, abyś był pan zdolny do takiego czynu.
- Jakiego czynu?... Widzisz przecie, że trzymam się z dala od ciebie, i przysięgam, iż nie podejść, póki sama tego nie zażadasz. Proszę zaś tylko o jedno: wróc do pozycji, w jakiej stałaś przed chwilą.

Załamano ręce, uroniła albo o mało co nie uroniła kilku łez i zdecydowała się wreszcie uczynić to, o com prosił. Muszę nawet oddać jej tę sprawiedliwość, że pozwoliła się widzieć w postawie znacznie bardziej uwodzicielskiej niż ta, w której stała przed chwilą. Nie mogłem zapanować nad sobą i poskoczyłem ku niej, ale odepchnęła mnie brutalnie. W tej chwili weszła ciotka: skorzystałem z okazji, aby się wycofać, rozwścieczony. Ciotka wyszła za mną na schody i spojrzała na mnie z miną, której chciała nadać figlarny wyraz.

- No jak, jesteś pan zadowolony?
- Bardzo zadowolony, żem nareszcie poznał panią i jej siostrzenicę.

I jednocześnie cisnąłem jej w twarz banknot stugwinejowy. Sądziłem, że rajfurka słusznie zarobiła te pieniądze.

Czytelnik łatwo pojmie, że przysięgałem sobie, iż moja noga nie postanie u tych nędznych bab. Nie chciałem już o niczym myśleć i postanowiłem zagłuszyć pożądanie chodzeniem do teatru i do tawern. Aż tu niespodziewanie nazajutrz nos w nos zetknąłem się z Charpillon wchodzącą do Vaux-hall. Zawróciłem na pięcie, ażeby odejść, ale chwyciła mnie za ramię i zaczęła wytykać wczorajsze postępowanie. Oburzyła mnie owa czelność, lecz ona z niezmaconym spokojem i bardzo uprzejmie zaproponowała, abyśmy razem napili się herbaty w pawilonie. Odparłem, że miałbym apetyt na coś więcej, i wtedy natychmiast zaprosiła się na kolację do mnie. Zbaraniałem. Kiedy siedzieliśmy przy stole, już niebawem mogłoby się wydać, że jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. Jej piersiątko, które mogłem widzieć, przeżyły się pod moim spojrzeniem niby dwie ogniste strzały. Zaproponowałem przechadzkę po grabowej alei, pod warunkiem, że nie potraktuje mnie tak, jak potraktowała lorda Pembroke'a.

- Drogi przyjacielu, chcę do ciebie należeć całkowicie, ale pod pewnym warunkiem.
- Jakim to? – zapytałem niecierpliwie.
- Że będziesz do mnie przyjeżdżał codziennie i wszędzie mi towarzyszył.
- Chętnie, ale chodźmy przejść się w alejkę.
- Nie.
- Dobrze, nie mówmy już więcej o tym.

I wróciłem do domu jeszcze bardziej wściekły.

Zmęczył mnie ów bezustanny kołowrotek i niewątpliwie zerwałbym z tą dziewczyną, aż tu niespodziewanie zameldowano mi kawalera Goudara. Z miejsca zaczęliśmy mówić o Charpillon i wcale nie ukrywałem się przed nim z zamiarem zerwania tej znajomości.

– Bardzo rozsądnie pan uczynisz. Ta mała jest niezwykle przebiegła, a pan masz czułe serce, toteż zakochałeś się jak głupiec. Jeszcze trochę i obrałaby cię ze wszystkiego.

– Uważasz mnie za wcielenie naiwności?

– Myślę, że jesteś takim samym mężczyzną jak wszyscy: im większe przeszkody, tym większa namiętność. Pomówmy szczerze: unikanie istoty kochanej to nie najlepszy sposób zapomnienia. Skąd pan wiesz, czy jeszcze dziś wypadek nie postawi Charpillon na twojej drodze?

– Do czego pan zmierzasz?

– Do tego, by tę dziewczynę pchnąć ci w ramiona. Nie sądzę, aby pana kochała, ale jesteś bogaty, gdy ona biedna. Nie wiem, czemu nie miałbyś jej kupić, w ten sposób zresztą szybko by ci się przejadła.

– Istotnie sposób łatwy i posłużyłbym się nim, gdybym nie zgadywał jej zamiarów.

– Czy są takie, czy inne, zawsze zdołasz je pan unieszkodliwić mocą jakiejś umowy. Tylko strzeż się płacić z góry. Jak pan widzisz, wiem wszystko.

– Nie rozumiem, co mógłbyś pan wiedzieć.

– Już kosztowała cię sto gwinei, a nawet żeś jej nie pocałował. Sama się tym przechwała, że cię zwiódła.

– Kłamie, te pieniądze dałem jej ciotce...

– Tak, na eliksir życia. Byłbyś tak szczodry dla wdzięków ciotki?

– Dostyc o tym. Co cię do mnie sprowadza?

– Przyjaźń dla twojej osoby.

– To pułapka. Jesteś pan w zмовіе z tą łajdaczką.

– Wysłuchaj mnie tylko cierpliwie i przekonasz się o swoim błędzie, Mniej więcej rok temu spotkałem w Vauxhall pana de Morosini mocno zajętego przyglądaniem się młodemu damom, które spacerowały tam jak zwykle. Pozwoliłem sobie podejść do niego. „Panie ambasadorze – rzekłem – wszystkie te panie są do twojej dyspozycji i podejmę się zapoznać cię z każdą, której rzucisz chusteczkę”. „Z tą oto” – odparł i wskazał jedną, której zupełnie nie znałem. Wcale nie przeszkodziło mi to podejść do pięknej pani przechadzającej się w towarzystwie starszej niewiasty. W imieniu ambasadora zaproponowałem znajomość, na którą natychmiast przystano, tak że mogłem zaraz podać mu adres owej pani. Akurat deptał mu po piętach inny łapidamek, którego zapytałem, czy nie zna panny Charpillon. „Byłabyż to panna Charpillon?” „We własnej osobie”. Po drodze ambasador wtajemniczył mnie w swoje zamiary względem tej dziewczyny: urządzi jej apartament, w którym jednak nie wolno jej będzie nikogo przyjmować, dostanie pięćdziesiąt gwinei miesięcznie i kolację, ilekroć zapagnie on u niej zostać na noc. Ten układ obie strony zawarły jak najformalniej, a mnie matka Charpillon obiecała w postaci poręczawczego, że spędzę z jej córką jedną noc, gdy pan Morosini od niej odejdzie.

Na poparcie swojej relacji Goudar wyciągnął z kieszeni oryginał umowy, w którym wszystko zgadzało się z tym, co powiedział. Za czym podjął:

– Po kilku miesiącach ambasador wyjechał z Londynu. Charpillon, już wolna, znalazła sobie innych kochanków, że wymienię tylko trzech, a byli nimi: lord Baltimore, lord Grosvenor i poseł portugalski. Rozumie pan, że upomniałem się o należne faktorne, ale córka, matka i ciotka śmiały mi się w nos. I tak to zostało do dziś, lecz cierpliwości! Niedługi już czas, kiedy ja się będę śmiał. Nie mogę kazać uwięzić córki, bo jest niepełnoletnia, ale matka mi za nią zapłaci. Oto czemuś mnie pan spotkał w ich domu.

– Dziękuję za konfidencję i aby ci dać dowód, że potrafię ją ocenić, powiedz, proszę, pani Augspurghor, że stawiam jej sto funtów do dyspozycji, jeśli zgodzi się przysłać mi córkę na noc.

– Mówisz pan to poważnie?

– Jak najpoważniej, ale grosza nie płacę z góry.

– Dobrze, zajmę się tym.

Zatrzymałem nicponia na obiedzie. Był chodzącą kroniką wszystkich miłostek.

Nazajutrz rankiem przybyła do mnie Charpillon w towarzystwie niejakiej panny Laurence, którą mi zaprezentowała w charakterze swojej serdecznej przyjaciółki.

– Przyjeżdżam – powiedziała – aby prosić pana o pewne wyjaśnienie. Czy to prawda, że zaofiarowałeś matce za pośrednictwem pana de Goudara sto gwinei, jeżeli...

– Najprawdziwsza z prawd. Czy owa suma nie wydaje ci się, pani, wystarczającą?

– Zaprześć, proszę, niewłaściwych żartów. Sądzisz więc, że masz prawo mnie znieważać?

– Przyznam się do winy, jeśli ci na tym zależy. Powiedz jednak, do kogo, u licha, miałem się zwrócić. Zwróciłem się do jednego ze świętych, skoro Pan Bóg był głuchy. Wiesz przecież, że nie mogłem ani rusz dojść do porozumienia z tobą.

– Już panu oznajmiłam, że nic u mnie nie wskórasz ani siłą, ani złotem, lecz jedynie prawdziwym uczuciem, okazywaniem mi względów i czułością. Zarzucasz mi złamanie słowa, a któż nie dotrzymał swojego? Czyś nie próbował zdobyć mnie podstępem, czyś nie odważył się skorzystać z usług łajdaka, aby tylko zaspokoić brutalne pożądanie?

– Goudar łajdakiem! Najlepszy twój, pani, przyjaciel! Zapomniałaś więc, że to on naraił ci Morosinię i że cię kocha? Dowód w owym warunku, który sobie zastrzegł... Jesteś pani jego dłużniczką: wywiąż się z długu, a potem zwij go łajdakiem, jeśli ci się podoba. Nawet te łzy nie dadzą ci łagodności serca, której nie posiadasz.

– Te łzy są czyste, Bóg mi świadkiem. Niewdzięczniku, wiedz, że cię Kocham, bo jakąż kobieta zniosłaby podobne traktowanie!

– Jeśli mnie kochasz, czemu nie dasz mi lepszego dowodu?

– Traktowałeś mnie jak dziewczkę. Targowałeś mnie u niecnego rajfura!

– Wolałabyś, pani, bym zadał sobie trud napisania do ciebie, prawda?

– To, czego chciałam, to miłości albo jej złudy. Cóż mi po twoim złocie! Czy ci o nim kiedyś wspomniałam? Pragnęłam tylko, byś mnie odwiedzał, byś mi towarzyszył na przechadzce i do teatru. Byłabym taka szczęśliwa, gdybym mogła dać ci wszystko jedynie za twoją miłość! Jak człowiek tak godny szacunku może pragnąć kobiety zdobytej targiem? Znienawidziłabym pana za ten postępek, gdybym tylko mogła cię nienawidzić...

Byłem zdumiony.

– Wybacz mi, wybacz! Zbłądziłem i za każdą cenę pozwól mi otrzeć twoje łzy.

Nie wiem nawet, jaki to gorący patos tchnąłem w to banalne zdanie, ale Charpillon, najwidoczniej wzruszona, odparła:

– Przychodź pan codziennie, o każdej godzinie, by mi wyznawać swoją miłość, ale nie waż tak lekce owej rekompensaty, którą chcę ci dać z nieprzymuszonej woli.

Wpadłem w jej sieci. Przysięgłem wszystko, czego chciała. Nigdy jeszcze nie pojąłem tak dobrze prawdy powiedzenia: *Amore et sapere vix deo conceditur* – nawet Bóg nie potrafi kochać i być mądrym. Owa scena pozwoliła mi również zauważyć, ile kobiety zyskują, gdy osobiście mogą powiedzieć to, co bardzo często pragną nam napisać. Pozostałbym nieczuły i obojętny nawet na najbardziej wzruszający list, ale te wszystkie oświadczenia Charpillon przygotowane łzami i mimiką ugodziły mnie prosto w serce. Od pierwszej wizyty, kiedy to zachowałem się z całym respektem, zdawało mi się, że krok po kroku zmierzam do zwycięstwa, gdy tymczasem wystawiałem się tylko na śmiech i drwiny z mojej porażki. Niestety!

Quel che l'uom vede amor gli fa invisibile
E l' invisibile fa veder amore³¹

W tej nowej sytuacji było rzeczą oczywistą, że po dwóch tygodniach wydałem na prezenty, spacer, teatr ponad czterysta gwinei, a cóż tu mówić o straconym czasie i całej frazeologii pompatycznej, sentymentalnej i romantycznej, którą puściłem w ruch. Wreszcie następnego dnia zdecydowałem się zapytać Charpillon w obecności matki, czy zamierza spędzić noc u siebie, czy u mnie.

– Zobaczymy po kolacji – rzekła matka.

„Świetnie – pomyślałem sobie – moja kolacja byłaby wystawniejsza, dużo lepsza i kosztowałaby mnie znacznie drożej”. Przy końcu posiłku matka Charpillon wzięła mnie na bok i oznajmiła z tajemniczą miną.

– Wyjdź pan razem ze wszystkimi i wróć po kwadransie dla niepoznaki.

Ujęła mnie ta dyskrecja i usłuchałem polecenia.

³¹ Quel che l'uom vede... – Miłość czyni nas ślepyimi na to, co widoczne, i ukazuje to, czego byśmy nie potrafili dojrzeć.

Kiedym wrócił, od razu wpadło mi w oko nowe łóżko wniesione do pokoju sąsiadującego z sypialnią Charpillon. „No – powiedziałem sobie – nareszcie dobijam do celu”. Niestety, jedno zdanie matki powinno było otworzyć mi oczy.

– Zechce pan zapłacić – powiedziała ta bezczelna baba – sto gwinei.

– *Fi donc!* – wykrzyknęła Charpillon.

Gdyśmy zostali już sami i zamknięci w pokoju, zbliżyłem się pijany żądzą do mojej ślicznotki. Broniła się jednak łagodnie i prosiła, abym się pierwszy położył do jej łóżka. W mgnieniu oka znalazłem się w nim płonąc z niecierpliwości i pożądania. Przyglądałem się nocnej toalecie Charpillon i sekundy wydawały mi się godzinami. Myślałem, że lada moment wybuchnę gniewem na tę powolność jej ruchów. Wreszcie została już tylko w koszulce. Światło zgasło... i nikt nie wśliznął się do łóżka. W głębokim mroku przywoływałem ją najśłodszymi słowami: żadnej odpowiedzi. Skarżyłem się jednocześnie na te ciemności, co mi odbiorą połowę szczęścia.

– Zwykłam sypiać po ciemku, mój panie.

Panie! „Oto słowo – myślałem – od którego znów zawiało jej pruderią”.

Wreszcie podchodzi, wskakuje do łóżka. Biorę ją w ramiona i usiłuję dokonać rzeczy najważniejszej, ale to niemożliwe: od stóp do głów opancerzona jest peniuarem, którego w żaden sposób nie mogę rozchylić. Błagam ją, proszę, aby się ulitowała nade mną, ale jak by miała usta zasznurowane. W podobnej sytuacji miłość szybko przechodzi we wściekłość. Wpadam na tę nędzną kreaturę, złorzeczę jej: trzęsę nią niby tłumokiem, zrywam peniuar i drę go przy tym na strzępy – daremnie. Charpillon krzyżuje nogi i broni się z całej siły. Po godzinie, wyczerpany i zmęczony, daję za wygraną i jak Otello gotów jestem udusić nieszczęsną w łóżku, lecz całkiem dla innych powodów.

Cóż za okropna noc! Słodkie słówka, błagania, gniew, perswazje, prośby, łzy, groźby, wymysły – nic nie zdołało jej wzruszyć. W końcu ubrałem się byle jak: głowa mi płonęła, nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, przewracałem meble. Jakaś służąca zbudziła się i przyszła otworzyć zaryglowane drzwi, kiedy szykowałem się je wyważyć. Bez kapelusza i krawata wybiegłem na ulicę i wpadłem na pacholka miejskiego. Chwycił mnie za kołnierz, ja zaś podstawiłem mu nogę i obaliłem na ziemię, by trochę wytchnąć po trudach. O czwartej ległem u siebie w łóżku i febra zaczęła mną trząść. Przeszło mi to dopiero po czterech dniach.

Ta smutna przygoda miłosna dała mi dość czasu do rozważań, toteż czułem – albo mniemałem – że jestem całkowicie wyleczony z owej niecnej namiętności. Kazałem też mojemu Murzynowi, aby przez czas tego przymusowego lenistwa odkładał na bok wszystkie listy: nie chciałem o niczym wiedzieć, póki całkiem nie wydobrzeję. Czwartego dnia kazałem podać sobie pocztę. Znalazłem w niej, jak się tego spodziewałem, listy od Charpillon: jeden od niej i dwa od matki. Ta zawiadamiała mnie o stanie zdrowia córki i wyliczała wszystkie siniaki, którymi – jak mówiła – w ataku szału poznażyłem ciało „nieszczęsnej ofiary”. List kończył się miłosierdnym zawiadomieniem, że zaskarżył mnie do sądu.

Charpillon w swoim liściku przyznawała się do win i wymieniała moje z zaskakującym umiarkowaniem. Zakończyła prośbą, aby mnie mogła odwiedzić w tajemnicy, bo chciałyby mi rzec coś bardzo ważnego.

W tej to chwili Yarbe wręczył mi bilecik od kawalera Goudara, który przed drzwiami czekał na odpowiedź. Kazałem go wprowadzić. Drobiazgowo zdał mi sprawę z mojej nocnej przygody, a że nie pominął żadnego szczegółu, nawet tego z podartą koszulą oraz innych, nawet komicznych wysiłków i prób, powiedziałem mu:

– Któż, u licha, tak dokładnie cię poinformował, mój panie?

– Matka.

– I pewnie pokazała ci też ślady mojej wściekłości na ciele córki?

– Widziałem je i dotykałem.

– A więc miałeś pan więcej szczęścia ode mnie. Ale powiedzże mi, czemu to pani Augspurghor bardziej niż jej córka gniewa się na mnie?

– Zabawne pytanie! Odmówiłeś jej stu obiecanych gwinei.

– Chyba pan nie wątpi, że dałbym je chętnie, gdyby jej córka była rozsądniejszą?

– To nie ja wątpię, jeno ona. A poza tym lęka się, abyś nie zostawił jej córki na lodzie, kiedy się już nią nacieszysz.

– Bardzo prawdopodobne, jednak nie należę do tych, co porzucają bez odszkodowania. Ale jeżeli stanie się to teraz, to przyznaj pan, że owe panie nie mogą rościć sobie żadnych pretensji.

– Czy to pańskie ostatnie słowo?

– Tak, ostatnie.

– Doskonale. Pozwól mi pan jednak wrócić za godzinę. Chciałbym ci zrobić prezent, z którego niezawodnie się ucieszysz.

A może przyprowadzi mi Charpillon skruszoną i uległą? Łudziłem się tą myślą, gdy odszedł.

Wrócił punktualnie, jak przyrzekł, prowadząc za sobą posłańca dźwigającego fotel owinięty dywanem...

– Więc to jest ten pański prezent?

– Tak, a w zamian proszę o sto funtów, których bardzo potrzebuję.

– Wolne żarty, mój panie.

– Kiedy obejrzysz ten mebel, a zwłaszcza gdy z niego skorzystasz, uznasz moją prośbę za nader skromną. Ów fotel ma pięć sprężyn, które od razu idą w ruch, gdy kto na nim siądzie. Dwie łapią za ręce, dwie za nogi, a ta piąta unosi siedzenie tak wysoko, jak ci to odpowiada.

Z tymi słowami usiadł na fotelu i wszystko odbyło się, jak mówił.

– Chętnie zatrzymam fotel na jeden dzień, ale go nie kupię – rzekłem mu.

Nie byłem zbyt cnotliwy, ale ów fotel napawał mnie obrzydzeniem. Poza tym, gdybym z niego skorzystał, mógłbym narazić się na stryczek... Pokazałem Goudarowi list Charpillon i wyjaśniłem, że zatrzymuję fotel jedynie po to, aby ją przekonać, że jest całkowicie w mojej mocy.

– Mój panie – odparł – będziesz miał tę dziewczynę, kiedy zechcesz. Z czego miałyby żyć, jeśli nie z prostytucji?

Tyle dowiedziałem się od Goudara, który poza tym poznał mnie z paroma innymi słynnymi pięknosciami Londynu. Pewnego dnia, kiedy razem popijaliśmy porter, prawdziwy nektar, tysiąc razy lepszy od wina, zobaczyłem wchodzącą do kawiarni czarującą osóbkę, młodą i ładną szesnastoletnią madonnę. Goudar powiedział:

– To Irlandka i moja metresa. Mam nadzieję, że pan ją uszanujesz.

Odparłem temu staremu łajdakowi, że własność przyjaciela jest mi święta, a jednocześnie przysięgłem sobie zrobić wszystko, aby z nim tę własność bodaj przez tydzień podzielić. Okazja nadarzyła się szybko. W jakichś szachrajstwach, o których nigdy nic bliższego nie dowiedziałem się, Goudar musiał wyjechać z Londynu. Znałem adres Sary (bo takie imię nosiła Irlandka) i wybrałem się do niej któregoś wieczoru. Zastałem ją szydełkującą samotnie przy oknie.

– Pani, przychodzę zaproponować ci swoje ramię, byśmy mogli przejść się po Vauxhall.

– Pan Goudar zabronił mi wychodzić.

– Wychodzić samotnie, zgoda. Ale nie zechcesz pani urazić odmową najlepszego z jego przyjaciół.

– Dałam słowo i dotrzymam obietnicy.

– A nie zabronił przyjmować mnie?

– Nie wiem na pewno, w każdym bądź razie widzisz pan, że nie proszę, abyś opuścił mój dom.

– Saro, twoja uroda wywarła na mnie szalone wrażenie. Od dnia, kiedy cię ujrzałem, nie znam spokoju...

– Nie powinnam tego słuchać. Proszę, wyjdź pan! – zgałiła mnie ostro, ale oto, jakem jej odpowiedział:

– Wyjść, Saro! Chciałabyś, abym odszedł unosząc złe słowo zamiast pożegnania! Czyś zastanowiła się, jakie nieszczęście mogłoby z tego wyniknąć? A więc nie wiesz, do czego mogłaby mnie przywieść tak szalona miłość!

Przypadłem do jej kolan, objąłem ją za nogi i zacząłem je całować. Oczywiście grałem komedię, ale bardzo naturalnie i z wielkim uczuciem, bo głupia wstrzemięźliwość Charpillon rozpałała mi zmysły. Spostrzegłem, że Sara boi się. Wówczas zapewniłem, że nie potrzebuje lękać się o siebie, bo jeżeli czyjaś krew się poleje, to tylko moja. Przy tych słowach spojrzała na mnie z zaciekawieniem. Zdjąłem z ręki brylantowy pierścień i wsunąłem jej na palec przyciskając jednocześnie do ust tę piękną rączkę. Zdawało mi się też, że ciekawym okiem spogląda na złoty łańcuszek na mojej szyi. Zdjąłem go więc i dołączyłem do tego, który sama nosiła. Czując się teraz na pewnym gruncie, skorzystałem z okazji i przycisnąłem usta do jej ust z zapalem, jaki mi dało dziesięć dni abstynencji. Sara była podniecona. Szybki oddech unosił jej piersi, rumieniec zabarwił policzki: wzięłem ją na kolana.

– Saro, kochasz więc Goudara, starego rozpustnika i nędznego łotra?

– Ja bym go kochała? Czy ci to powiedziałam?

– Więc źle cię zrozumiałem?

– Nie, ja go nie kocham, ja się go boję i poza tym nie chcę z nim zrywać, bo na pewno się ze mną ożeni.

– A czy nie można poślubić jednego mężczyzny i kochać drugiego?

– Zaczynam w to wierzyć.

– Mogłabyś więc chyba być żoną Goudara, a jednocześnie uszczęśliwić kochanka?

– Byłoby to możliwe, gdyby kochanek był dyskretny.

– Uwielbiam tajemną miłość, bo najwspanialszymi rozkoszami miłości są te, które otacza milczenie.

To mówiąc zaniósłem ją na łóżko. Już u celu, a może gdy byliśmy nawet bardziej zaawansowani, raptownie przerwał nam niepożądany dzwonek. Sara pobleadła, poznała Goudara i chciała krzyżeć. Pocałunkiem zamknąłem jej usta. Nadstawiliśmy uszu i słyszałem Goudara monologującego: „Zabroniłem temu głuptasowi wytykać nos z domu... Sara, gdzie jesteś!? Otwórz, koteczku, to ja, Goudar. Co, u diabła, wyszła naprawdę!” Dzyń, dzyń – szalał dzwonek. Sara dygotała na całym ciele, ale już się nie ruszyła, we mnie zaś prawdziwy lew wstąpił i każde nowe pociągnięcie dzwonka niby fanfara ogłaszało jedno z moich zwycięstw. Im zapamiętałem Goudar zań szarpał, tym goręcej zabierałem się do dzieła. W końcu zmęczył się: dzyń, dzyń złągodniało, odzywało się coraz rzadziej, aż wreszcie ucichło.

Pierwsze słowa Sary były:

– Jestem zgubiona, uciekaj pan!

– Ależ nie, moja ślicznotko: Goudar jest zazdrosny. Założę się, że nim pobiegnie szukać cię u ciotki, zaczai się na schodach, potem przy drzwiach i wreszcie na ulicy. Z dobrą godzinę będzie warował pod oknami. Gdybym teraz wyszedł, wszystko by się wydało.

– Racja, ale za godzinę już zmrok zapadnie.

– Jeszcze jeden argument za tym, że wówczas łatwiej się wyśliznę.

– Lecz co mu powiem?

– Naprawdę zależy ci na tym, aby wyjść za niego? Jeżeli tak, powiedz mu całkiem naturalnie, że wzięła cię chętka obejrzeć poliszynela w Saint James Park, który co wieczora zabawia dzieciarnię. Najniewinniejsza rzecz w świecie. Ale jeżeli nie chcesz być panią Goudar, oświadczyć po prostu, że przyprawilem mu rogi i biorę cię pod swoją opiekę. Zaręczam, że nie zrobi ci nic złego. *Adieu*, piękna Saro, pamiętaj o mnie przy najbliższym wyjeździe Goudara.

Sarę, taką wówczas naiwną, odnajdziemy jeszcze za cztery, pięć lat w całym przepychu w Neapolu, Florencji i Wenecji jako małżonkę Goudara. I również w Paryżu, gdzie Goudar wprowadzi ją na dwór Ludwika XIV i uplanuje intrygę zmierzającą do tego, by zajęła tron pani Dubarry. Na jego nieszczęście nakaz aresztowania zniweczy ten wspaniały plan: biedak

będzie mógł do woli rozmyślać w ciemnicach Bastylli, jak to czasem trudno mężowi skłonić króla do przyprawienia mu rogów.

Powracam do Charpillon, która pewnego pięknego ranka zjawiała się u mnie, gdym pił czekoladę. Bez słowa naląła sobie filiżankę, opróżniła ją duszkiem i otarłszy usta moją serwetką, chciała mnie pocałować. Obojętnie odwróciłem głowę, ale się tym wcale nie przejęła.

– Rozumiem, mój panie, że ci się już nie podobam: muszę brzydko wyglądać z tymi siniakami, po których twarz mi spuchła, a których ty jesteś autorem.

– Pani kłamie, to nie ja się tak z tobą obszedłem.

– A więc te ślady tygrysyich pazurów, pokrywające moje ciało, nie byłyby twoim dziełem? Spójrz, proszę!

I bez żenady obnażyła uda, brzuch itd. Zdumiała mnie jej czelność. Niestety, byłem słaby! Czemu nie miałem serca wyrzucić jej za drzwi? Choć wyglądała najbardziej uwodzicielsko, z początku starczyło mi sił do panowania nad sobą i okazania jej pogardy. Ale błagania, łzy, pocałunki, czule wymówki wzruszyły mnie niebawem. Toteż kiedy powiedziała, że chce mi się oddać całkowicie, zgodziłem się pod jednym warunkiem: że targu dobijemy w obecności jej matki. Było to ostatnie głupstwo, które przeznaczone mi było uczynić i które podyktowała mi moja miłość własna. Charpillon zdawała się dziwić tej zwłoce, ale nie upierała się przy natychmiastowej konjunktji. I oto z własnej winy znów wpadłszy w jej sidła, szukałem umeblowanego apartamentu dla tej mojej królowej. Jej matka zobaczyła się ze mną, podpisała wszystkie warunki i wyłudziła sto gwinei w postaci zadatku na układ. Prócz tego wyłożyłem dziesięć gwinei na komorne za cały miesiąc i wieczorem poszedłem po Charpillon. Kazałem jej zapakować manatki i pójść za mną. Usłuchała i znaleźliśmy się pod naszym wspólnym dachem.

NOWE AWANTURY Z CHARPILLON – OBIAD U MALINGHAMA – WIZYTA W NEWGATE – PAPUGA

Nasz pierwszy dzionek upłynął bardzo mile. Charpillon była szaleńczo wesoła. Zjedliśmy sutą kolację i poszliśmy do łóżka. Skradłem jej kilka całusów, pozwoliła mi całować piersi, dotknąć najbardziej tajemnych zakątków ciała, ale w ostatniej chwili znów stawiała opór. Spróbowałem się dąsać i wtedy przytoczyła błahe usprawiedliwienie. Odparłem na to, że teraz za późno na te obiekcje, i usiłowałem przemocą dostać się do sanktuarium miłości, ale tak mocno zacisnęła uda, że musiałem przybrać pozycję rzeźnika ćwiartującego cielę. Wyczerpały ją te wysiłki i już sądziłem, że ta dziwaczna walka lada chwila ustanie, kiedy zmieniwszy metodę i nadawszy oczom namiętny wyraz, nędznica przytuliła mnie do piersi. Wyperswadowała mi, że gotowa ustąpić z własnej woli, poniechałem więc siły. Pieściłem ją czule i pokrywałem pocałunkami. Ona zaś zarzuciła mi ramiona na szyję i tak mocno ścisnęła za gardło, że musiałem błagać łaski. Jeszcze kilka sekund i byłaby mnie udusiła.

– Podła kreatura!

– Zwariowałeś pan?

– Nie widzisz, że ledwoś mnie nie udusiła? Zsinałem cały.

– Jeżeli nie podobają ci się moje pieścizny, możesz z nich zrezygnować.

– Bądź pewna, że już dłużej nie będziesz robić ze mnie durnia.

– Co za dziwny z ciebie człowiek! Albo skarżysz się na mój chłód, albo narzekasz na zbytek namiętności.

– Dziękuję za taką namiętność: zgmiotłaś mi tchawicę. Chcesz pani być moją, czy nie chcesz?

– Z całego serca chcę być twoją.

– A więc stawiam warunek, abyś mnie nie brała za szyję.

– Trzeba przyznać, że dziwaczny z ciebie kochanek, mój panie. Chodź bliżej, tylko nie bądź brutalny.

W odpowiedzi na moje ponowne czułości nie skąpiła mi pieśczoć. Wreszcie kiedy zda-
wało mi się, że jestem już bliski triumfu, zadała mi taki ból we wrażliwe miejsce, że sądząc
się okaleczonym – z krzykiem wyskoczyłem z łóżka.

- Zasłużyłaś sobie na tegie baty!
- Jesteś bezczelny łobuz!
- Znowu zaczynasz!

Wykrzywiła się pogardliwie. Istotnie byłem godzien pogardy i powinienem był zabić tę
kreaturę. Och, czytelniku, pewnie śmiejesz się ze mnie. Pozwól jednak, że cię zapytam: czy
byłeś kiedy zakochany? Czy nigdy nie pragnąłeś bez pamięci jakiejś kobiety? A więc na
moim miejscu uczyniłbyś to, co ja: znowu wróciłem do łóżka i błagałem przebaczenia. Krót-
ko mówiąc dopięła tego, żem usnął na jej piersi: ja – wyczerpany, ona – nie tknięta. Ockną-
łem się o świcie, kiedy jeszcze spała. Zapragnąłem skorzystać z tego, ale raptownie zbudzona
zerwała się i w napadzie wściekłości zarzuciła mi to, co nazwała „nadużyciem zaufania”.
Chciałem ją uspokoić, ale mnie zwymyślała. Przeciwwstawiłem jak największą czułość tym
obelgom i przybliżyłem usta, by na jej wargach złożyć prawdziwie ojcowski pocałunek, gdy z
całej siły zdzieliła mnie w twarz. Tego już było za wiele: zerwałem się i kopnąłem ją w krzy-
że. Zerwała się również i wrzeszczeliśmy jedno przez drugie. Cisnąłem jej suknie w twarz,
ona we mnie – spodnie. Schwyciłem tamburek ze stołu i broniąc się użyłem go za pocisk.
Trafiłem w Charpillon, która na całe gardło zaczęła krzyczeć, że złamałem jej nos. Trzeba
przyznać, iż krew się lała. Podałem jej więc szklankę wody, lecz gwałtownym ruchem łokcia
wylała mi całą zawartość na koszulę. W tej samej chwili zjawił się właściciel domu. Zaczął
mnie strofować po angielsku. Nie słuchając, co mówi, odpowiedziałem po włosku, a zatem
zrozumiał mnie nie lepiej niż ja jego.

Spostrzegłem, że Charpillon opowiada mu wszystko żaląc się na moje traktowanie, a że
pogroził mi pięścią, stanąłem w pozycji do walki. Na szczęście zjawili się inni ludzie: męż-
czyźni i kobiety. Oboje byliśmy wciąż w koszulach, bo w tym nieładzie nie mogliśmy odna-
leźć garderoby. Odzyskawszy jaki taki spokój, dokończyliśmy wreszcie toalety i Charpillon
ratowała się ucieczką zostawiając mnie wśród tych ludzi tłoczących się w pokoju i na scho-
dach.

Owa przygoda wzburzyła mnie szalenie. Byłem taki wściekły na siebie, że gdybym miał
jakąś broń pod ręką, byłbym się zabił. Zamknąłem się w domu na całą dobę i nie przyjmowa-
łem nikogo. Pierwszy dostał się do mnie Goudar.

- Przychodzę z przyjacielską radą.
- Idź pan do diabła!
- Charpillon ma nos spuchnięty jak bania...
- Tym lepiej, szkoda, że jej łba nie rozbiłem.
- Pozwól mi pan powiedzieć: to rzecz poważna i dobrze zrobisz odsyłając jej manatki i ła-
godząc sprawę.
- O to mi właśnie chodzi!
- Jesteś człowiekiem rozsądnym i te panie są też rozsądne. Zadowolą się odszkodowaniem
w wysokości stu gwinei.
- Chciałbym wiedzieć, łaskawco, czy nie zabraknie im czelności, aby i nadal brać ode
mnie pieniądze!
- A czemu by nie?
- Więc nie wiesz, co zaszło?
- Wiem wszystko. Wystrychnęła pana na dudka, a tyś ją palnął, ale jesteśmy w kraju,
gdzie to nie pobici płacą karę. Poza tym zobowiązałeś się pan wyliczyć matce sto gwinei po
nocy spędzonej z córką.
- Drwisz pan czy o drogę pytasz?! Nazwałbyś tę noc miłosną? Zresztą wracaj do pani Au-
gspurghor i powiedz, że jeżeli przyjmie tę kwotę, zobowiązuję się przynieść ją osobiście.

- Kazała mi powiedzieć, że możesz się stawić przed nimi, bo przyjmą cię jak przyjaciela.
- Doskonale, zaraz idę.

Szalałem wprost z gniewu i idąc czułem, że gotówem powtórzyć scenę z nocy, lecz na widok Charpillon złość mnie opuściła. Miała straszliwie opuchniętą twarz. Ze słów matki dowiedziałem się, że od dwudziestu czterech godzin gorączkuje bez przerwy, lecz że jej słodki aniołek (tak nazywała córkę) nie potrafi żywić najmniejszej złości do mnie i ogromnie żałuje zmartwienia, które mi sprawiła.

Głupio postąpiłbym znów wymyślając tej nieszczęśliwej dziewczynie. Rozsądek powinien był doradzić mi opuszczenie tego domu, jednak zostałem. Dlaczego? Tego po dziś dzień nie mogę pojąć, ale racja, że mam już siedemdziesiąt lat.

Po trzech tygodniach Charpillon odzyskała dawną urodę, a ja znów klęczałem u jej nóg gruchając niby gołąbek. Prawda, że była dla mnie łaskawsza niż zwykle: tylko przy mnie wydawała się szczęśliwa, i tym razem wyobrażałem sobie, że naprawdę podbiłem jej serduszko. Pamiętam, że kiedy błagałem ją, aby nareszcie uległością ukoronowała moją miłość (czytelnik raczy zauważyć, jak wstydliwie się wyraziłem), odpowiedziała przedziwnie wdzięcznym bilecikiem, iż nieodwołalnie postanowiła mi się oddać. Zdjęty przemożną radością szukałem odpowiedniego prezentu i w końcu postanowiłem zwrócić jej weksel na sześć tysięcy dukatów wystawiony na Bolome, to jest owe pieniądze, które ten frant wycyganął ode mnie z pomocą jej rodziny.

Po wymianie pierwszych uprzejmości wydobylem z portfela wspomniany weksel i powiedziałem Charpillon, że zamierzam napisać na nim „uiszczony” i złożyć go w jej ręce. Cieszyła się głośno z tak wspaniałomyślnego prezentu, a stara Augspurghor o mało co nie uroniła kilku łez z rozrzewnienia. Przez cały wieczór byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Zmrok zapadł i znów rozpocząłem moją litanie błagań. Spostrzegłem, że Charpillon była zaaferowana i roztargniona: spuściła wzrok, odwróciła głowę i w końcu oświadczyła, że dziś nie może zaspokoić moich próśb. Klęczałem przed nią, gdy wygłaszała te miłe słowa. Podniosłem się chłodno, wziąłem płaszcz i szpadę, i w milczeniu skierowałem się ku drzwiom. Powiedziała mi wówczas jak Berenika i z dość żalną miną:

- Jak to, Kochamy się i pan odchodzisz?
- Oczywiście.

Wtedy zapomniała o sentymentalnym tonie i wykrzyknęła całkiem bezwstydnie:

- Więc nie chciałbyś spać ze mną?
- Nie.

– I nie ujrzymy się jutro?

– Zapewne. Żegnam panią.

Nazajutrz przed ósmą zaanonsowano mi Charpillon, ale powiedziałem Murzynowi:

- Zabraniam ci wpuszczać tę panią.
- Doprawdy? – rozległ się czyjś śpiewny głosik.

Rozsunąłem kotary przy łóżku: to była Charpillon.

– Skoroś mną wzgardził, mój panie, nie przychodzę, aby mówić o mojej miłości, lecz o interesie.

– Jeśli już mowa o interesie, to przede wszystkim zechciej pani zwrócić mi weksle, które dałem ci wczoraj nie żyrowane.

– Nie mam ich przy sobie i właśnie o tym chciałam z tobą pomówić. Czemu żądasz ich zwrotu?

– Czemu, panienko, czemu! Ależ to śmiechu warte!

Wpadłem w szal, bo przerwała tamę hamującą złość, co mnie dusiła. Był to straszliwy wybuch gniewu, wybuch, którego domagała się cała moja natura. Charpillon bez mrugnienia zniosła tę burzę, a kiedy ujrzała mnie wyczerpanego, zalewającego się łzami, zabrała głos:

– Nieszczęsny i niesprawiedliwy człowieku, czyś nie zrozumiał, że moje postępowanie względem ciebie wynika z przysięgi?

– Przysięgi? Komu złożonej?

– Mojej matce: przysięgam na Ewangelię, że żaden mężczyzna nie posiadzie mnie pod jej dachem, a jeśli dziś przyszłam do ciebie, to po to, aby ci dać ostatni dowód miłości i zostać tutaj, jak długo zechcesz.

Nie myśl, drogi czytelniku, że ta propozycja ukoła mój wściekły gniew. Łatwiej przejść od miłości do nienawiści, niż od nienawiści do miłości. Charpillon doskonale wiedziała, że duma nie pozwoli mi od razu sięgnąć po nią. Już później, dokładnie przemyślawszy to wszystko, pojąłem całą zręczność jej gry.

Ten mały potwór opuścił mnie dopiero po ośmiu godzinach. Jadła przy moim stole i wbrew mojej woli, a ja musiałem kazać podać sobie oddzielnie, bo nie chciałem patrzeć na jej przebrzydłą twarzyczkę. Nic nie mogło jej zrazić, ani pogarda, ani poniżenie. Odeszła uśmiechnięta zapewniając, że znów przyjdzie. Parę dni wcale o niej nie słyszałem i nawet przez moment sądziłem, że zupełnie mi zubożniała. Tak więc w Londynie *nel mezzo del cammin di nostra vita*³², jak mówi stary Dante, miłość najbezczelniej zadrwiła sobie ze mnie. Miałem trzydzieści osiem lat i dochodziłem do końca pierwszego aktu tej tragikomedii, jaką wszyscy gramy na tej ziemi.

Któregoś wieczoru na wychodnym z Green Parku dowiedziałem się od Goudara, co się dzieje u moich filutek: Charpillon była w kwitnym zdrowiu, cała jej rodzina w doskonałych nastrojach.

– Dobrze – zapytałem. – A czy to przypadkiem nie za moją przyczyną?

– Gdzież tam. Unikają rozmowy o panu. Ze dwadzieścia razy naprowadzałem rozmowę na pański temat, ale wszyscy milczą jak zakłęci.

Pewnego dnia zjawił się u mnie Malingham, aby mnie zaprosić na obiad. Zapytałem, kto będzie, i przytoczył mi na to całkiem obce nazwiska. Przyjąłem więc zaproszenie. O wyznaczonej godzinie zastałem u niego dwie młode damy, Flamandki, niepośledniej urody, ale jedna była z mężem, druga zaś pozwałała się emablować jakiemuś młodzieńcowi, którego zwała kuzynem. Były też inne panie, wszystkie wielce inteligentne i dobrze wychowane, lecz znacznie mniej atrakcyjne pod względem wyglądu. Kiedy mieliśmy już siadać do stołu, zaanonsowano nowego gościa: była to Charpillon.

Oczywiście, gdyby się to stało chwilę wcześniej, byłbym wyszedł niepostrzeżenie, ale skoro już podałem ramię jednej z Flamandek, musiałem zostać. Przy stole moja sąsiadka zwierzyła mi się ze swego żalu, iż musi wyjechać z Anglii nie obejrzawszy parku w Richmond.

Wiedziony kurtuazją zdradziłem gotowość zawiezienia jej tam nazajutrz wraz z mężem, co słysząc reszta towarzystwa wyraziła chęć przyłączenia się do nas.

– Was jest osiem osób – rzekła Charpillon – będę więc dziewiątą.

– Niegrzecznie byłoby pani odmówić, ale że w moim powozie jest tylko osiem miejsc, pojedę konno...

– Nie potrzeba – odparła bezwstydnica – wezmę małą Emilię (córka pana Malinghama) na kolana.

W Richmond Charpillon odciągnęła mnie na bok i oznajmiła, że pomści się na mnie za uczyniony jej despekt.

– O jakim despekcie pani mówisz?

– O tym, coś mi uczynił wczoraj przy obiedzie. Czemuś nie chciał mnie zaprosić na ten spacer?

– Bo jesteś pani intrygantką, oszustką, zwykłą gamratką...

Na co, miast się rozgniewać, wybuchnęła śmiechem.

³² Nel mezzo... – w samym środku naszej drogi życia.

– Śmiejesz się? Mamże ci przypomnieć tych wszystkich, co cię posiadali: lord Grosvenor, lord Hill, każdy attaché z ambasady portugalskiej, Morosini i jego Wenecjanie!

– Dosyć! Nie chcę więcej słuchać.

– A ja chcę kontynuować.

– Słyszają nas!

– Dlatego właśnie mówię.

– Oszczędź mnie.

– Ale nie jesteś tylko gamratką, lecz także szachrajką. Gdzie są moje weksle?

– Dostaniesz je pan. Bądź spokojny.

To zapewnienie wcale mnie nie uspokoiło i dlatego znów ją zagabnąłem o to przy stole, gdy siadła obok mnie.

Po obiedzie poszła ze mną na spacer i tak to zręcznie zaaranżowała, że zabłądziliśmy w parku, który – jak mówiła – zna doskonale. Tymczasem zapędziliśmy się w głąb labiryntu i nie potrafiłem z niego wyjść, a wieczór się zbliżał.

– Nie mogę już kroku zrobić, proszę, siądźmy tutaj, mój panie.

– Nie myśl pani, że mnie znowu złapiesz w sidła.

– Któż by o tym myślał! Pozwól mi jeno trochę wypocząć.

– Wypocznij, ja zaś poszukam drogi.

I odszedłem natychmiast. Myszkowałem tu i tam, ale zawsze wracałem w to samo miejsce, gdzie ona siedziała. Sfatygowany tym kręceniem się w kółko, rzuciłem się na trawę, a Charpillon wydawała się tylko na to czekać. Leżała w jak najbardziej ponętnej pozie i choć z dala ode mnie, widziałem tajemne zakątki jej ciała. W końcu wstałem i pomstując na samego siebie, wbrew woli podszedłem do niej.

– Nie chowajmy złości do siebie – powiedziała – zbliż się pan i pogadamy.

– Nie bądź hipokrytką, czas zakończyć tę komedię.

– Nie jestem hipokrytką i masz tego dowód. To mówiąc wyciągnęła piękną rączkę, by mi dać lubieżną pieściznę.

– Gdybyś zechciała – powiedziałem – nie tylko owe weksle, lecz mój cały majątek byłby twoim.

– Jak to, tutaj, pod gołym niebem, gdzie w każdej chwili mógłby nas ktoś dojrzeć!

– Zmrok już zapada. Ustąpże mi, błagam.

– Boję się ciebie!

Ogarnięty gorącym pożądaniem, z furią rzuciłem się na nią, ale wyrwała mi się zręcznie i zaczęła uciekać. Dopędziłem ją w mgnieniu oka i niby satyr uganiający się za nimfą, objąwszy wpół ciała, obaliłem na murawę.

– To nieszlachetne! Będę się broniła i nie posiadziesz mnie żywą. Na te słowa do reszty straciłem panowanie nad sobą i wyciągnąwszy sztylet przyłożyłem jej ostrze do gardła mówiąc:

– Jeśli nie będziesz mi powolną, zabiję cię!

– Skoro tak, rób, jak uważasz. Pamiętaj tylko o jednym: gdy już zaspokoisz brutalne pożądanie, nie ruszę się z miejsca. Ludzie będą musieli przyjść po mnie, a ja nie będę ukrywała twojego niecnego postępu.

Jeszcze nie skończyła, gdy mi już rozum powrócił. Bez słowa wsunąłem sztylet do pochwy i uciekłem co tchu.

I czy uwierzycie? Charpillon pobiegła za mną, pomogła odnaleźć wyjście i ujęła pod ramię, jak by nigdy nic. Kiedy przyłączyliśmy się do towarzystwa, zapytano mnie, czym aby nie chory, podczas gdy na twarzy Charpillon nie malowało się nawet najmniejsze wzruszenie.

Po powrocie do Londynu wysłałem jej matce taki oto bilecik: „Pani, zechciej natychmiast odesłać mi moje weksle, bo będę musiał przedsięwziąć wielce przykre ci kroki”.

Odpowiedziała:

„Dziwię się panu, że zwracasz się do mnie o zwrot weksli, któreś dał mojej córce. Ona zaś prosi, bym cię zawiadomiła, że odbierzesz je, gdy staniesz się rozsądniejszy, i pod warunkiem, że już nigdy nie zapomnisz o szacunku, jaki jej winienes’”.

Krew mi uderzyła do głowy, gdym czytał ten list. Do licha, powiedziałem sobie, ja je nauczę gadać! Uzbroiłem się w pistolety i w laskę z nieodpartym zamiarem pogłaskania nią pleców obu kobiet i zdecydowany również rozprawić się z oboma łajdakami, którzy ich nie odstępowali, gdyby chcieli oni stawić mi opór. Już miałem wejść w progi domu, kiedy dostrzegłem fryzjera Charpillon, który co wieczór skręcał jej papiloty, a że chciałem ze swojej misji wywiązać się bez świadków, postanowiłem zaczekać na jego wyjście. Po pół godzinie perukarz jeszcze nie wyszedł. Zauważyłem tylko wychodzących Rostainga i Goumona, z czego byłem wielce zadowolony. Zostawili drzwi uchylone, wśliznąłem się więc do środka i wszedłem na górę pod pokój Charpillon. Pchnąłem drzwi i zobaczyłem „zwierzę o dwóch plecach”, jak mówi Szekspir. Spód owego zwierzęcia stanowiła Charpillon, górę zaś perukarz. Na mój widok zwierzę się rozdziwiło: górna część zniknęła jak cień latarni magicznej, inkasując na drogę tęgi cios w krzyże, gdy dolna skuliła się na kanapie, wydając żalosne okrzyki. W tej samej chwili wpadły do pokoju ciotki, matka, służba i murem otoczyły Charpillon, która umilkła. Sypnęły się na mnie obelgi, kazano mi wyjść. Coraz bardziej rozwścieczony odparłem, że z pewnością wyjdę, ale przódę wymierzę sobie sprawiedliwość na tych wszystkich nędznikach, co mnie oszukali, i sięgnąłem po pistolet. Kobiety uklęknęły przede mną i poskładały ręce jak do modlitwy. Na ten akt pokory skierowałem swój gniew w inną stronę: za przelanie krwi przysłoby mi drogo zapłacić, ale że czułem potrzebę połamania czegoś, poniechawszy nóg i rąk kobiet, zabrałem się do mebli. Lustra, porcelana, meble – wszystko latało i rozsypywało się pod ciosami. Moja laska i szyby pękły w tym samym czasie. A potem wyrzucałem meble przez okno, aż wreszcie została tylko ta przeklęta kanapa, na którą padłem wyczerpany obok Charpillon, zemdlącej lub udającej omdlenie.

Te moje czyny ściągnęły nocnego strażnika. Przyszedł zapytać o powody tych hałasów. Wsunąłem mu trzy dukaty w łapę i to wyjaśnienie go zadowoliło. Wyszedł, a ja zamknąłem drzwi za nim.

Wróciłem do pokoju, siadłem na kanapie i zażądałem od matki Charpillon oddania weksli.

– Zwróć się pan z tym do córki.

Spojrzałem na kanapę – nikogo już tam nie było. Zapłakana służąca wyjaśniła, że panienka uciekła, kiedy wszedł strażnik.

– O przeklęty, po tysiąc razy przeklęty dzień, w którymś pan przybył do Anglii! Moja córka, moja biedna córka bezradnie biegająca w nocy po ulicach miasta! – krzyczała pani Augspurghor.

Tymczasem zaczęły mnie już gnębić wyrzuty sumienia obudzone zniknięciem Charpillon.

– Idźcie – powiedziałem do kobiet – rozpytać sąsiadów. Ta, która przyniesie mi wiadomość, że panienka się znalazła, dostanie gwineę.

Służące rozbiegły się natychmiast, ciotki poszły za nimi, mimo błagań pani Augspurghor, która panicznie bała się zostać sam na sam ze mną. Po godzinie wszystkie wróciły bez żadnych wiadomości i jęły znów płakać i lamentować. Aby je uspokoić, przyrzekłem, że wynagrodzę szkody, ale rozsłochały się jeszcze głośniejsze. Wtedy myśląc, że z tym skończę, oświadczyłem, że rezygnuję jedynie z pretensji do moich weksli. Nie przynosi mi to zaszczytu i nie było też zbyt wielkoduszne: oto owoce nieopamiętania!

Nazajutrz skoro świt zawiadomiono mnie, że zguba się znalazła. Przyszła z tym jedna ze służących. Spodobała mi się: uważałem ją za szczerą, zwłaszcza gdy powiedziała, że mnie polubiła będąc świadkiem mojej namiętnej miłości dla jej młodej pani. Była to też jedyna służąca, która jako tako potrafiła wysłowić się łamaną francuszczyzną. Gdyby czytelnik chciał mnie wyśmiać z racji głupiego zaufania do tej dziewczyny, nie miałbym mu na to nic do powiedzenia i powtórzyłbym tylko pytanie: czyś nigdy nie był zakochany?

Służąca przysięgała, że jej pani mnie kocha, a swoje uczucie ukrywa tylko przez wzgląd na matkę, która mnie nienawidzi.

– Cóż, ma ku temu powody. Ale powiedzże mi, dokąd uciekła twoja pani, czy aby nie do swojego fryzjera?

– Była u naszego kupca galanteryjnego na Soho Square. Przyprawiliśmy ją z gorączką, fakt o tyle gorszy, że jest akurat w samej pełni przykrego dla kobiety okresu.

– Cóż mi tu za bajki pleciesz! Na pewno cię tak nauczono. Czyżbym wczoraj na własne oczy nie widział fryzjera...

– Kręcił jej papiloty.

– Kręcił jej całkiem co innego, u licha!...

– To niemożliwe, panienska by na to nie pozwoliła.

– Jest za dobrze wychowana, co? Idźże do niej i powiedz, że dziś przyjdę, bo jej pragnę.

– Przecież leży w łóżku.

– Tym lepiej.

Dziewczyna odeszła i już się nie pokazała. Po południu poszedłem do Charpillon; jedna z ciotek zatrzymała mnie na schodach.

– Na miłość boską, stój! Chodzi o życie twoje i siostrzenicy, bo nasi przyjaciele czekają na ciebie z bronią...

– A więc dowiem się, jak nią władają.

– Boże, mój Boże, chcesz nas zgubić. Siostrzenica majaczy, ciągle cię widzi z pistoletem w ręku. Uwziął się na jej życie!...

Wzruszyłem ramionami i poszedłem do domu. Nazajutrz znów próbowałem zobaczyć się z chorą i znów mi tego odmówiono. Ciotka oznajmiła, że lekarze nie widzą dla niej ratunku.

– To jeszcze nie znaczy, aby nie wyzdrowiała.

– Pan wie, że miała akurat okres.

– Ciągle to samo! A balwierz?

– Zabrakło panu rozumu. W takiej chwili dobrze wychowany kawaler powinien udawać, że nic nie widzi.

– Zaiste, masz pani wspaniałe zasady. Wychodząc natknąłem się na Goudara.

– Umiera – rzekł mi.

– Widziałeś ją pan?

– Nie, powtarzam, co mi powiadano. Służąca mówi, że jak by się wściekła. Gryzie ludzi, gdy do niej podejść, i całkiem naga tarza się po łóżku.

Zdesperowany chodziłem do rana po swoim pokoju. Goudar mnie nie odstępował, ale ja cały czas tylko monologowałem. O świcie znów pobiegłem po wiadomości. Wprowadzono mnie do pokoju, w którym dojrzałem jakąś chudą postać śpiewającą psalmy.

– Zmarła?

– Niech się dzieje wola nieba! Jeszcze oddycha, ale za godzinę skończy.

Wtedy porwała mnie nieprzeparła chęć targnięcia się na własne życie. Wróciłem do domu, spisałem testament legując wszystko, co mam, panu Bragadinowi, wziąłem pistolet i ruszyłem ku Tamizie z zamiarem strzelenia sobie w łeb na parapecie mostu. Na Moście Westminster-skim ktoś schwycił mnie za rękę; był to pewien szlachcic nazwiskiem Egard, którego poznałem u lorda Pembroke.

– Wyglądasz, kawalerze, na bohatera jakiegoś dramatu. Dokąd to zmierzasz z tak tragiczną miną?

– Sam nie wiem.

– Co ci się stało?

– Nie wiem.

– Całe szczęście, że tu jestem. Zamierzasz zrobić jakieś głupstwo, widać to po twoim obliczu.

– Powtarzam: nic mi nie jest i żegnam pana.

Ale Egard zatrzymując mnie zauważył lufę pistoletu sterczącą z mojej kieszeni.

– Dobrze – rzekł – a zatem sprawa honorowa! Będąc pańskim przyjacielem nie puszcze cię samego. Zostanę twoim świadkiem, jeśli sobie życzysz.

– Przysięgam – odparłem z uśmiechem – że z nikim się nie pojedyńkuję. Po prostu wyszedłem na spacer.

– Skoro tak, będę ci towarzyszył.

– Świetnie.

Szliśmy, ja w milczeniu, on gadając bez przerwy. Tymczasem nabraliśmy apetytu, zaproponował mi więc, abyśmy razem zjedli obiad. Byliśmy akurat przed „Kanone”, słynną londyńską restauracją, gdzie po herbacie i likierach można sobie było kazać sprowadzić panie do umilenia czasu. Przez cały obiad nie odezwałem się słówkiem, ale jadłem za czterech. Przy deserze podeszła do Egarda jedna z pięknych dam.

– Mam przyjaciółkę, Francuzkę – oświadczyła ta nimfa.

– Cudownie! – wykrzyknął Egard. – Zabawimy się w dwie pary.

Nie wypadło mi odmówić. Odłożyłem swoją śmiercionośną broń, kule wyrzuciłem przez okno i uściśkałem Egarda. Dobrze sobie na to zasłużył, bo uratował mi życie.

Obie nasze towarzyszki były jak by stworzone do zabawy, jednak wczorajsze emocje zupełnie zbiły mnie z nóg. Miłość własna, której mężczyzna w podobnych wypadkach nigdy nie chce uchybić, kazała mi godnie odgrywać swoją rolę, cóż z tego, kiedy wszystkie pieszczoty owej ślicznotki kierowane były jak by do kamiennego posągu. Angielka podobała mi się znacznie więcej od Francuzki i prosiłem Egarda, by mnie wytłumaczył przed nią z tego, zupełnie nie zamierzonego, braku uprzejmości w okazywaniu jej względów. Nie uwierzyła i chciała się naocznie przekonać o prawdzie moich słów. Zachęcała nas też do picia twierdząc, że bachusowy nektar rozпали krew zastałą w moich żyłach. Bachus skłonił mnie do powiedzenia kilku głupstw, ale nie zdołał natchnąć do czynu.

Wówczas Egard wyszedł i sprowadził trzech ślepych muzykantów. Kazał też nam rozebrać się i zupełnie nago odtańczyliśmy taniec satyrów. Nogi mi się uginały i nie mogłem utrzymać równowagi. Gdyby nie moja tęga budowa, przypominałbym prawdziwego Sylena. Po tańcu padłem na posadzkę i już tylko napawałem się widokiem przedstawienia, w którym nie mogłem brać udziału.

Daliśmy każdej z tych pań po cztery gwinee, to znaczy prosiłem Egarda, by je dał za mnie, bo nie zabrałem ani szylinga z domu idąc na przeprawę przez Styks. Samobójcze myśli jeszcze mi się tłukły po głowie, ale mówiłem sobie, że muszę przedtem zapłacić ten dług, a Egard, wciąż z obawy o moje życie, zaprowadził mnie do Ranelegh. Przespawszy się godzinę mógł zacząć nową orgię.

I tu właśnie los przygotował mi dziwne spotkanie. Tańczono w rotundzie i pewna dama, którą zawsze widziałem tylko z tyłu, zwróciła moją uwagę swoimi wdzięcznymi ruchami. Nagle odwróciła się i poznałem Charpillon. Włosy zjeżyły mi się na głowie, a w stopach uczułem straszliwy ból. Egard opowiadał potem, że myślał, iż jest to atak epilepsji, tak pobladłem na twarzy. W mgnieniu oka rozsunałem patrzących, podszedłem do Charpillon i powiedziałem jej parę słów. Nawet nie wiem, co mówiłem, ale uciekła przerażona. Wtajemniczyłem Egarda w rzecz całą, a perfidia tej cnotnisi wprawiła go w choleryczny gniew. Był nie mniej ode mnie wzburzony.

– Ta dziewczyna – rzekł – była tu z hrabią Grosvenorem, bo przyjechała jego powozem. Musisz się pan zemścić. Masz przecie list, w którym stara przyznaje, że powierzyła jej córce dwa weksle; zażądaj ich zwrotu i wtrąć baby do więzienia.

Zasmakowała mi ta rada i pobiegłem do prokuratora. Moja pretensja wydała mu się bezsporna. Złożyłem przysięgę, jak jest w tutejszym zwyczaju, i uzyskałem nakaz aresztowania. Bez chwili zwłoki poprowadziłem zbirów do dzielnicy, gdzie mieszkały te stare babska; gdy

pokazywałem owym zbirom dom i ciotki siedzące w oknie, dojrzałem również Charpillon. Wzruszył mnie jej widok i odszedłem czym prędzej. W słabości serca skłonny byłem wówczas odwołać ów straszliwy nakaz.

Nazajutrz wszedł do mnie rozpromieniony Goudar.

– Znakomicie! To się nazywa działać! Gratuluję panu! Kobiety siedzą pod kluczem: wiem wszystko od babki. Siepacze przyszli po jej córki, które z początku udawały głupie. Wędrówka do Kings Bench wcale im się nie uśmiechała. Nikt na to nie zważał, po prostu zapakowano je do karetki więziennej. Wtedy ci rajfu... Rostaing i Goumon pokazali zęby. Łajdaki wyciągnęły szpady, ale dostali w zamian po kopniaku i wrzucono ich do karetki jak zgniłe jabłka.

– A Charpillon?

– Złamana bólem: można skonać ze śmiechu. Pozwoliła zamknąć się ze staruchami. Wesołej zabawy! Będzie im gotowała i sprzątała, bo nie mają szylinga przy duszy.

– Jest chyba wściekła na mnie?

– Nie chce nawet słyszeć pańskiego nazwiska. W jej oczach jesteś najstraszniejszym potworem. Myślę, że to już koniec zabawy, a szkoda, bo z dnia na dzień stawała się ciekawsza.

Ten koniec zabawy, jak zobaczymy, miał być dla mnie bardzo przykry. Od wielu dni nie widziałem już Egarda, kiedy pewnego pięknego ranka wpadł raptownie do mojego pokoju i cisnął dwieście pięćdziesiąt gwinei na łóżko.

– Co to za pieniądze i czemuś się pan tak długo nie pokazywał?

– Drogi przyjacielu, jestem zakochany.

– Stara historia.

– Prawdę mówiąc ta kobieta jest czarująca.

– Wierzę na słowo, ale o kim mówisz?

– Znasz ją u licha! Toć to Charpillon.

– I zgaduję, że płacisz jej długi. Serdeczne dzięki. Ładnych się rzeczy napatrzysz.

Anulowałem weksle i myślałem, że sprawa się na tym skończyła. Myliłem się. Odjeżdżałem o północy z balu za płatnymi biletami wstępu, w apartamentach, które niegdyś zajmowała Cornelis, kiedy już niedaleko domu ktoś zawołał:

– Dobranoc, kawalerze Seingalt!

Wysunąłem głowę przez okno i odpowiedziałem na to pozdrowienie, gdy nagle dwóch ludzi zatrzymało powóz i przyłożyło mi pistolety do piersi.

– Aresztujemy cię w imieniu króla!

Nie straciłem zimnej krwi i zapytałem, z jakiegoż to powodu.

– Dowiesz się pan w więzieniu.

– Dokąd pojedziemy?

– Jutro do sędziego, pojutrze do Newgate, ale do świtu zatrzymamy pana w biurze policji.

Początkowo bardzo spokojnie potraktowałem ową przygodę, bo sumienie miałem czyste. Przyrzekłem sobie jednak nigdy nie łamać starego i bardzo mądrego zwyczaju nieodpowiadania w nocy na nieznajomy głos.

O świcie zaczęto się szykować, aby zaprowadzić mnie przed sędziego, który dysponował więźniów do Newgate. Kazałem sprowadzić sobie lektykę, bo gdybym ukazał się na ulicach w stroju balowym, motłoch obrzuciłby mnie obelgami i błotem. Moje wejście wywołało wielkie poruszenie wśród obdartusów wypełniających salę. W jej głębi ujrzałem zasiadającego w fotelu starca z przepaską na oczach, który wysłuchiwał wyjaśnień składanych przez tłum oskarżonych. Był to sędzia: powiedziano mi, że jest ślepy i nazywa się Fielding. Stałem przed obliczem, autora słynnej książki „Tom Jones”.

– Panie Casanova – rzekł mi po włosku – jest pan skazany na dożywotnie więzienie.

– Kara dość ciężka i za przestępstwo, którego nie znam. Proszę mi rzec, cóżem uczynił naganego.

– Pańska prośba jest zrozumiała. Zresztą nie jesteśmy w kraju, gdzie wiesz się człowieka nie powiedziawszy mu za co. Na podstawie zeznań dwóch świadków zostało stwierdzone, że usiłowałeś oszpecić młodą dziewczynę.

– To kalumnia, podobna zbrodnia nigdy mi nawet przez myśl nie przeszła.

– A jednak mamy na to dwóch świadków.

– Falszywych. Ta dziewczyna zwie się Charpillon, czy nie tak? Oskarża mnie, gdym zawsze dawał jej dowody głębokiej miłości.

– A zatem przyznajesz pan, że nigdy nie miałeś zamiaru uderzyć jej?

– Stwierdzam to.

– Doskonale. Zatem będziesz mógł odejść spokojnie po złożeniu kaucji.

Badanie było skończone, toteż natychmiast wysłałem służbę do kupców londyńskich, bliżej mi znanych. Aż tu nowa przeszkoda: zjawia się szef zbirów i chce mnie wieść do Newgate.

– Proszę zaczekać do wieczora, przyniosą kaucję.

– Sprawiedliwość nie czeka.

– Ten człowiek został oplacony przez pańskich przeciwników – szepnął mi jeden z obecnych przy tym. – Zmieni zdanie, jeśli mu coś dasz.

– A ile żąda?

– Dziesięć gwinei.

– Nie dostanie nic. W dodatku chciałem zwiedzić Newgate, a teraz mam sposobność. Idziemy.

Nie, nigdy nie zapomnę okropnego wrażenia, jakie wywarł na mnie widok owego piekła. Znalazłem się w jednym z Danteskich kręgów i to w tym najokropniejszym. Dzikie postacie, jadowite spojrzenia, ponure uśmiechy – wszystkie rodzaje zawiści, rozpaczy i wściekłości. Był to straszliwy obraz. Ci nieszczęsny powitali mnie gwizdaniem: winienem to balowemu strojowi. Wielu podeszło, aby mnie wypytać, nawiązać rozmowę, a moje zawzięte milczenie wzbudziło w nich gniew. Zasypywali mnie obelgami mimo upominań dozorczy, który wołał do nich, że jestem obcokrajowcem i nie znam języka. Ze strachem widziałem, że noc się zbliża, bo lękałem się o życie w tej jaskini. Na szczęście po godzinie zjawił się klucznik i oznajmił, że wniesiono za mnie kaucję i jestem wolny. U bram więzienia czekał już powóz. Wkrótce też znów ujrzałem sędziego Fieldinga; przed jego fotelem stali Pégu, mój krawiec, oraz Maisonneuve, dostawca win. Oni to byli moimi poręczycielami. Pośród publiczności dostrzegłem Rostainga podającego ramię jakiejś zawołowanej damie: była to Charpillon. Za nimi szedł ktoś inny, o kim niebawem wspomnę i kto służył im za drugiego świadka. Z chwilą wniesienia kaucji za mnie, ustalonej na dwadzieścia gwinei, Charpillon, ku swojemu żalowi, mogła spodziewać się wyroku skazującego ją na zapłacenie kosztów procesu pod groźbą uwięzienia.

Nazajutrz po tym feralnym dniu Goudar przyniósł mi numer „Saint James Chronicle” zawierający opis całej mojej przygody. Nazwiska moje i Charpillon podawano tylko w inicjałach, lecz Rostainga i tego innego świadka, Bottarelliego, figurowały w pełnym brzmieniu, a wnoszono ich pod niebiosa. Kiedy Goudar wyjaśnił mi, że ów Bottarelli uchodzi za pisarza, pomyślałem sobie, że jestem na tropie autora tego szkalującego artykułu, i wyszedłem, aby się dowiedzieć, gdzie ów osobnik mieszka. Po drodze spotkałem Martinello, który znał potrzebny mi adres i ofiarował się pójść ze mną.

W nędznej klitce na czwartym piętrze, w najbrudniejszej dzielnicy Londynu zastałem człowieka otoczonego czworgiem dzieciaków i zapamiętałe coś bazgrzącego.

– Nazywam się Casanova – rzekłem – i jestem tym, którego przez pańskie zeznania zamknięto na godzinę w więzieniu Newgate.

– Bardzo mi przykro.

– Sądzi pan, że to mi wystarczy?

- Panie, mam rodzinę na karku, a przyrzeczono mi dwie gwinee.
- Myślę jednak, że wystąpiłeś pan w roli, która cię może drogo kosztować. Czyżbyś się nie bał szubienicy?
- Fałszywego świadka nie wieszają, tylko deportują. A poza tym, jak dowieść świadkowi fałszywych zeznań?
- Mogę ci tego dowieść! Gdzieżeś mnie przedtem widział, pytam? Ośmieliłbyś się twierdzić, że byłeś trzecim naszym partnerem, Charpillon i moim?
- Przysięgnąłbym to, mój łaskawy panie, choć wiedziałbym, że kłamię.
- Jesteś najgorszym ze wszystkich szubrawców.
- Racja, ale oto moje wytłumaczenie, jeśli nie usprawiedliwienie.
- I wskazał mi swoją rodzinę.
- Czy to nie pan jesteś autorem pewnego artykułu umieszczonego w dzisiejszym rannym „Saint James Chronicle”?
- Nie. Chciałbym być napisać ten artykuł, ale prawda jest, że go nie napisałem.
- Jak widzę, parasz się pisaniem.
- A czy nie muszę dać kawałka chleba tym biedakom? Pisuję do gazet, mimo że się tym brzydzę, bo moim prawdziwym powołaniem jest poezja.
- Dałem gwineę jego żonie i to była cała moja zemsta.
- Kiedym wracał do domu, usłyszałem, że ktoś wyraźnie mnie wołał; poznałem papugę!
- Skąd masz pan tego ptaka? – zapytałem handlarza.
- Od pewnej damy.
- I umie mówić, co?
- Tylko jedno zdanie.
- Jakie?
- Casanova to łajdak.
- Kupuję papugę, proszę, oto dwie gwinee.
- Zabrałem ptaka i jak dzień długi powtarzałem mu: „Charpillon to ladacznica jeszcze większa od matki”. Pod koniec tygodnia papuga tak świetnie nauczyła się tego zdania, że je powtarzała od rana do nocy śmiejąc się przy tym hałaśliwie.
- Goudar, świadek tej gadatliwości, zapytał mnie:
- Czemuż by nie wystawił jej pan na Placu Giełdy? Przyniosłoby ci to z pięćdziesiąt gwinei co najmniej.
- Spodobał mi się ten pomysł i kazałem Yarbe’owi stanąć tam z ptakiem. Nie była to chciwość z mojej strony, tylko chęć publicznego nazwania Charpillon tak, jak na to w pełni zasługiwała.
- Początkowo moja papuga nie mogła pochwalić się sukcesem, bo mówiła po francusku, ale wkrótce zebrał się tłum. Goudar twierdził, że widziano w nim matkę Charpillon i jej ciotki, że odeszły wściekłe i radziły się adwokata.
- A co myśli Charpillon?
- Myśli, że pański pomysł jest bardzo dowcipny i pierwsza się nim bawi.
- W parę dni później przeczytałem w gazecie, że damy znieważone przez papugę na Placu Giełdy muszą być albo bardzo ubogie, albo nie mieć protektora, bo gdyby ktoś kupił ptaka, obelgi nie nabrałyby takiego skandalicznego rozgłosu. W innej znowu redaktor pisał, że autor owego żartu z papugą wart być Anglikiem z racji uszczypliwości, cechującej jego zemstę.
- Czemu – zapytałem kiedyś Egarda – nie odkupiłeś pan mojej papugi, skoro tak uwielbiasz Charpillon?
- Z bardzo prostego powodu: powtarza ona bowiem dokładnie to, co o tej ślicznotce myślą wszyscy, którzy ją znają.

A jednak papuga znalazła nabywcę w osobie pewnego lorda, którego Charpillon tak jak mnie wystrychnęła na dudka. Potem nieraz jeszcze widywałem tę kreaturę, ale już zupełnie bezpiecznie dla mego serca i kiesy. Stała mi się tak obojętna, jak by była całkiem obca.

NOWE PRZYGODY – NAJRÓŻNIEJSZE POKUSY – DAMA Z HANOWERU I JEJ CÓRKI – KOCHAM SIĘ W WIKTORYNIE

Uwolniony od tej dziwnej namiętności podjąłem swoje wędrówki po Londynie. Pewnego dnia byłem w Buckingham House, kiedy usłyszałem swoje nazwisko w ustach kobiety. Uniosłem wzrok i dojrzałem dwie młode osoby, zjadające podwieczorek przy oknie. Pozdrowiły mnie gestem, jednak nie znając ich poszedłem dalej. Ale już po paru krokach zaczepił mnie pewien oficer angielski mówiąc:

– To są Włoszki i widzisz je pan nie po raz pierwszy.

Wszedłem razem z nim do domu i jakież było moje zdumienie, kiedy powitał mnie tam Porchini w uniformie oficera gwardii króla Jerzego! Z ważną miną przedstawił mi dwie panny jako swoje córki.

– To mi w sam czas przypomniało – powiedziałem – zegarki i złotą tabakierkę, które dwie inne panienki, również pańskie córki, ukradły mi w Stuttgarcie.

– Zełgałeś pan – odparł czerwony z gniewu.

Siedział przy stole i opychał się kremem. Filiżanka akurat stała pod ręką, cisnąłem mu ją w twarz i wyszedłem. Ten prawdziwy Anglik poszedł za mną i rzekł:

– To była ostra reakcja.

– Nie tak ostra jak słowa.

– Przyznaj pan jednak, że pańskie podejrzenie jest ubliżające.

– To nie żadne podejrzenie, tylko prawda. Porchini jest szubrawcem i okradł mnie. Gardzę nim.

– Nie sędzę, abyś pan przez to chciał uniknąć dania mi satysfakcji, gdyby zażądał.

– Oczywiście, że nie. I sam się pan przekonasz, jakiego to rodzaju będzie satysfakcja. Powiedz mu, że go czekam w Green Park za godzinę, bo idę po szpadę i kij.

– Po co kij?

– Obiecuję bowiem wyłoić mu skórę w twojej obecności, chyba że przyszłaby ci fantazja bić się za niego. Mówmy szczerze, drogi panie, czy znasz dobrze tego, kogo zwiesz swoim przyjacielem?

– Jest oficerem i to mi wystarcza.

– Świetnie, a więc będę się bił z tobą do upadłego, jeśli ci na tym zależy, ale nie przestanę twierdzić, że Porchini to łajdak i sutener.

Za godzinę byłem na umówionym miejscu. Zjawia się Porchini bardziej podobny do trupa niż do żywego, blady jak pierrot, z trzęsącymi się rękami. Próbuje mi coś powiedzieć, ale podnoszę kij za całą odpowiedź i rozkazuję mu wyjąć szpadę. Odmawia – więc go walę. Wtedy umyka co sił w nogach rycząc wniebogłosy. Jego towarzysz przeprosza mnie stokrotnie i wspólnie kontynuujemy spacer. A kiedy dostarczam mu mało budujących przykładów na temat osoby Porchiniego, mówi:

– Żałuję bardzo znajomości z tym człowiekiem, lecz cóż pan chce! Kocham się w najmłodszej z jego córek i nie mogę z nim zerwać.

Wchodząc do parku dostrzegłem owe dwie młode damy z Goudarem idącym między nimi.

– Skąd znasz te panie? – zapytałem go.

- To córki bogatego kapitana.
 - Który handluje biżuterią, co?
 - Tak, kupiłem od niego ten zegarek i te dwa pierścionki.
- Słuchając Goudara obie panny roześmiały się i zapytały żartobliwie:

– Cóż pan zrobił z naszym „kochanym ojczulkiem”?

– Wyłoiłem mu skórę jak się patrzy.

– To piękny uczynek i kocham cię za to – rzekła starsza wyciągając do mnie rękę.

Naiwny Anglik, którego całkiem zbiła z pantałyku podobna nikczemność, odwrócił się od tych istot przysięgając na wszystko, że jego noga nie postanie w ich domu.

Wieczorem w towarzystwie Goudara poszedłem do Covent Garden i Goudar zapytał, czy nie zechciałbym być na koncercie signory Sartori.

– Zobaczysz pan tam piętnastoletnią Angielkę, której ta wirtuozka udziela lekcji.

– Czy owa młoda dama szuka protektora?

– Niechybnie. I gdybyś pan chciał nim zostać, musisz się pośpieszyć, albowiem dziś wieczór zjedzie się cały bogaty świat, aby posłuchać Sartori, i ktoś gotów sprzątnąć ci dziewczynę sprzed nosa.

W mojej sytuacji finansowej nie uganiałem się za nowymi znajomościami, postanowiłem jednak obejrzeć sobie ową młodą dziewczynę, bo to mnie do niczego nie zobowiązywało. Weszliśmy więc i młodzianka miss wydała mi się bardzo ładna, mimo to jej wdzięki nie zdołały rozpalić we mnie pożądania. Pewnie sądzisz, czytelniku, że jeszcze wciąż myślałem o Charpillon? Pomyłka: trapiła mnie wówczas platoniczna miłość i całkowicie pochłaniało wspomnienie Pauliny. Goudar wskazał mi palcem pewnego młodego szlachcica liwońskiego, barona Stenaua, który na krok nie odstępował pięknej Angieleczki.

– Nie będę z nim o nią kruszył kopii – powiedziałem.

Po kolacji zaoferowano nam bilety na najbliższy koncert. Kupiłem dwa, a Stenau wziął pięćdziesiąt: wyniosło to pięćdziesiąt gwinei!

– Szturmem stara się zdobyć tę twierdzę – rzekłem do Goudara. Myślałem, że Stenau to bogacz, a że rzucił mi parę komplementów, odwzajemniłem mu się tym samym i zaprzyjaźniliśmy się. Niebawem zobaczymy, jak skończyła się dla mnie ta przypadkowa przyjaźń. Mówiąc o Buckingham House zapomniałem przytoczyć pewną anegdotkę, która świetnie ilustruje angielskie poczucie humoru. Trzeba wiedzieć, że aleje ogrodów tego pałacu są obsadzone przejrzystymi grabowymi szpalerami, które je odgraniczają od siebie. Pewnego popołudnia spacerując wraz z Pembrokiem tymi alejami zauważyłem, nie dalej niż o parę kroków, sześciu panów siedzących w kucki (łatwo się domyślić, w jakim celu) i plecami odwróconych do nas.

– Milordzie, cóż za nieokrzesani ludzie!

– Co chcesz pan przez to powiedzieć?

– Mogliby przynajmniej kucnąć twarzą do alei.

– Źle by zrobili, boby ich poznano, podczas gdy w tej pozycji...

– Dziwne rozumowanie.

– Ale słuszne. Bo jeśliby jakiś lord lub nawet minister znalazł się wśród nich, to ucierpiałby na tym jego autorytet.

– Mówisz pan: minister, w takiej sytuacji?

– A czemu nie? Przecież potrzeba może przyjść nagle.

– Rzeczywiście, Anglicy zawsze wszystko robią inaczej niż reszta ludzi.

Od Sartori wyszedłem tak, jak przyszedłem, całkowicie obojętny. Goudar rzekł mi:

– Nie poznaję pana: uroda tej Angieleczki nie zrobiła na tobie najmniejszego wrażenia. A przynajmniej, że to iście królewski kąsek.

– Niechże się ten Liwończyk rujnuje, jeśli ma chęć. Ja mu w drogę nie wejdem.

– Szukasz pan tanich i urozmaiconych miłostek. Myślę, że mam coś dla pana.

- Znów kobiety! Mój drogi panie, z ciebie niezmordowany dostawca.
- Zawsze się tym trudniłem. Posłuchaj pan mojej propozycji. O dwa kroki stąd mieszka pewna dama z Hanoweru, koło pięćdziesiątki...
- Dziękuję pięknie.
- Cierpliwości! Biedaczka jest w wielkiej potrzebie: ma na utrzymaniu starą matkę i ułomną ciotkę.
- Ależ to istny szpital! Zamierzałbyś mnie tam zaprowadzić?
- Słuchaj pan dalej. Jej mąż jest ślepy, bezsilny i nie będzie mógł sprzeciwić się moim planom.
- Pan sobie drwiesz ze mnie, panie Goudar.

I odwróciłem się od niego. Złapał mnie jednak za ramię i począł wrzeszczeć na całe gardło:

- Ta kobieta ma pięć córek, słyszy pan, pięć! Jedna ponętniejsza od drugiej.
- Zaczynam rozumieć.
- Jakże mogą wyżyć, chyba bardzo źle!
- Drogo by mnie to kosztowało, gdybym miał karmić ich wszystkich.
- Zachowasz ten seraj tak długo, jak zechcesz, a potem, pewnego ranka: moje uszanowanie.

Poszedłem za Goudarem. Weszliśmy na pierwsze piętro: w obszernej sali ujrzałem trzy młode panny, z których najstarsza mogła mieć siedemnaście lat, nie więcej. Siedziały w towarzystwie jakiegoś podejrzanego osobnika.

– O, do diabła! – powiedziałem sobie. – Czyżby były podobne do Charpillon? Miejmy się na baczności.

Goudar podszedł do nieznanego. Coś poszeptali i wrócił po chwili.

– To zbir. Ma zaprowadzić matkę do więzienia, jeżeli nie zapłaci gospodarzowi dwudziestu gwinei, które mu winna.

– A niech ją prowadzi!

– Tak, ale gdy zamkną matkę, wyrzucą córki na bruk, a później zapakują do więzienia w ślad za matką.

– Gdzie są wasze siostry, moje panie? – zapytałem jedną z pańienek.

– Poszły szukać pieniędzy.

– To już ich wcale nie macie?

– Ani szylinga i nic, co można by sprzedać.

– Czy jesteś pani tego pewna? A co robi matka?

– Płacze.

– Łzy nic tu nie pomogą.

– Gospodarz chciał ją pocieszyć mówiąc, że pojedzie do więzienia powozem.

– Nazywa to pociechą, łajdak! Proszę mnie posłuchać: pani jesteś ładna, a ja bogaty. Mógłbym pomóc twojej matce, lecz pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Nie domyślasz się pani?

Patrzyłem na nią namiętnym wzrokiem, ale opuściła długie rzęsy i wymamrotała:

– Ach, panie, pan nas nie znasz!

Nuta bólu, która wyrwała się z piersi tej biednej małej, wzruszyła mnie nieco, ale nie mając zamiaru wyzbywania się swoich gwinei bez rekompensaty, powiedziałem Goudarowi:

– Słyszałeś pan, co powiedziała ta pani. Zaofiaruj więc jej konsolację, której ode mnie przyjąć nie chciała.

Skłoniłem się po tych słowach i odszedłem, a Goudar ruszył za mną.

Kiedy już jedną nogą stałem na ulicy, przybiegły dwie starsze panny, obie cudnej urody. Na twarzach malowało się raczej zadowolenie niż smutek. Jedna zapytała:

- Czy pan jest kawalerem de Seingalt?
- We własnej osobie i bardzo współczujący paniom w ich nieszczęściach.
- Czy nie zechciałbyś pan na chwilę wstąpić do nas, najwyżej na kwadrans?

Nie wypadalo odmówić, więc weszliśmy na górę. Usiedliśmy i najstarsza opowiedziała mi, że przybyły do Londynu po pewne odszkodowanie, ale że wypłata opóźniła się, musiały zaciągnąć długi, których nie mogą spłacić. Pozastawiały już wszystko i mają tylko dwa szylingi całego majątku.

– Macie, miłe panienki, jeszcze coś innego, toteż dziwię się, że ci, którzy was widzieli i znają osobiście, nie śpieszą wam z pomocą.

- Wszyscy nasi znajomi są twardego serca.
- Proszę ich wymienić.
- Markiz Caraccioli, lord Baltimore i lord Pembroke.

– Pozwoli mi pani wątpić o nieczułości tych panów. Znam ich również i uważam za ludzi wspaniałomyślnych oraz bogatych. Może mają jakieś powody, dla których nie mogą okazać swoich dobrych intencji względem pań, tym bardziej że wszystkie jesteście ładne...

– Niestety! – przerwała mi najstarsza.

– Pani wydajesz się żałować swojej urody, a trzeba, abyś wiedziała, że uroda to weksel honorowany na całym świecie za okazaniem.

– Święta racja, ci panowie opuścili nas, bo zostałyśmy wierne naszym zasadom.

– Domyślałem się tego. Mężczyźni znajdują was czarującymi i mówią to wyraźnie. Proszą, abyście się zlitowały nad męką, którą im zadajecie, a wy odmawiacie! Cóż więc dziwnego, że nie chcą wam pomóc? Nie sądzę, aby owym panom można było coś zarzucić.

– Jak możesz pan tak mówić!

– Piękne to, moje panie, że chcecie być cnotliwe, ale to was drogo kosztuje. My, mężczyźni, rozumiemy inaczej. Zżera nas namiętne pożądanie, które chcielibyśmy z kimś podzielić, a nasze pieniądze rezerwujemy dla pań, co nie są tak nieubłagane. Ratować cnotę to przede wszystkim rzecz bardzo ryzykowna, bo trafiają się cnoty podejrzanego wartości, a poza tym czy nie jest to kucie broni przeciw samemu sobie? Powiem pani szczerze, że w tej chwili wasza uroda oddaje wam niedźwiedzią przysługę. Gdybyście były brzydkie, prawdopodobnie dostałybyście od nas dwadzieścia gwinei z litości. Sam bym je dał ze szczerego serca. Byłby to dobroczynny postępek tanim kosztem. Ale wobec uroczych twarzyczek trudno być dobroczynnym. Człowiek mimo woli uważa się za wywiezionego w pole i wystawionego na pośmiewisko.

Wszyscy milczeli zaskoczeni.

– Racz mi pani powiedzieć, skąd dowiedziałyście się o mnie!

– Widziałam pana na balu w Richmond w towarzystwie panny Charpillon.

– A zatem wiedz, proszę, że ta pani kosztowała mnie dwa tysiące gwinei, za którą to kwotę nie dała mi nawet jednego całusa. Oto czemu jestem taki nieufny.

W tej chwili ktoś z sąsiedniego pokoju przywołał moją rozmówczynię.

– To moja matka, chciałaby z panem pomówić.

Wszedłem do pokoju i ujrzałem leciwą niewiastę leżącą w łóżku. Chytry wygląd, czujne spojrzenie, wszystko to zaskakująco przypominało matkę Charpillon.

– Czym mogę służyć łaskawej pani?

– Panie, słyszałam każde słowo z tego, coś mówił córkom.

– Uwalnia mnie to od powtarzania się.

– Przyznaj pan, że w twoich słowach nie było nic ojcowskiego.

– Pani, z zawodu jestem libertynem. Powiedziałem twoim córkom, co myślę. Jesteś pani zbyt doświadczona, aby się na mnie o to oburzać. Uwielbiam cnotę, lecz kocham się tylko w miłości i jej to szukam u pani córek. Widzę jednak, że są tak bardzo rozsądne, iż będą unikać mojej osoby, pozwól pani zatem pożegnać się.

– Chwileczkę, panie: ten starzec, którego tam widzisz, jest moim mężem (kłamała), hrabia de... ze słynnego i szlacheckiego rodu. Czyżby więc jego córki nie zasługiwały na szacunek?

– Pod każdym względem, szanowna pani, z mojej strony największym jego dowodem niech będzie obietnica, że już nigdy nie pokażę się im na oczy.

– Nie miałbyś więc litości?

– Jak i pani.

– Nie wypada mówić w ten sposób do matki i kobiety z dobrego domu.

– Zmusiłaś mnie pani do tego. Żegnam.

– Pomyśl pan, że nie mamy kęsa chleba.

– Pozwolisz pani, że zapłacę dziś za wasz obiad, na który, mam nadzieję, zechcesz mnie zaprosić.

– Na miłość boską, daj nam pieniądze, które wydałbyś na ten obiad. W naszej przykłej sytuacji córki nie będą miały humoru.

– Niemniej jednak sprawię uciechę moim oczom. I obiecuję uzyskać dla was zwłokę do jutra. A potem Opatrzność może wskaże wam wyjście.

Przystała, a ja odszukawszy gospodarza ułożyłem się z nim, że za gwineę da tym paniom spokój do jutra. Po tym i po zamówieniu obiadu znów poszedłem do hrabiny i powiedziałem:

– Uczyniłem wszystko, co w mojej mocy, aby wydostać panię z tej przykłej sytuacji. Zjem z wami obiad nie dopominając się nawet pocałunku, ale jeżeli jutro będę równie powściągliwie traktowany, opuszczę was.

– Możesz być pewien, że moje córki nigdy nikogo nie obdarzą podobnymi względami.

– W takim razie obiecuję ci, pani, rozgłosić w całym Londynie, że są ideałem cnoty i wdzięku, ale nie miej mi za złe, iż moje pieniądze przeznaczę dla kobiet tak występnych, jak sam jestem.

– Zły z ciebie człowiek.

– Gorszy, niż pani myślisz, i dziś zawarłaś bardzo nieszczególną znajomość.

Przy stole panny jadły za czterech i nie gardziły winem. Przy końcu podano wagę ponczu, który wprowadził nas w doskonały humor. Nie pozwoliłem sobie jednak na najmniejsze uchybienie przyzwoitości. Wieczór, który zapadł, nie wpłynął na decyzję matki, wobec czego cofnąłem daną gospodarzowi gwarancję, a nazajutrz poszedłem do Pembroke'a, by mu opowiedzieć o całej przygodzie. Gdy wymieniłem nazwisko tej damy z Hanoweru, wybuchnął gromkim śmiechem.

– Dwie z tych panienek były u mnie. W tragicznych barwach odmalowały swoją sytuację; wyśmiałem je i nic więcej.

– Jesteś pan nieubłagany.

– Nic podobnego, ale już ode mnie wycygały kilkanaście gwinei w zamian za złudne nadzieje. To kobiety pokroju Charpillon.

– Dziękuję ci, milordzie, za te informacje. Przyznaję jednak, że ta najstarsza córka jest niezwykle powabna i gdyby się zgodziła spędzić noc w moim łóżku, chętnie dałbym jej dwadzieścia gwinei.

– Dałbym tyleż za każdą z jej sióstr. Ale ani panu, ani mnie to się nie uda. Baltimore dawał dwieście za pięć dziewcząt...

– I odmówiono mu?

– Nie, ale zażądano zapłaty z góry. Co prawda matka wówczas nie była jeszcze w tak rozpaczliwej sytuacji jak dziś.

Wróciwszy do domu dowiedziałem się, że siostry są u hrabiny, która sprzedała jedną ze swoich sukien na opłacenie obiadu. O piątej zaanonsowała się starsza z sióstr. Zaczęła płakać, klęknęła przede mną. Za całą odpowiedź położyłem na stole dwadzieścia gwinei i wskazałem na łóżko. Z pogardą odwróciła się i odeszła. Wieczorem Goudar poinformował mnie o losie hrabiny: zabrano ją do więzienia. Trapiły mnie wyrzuty sumienia, uważałem się za okrutnika i

już miałem wyjść ratować nieszczęsne stworzenia, kiedy zobaczyłem wszystkie pięć panien wchodzące do mnie. Natychmiast zamówiłem dobry obiad. Jednak panny były smutne, prawie nie tknęły jedzenia, a piły tylko wodę. Czując, że nie będzie z nich żadnego pożytku, prosiłem, by wróciły do siebie. Wyszły, ja zaś położyłem się do łóżka. Już sen mnie morzył, kiedy weszła najstarsza z sióstr.

– Co pan uczynisz dla nas, jeżeli oddam ci się tej nocy?

– Dam pani dwadzieścia gwinei i będę cię tak długo utrzymywał, jak długo będziesz tylko moją.

Wtedy nic nie mówiąc rozebrała się i położyła przy mnie w łóżku. Zdjąłem ostatnią osłonę i podziwiałem jej kształty. Prosiła jednak, abym oszczędził jej wstydu i zdmuchnął świecę.

– Przyjmij dodatkowo pięć gwinei dla sióstr i pozwól mi jednak napawać się twoim widokiem.

Była mi powolną, ulegle robiła, co chciałem, i czterokrotnie złożyła z siebie ofiarę, ale raczej pozwalała na wszystko, niż sama brała w tym udział. Starłem się ją rozgrzać pocałunkami, jednak daremnie. Zdawało mi się, że mam do czynienia z posągiem, bo to cudne ciało było zimne i martwe niby marmur.

– Saro – powiedziałem – zarobiłaś te pieniądze. Masz je i idź sobie. Nie chcę już widzieć ani ciebie, ani twoich sióstr. Zrobiłaś mi przykrość swoim zachowaniem: nie odwzajemniłaś mojej miłości. Sprostytuowałaś się i nic więcej: wstyd!

Bez zmruczenia oka ubrała się i wyszła.

Nazajutrz o siódmej czuję, że ktoś mnie budzi łagodnie. Otwieram oczy i kogo widzę? Wiktorynę, młodszą siostrę.

– Czego pani sobie życzysz?

– Ulituj się pan nade mną: zostaliśmy bez dachu nad głową. Wpuść nas do swojego domu, wywdzięczę ci się za to. Siostra powiedziała, że już nie chcesz nas widzieć. Zrozumiałam, że nie jesteś z niej zadowolony, ale powinienes jej wybaczyć: zakochana jest w pewnym Włochu więzionym za długi.

– To u was rodzinne! A może i pani kochasz się w jakimś więźniu?!

– Ja nie kocham się w nikim.

– Chcesz rzec, że twoje serduszko jest wolne? Zobaczmy więc.

Przyciągnąłem ją do siebie, objąłem i rozebrałem. W niczym nie przypominała Sary. Była płomiennym nienasyconym i nieugaszonym. Wziąłem ją raz po razie urozmaiciwszy to sobie, ale nie miała dosyć i wreszcie omdlałem w jej ramionach, obficie spleciwszy przy tym daninę miłości.

– Odniosłaś Wiktorię, mój aniele! – powiedziałem wreszcie.

– Bo i na imię mam Wiktoryna.

– Możesz sprowadzić tutaj całą rodzinę; zajmę się też uwolnieniem twojej matki. A tymczasem weź te dwadzieścia gwinei.

Tak więc znalazłem się z tą całą rodziną na karku. Sprowadzono mi także do domu starego hrabiego, a pod wieczór zjawiała się w lektyce również i hrabina. Złożyłem jej wizytę, aby wyrazić gratulacje, a ona wychwalała moją wspianiałością nie domyślając się najwidoczniej motywów.

Od Wiktoryny dowiedziałem się, że kochanek jej siostry, markiz della Piettina z Neapolu, siedzi za dług wynoszący zaledwie kilka gwinei.

– Jak to! Ambasador neapolitański pozwala więzić swojego kompatriotę dla takiej bagatelki? Powiedz siostrze, że zobaczę się z nim.

Istotnie poszedłem do markiza de Caraccioli, który mi powiedział, że dawno już wydostałby z więzienia tamtego Włocha, gdyby nie to, że wojażował on bez pozwolenia swojego władcy.

Ten argument wydał mi się mocno zabawny i pobiegłem do więzienia, aby uwolnić młodego markiza. Owego dnia biedna Sara o mało co nie umarła z radości i zdawało mi się, że bliska już jest chwila, kiedy przez wdzięczność zdobędę to, czegom nie zdobył afektem.

Pewnego ranka w czasie miłosnych zmagania z Wiktoryną ujrzałem nagle piękną blond główkę, wsuwającą się za kotary łóżka. Była to Augusta, trzecia córka, ta sama, którą miał na oku lord Pembroke.

– A mnie pan kochasz? – zapytała. Wiktoryna zaś natychmiast posunęła się robiąc miejsce siostrze. Nazajutrz złożyłem nową wizytę hrabinie. Była w doskonałym nastroju.

Nie dojrzałem na jej twarzy najmniejszego śladu smutku, apetyt miała znakomity, a piła jeszcze lepiej. Ujrzawszy na stole jakąś książkę zapytałem:

– Pani hrabina lubi lekturę?

– Usypia mnie.

– To może lubuje się pani w robótkach?

– *Fi donc!*

– A więc czym się pani zajmujesz?

– Myślę o szczęściu moich córek.

– Intencja godna podziwu, ale pozwól sobie powiedzieć, że trochę więcej aktywności z pani strony w tym względzie bardziej by im się przydało.

– Nie zginiemy z pomocą Opatrzności.

– Prawdziwa Opatrzność na tym padole to my sami.

– Pan nią będziesz dla nas, bo Niebo cię nam zesłało.

Augusta była przy tym. Słuchając owych słów przyciągnąłem ją do piersi i poprosiłem hrabinę, aby pozwoliła mi złożyć ojcowski pocałunek na „dziewiczym” czółku jej córki.

Wróciłem do siebie i zobaczyłem przechodzącego markiza Caraccioli pod oknami. Gdy nań zawołałem, przybiegł z pochopnością rzadko spotykaną u dyplomatów. Jednocześnie posłałem po Sarę i przedstawiając ją Caracciolemu powiedziałem, że jest narzeczoną markiza della Piettina.

– Kiepska to partia dla pani, śliczna panienko.

– Jest markizem – odparła hrabianka.

– Markizem ubogim jak mysz kościelna.

– Pan wie, panie ambasadorze, że dwóm kochającym się sercom...

– Wystarczy byle chatka, ale i tę trzeba mieć.

– Obiecał zawieźć mnie do Neapolu.

– Taki sam dobry sposób dostania się do więzienia jak każdy inny.

– Król się nad nim ulituje.

– Chętnie w to wierzę, lecz dłużnicy nie są tak miłosierni.

Po wyjściu ambasadora, gdy wybierałem się na konną przejażdżkę, przyszła Augusta i powiedziała, że jej młodsza siostra, Hipolita, byłaby uszczęśliwiona, gdyby mogła mi towarzyszyć. Odparłem, że z radością sprawiłbym tę przyjemność jej siostrze, ale musi przecież mieć amazonkę. Odłożyłem zatem przejażdżkę do jutra i posłałem po krawca. Zdjął miarę przy mnie i muszę powiedzieć, że Hipolita urodą w niczym siostrze nie ustępowała. Rzuciłem jej kilka niewinnych żarcików, których znaczenie świetnie zrozumiała, bo wieczorem z własnej ochoty przyszła do mojego pokoju. Było to w chwili, kiedy Augusta się rozbierała, a raczej kiedy ją rozbierałem i stałem za nią w jednej z tych postaw, co nie wymagają świadków.

– Nie przeszkadzajcie sobie – rzekła Hipolita – ja się nie patrzę.

– Możesz sobie patrzeć! – odparła jej siostra.

A już po wszystkim Augusta powiedziała:

– Moja siostra kocha cię, toteż ustąpię jej miejsca na tę noc.

Hipolita kazała się nieco prosić (chytrość kobieca!), ale wreszcie uległa. To była już czwarta z nich!

Po przejażdżce z Augustą najmłodsza z pańienek, czternastoletnia Gabriela, dziecko czarujące, rzekła do siostry:

– Ty jesteś szczęśliwa, bo możesz jeździć konno, kiedy ja muszę siedzieć w domu.

Natychmiast podszedłem do niej i powiedziałem, że dostanie pięknego konia, jeśli matka pozwoli jej jeździć ze mną.

– Matka nie może mi niczego zabronić, ale przecież muszę mieć amazonkę.

– Pójdź więc ze mną do mojego pokoju, a pokażę ci spodnie z żółtego aksamitu i amaran-
tową kurteczkę, w której będzie ci bardzo do twarzy.

Spojrzała na siostrę, jak by się pytała o zgodę, i na jej skinienie poszła za mną. Ledwie we-
szliśmy, powiedziałem, żeby się rozebrała, na co zarumieniła się lekko.

– Nie chcesz pani przymierzyć tego kostiumu?

– Panience nie wypada rozbierać się przy mężczyźnie.

– I nigdy się to pani nie przytrafiło?

– Nigdy.

– Naprawdę?

– Przysięgam panu.

– Chciałbym się o tym przekonać.

– Jakiegoż świadectwa wymagasz, skoro ci moje słowo nie wystarcza?

– Znam tylko jedno jedyne i niezawodne. Proszę, zechciej położyć się do łóżka i dać mi spojrzeć.

– I tylko pod tym warunkiem zgodzisz się pan brać mnie na konne przejażdżki?

– Nie stawiam tego za warunek, lecz tylko proszę o łaskę.

– No to dobrze.

Przekonałem się, że Gabriela nie kłamała, ale dla rozproszenia wszelkich wątpliwości po-
trzebna była jeszcze jedna próba.

– Gabrielo – powiedziałem – dałaś mi wielki dowód zaufania, ale wolałbym otrzymać go
jako twój kochanek.

– Co masz pan na myśli? Czyżbyś chciał naprawdę zostać moim kochankiem?!

– To moje najgorętsze życzenie.

– Czemu nie powiedziałeś pan tego wcześniej! Moje siostry bez przerwy powtarzają, że
największym szczęściem na świecie jest mieć kochanka.

– I chciałybyś go mieć?

– Oczywiście!

– I będziesz go kochała?

– Z pewnością, jeżeli pan nim będziesz, bo pana już kocham.

– I niczego mi nie odmówisz?!

– Niestety, jestem uboga...

– Nie zrozumiałaś mnie, Gabrielo, to, czego kochanek żąda od swojej wybranki, to...

– To co?

Odwołałem się do gestów, by jej wytłumaczyć, o co mi chodzi. Byliśmy w najciekawszym
momencie tej lekcji (a okazała się bardzo pilną uczennicą), kiedy ktoś pchnął drzwi i weszła
roześmiana Augusta.

– Winszuję ci – powiedziała do siostry – zarobiłaś dwadzieścia gwinei.

To odezwanie wydało mi się niewłaściwe, toteż zapytałem Augustę, czemu nam przeszkadza.

– Mama kazała mi zaraz pana sprowadzić. Ma jakąś propozycję, od której zależy pańskie
szczęście i spokój.

Natychmiast zszedłem do hrabiny. Była niezwykle podniecona. Ujrzawszy mnie wstała i
padła mi w ramiona. Z wielkim trudem zdołałem powstrzymać ją od okazywania dalszych
dowodów czułości.

– Pani – powiedziałem – doprawdy nie mogę pojąć, czemu zawdzięczam tę wyjątkową
przychyłość, jaką mi okazujesz.

– Pan, zbawca moich córek! Pan, ich dobrodzieju i ojciec!
– Na miłość boską, dajmy temu spokój. Sam jestem uszczęśliwiony z tego, com mógł dla nich zrobić.

– I będziesz miał za to nagrodę, kawalerze Casanova: oto moja ręka!

W pierwszej chwili nie zrozumiałem sensu, który łączyła ze słowami „moja ręka”. Ująłem więc jej rękę i uściśkałem przyjaźnie.

– Przyjmujesz pan? Byłam tego pewna, a więc jesteś moim małżonkiem!

Na tę zupełnie niespodziewaną konkluzję ledwie powstrzymał się od śmiechu. Przypomniałem hrabinie – co jej pewnie uleciało z pamięci – iż jest zamężna i że obecny stan majątkowy, w każdym razie, nie pozwala mi przyjąć tej propozycji, której zaszczyt w pełni doceniam.

– Jestem wolna – odpowiedziała dumnie. – Ale rozumiem teraz powody pańskiej odmowy. Odejdź pan, byłam lepszego o nim zdania.

Tymczasem szybkimi krokami zbliżałem się do ruiny. Byłem u kresu sił i prawie bez pieniędzy. Sprzedałem wszystkie diamenty i pozostały mi tylko tabakierki, parę zegarków, etui oraz inne, trudne do spieniężenia drobiazgi. Od miesiąca nie płaciłem już dostawcom. Ale miłość młodych hanowerek rekompensowała mi tę niełaskę losu. W takiej to znajdowałem się sytuacji, kiedy pewnego dnia zastałem Wiktorynę całą we łzach.

– Wyjeżdżamy za dwa dni – powiedziała.

– A czemu tak nagle?

– Matka wyjaśni to panu, przed nami robi tajemnicę.

Pobiegłem do hrabiny. Przyjęła mnie chłodno, wymawiając rzadkość wizyt.

– Czy to prawda, że panie wyjeżdżają?

– Wracam do Hanoweru, a pan jesteś tego powodem.

– Czyżbym sprawił pani jakąś przykrość?

– Odmówiłeś małżeństwa i narażasz mnie na obmowę.

– Wszędzie rozpowiadam o moim szacunku dla pani.

– A córki? Nie wiedziałbyś, że powszechnie biorą je za twoje metresy?

– Pani chyba temu nie wierzysz?

– Oczywiście, jestem przekonana, że w tym nie ma słowa prawdy. A ufam panu tak bardzo, że chcę ci nawet coś zaproponować.

– Słucham, pani.

– Myślałam, żeby ci je zostawić.

– Wszystkie cztery?

– Wszystkie pięć nawet, ale Sara od nas uciekła³³.

– Z pewnością zatrzymałbym je...

– Aby im zastąpić ojca?

– Tak bym to rozumiał, ale niestety moje finanse nie pozwoliłyby uczynić dla nich tego, co bym gorąco pragnął.

– Potrafią kontentować się małym.

– Nie mogę ofiarować im nawet tego.

– Więc może pojechałbyś z nami do Hanoweru? Mam tam wielkie dobra, w których będziesz miłym gościem.

– Z chęcią przystałbym na to, ale muszę pozostać w Londynie.

– Więc nie nalegam i żegnam pana.

Rozstanie było bolesne. Zwłaszcza Wiktoryna wyglądała na niepokieszoną. Żałowałem, że nie mogę dać pieniędzy hrabinie. Zauważyła moje zmartwienie i powiedziała:

– Nie kłopotz się pan, zaoszczędziłam dwieście gwinei z ojcowskiego daru, jaki złożyłeś moim córkom, i to wystarczy mi na drogę.

³³ Sara uciekła z markizem della Pettina (przyp. tłum.).

Ich odjazd pograżył mnie w głębokim smutku. Odseparowałem się od całego świata i przez tydzień nadzwyczaj serio porządkowałem swoje interesy. W niecałe pięć tygodni wydałem na owe damy nie tylko wszystkie pieniądze uzyskane ze sprzedaży diamentów, ale jeszcze zadłużyłem się na czterysta gwinei. Wtedy to zastanawiałem się nad wyjazdem do Lizbony, do Pauliny, która wyszła za hrabiego. Zdecydowany opuścić Anglię sprzedałem pozostałe mi wartościowe przedmioty: krzyż, pięć złotych tabakierek, wszystkie zegarki prócz jednego i dwa kufry wypchane ubraniami. Po spłaceniu długów zostało mi jeszcze sześćdziesiąt gwinei. Łatwo sobie wyobrazić, że zrezygnowałem z mojego olbrzymiego domu. Wynająłem trzy skromne pokoje w pobliżu Soho Square, z całej służby pozostał mi jedynie wierny Yarbe.

Wreszcie, mniej więcej dziesiątego dnia, wyszedłem na miasto i mój zły duch zawiódł mnie do tawerny „Kanone”. Kończyłem jeść kiepski obiad, teraz już mój zwykły posiłek, gdy podszedł do mnie baron Stenau z serwetką w rękę. Poprosił, abym mu zrobił zaszczyt przyłączenia się do jego towarzystwa. Zgodziłem się i w siedzącej przy nim damie poznałem uczennicę signory Sartori, tę samą, dla której okazał się taki hojny. Czarująco piękna i wspaniale mówiąca po włosku, kokietowała mnie zawzięcie: osądź, czytelniku, czy mogłem pozostać na to obojętny po dwunastodniowym poście? Jednak zachowałem jak największą rezerwę i pozwoliłem sobie jedynie na powiedzenie, iż uważam barona za najszcześniejszego z ludzi.

Po obiedzie, który minął nam bardzo wesoło, ślicznotka spostrzegła trzy kostki do gry na kominku i zerwała się wołając:

– Zagrajmy o gwineę na szampana!

Nie potrzebowała tego dwa razy powtarzać. Przegrał baron.

– A teraz – powiedziała jego towarzyszką – zagramy o to, kto płaci za obiad.

Los padł na nią. Nierad ze skandalicznie dopisującego mi szczęścia zaproponowałem Stenauowi grę o dwie gwinee. I znów przegrał. Nowa gra z takim samym rezultatem. Stenau upierał się przy dalszej grze i po pół godzinie przegrał już sto gwinei. Chciał kontynuować, ale odmówiłem.

Wtedy zerwał się zły, nie na mnie, lecz na los, wziął kapelusz, laskę i wyszedł bez pożegnania.

Wówczas jego dama powiedziała:

– Niech się pan nie lęka o swoje pieniądze, Stenau jest bogaty i zwróci nam dług.

Skoro przyznawała się do części mojej wygranej, uważałem, że mogę sięgnąć po swój udział w jej wdziękach i objąłem ją bez żenady.

– Łatwo się pan zapalasz.

– To się pani nie podoba?

– Wręcz przeciwnie. A propos, oddasz mi pan te pięćdziesiąt gwinei tak, aby baron niczego się nie domyślił.

– Zrobię to chętnie, ale i on się chyba nie dowie, co dasz mi pani w zamian?

– Możesz być spokojny.

I uśmiechnęła się przy tych ostatnich słowach. Niestety, fatalne spotkanie! A jeszcze fatalniejsza nieobecność barona!

Po godzinie wrócił przynosząc tratę na pięćset dwadzieścia gwinei wystawioną w Lizbonie i płatną przez jedną z najpoważniejszych firm w Kadyksie.

– Byłem – powiedział – u wielu bankierów, którzy nie chcą zdyskontować tej traty.

– To dziwne, wystawca jest znany, akceptant zaś cieszy się wielkim kredytem. Jeżeli zechcesz mi pan powierzyć tę tratę, zajmę się jej dyskontem.

– Będę panu zobowiązany za tę przysługę i sceduję tratę na pana.

Nazajutrz bankier Leigh wyliczył mi wartość traty. Zobaczyłem się ze Stenauem i wypłaciłem mu należność banknotami. Oddał mi sto gwinei, moją wczorajszą wygraną, a potem rozmowa przeszła na piękną Angielkę.

– Uwielbiasz ją pan – powiedziałem.

– Ja? Nic podobnego. Łączy mnie z nią tyleż, co z każdą inną. Jeśli się panu podoba, pogadaj z nią.
– Zgoda.
– Doskonale. Kiedyż się z nią spotkasz?
– Jeszcze dziś wieczór.
– A więc dobrej zabawy. Będzie cię to kosztowało dziesięć gwinei i jeszcze jakąś bagatelkę.

Dopiero później dowiedziałem się, co miał na myśli przez tę „bagatelkę”.

Nazajutrz rano zbudziłem się w objęciach owej pani: odliczyłem jej pięćdziesiąt gwinei.

– Kiedy cię znów zobaczę, mój panie? – zapytała.

– Nie jestem bogaty.

– Wielkie rzeczy! Zawsze chyba znajdziesz pięć gwinei dla dam, które cię kochają.

– Niewątpliwie.

– No więc za tę cenę zawsze zjesz u mnie kolację.

Przez cały tydzień korzystałem z tego upoważnienia, ale ósmego dnia rano, w czasie ostatnich przygotowań do wyjazdu stwierdziłem nagle u siebie objawy choroby, przeciwko której niestety nie ma niezawodnego środka.

Nigdy jeszcze ta przekłeta choroba nie nawiedziła mnie w gorszym czasie niż teraz, kiedy zamierzałem przepłynąć za ocean dla zdobycia fortuny. Musiałem więc zostać w Londynie aż do zupełnego wyzdrowienia, co miało potrwać sześć tygodni.

Wyszedłem z domu nie po to, aby, jak można sądzić, czynić wyrzuty mojej Angielce, lecz żeby przenieść kwatery główną do mojego eskulapa. Spakowałem kufry jak do podróży po kontynencie, wsadziwszy w nie wszystkie manatki prócz cienkiej wytwornej bielizny, którą przez Yarbe’a wysłałem do praczki mieszkającej o sześć mil od Londynu na drodze do Duwru.

Ledwie się zainstalowałem u lekarza, gdy przyniesiono mi list od bankiera Leigha. Oto jego pełna treść:

„Trata, którą panu zdyskontowałem, jest sfalszowana. Niech mi pan zaraz odeśle wypłacone pieniądze i każe aresztować oszusta, który ci ją dał, jeżeli nie wynagrodzi szkody. Zaklinam, nie zmuszaj mnie do tego, abym żądał aresztowania ciebie. Chodzi przecież o pańskie życie”. Po przeczytaniu tego listu resztkami sił padłem na łóżko.

W głowie mi się kręciło, trzęsły mną dreszcze. W wyobraźni widziałem już szubienicę: nieunikniony koniec mojej awanturycznej kariery. Jakże tu znaleźć wyjście? Skąd wziąć pięćset funtów szterlingów? Był tylko jeden sposób: uzbroiwszy się w pistolety pobiegłem zaraz do Stenaua, zdecydowany strzelić mu w łeb, jeżeli nie zwróci mi równowartości fałszywej traty. Na nieszczęście szubrawiec zdążył się już wynieść. Gospodyni poinformowała mnie, że przed pięcioma dniami wyjechał do Lizbony, gdzie, jak się potem dowiedziałem w Rydze, źle skończył.

Pojałem wówczas, że muszę sam zdecydować się na stanowczy krok i nie oglądając się na chorobę wsiąść na statek. Byłem już bez grosza, jeśli nie brać pod uwagę piętnastu gwinei. Nie mogłem też liczyć na Bessangeta i jemu podobnych kupców, bo wszyscy zwąchali pismo nosem. Oto więc podstęp, do jakiego się uciekłem: odszukałem pewnego weneckiego Żyda, który znał hrabiego Algarotti, i zaproponowałem mu przekaz wystawiony na hrabiego i opiewający na sto cekinów. Ów Żyd wypłacił mi równowartość w brzęczącej monecie. Zainkasowałem pieniądze wzięłem nogi za pas i uciekłem, jak by mi pięćset tysięcy diabłów następowało na pięty. Leigh przyrzekł dwudziestoczterogodzinną zwłokę, a wiedziałem, że jako prawy Anglik nie złamie słowa. Mimo to nie mogłem zapanować nad lękiem. Zawołałem Yarbe’a i rzekłem:

– Wybieraj jedno z dwojga: albo dwadzieścia gwinei i rozstanie, albo jazda ze mną, a do kąd – tego ci teraz zdradzić nie mogę.

– Mój dobry panie, nie żądam ani szylinga. Pojadę z panem, gdzie pan zechce.

– Odjeżdżam za godzinę. Ale jeżeli się przed kimś wygadasz, mogę to życiem przyplacić. Zostaniesz tu jeszcze przez parę dni, aby odebrać bieliznę, później zaś przyjedziesz do mnie. Masz tu pieniądze na koszty podróży.

– To niepotrzebne, zwróci mi pan później, co wyłożyłem.

I wiemy sługa oddalił się, by mi za chwilę przynieść sześćdziesiąt gwinei – owoc swojej oszczędności.

– Ludzie ufają mi i mogę jeszcze dopożyczyć pięćdziesiąt funtów, jeżeli panu potrzeba.

Podziękowałem mu za tę propozycję, ale ten nowy dowód przywiązania sprawił mi wielką radość. Każda chwila była droga. Pobiegnąłem do krawca, u którego zostawiłem był materiał na trzy fraki. Zaproponowałem, że mu go odprzedam; zgodził się i wyliczył mi trzydzieści gwinei. Potem zapłaciłem gospodyni i wsiadłem do omnibusu pocztowego do Rochester, dokąd zajechałem tegoż jeszcze dnia i, mimo że trawiony gorączką, nająłem konie do Duwru. Przybyłem tam nazajutrz o brzasku. Statek miał właśnie odejść. Po pół godzinie żeglowaliśmy już po morzu. Jakiż straszliwy przejazd; cztery bite godziny lawirowaliśmy przed Calais, a że statek był angielski, wciąż znajdowałem się na brytyjskiej ziemi. Wreszcie wpłynęliśmy do portu i stanąłem we Francji. Byłem uratowany!

Casanova jedzie przez Brunświk, Wolfenbittel i Magdeburg do Berlina. Pisze list do Fryderyka Wielkiego z prośbą o audiencję i uzyskuje ją w parku Sans-Souci. Chce namówić Fryderyka do zorganizowania loterii państwowej, tymczasem zaś dostaje propozycję wykładania w szkole kadetów. Nie zgadza się i jedzie do Rosji korzystając z hojności pana de Bragadin.

W Petersburgu przyjmują go w najlepszych towarzystwach. Ma nadzieję dostać się na dwór Katarzyny, która jednak nie zdradza chęci poznania go. Zaczyna więc już myśleć o odjeździe, gdy niespodziewanie hrabia Panin podsuwa mu myśl podejścia do Katarzyny, gdy będzie spacerowała po parku. Casanova wywiera jak najlepsze wrażenie na Katarzynie i zanosi się na to, że dostanie jakąś lukratywną posadę. Jednak te nadzieje zawodzą i Casanova wyjeżdża. Jedzie próbować szczęścia w Polsce.

PRZYJEŹDŹAM DO WARSZAWY – KRÓL STANISŁAW AUGUST – KLÓTNIA: BINETTI CZY CATAI – JEJ SKUTKI – POJEDYNKUJĘ SIĘ Z BRANICKIM – GODZIMY SIĘ – KAŻĄ MI OPUŚCIĆ WARSZAWĘ – ODJAZD Z JEDNĄ NIEWIADOMĄ

...W drodze spotkałem panią Campioni, a ta na wieść, że udaję się do Warszawy, prosiła o doręczenie jej mężowi listu, w którym dopominała się pieniędzy. Po przyjeździe do Warszawy zatrzymałem się u Campioniego, prowadzącego tu szkołę tańca. Z przyjemnością wysłuchał wiadomości o żonie, która, jak mnie zapewnił, wcale jego żoną nie była, i posłał jej pieniądze zalecając przy tym, aby została wszędzie, gdzie się znajdzie, byle nie przy nim. Nazajutrz zaś wyruszyłem na miasto z listami polecającymi, danymi mi w Sankt-Petersburgu. Zacząłem od księcia Adama Czartoryskiego. Przyjął mnie w swoim gabinecie w otoczeniu ze czterdziestu osób. Przeczytał list rekomendacyjny i jał się rozpląwać w pochwałach nad osobą, co mi go dała. Potem zaprosił mnie na wieczerzę. Przyjąłem tę inwitację, tymczasem zaś kazałem się prowadzić do księcia Sułkowskiego, który był ambasadorem polskim we Francji, człowiekiem olbrzymiej wiedzy i zapalonym dyplomata, a umysł miał nafaszerowany wspańiałymi projektami, niczym ksiądz de Saint-Pierre. Ucieszył się ujrawszy mnie i mając mi dużo do powiedzenia, jak oświadczył, prosił, bym został na obiedzie, który zjemy samowtór. Przez cztery godziny pocilem się śmiertelnie przy jego stole, gdzie raczej podobny byłem do ucznia na egzaminie niżli gościa. Książę mówił o wszystkim prócz tego, o czym ja mógłbym mówić. Jego mocną stroną, a raczej należałoby rzec: słabą stroną była polityka. Przytłaczał mnie swoją bezsporną wyższością na tym polu. Udałem się więc do księcia Czartoryskiego, aby zapomnieć o tych elukubracjach dyplomaty, i zastałem bardzo liczne towarzystwo: generałów, biskupów, ministrów, wojewodę wileńskiego i wreszcie króla, któremu książę mnie zaprezentował. Król długo wypytywał o cesarzową Katarzynę i najważniejsze osoby jej dworu. Na szczęście mogłem udzielić mu szczegółowych wiadomości, których słuchał z wielkim zainteresowaniem. Przy kolacji siedziałem po jego prawej ręce i ciągle się do mnie zwracał. Obaj nie wzięliśmy kęska do ust. Król Polski jest niskiego wzrostu, ale dobrze zbudowany, twarz zaś ma niezwykle wyrazistą. Wysławia się łatwo, a wszystko, co mówi, skrzy się dowcipem i błyskotliwością myśli. Nazajutrz książę Czartoryski zaprowadził mnie do wszechwładnego wojewody ruskiego. Tego słynnego męża zastałem w otoczeniu jego dworzan w obcisłych kaftanach, wysokich butach, z podgolonymi głowami i wąsami. Był to ów wojewoda, za którego głównie przyczyną powstały zamieszki w Polsce. Niezadowolony ze zbyt małego wpływu, jakim on i jego brat, wielki kanclerz litewski, cieszyli się na dworze, stanął wraz z nim na czele spisku, który zmierzał do pozbawienia korony króla saskiego i wprowadzenia, z pomocą Rosji, na tron młodego Stanisława Poniatowskiego, późniejszego Stanisława Augusta.

Mimo przykładowego prowadzenia się, już po trzech miesiącach pobytu w Warszawie byłem zadłużony po uszy. Dostawcy napierali na mnie ze wszystkich stron, a ja nie miałem ani grosza. Ale oto jak los zesłał mi dwieście dukatów. Niejaki pan Schmidt, któremu król nie bez

powodu udzielił mieszkania w pałacu³⁴ zaprosił mnie na obiad. Poznałem tam czarującego biskupa Krasickiego, księdza Gigioti i parę innych osób coś niecoś osłuchanych w literaturze włoskiej. Król jak zawsze, gdy zasiadał w liczniejszym gronie, w doskonałym humorze i w dodatku lepiej znający się na klasykach od któregośkolwiek z panujących, jał cytować rzymskich poetów i prozaików. Wytrzeszczyłem oczy z podziwu słuchając go cytującego raz po raz uczone manuskrypty, pewnie egzystujące tylko w jego imaginacji. Zresztą słuchałem bez słowa, pałaszując za czterech, jak człowiek, co nie jadł z powodów, które niedawno przytoczyłem. Wreszcie zaczęto mówić o Horacym i z tego słynnego poety cytować najsłynniejsze sentencje. Każdy pochwalał jego filozofię. Ksiądz Gigioti, któremu moje milczenie spokoju nie dawało, odezwał się:

– Jeżeli kawaler de Seingalt nie podziela naszego zdania, czemu nie powie swojego?

– Skoro ksiądz życzy sobie usłyszeć, co myślę o Horacym – odparłem – to przyznam, iż moim zdaniem są poeci, którzy lepiej rozumieli ducha i język dworu. Parę jego dzieł, którymi zachwycacie się państwo, poczytując je za wzór dobrego smaku i wytworności, to w gruncie rzeczy tylko niesmaczna satyra.

– Połączenie taktu z prawdą w satyrze toć to szczyt arcyzmu!

– Horacy nie miał z tym trudności, skoro za jedyny cel, nawet w satyrach, obrał kadzenie Augustowi. Ten zaś nieśmiertelność zawdzięcza opiece, jaką otaczał pisarzy owych czasów. Oto co wśród naszych koronowanych władców uczyniło modnym jego imię, tak że częstokroć wolą je od własnego.

Wspomniałem już, że król wstępując na tron przybrał sobie imię August – toteż spoważniał po tej uwadze i zapytał mnie, którzy to władcy zrezygnowali z własnego imienia na rzecz imienia August.

– Pierwszy król szwedzki, który zwał się Gustaw.

– A jakież związanie istnieje między Gustawem i Augustem?

– Jedno jest anagramem drugiego.

– Gdzieżeś to pan wyczytał?

– W pewnym manuskrypcie w Wolfenbittel.

Król wybuchnął śmiechem przypomniawszy sobie, że sam też przytaczał różne manuskrypty. Potem zaś zapytał, czy pamiętam jakąś sentencję Horacego, w której by satyra przybrana była w taktowną formę. Odpowiedziałem mu natychmiast:

– *Coram rege sua de paupertate tacentes plus quam poscentes ferent.*

– To słuszne – odrzekł śmiejąc się.

Pani Schmidt zaś poprosiła biskupa o przełożenie owego cytatu. „Ten, co kryje się ze swoją biedą przed królem, więcej dostanie niżli ten, co prosi”. Zauważyła, że w tym zdaniu nie dostrzega żadnej satyry, a ja trzymałem język za zębami ze strachu, czym aby nie przesoślił. Król sam zmienił temat kierując rozmowę na Ariosta. Wyraził chęć czytania go pospołu ze mną. Skłoniłem się na to i odpowiedziałem słowami Horacego: *Tempora quoeram.*

W parę dni potem znalazłem się jakoś na drodze króla, który podając rękę do ucałowania wsunął mi przy tym mały papierek; dzięki niemu mogłem spłacić długi: było to dwieście dukatów.

Od tego czasu stale asystowałem przy rannej toalecie króla, przy czesaniu. Mówiliśmy o wszystkim, prócz Ariosta. Król dobrze rozumiał po włosku, ale nie mówił. Ilekroć pomyślę o budzących szacunek wielkich zaletach tego wspaniałego władcy, trudno mi pojąć, jak mógł on popełnić tak olbrzymie błędy, z których wcale nie najmniejszym jest ten, że przeżył swoją ojczyznę. Nie wszystkie moje warszawskie znajomości sięgają aż tak wysokich progów: odwiedziła mnie więc na przykład Binetti, która przybyła z Londynu w towarzystwie męża, tancerza, imieniem Pic. Jechała z Wiednia do Petersburga. Król zwierzył mi się, że zamierza zaangażować ją na tydzień za tysiąc dukatów. Pobiegłem do niej z tą wiadomością, lecz nie chciała uwierzyć. Dopiero przybycie księcia Poniatowskiego, który w imieniu króla przy-

³⁴ Żona owego Schmidta była kochanką króla (przyp. tłum.).

wiół ową propozycję, rozwiało jej wątpliwości. W trzy dni Pic zorganizował balet. Tomatis wystarał się o dekoracje, kostiumy i orkiestrę. Ci nowo przybyli artyści tak się ogólnie spodobałi, że zaraz zaangażowano ich na cały rok, co bardzo dotknęło Catai, inną baletnicę. Binetti nie tylko bowiem zaćmiła ją, ale i odbiła jej kochanka. Niebawem też urządziła sobie dom według ostatniej mody. Miała bardzo liczne grono adoratorów, do których należeli hrabia Moszczeński i szambelan Branicki, serdeczny przyjaciel króla. Widownia teatralna podzieliła się na dwie partie: jedna była za Catai, druga za Binetti. Oczywiście trzymałem stronę tej ostatniej, lecz nie mogłem się z tym manifestować, aby nie ściągnąć na siebie gniewu otoczenia Czartoryskich, zawziętych wielbicieli Catai.

Jeden z tych panów, książę Lubomirski, był jej kochankiem, toteż byłbym skończonym głupcem, gdybym poświęcił tak wpływową znajomość dla jakiejś tancerki. Binetti czyniła mi gorzkie wymówki i nawet wymusiła przyrzeczenie, iż nie będę chodził do teatru. Jej faworytem był Ksawery Branicki, szambelan króla i pułkownik ułanów, mężczyzna niespełna trzydziestoletni. Służył był we Francji i powracał z Berlina, gdzie był ambasadorem polskim przy wielkim Fryderyku. Binetti namawiała swojego kochanka do zemsty na znienawidzonym przez nią Tomatisie, który obgadywał ją przed królem i jako dyrektor teatru upokarzał przy każdej sposobności. Branicki zapewne przyrzekł swojej ukochanej to, czego chciała, lecz – jak zaraz zobaczymy – ów młody Polak obrał sobie w tym zgoła niezwykłą manierę.

W dniu 20 lutego udał się do opery. Tańczono akurat drugi balet. Branicki wszedł do loży Catai, gdzie siedziała z Tomatisem. Zobaczywszy Branickiego oboje przypuszczali, że zerwał z Binetti, on zaś zachowywał się z wielką galanterią i przy końcu przedstawienia podał ramię Catai. Tomatis szedł z tyłu. Byłem właśnie w westybulu, kiedy Branicki, siedząc u boku Catai w powozie Tomatisa, krzyknął mu, żeby jakimś innym zdążył za nimi, a on nieogłędnie odparł na to, że jeździ tylko własnym. Branicki kazał stangretowi jechać, gdy Tomatis zabronił ruszać z miejsca. Wówczas Branicki, który musiał wysiąść, zawołał na huzara, aby dał w papę Tomatisowi. Huzar nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać. Tomatis zaś tak zbaraniał, że nawet nie pomyślał o tym, aby szpadą przeszyć bezczelnego sługusa. Wsiadł tylko do powozu i zajął się swoim policzkiem.

Wróciłem do domu nie mniej przygnębiony od Tomatisa przewidując, że sprawa się na tym nie skończy.

Awantura nabrała rozgłosu i Tomatis nie mógł się nikomu na oczy pokazać. Poskarżył się królowi, ale król, sam mocno zaambarasowany, nie wiedział, co począć, bo Branicki twierdził, że tylko zniewagą odplacił za zniewagę. Tomatis wyznał mi, że wymierzyłby sobie sam sprawiedliwość, gdyby się nie bał o swoje pieniądze. Wsadził w teatr czterdzieści tysięcy cekinów, które niechybnie straciłby, gdyby musiał wyjechać z kraju. Binetti natomiast promieniała. Rzekła mi, że całkowicie trzyma stronę biednego Tomatisa, z całą hipokryzją nazywając go swoim przyjacielem, ale jej radość była zbyt widoczna. Ta obłuda rozczarowała mnie do niej i zacząłem nawet podejrzewać, że i dla mnie szykuje jakąś niespodziankę, podobną do tej, która spotkała Tomatisa. Nie groziła mi strata czterdziestu tysięcy cekinów i dlatego wiedziałem, po czyjej stronie mam stać, a nie należałem do ludzi, którzy by się lękali jej kochanka. Zresztą anim go znał, anim go widział, nawet u króla. Muszę wyjaśnić, że Branickiego nienawidzono w całym kraju, bo uważano go za całkowicie zaprzedanego Rosji. Tylko król darzył go jeszcze resztkami przyjaźni. Zresztą w stosunku do niego kierował się też względami polityki. Wiedziałem, że moim zachowaniem nie mogę nikogo oburzać: nie intrygowałem i nie grałem w karty. Pilnie pracowałem dla króla w nadziei, że zostanę jego sekretarzem. W dzień świętego Kazimierza odbywała się gala na dworze, na której i ja byłem. Kiedy wstawaliśmy od stołu, król zwrócił się do mnie; „Proszę, przyjdź pan na przedstawienie”. Wymówiłem się grzecznie, bo po raz pierwszy miano grać sztukę po polsku³⁵, a ta próba mało mnie interesowała. Ale król nalegał.

³⁵ F. Bohomolca „Małżeństwo z kalendarza” (przyp. tłum.).

– Chodźże pan mimo wszystko.

Poszedłem więc za nim.

Bez mała cały wieczór przesiedziałem w łoży króla, a gdy wycofał się po drugim balecie, poszedłem powinszować Cassacci, tancerce z Piemontu, która bardzo podobała się Jego Królewskiej Mości. Po drodze wstąpiłem do łoży Binetti, skuszony otwartymi drzwiami, ale ledwie zamieniliśmy parę słów, wszedł hrabia Branicki. Pisałem już, że uchodził za kochanka Binetti. Skłoniłem mu się chłodno i zaraz wyszedłem, a jak się później przekonamy, gorzko musiałem zapłacić za tę rezerwę. Cassacci, uszczęśliwiona z moich powinszowań, rozkosznie wypominała mi brak galanterii dla niej; trzeba przyznać, że wizytowałem ją po raz pierwszy. Właśnie mówiliśmy o tym, kiedy hrabia Branicki, który najwidoczniej szedł za mną z wyraźną intencją, wtargnął raptownie do łoży w towarzystwie niejakiego Binińskiego³⁶, podpułkownika w jego pułku.

– Przyznaj pan, panie Casanova, że przychodzę jak najbardziej nie w czas. Zdaje się, że pan się kochasz w tej damie.

– Ależ, panie hrabio, czy nie uważasz, że jest czarująca?

– Tak bardzo, że oświadczam ci tutaj, iż się w niej Kocham na zabój i nie zniosę żadnego rywala.

– Skoro tak, nie roszczę sobie najmniejszych praw.

Czekając na moją odpowiedź hrabia przybrał wyniosłą i wyzywającą minę.

– Przezorny z pana człowiek, panie Casanova. A zatem schodzisz mi z drogi?

– Natychmiast, panie hrabio! Znalazłbyś się taki gbur, co by się ważył iść w paragon z człowiekiem o twoich zaletach!?

Zdaje mi się, że wypowiedziałem te słowa z uśmiechem, który nie podobał się Branickiemu. Odparł mi z miejsca:

– Za tchórza mam tego, co przy pierwszej groźbie ustępuje z pola.

Odruchowo położyłem rękę na gardzie szpady. Ale natychmiast spostrzegłszy się, tylko pogardliwie wzruszyłem ramionami i wyszedłem z łoży na korytarz. Nie zrobiłem nawet czterech kroków, gdy usłyszałem rzucone głośno: „Tchórz wenecki”, i krew we mnie zawrzała.

– Panie hrabio, dowiodę ci o każdej godzinie i w każdym miejscu, że wenecki tchórz nie boi się polskiego magnata.

Skoro klótnia zaszła już tak daleko, nie miałem zamiaru się cofać. Czekałem na ulicy licząc na to, że zmuszę Branickiego do wydobycia szabli z pochwy. Daremny trud, nikt się nie zjawił. Po pół godziny, przemarznięty do szpiku kości, wskoczyłem do pierwszego przejeżdżającego powozu i kazałem się wieźć do wojewody ruskiego, u którego król miał wczekać.

Zastanowiwszy się nad całą sprawą, wdzięczny byłem mojej szczęśliwej gwiazdzie, że Branicki nie nadszedł. Bylibyśmy pewnie skrzyżowali szpady, czegom wówczas gorąco pragnął, ale Biniński, akolita hrabiego, zapewne przeszyłby mnie swoją w czasie tej walki. Další ciąg mojej przygody usprawiedliwia owo mniemanie. Trzeba rzec, że pod przykrywką układnych manier i łagodności Polacy zachowali coś dzikiego i barbarzyńskiego. W ich wylewnej przyjaźni jak i w gorącej, pamiętliwej nienawiści wyczuwa się jeszcze Sarmatów i Scytów. Zdają się nie rozumieć, że honor zabrania napadać gromadą na wroga, gdy się nadarzy sposobność. Widocznym było, że Branicki szedł za mną ze stanowczym zamiarem potraktowania mnie tak, jak Tomatisa. Wprawdzie nie zostałem spoliczkowany, ale wcale nie czułem się przez to mniej pokrzywdzonym na honorze, toteż musiało dojść do spotkania między nami. Ale jak to zrobić? Sprawa nie była łatwa.

Wojewoda przyjął mnie ze zwykłą łaskawością i nawet zaszczycił propozycją zagrania partyjki, a widząc, że przegrywam bezustannie, zapytał, gdzie bawię myślami.

³⁶ Według pamiętników Moszczeńskiego podpułkownikiem tym był Arnold Byszewski, co również potwierdzają dokumenty z epoki w posiadaniu rodziny Byszewskich (przyp. tłum.).

- O dziesięć mil stąd – odparłem.
 - Gdy się gra z kimś znacznym – rzekł – nie wypada myśleć o czymś innym.
- Rzucił karty na stół i odszedł.

Mocno strapiony tą wymówką chciałem także odejść, kiedy oznajmiono, że król przybędzie lada chwila. Ale wiadomość była fałszywa. Jego Królewska Mość nie mógł przybyć. To do reszty mnie zgnębiło, bo postanowiłem rzecz całą wyłożyć królowi. Kolacja przeszła w smutnym nastroju dla nas wszystkich. Siedziałem po lewej ręce księcia, który ostentacyjnie nie odzywał się do mnie. Na szczęście książę Lubomirski opowiedział o całej awanturze biorąc moją stronę.

– Branicki był pijany – mówił – a człowieka pańskiego pokroju nie mogą obrazić słowa pijanego szlachcica.

Od tej chwili wojewoda znów mnie traktował z dawną łaskawością, gdyśmy wstali od stołu, wziął na bok i mogłem mu wtedy wszystko przedstawić.

– Teraz już nie dziwię się pańskiej nieuwadze i żal mi cię serdecznie. Twoja sprawa źle wygląda.

– Wasza książęca mość raczy mi dać jakąś radę?

– Nie proś mnie o nią, panie Casanova. Najlepiej uczynisz idąc za własnym rozumem.

To było dość jasne. Oto więc, co postanowiłem: albo zabić Branickiego, albo dać mu się zabić, jeśli przyjmie wyzwanie. W przeciwnym wypadku – użyć sztyletu, nawet gdybym miał to głową przyplącić.

Toteż o świcie posłałem mu bilecik takiej treści: „Nie wiem, dla jakich powodów obraziłeś mnie pan wczoraj, panie hrabio. Muszę więc poczytywać, że mnie nienawidzisz, i staję do twojej dyspozycji. Proszę, hrabio, zechciej przyjechać po mnie swoim powozem, bo dla zakończenia naszej kłótni będę ci towarzyszył tam, gdzie moja śmierć, zgodnie z prawami tego kraju, nie będzie poczytywana za zbrodnię lub też gdzie będę mógł, o ile szczęście mi dopisze, zabić ciebie nie łamiąc tegoż prawa. Ta propozycja dowiedzie ci chyba, panie hrabio, jak wysoce cenię twoją szlachetność i prawość charakteru”.

Po godzinie nadeszła odpowiedź.

„Przyjmuję pańską propozycję. Wskaż jeno godzinę, w której cię zastanę. Proszę, wybierz broń i skończmy z tym co prędzej”.

Zachwycony tym powodzeniem, odpisałem Branickiemu, iż długość mojej szpady wynosi mniej więcej trzy stopy i że będę nań czekał jutro o szóstej rano.

Zdziwiłem się niepomnie, kiedy w godzinę po tym porozumieniu ujrzałem Branickiego wchodzącego do mego pokoju. Zostawił swoich ludzi przed drzwiami i zamknął je na klucz za sobą. Co uczyniwszy siadł na moim łóżku, w którym jeszcze pisałem listy. Zaniepokoiło mnie to postępowanie, a nie mogąc odgadnąć, co zamierza, sięgnąłem po pistolety.

– Nie przyjeżdżam, ażeby cię zabić w łóżku, mój panie – rzekł na to Branicki – lecz by ci rzec, iż nigdy nie odkładam pojedynków do jutra, za czym albo będziemy się bili dziś, albo nigdy.

– Dziś niemożliwe, panie hrabio. To dzień odejścia poczty i muszę coś jeszcze wykończyć dla króla.

– Załatwisz to po naszym pojedynku. Czyżbyś się spodziewał zostać na placu? Nie bój się. Ale gdyby nawet, pociesz się, że martwym niestraszne wymówki.

– A mój testament!

– Miałbyś więc coś do legowania? A więc raz jeszcze: nie lękaj się pan, masz z pięćdziesiąt lat przed sobą.

– Nie rozumiem jednak, czemu nie chcesz, panie hrabio, poczekać z pojedynkiem do jutra.

– Zabawne pytanie! Nie pojmowałbyś więc, że jutro w ogóle nie dojdzie do spotkania? Król dowie się o wszystkim i jeszcze dziś zabroni pojedynku.

– A zatem opowiedziałeś mu, hrabio, o wszystkim?

– Żartujesz, mój panie! Nie, jam nie z tych, co rozpowiadają takie rzeczy, ale znam nasze zwyczaje. Jednym słowem, nie chcę, abyś mnie pan wyzywał na darmo, i gotówem udzielić ci satysfakcji. Jednak dziś albo wcale!

– A więc zgoda. Pojedynek z panem, hrabio, to w moich oczach rzecz niebłaha, nie wolno mi więc lekceważyć jego skutków. Proszę zatem, przyjeźdź po mnie po obiedzie.

– Liczyłem, że zabiorę cię od razu.

– Nie, muszę pokrzepić siły.

– Szczęść Boże, każdy robi po swojemu, ale ja tam bijam się o pustym brzuchu. A o czym żeś myślał podając mi długość swojej szpady? Z nieznanymi ludźmi pojedynkuję się tylko na pistolety.

– Nieznanymi! Jak pan to rozumiesz? Z dziesięć osób tu, w Warszawie, zaświadczy panu, że nie jestem jakowyś hałaburda. Nie będę się bił na pistolety i mam prawo: w swoim liście, panie hrabio, zostawiasz mi wybór!

– Racja, ale jesteś chyba na tyle szlachetny, że nie odmówisz stanąć mi z pistoletem w ręku, gdy cię o to proszę. I powiem ci też, że pistolet jest mniej niebezpieczny. Najczęściej chybiam się z niego.

– Sądzę, że to by ci nie wystarczyło, panie hrabio.

– Gdybyśmy obaj chybili, będziemy się bić na szable tak długo, jak zechcesz.

– Doskonale, z radością sprawię panu tę okrutną przyjemność. A więc przyjedziesz pan z dwoma pistoletami. Zostaną nabite przy mnie i będę miał prawo wyboru. Jeśli jedna wymiana strzałów nie da wyniku, będziemy się bili na szpady do pierwszej krwi. I na tym koniec, jeśli to ci odpowiada, panie hrabio.

Branicki skinął głową, a ja ciągnąłem dalej:

– I przyrzekasz pan zawieźć mnie w takie miejsce, w którym będę bezpieczny przed prawem?

– Zgoda. A teraz uściskaj mnie, bo widzę, że z ciebie dzielny człowiek. I ani słowa nikomu. Bywaj zdrow: do trzeciej!

Kiedy wyszedł, wsadziłem wszystkie papiery króla do koperty, opieczetowałem ją i przywołałem Campioniego, którego darzyłem pełnym zaufaniem.

– Tę oto kopertę – powiedziałem mu – oddasz mi dziś wieczór, gdybym żył, lecz gdybym zginął, doręczysz ją królowi. Niechybnie domyślasz się, o co chodzi, ale wiedz, że nigdy w życiu nie wybaczyłbym ci, gdybyś się przed kimś wygadał.

– Rozumiem. Byłbyś pan pohańbiony, gdybym puścił parę z gęby, albowiem powiedziano by, że to z twojego polecenia powiadomiłem wszystkie osoby, które zabroniłyby pojedynku. Nie obawiaj się pan. Ja tylko pragnę, byś z tej paskudnej przygody wyszedł zdrow i cały. Pamiętaj, nie szcędź swojego przeciwnika, bo gotówes życiem przyłacić podobną wspaniałość.

– Wiem to. A teraz siadajmy do stołu.

Zamówiłem suty i posilny obiad i posłałem po przednie wina do pana Schmidta. Campioni dzielnie mi sekundował, choć widać było, że ma głowę czym innym zajęta. Mnie zaś apetyt dopisywał jak nigdy. Kopiato nabierałem sobie z każdego półmiska i niemało wypilem z czterech gatunków win, lecz mimo to byłem zupełnie trzeźwy. O godzinie drugiej zasiadłem przy oknie wypatrując Branickiego. Nie kazał na siebie długo czekać. Przed trzecią jego berlinka zajechała pod dom. Była w sześć koni, ni mniej, ni więcej, a masztalerze wiedli jeszcze luzem dwa wierzchowce. Za nimi jechało dwóch huzarów. Branickiemu towarzyszyli adiutanci i jeden generał w paradnym uniformie: był to jego świadek.

Siadłem w powozie obok Branickiego. Zauważył, że może chciałbym mieć kogoś ze swoich ludzi przy sobie. Odparłem, że mam tylko dwóch hołyszów na usługi, a ci prezentowałyby się zbyt nędznie przy takiej asyście; że całkowicie zdają się na niego, przekonany, iż gdybym czegoś potrzebował, nie zabraknie mi tego. Za całą odpowiedź tylko mocno uścisnął mi rękę.

Miejsce naszego pojedynku zapewne było z góry ustalone, albowiem ruszyliśmy bez rozkazu Branickiego. Uważałem, aby o nic nie pytać, ale gdy cisza w powozie przewlekała się, sądziłem, że wypada mi ją przerwać.

– Czy zamierzasz, panie hrabio, spędzić lato w Warszawie?

– Wczoraj jeszcze tak chciałem, ale kto wie, co będzie dziś? Może staniesz pan na zawadzie moim planom.

– Mam nadzieję, że ta sprawa w niczym panu nie przeszkodzi.

– Tego życzę i tobie, panie Casanova. Służyłeś w wojsku?

– Tak. Ale czy mogę wiedzieć, w jakiej intencji pan pytasz?

– Po prostu, aby rozmowa nie zamarła.

Jechaliśmy przez dobry kwadrans, aż wreszcie powóz przystanął przed bramą parku. Wsiadliśmy pośpiesznie i weszliśmy w grabowy szpaler zakończony ławką i kamiennym stołem, na którym jeden z huzarów położył dwa pistolety, mniej więcej na dwie stopy długie. Potem wydostał z kieszeni rożek z prochem i dwie kule. Nabił pistolety i położył skrzyżowane na stole.

W chwili kiedy Branicki poprosił, abym wybrał, generał wykrzyknął:

– Co u licha! Chcecie się bić!

– Oczywiście.

– To niemożliwe. Jesteście przecież w granicach starostwa³⁷.

– A cóż to za różnica?

– Olbrzymia, i ja wam za świadka służyć nie będę. Panie hrabio, zwiódłeś mnie, wracam na zamek!

– Nie zatrzymuję cię, generale – odparł Branicki – ale żądam zachowania tajemnicy. Wi-nieniem satysfakcję kawalerowi de Seingalt.

Wówczas generał zwrócił się do mnie i rzekł:

– Nie możesz pan bić się tutaj.

– Skoro tu mnie przywieziono, tu się będę bił – odparłem. – Będę się bronił wszędzie, nawet w kościele.

– Źle robicie, u diabła! Przedstawcie wasz spór Najjaśniejszemu Panu, niech was rozsądzi, ale bić się – to niemożliwe.

– Chętnie przystanę, jeżeli hrabia wyrazi skruczę za wczorajszą zniewagę.

Usłyszawszy to Branicki spojrział na mnie gniewnie i wymachując rękami jał krzyczeć, że przyjechał tutaj bić się, nie układać. Wówczas zwracając się do generała wziąłem go na świadka, jakom zrobił wszystko, co honor dopuszcza, aby walki uniknąć. Ten dzielny człowiek odszedł zaraz ze łzami w oczach, łapiąc się za głowę jak by w krańcowej rozpacz. Branicki zaś rzekł po raz drugi:

– Wybieraj.

Odrzuciłem połą pelisy i schwyciłem jeden z pistoletów. Branicki wziął drugi mówiąc:

– Dobrą broń wybrałeś.

– Sprawdzę to na pańskim łbie – odparłem chłodno.

Zbladł i raptownym ruchem rzuciwszy szablę jednemu ze swoich adiutantów, odkrył pierś, aby mnie zmusić do tego samego. Niechętnie i nie bez odrobiny lęku poszedłem w jego ślady, a potem, tak jak on, odstąpiłem na pięć kroków. Krótka alejka nie pozwoliła nam odejść od siebie dalej niż na dziesięć, dwanaście kroków. Gdy zobaczyłem Branickiego w postawie, z pistoletem skierowanym w dół, gwałtownie skręciłem w bok tułowiem zapraszając go do strzału. Mierzył przez kilka sekund, a ja przez ten czas – przecież, u licha, nie byłem obowiązany czekać, aż mnie dobrze weźmie na cel – wypaliłem na chybił trafił i tak jednocześnie z nim, że sekundanci zapewniali, iż słyszeli tylko jeden huk wystrzału. Branicki zachwiał się,

³⁷ Casanova zapewne ma na myśli obręb władzy marszałkowskiej (przyp. tłum.).

potem upadł. Podbiegłem go podźwignąć, ale któż opisze moje zdumienie, kiedy ujrzał jego ludzi z gołymi szablami pędzących ku mnie! Na szczęście ich pan zdążył krzyknąć:

– Stójcie, zbójce! Wara od pana de Seingalta!

Cofnęli się, zdołałem więc unieść Branickiego prawą ręką, bo sam byłem ranny w lewą. Zadzwigano go do oberży o sto kroków od parku, albowiem nie mógł iść o własnych siłach. Co chwila spoglądał na mnie; zdawał się nie pojmować, skąd ta krew plamiąca moje białe spodnie. W oberży, kiedy już leżał na materacu, zbadano jego ranę, którą sam uważał za śmiertelną. Kula weszła z prawej strony pod siódme żebro i wyszła z lewej pod ostatnim, przesywając ciało z boku na bok, a wlot i wylot oddalone były od siebie o jakieś dziesięć cali. Mało pocieszające stwierdzenie i można by sądzić, że wnętrzności zostały uszkodzone. Branicki rzekł mi natychmiast:

– Zabiłeś mnie pan, ratuj teraz własną głowę. Znajdujesz się w starostwie, a ja jestem oficerem Króla. Maszże tu moją wstęgę Białego Orła na glejt i sakiewkę, gdybyś jej potrzebował.

Podziękowałem mu serdecznie, oddałem sakiewkę i zapewniłem, że jeżeli na śmierć zasłużył, gotówem ją ponieść. Nie ukrywałem też przed nim żalu z powodu tak tragicznego wyniku naszego pojedynku. Uścisnąłem go wreszcie i wybiegłem z oberży, przed którą nie było już żywego ducha. Wszyscy rozbiegli się po chirurga, księdza, krewnych i przyjaciół. Zostałem więc sam, ranny i bezbronny, na ośnieżonej i całkiem mi obcej drodze. Na szczęście natopkałem wieśniaka jadącego saniami. Krzyknąłem mu: „Warszawa” pokazując przy tym dukata. Zrozumiał, wziął mnie do swoich nędznych sań i puściliśmy się galopem. W parę minut potem dojrzałem na drodze jednego z serdecznych przyjaciół Branickiego: był to Biniński. Z szablą w ręku pędził w stronę oberży. Przekonamy się później, że gdyby mnie był dostrzegł, zginąłbym marnie, ale moja szczęśliwa gwiazda sprawiła, że nie zwrócił uwagi na sanie. Kiedy stanąłem w Warszawie, pobiegłem do pałacu księcia Adama Czartoryskiego, ale nikogom tam nie zastałem. Wtedy udałem się do klasztoru braci franciszkanów, by ich prosić o azyl. Furtian, przerażony widokiem skrwawionych szat i biorąc mnie za jakiegoś zbrodniarza umykającego przed sprawiedliwością, chciał mi zatrzasnąć furtę przed nosem. Obaliłem go silnym kopnięciem i wdarłem się do środka. Na krzyk powalonego zbiegli się inni braciszkanie. Powiedziałem, żeby mi udzielili schronienia, jeżeli nie chcą, abym ich pozabijał. Na szczęście przeor ujął się za mną i kazał mnie zaprowadzić do celi, która wyglądała jak ciemnica. Najważniejsze jednak, że chwilowo byłem bezpieczny. Posłałem zaraz po Campioniego, chirurga i moją służbę. Zanim jeszcze przybyli, zjawił się w mojej celi wojewoda podlaski, człowiek niezwykle, który na wiadomość o pojedynku przyszedł opowiedzieć mi o podobnym wypadku, jaki miał w swojej młodości. Zaraz po nim odwiedzili mnie wojewoda kaliski i wileński, którzy poczęli wyrzucać franciszkanom, że mnie przyjęli jak zbrodniarza i ulokowali niby skazańca, a oni na usprawiedliwienie opowiedzieli, jakem potraktował furtiana, co mocno ubawiło tych panów. Czytelnik łatwo domyśli się, że nie byłem w nastroju, w którym bym mógł podzielać ich wesołość, zwłaszcza że i rana poczęła mocno doskwierać. Krótka mówiąc przeniesiono mnie do małego apartamenciku, porządnie umeblowanego. Rana była dość poważna: kula zdruzgotała wskazujący palec i weszła w rękę, utkwivszy w niej, bo straciła impet na guziku kamizelki, albo należałoby może rzec – na lekkiej ranie, którą mi zadała w dole brzucha. Przede wszystkim należało wyjąć tę przeklętą kulę, powód okrutnego bólu. Niejaki pan Gendron, chirurg dość niezręczny, wy dobył ją przecinając ciało po przeciwnej stronie rany i w rezultacie miałem rękę rozplataną na wylot. Tak wielką jest próżność ludzka, że niczym nie zdradziłem cierpienia: spokojnie opowiadałem otaczającym mnie ludziom najdrobniejsze szczegóły sprawy. Ale w sercu wcale nie miałem tego spokoju, jaki malował się na mojej twarzy!

Pierwszą wiadomość o Binińskim przywiózł mi książę Lubomirski. Biniński ledwie dowiedział się o wyniku pojedynku, wyleciał jak szalony przysięgając, że mnie zabije wszędzie

tam, gdzie mnie dopadnie. Najprzód pobiegł do Tomatisa, u którego byli książę Lubomirski i hrabia Moszczeński. A gdy Tomatis nie umiał powiedzieć, dokąd się schroniłem, rozwścieczony Biniński strzelił do niego z odległości paru kroków. Kiedy zaś Moszczeński skoczył z pomocą, szaleniec jednym cięciem szabli uwolnił się od niego, przecinając mu policzek koło ust i pozbawiając trzech zębów.

– A książę zdołałeś umknąć cało i zdrowo? – zapytałem.

– Nie tak bardzo – odparł. – Porwał mnie za kołnierz i przystawiwszy do piersi pistolet zmusił, bym go odprowadził aż do konia, bo bał się, i słusznie, że go posiekają ludzie Tomatisa. Wasz pojedynek narobił dużo hałasu i powiadają nawet, że ułani przysięgli pomścić swojego pułkownika. Możesz pan sobie powinszować takiej opieki. Marszałek kazał otoczyć dragonami klasztor pod pozorem, byś nie umknął, ale w gruncie rzeczy, aby cię ustrzec przed wściekłością ułanów, którzy odgrają się, że zdobędą klasztor.

– A jakże się miewa Branicki? – zapytałem.

– Medycy boją się, że zemrze, jeżeli kula przeszła wnętrzości.

Leży u kanclerza, a król jest przy nim. Świadkowie pojedynku twierdzą, że to przez pańską pogroźkę roztrzaskania łba Branicki gotów stracić życie, gdy pan uratowałeś swoje. Musiał bowiem wbrew chęci osłonić głowę i gdyby nie to, trafiłby cię w serce, bo z niego znakomity strzelec. Widziałem, jak przecinał kulę na dwoje strzelając do noża.

– Miałem też i jeszcze jedno nie niniejsze szczęście, zem uniknął w drodze spotkania z tym wariatem Binińskim. No i to, że nie zabiłem hrabiego na miejscu, boby mnie jego ludzie rozsiekali. Bardzom wzruszony, że pańscy przyjaciele tyle dla mnie wycierpieli, lecz jeżeli Tomatisowi nic się nie stało, to dowód, iż pistolet tego szaleńca nie był kulą nabity.

W tym momencie oznajmiono oficera wojewody ruskiego, który przyniósł mi bilecik króla do jego pana. Pilnie chowam tę kartkę, a oto jej treść:

„Drogi wuju, Branicki poraniony, jednak pamiętam o Casanovie: każ mu oznajmić, że w każdej opresji może liczyć na moją łaskawość”.

Łzami oblałem ów drogocenny list i gwałtownie potrzebując wypoczynku, prosiłem, aby mnie zostawiono samego. Po godzinie Campioni przyniósł powierzoną mu kopertę i powtórzył całą opowieść, już uprzednio zasłyszaną od księcia Lubomirskiego.

Nazajutrz od wczesnego ranka zaczęli przybywać, ofiarowując mi swoją pomoc, liczni wrogowie Branickiego. Muszę przyznać, że było ich niemało. Każdy dobywał sakiewki, ale nie chciałem nic przyjąć. Było to wielkie poświęcenie, albowiem pięć lub sześć tysięcy dukatów bardzo by mi się przydało. Campioni uważał moje skrupuły za śmieszne i teraz zdaje mi się, że miał rację, bo prawdę mówiąc ciężko zapłaciłem za tę spartańską postawę. Przyjąłem jedynie wyżywienie dla czterech osób, na cały czas rekonwalescencji ofiarowane mi przez księcia Czartoryskiego, ale i to jedynie po to, aby zachować przy sobie kilku przyjaciół, bo sam niczego nie tknąłem. Chirurg, zresztą nędzna kreatura, zalecił mi dietę. Jego dewiza brzmiała: *vulnerati fame cruciuntur*, lecz w moim wypadku to nie głód był mi udęką. Pierwszego dnia ręka mi nagle spuchła, rana czerniała. Chirurdzy dopatrzyli się zaraz gangreny i uzgodnili między sobą, że trzeba rękę uciąć. Dowiedziałem się tego z gazety pałacowej, którą król osobiście korygował jeszcze w manuskrypcie. Przybyło do mnie ze dwadzieścia osób z wyrazami współczucia i sympatii myśląc, że to już po operacji, śmiałem się i pokazywałem im rękę za całą odpowiedź. Na to weszli trzej chirurdzy.

– Czemu panów aż trzech?

– Bo chcemy odbyć konsylium. Pan się chyba na to zgodzisz?

– Bardzo chętnie.

– I pozwolisz pan zbadać swoją ranę?

– Za nic bym panom tego nie odmówił, bobym was pozbawił przyjemności odbycia konsylium.

Mój chirurg natychmiast zdjął bandażę, przyjrzał się ranie i zaczął po polsku naradzać się ze swoimi kolegami; w konsekwencji co prędzej chcieli pozbawić mnie ręki. Oznajmili mi o tym w łacinie prawdziwie Molierowskiej z komedii „Mieszczanin szlachcicem” i „Lekarz mimo woli”. Ażeby mi dodać odwagi, opowiedzieli o każdym szczególe, uzasadniającym potrzebę operacji, z minami beztruskimi i pogodnymi. Byli w doskonałych humorach i zapewniali, że natychmiast po amputacji nastąpi poprawa. Odparłem na to, że ręka jest moją własnością, toteż zdaje mi się, że mam prawo odmówić operacji, moim zdaniem niewczesnej.

– Ale gangrena objęła już rękę, za dwanaście godzin rozszerzy się na ramię i trzeba będzie je uciąć.

– Wówczas odetniecie mi panowie ramię, jeśli będzie trzeba, i tylko kiedy będzie trzeba, a na razie zachowam swoją rękę.

– Jeśli pan znasz się na tym lepiej od nas, to nie ma o czym mówić.

– Nie znam się na tym lepiej od was, moi panowie, i dlatego też proszę, abyście mnie zostawili w spokoju.

Ta odmowa wywołała ogólne poruszenie. Ci, którym mój los był bliski, czynili mi wyrzuty. Książę Adam Czartoryski przysłał wiadomość, iż król dziwi się tej małoduszności. „Niemożliwe – mówił Lubomirski – aby trzech najprzedniejszych w stolicy chirurgów myliło się w podobnej sprawie”.

– Z pewnością się nie mylą, lecz chcieliby mnie zmylić.

– A to w jakim celu?

– Sprawa drażliwa i będziesz mnie pan uważał za śmiesznego niedowiarka.

– Powiedz pan jednak.

– A więc orzeczenie tych panów to słabiotka pociecha dana Branickiemu.

– Szczególny z pana człowiek.

– Tak czy owak odłożyłem operację, a jeśli dziś wieczór gangrena wda się w rękę, obiecuję panu, że każę ją sobie uciąć jutro rano.

Przed nocą odwiedziło mnie jeszcze czterech innych chirurgów. Nowe narady, nowe opatrunki. Ramię spuchło do połowy i aż po łokieć było niebieskosine. Chirurgi odeszli zapewniając, że odkładanie operacji zagraża memu życiu. Odpowiedziałem na to:

– Świetnie, moi panowie, przyjdźcie jutro rano z narzędziami.

A gdy byli już za drzwiami, kazałem moim ludziom nie wpuszczać jutro nikogo. W ten sposób ocaliłem rękę.

W święta Wielkiej Nocy wyszedłem pierwszy raz z klasztoru z ręką na temblaku. Całkowitą władzę w niej odzyskałem dopiero w osiemnaście miesięcy później. Wszyscy, którzy dziwili się memu postępowaniu, teraz byli pierwsi do pochwał, a przez mój upór zdobyłem sobie renomę. Podczas rekonwalescencji złożono mi pewną wizytę, która mnie bardzo ubawiła. Owym gościem był wielbny ksiądz jezuita, przysłany przez biskupa krakowskiego.

– Ksiądz biskup rozkazał mi odpuścić ci, synu, twój grzech. – rzekł jezuita.

– O jakim grzechu ksiądz mówi?

– Czyżbyś się nie pojedynkował?

– I ksiądz uważa, że to wymaga odpuszczenia? Broniłem się napadnięty. Gdzie tu grzech? Proszę jednak mi to odpuścić, skoro ksiądz biskup tak chce, mimo iż żadną miarą nie uznaję tego za grzech.

– A więc odmawiasz, mój synu, wyznania grzechu?

– Nawet gdybym chciał, nie mogę.

– Pozwolisz, że poruszę pewne zagadnienie?

– Proszę.

– A więc załóżmy, żeś się pojedynkował, i załóżmy też, że przyznajesz się do tego grzechu.

– Chętnie. A to znaczy, że ów grzech jest mi odpuszczony, jeżeli to był pojedynek, a jeśli nie, to nie.

– Zrozumiałeś mnie.

Odklepał paternoster i udzielił mi błogosławieństwa. W parę dni po moim pierwszym wyjściu król kazał mi się stawić na dworze. Ledwie mnie dostrzegł, dał rękę do całowania, a ja ucałowałem ją przykleknawszy. Gdym był w tej postawie, król zapytał (co już było z góry ułożone):

– Czemuż to masz rękę na temblaku?

– To z powodu reumatyzmu. Miłościwy Panie.

– Radziłbym unikać w przyszłości podobnych wypadków. Po skończonej audiencji kazałem się zawieźć do Branickiego, który żywo interesował się moją raną: codziennie przysyłał dowiedzieć się o moje zdrowie. Słowem, uważałem za stosowne pojechać doń z wizytą, tym bardziej że król mianował go wielkim łowczym, co już samo przez się obowiązywało ludzi znających się na dworności do złożenia powinszowań. Ów tytuł, mniej znaczący od szambelańskiego, był jednak o wiele intratniejszy. Powszechnie uważano, że król nadał go Branickiemu dopiero wówczas, gdy się przekonał, jak dobrym jest strzelcem: mimo to jednak przyznawano, że strzeliłem celniej od niego.

W przedpokoju u Branickiego powitano mnie okrzykami zdumienia. Oficerowie i służba wyglądali, jak by z nieba spadli. Poprosiłem adiutanta, aby mnie zapowiedział, co też uczynił ze łzą w oku i zapartym oddechem.

Branicki siedział na łóżku blady jak trup. Pozdrowił mnie skinieniem ręki. Powiedziałem:

– Panie hrabio, przychodzę przeprosić cię za to, że nie potrafiłem wznieść się ponad błahostkę, na którą nie powinienem był zwracać uwagi. Owo wydarzenie przyniosło mi więcej zaszczytu niż ujmy. Proszę więc, abyś zechciał łaskawie wziąć mnie w obronę przed swoimi przyjaciółmi, którzy, nie znając wielkich zalet twego charakteru, uważają, że potrafisz być jedynie moim wrogiem.

– Panie Casanova, możesz być pewien, że zawsze będę miał za wroga każdego, kto ci nie okaże takiego szacunku, na jakowy zasługujesz. Binińskiego ogłoszono banitą i bezecnym: żał mi biedaka, ale sprawiedliwości musiało stać się zadość. Niepotrzebna ci moja protekcja, bo zdobyłeś sobie królewską. Siądź, proszę, i bądźmy przyjaciółmi – dodał wyciągając do mnie rękę. – Jużes wyzdrowiał, prawda? Dzielnie oparłeś się chirurgom i mądrześ zrobił. Powiedziałeś im, że dla przypodobania się mnie chcą ci odjąć rękę. Wspaniałe słowa: ludzie tego gatunku sądzą innych po sobie. Powiedzże mi jednak, jakim cudem kula zraniła cię w rękę po uderzeniu w dół brzucha?

– Pozwól mi, panie hrabio, stanąć w postawie, jaką wówczas przyjąłem, a łatwo zrozumiesz.

– Wydawało mi się – rzekł po moim wyjaśnieniu – że powinieneś być trzymać rękę z tyłu, nie z przodu.

– Z tego, co się wydarzyło, widzisz, panie hrabio, że dobrze zrobiłem trzymając ją tak, jakem trzymał.

– Ach, mój panie – zawołała przepiękna dama siedząca przy nim – chciałeś zabić mojego brata, boś mierzył w głowę!

– Zabić! Wielki Boże, nic podobnego: zależało mi na tym, aby pan hrabia żył i obronił mnie przed ludźmi, którzy by mnie roznieśli na szablach, gdyby jego nie stało.

– A jednak powiedziałeś pan: „Wypróbuję ten pistolet na pańskim łbie”.

– Nie zawsze robimy to, co mówimy. W każdym razie lepiej mierzyć w ciało, bo cel wówczas większy.

– I dałeś mi pan dobrą lekcję – wtrącił Branicki ze śmiechem – widać, żeś się wprawiał w strzelanie z pistoletów.

– Skądże, to był mój pierwszy fatalny strzał -w życiu. Jeślibym mógł się czymś pochwalić w tym względzie, to pewną ręką i wiernym okiem. Ale co z twoją raną, panie hrabio?

– Zagoi się, jeno to czasu wymaga. Mówiono mi, że w dzień pojedynku zjadłeś obfity obiad.

- Obawiałem się, że to mój ostatni na tym padole.
- A więc gdybym się najadł jak ty, mój panie, już by było po mnie, bo kula niezawodnie przebiłaby wnętrzności; a tak, dzięki temu, że byłem na czczo, miała kędy przejść.
- Już później dowiedziałem się, że w rano naszego pojedynku Branicki wysłuchał mszy i przystąpił do komunii. Po wyjściu od niego udałem się do marszałka koronnego, któremu zawdzięczałem obronę przed ułanami. Przyjął mnie dość surowo pytając, z czym przychodzę.
- Aby podziękować panu, hrabio, za jego wspaniałomyślną opiekę oraz obiecać większą oględność w postępowaniu na przyszłość.
- I mądrze pan zrobisz. A gdy chodzi o twoją podziękę, winieneś ją nie mnie, lecz królowi. Gdyby nie protekcja Najjaśniejszego Pana, nie wahałbym się ściąć ci głowy.
- A zatem zapomniałeś, panie hrabio, o tysiącu przemawiających za mną okoliczności?
- Jakichże to? Zobaczymy: pojedynkowałeś się pan, tak czy nie?
- Tak, pojedynkowałem się.
- A więc prawo jest wyraźne.
- Tak, gdy idzie o wyzwanie na pojedynek lub jego przyjęcie w warunkach, które określa. Ale w tym wypadku występowałem w obronie życia i tylko odparłem napaść, za czym niech mi wolno uważać, że gdyby pan hrabia był lepiej wtajemniczony w rzecz całą, nie kazałby mnie ściąć.
- Prawdę mówiąc, nie wiem, co bym uczynił. Ale po cóż o tym mówić? Sprawa skończona, a skoro Najjaśniejszy Pan darował ci swoją łaską, najwidoczniej zasługujesz na nią i winszuję ci tego. Przyjmże moje zaproszenie dziś na obiad. Chciałbym cię przekonać, że w sercu mam jedynie życzliwość dla ciebie.
- Zapewniwszy sobie spokój od tej strony, udałem się do wojewody ruskiego, który mnie powitał z otwartymi rękami.
- Kazałem przygotować ci pokoje u siebie – powiedział – moja żona przepada za twoim towarzystwem, ale locum będziesz miał gotowe nie wcześniej niż za sześć tygodni.
- Skorzystam z tego, aby pojechać do Kijowa do wojewody. Jego zięć, starosta, hrabia Brühl, gorąco zachęca mnie do tej podróży.
- Jedź więc. Dobrze zrobisz. Przez ten czas być może ucichnie złość wrogów, których sobie przysporzyłeś owym pojedynkiem. Niechże cię Bóg broni przed jeszcze jedną podobną awanturą! Już byś pan z niej nie uszedł z życiem! A tymczasem uważajże na siebie i nie wychodź pieszo w nocy.
- Tydzień minął mi tak między jednym zaproszeniem na obiad i kolację a drugim. Musiałem z najmniejszymi szczegółami opowiadać o pojedynku nawet w obecności króla, który udawał, że nic nie słyszy, ale któregoś dnia, kiedy już bodaj po raz dziesiąty podejmowałem tę opowieść przy nim, przerwał mi gwałtownie:
 - Panie Casanova, czy jesteś szlachcicem?
 - Nie, Najjaśniejszy Panie, nie mam tego zaszczytu.
 - A więc ośmieliłbyś się zażądać satysfakcji, gdyby cię zelżył szlachcic wenecki?
 - Nie, Najjaśniejszy Panie, boby mi jej nie dał. Zapanowałbym więc nad gniewem i czekałbym okazji.
 - Jakiej to okazji?
 - Dopadnięcia wroga na obcej ziemi, gdzie zmusiłbym go do walki aż do śmierci.
- Czytelnik chciałby pewnie wiedzieć, czy widziałem ponownie Binetti. Było to jeden jedyny raz u pana Moszczeńskiego, ale ulotniła się, ledwie wszedłem. Powiedziałem Moszczeńskiemu:
 - Cóż za dziwne postępowanie. Czemu ta pani mnie nienawidzi?
 - Czemu? Nie wiesz więc, że twój pojedynek z Branickim był przyczyną zerwania między nimi? Branicki już jej nie widuje od tego czasu.

– Mogę tylko pochwalić postępowanie hrabiego. Owa pani widocznie przypuszczała, że jej kochanek będzie mnie mógł tak potraktować jak Tomatisa.

Wyjechałem z Campionim w tę podróż, o której wspomniałem. W sakiewce brzęczało mi dwieście dukatów; połowę z nich ofiarowałem mi w prezencie wojewoda ruski, drugą zaś setkę wygrałem w karty. Szczegóły mojej podróży pominę milczeniem i przejdę do powodów, które mnie skłoniły do porzucenia na zawsze Warszawy i Polski.

Kiedy wróciłem, stolica uroczyście fetowała panią Geoffrin, dawną metresę króla. Nie pretendując do takich samych łask, jakimi darzono ową obcą damę, muszę przyznać, że ogromnie zdumiało mnie chłodne przyjęcie doznawane na każdym kroku. Wszyscy magnaci jak by się zmówili, aby powitać mnie tym samym nieprzyjaznym i niegrzecznym zdaniem: „Sądziłyśmy, że już tu pana nie zobaczymy. Po co żeś wrócił?”

– Aby pospłacać długi – odpowiedziałem odwracając się do nich plecami.

Miast dawnej powszechnej życzliwości spotykałem się teraz z jawnym chłodem. Racja, że jeszcze mnie zapraszano tu i ówdzie, ale nikt ze mną nie rozmawiał przy stole. Spotkałem wojewodę ruskiego, który ledwie raczył mi się odkłonić. Widziałem także króla, który nawet na mnie nie spojrzał. A kiedy zapytałem księcia Sułkowskiego o powód tej zmiany, odpowiedział:

– To już taka właściwość naszego narodowego charakteru. Jesteśmy bardzo niestali; wiesz pan: *sarmatorum virtus velut; extra ipsos*³⁸. Gdybyś potrafił być chwycić okazję, wygrałbyś wielki los, ale teraz już za późno i zostaje ci tylko jedno...

– Wyjechać – przerwałem mu – i nawet się pospieszę.

Po powrocie do domu odebrałem anonim, w którym ktoś życzliwy wtajemniczał mnie w to, co słyszał na królewskim dworze. Otóż król miał się dowiedzieć, że w Paryżu powieszono mnie zaocznie za kradzież znacznej sumy z kasy loterii, że popełniłem wiele oszustw w Anglii i we Włoszech, poza tym należałem też do wędrownego trupy aktorów: takie to były generalne zarzuty przeciwko mnie. Cóż mogłem odpowiedzieć, chyba tylko, że są to kalumnie łatwiejsze do zmyślenia niż do odparcia. Oczywiście najchętniej wyjechałbym zaraz z Warszawy, ale tkwiłem w długach po uszy i nie miałem pieniędzy na drogę. Napisałem więc do Wenecji z prośbą o zaopatrzenie moich potrzeb i czekając na odpowiedź, chcąc nie chcąc, siedziałem w Warszawie. Aż przydarzył mi się wypadek, który przyspieszył wyjazd.

Któregoś pięknego ranka zjawił się u mnie ów generał, który był świadkiem Branickiego przy naszym pojedynku. Przyszedł zażądać w imieniu króla, abym w ciągu tygodnia opuścił Warszawę. Wielce wzburzony poprosiłem owego emisariusza, by zawiadomił swojego władcę, że nie zamierzam usłuchać tego rozkazu, a jeśli będę musiał ustąpić przed siłą, zaproteстую wobec całego świata przeciwko gwałtowi na mojej osobie.

Odparł mi na to spokojnie:

– Mój panie, nie kazano mi pytać o odpowiedź, lecz tylko zawiadomić cię o rozkazie Najjaśniejszego Pana. Czyń więc, jak uważasz.

Natychmiast napisałem długi list do króla wyjaśniając, że honor nie pozwala mi wyjechać ze stolicy jego państwa, bom tu, na nieszczęście, zadłużony. Ów list dałem hrabiemu Moszczeńskiemu z prośbą o doręczenie królowi. Nazajutrz hrabia dał mi tysiąc dukatów w imieniu króla, który chciał się w ten sposób usprawiedliwić z rozkazu wydanego w nieświadomości, iż jestem bez grosza. Hrabia dodał:

– Jeżeli król nastaje na pański wyjazd, to tylko w twoim własnym, interesie. Życzyłby sobie, abyś jak najprędzej znalazł się w bezpiecznym miejscu, bo wie, że co dzień spotykają cię afronty, na które jesteś dość mądry, by nie odpowiadać. Jednakże prawdą jest, że te osoby, które ci je zadają, knują zemstę za to, co zwą pogardą z twej strony, a król chciałby już być spokojnym o ciebie.

³⁸ Sarmatorum virtus... – Sarmaci nie mają zalet, oni je sobie przyswajają.

Zdjęty jak najgłębszą wdzięcznością prosiłem hrabiego, ażeby podziękował Miłościwemu Panu i by mu oświadczył, że niezwłocznie zastosuję się do jego rozkazu. Hrabia zaofiarował mi swój powóz, na co się zgodziłem, obiecując dać wiadomość o sobie.

A w dwa dni później, spłaciwszy długi, byłem już w drodze do Wrocławia.